



ZAKLĘCIE NA WIATR

PAULINA KUZAWIŃSKA

Z podziękowaniem dla Darii.

Spis treści

Dedykacja

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

16.

17.

18.

19.

20.

21.

22.

23.

24.

25.

26.

27.

28.

29.

30.

Karta redakcyjna

1.

Wieczorna mgła zaczynała wypełzać z namorzynów. Gasiła krwisty odblask fal, które barwiło słońce ginące za horyzontem. Gwinto Gerk, siedzący na dziobie łodzi, zasępił się na ten widok. Morze, choć leniwie spokojne, przypominało dziś krew i płomień, a skłębione korzenie namorzynów chowające się pod powierzchnią były bardzo zdradliwe. Jak wszyscy ludzie morza Gwinto był człowiekiem przesądnym. Jego los nieraz już zależał od kaprysu żywiołów – nic więc dziwnego, że wypatrywał w nich znaków przyszłości. Tego wieczora miał dodatkowe powody do ponurych przeczuć. Dwóch wioślarzy właśnie wiodło go ku zatoce, w której osiem lat temu niemal stracił życie.

Uważał, że ocalenie było mu wówczas pisane. Miał bowiem do spełnienia ważną misję. Misję, która stała się sensem jego życia. Teraz, gdy pierwszy raz od dawna miał zejść na znajomy ląd, Gwinto spieszył spłacić zadawniony dług wobec swojego wybawcy. A także, na co liczył nawet jeszcze bardziej, ubić interes.

Wysłuchiwał się w miarowe, wprawne chlupotanie wiosel, w cichnący świergot moczarowych ptaków i w szmer drzew od strony brzegu. Wciągał głęboko jego zapach: woń mułu, ryb, wieczornych dymów i zroszonych traw. To wszystko sprawiało, że lekkie rozrzewnienie spłynęło mu na pierś. Inaczej zapamiętał to miasteczko, kiedy był w nim ostatnim razem, osiem lat temu. Teraz było cichsze. Mroczniejsze. W pewien sposób wymarłe. Domy rybaków wzniesione na palach nie rozbrzmiewały śmiechem, nad wodą nie niosły się tony skocznej muzyki. Jedno z takich drewnianych domostw, dość okazałe i obszerne, należało kiedyś do jego rodziny. To było dawno. Nieopodal, w podobnej siedzibie, mieszkał ktoś, komu Gwinto chciał złożyć wizytę.

Łódź sunęła skrajem namorzynów, tnąc cicho powierzchnię wody i gęstniejącą mgłę. Wreszcie dziób osiadł miękko w wilgotnym piasku, pobielonym plamkami drobnych muszelek. Było tutaj bezpiecznie: w cieniu brzegowych skał, z których szczelin wichry dobywały dziwne jęki, będące źródłem wiary mieszkańców, że miejsce jest nawiedzone. Od nagłych wirów, które tworzyły się u ujścia rzeki, chroniły zarośla.

– Warras, zostań przy łodzi. Tiko pójdzie ze mną.

Mężczyźni wyjmowali z dna czółna nieforemny toból. Gwinto zarzucił go sobie na plecy i podążył kołyszącym krokiem w stronę leżących nad ziemnymi wałami, okolonych częstokołem zagród. Przeglądały się one w jednej z odnóg Vissli, tworzących pobliską deltę.

Dwaj mężczyźni przeszli po kamiennym mostku, przecinającym jeden z licznych, wijących się kanałów, i podążyli pnącą się dalej ścieżką. Widzieli kilku rybaków oraz wyłaniających się z mgły drobnych myśliwych, którzy na noc zastawiali sidła na moczarach, gdzie budziły się teraz roje błędnych ogników. Ktoś grał w domu na liturii. Z daleka, ponad przyciszonymi głosami wieczornej krzątanimy, powrotów do domu, powitań i przygotowywanych oraz spożywanych kolacji, płynęła nucona wysokim głosem pieśń.

Gwinto Gerk zatrzymał się przed wysoką furtą zagrody, której szukał. Pociągnął za koniec zwisającego z ogrodzenia sznura, który rozkołysał cynowy dzwonek. Brzęczącym uderzeniom towarzyszyło szczekanie biegających wzdłuż płotu psów – raczej podekscytowane i radosne niż groźne.

– Kto? – odezwał się zza furty młody głos. Do kogokolwiek należał, ten ktoś zbliżył się cicho jak duch. Pytanie było zadane zdecydowanym, prawie podejrzliwym tonem.

– Gwinto Gerk, do usług. Przychodzę do Ravela.

Cisza.

– Ojca nie ma. Jeszcze nie wrócił.

– Mogę zaczekać. Czy jest Ilena?

Cisza.

– Matka przygotowuje kolację.

– Ja i mój towarzysz chętnie zjedlibyśmy coś ciepłego.

Za furtaa przedłużyło się milczenie i Gwinto zastanawiał się, czy chłopiec nie odszedł. Usłyszał jednak skrzypnięcie podnoszonej zasuwv i w bramie otworzyło się niewielkie okienko – trochę niżej, niż Gwinto przypuszczał. Szczupły, niebieskooki dzieciak o falującym, ciemnym włosach i opalanej, osmaganej wiatrem skórze przez chwilę przyglądał mu się badawczo. Gwinto dostrzegł, jak odkłada dzirytt zakończony metalowym piórem.

– Jest pan żeglarzem? – zapytał chłopiec.

– Owszem. – Gwinto skinął głową jakby z zastanowieniem.

– Zapytam matki, czy zechce pana ugościć. Może pan powtórzyć swoje imię?

– Gwinto.

– A ten drugi?

– To mój kompan, Tiko. Również żeglarz. Powiedz matce, że przyszliśmy oddać dług.

Chłopiec zatrzasnął okienko w drewnianej bramie. Długo nie wracał.

– Matka nie przypomina sobie o długu, który ktoś byłby winny mojemu ojcu.

Gwinto się nie poddawał. Morze nauczyło go cierpliwości.

– Może sobie nie przypominać. To było dość dawno temu – wyjaśnił. – Osiem lat. Ale morze jest cierpliwe. Co zabiera jedna fala, inna oddaje.

Dzieciak nie odpowiedział. Gwinto usłyszał, jak znowu się oddala. Po chwili gdzieś w głębi podwórza szybko otworzyły się drzwi. Prędkie kroki zbiegały do furty, niosąc szelest niewieściej sukni.

– Gwidon! – zawołała ciemnowłosa kobieta, szeroko otwierając przejście. Stała na chwilę w bramie i obrzuciła go wzrokiem od stóp do głów.

Mężczyzna uśmiechnął się lekko, odwzajemniając uważne spojrzenie. Kobieta miała

takie jak on, ciemne włosy, które odziedziczył po niej jej dzieciak, i podobnie niebieskie, marzycielskie oczy, które u Gwinta wyblakły od słonych wiatrów i palącego słońca.

Wciąż młoda, dość wysoka i szczupła, chociaż nieco się zaokrągliła. Wieczne cienie odrealniały jej postać. Roześmiała się w mocniejszym podmuchu wiatru, po czym zarzuciła mu ramiona na szyję. Gwinto uniósł ją wysoko do góry, obrócił się z nią w miejscu i wykręcił podwójny młynek pod ciemniejącym, zalanym szkarłatem niebem.

– Jak się miewa moja urocza siostra? Długo kazałaś czekać na siebie, syrenko! Twój mały jest trochę nieufny. To dobra cecha.

– Arionie, to twój wuj, Gwidon. Nie pamiętasz go, byłeś całkiem malutki... – Na twarzy kobiety pojawił się rumieniec wzruszenia, który tchnął w jej rysy dziewczęcość i młodość. Oczy miała zaszklone, pierś falującą.

– Mój towarzysz, Tiko. Moja siostra, Ilena. – Gwinto powolnym gestem przedstawił sobie dwoje nieznanym.

Tiko skinął głową i przekrzywił na niej lekko kapelusz – nie był pewny, czy powinien nadać powitaniu nieco więcej dworności. Ilena dygnęła, po czym przygarnęła ramieniem syna, który przyglądał się obcym bez nieśmiałości.

– Przywitaj się, Arionie.

Chłopiec skłonił się głęboko.

– Nie mówiłaś mi, że mam wuja.

Gwinto zauważył lekkie zakłopotanie Ileny.

– To dlatego, że byłem daleko – wyjaśnił, nachylając się ku dzieciakowi. – Lepiej nie wspominać o tych, którzy są daleko, żeby nie tęsknić. Poza tym podobne rozmowy przynoszą pecha. – Mrugnął do niego spod szerokiego randa kapelusza.

– Wejźmy do środka – ponagliła Ilena. – To nie jest miejsce na dłuższą rozmowę.

Odwróciła się i w dole ścieżki spostrzegła zbliżającego się człowieka.

– Ojczy! – zawołał Arion, po czym wybiegł na spotkanie mężczyzny w przykurzonej pelerynie.

Ten zatrzymał się. Po chwili uniósł rękę w geście powitania. Gwinto Gerka odwzajemnił jego znak.

– Ravael nadal zajmuje się leczeniem?

Ilena się uśmiechnęła. Na zachodzie gasły ostatnie szkarłatne łuny. Okolicę wypełniała wieczorna bryza, jakby tchnienie ziemi w stronę morza. Patrzyła z czułością, jak jej mąż objął ramieniem syna.

– Za dnia pracują z Arionem w gospodarstwie i doglądają połowów. Wieczorami Ravael pomaga chorym. Czasem wyjeżdża na parę dni do sąsiednich miejscowości w delcie. Gdyby nie to, trudniej by nam się wiodło w ciężkich czasach. Leczy w ukryciu, ale zyskał sobie w okolicy sporą sławę.

– Leczenie ludzi to nie grzech – mruknął Gwinto, wzruszywszy ramionami.

– Wiesz, że król i jego magowie uważają inaczej.

– Ravael ma dar. Zawsze go miał. To moc, która nie wybiera ze względu na stan i wysokość urodzenia. Ona potrafi zrównywać ze sobą ludzi. Poniżej lub wywyższa, kogo chce.

Ilena leciutko westchnęła.

– Daleko nam do królów i magów, Gwidonie. Niewiele się tutaj zmieniło... Żyjemy w niebezpiecznych czasach. Możemy przetrwać w pokoju tylko jako wspólnota, jeśli będziemy trzymać się wiary i zasad ustanowionych przez naszych przodków. Ty nigdy nie chciałeś tego zaakceptować.

Gwinto Gerka lekko zmarszczył brwi.

– Wierz mi... – mruknął powoli i spojrzał na zbliżającego się przyjaciela. – Możesz tego nie rozumieć, ale nie jestem egoistą. To, co robię, robię bardziej dla innych niż dla siebie. Dla... – przez moment wahał się nad doбором odpowiedniego słowa – ... wspólnoty.

– Wybacz. – Ilena się speszyła. – Nie chciałam cię urazić.

– Nie uraziłaś.

Jej mąż nadszedł właśnie z ukłonem i Gwinto wyszedł mu naprzeciw. Mężczyźni uściskali się mocno. Przez chwilę poklepywali się po ramionach i wymieniali docinkami na temat swojej tuszy, wyglądu oraz odciskających piętno lat. Tkwiło w tym więcej przyobleczonej w ironię serdeczności niż w niejednym spotkaniu rodzinnym. Tak naprawdę obaj byli mężami w sile wieku, chociaż jeśli chodziło o osobisty urok, harmonijność rysów i atletyczną sylwetkę, los zawsze darzył hojniej Ravaela. Gwinto o jakby za szerokich, żylastych ramionach oraz pałakowatych, ciut za krótkich nogach, które burzyły proporcje jego ciała, nie mógł się z nim równać.

Nic dziwnego, że czternaście lat temu Ilena uważała się za najszcześniejszą dziewczynę na świecie, kiedy śniady, podziwiany w miasteczku chłopak – Ravael – zwrócił na nią uwagę. Tak Gwinto zyskał szwagra, ale stracił najbliższego przyjaciela, a także niepodzielną miłość rozpieszczanej młodszej siostry. Od tamtej pory Ilena żywiła do brata skrywaną urazę. Niechęć i nieufność. Gwinto bowiem kochał morze i pragnął wyruszyć na nie w towarzystwie Ravaela, ten jednak – zgodnie z przeczuciami Gwinta – wybrał Ilenę. Gwinto wiedział, że pewnej nocy, jeszcze przed ślubem, kiedy Ravael posiadał jego siostrę, Ilena powiedziała mu, że nie zostanie żoną żeglarza. Dziewięć miesięcy później, szybciej, niż wskazywałaby na to data wesela, na świat przyszedł rozwrzeszczany, zaśliniony berbec – Arion.

Mój siostrzeniec – pomyślał Gwinto z pewnym zdziwieniem. Dzieciak bardzo wyrósł. Nie widział go w końcu wiele lat. *Ilena nie będzie zadowolona z tego, co chcę powiedzieć dzisiaj jego ojcu* – przemknęło mu przez myśl.

– Pójdę nakryć do stołu – powiedziała kobieta i pocałowała męża w policzek. Odchodząc, rzuciła Gwintowi roześmiane spojrzenie. – Tęskniłam za tobą, braciszku.

Nie mają służącej. Chyba faktycznie powodzi im się gorzej niż przed laty.

Gwinto instynktownie odpowiedział na zapraszający gest Ravaela, do którego kolan

łasiły się psy.

– Chodźmy do środka – rzekł dawny przyjaciel, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Weszli na przestronny podwórzec okolony niedużą stajnią i spichlerzami, które otaczały owocowe drzewa. Usiedli przy niskiej ławie w cieniu szerokiego, otwartego ganku, przed długim drewnianym domem z wysoką dobudówką i spadzistymi, krytymi trzcina dachami. Ilena zdążyła zapalić ofiarny kaganek – ogień płonął jako ofiara dla Przedwiecznych przed strzegącym wstępu do domostwa menhirem, który rzucał coraz mocniejszy cień. Znajdowały się na nim znaki bardzo starych ochronnych run. Z domu zaczynał dobiegać apetyczny zapach strawy. Tiko skłonił się lekko i burknął pod nosem, że pójdzie do kuchni sprawdzić, czy pani domu nie potrzebuje w czymś pomocy. Gwinto zerknął kątem oka na Ravaela i skinął głową.

Dwaj mężczyźni milczeli przez chwilę. Sączyli ciężkie wino rozlane przez służącego, który wystraszył się chyba na widok gościa. Patrzyli na migocący święty ogień, wsłuchani w narastający, wieczorny brzęk cykad i rechotanie żab na moczarach, które tworzyły razem oszałamiające crescendo.

– Stanowczo za długo cię nie było, Gwinto – odezwał się Ravael serdecznym głosem, lekko rozgrzanym od wina. – Nie było dnia, żebym się nie zastanawiał, co się z tobą dzieje! Na ogień Przedwiecznych! Musisz opowiedzieć nam o twoich podróżach. Dam głowę, że Arion, jak my wszyscy, nie będzie mógł się oderwać od twoich opowieści. Powiedziałem mu, żeby przyszykowano dla ciebie i twojego towarzysza dwie najlepsze izby. Wiesz, że tutaj jest twój dom. Zawsze był. Nawet nie przypuszczasz, jak się cieszymy z twojego powrotu!

Gwinto Gerk zerknął na niego spod kapelusza.

– Nie zamierzam zostać, Ravaelu – odparł powoli. To była prawda. Planował zabawić tu bardzo krótko. Mimo to z rozkoszą wyciągnął przed siebie nogi, starając się napawać tą ulotną chwilą w miejscu, które właśnie nazwano jego domem.

Ravael lekko uniósł brwi.

– Przybywam z konkretną sprawą – wyjaśnił Gwinto, wzruszywszy ramionami. – Chciałem uściskać siostrę i siostrzeńca, napić się z tobą wina, spłacić mój dług wobec ciebie i... złożyć ci propozycję. – Uniósł kielich i długo przyciskał go do ust.

Ravael uśmiechnął się jakby trochę rozczarowany.

– Nadal nie robisz nic bez przyczyny, prawda? Nie działasz bezinteresownie.

– Dążenie do celu a bezinteresowność to dwie różne sprawy.

– Jaki jest twój cel, Gwinto? Stałeś się bardzo tajemniczy. Co planujesz?

Mężczyzna w kapeluszu milczał przez chwilę. Wlał w gardło nowy haust wina i otarł usta wierzchem dłoni.

– Wierz mi, nie chcesz wiedzieć tego przed kolacją! – Wyszczrzył w nieoczekiwanym uśmiechy wilcze, białe zęby. – Chciałbym pomówić z tobą na osobności, kiedy się posilimy.

– Jeśli chodzi ci o to, co zdarzyło się osiem lat temu...

– Nie tylko o to. – Gwinto Gerk wskazał ruchem podbródka na tobół, który spoczywał u jego stóp. Lekki skurcz przebiegł przez mięsień mocno zarysowanej żuchwy. – Stęskniłem się za wami, stary druhu... – mruknął niewyraźnie, patrząc na zbiegającego po schodach Ariona.

– A my za tobą.

– Matka woła wuja Gwidona i ciebie, ojczy, na kolację – oznajmił chłopiec.

Gwinto wyciągnął szeroką, szorstką dłoń i niepewnie potargał go po włosach, trochę jak ulubionego szczeniaka.

– Podobny do ciebie – szepnął do Ravaela.

Chłopak poprowadził ich do jadalni z suto zastawionym, długim stołem, stojącym przed półokrągłym kominkiem, w którym wesoło trzaskał ogień. Ściany izby zdobiły kolorowe tapiserie i ozdobne łańcuchy wyplatane z trzciny przez Ilenę. W kącie wisiały małe kotwiczki, harpuny i sieci.

Usiedli przy równo ustawionych nakryciach, wśród parujących półmisków i kociołka

z zupą rybną, dymiącą i pachnącą aromatycznymi przyprawami. Gwinto i jego towarzysz zajęli miejsca obok siebie – Ravael siadł obok Ileny, naprzeciw przyjaciela. Arionowi, najmłodszemu przedstawicielowi rodziny, przypadło w ten sposób zaszczytne miejsce u szczytu stołu.

Początkowo jedli prawie w ciszy, brzękając łyżkami o cynowe naczynia. W powietrzu wyczuwało się lekkie napięcie. Tylko Tiko głośno zachwalał wyborne potrawy i mlaskał ze smakiem.

– Tiko ma rację. To najlepsza zupa rybna, jaką jadłem od lat, siostrzyczko – odezwał się Gwinto.

– Cieszę się, że ci smakuje. – Ilena rozpromieniła się i natychmiast zaproponowała dolewkę.

– Matka gotuje najlepiej w miasteczku! – zapewnił tonem znawcy Arion, który od dłuższego czasu obserwował wuja błyszczącymi oczyma.

Gwinto zorientował się dlaczego. Chłopak zauważył przy jego boku lekko wychylającą się spod szaty rękojeść krótkiego miecza. Z przyzwyczajenia nie odpiął broni, zanim usiadł do stołu. Mrugnął do siostrzeńca i zakrył rękojeść.

– Czy miałeś wiele przygód, wuju? – zapytał Arion, ośmielony tym gestem.

– Przygód? – Gwinto zastanowił się, wzruszywszy ramionami. – Zależy, co przez to rozumieć. Ale chyba masz rację. Zdarzyło mi się wiele rzeczy. Widziałem wiele miejsc. Poznałem wielu ludzi.

– Groziły ci niebezpieczeństwa?

– Tak.

– Wielkie?

– Śmiertelne.

– Walczyłeś ze złymi ludźmi?

– Ciągłe to robię.

– Z ludźmi króla?

– Arionie! – zganiła chłopca speszona matka. – Nie zadręczaj wuja. Król nie jest złym człowiekiem! Nie wolno tak mówić.

Chłopiec zamilkł tylko na chwilę.

– Słyszałem nieraz, jak ojciec przeklinał poborców podatków. Ludzie króla zabili niedawno włóczęgę przy bagnach. Dręczyli go. Rzucili na niego zaklęcie. A przecież zabraniają ojcu leczyć ludzi...

– Twój ojciec postępuje bardzo szlachetnie – wtrącił się Gwinto. – Ceni pokój bardziej niż walkę i ma rację. Dobrze jest pomagać ludziom, a nie ich zabijać. Osiem lat temu Ravael uratował również moje życie...

– Naprawdę? – Zaintrygowany Arion zamrugał.

– Naprawdę. Wróciłem wówczas z rejsu. Zabawiłem tu parę dni. Pewnego ranka wypłynęliśmy z twoim ojcem małą łodzią, by łowić ryby, tak jak wówczas, gdy byliśmy chłopcami. To była nieduża, ale dobra łódź. Właściwie mały drakkar. Zbudowaliśmy go razem... Wypłynęliśmy dość daleko, kiedy z nieba, w ciągu kilku chwil, spadł na nas biały szkwał. – Gwinto poruszył w powietrzu palcami dłoni. – Rozpętał się sztorm. Ocean spychał nas na skały. Zwijiałem żagiel, kiedy wielka fala zmyła mnie z pokładu. Fale kipiały, wiatr huczał, niebo i ocean zmieszały się w jedno i haustami wlewały mi się do gardła. Rozrywało mi płuca. Jakby ogromny wąż morski zaczął nagle wić się na dnie, burząc wody... Byłem pewien, że umieram, kiedy nagle fala cisnęła mną tak, że zdołałem na chwilę złapać się wystającej skały. Wtedy zobaczyłem, jak twój ojciec, który wcześniej zniknął mi z oczu, stanął na dziobie łodzi i wyciągnął w górę ramiona. Krzyknął coś, rozdziawił usta. I wtedy... pach! – Gwinto głośno klasnął w dłonie. – Twój ojciec rozłożył ramiona i wypowiedział zaklęcie. Zaklął pogodę, ot tak, jednym gestem, jednym słowem. Ujrzałem, jak skłębione chmury rozpierzchnęły się nad jego głową, jak ławica małych rybek rozpierzchnęła się przed atakującym drapieżcą. Powierzchnia wody się wygładziła. To było jak krąg świetlistej fali, która rozchodziła się od twojego ojca. Ta fala przetoczyła się i wyrównała wzburzony ocean niczym

wielki walek do ciasta. Niebo zaświeciło niebiesko jak wielki szafir. Twój ojciec położył się na dziobie łodzi i zaczął wiosłować w moją stronę. Obaj byliśmy ocaleni.

Arion spoglądał z zachwytem na Ravaela.

– Ojczy, nigdy o tym nie opowiadałeś! – stwierdził z głębokim wyrzutem, mając poczucie, że ojciec skrywał przed nim wielki skarb.

– To było dawno temu, Arionie – wtrąciła łagodnie Ilena, lekko ganiąc wzrokiem swego brata.

Gwinto wzruszył ramionami i patrzył, jak Ravael uśmiecha się z wyrazem ożywionej dumy.

– Syn powinien wiedzieć o dokonaniach ojca, prawda?

– Prawda – potwierdził Tiko.

– Mieliliśmy wtedy wielkie szczęście – zauważył Ravael.

Po kolacji Ilena podała pieczone jabłka nadziewane miodem. Gwinto uznał, że nadszedł czas podarunków.

– Mam ze sobą kilka rzeczy – chrząknął w odblasku kominka, sięgając po spoczywający pod okiem Tika wór.

Miał coś dla każdego. Dla służących również – właściwie spodziewał się, że zastanie ich tutaj więcej. Poczł radość, że może obsypać Ilenę perłami, szafirami i przejrzystymi bursztynami, których – jak sądził – nie powstydzilyby się nawet królewskie córki, łącznie z poświęconą bogom, pierworodną księżniczką Lumina.

Jego młodsza siostra lekko rozdziawiła usta na widok skarbów.

– Jesteś bogatym człowiekiem – stwierdziła ze zdumieniem i z podziwem, mrugając błękitnymi oczyma, które odziedziczył po niej dzieciak.

– Dorobiłem się. Mówiłem ci kiedyś, że będę bogaty. – Gwinto wyszczerzył zęby w zawadiackim uśmiechu.

Ilena z niespodziewanym, radosnym piskiem rzuciła mu się na szyję, dokładnie tak, jak robiła, gdy była małą dziewczynką. Gwinto przycisnął ją krzepko do piersi, ale

ponieważ odwykł od okazywania wzruszeń, nie odezwał się więcej. Patrzył, jak Arion waży w rękach krótki, lekki miecz o ozdobnej rękojeści, jak ogląda ze wszystkich stron mały, drewniany okręt o jedwabnych żaglach, a potem unosi grzbiet przepięknie iluminowanej książki oprawionej w łuskowatą skórę. Gwinto czytywał tę księgę przez wiele wieczorów. Nosiła tytuł *Opisanie wysp i morza według Dariniusa*.

– Wuju, czy on opisał tutaj wszystkie wyspy?

Gwinto pokręcił głową.

– Nie. Tylko małą część.

– Całe szczęście. Inaczej nie byłoby już nic do odkrycia...

– To nie grozi nam jeszcze przez bardzo długi czas. Większość ludzi nie chce nic odkrywać.

– Dlaczego?

– Są tchórzami. Boją się nieznanego.

Ilena i jej służąca ze śmiechem rozwijały pasma bajecznie kolorowych wstążek i przepięknych tkanin. Gwinto wybrał solidne materiały. Takie, które mogą służyć przez lata. Nie gustował w muślinach i w jedwabiu, chociaż tych również nie zabrakło wśród podarków.

– Mam jeszcze prezent dla Ravaela – odezwał się wreszcie swoim niskim głosem. – Ale chciałbym dać mu go na osobności.

– Może przejdziemy do izby na górze? – zaproponował przyjaciel.

Reszta domowników tylko skinęła głowami. Kobiety paplały bez przerwy w asyście służących, skonfundowany Tiko siedział w rogu pokoju, a Arion sprawnie składał słowa i odczytywał kolejne akapity *Opisania wysp i morza*.

Na piętrze było kilka izb. Ravael zaprosił Gwinta do niedużego, mansardowego pokoju z oknem wychodzącym na zatokę. Na pogrążonej w ciemności plaży płonęło kilka ognisk ubogich rybaków, którzy spleli sobie lepianki z moczarowej trzciny i uszczelnili je zaschniętym mułem. Przez chmury przeświecały nieliczne, zamglone

gwiazdy.

Ravael zapalił parę grubych świec na glinianych podstawkach od tej, którą przyniósł z dołu, i obaj usiedli przy niedużym stoliku.

– Chciałeś ze mną porozmawiać. – W głosie Ravaela zabrzmiała nutka zaciekawienia i niepewności. – Mów zatem, o co chodzi.

Gwinto bawił się wyszczerbioną monetą. Przekładał ją między zwinnymi palcami.

– To, co powiem, musi zostać między nami. Nie jest to nic strasznego. – Gwinto wzruszył ramionami. – Ale wymaga się ode mnie zachowania tajemnicy. Na zawsze. Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Również Ilena. No chyba, że się zgodzisz... Wtedy coś wymyślimy.

– Zgodzę się na co?

Gwinto rzucił mu bystre spojrzenie.

– Planuję wyprawę, Ravaelu. To będzie coś wielkiego. Większego, niż sobie wyobrażasz. Zarówno rejs, jak i łupy... Wszystko. Podróż jest dość daleka, ale wierz mi, warto się jej podjąć. – Oczy Gwinta rozpały się z wolna w miarę, jak wypowiadał kolejne słowa. Zdecydowanym gestem zacisnął pięść, łapiąc w powietrzu coś niewidzialnego. – Jeśli mi się uda, to będą nie tylko przygoda, nie tylko bogactwo... Również chwała, rozumiesz? Nasze imiona w pieśni... Sława bohaterstwa. Pokonanie lęków, pokonanie przesądów... Krok ku lepszej przyszłości dla wszystkich.

– Gwinto. – Ravael łagodnie położył dłoń na ramieniu mężczyzny. Był to cierpliwy dotyk dociekliwego lekarza. – O czym ty właściwie mówisz? Czego ode mnie oczekujesz?

Gerik odwrócił się w jego stronę i rozłożył ramiona gestem portowego kupca.

– Wszystko jest już zaplanowane! Wszystko gotowe! Załoga, statek, broń... Robiliśmy to wcześniej. Kiedyś mogłem ci ufać. Dlatego przychodzę do ciebie. Potrzebny mi jeszcze tylko zaklinacz pogody! Ktoś, kto wygładzi dla nas fale i przywoła wiatr, kiedy będzie go potrzeba. Najlepszy zaklinacz, jakiego znam. –

Gwinto spojrzał wymownie w oczy Ravaela. – Ktoś, kto potrafi rozkazać sztormowi jednym zaklęciem. Człowiek godny zaufania. Obdarzony magicznym darem... Wyzuty z przesądów. Potrzeba mi ciebie, Ravaelu. Ten jeden, jedyny raz. Popłynij ze mną!

W pokoiku zapadło pełne napięcia milczenie. Z dołu, spod desek podłogi, dobiegał przytłumiony śmiech Ileny.

– Wszystko, co dziś zrobiłeś i powiedziałaś, bardzo mi schlebia, Gwinto – odezwał się z wolna Ravael. – Przypomniałeś mi o marzeniach, które mieliśmy obaj, kiedy byliśmy chłopcami. Boję się, że mnie przeceniasz. To, że osiem lat temu uciszyłem burzę...

– To był biały szkwał – przerwał z naciskiem Gerk.

– Biały szkwał... To, że zrobiłem to wtedy, nie znaczy, że mogę powtórzyć to teraz. Obaj się zmieniliśmy.

– Tego się nie zapomina. Pamiętam sztuczki, jakie robiłeś z pogodą, kiedy byliśmy dziećmi. Zmienianie kształtów chmur, poruszanie nimi... Masz to we krwi! Wiesz, ilu ludzi zabiłoby za taki dar? Przez te osiem lat poznałem paru zaklinaczy pogody. Na ogień Przedwiecznych i na krew ludzi, żaden z nich nie mógłby równać się z tobą!

– Zapominasz o czymś. Wtedy, osiem lat temu, miałem kryształ. To on spotęgował moją moc.

– Pamiętam. Zatonął w zatoce, kiedy mnie ratowałeś. Magiczny kamień po twoim starym...

– Nie mów tak o nim, Gwinto. Ten odłamek był wszystkim, co zostało mojemu ojcu po przeszło dwudziestu latach niewoli w kopalni kryształów.

Gwinto pokiwał głową.

– Nie zapominałem o tamtym kryształku – rzekł, wstając.

Z wprawą odpiął szeroki na dwie dłonie skórzany pas nabijany ćwiekami. Pas był podwójny i skrywał mnóstwo kieszonek. Gwinto zaczął wyciągać ich zawartość przed

oniemiałym Ravaelem. Potem sięgnął po duże zawiniątko z dna worka – był to prosty, drewniany kuferek. Gerk postawił szkatułę na środku stołu, po czym przekręcił zamek i uniósł wieko.

Ravael wstrzymał oddech. Gwintowi udzielił się jego zachwyty. Wciąż zadziwiało go to niesamowite światło. Jakby przenikało duszę.

– Za ich posiadanie grozi śmierć – wymamrotał Ravael zdrętwiałymi wargami.

– Każdemu oprócz królewskich magów – rzucił cicho Gwinto.

Na drewnianym blacie i w otwartej szkatule płonęło mnóstwo świetlnych kryształów. Wyjątkowo subtelne i jasne, o niesamowitej, utkanej pierwotną mocą strukturze, kamienie świeciły niezwykłym, ruchliwym blaskiem, który zdawał się tętnić w ich wnętrzu. Światło było jak żywa istota. Płynęło w przestrzeni jak muzyka, jak coś, co dotyka zmysłów i przeszywa serce.

– Nie na darmo powiadają, że Kryształ powstał, kiedy okrzepla pierwotna, twórcza Iskra. Głęboko we wnętrzu Ziemi. Mówią, że to skamieniały płomień... – wyszeptał Ravael. – Zastygły na wieki ogień, do którego mają prawo tylko bogowie.

– Nie parzy. – Gwinto uśmiechnął się krzywo, choć jego oczy zachowały wyraz głębokiej zadumy. Sięgnął po wyjątkowo piękny, seledynowy kamień i wręczył go Ravelowi. W ręku przyjaciela kryształ rozpałił się gwałtownie. Kaskady blasku wypełniły izbę.

– Widzisz? – mruknął zdumiony Gwinto. – Wyczuwa cię... Reaguje na twoją moc. Ty mógłbyś oszukać sam siebie, Ravelu, ale kryształ nie kłamie.

Ravael z fascynacją obracał świetlisty kamień w dłoniach. Czuł ciepło bijące od skały jak od żywej istoty. Pulsowanie mocy w opuszkach palców... Niesamowite mrowienie w dłoniach, które zaczęło ogarniać całe jego ciało... Czuł, jak szybko krąży krew, pulsują żyły. W jednej chwili ogarnął myślą całą złożoność własnego ciała, zobaczył jego przeszłe i przyszłe choroby. Nagle ujrzał swojego syna, Ariona, dorosłego, w odległej przyszłości... *Mogę wszystko* – przemknęło mu przez myśl. *Z tym kamieniem*

mógłbym zrobić wszystko...

Przestraszył się własnej reakcji. Raptownie odłożył kamień do szkatuły i zamknął jej niepozorne, drewniane wieko. Opadł na krzesło, nie odrywając wzroku od pozostałych odłamków.

– Jak to możliwe? Skąd je masz? – spytał gorączkowo. – Świetlne kryształy... Powiadają, że nie sposób przedrzeć się do królewskich kopalni. Można trafić tam tylko w kajdanach... Przecież mają do nich prawo tylko król i magowie. Spotkałeś kogoś, kto przeżył, choć ośmielił się ich zdradzić?! Jakiegoś handlarza niewolników?

Gwinto przypatrzył mu się uważnie.

– Nienawidzę handlarzy niewolników. Zabijam ich. Patroszę jak ryby – zamilkł na chwilę. – Te kryształy nie pochodzą z kopalni.

– Więc skąd?!

Gwinto popatrzył za okno, na zatokę.

– Istnieją inne sposoby – mruknął tajemniczo. – Inne skarbcce, groty, jaskinie... Takie, które czekają na odważnych ludzi. Gotowych wydrzeć moc kryształów nie drogą niewolnictwa, nie drogą tyranii i wyzysku, ale aktem szaleńczej odwagi. Jesteśmy liczni, Ravaelu. Coraz liczniejsi. Żyjecie tutaj odcięci od świata, a nasza sława zaczyna obiegać wybrzeża Crystallum. Rośniemy w siłę. Zdobywamy kryształy własnymi rękami. Własną krwią.

Ravael zmrużył oczy, w których odbijało się światło kamieni, próbując pojąć sens tych słów. Tajemniczy ton Gerka niepokoił go coraz bardziej.

– O czym ty mówisz?

Gwinto nadal spoglądał w ciemność, ku morzu.

– Widziałem przed domem kaganek z płomieniem zapalonym na ofiarę skrzydlatym bogom – szepnął. – Moja siostra jest religijną kobietą. Wpili jej to babka i królewski kaznodzieja. Królewscy magowie zaszczepiają nam wiarę w bogów ognia, kiedy jesteśmy dziećmi. Nasz rozum nie jest wtedy ukształtowany.

Ravael lekko wzruszył ramionami.

– Gwinto, przecież nieraz sami widzieliśmy bogów. Wysoko na niebie. Albo kiedy szybowali nad falami...

Gerik zawahał się.

– Mówią nam, że Przedwieczni bogowie ognia strzegą kryształów, odłamków pierwotnej Iskry. A jednocześnie sami wydrapują je z brzucha Ziemi rękami niewolników. Wiesz, czemu to robią?

Ravael mógłby udzielić mnóstwa odpowiedzi. Może właśnie dlatego, że w jego głowie zaczęło kłębić się zbyt wiele myśli, machinalnie zaprzeczył. Usłyszał niski, zapalczawy szept Gwinta.

– Magowie sami chcą stać się bogami! Powiem więcej: uważają się za bogów! Sądzą, że mają wyłączność na bogactwo, na władzę, na magię. Wiesz, co jest w tym najgorsze? Że w pewnym sensie mają rację. Nie ma różnicy między człowiekiem a bogiem. To tylko kwestia odwagi.

– Błędnie – stwierdził spokojnie Ravael.

– Nie tym razem. Przedwieczni... Smoki, jak ich nazywają... Oni wcale nie są bogami. To istoty strzegące kryształów. Istoty takie jak ty i ja. – Gwinto odwrócił się i chwycił przedramię Ravaela. – Śmiertelne. Stworzenia z ciała i krwi. Można je zabić.

Ravael z napięciem wpatrywał się w ogorzałą twarz swojego przyjaciela z dzieciństwa. To był ten chłopiec, z którym budował żagłówki, któremu opatrywał złamaną rękę. Starszy brat Ileny. Te same niebieskie oczy, prosty nos, hardo zaciśnięte usta. A jednak zmienił się. Tak bardzo się zmienił. Nie do poznania.

Ravael przez chwilę starał się odpędzić od siebie ponure olśnienie. Odegnąć je, cofnąć słowa, zamrozić myśli. Wbity w ziemię, skołowany, przełknął prawdę jak wielki, ciężki, śliski kamień, który opadł i rozgniółł mu pierś. Odsunął rękę i ze zgrozą cofnął się o krok.

– Chcesz mi powiedzieć, że te kryształy... zostały skradzione Przedwiecznym?

Gwinto powoli skinął głową.

– Co do jednego.

Ravael nie mógł w to uwierzyć. Gwinto odczekał chwilę i zaczął wyjaśniać:

– Znamy miejsca, w których żyją smoki. Skaliste wyspy pełne jaskiń. Wyspy, które są szczytami zatopionych gór z czasów, gdy Iskra dopiero okrzepła. – Jego oczy zalśniły w półmroku jak monety na dnie mrocznej studni. – Tamte wybrzeża są wyjątkowo zdradliwe, lecz dobry żeglarz z dzielną załogą i zaklinaczem pogody zdoła przybić do nich bez szwanku. Potrzebne są miecze i harpuny z aratrańskiej stali. Znam wielorybników, którzy polują na smoki równie sprawnie jak na walenie.

Ravael przeciął ciemność rozcapierzoną dłonią.

– Przestań. Czy ty w ogóle słyszysz, co mówisz?

Gwinto ujął go za ramiona.

– Wiem, jak to brzmi. To wszystko szczerą prawdą. Mnie również było ciężko zrozumieć. Ale przekonałem się. Wiele widziałem. Długo by opowiadać. Uwierz mi, sprawiedliwość jest na wyciągnięcie ręki. Z dala od ucisku...

– Żyjemy tutaj z dala od ucisku!

– Czyżby? – Gwinto Gerk zmrużył oczy z powątpiewaniem. – Nawet jeśli, to już niedługo. Życie tu waszym małym życiem tak spokojnie tylko dlatego, że jak dotąd ludziom króla nie udało się osuszyć moczarów. Tylko one odcinają Deltę od reszty kraju, od miejsc pogrążonych w niewolnictwie maluczkich i w rozpasanej tyranii magów. Nie wiecie, co się dzieje na innych wybrzeżach, bo nie ma tu nawet prawdziwego portu – prychnął Gerk. Było coś jątrzącego w jego tonie.

– Ty za to stałeś się bardzo światowy – odparł Ravael z niespodziewaną złością. Zacisnął dłoń, w której przedtem trzymał kryształ. Co się z nim dzieje? Czy to przez moc kamieni reaguje tak gwałtownie? – Tak światowy, że bez wahania mówisz o zabijaniu bogów!

– To nie bogowie, Ravaelu. Król i magowie każą nam w to wierzyć. Przedwieczni to

skrzydlate, ziejące ogniem stwory, strzegące przed ludźmi kryształów równie zachłannie, jak król i jego magowie. Nasza ślepa wiara pomaga im zachować moc i bogactwo wyłącznie dla siebie.

Ravael z niedowierzaniem potrząsnął głową.

– Naprawdę ich zabijacie? Naprawdę w ten sposób zdobyłeś te kryształy?

– Naprawdę.

Ravaela przeszył lodowaty dreszcz. Oparł rękę o brzeg stołu, na skórze poczuł ciepło skamieniałych odłamków Iskry. Lizało mu dłoń.

– Pomyliłeś się co do mnie, Gwinto – szepnął i skupił skołatany wzrok na bezcennych kamieniach. – Nie możesz na mnie liczyć. Nie wezmę udziału w tej wyprawie.

W izbie zawisła przytłaczająca cisza. Unoszące się w powietrzu pyłki rozbłyskiwały jak iskry krzesane zniewalającym, migotliwym blaskiem, który rozcinał ciemność wieczoru niby ostrza zawieszzone między dwoma mężczyznami.

– To twoje ostatnie słowo? – spytał po chwili Gerk, trącając dłonią kapelusz.

Ravael skinął głową. Gwinto ruszył do drzwi.

– Zabierz kryształy. – Dobiegł go głos Ravaela.

– Są twoje. Tak jak mówiłem: wróciłem spłacić dług. Te kryształy za tamten, który straciłeś, gdy ratowałeś mi życie.

Ravael odwrócił się gwałtownie.

– Spłacić dług?! – wykrzyknął, nagle uniesiony gniewem. – Ratowałem cię, bo byłeś moim przyjacielem! Ani wtedy, ani teraz nie liczyłem na żadną zapłatę! A tym bardziej nie myślałem, że zrobisz coś takiego!

– Czyli co, do stu tysięcy demonów?!

– Zjawiasz się tu po latach nie wiadomo skąd! Nie wiedzieliśmy nawet, czy żyjesz! Przychodzisz do mojego domu, dajesz podarki bliskim, a wszystko po to, by na końcu wnieść tu te przeklęte, splamione krwią kryształy! Ugościłem cię jak brata, a ty

odpłacasz się herezją i bluźnierstwem! Czy naprawdę sądziłeś, że przyjmę dar okupiony krwią samych Przedwiecznych?! Dar, który bezcześci wszystko, w co wierzyłem?! Miałbym się tak zhańbić? Skalać się tą krwią?! Postradałeś zmysły, Gwinto?! Kim ty jesteś? Teraz stałeś się zabójcą bogów?!

W zwężonych oczach Gerka zapłonęły złe błyski.

– Jestem tym, kim ty zawsze bałeś się być! Miałeś dar, miałeś wszystko, lecz wolałeś gnić tutaj! Niech tak będzie! Zostań i dalej żyj sobie jak tchórz!

– Zabierz te kryształy!

– Zrób z nimi, co chcesz!

– Zabieraj je!

Ravael potężnym machnięciem zmiotł wszystko ze stołu. Ciężka szkatuła grzmotnęła o ziemię i otworzyła się – na podłogę wypadło mnóstwo mieniących się kamieni, które odskoczyły z ciężkim brzękiem we wszystkich kierunkach. Pozostałe kryształy łupnęły o deski i poturlały się z grzechotem w róg pokoju. Zostawiły na swej drodze mieniające refleksy. W tej samej chwili drzwi otwarły się na oścież, po tym jak ktoś wymierzył w nie potężne kopnięcie. Do środka wparował Tiko. Rękę zaciskał na rękojeści krzywego miecza, który wysunął ze zgrzytem z pochwy przypiętej do pasa ze stalowymi guzkami. Szeroko rozstawił stopy i ramiona. W dziwnej mozaice mroku i światła – ożywionych, wypełzających z zakamarków cieni, które rozbiegały się we wszystkich kierunkach – zaskoczony Ravael ledwie go rozpoznał. Za to Tiko w okamgnieniu ocenił sytuację.

– Wszystko w porządku, kapitanie? – zwrócił się do Gerka, nie opuszczając miecza.

W rozedrganym od refleksów półmroku Gwinto i Ravael zmierzyli się wzrokiem.

– Tak – rzucił Gerk. Wcisnął mocniej kapelusz, tak że jego twarz znowu pokrył cień. – Już wychodzimy.

Tiko przepuścił go w drzwiach i ruszył za nim marszowym krokiem.

– Kapitanie? – powtórzył szeptem Ravael, marszcząc brwi.

Kiedy dwaj żeglarze schodzili po skrzypiących schodach, w izbie na dole zapadła cisza. Kobiety, chudy służący i Arion zastygli wśród rozwiniętych tkanin, wstążek i rozrzuconych dookoła błyskotek, które lśniły ogniście w odblasku paleniska. Arion obserwował wuja z głęboką powagą, podczas gdy twarz Ileny, nagle zgnębiona i niepokorna, przypominała buzię dziecka, które nie wie, czy powinno się rozplakać.

Gwinto podszedł do niej po prostu, objął ją szerokimi ramionami i pocałował w czubek głowy.

– Odpływam. Nie wiem, kiedy się znowu zobaczymy – oznajmił, przesunawszy wierzchem palców po jej policzku. – Dbaj o siebie, siostrzyczko. – Potem szybko, w drodze do drzwi, pochwycił Ariona i przycisnął go do piersi. – Opiekuj się moją siostrą, chłopcze. I pamiętaj, że masz wuja – rzekł, poważnie spoglądając chłopcu w oczy, po czym mrugnął do niego porozumiewawczo.

U szczytu schodów pojawił się Ravael. Obserwował rozgrywającą się scenę w ponurym milczeniu.

– Co się stało? – spytała na jego widok Ilena. Naprawdę nie rozumiała, o co chodzi. – Możecie mi to wytłumaczyć? – skierowała to pytanie do męża, jakby nie śmiała zadać go bratu. A może była przekonana, że i tak nie otrzyma od niego odpowiedzi. Gwinto zawsze miał swoje sekrety. Nikt nie strzegł ich równie zazdrośnie.

– Gwidon musi już nas opuścić. Wzywają go pilne sprawy – wyjaśnił Ravael znużonym tonem.

– Pilne sprawy?! – Ilena podbiegła do brata, kiedy ten maszerował do drzwi. – Gwidonie... – szepnęła błagalnie, niepewnie zastępując mu drogę. – Co może być teraz ważniejsze od paru dni w rodzinnym domu? Ważniejsze... ode mnie? Nie zdążyłam ci nawet przygotować posiłku na drogę. Wędzonka, ciasto z tuvangów, marynowane gruszki... Zaczekaj chociaż godzinę!

Gwinto uciekł spojrzeniem w pustkę i potrząsnął głową.

– Nie mogę. Nie sądzę, by twój mąż sobie tego życzył.

– To również mój dom! – zawołała Ilena nad jego ramieniem do Ravaela. Zdumienie i złość zarumieniły jej policzki. Na potwierdzenie swoich słów lekko tupnęła nogą. – A Gwidon jest moim rodzonym bratem! Wyjaśnijcie mi, co się stało! – Uchwyciła się ramienia Gwinta. – Nie możesz odpłynąć w gniewie. To przynosi nieszczęście. – Próbowała błagalnym wzrokiem wykrzesać jakąś iskrę z jego obojętnego, z pozoru pustego spojrzenia. Gdy dotrzegła, że nic nie wskóra, odsunęła się i już bez nadziei zwróciła się znowu do męża: – Ravaelu! Powiedz mu! Powiedz mu, żeby został!

Ojciec Ariona zaczął wolno schodzić po schodach. W tej samej chwili Gwinto Gerka zniknął w drzwiach i tylko Tiko, zanim go dogonił, ukłonił się krzywo gospodarzom.

– Wierz mi – szepnął Ravael, obejmując ciemnowłosą kobietę ramieniem, by pokonać jej nagłą oziębłość. Jej niebieskie oczy zaszyły łzami szybciej, niż tego pragnęła. Ilena potarła je piąstkami jak mała dziewczynka. – Gdybyś wiedziała, co zamierza twój brat, nie chciałabyś, żeby tu dłużej został. A zwłaszcza żeby miał kontakt z naszym synem.

Wzdrygnęła się. Razem patrzyli w ciemność nocy za rozplywającym się cieniem. Nie wiedzieć czemu pomyślała, że widziała swojego brata po raz ostatni. To nagle, straszne przeczucie zdławiło w niej resztki łez.

2.

Cień Gwinta Gerka rozplynął się w nocy i w gęstniejącej mgle, która falowała w narastających podmuchach wiatru od morza. Drzwi po wyjściu gościa pozostały otwarte, jak gdyby nikt nie miał odwagi ich za nim zamknąć. Wpadające do domu powietrze miało eteryczny zapach nadciągającej burzy. To sprawiło, że Arion zapragnął wyjść na zewnątrz, żeby chłonać wiatr i czekać na pojawienie się błyskawic.

Ich płomieniste zygzaki miały urok potęgi i niebezpieczeństwa, wprawiający chłopca w cudowną ekscytację, ale nic nie mogło się równać z dzisiejszą opowieścią wuja o ujarzmieniu białego szkwału. Ta krótka historia poruszyła całą wyobraźnię Ariona. Przez jeden straszny moment zmagał się ze sobą, czy nie wybiec za Gwintem, nie prosić go, żeby został... Po tym jak ich gość odszedł, w mniemaniu Ariona przygody już zawsze miały omijać ten kawałek świata.

Ojciec i matka stali długą chwilę w skrzypiących cicho, otwartych drzwiach. Wymieniali szeptem jakieś słowa, które – czuł to – nie były przeznaczone dla jego uszu. Wbiegł po schodach za ich plecami, bezszelestnie jak duch. Instynktownie odszukał miejsce tajemniczej kłótni, które zachowało ostatnie ślady bytności wuja, ostatnie, dalekie tchnienie przygody, o której marzyła chłopięca dusza.

Skręcił w wąski korytarz łączący izby na piętrze. O tej porze przypominał on tunel. Nieduże, mansardowe okno na jego końcu wpuszczało noc. Gałązki drzewa lempe trzepotały o nie coraz silniej. Poniżej, na podłodze, rysowała się luna. Arion podszedł powoli. Wąska szczelina u dołu zamkniętych drzwi przy okienku jarzyła się ciepłym błękitem. Arion przestraszył się nagle, że w środku coś zajęło się ogniem. Nacisnął klamkę i stanął w progu. Zdał sobie sprawę, że dopiero po długiej chwili wypuścił z płuc powietrze. Tylko po to, żeby znowu wstrzymać oddech.

Niepewnie wszedł do środka. Pozwolił, by ogarnęła go gra światła, półcieni i rozbłysków, sączących się mieniącymi strużkami z niedomkniętej szkatuły stojącej na stole. Arion uniósł jej wieko. Światło rozlało się po izbie łagodnymi falami, dobywając z mroku kształty i barwy, jakich chłopiec nigdy nie byłby w stanie wyśnić. Arion śmiał się i chwycił je rękami. Kiedy odważył się wreszcie sięgnąć po jeden z kryształów, doznał wrażenia, że ciepłe, łaskocące iskry osiadają na jego skórze niby mnóstwo muskających go motyli. Czas się zatrzymał, gdy ważył kryształ w dłoniach, obracał je i odkładał, żeby obejrzeć znowu. Nigdy nie widział nic równie jasnego i mrocznego zarazem. Kamienie były przezroczyste jak powietrze, jak źródłana woda albo jak

światło, ale ich struktura, ich oszałamiająca, wewnętrzna geometria, zapadała się sama w siebie, przełamana, w niemożliwą głębię. Gdy Arion zaglądał do wnętrza kryształu, czuł się, jak gdyby spoglądał w bezdenną studnię, otchłań tak zagadkową, że aż straszną. Chłopiec patrzył w kryształ tak długo, jak się dało, lecz w końcu musiał odwrócić wzrok, zdławiony tajemniczym, pierwotnym lękiem.

*

Nogus Peris dostrzegł z daleka ten sam blask co Arion, ale nie poczuł niczego, co w jego mniemaniu przypominałoby strach. Po prostu zastygł ze zmrużonymi, skupionymi oczyma, jak drapieżny zwierz, który niespodziewanie zwietrzył trop, lecz jeszcze nie jest pewien, czy opłaca się za nim podążać. Światło zamigotało nad wzburzonymi dywanami mgieł i moczarowych wyziewów niczym delikatna fatamorgana. Kilku z jego ludzi, świeżo zatrudnionych, gburowatych najmitów z Deltę, wykonało zaklinające gesty, sądząc najwyraźniej, że to zjawą. Za plecami Nogusa przebiegł niewyraźny szmer. Mlaskanie wielu par ciężkich butów na podmokłym podłożu ucichło.

– Duch jakiegoś topielca – zauważył ktoś w mroku i głośno splunął, wskazując ręką na nieprzeniknione bagna po jednej stronie grobli.

– Widziałem już takie duchy – rzucił Peris. – Wcale nie tak łatwo je zatopić.

Poczuł, że oczy zaczynają mu łzawić. Wiedział, że na źrenicach ma teraz odbłask nieziemskiego światła. To wprawiło w przerażenie najbliższego najmitę. Peris powstrzymał złowrogi, niecierpliwy uśmiezek i pociągnął za kołnierz wystraszonego przewodnika, drobnego, zaszczutego człowiczka, który przyświecał im z przodu osmoloną latarnią, dygocącą w jego ręku jak osika. – Żwawiej! Ruszaj się! Idziemy!

*

– Arionie!

Głos ojca, surowy, lecz zmiękczone jakimś wyrzutem lub troską, dobiegł jego uszu

chwile po tym, jak usłyszał skrzypnięcie deski w progu izby. Skrzypnięcie ostrzegło go i jednocześnie nakazało ukryć kryształ – mały odłamek, przez który obserwował morze za oknem jak przez niezwykłą soczewkę, malującą mrok nocy nieziemskimi barwami. To był nagły, przemożny odruch. Silniejszy od niego. Odruch, którego chłopak sam się nie spodziewał. Prędko wsunął kryształ do mieszka z ziołami, który nosił na rzemyku na piersi. Matka kazała mu zawsze mieć woreczek przy sobie – na wszelki wypadek.

Ravael wszedł do środka, onieśmielony tym, że zastał tu syna. Podszedł i objął chłopca ramieniem. Kryształ zaciążył na piersi Ariona. Miał ochotę cofnąć się w mrok, w róg pokoju. Zaczynały piec go końce uszu i bał się, że lada chwila pokryją się wstydliwym szkarłatem.

– Usiądźmy – szepnął Ravael, wskazując mu miejsce po drugiej stronie stolika.

Arion zajął wyplatane krzesło. Ojciec spojrzał mu w oczy i ruchem głowy wskazał leżącą między nimi szkatułę. Kipiła światłem które padając od dołu, zacieniło rysy jego twarzy i odkryło niewidoczne dotąd zmarszczki.

– Nie powinieneś być jej otwierać – powiedział łagodnie. Delikatnie zamknął wieko. Pokój znów pogrążył się w ciepłym, nagim półmroku, kołysanym chybotliwymi płomykami świec.

– Dał ci je wuj Gwinto, prawda? – spytał Arion. – Mówił, że przyplynał, żeby spłacić dług.

Ravael skinął głową.

– Chciał okazać mi wdzięczność, ale zrobił to w niewłaściwy sposób.

– Niewłaściwy? Ojczy, to przecież świetlne kryształy! – Arion zamrugał błękitnymi oczyma o gęstych, brązowych rzęsach. – Nigdy nie mieliśmy nic równie cennego! Ludzie mówią, że w nich jest magia. A ty... Ty mówisz o nich tak, jakby wcale ci na nich nie zależało. To jest przecież najprawdziwszy skarb!

– Wierzę, że skarby powinno się zdobywać w uczciwy sposób, Arionie.

Zapadła głucha cisza. Chłopcu mocniej zabiło serce. Czy ojciec wie?! Wie, że on właśnie zabrał kryształ?

– Ojczy, przecież król i magowie robią z ludzi niewolników, żeby pracowali dla nich w kopalniach – zauważył z pewną dozą nieśmiałości, powodowanej tłącym się nadal wyrzutem sumienia. – Sam mówiłeś, że nie ma nic gorszego... Co niby mógłby zrobić wuj Gwinto?

Arion przestraszył się nagle urazić ojca - kogoś, kto do tej pory był autorytetem znającym odpowiedzi na wszystkie pytania. Pierwszy raz w życiu chłopiec zobaczył, że Ravael się waha. Był rozbity. Był zagubiony. Chłopiec poczuł zimną drzazgę prawdy w swoim sercu. Już nie widział w tym mężczyźnie ostoi zrozumienia i wiedzy. Krótka wizyta wuja zburzyła niewzruszony mur pewności i zaufania, chroniący przed całym światem relację ojca i syna.

– Nie zrozum mnie źle, Arionie. Twój wuj to dobry człowiek. Zawsze pod maską pozorów skrywał złote serce. Twoja matka bardzo go kocha. Gwinto i ja byliśmy przyjaciółmi; takimi, jakich miewa się raz w życiu. Ale nasze drogi się rozeszły. Wybrał inne życie. Na morzu. Bardzo brakuje mi Gwidona, wiesz? Jednak przeszłości nic nie wróci.

– Powiedziałeś mi to?

– Co?

– Że ci go brakuje. Matce również. Może wtedy on odwiedzałby nas częściej. Może myśli, że o nim zapomnieliście. Albo że masz teraz nowych przyjaciół, których wolisz od niego.

Ravael uśmiechnął się gorzko i pokręcił głową.

– Nigdy nie miałem takiego przyjaciela jak Gwinto.

Arion rzucił mu łobuzerski uśmiech.

– Nawet mnie? – spytał, lekko mrużąc oczy.

– Oczywiście, że nie! – zapewnił ojciec ze śmiechem, po czym wstał. – Ty to

całkiem inna historia. My dwaj będziemy przyjaciółmi na zawsze. Nic nigdy nas nie rozdzieli!

Ravael przycisnął do piersi syna i chłopiec poczuł jego mocne, krzepkie ramiona oraz bijące od niego ciepło. Kiedy się od siebie odsunęli, ojciec sięgnął do stołu i otworzył niespodziewanie drewnianą szkatułę.

– Psssst... To będzie nasza tajemnica – szepnął, mrugnawszy okiem. – O świcie zamierzam wypłynąć łodzią do zatoki i zatopić w morzu ten kuferek. Ale mimo wszystko jest to dar od twojego wuja i nie godzi się nic z niego nie zachować. Możesz wybrać jeden świetlny kryształ. Tylko jeden. Zatrzymasz go dla siebie, ale nie mów o nim nikomu w miasteczku. Ludzie bywają zazdrośni o takie rzeczy.

Arion skinął głową i przełknął ślinę.

– Obiecuję.

Wahał się długą, bardzo długą chwilę. Wyciągał kamienie i znów je odkładał. W końcu zdecydował. Kryształ był bladozłoty, o niezwykle skomplikowanej strukturze, połyskliwy. W środku zdawał się tlić ogień. Ravael skinął głową na znak aprobaty, jakby patrząc na syna, dokonywał w myślach własnego wyboru, na który sam nigdy nie potrafił się odważyć. Po chwili izbę znowu ogarnęła ciemność oraz pełna namaszczenia cisza. Za oknem, w oddali, niebo rozdarła błyskawica i drobne krople deszczu uderzyły o dach. Ravael uchylił drzwi, dając znak, że powinni udać się na spoczynek. Wówczas z dołu dobiegł ich stukot, a potem skrzypnięcie drzwi i cichy, stłumiony pisk Ileny.

– To wuj Gwinto! – zawołał uradowany Arion. – Wiedziałem, że wróci! Zobaczysz, teraz wszystko sobie wyjaśnicie! – zapewnił, po czym wyprzedził ojca i pobiegł ku schodom na spotkanie wuja.

Obszerną, dolną izbę domu rozświetlały tylko tłące się palenisko oraz pojedyncze ogarki świec. Ich płomyki pochylały się w powiewie burzowego wiatru, wpadającego przez otwarte drzwi. Płócienne zasłony w oknach falowały. Gdy Arion zbiegał ze schodów, ujrzał cień matki w objęciach barczystego mężczyzny w kapturze. Ilena była

odwrócona tyłem. Mężczyzna mocno przyciskał ją do swojego ciała.

– Wuju Gwinto! – zawołał Arion i podbiegł do nich.

Lodowaty głos, który dobiegł wraz podmuchem wdzierającego się wiatru, zmroził mu krew w żyłach.

– Stój!

Arion stanął w miejscu jak wryty. Nie rozumiał, o co chodzi. Czas nagle rozciągnął się w jego świadomości. Matka cofnęła się o krok, pchnięta samą ciemnością, po czym odwróciła się gwałtownie, niczym papierowa lalka, którą omiótł lodowaty podmuch. Nadal obejmowały ją spowite czarną peleryną ramiona. Jedno z nich wykręcało jej rękę do tyłu, drugie przyciskało do szyi ostry, lśniący nóż. Miała rozkrwawione, zaczerwienione usta, jakby ktoś długo wyciskał na nich drapieżny, zwierzęcy pocałunek. Nad jej skronią tkwiła zakapturzona twarz, niczym ukryte w mroku widmo. Pod kapturem rozblęły zimne, jarzące się oczy o niespotykanym, bladym, niemal srebrnym kolorze. Te oczy coś przypominały. Kamień. Kryształ. Taki jak ten, który skrywał w woreczku na piersi.

Ten człowiek przyszedł po mnie!

– Do środka! – zawarczał zimny głos. Brzmiał nisko i chropowato, jak rozdzierany papier.

Do domu wlewała się teraz chmara zakapturzonych ludzi w ciemnych płaszczach, pod którymi tkwiły pikowane kaftany. Ostatni z nich zaryglował wejście. Arionowi zdawało się, że śni. Nie mógł oderwać nóg od podłogi, wykręcił się więc tylko za siebie w poszukiwaniu ojca.

Zobaczył, jak Ravael, będący w połowie schodów, sięga ku ścianie po wiszący na niej płaski harpun. Powietrze rozdarł krzyk Ileny. Ktoś wycelował miecz w ojca, wyrzaskując urwaną groźbę. Zdławił ją błysk przecinający czas i przestrzeń. Jeden z ludzi z wielką siłą rzucił nożem. Niezwykłe, obosieczne ostrze zawirowało w powietrzu jak kołowrotek. Przeleciało Arionowi tuż koło ucha i napełniło głowę cichym świstem,

który przypominał piekielny szept.

Chłopak nie rozumiał, co chciała wyszeptać mu śmierć, na próżno ścigał jej gasnące słowa. Błyskawicznie odwrócił za nią głowę i zobaczył, jak nóż gładko zagłębił się w szyi ojca, ześliznął po obojczyku i zniknął po drugiej stronie.

Ravael zacharczał, unosząc drgające dłonie do rozharatanego gardła. Natychmiast zalała mu je ciepła krew. Harpun wypadł z jego ręki, ciężko zabręczał, załomotał na schodach. Krew trysnęła, była świeża i jasna. Mężczyzna wywrócił oczyma. Zatoczył się i runął w dół. Bezwładnie zsunął się po kilku stopniach.

– Ojczel!!!

Arion znalazł się przy nim, nie wiedząc jak, lecz ktoś wykręcił mu ręce i mocno szarpnął go w tył. Chłopak kopał, wił się i gryzł, nie zważając na ból. Miał wrażenie, że świat zasnuła czerwona ciemność, że powietrze jest gęste i mętne jak stojąca woda, w której rozprzestrzenia się krew. Nie czuł nic. Nie wiedział nawet, co się dzieje. Widział tylko ojca rozwleczonego na schodach. Z jednego stopnia zaczynała ściekać szkarłatna strużka. Widział, jak Ravaelem trzęsły jeszcze słabe konwulsje, mimo że szyję rozpruł mu nóż, a ramię miał przebite nieszczęsnym harpunem. Oczy zgasty.

Jakiś cień pochylił się nad ciałem i przybliżył zabrany ze stołu kandelabr. Spojrzał na zastygłą, pokrytą plamkami krwi twarz miejscowego uzdrowiciela.

– To nie Gerk – oznajmił złym głosem, w którym obok zimnej obojętności zabrzmiało rozczarowanie. – Sprawdźcie na górze! Jazda!

– Panie, zabiliśmy nie tego człowieka – zauważył ktoś z wahaniem, podczas gdy kilku ludzi wbiegało po schodach, nie przejmując się leżącym na nich trupem. Pod kapturami Arion nie odróżniał tych wszystkich twarzy. Oprócz jednej. Tej z upiornymi oczami, które płonęły w mroku niczym dwa świetlne kryształy. To do niej należał niski głos.

– Walka z heretykami wymaga poświęceń. Bądź pewien, że król się na to godzi. Ten

człowiek był jego poddanym, a ten dom jest gniazdem herezji. Nie wątp w to!

Arion zrazu nie zrozumiał znaczenia tych słów. Zorientował się tylko, że matka zemdląa, a człowiek o kryształowych oczach wypuścił ją z uścisku, ułożył na podłodze i oparł o ścianę. Ilena była śmiertelnie blada, ale oddychała płytko i równomiernie. Człowiek wydający rozkazy nagle zmierzył Ariona przenikliwym, jarzącym się spojrzeniem. Niespodziewanie, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z obecności chłopca, odpiął z ramion długą, czarną pelerynę i przykrył nią, jak całunem, zwłoki ojca. Dopiero wówczas Arion zobaczył wyraźnie znajdujące się na czarnym materiale symbole. Był tam stojący na tylnych łapach smok o podwójnie splecionym ogonie i oko, które zamiast powieki otaczało skrzydło. Znak króla i tajemnej wiedzy jedynych magów. Arion poczuł, że do końca życia nie zapomni tych symboli. Nieważne, jak długo to życie będzie trwać.

Z piętra dochodziły odgłosy wyważanych drzwi, tłuczonych naczyń i przewracanych sprzętów. Człowiek, który trzymał Ariona, skrępował mu ręce za plecami i puścił chłopaka, reagując błyskawicznie na krótkie skinienie przywódcy grupy.

– Wygląda na to, że tylko z tobą mogę porozmawiać – oznajmił zimno Nogus Peris, przechadzając się wolno między kominkiem a stołem. Wysokie buty ze skóry łosia, które miał na nogach, były zabłocone aż po cholewy.

Arion zdał sobie sprawę, że ci ludzie musieli przedrzeć się tu przez moczary.

– Ci głupcy na górze robią tyle hałasu, że Gerk usłyszałby ich, będąc parę mil morskich od brzegu. – Peris pokręcił głową zniesmaczony. – Wiesz, o kim mówię, prawda?

Arion nie odpowiedział. Potrafił teraz myśleć tylko o nieżyjącym ojcu i o matce, która nadal nie odzyskiwała przytomności. Ci ludzie są wysłannikami króla. Nikt w miasteczku ich przed nimi nie obroni. Nikt nie ośmieli się...

– Odpowiadaj, kiedy zadaję pytania!

– Dlaczego chcesz ze mną rozmawiać, panie? – spytał Arion impulsywnie, pierwszy

raz w życiu czując, jak od wewnątrz ogarnia go lodowaty płomień czystej nienawiści.

Nogus Peris patrzył na stół.

– Ponieważ twój ojciec nie żyje, a matka jest nieprzytomna. Jesteś jedyną rozważną osobą w tym pokoju i jedyną, która ma coś do stracenia. – Peris nieznacznie skinął głową w stronę oddychającej płytko Ileny, a Arion pojął, że w tym gościu mieści się groźba tym straszliwsza, że prawie przypadkowa i nieskończenie obojętna. – Ponadto jesteś stanowczo zbyt młody, żeby kłamać. To umiejętność, którą zyskuje się z wiekiem. – Peris sięgnął po leżącą na stole książkę. Przez chwilę kartkował ją z zainteresowaniem w pomarańczowym odblasku kominka. – Wyjątkowo rzadkie i cenne wydanie. Oprawione w skórę morskiego węża – zauważył, dotykając wypukłych łusek na grzbiecie tomu. Połyskiwały jak ciemne perły. – *Opisanie morza i wysp według Dariniusa*. Pewnie nie powiedział ci, że tylko kapitanowie królewskiej floty mają prawo posiadać to dzieło. Znajduje się na królewskim indeksie – mruknął, po czym cisnął książkę w ogień. Kurczyła się i ciemniała powoli, trzepocąc konwulsyjnie skrzydełkami wypełnionych drobnym pismem stron.

Arion patrzył, jak trawi ją płomień.

– Dlaczego?

Peris zmarszczył brwi, nie rozumiawszy pytania.

– Dlaczego tylko kapitanowie królewskiej floty mają prawo posiadać tę książkę? – powtórzył chłopiec.

Jego głos należał teraz do kogoś obcego. Do kogoś, kto był daleko stąd, poza nocą i strachem. Do kogoś, kto nie przyjmował lęku do wiadomości, kogo ojciec nigdy nie umarł. Arion zdziwił się tym, co powiedział. Ravael nie żył. On i matka mogli w każdej chwili zginąć, a jedyne słowa, jakie świadomie przyszły mu do głowy, dotyczyły tej głupiej książki, której nawet nie zdążył dokładnie przejrzeć.

Nie mógł wiedzieć, że na Perisie wywarło to niejake wrażenie. Był czas, że Nogus Peris ponad wszystko cenił wiedzę, a opanowanie, któremu przypisał pytanie Ariona,

szczupłego chłopca klęczącego obok ciała ojca, przypomniało mu niejasno coś z dawnych lat. Stare wspomnienia były jedną z niewielu rzeczy, które poruszały jeszcze jego wrażliwość. Dzięki nim Peris potrafił wciąż myśleć o sobie jak o człowieku nie całkiem pozbawionym skrupułów i serca.

– Bo tak jest lepiej – syknął zimno, grzebiąc wahanie pod lodowatą maską pychy. Nosił ją zbyt długo, zbyt uparcie dążył do celu, zbyt rzadko rozmawiał z ludźmi i wyjawiał innym swoje myśli, żeby udzielić innej odpowiedzi. – A teraz pozwól, że to ja będę zadawał pytania. Gdzie jest Gwidon Gerk?

Arion pokręcił głową.

– Nie wiem.

– Obaj wiemy, że tu był, prawda? Kiedy?!

Arion niepewnie przytaknął.

– Parę dni temu – bąknął niewyraźnie. – Kiedy był przypytyw.

– Kłamiesz!

Nogus Peris zacisnął palce na jego podbródku jak kleszcze.

Chłopak wytrzymał jego jarzący się wzrok. Właściwie to nie potrafił oderwać od niego oczu. Znowu poczuł przeszywającą go nienawiść. Czysty, bolesny gniew zdruzgotanej sprawiedliwości. Chłopiec, którym był aż do tego wieczora, stał gdzieś obok. Nieruchomy, niewidzialny, zapomniany.

Peris westchnął i cofnął się.

– Czego chciał?

Arion przełknął gęstą ślinę. Przeciągnął po dziąsłach językiem i poczuł smak krwi.

– On jest... był... przyjacielem mojego ojca. Znali się od dziecka. Ojciec kiedyś uratował mu życie. On... pan Gerk... – Arion zrozumiał, że nie powinien używać słowa „wuj” – on...

– Nie musisz mówić „pan” o tym wyklętym! – zasyczał poirytowany Peris. – Czego Gerk chciał od twojego ojca?!

– Chciał mu się odwdziżyć. Za uratowanie życia. Chciał, żeby ojciec był teraz bogatym człowiekiem. Dlatego dał mu kryształ – zamilkł.

– Nie mówił nic więcej?

Chłopiec pokręcił głową.

– Rozmawiał tylko z ojcem. Ja nic nie wiem.

– Jak długo był tutaj Gerk? – rzucił Peris coraz bardziej obojętnym tonem.

– Ciężko powiedzieć. Krótko. Parę godzin. – Arion zaczął modlić się w duchu, żeby ciemność i siąpiący coraz mocniej deszcz zatarły jak najszybciej ślady butów, które mogły pozostać na ścieżce.

Z góry zeszło po schodach paru ludzi. Jeden niósł drewnianą szkatułę, zroszoną napowietrznymi kropelkami blasku. Peris skinął, żeby postawiono ją na stole. Na długą chwilę zatonał w zadumie i z uwagą wpatrywał się w bezcenny skarb. Wszyscy w izbie spoglądali w tę samą stronę, kryjąc w sercach podziw i chciwość.

– Te kryształy są dostatecznym dowodem – oznajmił w końcu Peris bezbarwnym, zmienionym tonem. Z każdym słowem jego głos zaczynał nabierać impetu nieodwołalnego wyroku. – Człowiek, którego zabiliśmy, gościł w swoim domu heretyka. Udzielił mu tu schronienia wbrew wyraźnemu zakazowi króla! Oczyszczenie może dokonać się tylko przez ogień, najświętszy żywioł jedynych, żywych bogów. Dlatego w imieniu króla rozkazuję spalić ten dom!

– Tak jest, panie!

Ludzie Nogusa skinęli zakapturzonymi głowami. Arion spojrzał na nieprzytomną matkę. Wszystko znów działo się jak w zwolnionym tempie. Błada, pozbawiona wyrazistych rysów twarz Perisa przybliżyła się ku niemu i znów ujrzał te lodowate oczy, w których wszelkie światło załamywało się i gubiło, a potem powracało zmienione i chłodne.

– Jesteś miłym chłopcem. Myślę jednak, że mnie okłamałeś – syknął mężczyzna. – Jest sposób, żeby to sprawdzić. Jeżeli Gwinto Gerk naprawdę odpłynął stąd parę dni

temu, ten dom heretyków spłonie w ciszy. Jeśli jednak mam rację i nasz przyjaciel jest jeszcze blisko brzegu, zobaczy ogień. Nawet w taką pogodę jak dziś pożar będzie widać z pewnej odległości. – Twarz Perisa stała się straszną, kamienną maską, gdy popatrzył na grube, drewniane belki domu. – Jeśli więc to ja mam rację, istnieje szansa, że Gerk powróci tu, żeby cię uratować. I ją! – Skinął głową w kierunku Ileny. Na jego usta wypełzł gorzki, zwiędnięty uśmiezek. – Ludzie, którzy spędzają całe lata w osamotnieniu, są w stanie zrobić wszystko dla swojej rodziny. – Oczy maga zwęziły się lekko. Przypominały teraz ślepie węża. – Bo jesteście rodziną, prawda?

3.

Dziób łodzi rozcinał coraz silniejsze fale, które wdzierały się do zatoki. Gwinto, Warras i Tiko wiosłowali uparcie. Oddychając równo, wysilali mięśnie zahartowanych ramion. Przez ich odzież przenikała słona wilgoć, którą niesło wzburzone powietrze. Po jakimś czasie Gerk odłożył wiosła, żeby upewnić się, że trzymają dobry kurs. Wyciągnął zza pazuchy świetlny kryształ, który rozpałił się mocniejszym blaskiem. Kamień stanowił prawie idealny, półprzezroczysty sześcian. Gwinto przetarł jego gładką powierzchnię i przyłożył go do oka.

Wciąż nie mógł się nadziwić, jak idealnie te kryształy zachowują niektóre obrazy. Nie na darmo nazywano je „słonecznymi kamieniami”. Klejnot przechowywał wewnątrz promień zachodzącego niedawno słońca, który rozdzielał się na dwie wiązki. Mężczyzna obracał kryształem, dopóki całkiem się one nie pokryły. Tym sposobem potrafił wyznaczyć kierunki świata z niemal doskonałą precyzją i to niezależnie od pory dnia i pogody. Kryształ był więc nie tylko drogocennym skarbem – dla Gwinta i jemu podobnych morskich włóczęgów stanowił bezcenne narzędzie nawigacji.

Skinął do towarzyszy, wskazując skorygowany kierunek. Zapatrzył się w chłostaną

wiatrem, rozszumianą ciemność fal. Gdy błyskawica oświetliła sylwetkę przybliżającego się okrętu, serce mocniej zabiło Gerkowi w piersi. Trójmasztowy, potężny szkuner o podwyższonej rufie stanowił wspaniały widok, nawet gdy stał na kotwicy przy złożonych żaglach.

Ten statek to mój jedyny dom – pomyślał Gwinto, przeciągając wiosłami z wielką siłą.

Odpędził palące jeszcze wspomnienie wizyty w miasteczku. Wywołało jakiś tępy ból. Ta podupadająca osada w delcie Vissli była jak dająca o sobie znać stara rana, jak swędzący strup, który masz ochotę zedrzyć, choć dobrze wiesz, że zostanie po nim szpetna blizna. Ilena, Ravael... I ich dzieciak, Arion... Głupie, bezpowrotne wspomnienie! Nie chciał i nie zamierzał o nich więcej myśleć. Jego obecne życie nie ma z nimi nic wspólnego.

Nie zawsze tak było. Gerk był jeszcze smarkaczem, gdy po śmierci rodziców musiał zaopiekować się młodszą siostrą. Ciężko pracował, żeby utrzymać siebie i Ilenę. Nieraz ukrywał własną nędzę, byle tylko jej zapewnić, co tylko mógł, byle jej niczego nie brakowało. Pomimo znoju i ubóstwa uważał, że to były wspaniałe lata. To właśnie one stawały mu przed oczyma, kiedy myślał o swoim rodzinnym brzegu. Zdarzało się, że przy winie ubarwiał przeszłość opowieściami, którym inni przysłuchiwali się z zachwytem. Wspomnienia kłamią, zwłaszcza gdy jesteś daleko. Rozczarowują, jeśli próbujesz się do nich zbliżyć. Pierzchają i straszą skrywaną prawdą, jak widma strzegące zbieleńskich kości zmarłych.

Tylko jedno było prawdziwe: miłość do morza. Czy nawet swojej siostry, Ileny, Gwinto nigdy nie kochał równie mocno? Może nie aż tak, jak pokochał ją Ravael. Gdy przyjaciel poprosił o jej rękę i dwie najbliższe osoby, jakie Gerk kiedykolwiek miał, związały się ze sobą tak, że między nimi nie było już dla niego miejsca, miłość do morza zmieniła się w palący zew. Gwinto stracił jednej nocy siostrę i przyjaciela. W zamian zyskał coś, co przynosi umiejętnie przeżywana samotność – całkowitą, nieograniczoną niczym wolność.

Nad falami poniósł się grzmot. Gwinto instynktownie odliczał w myślach, ile minęło od błyskawicy do ryknięcia burzy. Dzięki temu mógł oszacować, w jakiej odległości znajduje się jej centrum.

– Myślisz, że burza przejdzie bokiem, kapitanie? – spytał Warras, przekrzykując fale.

– Idzie prosto na nas! – wysapał Tiko między dwoma machnięciami wiosła.

– Przejdzie bokiem! Tak czy inaczej do rana przyczaimy się tu na kotwicy!

– Owszem! Marzy mi się dłuuuuugi sen! – Warras miał ochotę dodać coś o kobiecie i o misce porządnego żarcia, ale w porę ugryzł się w język. Najwyraźniej wizyta w rodzinnym domu kapitana nie udała się tak, jak Gerk tego chciał. Warras liczył na to, że Gwinto i Tiko wrócą z koszami prowiantu i najróżniejszych przysmaków, tymczasem zjawili się z pustymi rękami, chmurni i małomówni. Cóż, takie właśnie jest życie. Warras uważał, że niewiele jest dobrych rzeczy, które mogą przydarzyć się takim jak oni na łądzie. Jedną z nich niewątpliwie było smaczne jedzenie.

Zauważono ich – z bocianiego gniazda na grotmaszcie rozblęsnął w ciemności krótki sygnał świetlny. Gwinto odpowiedział z pomocą kryształu w ustalony sposób.

Przybliżali się do burty, chroniąc w cieniu okrętu przed wiatrem i mocniejszymi falami z otwartego morza. Z pokładu rzucono liny i drabinkę, na wietrze odezwały się pozdrawiające okrzyki.

Gwinto doznał niejasnej ulgi, kiedy poczuł pod stopami deski pokładu. Ich ciche skrzypienie było jak mruczenie ulubionego kota. Jak cicha, mroczna muzyka. Cały okręt kołysał się lekko na niesionych wiatrem falach, rytmicznie, niby w takt uderzeń drewnianego serca.

W milczeniu wysłuchał krótkiego meldunku od Egrita, drugiego po nim człowieka na statku. Był on wiekowym już, brodatym mężczyzną o jednym oku zasnutym gładkim bielmem, które przypominało wprawioną w oczodół perłę. Jego spieczoną słońcem twarz znaczyła sieć głębokich zmarszczek od częstego patrzenia pod wiatr. Mimo brzemienia lat Egrit zachowywał zwinność i nieugięty hart ducha, który tak

ceniał w nim Gwinto. Stary mawiał, że umrze dopiero, gdy zatonie statek. A to dlatego że nic tak nie konserwuje jak morska sól.

– Na mój gust burza przechodzi bokiem – zauważył Egrit.

Gwinto przytaknął, skinąwszy głową.

– Też tak sędzę. Będę w swojej kajucie. Muszę się przespać.

Minął koło sterowe i już miał schylić głowę, żeby wejść do rufówki, kiedy poczuł na ramieniu suchą rękę starca.

– Gwinto – odezwał się ochryple sternik – co z zaklinaczem pogody? Udało ci się go zwerbować?

Gerk spojrział w cień, gdzie w pobrużdżonej, brązowej jak orzech twarzy lśniło zbielałe oko.

– Nie. Będziemy musieli znaleźć kogoś innego.

Egrit zacisnął usta i skinął głową, po czym rozstali się w progę.

Warras, który właśnie obejrzał się w ich stronę, lekko się zachmurzył. Człapał wolno w kierunku mieszczącego się w dziobowej części kubryku, kiedy w odblasku jednej z gasnących błyskawic dostrzegł na bocianim gnieździe cień kobiecej sylwetki. Aliya. Warras od długich godzin marzył o porządnym śnie, ale na jej widok postanowił odłożyć go o parę chwil. Zamruczał sam do siebie z podziwem. Imponowała mu dziwna odwaga tej dziewczyny. Były w niej bunt, jakieś uniesienie, a czasem czysta głupota... No i była przecież taka śliczna. Cokolwiek w sobie miała, Warras w głębi duszy wiedział, że nie potrafi przejść obok niej obojętnie.

Czując na twarzy podmuchy wilgotnego wiatru, wspiał się sprawnie po zwężającej się drablinie rozpiętej między wantami do bocianiego gniazda. Aliya przesunęła się bez słowa, żeby wskoczyć do środka. Zrobiło się ciasno.

– Podziwiamy gwiazdy? – Warras czuł, że jak zwykle mówi coś głupiego, co wzbudza jej bezgraniczną pogardę.

Spojrzała na niego przelotnie, unosząc głowę. Wzruszyła ramionami.

– Chciałam pobyć sama – powiedziała. Jej kruczoczarne włosy były nasiąknięte wilgocią. Wiły się i falowały na wietrze.

– No, to jest trudne na statku. Znaczy się być samemu. Jesteśmy tu wszyscy na siebie skazani, wiesz? – Warras spróbował się uśmiechnąć, choć i tak już na niego nie patrzyła. Gdy stała obok, wydawała się jeszcze niższa. Drobna, szczupła i tak krucha, że Warras dziwił się, że nie porywa jej wiatr.

Bocianie gniazdo na grotmaszcie okrętu nie było dobrym miejscem na przeczekanie burzy, nawet jeśli ta się oddalała. Czuło się tutaj każdy przechył okrętu. Z oddali niosły się co jakiś czas ponure grzmoty, zagłuszające nawet ciężki szum fal przelewających się przez siebie i bijących o drewniane burty. Na horyzoncie ciemność rozciąła przypominająca trójząb błyskawica.

– Kapitan sprowadził zaklinacza pogody? – odezwała się Aliya.

– Wróciliśmy sami. Tiko powiedział mi, że nic z tego.

– A to wszystko, co ze sobą zabrał? Kryształy, bursztyny, tkaniny?

– Zostały na lądzie.

Dziewczyna patrzyła poprzez ciemność w stronę brzegu.

– Musi bardzo kochać tę kobietę, skoro podarował jej tyle jedwabi i naszyjników.

Warras kiwnął głową.

– Ale nie powinien zostawiać kryształów – stwierdziła cicho Aliya, marszcząc swoje piękne, ciemne brwi. W uchu miała kolczyk z jasnych, spiralnie skręconych muszelek, które pobrzękiwały na wietrze jak małe dzwoneczki. – Za taką ilość mógłby nająć porządnego zaklinacza na parę lat. Opuścił nas ze skarbem, a wrócił z pustymi rękami. Te kryształy bardzo by się przydały. Naraża naszą misję z powodu głupich sentymentów. Gdyby inni kapitanowie o tym wiedzieli...

– Gwinto jest kapitanem – przerwał jej łagodnie Warras. – Robi, co chce. Miał prawo do tych kryształów. Należały do niego. Sam je zdobył, tak samo jak ten statek.

– Zdobył ten statek? – Czarnowłosa dziewczyna po raz pierwszy spojrzała na niego

z zainteresowaniem. – Nie wiedziałam. Nigdy o tym nie słyszałam.

– To dlatego że nigdy o tym nie opowiada. Ale jeśli chwilę się zastanowić... Wiadomo, co zrobił i jak został kapitanem. – Warras złapał się na tym, że mimowolnie splótł palce za plecami w zaklinający znak. – Zresztą, możesz spytać kiedyś Egrita. On pływa z Gwintem prawie od początku. Jak będzie miał ochotę, sprzeda ci niezłą opowieść.

Aliya skinęła głową.

Grzmoty coraz słabiej grały w oddali, niby cichnące kanonady z bombard. Za to zaczęła siąpić przesywająca chłodem mżawka. Warras szarpnął za klamrę, niezgrabnie odpiął z pleców pocerowaną i krótką pelerynę, która sięgała mu ledwie kolan, żeby okryć nią ramiona swojej towarzyszki.

– Nie jest mi zimno – oświadczyła twardo Aliya, marszcząc lekko zadarty nosek.

– Nie żartuj. – Warras uśmiechnął się głupawo.

– Nie żartuję. Jeśli tobie zimno, idź już. Tak jak mówiłam, chciałam pobyć sama – szepnęła, przyciskając ramiona do ciała.

Warras nie wiedział, co odpowiedzieć, więc skinął głową.

– Idę się przespać. – Jednym, potężnym susem przeskoczył bocianie gniazdo i zawisnąwszy na linach, zaczął schodzić po nich w dół jak po giętkiej drabinie.

– Warras... – Dobiegł go z góry ściszony głos dziewczyny.

– Tak? – spytał, czując, jak serce zabiło mu z nadzieją.

– Chodź do mnie, wróć!

– Wiedziałem, że nie możesz mi się oprzeć! – mruknął pod nosem, wdrapawszy się znów na maszt. Posłał jej maślane spojrzenie.

– Popatrz! Widzisz to? Coś się pali! – Nakazała mu, żeby spojrzął przed siebie.

Rzeczywiście. Daleko, na przebiegającej ukośnie linii brzegu, ciemność zaczynały drażyć pomarańczowe płomienie, widoczne stąd jako drobne, rozmyte przez mgłę igły żaru. Rozprzestrzeniały się, roznosił je wiatr.

– To chyba pożar.

Warras zmrużył oczy.

– To w miasteczku, które dziś odwiedziliśmy z kapitanem!

Aliya zręcznie zsunęła się na siatkę z lin.

– A ty dokąd?

– Jak to dokąd?! Lecę go zawiadomić! Jeśli ktoś odkrył, że tam był, to przecież... –
zawahała się. Ogarnęło ją złe przeczucie.

Warras zrozumiał.

– Ja pójdę go obudzić! – rzekł, po czym prędko zszedł w dół masztu. – A ty poszukaj Egrita. On ma lunetę!

Kiedy Warras załomotał, trochę za mocno, w drzwi kajuty kapitana, odpowiedziało mu siarczyste przekleństwo.

– Czego?! – rzucił Gerk złym głosem. Leżał w ciemności na koi, z kapeluszem spuszczonego na twarz, a jego znużony umysł zaczynały ogarniać majaki snu.

– Na brzegu zauważyliśmy ogień, kapitanie! Wygląda to na pożar w miasteczku, gdzie dziś byłeś. Znaczą się, że u rodziny... Aliya to zobaczyła... Pomyślałem, że...

Gwinto stanął w otwartych drzwiach w rozchełstanej koszuli. Ciemne, przydługie włosy opadały mu na twarz.

– Jesteś pewien? – mruknął i wyminął Warrasa, by podążyć w stronę masztu.

Z małpią zręcznością wspinał się po linach prowadzących ku najwyższemu punktowi okrętu. Lunetę o soczewkach oszlifowanych przez maga, którą nabył za niebotyczną sumę, nosił ukośnie przewieszoną przez ramię. Nie musiał jednak jej wyciągać. Na górze już czekała Aliya, która zdążyła zdobyć bezcenny przyrząd obserwacyjny Egrita.

– Proszę. – Podała mu lunetę i wskazała w kierunku brzegu. Ogień było widać gołym okiem. Gwinto chciał wiedzieć, co właściwie płonie. Mżawka i mgły sprawiały, że widoczność była bardzo zła. Tym niemniej mógł określić miejsce. Znał je. Pamiętał. Zanim przyłożył okular do oka, zmroziła go intuicyjna pewność, że to właśnie tam.

Ilena, Arion, Ravael...

– Stawiać żagle! – zakrzyknął z góry ochrypłym głosem.

Warras pognął po deskach pokładu i zniknął w ciemnościach kubryku, gdzie większość załogi spędzała noc na kojach we wspólnym pomieszczeniu sypialnym.

– Ruszać się, śledzie! Jazda! Stawiać żagle!

Ludzie pozrywali się z posłań bez ociągania, w parę chwil byli na swoich stanowiskach. Życie, jakie prowadzili, nakazywało im zachowywać czujność o każdej porze. Zakotłowało się przy kabestanie.

– Dokąd płyniemy?! – zawołał z dołu Egrit.

– Do zatoki! W stronę ognia! – nakazał Gwinto. Pierwszy raz od dawna poczuł, jak oślizły, lodowaty wąż strachu oplata mu serce. – Do roboty! Jazda!

Aliya spojrzała ze zgrozą na jego wykrzywioną twarz. Gwinto nawet jej nie zauważył. W tej chwili widział tylko ogień. Odległy, płonący punkt odbijał się w jego oczach i wypełniał zwężone źrenice.

– Niech mnie morze pochłonie, jeśli to ja sprowadziłem na nich to nieszczęście! – zamruczał, zgrzytnąwszy zębami. Usłyszał, jak ze skrzypieniem i z cichym trzaskiem napinają się żagle. Po chwili poczuł, jak statek pod jego stopami wolno zrywa się z miejsca. – Niech mnie morze pochłonie!

4.

Oślepiająco biała błyskawica rozświetliła pogrążoną w półmroku komnatę i zgasła. Mężczyzna leżący na ogromnym łożu, otoczonym ciężkimi, narożnymi filarami, otworzył oczy. Nasłuchiwał przez chwilę, po czym przekręcił głowę na aksamitnej poduszce. Wpatrywał się w rząd wysokich, ostrołukowych okien o szybach z mlecznobiałego kryształu, które sprawiały, że burzową noc za oknem zdawało się

wypełniać łagodne, senne światło, subtelne niby rozsnuta w powietrzu, delikatna przędza. Krople deszczu błyszcząły jak rozsypane perły. Ciężkie, haftowane kotary z fioletowego pluszu pozostawały na noc rozsunięte, żeby Skyerlor niezależnie od pory mógł zobaczyć, co dzieje się na zewnątrz.

Zastanawiał się, czy tego nie zrobić. Miał ochotę otworzyć okno i odetchnąć głęboko zimnym, burzowym powietrzem. Utknął jednak wśród poduszek, na granicy łoża, w straszliwym niezdecydowaniu. Noce miały na niego fatalny wpływ. Jak to możliwe, że on, który za dnia prawie nigdy się nie waha, przed którym zginają karki i drżą najzuchwalsi, w ciemności nie może podjąć najprostszej decyzji? Leży nieruchomo, z tym obezwładniającym, mozolnym niezdecydowaniem w myślach. Czuje w piersi swoje własne serce. Łoże, w którym o zachodzie słońca sycił żądę ciałami pięknych niewolnic, całkiem wystygło z wieczornego żaru. Jest chłodne i puste, jak cała komnata. Jak wszystkie najbliższe sale i korytarze.

Nie ma kogo zawołać, żeby otworzył to cholerne okno. Skyerlor sam kazał na noc odprawiać strażników. Od paru dni nie ufał już nikomu.

Nadal nie wiadomo, kto nasłał skrytobójcę. Mimo strąconej z grubego karku głowy ministra i kaźni kilku strażników ubiczowanych na śmierć śledztwo nie posunęło się do przodu. Zresztą, czy odkrycie zleceniodawcy naprawdę było najważniejsze? Skyerlora niepokoiło co innego. Skrytobójcy udało się przeniknąć do zamku. Od wielu dni jadł, pił i spał w tych niebosiężnych murach – i zbierał informacje. Przygotowywał moment uderzenia. Skyerlor widywał jego twarz na korytarzu albo na dziedzińcu, albo kiedy przechadzał się alejami cyprysów w ogrodzie – wśród innych, anonimowych, nic nieznaczących twarzy, które asystowały mu każdego dnia. To oznaczało, że spisek zatoczył szerokie kręgi. Że byli inni, którzy życzyli mu śmierci. Cóż, to też możliwe. Dwór od zawsze był pełen zawiści. Ale że się odważyli... Czy naprawdę stał się tak słabym królem, że w jego własnym zamku, tuż pod jego nosem, szykowany był zamach na jego życie?!

Skyerlor przymknął oczy. Wiedział, z czego wynika jego słabość. Przeklął w myślach imię swojego brata. Robił to prawie każdej bezsennej nocy, takiej jak ta. Niech przekłety będzie Sykiard, zmarły władca Crystallum, Aratros i Dratros, dziedziczny książę krainy Kirr!

Skyerlor zacisnął pięść na aksamitnej pościeli. Miał wrażenie, że paradoksalnie, od kiedy Sykiard nie żył, nienawiść, jaką go darzył, wzrosła jeszcze bardziej. Pogłębiała się w jego duszy z każdym upływającym rokiem. Bracia nie cierpieli się od dziecka. Do rywalizacji skrycie podzegał ich cały dwór. Starszy o dziesięć lat Sykiard był pierworodnym następcą tronu, młodzieńcem o niebywałych zdolnościach i nieprzeciętnym umyśle. Bezustanne nadskakiwanie innych nauczyło go lekceważenia i pychy. To on pierwszy poczuł nienawiść do brata – od pierwszej chwili, kiedy Skyerlor pojawił się na świecie. Aż do tej pory rozpieszczany przez wszystkich i uwielbiany książę stał się chorobliwie zazdrosny o miłość matki, o niepodzielną dotąd uwagę ojca, o uwagę służby. W wyglądającym niewinnie dzieciaku widział rozwijające się zagrożenie dla swojej pozycji i – być może – przyszłego konkurenta do tronu.

Nienawiść w duszy Skyerlora obudziła się później – gdy zaczął rozumieć, jak bardzo jego żądny władzy starszy brat stara się potajemnie zatruć mu życie. Początkowo były to drobne sprawy. Uknute z pomocą służby, groteskowe psikusy, małe publiczne ośmieszenia i rzucane w twarz, raniące drwiny, które są w stanie nasycić młodzieńcze okrucieństwo, dopóki znajomość życia nie rozbudzi jeszcze w duszy wszystkich namiętności. Wraz z upływającym czasem przepaść między książętami pogłębiała się. Skyerlor w skrytości ducha podziwiał Sykiarda i niebywale mu zazdrościł – że był od niego starszy, wyższy, bardziej przystojny i o wiele bystrzejszy, bardziej doświadczony, sprytny i bezczelny, a wszystko, czego się dotknął, natychmiast mu się udawało, choćby były to coraz poważniejsze występki, o których Skyerlor dowiadywał się czasem od zaufanych sług, o ile akurat sam nie był ofiarą. Skyerlor dorastał w cieniu starszego brata, a ów cień stawał się coraz mroczniejszy.

Następca tronu z dnia na dzień został królem. I jak zwykle uderzył z zaskoczenia.

Wszystko rozegrało się podczas burzy podobnej do tej, która huczała odległymi gromami za oknem. Z wieży obserwacyjnej dostrzeżono flagowy okręt Sykiarda. Książę powracał z długiej podróży po Wyspach Skalnych, gdzie u Wysokich Magów poddawano go tradycyjnym próbom. Statek niósł do zamku księcia w towarzystwie tego z magów, którego młody następca tronu wybrał ostatecznie na swojego preceptora.

Okręt był już blisko, kiedy wiatr zamarł. Wydęte dotąd żagle opadły omdlałe jak zwiednięte liście w upalnym, zawiesistym powietrzu. Kapitan zagnał do wiosel niewolników, ale trwało to dłuższą chwilę. Widząc z daleka nieporadne manewry, zniecierpliwiony król Sevinius postanowił wypłynąć w górę wąskiej zatoki na powitanie syna. Długi drakkar, w którym zasiadało dwunastu doborowych wiosłarzy i nadzorujący ich kapitan, czekał tylko na jego skinienie. Skyerlor został ze swym poczem na brzegu. Znudzony, w wyczekującej, ceremonialnej ciszy, której nie burzył nawet lekki podmuch, słyszał, jak drobne kamyki i muszelki chrzęszczą pod kopytami jego drepcącego w miejscu konia. Od niechcienia patrzył, jak łódź o rzeźbionych burtach i złożonej dziobnicy tnie niezwykle gładką tafelę wody. I wtedy, w jednej chwili, rozpętało się piekło...

Powiadano później, że to był biały szkwał. Nagła, nieprzewidywalna lawina prosto z nieba. W morze w jednej chwili wstąpił demon. Ciało króla nigdy nie odnaleziono. Pożarły go ryby. Za to okręt Sykiarda wyszedł z tego bez szwanku. Był otoczony ochronnym zaklęciem jego preceptora, które przetrzymało nawałnicę. Okazało się, że Skyerlor i to, co zostało z jego pocztu, sam powita nowego króla. Ogłoszenie się władcą Crystallum było pierwszą rzeczą, którą uczynił Sykiard, kiedy jego odziana w wysoki but stopa dotknęła lądu ogołoczonego przez wichurę. Skyerlor pamiętał tylko, że gdy brat zaczął przemawiać, ciepłe, złociste słońce wyszło zza chmur i igrało w jego skrzącym się od kryształów diademie.

Nigdy nie uwierzył, że tamta burza stanowiła przypadek. Zbyt wiele słyszał o magii pogody i o jej zaklinaczach. Był pewien, że Sykiard wybrał preceptora, który pomógł mu zrealizować jego plan. Wskazywało na to coś jeszcze. Coś, co stanowiło wyraz nienawiści brata i wyłączności, jaką rościł sobie nie tylko do tronu. Aż do tej pory członkowie rodziny królewskiej byli szkoleni na Wysokich Magów. Pilnie strzeżona znajomość mocy stanowiła to, co wywyższało ich spośród zwyczajnych ludzi. Skyerlorowi odmówiono tego przywileju. Rozkazem króla było, aby żaden z magów nigdy nie ważył się udzielać mu nauk. To właśnie miała być jego kara i jego słabość; w ten sposób Sykiard postanowił zabezpieczyć się przed ogromnymi ambicjami Skyerlora.

Królowa matka protestowała, więc niebawem Sykiard odesłał ją do letniego pałacu na wyspie, której dwóch portów strzegły ostatnio odnowione strażnice. Wstępując na trap, zasłoniła twarz czarnym woalem.

– Za mało mnie kochałaś – rzekł jej Sykiard na pożegnanie.

Skyerlor pragnął towarzyszyć matce, ale zgodnie z przypuszczeniami król odmówił mu tej łaski.

– Jesteś moim młodszym bratem, Skyerlorze. Potrzebuję cię w zamku. Blisko siebie.

– Powiedz to otwarcie! Zamierzasz mnie więzić?!

– To jest pałac, a nie więzienie.

To jest pałac, a nie więzienie. Czy aby na pewno?

Skyerlor zsunął się z łoża. Otaczał je miękki dywan z aksamitnych skórek białych gronostajów, w którym zatopiły się jego bosa stopy. Przykrył ramiona rzuconą na krzesło, lekką peleryną i podszedł do okna.

Burza cichła, oddalała się. Przez niskie, rozwiane chmury zaczął prześwitywać księżyc. Skyerlor szeroko otworzył okno z cienką jak muślin i twardą jak stal kryształową szybą, wpuścił do środka świszczące tchnienie zimnego, wilgotnego powietrza, które niosło zapach portu i morza. Czuł na twarzy pojedyncze kropelki

deszczu, ale nie odsunął się. Spoglądał z góry na pogrążone we śnie miasto, skupione wokół wzgórza. Obłożone klątwami, pojedyncze kryształki płonęły przed okazałymi domami magów. Posrebrzone światłem gzymsy i spadziste, kryte gontem dachy ponad labiryntem wąskich uliczek tworzyły zdumiewającą mozaikę, którą widły rzeki Imbe, z jej wieloma przerzuconymi na dziko linowymi mostami, przecinały jak dwie gładkie blizny. Lepianki biedoty przycupnęły dalej, w głębi łądu, w pobliżu głównego traktu prowadzącego do miasta. Powracały tam uparcie jak zaraza, mimo corocznego niszczenia ich przez miejskich strażników. Teraz skrywała je całkowita ciemność.

To miasto – tak spokojne, tak ciche, tak ospałe – stanowiło siedlisko intryg i zawiści, a ta świadomość przygnębiała Skyerlora. Gildia magów była tu bardzo potężna, a silna frakcja, która wcześniej najlojalniej wspierała Sykiarda, nie przeszła w całości na stronę nowego króla. Skyerlor był wszak władcą, który nie władał mocą. Coś takiego dla niektórych magów było nie do pomyslenia, w ich oczach stanowiło wielką ujmę. Widzieli w tym zagrożenie dla tradycji i dla własnej pozycji. Skyerlor dobrze wiedział, że woleli Sykiarda. Nie pochwalali sposobu rządzenia nowego króla, ale Skyerlor nie potrafił działać inaczej. Tam, gdzie Sykiard wykazywał się sprytem, Skyerlor używał siły i terroru. Musiał wyważyć te drzwi, które przed Sykiardem otwierały się same. W pierwszym roku panowania walczył jak rozjuszony zwierz o autorytet, którego pozbawił go jego własny starszy brat. Nie zdobył sobie miłości, ale wywalczył posłuch.

Czy oni wiedzą, że to ja zabiłem Sykiarda? Czy dlatego wystali skrytobójcę?

Był przekonany, że część zwolenników Sykiarda wciąż obwinia go o przyczynienie się do jego śmierci. Zdarzały się jeszcze chwile, że miał ochotę przyznać się do tego otwarcie, by brutalna prawda zmiażdżyła te nędzne, tchórzliwe domysły i złośliwe półsłówka, w których nazywano go uzurpatorem. Miał wrażenie, że dopóki fakty pozostawały zatajone, jego triumf nie był jeszcze pełen. Mimo to nie potrafił się na niego zdobyć. Zresztą wciąż trzymał w zanadrzu coś, co pozwoli mu ostatecznie

umocnić pozycję.

– Tak, to ja zabiłem Sykiarda! – szepnął do siebie Skyerlor, cedząc wyraźnie każde słowo, jakby wiatr miał ponieść je do wszystkich domostw.

W tym momencie za plecami usłyszał stłumiony hałas.

W jednej chwili stanął mu przed oczyma zamach sprzed dziesięciu dni, w którym niemal stracił życie. Obrazy napłynęły razem z falą lodowatego dreszczu, która przeszła jego ciało, okryte tylko cienką peleryną. Najpierw krótki, zabłąkany, wirujący wokół własnej osi, wiercący powietrze grot, który minął jego czaszkę o włos, zarysowując na niej cienką, precyzyjną linię. Skyerlor nie wiedział już, dlaczego tamten strzał chybił, może dlatego, że roześmiał się akurat z jakiegoś wyglupu błazna, a może kichnął? A potem ozywająca nagle, ceremonialna zbroja płytowa, stojąca w kącie od zawsze, przełamująca szereg pałacowych strażników. Ten ktoś wewnątrz biegnący w niej lekko jak duch, wybijający się z rozpędem, szybujący jak za zaklęciem w tym całym żelastwie, z zakrzywionym ostrzem po jednej stronie ciała, połyskujący w świetle jak ogromny owad... Skyerlor wiedział, że oto pędzi po niego sama śmierć. Magów nie było obok. Ocaliła go kusza. Jeden strzał z głębi sali zadecydował o losach królestwa. Bełt przebił hełm starożytnej zbroi. Zabójca, na wpół żywy, jak w zwolnionym tempie wyprowadzał swój morderczy zamach, lecz jego wola już się rozprysła, a ciało straciło sprężystość. Mimo wszystko to był cud, że Skyerlor ocalał. Zbroja zwała się na niego, na tron. Wierzgnął nogami, żeby ją z siebie zrzucić. Bez rezultatu. Zimny szczepek metalowych elementów brzmiał jak gasnący chichot. Skyerlor miał wrażenie, że zabójca żyje, chociaż puszka hełmu była przebita na wylot, spięta z przyłbicą długim bełtem jak wielką agrafą. Z kratek w miejscu ust spływała ciepła krew.

Stłumiony hałas się powtórzył. Skyerlor stał twarzą do wnętrza komnaty i czuł na karku lodowaty powiew z otwartego okna. Nasłuchiwał. Mógłby przysiąc, że to były kroki. W skrytce za łóżkiem miał zawiniątko z bezcenną peleryną, która mogła uczynić go niewidzialnym. Okrył się nią szybko i rozplątał w półmroku, a potem sięgnął po

pas i miecz z aratrańskiej stali. Nie zamierzał tkwić beczynnie w tej przeklętej komnacie.

Najpierw przeszedł ukrytym przejściem do pomieszczenia obok, w którym wcześniej sypiały jego nałożnice. Ciemność rozjaśniało kilka świetlnych kryształów, noc zaglądała przez imponujące szyby. Mnóstwo muślinowych kotar i przepierzeń ponad rozrzuconymi na podłodze poduszkami łagodnie falowało w przeciągu. Pusto. Cicho. Odgłos bez wątpienia nie dochodził stąd.

Skyerlor wrócił do swojej sypialni. Uchylił teraz drogocenne, kasetonowe drzwi, które skrzypnęły cicho i przeciągle. Wyszedł na korytarz. Kamienne mury przykrywały puszyste gobeliny, w płytkich niszach płonęły w równych odstępach blade, niebieskawe ogniki kryształów.

Prześlizgiwał się wzdłuż ścian. Co jakiś czas przystawał i wyęczał słuch, aż dotarł do szerokich schodów prowadzących w dół, do sali tronowej. Kiedy zastygł na nich, czując, że ktoś się przybliżył, kroki raptownie ucichły. Wstrzymał oddech. Zaczął schodzić wolno po kamiennych stopniach ze sztychem miecza na wysokości oczu, wysuniętym spod peleryny kryjącej go przed ludzkim wzrokiem.

Sala tronowa była wielka i pusta. Mimo to – Skyerlor wiedział to dobrze – zawsze czuło się tu jakąś tajemniczą obecność. Z trzech stron błyszcząły w mroku wysokie i wąskie ostrołukowe okna, przedzielone wystającymi kolumnami, ciągnące się od granitowej posadzki aż po wyniosłe sklepienie. Przechodzące przez nie promienie księżyca napełniały wnętrze niebieskawym półmrokiem i wydłużały cienie wielkich, kamiennych świeczników, wyższych od Skyerlora, których szpaler wiódł w stronę tronu. Na świecznikach skrzyły się ogniki kryształów, tak starych, że ich światło było jak mętna woda – tylko pogłębiało otaczającą ciemność. Ożywiało grą cieni pokrywające kamień płaskorzeźby i runiczne inskrypcje. Skyerlora zawsze ogarniała wściekłość na myśl, że nie potrafi ich odczytać, chociaż znajdują się tu od jego urodzenia.

Odwrócił się ku wysokiemu gankowi znajdującemu się ponad głównymi wrotami do sali. Czekał na jakieś poruszenie, ale nie dostrzegł nikogo. Ruszył w stronę tronu.

Po prowadzących do niego stopniach pełzała lekka mgiełka – spływała powoli i falowała po posadzce. Sam tron, otoczony wygiętymi kolumnami, przypominającymi teraz sękate drzewa, tonął w kompletnej ciemności. Niesamowita, świetlista bryła kryształu, z której wykuto siedzisko, była odkrywana tylko podczas wyjątkowych uroczystości. Obecnie spowijała ją gruba i miękka, złożona z wielu warstw płachta wyszywana perłami i okruchami szafirów. Tron otaczały skrzydła z czarnego granitu, a wysoki zagłówek w kształcie głowy żyjącego bóstwa symbolizował kapłańską funkcję króla.

Skyerlor nie wierzył, że w jakiś sposób czuwa nad nim uskrzydłony, władający ogniem bóg. Nikt nigdy nad nim nie czuwał. Szedł teraz ku tronowi nieufnie, jak intruz, wiedząc, że to przezorność zabezpiecza władzę. Gdyby Sykiard był ostrożniejszy, pewnie to on rządziłby nadal... Skyerlor wstąpił na podwyższenie i uważnie rozejrzał się z niego po sali. Wreszcie opadł bezszelestnie na starożytne siedzisko. Zasiadał na nim od kilku dobrych lat, a wciąż napawał się z tego miejsca myślą o własnym panowaniu. Trwał tak chwilę, czując, jak zaraz po niejasnej uldze napływa upiorna samotność. Wtedy, tuż za plecami, usłyszał wyraźne westchnienie.

Nie czekał. Zerwał się z miejsca i jednym susem zeskoczył z tronu, jednocześnie zszarpując z siedziska tkaninę, która uwolniła kryształową jasność. To w niej dostrzegł swojego przeciwnika. Dosłownie w ostatniej chwili wstrzymał cios. Znieruchomiał z grymasem na ustach, z sercem łomocącym w piersi, z szeroką dłonią na rękojeści dygocącą z gniewu i ze zdumienia. Po czole ściekła mu zimna kropelka potu. Wreszcie z ust wyrwał mu się krótki, pusty śmiech, przechodzący w złowrogie syknięcie.

Na podłodze, skulona w kucki, w długiej nocnej koszuli siedziała dziewczynka. Kołysała się lekko i monotonnie, zachowując w tym jakiś mechaniczny rytm, jak małopka długo trzymana w zbyt ciasnej klatce. Jej wielkie, fiołkowe oczy zdawały się nie

zauważać wcale oślepiającego, kryształowego światła. Nie widziały również króla, mimo że zsunął kaptur magicznej peleryny. Wpatrywały się w jakiś odległy punkt. Były zmartwiałe i nieobecne.

– Lumino... – mruknął Skyerlor, wyciągając rękę do dziecka, ale zaraz cofnął ją i zamilkł. Spróbował zdobyć się na bliskość, odczuł jednak niemal fizyczny wstręt, którego nie potrafił przełamać.

Nie widzi mnie – pomyślał. Śni na jawie.

Im dłużej wpatrywał się w te nieruchome, zamglone oczy w bladej, trójkątnej twarzyczce, tym bardziej nieswojo zaczynał się czuć. Te jasnobrązowe, proste włosy, rysy podbródka i nosa, gładka cera w odcieniu kości słoniowej, pozbawiona rumieńców... To, co kiedyś było tylko przecuciem, z każdym dniem potwierdzało się coraz wyraźniej. To dlatego Rykiela, wdowa po Sykiardzie, nie oponowała zbyt, kiedy wstąpiwszy na tron, zażądał jej ręki. Nosila już wówczas w łonie pogrobowca Sykiarda. A dokładniej dziewczynkę. Tę małą księżniczkę, którą początkowo Skyerlor uznał za własne dziecko. Nawet sam wymyślił to piękne imię. Jasność, jutrzienka... Lumina. Teraz, ilekroć słyszał je w pobliżu, brzmiało dlań jak prześmiewczy chichot losu, który postanowił z niego okrutnie zadrwić. Ale już niedługo.

Skyerlor oderwał wzrok od pierworodnej córki, która nie była jego, po tym jak usłyszał w głębi sali głośnie chrząknięcie. Wrota uchyliły się z cichym skrzypieniem. W cieniu ganku rozległy się powolne kroki, którym towarzyszył miarowy stukot laski z zatkniętym na niej ciemnofioletowym ognikiem kryształu. Długi ogon ciemnej szaty ciągnął się po posadzce. Lyelyeban. Jak zawsze zjawiał się w odpowiednim momencie. Na widok Wysokiego Maga Skyerlor poczuł gniew. Ten kłamliwy wąż żerujący na jego bogactwie zapewniał, że na noc otoczył to skrzydło zamku ochronnym zaklęciem, barierą nie do przekroczenia. Tymczasem to dziecko...

– Wasza wysokość. – Czarodziej przystanął i skłonił się lekko ze służalczym uśmiechem, który wygiął jego cienkie wargi i zwięził na moment srebrne oczy,

świecące jak dwa kryształy. Wszyscy oni tak mu się kłaniali. Jakby jednocześnie pluli mu w twarz. Każdy ich gest, każdy ukłon był tak wyważony, aby ledwie pokryć głębokie poczucie wyższości, które otaczało ich tak jak ich aura. – W całym zachodnim skrzydle służba szuka księżniczki. – Głos Lyelyebana był jednostajny i matowy, wyzuty z jakichkolwiek silniejszych emocji.

– Ty psie! – warknął Skyerlor, czując, że jego cierpliwość się kończy. – Co ona tutaj robi?! Podobno twoje zaklęcie nie pozwala nocą dostać się tutaj nikomu!

– Nikomu poza członkami rodziny królewskiej, mój panie – odparł mag, nie zważając na jego obelgę. Wiedział, gdzie uderzyć. Wiedział, że Lumina nie jest córką tego króla.

Skyerlor przełknął ślinę, czując ucisk w gardle. Zasepił się.

– Możesz ją obudzić? – spytał, wskazując na skuloną dziewczynkę. Jeszcze mocniej podciągnęła kolana pod brodę.

– Tak. Ale to może być dla niej szok. Najlepiej, gdy lunatyk budzi się sam. Kiedy chodzi we śnie...

– Dlaczego ciągle to robi? To nie jest normalne! – wybuchnął Skyerlor.

– Ty wiesz, panie. – Mag się skłonił. – To znak. Twoja pierworodna córka jest wybrana przez bogów. Dlatego chodzi we śnie. Rozmawia z duchami. Wszystko ustąpi, kiedy za twoim rozkazem niebawem wypełni się jej przeznaczenie.

Skyerlor potrząsnął głową.

– Jesteś pewien, że nas nie słyszy?

– Tak, panie. A nawet jeśli, gdy się obudzi, nie będzie niczego pamiętać. Tak dzieje się u wszystkich lunatyków. – Lyelyeban jak zwykle zdawał się czytać w jego myślach.

– Możesz przemawiać przy niej otwarcie, panie – oznajmił, unosząc kącik cienkich ust.

– Księżniczka jest teraz tylko cieniem bez żadnych wspomnień.

– Kto miał jej pilnować?

– Piastunka. Zasnęła.

– Miała pilnować dziecka królewskiej krwi i zmorzył ją sen?! – Skyerlor włożył do pochwy miecz. – Każ ją zabić. Ale dopiero po wyjeździe księżniczki. Opuszcza nas na zawsze, nie chcę przedtem jej dodatkowo zasmucać albo przysparzać jej jakichś rozczarowań. Więc dopiero, gdy Lumina wsiądzie na statek... – Skyerlor zapatrzył się na znowu na skuloną córeczkę Rykieli.

– Piastunka to młoda, piękna dziewczyna – powiedział powoli mag ze złowrogim błyskiem w oku. – Nie zabijaj jej. Jeśli chcesz ją ukarać, podaruj ją mnie.

Skyerlor obrzucił go szybkim, zdziwionym spojrzeniem. Nie sposób było odgadnąć jego wieku, czas zdawał się dla niego nie istnieć. Mag przypominał piękną woskową figurę, ożywioną diaboliczną magią. Wyglądał wiecznie młodo, chociaż był starszy od swego króla. Jego jasna cera i delikatne rysy, zaostrzone jedynie przez lekko zapadnięte policzki, cienki nos i długie, równo przycięte włosy w kolorze bladego złota, sprawiały, że w jego twarzy było coś zniewieściałego, skrywającego rodzaj zmysłowego wyuzdania. Dlatego Skyerlor przypuszczał, że mag woli mężczyzn.

– Dobrze. Ale dopiero po wyjeździe Luminy – zgodził się król. – Liczę na to, że tym razem obejdzie się bez niespodzianek – dodał z naciskiem.

Lyelyeban skłonił się lekko w podzięcie.

– Nie ma powodu do najmniejszych obaw. Żaglowiec czeka w porcie gotowy do drogi. Załoga liczy sobie trzech zaklinaczy pogody. Właściwie mogliby wyruszyć w każdej chwili.

– A Wysoka Wyspa? Jak tam jest? – spytał cicho Skyerlor, lekko marszcząc brwi.

Obaj spoglądali teraz na małą królową.

– To miejsce, w którym królewskiej córce nie zabraknie niczego. Wyspa jest niezdobyta, tak ukształtowana, że sama w sobie stanowi fortecę. Można zbliżyć się do niej tylko w jednym miejscu. Nie jest duża, ale pałac jest wspaniały, zwłaszcza po ostatniej przebudowie, poczynionej za twym nakazem, panie. Sam zadbałem o najlepszych preceptorów. Twoja córka będzie mogła tam w pełni rozkwitnąć, zanim

wyruszy w podróż do krainy bogów.

– To dla mnie wielka ofiara. – Skyerlor pokiwał głową. – Mam nadzieję, że mój lud ją doceni.

– Nie miej co do tego wątpliwości, panie. To najlepsze, co możesz zrobić, żeby zapewnić sobie wierność ludu. Król, który dokonuje ofiary z własnej krwi, żeby umocnić więź między ludźmi a bogami, ściąga na siebie część boskiej chwały. Jak dobrze wiesz, panie, również w przeszłości władcy ofiarowywali swoje córki. Prowadzili je do grot i jaskiń Przedwiecznych, gdzie księżniczki żyły w blasku kryształów i smoczego płomienia, aż do śmierci towarzysząc bogom. To trybut, który jako ludzie płacimy dawcom ognia. Tak jak przed wiekami Przedwieczni ofiarowali nam ogień, płomień pochodzący z samego wnętrza ich ciał, tak król ofiaruje swoją córkę, owoc swojej krwi i lędźwi, jako bezcenny dar podtrzymujący naszą religię. Zwłaszcza teraz – Lyelyeban lekko zmrużył swoje połyskliwe oczy – kiedy pierwszy raz od lat heretycy ośmielają się podnieść na nią swą bezbożną rękę. To ręka wzniesiona również przeciwko tobie, panie. – Mag lekko pochylił głowę, a Skyerlor niecierpliwie zmarszczył brwi.

– Mówisz o skrytobójcy czy o piratach, których sprawą zatruwasz mi myśli?

Lyelyeban zbliżył się o krok.

– Nazywają siebie dragitami. Nie lekceważ ich, królu. Herezja to bunt przeciwko twojej władzy. Przeciwko porządkowi rządzącemu światem. Porządkowi, którego obaj jesteście częścią. – Niespodziewanie mag wysunął bladą dłoń i położył ją na ramieniu króla. Zrobił to bez wahania, mimo że to właśnie ramię było wciąż przykryte zaczarowaną peleryną.

Skyerlor, rażony gniewem, chciał strącić tę pajęczą rękę, lecz powstrzymał go kamienny wyraz oczu maga.

– Nie lekceważ ich, panie – powtórzył ów beznamiętnym szeptem. – Czy sądzisz, że ten, kto zabija bogów, zawaha się, gdy przyjdzie mu zabijać królów? Bynajmniej!

– Czemu nie rozgłosimy, co czynią ci ludzie? Znalazłoby się wielu, którzy puściliby się za nimi w pogoń. Tropiliby ich po morzach i usiłovali zabić.

Lyelyeban w milczeniu pokręcił głową.

– Panie, zasmuca mnie to, lecz jesteś zbyt popędliwy! Ogłosić, że bogowie są śmiertelni, że ci wyklęci zabijają ich, żeby wejść w posiadanie kryształów? Zachwiać wiarą, która jest podstawą religii i władzy? Równie dobrze moglibyśmy wezwać w szeregi tych buntowników setki i tysiący pod ich bandery! Nie sposób opisać, co by to oznaczało.

– Cóż więc mi radzisz?

Kącik cienkich ust drgnął.

– Zniszczyć ich. Wyplenić jak chwasty. Jak najszybciej, póki są jeszcze nieliczni. Rozprawić się z nimi tak, by zasiać groźbę. Niech strach ich bliskich strzeże naszej tajemnicy. Trzeba ukrócić tę herezję raz na zawsze.

Skyerlor pokiwał głową.

– Daję ci w tym zakresie wolną rękę. Wiem, że już poczyniłeś pewne kroki.

– Istotnie. Mój człowiek od długiego czasu podąża śladem jednego z tych bandytów, oszusta i zabójcy nazwiskiem Gerk. To jednak sam wierzchołek góry lodowej, którą powinniśmy skruszyć. Potrzeba mi będzie pewnej sumy pieniędzy na rzecz zatrudnienia szpiegów. Pamiętaj, panie, jak ciężko dotrzeć do ludzi rozsianych po okrętach i wyspach. Okręty floty...

– Oddam trzecią część z nich do twojej dyspozycji – przerwał Skyerlor z pionową bruzdą na czole.

– Dziękuję ci, panie. Bądź pewien, że zrobię z nich dobry użytek.

– Zawsze nienawidziłem morza. Zasmuca mnie, że muszę wyprawić za nie Luminę – mruknął król, przyklękając przy małej księżniczce. Zamierzał osobiście odprowadzić ją do piastunki i wystawić przed sypialnią dziecka strażę. – Jutro opowiesz mi jeszcze o tych piratach. Ale przedtem odczynisz swój czar. Mam już dosyć tej przeklętej ciszy w

tym skrzydle zamku. To nawet nie jest cisza – westchnął ciężko, kiwając głową. – Nocą dociera tu tylko szum fal...

5.

Kłęcząc pod częstokołem, z rękoma skrępowanymi za plecami, Arion patrzył, jak zagroda płonie. Po twarzy ściekał mu słonawy pot. A może łyzy? Nie był pewien, miał wrażenie, że trawi go gorączka. Żółtoczerwone jęzory ognia ogarnęły już spichlerze i stajnię. Pięły się w górę na tle czarnego nieba. Powietrze było wypełnione dymem. Nagle przez podwórzec przegalopował koń ojca, ze spienionym pyskiem i z rozwianą grzywą pełną iskier. Wypadł przez otwartą na oścież bramę, nieomal tratując jednego z ludzi króla, i z dzikim rzeniem pognał na oślep w ciemność.

Z miasteczka i z szałasów na plaży zbiegli się ludzie. Arion słyszał poprzez trzask płomieni ich dalekie, podniesione głosy po drugiej stronie częstokołu. Szarpnął się bezsilnie, serce załomotało mu w piersi, ożywione nadzieją, że mieszkańcy przyjdą z pomocą jemu i matce.

Nie mógł wiedzieć, że najmici zatrzymali ich z dala od domu.

– Panie, nie chcemy utarczki! – zawołał ktoś z trwogą na widok znaku króla i odsłoniętych mieczy. – Ale ludzie nie mogą pozostać bezczynni w obliczu nieszczęścia sąsiada!

– Doprawdy? – syknął na to Nogus Peris. Gdy wyszedł przed szereg swoich sług, wszyscy cofnęli się z pomrukiem niechęci i grozy na widok jego skrzących się w ciemności oczu. W całej Delcie śmiertelnie obawiano się magów. Mieszkańcy przypisywali im cechy wcielonych w ludzi demonów. – Uważaj więc, żeby to nieszczęście nie okazało się twoim własnym! Ten dom płonie z rozkazu samego króla Skyerlora! To nie jest zwykły ogień. To ogień bogów. Zesłany z nieba, by oczyścić to miejsce, w którym wbrew prawom bogów i ludzi przechowywano kryształ!

Z tymi słowami Nogus wydobył, niczym z podziemi, drewnianą szkatułę. Blask, który z niej wystrzelił, dosłownie poraził zgromadzony tłumek, w którym większość stanowili obdarci rybacy. Paru z nich padło na twarz, skuliło się i zasłoniło oblicza.

– Ravael? Ravael korzystał z tych kryształów?! – wykrzyknął ktoś po chwili druzgocącej ciszy.

– Z nim zawsze było coś nie tak. Wiadomo... Nawet kiedy był dzieckiem...
Wszyscy to pamiętają. On przecież...

– Tej zimy Ravael wyleczył twoją córkę, kiedy rozpaczałeś, że umrze! Ludzie, czy nagle zapomnieliście, ile zrobił dla nas uzdrowiciel?!

Głosy docierające do uszu Ariona znów zaczynały się podnosić, przeplatać ze sobą nerwowo. Rwały się i gasły, wznosiły i opadały, jakby jego umysł nie był w stanie ich zarejestrować.

– Nikt nie sądził, że on korzysta z kryształów! Czyżby zaczął uważać się za maga? Czy sądzi, że jest lepszy od nas wszystkich? Przecież mój ojciec znał jego matkę!

– Ściągnął gniew magów na siebie i na nas wszystkich!

– Ale co z jego rodziną?

– Spotka ich sprawiedliwość – padła udzielona bezbarwnym głosem odpowiedź.

– Cisza!

Nogus Peris tracił cierpliwość do tych głupich, zabobonnych ludzi, cuchnących rybami i mułem. Jednak w chwili gdy już był gotów zrealizować wzbierającą w jego duszy, tajemną groźbę, wszyscy znieruchomieli. Zorientował się, że nie rzucają mu już trwożliwych, rozbieganych spojrzeń. Spoglądali teraz na zatokę. Nogus niemal czuł, jak ich serca uderzają mocniej, by pompować krew ściętą nagłym strachem.

Po smoliście czarnych falach o grzywach posrebrzonych niepewnym blaskiem księżyca zbliżało się w ich stronę światło nie z tego świata. Prąd i przyptyw niosły je do brzegu. Woda nie zalewała go, mimo że znajdowało się tuż nad jej nadal wzburzoną wiatrem powierzchnią. Czasem rosło, a czasem malało, gdy znalazło się w dolinie

pomiędzy dwoma grzbietami fal.

– Widmo albo morska zjawa. – Wśród rybaków przebiegł niepewny szmer.

Lęk i zdumienie sprawiły, że wyjątkowo łatwo poddali się nowemu rozkazowi Nogusa.

– Rozejść się! Wracajcie do swoich domów! – wycedził lodowatym głosem, dobywając z pochwy miecz z aratrańskiej stali ze znakami ochronnych run. – Jazda, jeśli wam życie miłe! Jeśli chcecie pomóc uzdrowicielowi, módlcie się za niego do ognistych bogów! Za niego i za zdrowie waszego króla!

Mieszkańcom Deltę nie trzeba było dwa razy powtarzać. Oddalili się w wielkim pośpiechu, wpatrzeni w niesamowite, roztańczone światło na morzu, choć rozumieli, że nie powinien oglądać go żaden śmiertelnik poza królem i wybrańcami władającymi magią.

– Podłóżyc więcej ognia. Pilnujcie dzieciaka i kobiety. W razie czego to ona, jako czarownica, ma spłonąć pierwsza – rzucił Nogus Peris do kilku ludzi. – Reszta idzie ze mną – rozkazał, ruszając natychmiast w stronę nawodnego blasku.

– Panie, to łódź – oznajmił odkrywco jeden z najmitów, kiedy po chwili zatrzymali się na opustoszałej plaży. Pośród kamieni i piasku dogasało kilka nocnych ognisk, porzuconych w pośpiechu przez rybaków.

Nogus zdławił w piersi niecierpliwe sapnięcie. Z tej odległości wszyscy widzieli, że na falach kołysała się opustoszała, pozbawiona wiosel szalupa. Jej dno pokrywały rozsypane kryształki, podobne do tych dopiero co odkrytych w płonącym domu.

Co to ma, u licha, znaczyć?!

– Przyciągnijcie ją do brzegu! – rozkazał Peris.

Ludzie w płaszczach zerknęli na siebie z powątpiewaniem. Owszem, mieli przy sobie sporo liny, ale na niewiele mogła się ona zdać w podobnych okolicznościach. Zresztą, szalupa była blisko brzegu.

Chwycili się za ręce powyżej nadgarstków i utworzyli ludzki łańcuch, który zaczął

powoli zagłębiać się w grzywy przybrzeżnych fal.

Mężczyzna, który ruszył jako pierwszy, był człowiekiem wysokim, lecz chudym i dość lekkim. Łódź przybliżała się do niego, a on do niej, kiedy nagle, nieoczekiwanie, dno usunęło mu się spod nóg. Niespodziewana fala podcięła również tego, który szedł bezpośrednio za nim. Przez ułamek sekundy zdawało się, że obaj zniknęli pod dnem szalupy. Pozostali zareagowali błyskawicznie. Łańcuch splecionych ramion napiął się i zakrzywił gwałtownie. Wydało się, że lada chwila rozbiją go fale, jednak wytrzymał. Dwie blade twarze wynurzyły się z wodnej kipieli, plując i klnąc. Wyciągnięte ramiona sięgnęły łodzi. Na dziobnicy zaciśnięto węzeł liny. Zaczęto powoli, metodycznie, ciągnąć szalupę w stronę brzegu. Coraz szybciej. Woda dookoła jej burt migotała od niesamowitych, świetlnych refleksów, rozproszonych w połyskliwe plamki, jakby spod tafli spoglądały na ludzi setki kolorowych, świecących oczu podwodnych stworzeń.

Nogus Peris, stojący na tle wzbijających się coraz wyżej szkarłatnych płomieni, spoglądał niecierpliwie, jak złożone na dnie łodzi kryształy przybliżają się w jego stronę. To musiała być ta łódź! Łódź, którą przybył do osady Gwinto Gerki! Ale gdzie on jest?! Co się z nim stało? Czy naprawdę mógł się utopić? Czy podczas burzy jakaś fala zdołała zmieść go z pokładu? Czy to możliwe?!

Nagle szalupa zatrzymała się i szarpnęła w tył jak narowisty koń na napiętym postronku. Najmici kilka razy pociągnęli z całych sił, równomiernie, w narastającym rytmie.

– Z drugiej strony jest lina! Łódź chyba stoi na kotwicy! – zawołał ktoś, przekrzykując szum fal, tak że słowa dotarły wyraźnie do uszu maga.

– To ją przetnij!

– Lina jest zbyt napięta! Musimy się trochę cofnąć! – krzyknął człowiek, który znajdował się najbliżej łodzi. Puścił swojego kompana i zanurkował pod falę, żeby wypłynąć po drugiej stronie podskakującej na wodzie szalupy.

Po krótkiej chwili serce podeszło mu do gardła i wydał z siebie chrapliwy, urwany,

zduszony krzyk.

Przeraziły go świecące ślepie, jarzące się, lekko skośne, wielkie oczy, które wynurzyły się nad nim z ciemności i mgły. Przypominały dwie upiorne, blade gwiazdy. Ich zbliżaniu się towarzyszyło ciche chlupotanie. Były już dostatecznie blisko, by ich żar mógł słabo oświetlić długi, łuskowaty pysk z rzędami białych, szablitych kłów wystających z obnażonych dziąseł. Mężczyzna zaczynał dostrzegać zarys tłustego, pękatego cielska. Ślepie przysuwały się wolno, szybowały nad nim, coraz wyżej. Wskazywały na ogromne rozmiary stworzenia. Najmita wstrzymał oddech. Poczł nacierające mocniej fale. Zawiał wiatr. W jednej chwili, z trzaskającym łopotem, napięły się mocno ogromne, błoniaste skrzydła.

Ludzki łańcuch rozprysł się. Część mężczyzn rzuciła się w fale, część przedzierała przez nie z panicznym lękiem, z wrzaskiem. Rozpierzchli się również ci, którzy zostali na brzegu. Uciekali co sił w głąb lądu, w stronę mokradeł.

Aż do tej pory mieli się za religijnych. Poczytywali sobie za zaszczyt, że nie są zwykłymi rzezimieszkami, zbójcami uganiającymi się za łupem, lecz tworzą część inkwizycji, którą król i magowie powołali dla słusznej walki przeciwko heretykom. Teraz ich przerażone, wyskakujące z piersi serca krzyczały, że wiara a życie to dwie różne sprawy. W rzeczywistości żaden z nich nie pragnął spotkania twarzą w twarz z prawdziwym bogiem. Na jego widok poczuli oszałamiający, pierwotny lęk. Strach przed śmiercią.

– Smok!!! Smok!!!

Przez ułamek sekundy Nogus Peris nie wiedział, co się dzieje. Zamarł na brzegu z lekko rozdziawionymi ustami. Jego oczy rozszerzyły się na widok upiornych ślepiów i rozpostartych wysoko posepnych, strasznych skrzydeł. A potem zrozumiał, co właściwie ma przed sobą.

– Stać, stać! To podstęp! Podstęp, wy durnie!!! – wrzasnął wściekłym, rozkazującym głosem, próbując zagrozić drogę uciekającym w popłochu najmitom.

Nikt go nie słuchał. Zdał sobie sprawę, że lada chwila zostanie na plaży sam. Próbował powstrzymać przynajmniej tych, którzy nie zdążyli dotrzeć do brzegu. Klnąc siarczyście, wbiegł po kolana w fale i wyciągnął w górę miecz. Miał to być gest zagrzewający do boju, ale Nogus Peris nie docenił ogromu lęku, jaki wywoływał w zwykłych ludziach żywy bóg.

Mocniejsza fala zmiotła jednego z najmitów tak, że wpadł na Nogusa. Mag doskoczył do niego i potrząsnął nim za ramiona, nie zważając, że ten dławi się i krztusi słoną wodą.

– Uciekaj! – wydyszał człowiek, wrywając mu się z wściekłością.

Nogus dopadł go znowu, chwycił za przedramię, zacisnął na nim palce jak kleszcze. Kolejna fala pociągnęła ich głębiej w morze.

– To podstęp! Zabiję was, jeśli nie będziecie walczyć!

Wywiązała się szamotanina. Najmita wywinął się jak piskorz i obrócił, a w rękach Perisa został tylko mokry płaszcz. I wtedy stało się coś, czego Nogus się nie spodziewał. Wzrastająca latami pycha i przyzwyczajenie do posłuchu nie pozwoliły mu nawet przypuszczać, że tak się to skończy. Najmita, próbując się oswobodzić, prędko wyciągnął nóż. Nogi zaplątały mu się w porzuconą szatę, a może w pływające wodorosty. Kiedy padał do wody, zwałił się na Nogusa. Zagłębił ostrze w pachę ścigającego go maga. Nóż wbił się w ciało po rękojeść.

Nogus Peris padł w wodę w momencie, gdy mocniejsza fala cofała się w morze.

Głowę wypełniało mu bulgotanie, jakby w mózgu zaczęły pękać naraz setki i tysiące bąbelków. Wisior z kryształem, który nosił na szyi na cienkim łańcuchu, zmienił się w zaciskający wokół gardła powróż. Ciężar wolno ciągnął go w dół. Woda obróciła Nogusem jak kłodą i wówczas zobaczył swój drogocenny kamień. Opadał na dno. Jego blade, połyskliwe światło przypominało koniec tunelu, który zamknęła wokół maga nieprzenikniona toń. Przed upadkiem Peris zdołał nabrać powietrza. Teraz nadęte policzki zaczynały go palić, jak gdyby zaraz miało rozsadzić mu twarz. W poświacie

kryształu widział wymykające się ze swych ust bąbelki i rozchodzącą w wodzie smoliście czarną krew.

Zdał sobie sprawę, że umiera. Ogarnęła go niepoohamowana wściekłość. Nie może teraz zginąć. Nie w ten sposób, nie tak. Pożarty przez oślizłe, obrzydliwe ryby, zarżnięty przez zwykłego niewolnika! Tysiąc myśli buzowało mu pod czaszką. Zrozumiał, że każdy z pęcherzyków powietrza, które migają mu przed oczyma, odmierza jego kończący się czas.

Wyteżył wszystkie siły. Musi się skoncentrować, zdobyć na najwyższy wysiłek woli. Wciąż ma przecież coś, co może go ocalić. Skupił się na ciężkim kryształcie ciągnącym go w dół. Poruszył ustami, przez co stracił resztkę bezcennego powietrza i jednocześnie sformułował w myślach zaklęcie. Rozdzierało mu płuca. Nie widział już światła magicznego kamienia. Oczy przysłoniła mu całkowita ciemność. Nie był to jednak mrok śmierci, tylko życia.

Łańcuch na jego szyi pękł, a kryształ zgasł, gdy dzięki zaklęciu Peris pobrał z niego strumień ożywczej mocy. Magia zaklęta w kryształcie zasiliła gwałtowną falą jego ciało. Ból, który je przeszywał, był rozdzierający.

Nogus poczuł, że dzięki magii zyskał jeszcze chwilę, by spróbować się ocalić. Uderzył wodę, poruszył drętwiejącymi, zeszywniałymi nogami. Nóż wciąż tkwił pod pachą. Magowi przemknęło przez myśl, że na razie krwotok ustał, a ostrze, które go zraniło, działa teraz jak wciśnięty w ciało korek.

Udało mu się dosięgnąć powierzchni. Wynurzył głowę, mokre włosy opadły mu na twarz. Fale szumiały i kotłowały się wokół niego. Haust powietrza, który wciągnął łapczywie, oszołomił go tak, że prawie zemdlał. Na mgnienie ogarnęła go dzika euforia, po czym potężna masa wody wcisnęła go pod powierzchnię, potem znów wyniosła w górę, jak źdźbło trzciny. Próbował ustalić, gdzie jest brzeg, rozejrzeć się wokoło. Oczy piekły go, paliły od soli. Kierunek wskazał mu ogień. Mag niejasno przypomniał sobie o pożarze, który sam kazał wzniecić w domu heretyków. Poczuł, że

serce staje mu w piersi, że oddech z niej ucieka. Niemożliwe. Brzeg był tak potwornie, tak cholernie daleko! Zdawało mu się, że dostrzega zarys porzuconej tam długiej łodzi, a obok sylwetki ludzi, którzy biegli w stronę plaży, przeskakując fale. Czy to złudzenie? Nad powierzchnią wciąż unosiła się mgła. Z daleka zabrzmiało coś jak szczęk oręza i Nogus zobaczył drugą, sunącą prędko ku plaży łódź z licznymi wiosłarzami. Chciał krzyknąć, zawołać, dać jakikolwiek znak, że jest tutaj i że ginie, że tonie... Nie miał na to sił. Z ust spłynęła mu gęsta, spieniona, słona ślina. Jedynym dźwiękiem, jaki z siebie wydobył, było ciche, gardłowe rzężenie.

W połowie jestem trupem.

Gdybym miał jeszcze chociaż jeden cholerny kryształ!

I wówczas przypomniał sobie o szalupie pełnej świetlnych kamieni.

*

Arion próbował pełznąć cieniem częstokołu w stronę nieprzytomnej matki. Było to zadanie mozolne i beznadziejne, ale chłopiec musiał działać, musiał uczynić cokolwiek. Ilenę związano, chociaż wcale się nie poruszała. Nawet nie otworzyła oczu. Arion zaczynał coraz bardziej martwić się o jej stan. Pozostałe uczucia były zdławione. Zdawało mu się, że nigdy jeszcze nie myślał tak jasno i logicznie, że nigdy tak wyraźnie nie postrzegał rzeczywistości. Czy tak właśnie widzi się świat w obliczu śmierci? Jest tak klarowny, tak intensywny i wyrazisty? Płomienie tańczyły i trzaskały na tle ciemnego nieba, malując cienie oprawców. Na ustach ciepło, słodkawo smakowała krew, między zębami chrzęścił piach, a każde jego ziarenko można było poczuć tak dokładnie...

Nagle z daleka dał się słyszeć ryk. Zbliżają się kroki, potykają się, dudnią o ziemię coraz mocniej... Bramy dopadł zdyszany człowiek bez płaszcza. Zgiął się wpół, zachwiał, ciężko oparł o palisadę. Zza rozchełstanej, ociekającej wodą pazuchy wypadł świetlny kryształ. Potem kolejny. Mężczyzna nie podniósł ich. Z daleka znowu słyszeć

wrzaski.

– Smok!!! Smok!!! – krzyczał człowiek bez płaszcza, układając dłonie wokół ust.

Następny najmita w czerni wpadł z przerażeniem przez bramę, której otwarte skrzydło obijało się o częstokół.

– Co tam się dzieje, do diabła?! – pytali ci na podwórcu.

– Smok!!! – wrzasnął człowiek do ludzi króla, którzy otoczyli go w jednej chwili. Chwytał jednego z nich za szatę, a w oczach miał dziki obłęd. – Nadlatuje! Jest ogromny, będzie tutaj lada chwila! Musiał zwabić go ten przeklęty ogień!

Mężczyzna wymachiwał rękami, wykonywał dramatyczne gesty. Jego słowa wywołały gwałtowne poruszenie. Pojedyncze wrzaski od strony plaży nasiliły się.

– Znikajmy stąd! Zabieramy resztę kryształów i w nogi!

– Co to ma znaczyć?! To rozkaz maga?! – zaproponował ktoś, wyciągnął nawet miecz, kiedy reszta już napychała sobie sakiewki. – Gdzie mag?!

Mężczyzna bez płaszcza przeciął powietrze wyciągniętą dłonią, naśladując cięcie mieczem.

– Mag nie żyje! Bran, uciekamy! Zabieraj resztę tych przeklętych kamieni!

Pozostałym nie trzeba dwa razy powtarzać. Tylko jeden nie dołączył do nich, wahał się, przestępował z nogi na nogę.

– Mag Peris nie żyje?! Jesteś pewien?!

Człowiek bez płaszcza stracił cierpliwość.

– Ja sam go zabiłem, do diabła! – wykrzyczał wściekle, lekko zdławionym głosem, którym wzbudził posłuch i strach. Najmici wbili wzrok w świetlne kamienie u jego stóp. – Zabierajcie tylko kryształy, nie mamy czasu!

W parę chwil oprawcy byli gotowi do drogi. Arion obserwował ich zmartwiały, nieporuszony, czekając podświadomie, aż cały świat przysłonią smocze skrzydła. Smok... Smok...

I wtedy poczuł na sobie spojrzenie mężczyzny bez płaszcza. Zobaczył wycelowany

palec, usłyszał wymierzone w siebie słowa:

– Dzieciak! Trzeba go zabić!

Mężczyzna w ciężkich od wody szatach zbliżył się żwawo, lecz ktoś prędko położył mu dłoń na ramieniu.

– Czekaj! Mag kazał nam spalić najpierw heretyczkę! Mówisz, że on nie żyje, ale ja wolę spełnić jego rozkaz!

– Ten dzieciak słyszał, co powiedziałem! Jeśli będzie śledztwo, dowiedzą się, że to ja uśmierciłem Nogusa!

Arion zdał sobie sprawę, że krzyki na plaży ucichły. Dookoła trzaskał ogień, huczał wiatr, jakiś mosiężny dzwonek tłukł mu się w skroniach. Najmici ujęli pod ramiona nieprzytomną Ilenę.

– Matko!!!

Jej stopy i łydki szorowały po ziemi, dół sukni włókł się po piachu, cała sylwetka czerniała zaś na tle blasku, wznosząc nierówne pasemka rdzawego kurzu. Arion próbował wstać, wił się, przewracał, padał twarzą, nosem, czołem w piach i w żwir. Zrywał się znowu, ale postać bez płaszcza była tuż nad nim, coraz bliżej. Mężczyzna brutalnie podniósł go z ziemi za włosy i sięgnął do pasa. Tam, gdzie powinien znajdować się nóż. Poharatana dłoń macała bok, palce chwyciły powietrze. Za nim ludzie króla pospiesznie opuszczali podwórzec i znikali w słonawej ciemności.

– Na demona! – Mężczyzna bez płaszcza zorientował się, że u pasa brakuje mu sztyletu. Jego nóż trafił do morza razem z przeklętym Perisem! – Bran, szybko! Dawaj nóż!

Arion próbował walczyć. Kopniak wymierzony na odlew w klatkę piersiową wypchnął mu całe powietrze z płuc. Dwóch ostatnich najmitów, którzy nie pierzchli jeszcze w ciemność, podniosło go znowu. Ten bez płaszcza miał nóż. Arion czuł, że nadal się dusi. Ostrze w potężnej dłoni było gładkie i lśniące jak lustro. Odblask ognia igrał w nim jak pęczniejąca plama szkarłatnej krwi.

– Zabij go, już! Musimy uciekać!

Sztylet uniósł się i Arion odruchowo zmrużył oczy. Słyszał cichy trzask i westchnienie, kiedy ostrze przecięło ciało. Cichy chlupot rozprutych gwałtownie wnętrzności. Przez rzęsy zobaczył z nieopisanym zdumieniem, jak głowa człowieka bez płaszcza stacza się w dół w fontannie ciemnej krwi, a korpus zwała w ślad za nią. Drugi najmita padł na klęczki od potężnego pchnięcia mieczem w plecy. Charczał i wywracał wytrzeszczonymi oczyma, kiedy mocna ręka chwyciła go od tyłu i odciągnęła podbródek, a druga jednym cięciem poderżnęła mu gardło.

– Gdzie Ilena?! Gdzie Ilena i Ravael?! – Ten głos, gniewny i dziko wzburzony, w jednej chwili kazał wierzyć Arionowi, że przeżył.

– W środku! – zawołał najgłośniej, jak to możliwe, jak tylko pozwalał mu dławiący ucisk w piersiach.

Gwinto cisnął na ziemię miecz i popędził do miejsca, w którym płomienie otoczyły drzwi. Rozpłynął się w dymie, w płomieniach, w iskrach, w głuchym trzasku. Arion szarpał się, aż poczuł, że ktoś przeciął więzy krępujące mu nogi i ręce. Nabrał powietrza w płuca. Choć nogi miał zdrętwiałe, podniósł się, zerwał do biegu. Jak najprędzej, żeby uratować matkę. Ktoś znowu go chwycił. Arion walczył, kopał, drapał i kąsał potężne ramiona, które powstrzymywały go przed rzuceniem się w ogień.

– Uspokój się, chłopcze! Zostaw to Gwintowi! – zagrzemiał mu w uchu stanowczy, ale stonowany, nosowy głos. Potężne ramiona otoczyły go mocniej, lekko uniosły nad ziemię. Arion przestał się szarpać i podniósł głowę. W półmroku rozpoznał te rysy. To żeglarz Tiko!

– Uspokój się albo będę musiał ci przyłożyć! – ostrzegł Tiko poważnie, z zatroskaną miną.

– Moja matka!!!

– Ona chciałaby, żebyś żył.

Arion rozejrzał się bezsilnie dookoła. Podwórzec opanowała chmara uzbrojonych po

zęby ludzi. Kilku zbliżyło się do niego i do Tika. Wyglądali groźnie i dziwacznie. Przy pasach mieli mnóstwo ostrzy, na piersiach wisioriki. Głównie mężczyźni, ale w blasku płomieni miga również kobieca sylwetka. Mieli krótkie, sięgające kolan peleryny. Ich miecze w półmroku parowały od krwi.

To oni zabili ludzi króla na plaży!

Chaotyczne myśli cięły i szarpały świadomość Ariona jak błyskawice. Bezsilny, zastygł razem z otaczającymi go ludźmi. W straszliwym oczekiwaniu wpatrywał się w ogień, w którym zniknął Gerk. Arion miał żołądek pod sercem, skręcony, związany w supełek. Każda chwila, każdy oddech zwałały się na niego, miażdżyły mu nerwy, jakby niebo miało runąć. Czemu oni tak stali, czemu nie biegli, żeby pomóc matce i wujowi?! Czy sądzili, że już umarli?! Żar zaczynał buchać w twarz, chłopak czuł, że policzki pokrywa mu gorączka, że kęsający gorąc rozpełza się po całym ciele. Przed oczyma pojawiły się latające, ciemne kleksy mroku. Arion zmrużył oczy i potrząsnął głową, by się ich pozbyć. Wydawało mu się, że przed jego twarzą trzepocą wielkie ćmy.

I wtedy z wielu piersi wyrwało się westchnienie. Arion dostrzegł stąpającą ciężko, pokrytą świecącym żarem postać wuja. I jeszcze jedną. Zwieszającą się z jego ramion, wiotką i bezwładną postać matki. W przyplýwie siły wyrwał się Tikowi i popędził w ich stronę. Część dachu domostwa zapadła się z trzaskiem i wystrzeliła wysoko fontanną iskier. Tiko wyprzedził Ariona, a Gwinto złożył w jego ramiona ciało Ileny, zanim, kaszląc wściekle, sam nie padł na ziemię. Chłopiec pochylił się nad ciałem matki owiniętym w podróżny płaszcz Gerka. Zobaczył jej nieprzytomną, pokrytą rumieniem twarz. Ręką, którą dotąd przyciskał do bolącego boku, lekko dotknął jej policzka. Jego dłoń była czerwona od krwi. Ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że cios człowieka bez płaszcza musiał go jednak dosięgnąć. Zanim wuj odciął tamtemu głowę...

– Dzieciak jest ranny! Szybko! Mocno krwawi! – Arion usłyszał kobiecy, silny głos.

Ogarnęła go leniwa, niewypowiedziana słabość.

Spojrzał raz jeszcze na matkę i czując znów podtrzymujące go ramiona Tika, mimowolnie zapadł się w ciemność.

6.

Tej nocy Egrit poczuł się staro.

Był zastępcą kapitana, więc nie powinien mieć pretensji, że zostaje na pokładzie z dwójką ludzi, podczas gdy dowódca z resztą załogi schodzi na ląd, żeby zabijać i mścić się na podpalaczach. Egrit nie wdawał się w dyskusje z Gwintem. Tym razem to było bez sensu. Gdy kapitan zajmował miejsce w łodzi, jego twarz przypominała maskę. Przekleństwa, które cedził przez zgrzytające zęby, brzmiały niczym obrazoburcza modlitwa. Wszyscy wiedzieli, że należy schodzić mu z drogi, kiedy jest w takim stanie.

Stary sternik nakłonił go tylko do tego, żeby zastosować przynętę: kryształy. Zwyczajni, zabobonni zjadacze chleba czmychali wszak na ich widok. Jednak ci, wśród których znajdował się mag, ciągnęli ku ich niezemskiemu światłu jak ćmy. Egrit nie słyszał jeszcze o czarodzieju, który przeszedłby obojętnie obok świetlnych kamieni. Stanowiły one źródło tajemniczej mocy, której magowie najbardziej potrzebowali. Uważali ich światło za odblask Iskry – pierwotnego, twórczego ognia, w którym z ciemności zrodził się świat, a wraz z nim pierwsi bogowie. Tylko nieliczni zostali wybrańcami, którym bogowie przekazali część swojej siły. Tym właśnie tłumaczono supremację magów i władanie królewskiej rodziny.

Przynęta umieszczona na łodzi podziałała. Zanim nadmorskie piaski wypłyły krew ludzi króla, Egrit podprowadził żaglowiec dostatecznie blisko brzegu, żeby złamać ducha przeciwników, zasiać strach. Tocząca się w cieniach nocy walka, która nastąpiła, przypominała raczej masakrę.

Obserwował ją znad koła sterowego, z wysokości kapitańskiego mostku, ale chociaż zapuścił się tak blisko plaży, nie widział wszystkiego. Los zostawił mu wszak tylko jedno oko, które w dodatku zaczynało powoli szwankować. Było jakby zaproszone niewidzialnym piaskiem. Wieczorami odległe obrazy rozmywały się. Egrit nie mówił o tym nikomu. Jak dotąd potrafił dobrze ukrywać swój sekret. Dzięki wyrobionej długim doświadczeniem, niesamowitej intuicji był jak stary pies myśliwski, który ślepie.

Mimo wszystko żałował, że nie walczy u boku innych. Przydałoby się rozruszać te stare gnaty, poczuć fale adrenaliny, które ożywiają ciało i ducha i podobno robią nawet dobrze na serce. Ostatnie lata kazały mu coraz częściej myśleć o śmierci. Nie zauważył, kiedy się postarzał. Najbardziej obawiał się zdechnąć beczynn timer, czekając na innych.

Gdy łodzie zaczęły powracać, doznał ulgi. Nad wodą poniosły się ściszone głosy. Na wieść o chłopcu i o kobiecie, których sprowadzono na pokład, wykonał ukradkiem zaklinający gest. Ta przekłeta noc miała w sobie coś z fatum, z krwawego pecha, w którego wierzą żeglarze. Kobieta była poparzona, chłopiec nieprzytomny. Jego szczupłe ciało zdawało się przelewać przez potężne ramiona Tika. Ciemna plama widniała w miejscu, gdzie przesiąkał prowizoryczny opatrunek. Gwinto kazał zabrać tych dwoje do swojej kajuty. Wyglądał jak upiór. Poparzony, w podziurawionym, zadymionym ubraniu, z czerwonymi oczyma i twarzą spływającą gęstym, brudnym potem. Egrit pokiwał głową, wysłuchawszy tego, co miał mu do powiedzenia kapitan i kilku towarzyszy. Wydał niezbędne polecenia. Aliya w asyście Warrasa miała pomóc lekarzowi.

On sam miał jeszcze coś do załatwienia. Zwinął sporo liny, rzucił okiem na miecz i noże u swojego pasa, po czym zajął miejsce w opustoszałej łodzi. Tylko młody żeglarz Parte czekał przy wiosłach. Starzec zamierzał posprzątać po krwawej jatce i się rozejrzeć. Nie miał na to zbyt wiele czasu, zważywszy, że powinni odpłynąć przed świtem.

Wśród zabitych nie było żadnego maga. Żeby się o tym przekonać, zajrzał w oczy

każdego trupa w czerni. Z wprawą rasowego grabieżcy odzierał z szat zimne, blade ciała, rewidował kieszenie, mieszki, broń, amulety i rozcinał kordzikiem podejrzane szwy, które mogły świadczyć o ukryciu czegoś w materiale. Jego kompani nie omieszkali uczynić tego wcześniej, ale nie dość dokładnie. Egrit pokazywał Partemu, jak postępować. Szkaradne rany i okaleczenia nie robiły na nim wrażenia. Niektóre ciała spoczęły w płytkiej wodzie. Czasem mocniejsze fale poruszały ich bezwładnymi kończynami, które zdawały się machać ku żywym. Zwłoki szybko zaczynały oblepiać słonowodne pijawki i ogryzać drapieżne, nieduże ryby, wyczulone na zapach krwi.

Pomimo słabego wzroku nic nie uchodziło uwadze Egrita. Miał długie doświadczenie. Grzebał w ziemi i okradał trupy, jeszcze zanim zabił pierwszego człowieka. W wieku jedenastu lat zaczął pracować jako grabarz wyklętych. To było tak dawno temu.

Starzec wsparł poplamione dłonie na biodrach i zapatrzył się na zabudowania miasteczka. Niezbyt wiele różniło je od większej wsi. Prawie wszystkie światła w oknach były pogaszone; na zewnątrz świeciły za to malutkie kaganki ofiarne, mające przypominać języki smoczego ognia. Zagroda napadnięta przez ludzi króla płonęła nadal, otulona gęstym dymem pełnym iskier. Do rana obróci się w dymiące zgliszcza. Nikt jej nie gasił. Pożar rozszalał się na dobre.

Ludzie tutaj mają zajęte serca! – pomyślał starzec, dostrzegłszy w ciemności grupkę, która przypatrywała mu się zza kamiennego mostku spinającego brzegi kanału. Zdecydował, że ruszy z Partem w ich stronę.

– Stój! Co z ciebie za jeden, człowieku?!

– Żeglarz! – odkrzyknął Egrit z daleka.

– Zostań po drugiej stronie mostu!

– Spokojnie. Zaraz odpływam. Jak widzicie, rozprawiliśmy się z tymi hultajami. Mam dla was dobrą radę.

– Jaką? – spytał ktoś wyzywająco.

– Pozbądźcie się ciał. Tak, żeby nie został żaden ślad, jasne? Przywiążcie do nich kamienie i strąćcie ze skały. Albo zatopcie w ruchomych piaskach. Podobno macie tu w pobliżu jakieś bagna?

– Owszem – odpowiedział jakiś posunięty w latach mężczyzna. Pozostali spojrzeli po sobie i wymienili szeptem pospieszne uwagi. – Wiemy, co robić, panie. Pozbędziemy się trupów jeszcze tej nocy!

– Gdyby zjawił się tu ktoś z królewskiej służby, ani wy, ani wasze żony, ani wasze dzieci nikogo nie widziały, prawda? A tamten dom – Egrit wskazał kierunek ruchem głowy – zapalił się od pioruna!

– A jeśli zapytają o mieszkańców domu? Co z nimi? Z Ileną i z jej synem?

– Nie żyją – odparł Egrit ściszym głosem. Na chwilę zapadła ponura cisza. – Wśród podpalaczy był mag, prawda? – odezwał się Egrit.

Mieszkańcy Delt poruszyli się niespokojnie.

– Istotnie – przyznał ktoś i głośno wypuścił powietrze z płuc. – Był z nimi człowiek, który miał oczy maga. Wydawał rozkazy. Miał ze sobą kufer pełen ognistych kamieni.

Pozostali wydali z siebie przytłaczający pomruk.

– Czy jego też zabili wasi ludzie, panie?

Egrit zmarszczył brwi.

– Nie ma go wśród zabitych – powiedział wolno. – Nie wiecie, co mogło się z nim stać? – Odpowiedziało mu grobowe milczenie, jakby wszyscy w jednej chwili wstrzymali oddech. – Bądźcie zatem ostrożni – rzucił im starzec i zatopił się w niewesołych rozmyślaniach. – Najpewniej jego ciało zabrało morze. Na mnie już pora. Bywajcie!

Kiedy wiosłowali z Partem z powrotem na statek, czuł łamiący ból w krzyżu przy każdym pociągnięciu wiosła. Prawie nie zwracał na to uwagi.

Co się stało z tym przeklętym magiem? Złowieszcze przeczucia pogłębiały się w duszy Egrita. Zjawienie się czarodzieja w tym miejscu, właśnie tej nocy, nie mogło

stanowić przypadku. Wysłannicy króla mieli ująć kapitana na łądzie. Nie zamierzali wdawać się w żadne walne starcia czy potyczki. Działali z zaskoczenia. Przybyli tu w konkretnym celu i w wielkim pośpiechu. Najemnicy zostali zrekrutowani niedawno, może w ostatniej chwili. Żaden z nich nie miał jeszcze wypalonej na ciele runy przyrzeczenia, do którego zobowiązywali swych ludzi magowie. Czarodziej zwerbował ich, ponieważ nagle, bez uprzedzenia, musiał dowiedzieć się, gdzie pojawi się Gwinto. Ale jak? Jak mógłby zdobyć taką informację? Nasuwała się tylko jedna odpowiedź.

Możliwe, że mieli na pokładzie zdrajcę.

Lecz jeśli to prawda, to kto mógłby nim być? Aliya? Jest w załodze najkrócej, pływa z nimi od roku. Mówi się, że trucizna i zdrada są domenami kobiet. Że łatwo kupić je za drogie błyskotki. Ale Aliya nie jest taką kobietą. Warras? Kto wie... Jeśli zdrajca naprawdę pragnął wydać Gwinta, gdyby mógł, zszedłby z nim na ląd, żeby znaleźć się poza zasięgiem wzroku kompanów. Zyskałby czas. Wiedziałby od razu, czy jego plan zakończył się powodzeniem, i upomniałby się u maga o swoją nagrodę. Tak więc Warras albo Tiko? Obaj wydają się godni zaufania. Tiko często dowodził swej wierności. Często był ranny i nigdy się nie skarżył. Jego dwóch braci pływało pod banderą dragitów, na innych statkach, pod innymi dowódcami. Ale jeden zmarł od odniesionych poparzeń, a drugiego powieszono. Czyżby więc jednak Warras? Nie grzeszył błyskotliwością. Podobno jego matka była karczemną dziewczką, która popadła w nędzę, kiedy przekwitła jej młodość; pospolitą, zawiedzioną dziwką. Warras... Człowieka wychowanego w biedzie zawsze łatwiej jest skusić bogactwem. Obojętnie, ile by już nie miał. Prawda jest jednak taka, że niejednen z załogantów pochodził z nizin. Każdy ubiegał się o własną sprawiedliwość.

Zbliżyli się do burty. Egrita zaniepokoiła cisza na statku, w której rozbrzmiewał wyraźnie rozpoznawalny hałas. Trzask, a potem nieregularne, głuche plaśnięcia. Coś zważyło się na deski i poturlało po pokładzie. Towarzyszył temu ściszony pomruk z wielu gardeł.

– Co tu się wyprawia, do stu tysięcy demonów?! – zagrział Egrit ochryplym głosem, gdy wdrapał się żwawo po sztormtrapie. Pod postrzępioną, czarną chustą narzuconą na szyję miał niewielką, okrągłą bliznę pomiędzy obojczykami. Kiedyś, gdy w młodości okradał wrak, pewien osiłek trzasnął go nadpróchniałą deską. Żelazny gwóźdź przedziurawił skórę u dołu szyi. Pamiątką po tamtej utarczce był świszczący, chrapliwy głos.

W ciemności jego kamraci tworzyli ponurą widownię, która rozstąpiła się niechętnie, by przekonał się na własne oczy. Warras wymierzał akurat Spenkerowi, żylastemu brodaczowi o krzywych nogach i twarzy szczura, potężny lewy sierpowy. Pięć osiłka zmarszczyła w grube fałdy skórę na policzku i prześlizgnęła się w stronę oka oraz nosa. W blasku wychylającego się zza chmur księżycy zamigotały pryskające z nozdrzy Spenkera kropelki krwi. Brodacz runął bokiem na obwiązaną linami pustą beczkę po zwietrzałym dawno rumie. Potrząsnął głową i spróbował wstać, ale Warras doskoczył do niego i kolejnym ciosem przeorał szczurzą twarz. Czarna broda była wilgotna od krwi i śliny.

– Spokój, do diabła!

Warras zerknął na rozwścieczonego Egrita i przyłożył Spenkerowi raz jeszcze. Wówczas niespodziewanie powalony na ziemię przeciwnik kopnął go w krocze. Warras pisnął jak prosiak. Skulił się, jakby polano go wrzątkiem. Mężczyźni wokoło zarechotali. Nie było w tym szczerej wesołości.

– Jesteście żałośni! – zawołała głośno Aliya, która na moment pojawiła się w drzwiach rufówki. Warras spuścił głowę, czując jeszcze większą wściekłość niż wcześniej. Z nozdrzy buchał mu rozgrzany walką oddech.

– Dopiero co biliście się z ludźmi króla! Ktoś z nich może nadal być w pobliżu. Opuszczam statek na chwilę i co się dzieje? Kompletny burdel! Porozwalajcie sobie te puste łby, morze będzie nosiło o jednego głupca mniej! – wysyczał Egrit. – O co poszło? – zapytał po chwili.

– Kryształy zniknęły! Fale wywróciły łódź, na której kazałeś umieścić część skarbu, do góry dnem! Jest pusta! – odezwał się głucho Warras.

Egrit poczuł na sobie wilczy wzrok otaczających go kamratów.

– Zniknął też kucharz, Piskorz! – warknął Spenker, leżąc wciąż plackiem na deskach. – Spędzałem najwięcej czasu z Piskorzem, ale ja o niczym nie wiedziałem! Pomyślcie! Czy pozwoliłbym mu zbiec ze skarbem i zostałbym tutaj, gdybym wiedział o jego planach? – Zacharczał i splunął w bok. O deski zastukał skrwawiony ząb. Mężczyzna zaczął dłubać grubymi paluchami przy dziąsłach. – Nic nie wiedziałem! – wyseplenił. – Ale taki dureń jak Warras nie może tego pojąć! Niektórzy nie powinni nigdy wypływać na morze, ponieważ sól natychmiast wyżera im mózg!

Warras zerwał się na równe nogi. Egrit doskoczył do niego i łypiąc zbielełym okiem, pokazał nóż.

– Ja tu ja jestem szyprem! – Spojrzał po pozostałych. – Brać ich!

Dragici pochwycili za ramiona Warrasa i zwlekli z desek pokładu krwawiącego Spenkera.

– Skoro nie mogą się dogadać, zwińcie ich w ładowni! Niech tam się ze sobą pogodzą. Nie potrzeba nam pieniaczy i obiboków, którzy zamiast pracować, wolą się teraz bić! Obaj macie złożyć całą broń! Powinienem kazać was od razu wybatożyć przy maszcie, ale mamy dziś ważniejsze sprawy!

Ani Warras, ani Spenker nie stawiali oporu.

– Straciliśmy kryształy, straciliśmy najcenniejszą część łupów!

– Jesteś dragitą czy skamlącym psem, Warras? – Egrit splunął.

Dwaj poobijani mężczyźni zniknęli w ciemnościach ładowni. Egrita otaczał mur wściekłych, milczących ludzi o ściśniętych z rozczarowania twarzach.

– Łódź z kryształami to był twój pomysł, panie szyper!

Egrit stanął na wysokości kapitańskiego mostku.

– Łódź była świeżo osmołowana i zabezpieczona przed wywróceniem! Ja sam to

sprawdzałem! Fale nie mogły jej po prostu wywrócić! Widzieliście, jaka była siła wiatru i wody. Jeśli istotnie Piskorz próbował skraść kryształy i odpłynąć tą łodzią, najwyraźniej zapłacił za to własnym życiem – powiedział zimnym głosem.

Mężczyźni spojrzeli po sobie nieufnie.

– Nie zarządzisz więc poszukiwań na lądzie?

– Na tym brzegu już nic na nas nie czeka. Wracam stamtąd, nie znalazłem żadnych podejrzanych śladów. Teraz mamy na pokładzie rannych. W tym kapitana! Czy zapomnieliście już, że właśnie zabiliście ludzi króla?! Ludzi, których sprowadził tu mag. To nie miejsce i pora na zabawę w pościg za kimś, kogo najpewniej właśnie gryzą ryby. Powtarzam: musimy odpłynąć stąd jak najszybciej! – Potoczył spojrzeniem po brudnych twarzach, połyskujących w ciemności od potu. – W nocy przy tym prądzie i tak nie odnajdziemy kryształów.

– Zwłaszcza jeśli ty sam, panie szyper, zabrałeś je na brzeg i gdzieś ukryłeś, żeby powrócić po nie za jakiś czas! Ty zniknąłeś, kiedy wszyscy wrócili z potyczki! Gdy zaczęliśmy przyciągać szalupę z kryształami do statku, okazało się, że jest wywrócona!

Egrit sapnął bez słowa, marszcząc brwi. Nie wiedział, jak przerażający stał się jego wygląd.

– Ktokolwiek jest winny, wykryjemy go i ukážemy tak, jak należy – powiedział lodowato. Postąpił krok naprzód i zacisnął suchą, żylastą pieść, ozdobioną sygnetem w kształcie kotwicy. – Strata części starego łupu nie może przyćmić nam naszego prawdziwego celu. A tym, jak wiecie, jest skarb droższy i cenniejszy niż wszystko inne. Czeka na nas nieśmiertelna sława! Skarb, który swym blaskiem przyćmi kryształy!

Oczy dragitów zaświeciły się w ciemności niepewnym uniesieniem.

Egrit skinął na Partego, który cisnął pod maszt kilka szat oraz trochę broni i błyskotek, które zabrali z ładu.

– Dziś powinniśmy cieszyć się ze zwycięstwa nad ludźmi Skyerlora. Wyrznięliście wszystkich, których udało nam się dopaść. Jutro będziemy losować łupy. A teraz

stawiać żagle i płynąć na północ! Niech każdy otrzyma dodatkową rację wina!

– Kto ma je rozdzielić, jeśli kucharz prysnął? – zapytał ktoś zjadliwym tonem.

– Rozumiem, że zgłaszasz się na ochotnika, Selmirze Kotwico?!

– Kotwica na kucharza! Kotwica na kucharza! – podniosły się rozbawione głosy.

Kotwica zachmurzył się, ale po chwili wybuchnął głębokim, dudniącym śmiechem.

– Do rozlewania wina jestem pierwszy!

– A więc załatwione! – mruknął do siebie Egrit. Kiedy odwracał się, by udać się do rufówki, za plecami słyszał słowa rozbrzmiewającej coraz głośniejszej, rubaszniej przyspiewki. Na tle innych odcinał się młody głos Partego.

Starzec zamknął za sobą skrzypiące drzwi swojej budy, jak nazywał malutką kajutę, którą zajmował od paru lat. Pomieszczenie było wydzielone przepierzeniem z desek i rozpiętych na nich starych tapiserii przedstawiających fantastyczne, dworskie sceny.

Egrit rozwiązał czarny fular na żylastej szyi i wymacał na niej ciężki klucz na rzemieniu pełnym małych supełków. Sięgnął pod pryczę po nieduży hak, którym podważył jedną z desek podłogi. Pod spodem błysnął otwór zamka. Egrit stwierdził z ulgą, że nie jest on naruszony. Włożył do środka klucz i przekręcił, co umożliwiło otwarcie rozsuwanego na boki wieka wąskiej skrzynki.

Wewnątrz znajdowały się jego oszczędności. Żałował nieraz, gdy przypominał sobie, jak wiele roztrwonił w młodości na kobiety, które nie były mu wierne, i na przyjaciół, do których nie miał zaufania. Tym jednak, co w tej chwili gorączkowo zaprzętało jego myśli, była fajka z cyprysowego drewna o prostym cybuchu. Egrit wymacał ją, po czym przycisnął i odkręcił ustnik, by upewnić się, że zwinięta w ciasny rulon mapa znajduje się na swoim miejscu.

Odetchnął z ulgą. Przez chwilę obawiał się, że jeśli istotnie mieli na pokładzie zdrajcę, to mógł on wcześniej odkryć jego skrytkę. Uspokojony, z ulgą rozwinął pergamin.

Egrit i Gwinto mieli po jednej części tej mapy. Wykreślona kunsztownie na welinie

atramentem wyciśniętym z trzewi ośmiornicy, opatrzona była wierszowanymi wskazówkami. Przecięli ją na pół, żeby jeszcze lepiej zabezpieczyć jej sekret. Sekret będący obietnicą skarbu, o którym Egrit marzył przez całe życie. Skarbu cenniejszego nawet niż świetlne kryształy. Czegoś, co – jeśli to zdobędą – pozwoli odmienić świat.

Ale wcześniej muszą znaleźć zaklinacza pogody.

7.

– Stanowczo jestem za tym, żeby płynąć teraz na Namirię, kapitanie! – rzekł Egrit z przekonaniem, rozparłszy się na krześle przy wielkim stole nawigacyjnym z mahoniowego drewna.

Na blacie leżało mnóstwo kryształowych sześciątów, przyrządów nawigacyjnych z podziałkami i przekładniami, naostrzonych piór albatrosów, woskowych tabliczek i plików pergaminu. Światło słońca wpadające przez półkolistą okna rufówki gubiło się w grubych kłębach dymu z fajki, którą pykał pod ścianą Gwinto Gerka.

Był rozebrany od pasa w górę. Rozdęte, wypełnione płynem bąble pokrywały jego przedramiona i kark. Runiczne tatuaże na łopatkach zniekształciły się tak, że nie sposób było je już odczytać. Zresztą ciało Gerka i tak przykrywały obecnie wielkie, blade, oślizłe małże, dogorywające po wydłubaniu ze skorup. Wszyscy żeglarze sądzili, że taki półżywy, świeży okład z głębin jest najlepszym lekarstwem na oparzenia.

Z ust Gwinta dobył się jęk, który zmienił się w złowrogi, pełen goryczy śmieszek.

– Mamy płynąć na Wyspę Przeklętych? To mi radzisz, Egrit? Wyspa Przeklętych...
– zamruczał. Zapatrzył się w przestrzeń nieobecnyimi oczyma. – Zaiste, jakieś fatum zaciążyło nade mną!

– Nie pleć bzdur, Gwinto! Uratowałeś tych dwoje! Medyk mówi, że mają spore szanse na przeżycie.

– Chyba tylko po to, żeby mnie nienawidzić! – wyszczał Gerik.

Egrit nie odpowiedział. Powleczone bielmem oko powędrowało mimowolnie w stronę przysłoniętych parawanem koi z żaglowego płótna, naciągniętego na ramy z desek. Okrętowy lekarz zjawiał się przy nich co jakiś czas, chociaż teraz niewiele mógł już zrobić.

– Żadne z nich nie odzyskało przytomności?

– Nie.

– Chłopak się wyliże, jest taki młody. To jeszcze dzieciak!

– Ilena mówiła mi, żebym nie odpływał w gniewie – wymamrotał Gwinto. – Prosiła, żebym został! Ale nie posłuchałem. Jest moją jedyną rodziną!

– Weź się w garść, Gwinto! – sapnął starzec surowo. – Nie poznaję cię! Leżysz tu jak zdychająca uchatka i rozczulasz się. Co mam ci powiedzieć, do diabła? Co się stało, to się nie odstanie. Wiesz, że dobrze ci życzę, ale załoga tego statku nie będzie czekać, aż wyliżesz się z oparzeń i opłaczesz bliskich. Piskorz zniknął. Straciliśmy znaczną część kryształów. W dodatku mamy na pokładzie tych dwoje! Dwie dodatkowe gęby, które wymagają opieki i jedzenia. Powinniśmy jak najszybciej zaczepić o jakiś port i znaleźć wreszcie tego przekłętą zaklinacza. To leży także w interesie twojej rodziny. Sam wiesz, że na łodzi kobieta i dzieciak będą mieli lepsze warunki. Aliya powiedziała mi, że może się zająć Ileną. Moim zdaniem to najlepsze rozwiązanie. Ta dziewczyna to twarda sztuka, ale jest wrażliwsza od nas, umie zająć się innymi.

– W końcu jest kobietą. – Gerik skinął głową.

– Osobiście wolałbym ją niż naszego lekarza, który, jak wiesz, choć jest poczciwy, sprawniej i chętniej odbiera życie, niż je ratuje – westchnął stary żeglarz. – Ale nawet Aliya nie będzie babrać się w opatrunkach w nieskończoność.

– To wszystko? – spytał Gwinto, unosząc jedną brew.

– Namiria to teraz najbliższy nam skrawek lądu – kontynuował Egrit zdecydowanym tonem. – Tam najłatwiej znajdziemy zaklinacza pogody. Za cenę, na

jaką może będzie nas stać po stracie tych przeklętych kryształów. Gwinto, sytuacja robi się poważna! Tamten mag cię ścigał. Pewnie podejrzewają, że mamy mapę. Domyślają się, czego szukamy. Możliwe, że trzymamy na pokładzie zdrajcę.

– Jeśli to prawda, zabawię się z nim osobiście! – wysyczał Gwinto przez zaciśnięte zęby. Wypuścił z płuc potężny kłęb dymu i strzepnął popiół z fajki.

– Łatwiej go będzie wytropić, kiedy zawiniemy do portu. Nawet na Wyspie Przeklętych. Każdy szpieg uaktywnia się, kiedy schodzi na ląd. To dla niego bezcenna szansa.

– Nie musisz mi tego tłumaczyć, Egrit – wycedził Gerk ze złością i niespodziewanie wbił w ścianę skryty dotąd w rękawie nóż. – Nie jestem głupcem! Zgadzam się. Płyniemy na Namirię. A potem ruszamy po ten przeklęty skarb.

Poderwał się, jakby poczuł niespodziewany zapach. Pokuśtykał za kotarę z płótna. Kiedy materiał się uniósł, Egrit dostrzegł zniekształconą twarz kobiety. Zamrugnął i mimowolnie podszedł w tamtą stronę.

Leżała na koi, przykryta białym prześcieradłem, przez które przebijały krwiste plamy. Skóra na nagich ramionach obumarła, zmieniła się w suchą, szorstką skorupę. Nabrała przy tym perłowego koloru, kontrastując ostro z nadpalonymi, ciemnymi włosami, rozrzuconymi na poduszce. Połowa spokojnej, nieobecnej twarzy wyglądała jak stopiona od żaru. Policzek był jedną wielką raną – gubił się w niej kącik pełnych ust, które musiały być kiedyś kuszące i piękne. Zarys jednego nozdrza całkiem się rozmył. Brew i rzęsy nad prawym okiem zniknęły. Powieka był nieruchoma i sztywna jak wiór. Część czoła zmieniła się w grubą, podchodząca krwią bruzdę.

– Była najpiękniejszą dziewczyną w całej Delcie... – powiedział cicho Gerk. – Całe moje życie, zanim ruszyłem na morze... Wszystko, ale to wszystko robiłem dla niej!

Egrit przelotnie położył mu dłoń na ramieniu i ruszył do wyjścia. Zamknął za sobą drzwi i niespodziewanie wpadł w wąskim korytarzu na Aliyę. Zaklął pod nosem z nieskrywaną wściekłością.

– To dla chorych czy dla kapitana? – zachrypiał, zerkając na wiadro z małżami, w które wetknięto również dzbanek ciemnobursztynowego płynu o kuszącym, cierpkawym zapachu.

– Lekarz mówi, żeby dawać im do picia tylko wino, bo to wzmacnia krew – wyjaśniła dziewczyna.

Miała na sobie męskie, płócienne spodnie i sznurowany stanik z głębokim dekoltem, na który narzuciła skórzaną kamizelę. Strój odsłaniał jej smukły, płaski brzuch.

– Jak się miewa kapitan? I co z jego rodziną?

Starzec westchnął głęboko i pokręcił głową.

– Chłopiec się z tego wyliże, ale ta kobieta... Nigdy już nie będzie taka sama. Gdyby śmierć była litościwa, zabrałaby ją we śnie, jak najszybciej. Tak byłoby najlepiej. I dla niej, i dla kapitana! To, co się stało, naprawdę go dotknęło. Myślę, że byłoby mu łatwiej, gdyby umarła. Los drwi z nas okrutnie... Ale przecież każdy z nas kiedyś kogoś kochał, prawda?

Aliya spuściła aksamitne rzęsy na ciemne oczy i lekko się rumieniąc, skinęła głową.

*

Trójmasztowy szkuner sunął po ciemniejącej powierzchni morza, gnany sprzyjającym wiatrem. Podobnie jak szybujący wysoko, samotny albatros, stanowił pojedynczy, uporczywy punkt pośrodku nieograniczonej przestrzeni. Zachodzące po lewej burcie słońce staczało się do widnokregu niczym ogromna kula topniejącego złota, dymiąca łagodnymi mgłami fioletowych i różowych obłoków. Odblask malował się na falach na kształt świetlistej drogi, która przecinała teraz kurs okrętu. Żeglarze brali to za dobry znak. Kochali takie zachody słońca jak ten, piękne i obiecujące dobrą pogodę. Przygotowując się do wieczornego posiłku, przekomarzali się między sobą i żartowali, na koniec dnia podśpiewując równo przy pracy. Czyszczono broń, ostrzono

harpuny, pucowano pokład. Kapitan nie znosił nieróbstwa, poza tym uważał, że mając zajęte ręce, załoganci będą mniej skłonni do rozmyślań o dwójce rannych z miasteczka, o straconych kryształach, a przede wszystkim o tym, że w ich szeregach mógł znajdować się zdrajca. To mogłoby w niebezpieczny sposób podzielić załogę. Tym zaś, co jednoczy na statku, jest ciężka praca.

Pierwsze gwiazdy zapalały się na niebie, kiedy zabrzączał dzwonek i na pokład wniesiono wielki kocioł z rybnym gulaszem oraz kolejny, z gotowaną fasolą. Załoganci rozsiedli się dokoła, pobrzękując zbieraniną przeróżnych naczyń, kubków, misek i dzbanków. Z beczki zamocowanej w pobliżu dziobówki czerpano równe porcje słodkiej wody. Kotwica zawiadował chochlą i w miarę sprawiedliwie rozdzielał owoc swojej pracy w kambuzie. Kuchnia, mimo umiejscowienia w pobliżu zejściówki, była dość ponurą norą pod pokładem, w której doskwierały gorąc i opary z garów. Dobrą stroną stanowiło to, że tylko tam można było jako tako wysuszyć odzienie. Kucharz na statku jest najważniejszy po kapitanie, dlatego mimo kąśliwych docinków ze strony towarzyszy Kotwica przyjął swoją nową rolę jako rodzaj nobilitacji. W mig zaznajomił się z zawartością spiżarki, wyliczył, ile czego przypada na głowę i które zapasy powinni najbardziej oszczędzać. Kapitan hartuje do walki dusze i marynarskie ciała, ale czymże stałyby się te ciała bez wypełnionego żołądka?

Gwinto Gerk pojawił się na pokładzie, żeby zjeść z innymi. Na jego widok ludzie przycichli. Wymienili poważne spojrzenia. Niechlujny, z potarganymi włosami, z pokiereszowaną twarzą o nieobecnych oczach i pociemniałych policzkach, kapitan był cieniem człowieka sprzed paru dni.

Przeżuwał niedogotowane kawałki ryby i łykowate kęsy fasoli głównie z przyzwyczajenia i rozsądku. Jedzenie straciło dla niego smak. Posiłek miał być okazją do rozmowy z ludźmi, ale Gwinto wcale się nie odzywał. Na tle innych dostrzegał tylko okrętowego lekarza. Wodził za nim ponurym spojrzeniem, w którym nadzieja mieszała się z morderczą groźbą.

– Napij się wina, kapitanie – rzekła miękko Aliya, siadając obok niego z napełnionym rogiem do picia.

Gerik nie odezwał się, przyjmując naczynie z jej rąk.

– Niech ono będzie lekarstwem na twoje smutki – dodała.

Milczała razem z nim, nie słuchając już pozostałych głosów. Wiatr wydymał nad nimi ogromne, ciemne żagle, gwiazdy mocniej rozpałały się nad masztami. Spróbowała uśmiechnąć się do niego, szukając słów, którymi mogłaby go pocieszyć. Poruszył się i spojrzał jej prosto w oczy, zaskoczony, że ona jeszcze tu jest. Pomyślała, że wcale jej nie widział. Może nawet nie słyszał. Oczy przysłańcał mu ból. Aliya nie spuściła wzroku, bo serce w niej zamarło.

– Warras i Spenker są nadal zamknięci w ładowni, kapitanie – powiedziała cicho, tak żeby nie przyciągać zbyt dużo uwagi innych.

Gwinto zamrugął nieprzytomnie, przypominając sobie niejasno sprawę bójki, o której wspomniał mu Egrit.

– Nie do mnie należy osąd ani też ich karanie, ale uważam, że powinieneś z nimi porozmawiać. Od dwóch dni nie mieli niczego w ustach. Wszyscy pytają, co z nimi uczynisz.

Gerik skinął głową.

– Masz rację. Pójdę do nich natychmiast.

Podał jej róg i w zapadającej szybko ciemności poczłapał do zejściówki.

Aliya odnalazła miejsce, do którego przed chwilą przyciskał usta, po czym wychyliła duszkiem resztę wina. Poczowała, jak ciepło ogarnia jej pierś i jak alkohol rozchodzi się leniwą falą po jej ciele – nie rozpuścił jednak ciężkiej, gorzkiej grudy, która utkwiała jej w gardle.

Wstała i podczas gdy w mroku załoganci rozmawiali, pili i dojadali ostatnie resztki z kotła, zeszła po skrzypiących schodkach pod pokład okrętu. Nie udawała się jednak do kubryku ani do ładowni. Podążyła mrocznym korytarzem łączącym, niczym długi

kręgosłup, dziób okrętu z jego częścią rufową. Tutaj czuło się delikatne, miarowe kołysanie i nocne westchnienia żaglowca. Gdzieś w głębi pod jej stopami zmagał się z wodą kil, dyszały wręgi. Dotarła do rufy, do drzwi kajuty kapitana. Bezszelestnie jak kotka wśliznęła się do wewnątrz.

Jedyne oświetlenie stanowiły dwa kryształły na stole nawigacyjnym i świeca za szklaną przesłoną przy rannych. Wokół płomienia wyrosła korona z zastygłych, woskowych kropelek. Rozpięte na ścianie mapy skrzyły się słabo od kurzu. W powietrzu słodkawy zapach zielska z kapitańskiej fajki mieszał się z mdłą wonią mikstur przyrządzanych przez lekarza. Aliya pomyślała, że medyk może wejść tu w każdej chwili, żeby sprawdzić stan chorych. Cóż, nie zdziwiłaby go jej obecność, przecież to ona pomagała lekarzowi, kiedy tylko mogła.

Zbliżyła się do koi, na której spoczywał chłopiec. Delikatnie odgarnęła grzywkę i przycisnęła usta do jego czoła. Gorączka, która trawiła go wcześniej, opadła. Aliya pogładziła go opuszkami palców po policzku. Nadal nie odzyskiwał przytomności, ale medyk był dobrej myśli. Do tej pory udało się uniknąć zakażenia. Natomiast kobieta...

Aliya przeszła za płócienną kotarę, która oddzielała chłopca od matki. Wąski snop kryształowego światła przenikał przez materiał. Z mocno bijącym sercem spojrzała na jej straszliwie zdeformowaną twarz, na ramiona pokryte spieczoną, martwą skórą, jak u węża.

Gdyby śmierć była litościwa, zabrałaby ją we śnie, jak najszybciej. Tak byłoby najlepiej. I dla niej, i dla kapitana – dziewczyna usłyszała w myślach słowa Egrita.

Nie tylko on wyrażał ten rodzaj mrocznego współczucia dla poparzonej kobiety. Jej obecność na okręcie odczytywano jako zapowiedź wiszącego w powietrzu nieszczęścia. Tak, żeglarze współczuli Gwintowi, ale martwili się o powodzenie własnych planów. Dlatego życzyli Ilenie śmierci. Szeptali o tym między sobą, przy pracy. Bo cóż, jeśli nie śmierć, mogło wybawić poparzoną kobietę od cierpienia albo szaleństwa, a ich kapitana od wewnętrznej gorączki, od opętania, w którym z wolna się pogrążał,

podczas gdy ta niewiasta utknęła między żywymi a światem duchów? Po pokładzie krążyły domysły. Smutne przypuszczenia, które przepoczwarzyły się w romantyczną historię wielkiej miłości, w jakich lubują się ludzie morza.

Aliya wypuściła powietrze z płuc. Nie powinna się wahać. Jest litościwa. Przecież nigdy przedtem nie zabijała z litości! Walczyła dla zemsty, dla sprawiedliwości, dla łupów, dla ochrony przyjaciół, żeby żyć. Zawsze wśród potu, krzyków, zasadzek i krwi. Jak wtedy, gdy poderżnęła gardło strażnikowi miejskiemu, który zgwałcił ją w portowym zaułku, kiedy była małą dziewczynką. Teraz było inaczej. Nie zrobi tego tylko dla siebie, lecz przede wszystkim dla Gwidona. Dla dobra całej załogi. Potrzebują mieć znów kapitana, kogoś, kto ich poprowadzi, kto będzie zagrzewał ich do walki. Robi to również ze współczucia dla tej oszpeconej kobiety, którą on mimo wszystko dalej kocha. Czy ona jest jego żoną, czy tylko kochanką, przyjaciółką z dawniejszych lat? A jeśli tak, ten chłopiec, Arion, jest jego synem...

Aliya nie mogła powstrzymać przesywającego ukłucia zazdrości. Mimo wszystko marzyła, żeby być na jej miejscu, nawet z jej ranami, nawet z jej zniekształconą twarzą. Chciałaby być kochana. Ale jeszcze bardziej pragnęła szczęścia kapitana. Gdyby ta kobieta mogła przeżyć, gdyby jej ciało nie było tak strasznie zmienione, że musiało to wpłynąć również na jej duszę... Gdyby ta skóra mogła jeszcze czuć jakąś pieczęć, dać mężczyźnie rozkosz i słodycz... Aliya pogodziłaby się z tym. Ale dalsze życie tej niewiasty zmieni również życie kapitana w udrękę, a załodze przyniesie tylko szkodę. Kto wie, ile dni lub tygodni spędzi jeszcze w śpiączce? I czy kiedykolwiek się obudzi? Co, jeśli Gwidon zechce zejść na ląd, żeby tam się nią opiekować? To byłaby mordęga. Dla niego, człowieka morza, oznaczałoby beznadziejną wegetację. Pirat łatwiej zniesie śmierć niż takie życie. A bractwo go potrzebuje!

Aliya zacisnęła palce na poduszce i ostrożnie wysunęła ją spod głowy chorej. Zdało jej się, że Ilena cichutko westchnęła. Dziewczyna wsłuchiwała się w jej oddech. Był bardzo płytki i powolny. Jakby mocno spała. To westchnienie musiał wydać chłopiec.

Aliya upewniła się pospiesznie, że on również śpi. Popatrzyła na twarz kobiety ostatni raz. Bolesny smutek wstrząsnął jej sercem.

Pochyliła się i dokładnie zakryła usta i nos Ileny poduszką. Oparła ciężar ciała na wyprostowanych, smukłych rękach. Gdyby ktoś teraz wszedł, byłaby stracona. Tak się jednak nie stało. Ciało kobiety nie stawiało właściwie żadnego oporu. Wyjątkowo słaby, niepewny zew życia uszedł z niej pod postacią leciutkich konwulsji, przypominających raczej przeszywający na wskroś dreszcz. Aliya dociskała poduszkę jeszcze chwilę po tym, jak ustał. Wpatrywała się w tym czasie we własną dłoń, w złoty pierścień z kotwicą, który zdobił jej środkowy palec.

Obejrzała poduszkę w świetle kryształu i gdy upewniała się, że nie ma na niej żadnych podejrzanych śladów, umieściła ją na powrót pod głową Ileny. Teraz musiała się spieszyć. Wróciła do wyjścia po własnych śladach, przemknęła głównym korytarzem do dziobówki. Po drodze zajrzała do kuchni i do mesy. Były puste.

Na pokładzie owiała ją słona ciemność. Gdzieś tam płonęły zakryte świece i okruchy kryształów. Część ludzi szykowała się już na spoczynek. Tylko stał przy kole sterowym, odwrócony do niej plecami.

Aliya poczuła, jak w jednej chwili spływa na nią całe ogromne zmęczenie kończącego się dnia. Mimo to wiedziała, że nie zaśnie od razu. Chociaż jej wachta wypadała dopiero po północy, dziewczyna wspięła się na bocianie gniazdo na bezanmaszcie.

Odetchnęła głęboko. Zadarła głowę w górę. Zawsze wydawało jej się, że bliżej stąd do gwiazd. Za dnia będąc tutaj, miała wrażenie, że szybuje, że może latać... Ale nocą morze stawało się straszne. Jeśli było pochmurnie, woda i niebo zlewały się w jedną, bezkresną masę ciemności. Dookoła nie było widać żadnego światła. Na pokładzie robiło się cicho. Szum fal zmieniał się w złowrogi ryk, w kakofonię splątanych bałwanów, skrywających pod powierzchnią świat bez dna, zmieniający ludzi w topielców. Świat bez głosów i bez powietrza, w którym milczy się już na zawsze. Świat,

który nie został stworzony dla ludzi. Okręt zaś prześlizgiwał się po jego granicy tak, by nie zbudzić wielkich potworów morza, tysiąc mil od wszystkiego, co bezpieczne, jasne i stabilne, jak gaje drzew owocowych, dachy domów kryte trzciną, portowe uliczki pełne ludzi, w których nigdy nie jest się całkiem samemu, ciepło paleniska i pachnący chleb, którego na statku nie jada się tygodniami... Morze do ostatka wyciskało z ludzi wszystkie tęsknoty, wzbudzając przy tym czasem pogardę dla życia, a czasem pokłady odwagi.

Aliya schodziła w dół, kiedy usłyszała zduszony okrzyk, brzęk i prężne kroki rozlegające się coraz głośniejsze. Zeskoczyła na deski, zastanawiając się, co się dzieje. Kotwica wyleciał z ciemności na pokład w poplamionym ubraniu. W garści dzierżył wielką chochlę, którą ścisnął jak miecz. Twarz miał białą, a oczy okrągłe jak dwie monety. Broda mu drżała, jakby szczękał zębami z dotkliwego zimna.

– Co się stało? – zapytał Tiko, który szybko zablokował ster.

Kotwica oparł się na jego ramieniu i odwrócił w stronę zejściówki.

– Duch... duch... upiór...

– Co takiego? – spytała Aliya, czując, że krew odpływa jej z twarzy.

Kotwica splunął, patrząc na nich błędnym wzrokiem, i potarł talizmany na swojej piersi. Nie wypuszczał z rąk potężnej chochli.

– Możecie mi wierzyć lub nie, ale mówię wam, że widziałem zjawę!

8.

Drewniane schodki zejściówki skrzyknęły płacziwie pod ciężarem Tika. Mężczyzna schylił się, żeby nie oberwać w głowę, kiedy wchodził pod górny pokład. Wyciągnął przed siebie muskularne ramię ze zdjętą z haka przy sterze przeszkloną latarnią w metalowej oprawie. Żółty płomyk kaganka migotał nierówno za okopconą szybką: tłukł się o nią, szamotał i odskakiwał, jakby próbował za wszelką cenę wydostać się na zewnątrz.

Tiko zrównał krok z powolnym, rytmicznym kołysaniem okrętu i ruszył najpierw do mesy. Był przekonany, że któryś z kompanów stroi sobie żarty z nowego kucharza i że kawalarz czmychnie właśnie tutaj. Kotwica powinien spodziewać się, że przyjaciele zechcą urządzić mu „zieloną noc”, skoro tylko objął nowe stanowisko. Tiko zazwyczaj nie podzielał poczucia humoru swoich kompanów. Tym niemniej uważał, że Kotwica dał się im nabrać do cna, jak naiwne, ssące jeszcze kciuk dziecko. Był zniesmaczony paniką w jego oczach.

Okrętowa jadalnia była cicha i pusta. Tiko zszedł pospiesznie poziom niżej, ale tu również nie znalazł niczego podejrzanego. Beczki, zwoje lin i obite metalem skrzynie z zaśnieżonymi uchwytyami otaczała niewzruszona cisza. Tylko smołowane drewno skrzypiało cichutko w ciemności, prężąc się pod naporem fal. Przy ścianie połyskiwał długi arsenał bezcennych harpunów. Poniżej znajdowała się już tylko ładownia. Tiko nie miał zamiaru szukać tam winowajców. Spieszno mu było do powrotu – kapitan złajałby go, gdyby wiedział, czym właściwie się zajmuje, podczas gdy powinien być na stanowisku. Tym bardziej że surowo zakazano wnoszenia pod pokład jakiegokolwiek ognia po zmroku.

U stóp ostatniej pary schodków czekała Aliya. Tiko oświetlił jej śliczną, bladą twarz,

która zmieniała się w cienistą maskę. Kotwica stał tuż obok, posepny, i wyłamywał sobie palce.

– Nic tam nie ma – mruknął do nich Tiko i wzruszył ramionami. – Lepiej oboje idźcie już spać. Pewnie żartownisie śmieją się w kułak. Tygodniami będą rozwodzić się nad twoim tchórzostwem, panie kucharz.

– My coś słyszeliśmy. Przed chwilą – odezwała się poważnie dziewczyna. – Sprawdzałeś w kambuzie i w spizarce?

W odpowiedzi Tiko ruszył do kuchni. Noc i świeże powietrze wpadały przez okrągły świetlik w suficie, przy którym zamocowano maleńki błyszczak. Żar w palenisku był wygaszony, a kotły ustawione w rzędzie według wielkości. Obok mocowanej pasami kadzi z morską wodą piętrzył się stos częściowo umytych garów. Porzucone ściery i rozbity, gliniany kubek świadczyły o tym, że kucharz został zaskoczony przy zmywaniu.

– Zobaczyłem go tutaj, w przejściu do spizarki – mruknął niewyraźnie Kotwica.

– Więc to był mężczyzna?

– Skąd mam wiedzieć, do diabła?! Sami widzicie, jak tu ciemno. Nie wiem, co to było. Stało tuż za mną, mówię wam. Gdybym się nie obejrzał... Do diabła! Te ślepie... Zimne jak lód. Cuchnęło jakby zepsutym mięsem. Wrzasnąłem i zniknęło w jednej chwili.

Zza pleców Aliyi dobiegł szelest. Cała trójka na moment wstrzymała oddech. Tiko wyprzedził dziewczynę i kucharza, którzy pospieszyli za nim do spizarki. Minimalnie uchylone drzwi chygotały się słabo w zawiasach. Gdy weszli do środka, znowu rozległ się szelest i wysoki, pojedynczy pisk. Tiko uniósł wyżej latarnię, a wówczas jej światło odbiło się w parze krwistoczerwonych ślepiów tuż obok drzwi.

Ogromny szczur zeskoczył z półki na podłogę i pomknął w ciemność.

– Masz swojego upiora, Kotwico! – wysyczał rozeźlony Tiko. – Zamykaj lepiej te przekłete drzwi! Razem z tobą szczury zmieniły miejsce pobytu z ładowni na kuchnię!

Może zaserwujesz nam je jako szaszłyk, do diabła?

– Milcz, durniu! Zastanów się lepiej, jakie dania sporządzał dla nas Piskorz! Ja dopiero co zostałem kucharzem! Nigdy wcześniej nie widziałem szczurów na podpokładziu! Może dlatego, że lądowały w zupie?

– Jest ich więcej – przerwała im Aliya. – Poświeć tutaj!

Tiko zbliżył się o krok. Poczul, że podeszwa buta zapadła się w coś miękkiego i śliskiego. Przesunął nogę z odrazą. To był martwy szczur. Niedaleko znajdował się kolejny. Trójka ludzi ze zmarszczonymi brwiami pochyliła się nad skrwawionym truchłem zwierzęcia. Ostra, szczeciniasta sierść była nastroszona i posklejana krwią. Szczur miał złamany kręgosłup i nie posiadał tylnych łap. Jakby wyrwano je z ciała. Na karku widniała paskudna, otwarta rana, jak od potężnego ugryzienia. Drugi zwierzak nosił podobny ślad.

– Pozagryzały się w trakcie walki o jedzenie. – Kotwica splunął i wyprostował się.

– I przy okazji pogruchotały sobie kręgosłupy? – mruknęła Aliya.

– Może dzieć się coś niedobrego – szepnął Tiko. – Dobrze wiecie, co mogą oznaczać szczury uciekające z dna statku – zawiesił głos. – Lecę zawiadomić Gwinta! Kotwico, zwołaj natychmiast ludzi, idźcie sprawdzić dolny pokład i ładownię! Szukajcie nawet najmniejszych przecieków! Zaraz zmienię się z Egritem i do was dołączę!

*

– Gwidonie...

Gwinto Gerk uniósł powieki, gdy usłyszał delikatny szept Ileny. Przekręcił głowę na wypchanym słomą, cienkim sienniku.

Stała pośrodku kajuty, w prostej, szerokiej sukni z jasnego płótna. Światło księżyca wpadające przez okna rufówki igrało w jej długich, ciemnych włosach. Spadały na ramiona łagodnymi falami, okalając jej twarz niby czarna aureola. Skrzyżowane dłonie

przyłożyła do piersi. Ścisnęła w nich jego kryształ nawigacyjny, który nasycił ciemność błękitną łuną.

– Gwidonie... – szepnęła znowu.

Gwinto podciągnął się na rękach i oparł o ścianę. Podeszła powoli. Jej suknia szeleściła rytmicznie i cicho. Usiadła na brzegu koi.

Nie wiedział, co powiedzieć. Od czego zacząć. Pragnął uściskać ją, objąć ramionami i z całych sił przytulić do piersi, bał się jednak sprawić jej dodatkowy ból. Poparzenia były tak dotkliwe...

– Tak mi przykro – wymamrotał. Niepewnie wyciągnął dłoń, żeby pogładzić ją po włosach. Poczł, że rękę ma ciężką jak z ołowiu. – Chciałem tylko spłacić dług...

– I spłaciłeś go – szepnęła głosem, który przypominał chłodny szmer.

Gerk wzdrygnął się.

– Ja dobrze wiem, czego chciałeś tak naprawdę. Wiem, Gwidonie. Wiem, choć ty sam nigdy się do tego nie przyznasz. Spłacić dług... Dług... – Przełknęła ślinę. – Chciałeś, byśmy to my go spłacili. Chciałeś odebrać mi to, co *twoje*.

– Odebrać? – Gerk na moment lekko rozdziawił usta. – Jak u licha możesz mówić takie rzeczy?

Lekko przechyliła głowę. Poparzona połowa twarzy tonęła w ciemności. Poranione oko błysnęło w mroku jak drobny okruch krwawnika.

– Odebrałam ci dzieciństwo, Gwidonie. Pamiętam o tym. Pracowałeś od świtu do nocy, żebym miała co jeść. Pamiętam, jak kopałeś kanały, wysysały z ciebie krew pijawki. A ja razem z nimi, prawda? Byłam pijawką. Zajmowałeś się mną. Tylko mną. Potem odebrałam ci jedyne przyjaciela, jakiego kiedykolwiek miałeś. To był mój dług, prawda? Nie mogłeś mieć już Ravaela wyłącznie dla siebie. Powróciłeś, żeby mi go wydrzeć. Ja odebrałam ci przyjaciela, a on odebrał ci jedyną siostrę. Siostrę, która była przecież twoją własnością. Czyż nie zapracowałeś na nią w pocie czoła? Siostra i przyjaciel! To była podwójna zdrada! To był nasz dług, Gwidonie. Dług, którego nie

umieliśmy spłacić. Dług, o którym nie mogłeś zapomnieć.

Gerk poczuł na karku zimne krople potu.

– Co ty pleciesz, na demona?! – wycedził przez zęby, potrząsając głową. – Czy sądzisz, że mogłem chcieć tego wszystkiego? – Poczuł, jak ogarnia go straszliwa bezradność. Wściekłość zmieniła się w ból. Każde jej słowo szarpało duszę jak płaskie pchnięcie sztyletem.

– Ja straciłam męża, bracie. Ale ty masz teraz mojego syna. Chłopca, jakim sam mogłeś kiedyś być... gdyby nie ja.

– Zamilcz! – syknął Gwinto z nienawiścią. Przez moment miał ochotę rzucić się jej do gardła. Zdławić w dłoniach tę szczupłą, jasną szyję. Zrobić cokolwiek, żeby tylko już nie mówiła. Poczuł ogień pulsujący w żyłach. Żołądek zmienił się w bryłę lodu. Gardło paliło. – Wyniosłem cię z pożaru! Ocaliłem cię! Nie chciałem tego, rozumiesz?! Obudziłaś mnie, żeby mnie dręczyć?

– Nie – szepnęła miękko. Nieoczekiwanie wyciągnęła dłoń i długo, delikatnie pogładziła go po policzku, nie zważając na niezgolony zarost. Jej palce były gładkie i miękkie jak jedwabie, które podarował jej tamtego wieczora. Wtedy, kiedy była taka szczęśliwa. Szczęśliwa i beztroska jak mała dziewczynka. – Chciałam powiedzieć ci tylko, że masz rację – szepnęła powoli, ze smutną słodyczą. – Zawsze byłam twoją dłużniczką. Dlatego nie martw się więcej. Jesteśmy kwita.

Świetlny kryształ rozpalał się w jej dłoniach. Gwinto zmrużył oczy. Sylwetka siostry zmieniała się w cień w oślepiającym blasku.

– Ileno...

– Kapitanie! Gwinto! – Znajomy, męski głos przedarł się do jego świadomości przez ciemność, przez szum morza, przez piekący ból poparzeń i pęcherzy.

Gwidon Gerk przez moment nie wiedział, co się dzieje. Otworzył oczy. Oślepiło go złociste światło przeszkłonego kaganka i czysty blask kryształu, uderzyły w niego pojedyncze, niezrozumiałe strzępki zdań, zapach potu i zimnego wiatru znad fal.

Zamrugnął nieprzytomnie. Siedział przy stole nawigacyjnym zasłanym wielką, misternie nakreśloną mapą i stertami różnorodnych papierów. Przyciskał do piersi kapitański dziennik – grube, oprawione w skórę tomiszczce. Palce miał poplamione czarnym atramentem. Musiał zapaść w drzemkę zaledwie przed chwilą. Przecież przysiadł tutaj tylko na moment, żeby sporządzić notatkę... Tego dnia był na nogach przez długie godziny. Zdał sobie sprawę, że nie zmrzył oka od pożaru. Aż do tej chwili.

Teraz Tiko pochylał się nad nim z poważną miną. Obok w półmroku stał medyk, ściskając w dwóch palcach długą, rybią ość, która służyła mu jako wykałaczką.

– Ilena? – powtórzył Gwinto pytającym tonem, wciąż jeszcze zagubiony między jawą a snem.

Lekarz na krótką chwilę zacisnął usta i wyciągnął z nich sterczącą ość. Przelotnie położył mu dłoń na ramieniu.

– Twoja siostra, kapitanie, umarła we śnie.

*

– Wszyscy wartownicy zostają na pokładzie! Pozostali niech podzielą się na dwie grupy!

Głos Gerka nie zdradzał żadnych emocji. Kapitan oparł stopy na siatce z lin, za nim widać było rozgwieżdżone niebo. Nocna bryza rozwiewała jego potargane włosy. Szmeru ucichły, kiedy zaczął mówić.

– Tiko, wy sprawdzacie wszystkie pomieszczenia na prawej burcie! Ja, Parte i reszta ferajny idziemy wzdłuż lewej. Kierujemy się od dziobu do rufy. Zaczynamy od pomieszczeń przy dnie statku, potem przemieszczamy się w górę. Nasłuchujcie każdego pluśnięcia! Od razu dawajcie znać, jeśli usłyszycie świst uciekającego powietrza. Zwracajcie uwagę na krople rosy na ścianach. Takie znaki świadczą o wdzieraniu się wody. Korki, deski i płótna są w pogotowiu. Powtarzam, okręt nie ma widocznego przechyłu. Zachowujmy więc spokój i sprawdźmy wszystko najdokładniej,

jak to możliwe!

Parte uniósł wysoko migotliwy lampion z okruszyną kryształu i ruszył posłusznie w grupie kapitana. Kilku kompanów, dla których nie starczało lamp ani błyszczaków, nadziało na ostre drzewce ciała małych, fosforyzujących ryb, złowionych w zarzucane na noc sieci. Nadal poruszały zielonkawymi skrzelami, próbując wić się w milczącej agonii. Egrit stał wyprostowany przy kole sterowym. Kiedy go mijali, paru ludzi zaklęło pod nosem.

– To wszystko wina starego! – Parte usłyszał wymruczane z gniewem zdanie. – Sternik jest ślepy jak kret, mówię wam! Byłem pewien, że podpływa za blisko brzegu! Przecież w tej zatoce było pełno namorzynów! Korzenie grube jak bale pod samą powierzchnią!

– Racja, ktoś już powinien go zmienić. Oby to było tylko małe przebicie – padła odpowiedź wysapana półszeptem.

W ciemności Parte nie rozpoznał mówiącego. To chyba Gilal. Parte spojrział szybko na starego. Było mu go szkoda. Egrit miał jedno oko, ale za to niezawodny słuch.

Chłopak starał się nie zastanawiać za dużo. Okąd pamiętał, taki był jego sposób na przetrwanie. Robił, co mu kazano. Kręcił się przy kabestanie, skracał liny albo popuszczał, a kiedy trzeba było, chwycił za wiosło. Na tej samej zasadzie sprawdzał teraz kolejne pomieszczenia. Nasłuchiwał. Poruszał się powoli, niemal bezgłośnie. Zresztą, wszyscy teraz milczeli. Przemierzali trzewia okrętu jak zbłąkane cienie, uczezione swych maleńkich światełek. Nie musieli się odzywać, by Parte wiedział, co myślą, chociaż nie uważali go za nazbyt rozgarniętego. Wiedział to, bo myślał o tym samym. O skarbie, który chcieli odnaleźć, i o śmierci, która jest tak blisko, że otacza ich ze wszystkich stron, może wdziera się już do środka przez jakąś sekretną szczelinę. Liczył dni od czasu, kiedy ostatni raz był na lądzie, i wyobrażał sobie ogrody warzywne, żeby dodać sobie otuchy. Był przygotowany na to, że zginie w walce z morzem albo z którymś z bogów. Ludzie króla mogli spalić go jako heretyka albo

powiesić jak zwykłego pirata. Pogodził się z tym. Ale myśl o całym statku, który idzie na dno nocą, w ciemności i całkiem bezgłośnie, z powodu jakiegoś błahego przebiccia – taka myśl budziła bunt i rozdzierała serce.

Posuwali się ku części rufowej. Parte zaczął odzyskiwać niepewny spokój. Przecież tu chodzi tylko o szczura, o zwyczajnego szczura w kuchni. O nic więcej! Co mogą znaczyć dwa przekłęte szczury wśród zapasów? W dodatku one nawet nie były żywe. Może to nowy kucharz ze swoim czarnym poczuciem humoru postanowił spłatać załodze niezły kawał? Czy naprawdę by się na to odważył? Jeśli tak, to kapitan się z nim porachuje.

Parte postąpił o krok i nagle zamarł w bezruchu. Poczul na karku chłodny, mrowiący dreszcz. Wydało mu się, że wielka beczka, która powinna stać pod ścianą, jest wyraźnie przesunięta. Jednak tym, co jeszcze bardziej zwróciło jego uwagę, był skrawek czarnej chusty, który się z niej zwieszał. Chłopak przysunął wątle światło, żeby się jej przyjrzeć. Na deskach widniała wyraźna, ciemna plama. Nie miał już wątpliwości. Podłoga i chusta były splamione krwią.

– Kapitanie! – syknął cicho do wężącego w pobliżu Gerka.

Gwinto podszedł natychmiast i na ścianie pokazał się jego nieco pokraczny, krzywonogi cień.

– Co jest? – mruknął krótko i zacisnął usta.

Chłopak dostrzegł teraz, że kapitan jest śmiertelnie blady, chociaż wciąż zachowywał zimne opanowanie. Cienie pod oczyma nadawały mu wygląd chorego na płuca.

– Fular. – Parte uniósł lampion i wskazał pokrwawioną chustę.

Spojrzeli na siebie na ułamek chwili.

– Poświeć tu. – Gwinto pochylił się nad beczką. Zajrzał do niej jak do mrocznej, zatrutej studni.

Była pusta.

Po jej dnie przebiegł błysk niczym długa, cienka, złota drzazga. Coś niby srebro pokryte rdzą. Parte odgadł natychmiast, że spoczywa tam nóż.

– Nie mów o tym nikomu – mruknął sucho kapitan, przygaszając lampę. Jego oczy zwężyły się jak u nocnego zwierza. – Nikomu, rozumiesz? – Zabezpieczył dłoń własną chustą i sięgnął po nóż. – Możliwe, że mamy na pokładzie zdrajcę.

*

Szumy, szmery, szepty. Kołysanie. Uporczywe kołysanie w głowie, w brzuchu, w piersi. Jakby cały świat chybotał się w posadach. Jakby zataczał się niczym odurzony winem człowiek, nie mogąc ustać i jednocześnie nie mogąc upaść. Jakby ktoś wstrząsnął całą ziemią i tak ją zostawił, wzburzoną, przechyloną, rozchwianą, tykającą jak wielkie, mordercze wahadło, którego już nie sposób zatrzymać...

Arion czuł, jak świat kolebie się w ciemności, a on razem z nim, nie mogąc wyrwać się z tego zaklętego rytmu. W duszy wolno wzbierał strach, a w brzuchu mdłości. Coraz wyraźniej słyszał poprzez ciemność ciche, ale nieznanne odgłosy. Nagle zrozumiał, że to musi być sen, i otworzył oczy.

Kołysanie nie ustało.

Przez chwilę wpatrywał się z napięciem w belkowanie sufitu. W jego myślach panowało otępienie, jak w czasie morderczych upałów, które latem na kilka dni nawiedzały Deltę. Spróbował usiąść i natychmiast cicho syknął z bólu. Musiał podeprzeć się ręką z powodu rwącego szarpnięcia w boku. Pomacał się po nim natychmiast. Ze zdumieniem odkrył ciemne żyłki szwów wystających spod świeżego opatrunku, który cuchnął jakąś gęstą maścią, przypominającą rybi tłuszcz. Zamrugał wielkimi oczyma. Co mu się, u licha, stało?

Powoli przesunął się na legowisku tak, żeby oprzeć plecy o ścianę. Spostrzegł, że całe jego odzienie, łącznie z bielizną, leży poskładane na stołku, który przytwierdzono do podłogi. On zaś miał na sobie tylko długą, płócienną koszulę i krótkie portki, w

dodatku o wiele za szerokie. Podjął raptowne postanowienie założenia własnych ubrań. Jednak kiedy próbował zwlec się z leża i przejść jakieś dwa, trzy kroki w kierunku stołka, przytrzymując w garści opadające spodnie, drzwi otworzyły się z rozmachem i stanęła w nich nieznana postać.

Oboje zamarli w bezruchu. To była młoda kobieta. Miała ciemnozłotą, wysmaganą wiatrem skórę i czarne włosy upięte w wysoki koński ogon. Krótka bluzka odsłaniała smukłą talię i idealnie płaski, sprężysty brzuch z przekolczykowanym pępkiem. Lekko opinała pełne piersi. Z jednego ucha nieznajomej zwieszał się długi kolczyk przypominający siatkę z klekocących dzwoneczków, które kiwały się nadal chwilę po tym, jak się zatrzymała. Arion zdał sobie sprawę, że to małe, białe muszelki.

Patrzyła na niego, a on na nią. Czując, jak policzki coraz mocniej płoną mu wstydem, nadal przytrzymywał ręką zsuwające się spodnie. Szybko odwróciła się i wyszła bez słowa, lecz Arion miał przeczucie, że stoi za drzwiami. Nie zważając na ból, porwał swoje ubrania. Były świeżo wyprane i niemal sztywne. Naciągał je niezdarnie, uważając na opatrunek. Czuł w ciele słabość. Mięśnie nie chciały go słuchać. Kiedy każda część jego prostej garderoby znalazła się wreszcie na swoim miejscu, odzyskał nieco pewności siebie. Nie wiedział, co począć, postanowił więc wycofać się znów na leżankę. Serce waliło mu szybko, jak gdyby miało wyskoczyć z piersi. Poczul uderzenie gorąca. Pokój rozkołysał się mocniej, kiedy spróbował przyjrzeć mu się uważniej. Zatoczył nagle młynek i wciągnął go jak wir. To nic takiego... To musi być zawrót głowy...

Arion podpełzł do ściany i znów oparł się o nią plecami. Odetchnął głęboko. W żołądku zaczęła wzbierać nowa fala mdłości.

– Nie powinieneś jeszcze wstawać – dobiegł go kobiecy głos.

Odwrócił się i napotkał poważne spojrzenie czarnowłosej. Nie zauważył, kiedy znów weszła do środka. Poruszała się cicho jak kot. A może ona jest tutaj od dawna? Może stała tu i widziała, jak się przebierał...

- Kim jesteś?
- Mam na imię Aliya.
- Gdzie jesteśmy?
- Na statku. To szkuner. Nazywa się Krogulec.
- Dokąd płynie?
- Na północ, w kierunku Namirii. Wiesz, gdzie to jest?

Arion nie wiedział. Miejsce przeznaczenia wydało mu się odległym majakiem. Cały czas kręciło mu się w głowie. To wszystko musi być snem. Ten rozbujany pokój, okręt, który jest ptakiem... Jest chory i śni mu się te rzeczy, pokręcone dziwadła. Jak inaczej to wytłumaczyć?

- Czemu tu jestem?

Kobieta wbiła w niego przenikliwe, ciemne oczy.

- Nie pamiętasz?

Obojętnie pokręcił głową. Wydała się rozczarowana. Wzięła głębszy oddech.

– Przyniosłam ci wodę i coś do jedzenia. – Wskazała splecioną z wikliny tacę z parującym, cynowym półmiskiem.

Arion poczuł falowanie w żołądku. Zapięкло go nieprzyjemnie poniżej żeber.

- Nie jestem głodny – stwierdził zdecydowanie.

- Musisz jeść, żeby odzyskać siły.

- Nie mogę.

- Musisz.

Poczuł złość.

- Nie znam cię. Nie mów mi, co mam robić. Nie jesteś moją matką.

Zbliżyła się o krok i usiadła obok, pobrzękując białym jak kość kolczykiem. Chyba chciała go dotknąć, lecz coś ją powstrzymało.

- Twoja matka nie żyje, Arionie. Umarła we śnie.

Jej słowa uderzyły w niego jak błyskawica i rozświetliły otaczający go kokon mroku.

Czuł wyraźnie, jak wypalają mu dziurę w piersi, jak zapada się sam w siebie, w wielką pustkę. Tysiąc obrazów przelatywało mu przed oczyma. Każdy z nich był burzowym rozbłyskiem, zabójczym dreszczem nieba. Szkatuła z kryształami. Ojciec, który wszedł do pokoju. Pukanie na dole. Ojciec. Błysk ostrza w ciemności. Srebrne oczy oprawcy. Płonąca książka. Matka. Matka, której nie mógł uratować. Głowa, która spadła z ciała. I ogień, wszędzie ogień, krew, ludzie i wrzaski.

– Przecież on ją stamtąd wyniósł... – wyszeptał zdrętwiałymi wargami.

– Długo oddychała dymem. Umarła we śnie.

Arion spostrzegł lecący mu z oka srebrny groszek łzy. Nagle znienawidził Aliyę za to, że widziała, jak płakał. Odwrócił głowę, duszę miał stężoną i zimną. Próbował ukryć przed dziewczyną twarz, jednocześnie rozmazując po policzkach słoną wilgoć. Wówczas natrafił wzrokiem na kogoś, kto przyglądał mu się w ciszy z cienia lekko uchylonych drzwi, spowity błękitnym dymem fajki. Mimo nowej blizny i przypalonej brwi rozpoznał tę ogorzałą twarz i bystre oczy w półmroku szerokiego kapelusza. Zimna nienawiść wstrząsnęła nim jak lód, zacisnęła mu się na gardle w szaleńczym uścisku. Nim Gwinto wszedł do środka, chłopak wycelował w niego zaciśniętą pięść i tylko jakaś niewytłumaczalna słabość powstrzymała go przed rzuceniem się na niego, przed okładaniem go pięściami do końca świata w szale zranionej sprawiedliwości.

– To ty! – wydyszał Arion przez zaciśnięte gardło. – Moi rodzice zginęli przez ciebie! To ty ich zabiłeś! Słyszysz?!

– Kapitanie... – szepnęła pobladła Aliya, raptownie podrywając się z miejsca.

– Wszystko w porządku – odezwał się powoli Gwinto, nie spuszczając z Ariona bystrych oczu. Ze świstem wypuścił z ust gęsty kłęb dymu. – Zostawmy na razie mojego siostrzeńca samego.

9.

Wiatr owiewał jej twarz mocnym podmuchem. Poryw otworzył szerzej delikatnie rzeźbione, ażurowe okiennice ze złocistego, cyprysowego drewna. Pomyślała, że może wieczorny chłód zaróżowi jej policzki. Zawsze była taka blada. Ojciec narzekał na to nieraz, więc matka już dawno przestała nazywać ją Perełką. Lumina zaczęła unikać luster. Wyglądała na chorowitą, anemiczną, a przecież jego córka powinna być okazem zdrowia. Zerknęła na moment na swoje niewyraźne odbicie w kryształowej szybie. W łagodnym, opalizującym blasku prawie nie widziała swojej twarzy.

Jej wzrok powędrował znów za okno, za mury i wieże pałacowego wzgórza. Rozlane daleko szafirowe chmury wisiały nad miastem, zaciemniając powoli karminowy horyzont. Ogień w olbrzymiej latarni morskiej, wskazującej drogę przybyszom, płonął tego dnia już od południa. Światło rozszczepiało się we wszystkich kierunkach w cudowne, migotliwe wiązki. Wytłumaczono jej, że to dzięki zwierciadłu z kryształu oszlifowanego przez maga.

Mimo wiatru słyszała głosy ptaków. Mewy i rybitwy kołowały gromadami nad portem, do którego powracali rybacy i w którym cumowały oflagowane statki ostatnich spieszących się gości oraz posłańców mających doręczyć podarki. Panował tam ruch i nerwowy harmider. Nawet z tej odległości Lumina widziała, jak wiosłarze kręcą się tam i z powrotem, jak tłoczą się między statkami, jak burty i wiosła niemal trą o siebie, a niektóre, bardziej śmigłe i zwrotne żaglowce ustawiają się w kolejce ku strażnicy na moście, żeby wpłynąć w górę jednej z odnóg rzeki. Nad nimi większe okręty o różnych kolorach żagli i rozmaitym takielunku pyszniły się przy kamienistych nabrzeżach. Żaden jednak nie mógł dorównać karaweli, która o świcie miała ponieść królewską córkę za błękit morza.

Lumina odetchnęła głęboko. Uniosły się jej drobne, zaledwie zaokrąglone piersi i znów ukłula ją jedna z długich, ozdobnych szpilek.

– Na ogień Przedwiecznych! Księżniczko, przecież możesz się przeziębic! – Nyla, która właśnie weszła do komnaty, podbiegła do niej i natychmiast otuliła ją puszystym szalem. – Chyba nie chciałabyś zachorować w takim dniu? – szepnęła przejęta, z powagą zaglądając jej w oczy. Swawolny, kasztanowy lok wymknął się spod siatki delikatnego pątliku na jej głowie.

Lumina zaprzeczyła. Za nic w świecie nie chciałaby sprawić jej dziś przykrości. Przecież niebawem miały rozstać się na zawsze.

– Wypatrywałam tylko bogów – wyjaśniła cicho.

– Bogowie przybędą po ciebie, księżniczko – szepnęła Nyla, musnąwszy kciukiem jej podbródek. – Ale nie dziś, nie tutaj... Od wielu lat nie widziano ich nad miastem. Tutaj ich namiestnikiem jest król.

– Więc gdzie oni są? – Lumina pozwoliła piastunce poprowadzić się przed ogromne zwierciadło w ramie z motywem z jadeitowych muszli. Było owalne, błyszczące i gładkie jak sadzawka w bezwietrzny, letni dzień.

– Żyją daleko, tam, gdzie kiedyś popłyniesz. Na skalnych wyspach podtrzymywanych przez korzenie z kryształu. Szybują nad falami. Kochają wiatr. Mogą lecieć, gdzie tylko zechcą. Jednak zawsze wracają do miejsc, w których strzegą zastygłych odłamków Iskry. Będą powracać również do ciebie, księżniczko.

– Widziałaś ich kiedyś? – Lumina starała się nie wiercić, podczas gdy Nyla z pomocą maleńkich szpilek po raz setny poprawiała misterne drapowanie jej delikatnej sukni. Szata w odcieniu fioletu miała podkreślać niezwykłą barwę jej oczu. W rękawach połyskiwały okruszki ametystów.

Kącik ust piastunki uniósł się lekko.

– Tak. Jeden, jedyny raz – westchnęła cicho. – Mój dziadek był prostym rybakiem, księżniczko. Wzbogacił się, kiedy został poławiaczem pereł. Miał drewnianą łódź z

jednym żaglem, którą pływał daleko od miasta. Potrafił wstrzymać oddech dłużej niż większość ludzi. Dlatego jego perły były najpiękniejsze. Kiedy nurkował, za każdym razem ocierał się o śmierć.

– Nie bał się umrzeć?

– Zapewne się bał. Ale ryzykował. Mawiał czasami, że strach jest gorszy od niebezpieczeństwa.

– I on pokazał ci bogów?

Nyła delikatnie otworzyła flakon. Opuszki jej palców, umaczone w bursztynowym olejku, musnęły fantastyczny kok Luminy. Żaden, nawet najdrobniejszy, jasnobrązowy włoszek nie mógł odstawać od finezyjnej fryzury ułożonej w niemożliwą płataninę splotów, egzotycznych kwiatów i spinek.

– Można tak powiedzieć. Pewnego razu zabrał mnie ze sobą. Pamiętam, że to było po odpływie i że zapuściliśmy się w okolice kilku kamienistych, płaskich wysepek, które odsłoniło morze. Tworzyły one coś na kształt laguny i to tam dziadek szukał pereł. Zbliżał się wieczór, a on wciąż nurkował, podczas gdy ja łapałam kraby na skałach i pluskałam się w płytkich bajorkach. Zjedliśmy posiłek przygotowany nam rano przez babkę. W pewnej chwili zobaczyłam na niebie rozbłysk ognia. Szybowało tam dwoje bogów. To było niesamowite! Cała drżałam, całkiem wstrzymałam oddech. Przelecieli nad wysepkami, nad naszą łodzią.

Oczy Luminy błyszczały jak dwa ogniki.

– Ach, Nylo! Dałabym wszystko, żeby choć raz ich zobaczyć! Tak bardzo chciałabym być tam z tobą i łapać wtedy kraby! Jak mogłaś nie powiedzieć mi o tym nigdy wcześniej?! Dopiero dziś... w tym dniu. – Lumina przełknęła ślinę. – Jacy oni byli? Jak wyglądali? Mów, Nylo!

Piastunka zamknęła flakon i odłożyła go na miejsce, pomiędzy liczne różnokształtne, kolorowe buteleczki, błyszczące fiolki z pachnidłami, słoiczki z barwnikami, żywicami drzew i płatkami kwiatów.

– Byli... Nie potrafię tego opisać, księżniczko. Wzbudzali podziw... i strach. Nigdy wcześniej nie widziałam tak majestatycznych istot. Zdawało mi się, że śnię. A kiedy straciłam ich z oczu, duszę rozdzierała mi tęsknota. Żałowałam, że nie mogę lecieć z nimi, nie wiem dokąd, w jakieś inne miejsce. Od tej pory już zawsze tęsknię.

Lumina zobaczyła w lustrze, że Nyla ukradkiem otarła łzę, która zjawiała się w kąciuku oka. Księżniczką wstrząsnął jakiś upojny, słodki ból i pierwszy raz poczuła coś na kształt radości na myśl, że została przez ojca przeznaczona bogom. Jednak nie chciała dłużej dręczyć Nyli jej wspomnieniem.

– Ja też będę tęsknić. Przecież mam odpłynąć stąd na zawsze. Już nigdy nie zobaczę... kogokolwiek – szepnęła cicho. Przygryzła wargę.

Nyla lekko ścisnęła ją za rękę i Lumina poczuła, że gdyby ta dziewczyna miała wystarczającą śmiałość, że gdyby ona nie była jedyną córką króla Skyelrora, gdyby nie cudne drapowanie sukni i gdyby nie goście czekający w dolnych salach, piastunka mogłaby ją teraz przytulić. Nigdy jednak się na to nie odważy. Poza tym nie miały już czasu.

Nyla sięgnęła po czarny kluczyk na szyi, który spoczywał dotąd między jej miętko zarysowanymi piersiami. Służący przyniósł przed chwilą jodeitową szkatułę i oddalił się natychmiast w otoczeniu strażników, którzy eskortowali go do tej komnaty. Gdy klucz dotknął zamka, zmienił kształt i kolor – zadziało jakieś ochronne zaklęcie. Nyla przekręciła go kilka razy w określony sposób i otworzyła skrzyneczkę. Uniosła zwój czarnej, aksamitnej tkaniny, spod której wydostało się ciepłe, zapierające dech światło.

Świetlny kryształ błyszczał w złotym diademie jak gwiazda zerwana z nieba.

Lumina miała wrażenie, że zmieni się w cień w jego blasku.

Przebiegały jej przez głowę straszne myśli. O ludziach zakutych w kajdany, którymi straszili ją bracia. O wpół dzikich niewolnikach uprowadzanych z wysp przez statki jej ojca tylko po to, by w kopalniach wydobywali kryształ. Podobno wszyscy ślepną, a raczej nie mogą znieść słońca. Nie mogą widzieć w żadnym innym świetle, tylko w

tym, które płynię z kryształów. A ono bije przecież tylko w czeluściach ziemi, a także tam, gdzie mieszkają bogowie. Lumina wzdrygnęła się. Czy ona też osłepnie, gdy już zamieszka na jednej z wysp, pośród zaślubionych sobie smoków? A może jej oczy staną się zimne i straszne jak oczy Wysokiego Maga?

– Musisz być dzielna, księżniczko – szepnęła Nyla, po czym podniosła się z klęczek i włożyła jej diadem. Wyglądał na ciężki, ale okazał się lekki jak nić pajęczyny. – Pamiętaj, co mówił mój dziadek. Strach jest gorszy niż niebezpieczeństwo. Nie pozwól, by zawładnął tobą lęk.

– A Wysoka Wyspa? Tam, gdzie mam czekać siedem lat, zanim drugi okręt zabierze mnie do bogów? Jak tam jest? – zapytała Lumina pospiesznie, niemal bez tchu, na odgłos kroków nadciągających korytarzem. – Ja przecież nic nie wiem... Po co te wszystkie tajemnice?

– Tajemnice nas chronią, księżniczko.

Rozległy się trzy stuknięcia długiej laski o kasetonowe, ciężkie drewno. Skrzydło drzwi przesunęło się samo, jakby pchane długą, upartą, niewidzialną ręką.

Lumina skuliła się, a Nyla dygnęła głęboko, ze spuszczoną jak najniżej głową. Zastygła tak niczym rzeźba na długą chwilę, z rąbkami sukni w rozłożonych dłoniach. Lyelyeban wyrósł w drzwiach i przywitał je swoim powolnym, mechanicznym ukłonem.

Jego srebrne oczy przypominały lód nawet wtedy, gdy cienkie wargi wyginały się w lekkim uśmiechu. Łańcuch z kryształem odznaczał się na tle czarnej, powłóczystej szaty. Ten człowiek zawsze przerażał Lumine. Może dlatego jego postać jawiła jej się w koszmarach. Miała wrażenie, że czasem we śnie słyszy jego jednostajny głos, szepczący zaklęcia w nieznanym języku, zawodzący jej imię jak gwałtowny wiatr, przyzywający ją w odległe przestrzenie. Czuła wówczas, że musi uciekać, odejść jak najszybciej, jak najdalej, zanim skończy się ta tyrada niemożliwych zgłosek, gardłowych, sykliwych i obcych, i jak miecz przeszyje ją podstępny czar.

Mag uklonił się.

– Księżniczko, wyglądasz jak bogini.

Jego słowa kazały jej spojrzeć w lustro.

Rzeczywiście, nigdy jeszcze nie wyglądała tak... niezwykle. Lekko rozchyliła usta. Lyelyeban podał jej ramię i powiedział to, o czym wszyscy dobrze wiedzieli.

– Z rozkazu twojego królewskiego ojca przyszedłem zabrać cię na ceremonię ofiarowania bogom.

Lumina stanęła obok. Za nic w świecie nie miała zamiaru uczepić się jego czarnego rękawa.

– Piastunko – niespodziewanie zwrócił się do Nyli czarodziej. Dziewczyna schyliła się tak nisko, że jej kolana niemal dotknęły ziemi. – Odejdiesz pod eskortą strażników.

Mag i Lumina wyszli. Korytarz był wysypany płatkami białych kwiatów. Mimo to, kiedy sunęli między chłodnymi murami, księżniczka wyraźnie słyszała dudniące, nierówne echo podkutych butów członków prywatnej straży Lyelyebana. Ogarnęło ją jakieś niespokojne przeczucie.

– Dokąd oni ją zabierają?

– Twój ojciec pragnął podziękować jej za długą i wierną służbę jego córce, księżniczko. Wierz mi, że piastunka otrzyma swoją nagrodę.

– Księżniczko! – Krzyk Nyli, raptowny, zduszony i niepewny, kazał jej natychmiast się zatrzymać. Odwróciła się.

Piastunka podbiegła do niej, mijając rozstępujących się strażników w lekkich, wysklepionych na piersi pancerzach. Klęknęła i uniosła do ust skraj jej długiej sukni w kolorze ametystów. Była bardzo blada, skórę miała jasną jak papier. Lumina ścisnęła jej rękę.

– Chciałam się pożegnać, księżniczko – wykrztusiła Nyli, podnosząc błyszczące oczy.

– Nigdy cię nie zapomnę – szepnęła dziewczynka, czując łzy pod powiekami.

– Więc weź ten pierścionek. Na pamiątkę. Mam drugi, taki sam. – Nyła wręczyła jej drobny klejnot i wyciągnęła na dowód rozpostarte, smukłe palce o wypielęgnowanych paznokciach. – To tylko kawałek koralu w złotej oprawie. Jeśli go weźmiesz, zawsze kiedy spojrzę na mój pierścień, będę mogła pomyśleć o tobie. Przyjmij go...

– Tak mi przykro, że ja nie mam nic dla ciebie! – wyznała Lumina, natychmiast wsuwając pierścionek na palec.

To prawda, nie miała niczego... Miała przecież wyrzec się wszystkiego, całego swojego dotychczasowego życia. Tego wieczora nic już do niej nie należało. Zmierzała na ceremonię. Zostanie poświęcona bogom. Jej bagaże znajdowały się na statku, który oczekiwał w przystani. Zamrugła oczyma, nagle zdumiona całą tą sytuacją. Tym, że była córką króla, a była tak bezsilna. Tym, że nie miała nic, co mogłaby dać.

– Lyelyeban powiedział mi, że mój ojciec sownie cię wynagrodzi – bąknęła Lumina, czując, jak powoli oblewa się wstydem. Na moment wbiła wzrok w ziemię.

Nyła potrząsnęła głową, nieobecna, wątpiąca. W swojej kolorowej sukni wyglądała jak wielki, muślinowy motyl, przyszpilony do tej podłogi pośród delikatnych, martwych kwiatów. Wypuściła powietrze z płuc i wstała powoli, po czym patrząc w pustkę, odezwała się drżącym szeptem, ostatni raz pocieszająco muskając jej dłoń:

– To już nieważne, księżniczko.

*

Zamiast kierować się ku schodom, Lyelyeban skręcił za załomem korytarza.

– Myślałam, że zabierasz mnie na ceremonię. – Lumina zawahała się.

– Naturalnie, księżniczko. Ale królowa pragnęła się z tobą zobaczyć, zanim udamy się do wielkiej sali. Liczę, że wizyta nie będzie długa.

– To znaczy, że moja matka nie zejdzie dziś na dół?!

Czarodziej wzruszył ramionami w taki sposób, że Lumina nie była pewna, czy nie

znał odpowiedzi na jej pytanie, czy też dawał znać, że absolutnie nic go to nie obchodzi.

Przełknęła ślinę i ruszyła za nim do komnat Rykieli. Starła się zapamiętać ten korytarz ozdobiony wielkimi gobelinami, gdzie skrzętni tkacze odmalowali różnymi ściegami bajeczne sceny z legend, które opowiadała jej Nyla. Światło kryształów w niszach ścian tchnęło życie w nieliczne z płaskich postaci, a zwłaszcza w sylwetki bogów o rozłożonych skrzydłach i płomienistym oddechu. *To oni ofiarowali pierwszym ludziom ogień, żar pochodzący z samego wnętrza ich ciał* – uświadomiła sobie Lumina. Ostrołukowe okna po wschodniej stronie korytarza wychodziły na wirydarz o alejach wysadzanych rzędami cyprysów. Powoli zasnuwała je ciemność.

– Zaczekam tutaj – oznajmił Lyelyeban.

Lumina skinęła głową z niejaką ulgą. Wiedziała, że jej matka nie cierpi Wysokiego Maga. Spotkanie z nim poprzedzał zazwyczaj atak dokuczliwej migreny.

Strażnik przy drzwiach zaszutował. Wrota uchyliły się i Lumina wśliznęła się do środka, uważając, żeby nie przydeptać sukni.

Wizytowa komnata królowej, pierwsze z ciągu jej prywatnych pomieszczeń, była pełna surowego przepychu. W wielkiej kuli z kryształu ustawionej przy biblioteczkę pływały pręgowane, kolczaste ryby o płetwach niczym ostre pióropusze. Rykiela uwielbiała otaczać się przedmiotami sprowadzonymi z morza, z egzotycznych wysp i na wpół wysnionych, dryfujących lądów, o których opowiadali portowi gawędziarze. Jej szpiedzy rozsiani byli zarówno po porządnym gospodarstwach, jak i po obskurnych, przybrzeżnych melinach, cuchnących rybami i najtańszym winem, pełnych marzycieli czekających na lepszy los, lokalnych zabijaków i morskich rabusiów, którzy zdążyli już roztrwonić świeżo zdobyty majątek. Nie musiała opuszczać pałacu, by wiedzieć, co dzieje się w mieście, a także daleko poza nim. Z morza napływały zwłaszcza baśnie, fantazje, legendy... Jedna z nich pojawiła się niedawno i powracała częściej niż pozostałe. Mówiono o dzikich piratach ujeżdżających smoki, zdobywających kryształy

i wyzwalających niewolników. Nazywano ich dragitami. Powiadano, że ich statki mają skrzydła, że rozdają kryształy zwykłym ludziom, żeby uczyć magii niewtajemniczonych. Czyżby tkwiło w tym ziarnko prawdy? Trzy okręty pod królewską banderą, które powinny już parę tygodni temu zawinąć do portu, do tej pory nie powróciły. Czy była to sprawka dragitów? Mówiono, że nie lękają się nawet bogów... Bogów, którym dziś miała poświęcić córkę.

Rykiela odwróciła się od okna wychodzącego na rzeczną przystań, gdy usłyszała ciche kroki Luminy. Opadła na wyścielany poduszkami fotel i przez chwilę przyglądała się dziewczynce.

Była wstrząśnięta jej budzącą się urodą.

Mężczyźni nie zauważają takich rzeczy od razu, są ślepi, nie umieją przewidywać. Rykiela potrafiła. Miała wyostrzoną intuicję. Dlatego odczuła teraz ulgę na myśl, że ogląda dziś swą jedyną córkę po raz ostatni. Pogratulowała sobie w myślach. To było najlepsze możliwe rozwiązanie. Właściwie jedyne. Takie, na którym wszyscy skorzystają. Ceremonia wzmocni prestiż i religijne znaczenie królewskiej rodziny. Oddali niebezpieczeństwo czyhające na życie Luminy i jednocześnie zabezpieczy los królowej.

Rykiela uśmiechnęła się lekko, przyzywając gestem księżniczkę. Dziewczynka uklękła u stóp fotela. Była taka smutna, wystraszona. Sądziła, że przeznaczono ją bogom od dnia przyjścia na świat, bo jest pierworodną córką Skyerlora. Gdyby wiedziała, że żyje właśnie dzięki temu, że urodziła się dziewczynką! Nie była córką Skyerlora, tylko Sykiarda. Gdyby była chłopcem, król kazałby ją zabić. Zamiast tego postanowił ją wykorzystać do umocnienia własnej pozycji. Zresztą, dopóki Lumina pozostawała w pałacu, jako jedyna córka Sykiarda stanowiła zagrożenie dla panującego porządku. Szczególnie dla Rykieli. Kto wie, czy za parę lat Skyerlor nie zainteresowałby się Lumina? Czy nie zdecyduje się ujawnić prawdy o jej pochodzeniu, której już z pewnością się domyśla? Nie łączyły go z nią bezpośrednie więzy krwi. Był

tak rozpasany, tak bezwstydy, że nie zawahałby się zaciągnąć ją do swej łóżnicy. To byłby ostateczny triumf nad zmarłym bratem, którego tak bardzo nienawidził. Zemsta sięgająca nawet poza śmierć. Nie tylko władza nad krajem, lecz również nad jego jedynym, niewinnym dzieckiem. Księżniczką, którą mógłby osiąść z równą zapalczywością i okrucieństwem jak ziemie, które podbijał. Wówczas los Rykieli byłby przesądzony. Nie byłaby mu dłużej potrzebna. Cały dwór byłby świadkiem tego, jak małżonek usuwa ją w cień.

– Spójrz mi w oczy, Lumino – szepnęła królowa, lekko unosząc dłoń jej podbródek. – Boisz się?

Księżniczka przełknęła ślinę, lekko skinęła głową. Była tak niewinna, tak prostoduszna. Chociaż Rykiela nie zajmowała się nią prawie wcale, by nie budzić wątpliwości Skyerlora co do tego, który z dwóch braci obdarzył ją umiłowanymi dziećmi, dopilnowała, żeby otrzymała skrupulatną edukację. Szczególnie baczyła na to, by do dziewczynki nie dochodziły nawet zdawkowe wieści o dworskich intrygach, pokusach władzy i kiełkujących spiskach. Nie chciała, by zaszczepiono w Luminie jakąkolwiek podejrzliwość, zachłanność czy nawet przezorność. Z czasem Rykiela nauczyła się patrzeć na nią nie jak na córkę, lecz jak na swą przyszłą konkurentkę do tronu. Całą miłość, do której była zdolna, przelewała na synów.

– Nie musisz się bać. – Królowa sięgnęła wolno po karafkę i napełniła kielich odrobiną koralowego wina. Cienki strumień błysnął jak krew. – To ukoi nieco twój lęk. – Podała naczynie księżniczce, która przycisnęła je do ust. – Jesteśmy niewiastami, los przeznaczył nas do dokonywania poświęceń. Dziś przeobrazisz się w żyjącą boginię... Prawdę mówiąc, zazdroszczę ci zaszczytu, jaki cię spotkał. Jak wiesz, ja nie byłam córką władcy. Nie miałam od dziecka tego wszystkiego, co masz ty. O wszystko musiałam walczyć, o każdą rzecz. Ty zaś masz się poświęcić tylko raz.

Lumina zamrugła fiołkowymi oczyma.

– Chcę, byś była ze mnie dumna, matko.

– Jestem dumna, najdroższa – szepnęła Rykiela, delikatnie gładząc jej policzek. – I chcę, by tak pozostało. Obiecuj mi, że poświęcenie będzie trwałe. I że nie wrócisz do tego zamku nigdy więcej.

Lumina poczuła, jakby na moment serce zatrzymało się w jej piersi. Przełknęła gęstą ślinę.

– Obiecuję, matko.

*

Wszystko działo się tak szybko. Lumina miała wrażenie, że wypite wino rozlewa się po jej ciele jak stygnąca lawa. W głowie szemrał jej wiatr. Mimo to kiedy schodziła po granitowych, szerokich schodach w otoczeniu Wysokiego Maga i swej matki, trzymała się prosto jak struna. A może podtrzymywał ją jakiś czar Lyelyebana?

Sala tronowa przeobraziła się dziś w świątynię, której dwie nawy, rozdzielone aleją wiodącą do świetlistego tronu, wypełniała po brzegi wielobarwna ciżba. Najwyżsi learowie i dostojnicy z całego Crystallum oraz z okolicznych poddańczych państwewek stawili się w Zamku Wiatrów we własnej osobie lub przysłali tu swych posłów, córki i synów. Ich różnokolorowe herby i znaki rodowe połyskiwały na piersiach, pelerynach i naramiennikach. Głowy mężczyzn i kobiet przykrywały białe, spiczaste kaptury. Tymi, którzy naprawdę wyróżniali się z tłumu, byli magowie. Tylko oni, oprócz królewskiej rodziny, mieli prawo mieć odkryte twarze i nosić długie, rozpuszczone włosy na największych religijnych uroczystościach. Zawsze korzystali z tego przywileju. Najważniejsi z nich, członkowie Wysokiej Rady, zajęli dwa rzędy wysokich, czarnych krzeseł, ustawionych równoległe do tronu. Kryształ osadzone w ich laskach z różnych rodzajów drewna mieniły się chłodnym światłem. Ich szaty były czarne jak noc, a oczy srebrzyste jak księżyc.

Król Skyerlor siedział wyniesiony ponad nich na podwyższeniu świetlistego tronu w kunsztownej zbroi płytowej z aratrańskiej stali. Lumine przemknęło przez myśl, że

wygląda, jakby szykował się na wojnę. Szła teraz samotnie w jego kierunku, krocząc wolno między rzędami ogromnych, kamiennych świeczników, które rzucały długie cienie na wpatrujących się w nią gości. Dodatkowy świecznik ustawiono przed tronem. Miał kształt wielkiego kielicha z obsydianu, czarnego jak szaty magów.

Lumina zamrugała. Runiczne inskrypcje na obsydianowych ścianach naczynia poruszały się z każdym jej krokiem. Zmieniały kształt, wijąc się jak węże, kłębiąc się niby gęsty dym. Pojęła, że oto stoi przed wyrocznią. Nie nadążała z odczytywaniem jej słów. Wiele z nich było na wpół zapomnianych, starożytnych. Symbole jej umykały, były takie zawile. Tylko jedno zdanie rzuciło jej się w oczy, zanim zanikło w plątaninie znaków: *Ogień i kryształ zostały dane ludziom, by umocnić ich panowanie na ziemi...*

Te słowa rozbrzmiewały w jej głowie jak mantra. Znajdowała się już tak blisko obsydianowej czary. Tren jej sukni prześlizgiwał się po gładkiej, zimnej posadzce. Wszystkie spojrzenia były utkwione tylko w niej. Księżniczka nie patrzyła na boki, nie odwracała się, żeby nie zderzyć się z tym mnóstwem oczu. W wyczekującej ciszy, która wibrowała jeszcze dalekim echem powitalnej trąby, słyszała głośnie bicie swego serca.

Najważniejsza była próba. Musiała udowodnić, że jest godna ofiarowania smokom, że jako dziecko króla nosi w sobie pierwiastek boskości.

W chwili gdy zatrzymała się przed czarnym kielichem, zza kolumny wynurzył się Lyelyeban. Przez salę za jej plecami przebiegł szmer szeptów. Mag nie odrywał od niej swoich zimnych, przenikliwych oczu, które wwierały się w nią jak ostrza. Zdjął przez głowę gruby łańcuch ze świetlnym kryształem i z zimnym brzękiem włożył go na dno naczynia.

– *Zbliź się, Lumino.* – Księżniczka usłyszała w myślach znajomy, beznamiętny głos czarodzieja.

Zajrzała na dno świecznika, które falowało jak lawa. Nagle ze świetlnego kryształu buchnął ogień. Niebieskawy, jaskrawy płomień piął się i tańczył na świeczniku niczym żywa, samowolna istota.

– Podejmij próbę.

Lumina przełknęła ślinę. Nabrała w płuca wielki haust powietrza. Powoli wyciągnęła dłoń i zanurzyła ją w święty, smoczy ogień, sprowadzony przez Wysokiego Maga. Czowała, jak płomień coraz mocniej liże jej skórę. Obiecała sobie, że będzie dzielna. Dotknęła świetlnego kryształu, który zmienił się w kulę ognia i wystrzelił pod jej palcami twórczym żarem Iskry, światła, które niegdyś przeniknęło pierwotną ciemność. Przygryzła usta. Coraz mocniej, do krwi. Nie poruszała się, nie krzyczała. Patrzyła w płomień bogów, który zsyłał jej oczyszczający ból. Czowała gęstą kroplę krwi ześlizgującą się spod zębów na jej podbródek. Ból był nie do zniesienia. Żar przenikał do kości, wgryzał się w ciało, rozrywał je i szarpał we wszystkich kierunkach. Lumina miała wrażenie, że topnieje, że zmienia się w popiół, że rozplywa się w nicość jak świeca pośrodku tej ogromnej sali, a wszyscy patrzyli w milczeniu, z jakąś chorą fascynacją, na ofiarne całopalenie księżniczki, której wyrocznia odmówiła ocalenia. Po drugiej stronie naczynia z ogniem uparcie stał Lyelyeban. Lumina zdawało się, że coś szepce, że przyzywa ją zza zasłony gęstych dymów, która odcięła ją od całego świata jak spuszczone kurtyna. Jej cierpienie było tak ogromne, że nie potrafiła zwrócić uwagi na czarodzieja. Ogień wystrzelił wyżej i przeniknął aż do jej duszy...

*

Nie pamiętała, kiedy straciła przytomność. Obudziła się w ramionach ojca. Ta chwila to był pierwszy raz, gdy ujrzała dumę w jego oczach.

– Teraz jesteś boginią – powiedział Skyerlor, pomagając jej stanąć na nogi.

– Nikt przedtem, ani mężczyzna, ani kobieta, nie zdołał tak długo wytrzymać próby ognia. – Usłyszała, jak jeden z Wysokich Magów szepnął te słowa, nachylając się nad uchem króla. – Co ujrzałaś w płomieniu wyroczni, księżniczko? – zwrócił się do niej nieznany czarodziej, głosem cichym, ale mocnym i nagłym.

Lumina wpatrywała się w swoją dłoń, na której boski żar pozostawił znamię w

postaci maleńkiej runy.

– Statek – odpowiedziała drżącym szeptem.

– Statek oczekuje na ciebie, Lumino – wyjaśnił ojciec, podczas gdy ktoś inny przypinał do jej ramion wielkie skrzydła na lekkim stelażu, wyszywane migotliwą łuską. – Karawela stoi gotowa w przystani.

Nie zdawała sobie sprawy, że to pożegnanie. Była zbyt szczęśliwa, jeśli mogła jeszcze myśleć o szczęściu, i zarazem zbyt oszołomiona cierpieniem, które tak łatwo jej zadano. Wszystko wokół było teraz jak sen, jak złudzenie mające zaraz pierzchnąć. Posadzono ją w lektyce unoszącej się nad ziemią. Gdy Lumina przepływała w powietrzu, widziała z góry obu swoich młodszych braci. Potem dojrzała ogromne, wiosłowe czółno ze złotym baldachimem. Odprowadzono ją na statek wśród wiwatów, muzyki i oklasków, wśród okrzyków ekstatycznego uniesienia. Tłumy żegnały ją z szaloną histerią, w powietrze szybowwały latawce w kształcie smoków i lampiony z papieru z maleńkimi, ognistymi światełkami. Wiele pożarów musiało wybuchnąć tej nocy w mieście.

Lumina ocknęła się ze swej obojętności dopiero, gdy karawela wychodziła w morze. Zaklinacz pogody zatroszczył się o wiatr. Ogień latarni morskiej, monumentalne wieże zamku i zabudowania miasta oddalały się od niej ze zdumiewającą prędkością, rozświetlone czerwonawą łuną. Nigdy jeszcze nie wydały się jej tak piękne. Nagle zapragnęła zawołać do kogokolwiek na brzegu, lecz w tej chwili już nikt nie mógł jej usłyszeć. Poczowała w sercu szarpnięcie nieopisanej tęsknoty i przypomniała sobie o pierścionku od Nyli. Przekręciła go na palcu naznaczonej dłoni – tej, którą włożyła do ognia. Wówczas jej zażawionym oczom ukazała się drobniutka, połyskliwa inskrypcja. Musiała być wcześniej przykryta emalią, którą wytopił płomień. Lumina dostrzegła teraz, że pierścionek wcale nie jest złoty, lecz że przypomina aratrańską stal... Ze zdumieniem przebiegła wzrokiem po maleńkich literach, sądząc, że to słowa pozostawione przez ogień wyroczni.

Pod koralem jest zbiorniczek z kroplą trucizny. Użyj jej, gdybyś musiała.

10.

– Rana szybko się goi – powiedział okrętowy medyk, kiedy kończył zmieniać opatrunek z wygotowanych, pociętych na skrawki szmat. Skórę przy szwach posmarował cuchnącą, gęstą mazią nieznanego pochodzenia. Obwiązywał brzuch Ariona świeżym bandażem. – Za parę tygodni będziesz zdrow jak ryba. Jak ryba, rozumiesz? – zachichotał chrapliwie, nie wyciągając z ust cienkiej wykałaczki, której koniec żuł nieustannie. Z tego powodu lekko seplenił. – Ale na razie musisz bardzo się oszczędzać. Leżeć, odpoczywać... Takie rany brzucha są paskudne. Bardzo zdradliwe. Powiem ci, chłopcze, że miałeś dużo szczęścia.

– Szczęścia? – Arion wzdrygnął się lekko, spuszczając koszulę.

Usiadł na brzegu koi. Nie pojmował, jak po tym wszystkim, co spotkało jego rodzinę, ten obcy żeglarz może jeszcze mówić mu cokolwiek o szczęściu.

Widział, że mężczyzna przyglądał mu się przez chwilę, co wywołało w nim dodatkową niechęć. Nie odczuwał wobec niego żadnej wdzięczności. Obecność medyka przywoływała myśli o ojcu, który był przecież znanym w Delcie uzdrowicielem. Tyle tylko, że w przeciwieństwie do tego chudego, milczącego zazwyczaj człowieczka o twarzy spryciarza, Ravael miał prawdziwy dar i podejście do swoich pacjentów. Rozmawiał z nimi, potrafił pocieszyć i wczuć się w ich sytuację. Lekarz na Krogulcu nie wyglądał na kogoś, kto choć odrobinę przejmuje się ludzkim cierpieniem. Wykonywał obowiązki w ciszy, z nieskończoną obojętnością, a kiedy wreszcie raczył się odezwać, to właśnie po to, żeby wspomnieć mu o szczęściu. Jakby to jeszcze coś dla niego znaczyło!

– Szczęście to żyć – odezwał się nagle medyk.

Ariona przeszył dreszcz, w oczach zakręciły mu się zimne łzy. To dobrze, że byli

teraz tylko we dwóch w tej kajucie.

– Jest pan lekarzem. Jak umarła moja matka? – zapytał cicho, spoglądając w oczy marynarza.

– Po prostu już się nie obudziła. Nie odzyskała przytomności. Musiała zatruć się dymem.

– Kiedy to było?

– Trzy dni temu. Nocą.

– Więc... jej ciało...

Lekarz pokręcił głową.

– Byłeś wtedy nieprzytomny. Już ją pochowaliśmy.

– Pochowaliście?

– Oddaliśmy jej ciało morzu – wyjaśnił cierpliwie mężczyzna.

Arion miał w żołądku bryłę lodu. Serce ścisnęło mu się jak suchy, skórzany woreczek. Matka umarła, więc ją pochowali. Jego ojca pogrzebał ogień, a matkę woda.

– Kto o tym zdecydował? – wykrztusił.

– Jak to kto? – Medyk wzruszył bezradnie ramionami. – Kapitan, oczywiście! On tu rządzi. – Mężczyzna przełożył sobie przez ramię pas skórzanej torby, w której brzdęknęły lekko fiolki z lekarstwami. – Myślę, że chciał ci też oszczędzić jej widoku – odezwał się na odchodnym. – Po pożarze... nie wyglądała zbyt pięknie.

– Niech pan już wyjdzie. – Arion miał gwałtowną ochotę rzucić się temu człowiekowi do gardła.

– Idę – mruknął lekarz, mieląc w zębach koniec wykałaczkii. Przy drzwiach rzucił chłopcu ostatnie spojrzenie. – Jeśli z nami zostaniesz, całe morze będzie ci jak matka.

Drzwi się zamknęły. Arion odetchnął z ulgą. Ostatnie słowa medyka rozbrzmiały mu w głowie jak echo. *Jeśli z nami zostaniesz...* Chłopiec wzdrygnął się z odrazą. Co to miało znaczyć? Jeśli zostanie z nimi tutaj? To znaczy gdzie? Na morzu, pośrodku niczego, tysiąc mil od wszystkiego, co zna i co kocha? Z nami, czyli tak naprawdę z

kim?!

Bezradnie rzucił się na plecy na swoją leżankę i powstrzymał syknięcie z powodu ostrego bólu. Za półkolistymi oknami czał się nieprzerwany błękit. Odkąd zbudził się tu po raz pierwszy, upłynęły dwa dni, a jemu zdawało się, że to cała wieczność. Przez większość tego czasu spał, czując fizyczne i duchowe wyczerpanie, którego nie był w stanie przezwyciężyć. Cieszył się, że Gwinto Gerk nie zaglądał do niego zbyt często. Nawet w myślach nie nazywał go już wujem. Gerk całe dni spędzał na pokładzie, z innymi żeglarzami, a jeśli potrzebował czegoś z tej kajuty, przychodził po to ktoś inny. Aliya albo Tiko. Gwinto zjawiał się tylko na noc, bardzo późno. Cicho kładł się na koi i wstawał przed świtem. Raz Arionowi zdało się, że widział go niby przez sen, jak w świetle malutkiego kryształu przeglądał papiery na ogromnym stole. Nie odzywali się do siebie ani słowem, lecz ta cisza wisząca między nimi była gęstsza niż mazidło medyka.

Jeśli z nami zostaniesz... Oczywiście, że Arion nie zamierzał zostać! Co jednak w takim razie uczyni? Zdał sobie sprawę, że od nocy pożaru ani razu nie pomyślał o przyszłości. Kiedyś, w zaginionym świecie sprzed ognia, sprzed bólu i krwi, był jeszcze dzieckiem. Nie musiał na poważnie troszczyć się o swój los, nie musiał przewidywać. W miasteczku jego rodzina żyła dość skromnie, ale stać ich było na służbę. Dzięki zdolnościom ojca wiodło im się dużo lepiej niż wielu ubogim rybakom, nawet jeśli uciskali ich poborcy podatków. Arion potrafił troszczyć się o gospodarstwo, o zwierzęta i sad, łowić ryby i zastawiać sidła na bagnach. Matka nauczyła go czytać i pisać, a ojciec względnie rachować. Dowiadywał się, jak przyrządzać lecznicze mikstury. Życie płynęło dla niego powolnym, jednostajnym rytmem, pełne wiatru i słońca, zabaw z rówieśnikami, spokojne i roześmiane. To wszystko rozwiało się jak złocisty kurz.

Teraz nie wiedział nawet, gdzie się znajduje.

Spuścił bosc nogi na podłogę. Postanowił dokładniej rozejrzeć się po tym

pomieszczeniu. Głównie dlatego, że nie potrafił dłużej spać, a tylko to przychodziło mu do głowy, żeby chociaż trochę oddalić burzę strasznych myśli i uśmierzyć trawiący go ból. Potrzebował jakiegokolwiek zajęcia. Czegokolwiek, co przepędziłoby obrazy kłębiące się pod powiekami. Widziadła ojca i matki... I tamtej piekielnej twarzy o srebrnych, migotliwych jak kryształ oczach, świecących pod naciągniętym kapturem.

Pierwszym, co przyciągnęło go natychmiast, był wielki stół pod oknem, zaścielony różnorakimi mapami. Zachwyciły go misterne rysunki wysp i raf wykonane kolorowym tuszem. Ich nazwy nie przypominały niczego, o czym do tej pory słyszał. Brzmiały obco i jednocześnie magicznie. Arion byłby skłonny uwierzyć, że spisano je jakimś szyfrem. Pożółkłe pergaminy i jaśniejszy, miękki welin roztaczały kuszącą aurę tajemnicy, która tylko czekała na odkrycie.

Kiedy napatrzył się już na mapy, cyrkle i nieznane mu przyrządy nawigacyjne, zwrócił się w kierunku biblioteczki. Ułożonych tam książek strzegła wielka szczeka pełna spiczastych zębów, zamocowana na ścianie i opierająca się aż o podłogę. Białe, jakby oszlifowane, lekko wygięte kości z gęstym sznurem kłów przypominały dekoracyjną kolbę. Nagle Arion uświadomił sobie, że to musiała być szczeka rekina. Gdyby odrobinę zgiął nogi w kolanach, zmieściłby się cały w jego paszczy.

Rozejrzał się uważnie po pozostałych ścianach kajuty. Pokrywały je mapy większe od tych, które widział na stole. Nad piętrzącymi się w rogach izby wielkimi kuframi na odzież i rozmaite sprzęty wisiały na hakach skórzane pasy z różnymi rodzajami kieszeni i przegródek, pikowane kaftany, a także puste drzewce do harpunów o dokręcanych ostrzach. Arion dostrzegł, że spoczywa tam także unieruchomiona, wysoka tarcza w kształcie łupimy orzecha. Wzdrygnął się na myśl, że rdzawy ornament, którym ją przyozdobiono, wygląda jak rozmazany ślad wielkiego szponu.

Postanowił powrócić do biblioteczki. Zwolnił zasuwę i otworzył jej ciężkie drzwiczki z matowymi, kolorowymi szybkami. Przebiegał wzrokiem grzbiety poszczególnych tomów, z których jedne były przykurzone, inne zaś najeżone

mnóstwem zakładek.

Wówczas natrafił na coś, czego widok zmroził mu serce.

Pochwycił tę książkę tak, jakby chwytał ulotne wspomnienie, jakby miała prędko wymknąć mu się z rąk, poczernieć i rozsypać się w popiół. Natychmiast rozpoznał jej okładkę, a teraz poczuł pod palcami znajomą fakturę wypukłych, twardych łusek, błyszczących jak ciemne perły.

Usiadł na rzeźbionym krześle przy stole. Ułożył wolumin przed sobą na blacie. Pierwsza stronnica upewniła go, że się nie mylił.

Opisanie wysp i morza według Dariniusa.

Przez chwilę nieznośne łzy kapały na sztywne, grube karty. Przysiągł sobie, że płacze już po raz ostatni. Otarł z twarzy wilgoć i zaczął wolno czytać. Zdanie po zdaniu, linijka po linijce, niezrażony nieco pompatycznym stylem.

Nie był pewien, na jak długo pogрузzył się w lekturze. W domu nie posiadali wielu książek i Ariona nigdy one nie ciągnęły. Darinius musiał posiadać dar opowiadania. Tym bowiem, co wyrwało chłopca ze świata ożywionej nagle wyobraźni, było dopiero wejście do rufówki Gwinta Gerka.

Mężczyzna trzymał na drewnianej desce parujący półmisek. U szerokiego pasa tkwiły pochwy z różnymi rodzajami ostrzy i zwinięty w ciasny ślimak kłęb liny.

Zmierzyli się wzrokiem, jakby zaskoczeni swoją obecnością. Arion bezgłośnie przełknął ślinę i obojętnie spuścił głowę nad rozłożoną książką. W duszy palił go gniew.

Kapitan postawił półmisek na stoliku przy drzwiach.

– Przyniosłem ci coś do jedzenia. Ostatnie dzieło kucharza – mruknął.

Arion nie odpowiedział. Gerk podszedł do niego powoli. Nie odzywał się przez chwilę, po czym głośnie chrząknął.

– Zainteresowała cię? – spytał cicho.

Arion uniósł wzrok i wbił w niego roziskrzony źrenice.

– Człowiek, który chciał cię zabić, widział tę książkę. Po tym jak zabili mojego ojca. Cisza zawisła między nimi, zimna i ostra jak miecz.

– Wolałbyś, żebym to ja zginął, prawda? – mruknął Gerk.

Arion nie odpowiedział. Uczepił się myśli o prezencie, który wtedy ofiarował mu wuj.

– Tamten człowiek – w myślach mignęła mu srebrnooka, upiorna twarz – powiedział mi, że tylko kapitanowie królewskiej floty mają prawo ją czytać. Dlaczego?

Gerk zacisnął usta. Westchnął głęboko. Przysunął sobie krzesło i usiadł w pewnej odległości od siostrzeńca.

– Darinius był żeglarzem. Jak my. – Kiedy Arion usłyszał słowo „my”, mimowolnie wzdrygnął się z niechęcią. – Opisał mnóstwo miejsc, wiele morskich prądów, wiele wysp... Bardziej tajemniczych i zdradliwych, niż zapewne możesz sobie dziś wyobrazić. Pytasz, czemu tylko kapitanowie Skyerlora mogą o tym czytać? Powiem ci. Jest tu o czymś... Jeden długi rozdział i kilka nawiązań... – Gwinto zawahał się. Szukał w myślach odpowiedniego słowa. Wyciągnął rękę, jakby pragnął przekręcić stronnice. – Darinius napisał o wyspach, na których zamieszkują bogowie.

– Bogowie? – szepnął Arion, mrugając oczyma.

– My nazywamy ich smokami. Przedwiecznymi. Zrodzonymi z Iskry. – Mężczyzna lekko wzruszył ramionami. – Król i magowie nie chcą, żeby zwyczajni ludzie wiedzieli, gdzie to jest... Nie chcą, żeby pływali w tamte strony.

– Dlaczego?

Gerk skrzywił się.

– Sądzą, że to, co poznane, przestaje mieć dla ludzi moc boskości. Boją się, że ich religia upadnie, jeśli ludzie dowiedzą się prawdy. Jeśli będą docierali do siedzib swych bogów. Jeśli odkryją kiedyś brzegi mórz, które dla nas wydają się bezkresne.

– Jeśli dowiedzą się prawdy – powtórzył Arion zdławionym głosem. – Jakiej prawdy?

Gwinto nie odpowiadał. Chłopiec zatopił nieobecny wzrok w grubych stronicach.

– Zabiłeś kapitanów, do których należała ta książka, czy tak? – odezwał się cicho. – Ta i tamta, którą dałeś mnie...

Gerka zmrużył oczy. Nieznacznie skinął głową.

– Dlaczego mi ją dałeś?

Kapitan wolno wypuścił powietrze z płuc. Potarł w palcach wyszczerbioną, złocistą monetę, którą wydobył nagle nie wiadomo skąd.

– Chciałem, żebyście wiedzieli... Żebyście potrafili mnie zrozumieć. Żeby twój ojciec, chociaż został na brzegu, mógł przeczytać o tym, co ja widziałem. Ta książka jest bezcenna. Sądziłem, że z jej pomocą łatwiej uda mi się przekonać Raveala...

– Przekonać do czego?!

Arion znowu uniósł wzrok i wbił w Gerka wzburzone spojrzenie. Spoglądali na siebie w zawieszistej ciszy.

– Chciałem, żeby twój ojciec popłynął ze mną. Tym statkiem. Jako zaklinacz pogody.

Chłopiec wstrzymał oddech. Tego było dla niego już za wiele! Dopiero co utracił ojca, a teraz okazało się, że ten człowiek, który sprowadził na ich dom nieszczęście i śmierć, od początku przybył tylko w jednym celu. Z zamiarem odebrania im Raveala!

Zacisnął pięści i zerwał się z krzesła jak oparzony.

– Nie chcę z tobą rozmawiać! Nie chcę tu być! – wysyczał i ruszył biegiem do drzwi. Tak szybko, jak tylko pozwalał mu ból wciąż gojącej się rany.

– Arionie!

Nie słuchał przyzywającego głosu Gerka, który również poderwał się z miejsca. Mężczyzna nie ruszył jednak za nim, nie próbował go zatrzymać. Arion pokonywał prędko drewniane schody prowadzące na pokład.

Uderzyło w niego słońce i wiatr, głośny szum fal, głosy ludzi, którzy nucili przy pracy jakąś smętną, nieznaną mu pieśń. Po kilku dniach spędzonych w pomieszczeniu

było w tym jakieś szaleńcze orzeźwienie. Przebiegł jeszcze kawałek i poczuł nagle lekki zawrót głowy, więc oparł się rękami o podstawę masztu. Głęboko wciągał ciepłe, słonawe powietrze. Serce mocno uderzało mu w piersi. Zmrużył oczy. Zamrugął ze zdumieniem. Oparł się o maszt plecami i zjechał w dół, zadzierając głowę w górę.

Nigdy w życiu nie widział takich żagli. Ogromnych, wydętych mocnym wiatrem. Były bardzo ciemne, niemal czarne, obsypane migotliwą łuską. Rozpostarte między masztem a bomem, przecięte pod skosem gaflami, których krańce wystawały w przestrzeń... Gdzieniegdzie połyskiwały w słońcu złote i błękitne plamki. Cieńsze drzewce miały wygląd długich, lekkich kości. Wieńczyły je ostre, połyskliwe wyrostki. Przypominały rozcapierzone szpony.

To były skrzydła. Wielkie, skórzaste skrzydła rozpięte przy masztach!

Arion nie wierzył własnym oczom. Jakby szukając potwierdzenia, że to nie żadne zwidy, zaczął rozglądać się dookoła po pokładzie. Niektórzy z żeglarzy spoglądali ku niemu ciekawie, większość jednak całkowicie ignorowała jego obecność. Wielu miało na ciele widoczne tatuaże. Niektóre niechlujne, jakby rozmazane, inne misterne i pełne zawiłych wzorów. Arion zdał sobie sprawę, że u paru mężczyzn miały one przykrywać blizny po oparzeniach. Skóra tych ludzi była brunatna albo złocista od słońca, ich mięśnie zahartowane, twarze zaś znaczyło długotrwałe, zagadkowe milczenie, jak u marzycieli albo szaleńców.

Podniósł się z desek pokładu. Czuł, jak zewsząd przenikają go obce spojrzenia. Zostawił za sobą rufówkę i mostek, zaczął wolno iść w kierunku dziobu. Wzdłuż burt co jakiś czas pojawiały się wykusze. Znajdowały się w nich ogromne maszyny strzelnicze. Zamocowano je na trójnożnych stojakach, które wieńczyły obrotowe głowice. Między drewnianymi ramionami rozpościerały się liny ze zwierzęcych ścięgien, naciągane za pomocą korby. W długich, suwnych korytkach połyskiwały zakończone zębatymi grotami strzały. Wyglądało to na gigantyczne kusze. Arion nigdy wcześniej nie widział balisty.

Im bliżej dziobu, tym więcej wilgoci niosło powietrze. Chłopak zbliżył się do wystrzeliwującego pod kątem bukszprytu. Wychylił się lekko i wciągnął w płuca pachnący jodem wiatr. Spojrzał w dół, na wodę. Szkuner pruł intensywnie niebieską powierzchnię fal, wzbijając falbany białej piany. Jej strzępki rozpryskiwały się na boki jak śnieżne fajerwerki. Nagle coś mignęło przed czołem wzbudzonej pędem fali. Wskoczyło nad wodę, a potem buszowało znów pod powierzchnią. Jeden raz, drugi, trzeci... Oczom chłopca ukazało się stado delfinów, które przyłączyły się do żaglowca. Widział, jak pędziły tuż pod wodą. Ścigały się z okrętem, skakały prędkimi łukami i zostawiały za sobą wąskie kominy białej piany.

– Delfiny... Przyjazne bestie. – Poprzez głośny szum Arion nie usłyszał, jak stary żeglarz podszedł do niego i stanął obok. Na dźwięk ochryplego głosu odwrócił się zaskoczony

Egrit z zamyśleniem pokiwał siwą głową.

– Przynoszą szczęście. Zapowiadają ład. Niektórzy wierzą, że bohaterscy żeglarze odradzają się po śmierci jako delfiny. Po to, żeby wskazywać drogę statkom. Żeby im towarzyszyć. Zawsze lubiłem obserwować te zwierzęta.

Długą chwilę trwali w milczeniu, oparci o burtę. Arion pomyślał nagle, że jego niepohamowana wściekłość mogłaby w końcu rozpuścić się z wolna w tych falach i na wietrze. Może kiedyś, za wiele lat... Lecz wówczas pozostałyby mu tylko głęboki, wewnętrzny ból, upiorna pustka i smutek, który już teraz przysłaniał wszystko niczym mroczny cień.

– Jak twoja rana? – odezwał się Egrit.

Chłopiec lekko wzruszył ramionami.

– Lekarz twierdzi, że goi się szybko – mruknął obojętnie.

– Nie chodzi mi o ranę na ciele – powiedział starzec łagodnie.

Arion spojrzał na niego z powagą, nie odezwał się jednak ani słowem.

– Mów mi Egrit.

– Arion.

Milczeli dalej, patrząc, jak delfiny wypryskują z wody przed dziobem sunącego szkunera.

– Żagle tego statku... wyglądają jak skrzydła – stwierdził wreszcie Arion cichym głosem.

– Istotnie. Wiatr zazwyczaj jest dla nich łaskawy. To skrzydła. – W oku starca odbiło się coś jakby wewnętrzna duma.

Chłopiec przysunął się bliżej. Zaczął spoglądać na leciwego sternika z narastającym zainteresowaniem.

– Możesz mi powiedzieć, kim jesteście? – poprosił wreszcie, przestraszony, że ten dziwny staruszek odejdzie i zostawi go na pastwę domysłów oraz pytań, których może nie odważyłby się zadać.

– Gwinto ci jeszcze nie powiedział?

– Chyba nie miał okazji. Nie chcę z nim rozmawiać – wyjaśnił ponuro.

– Ale będziesz musiał. To kapitan.

Arion zbył tę uwagę ruchem ramion.

– Nic mnie to nie obchodzi! I tak nie zamierzam tutaj zostać. Chcę zejść na ląd.

– Skoro tak, to po co chcesz wiedzieć? Czy to naprawdę ważne, kim jesteśmy?

Chłopiec skinął głową. Zmrużył oczy, po czym zapatrzył się w błękitny horyzont.

– Niezależnie od wszystkiego jesteście ludźmi, którzy uratowali mi życie – mruknął zdrętwiałymi wargami. – Ojciec zawsze uczył mnie wdzięczności. Nawet jeśli nie mogę jej okazać... Wydaje mi się, że mam prawo wiedzieć.

– Przemawiasz teraz jak mąż. – Egrit spoglądał na niego z ukosa zdrowym okiem. Westchnął i mocniej oparł się o burtę.

Chłopak czekał z nadzieją, że jego towarzysz zacznie mówić.

– Pewnie myślisz, że jesteśmy piratami. Sporo w tym racji. Większość ludzi, których widzisz na tym statku, ma za sobą ponurą przeszłość. Ale jest w tym coś dobrego.

Wiesz co? Tutaj nikt nie zdziwi się twoim cierpieniem. Jeśli nie chcesz, nie musisz się z nim kryć. Każdy z nas przeżył niejedno, zanim przystał do tej załogi. Kim jesteśmy? Spójrz tylko. – Egrit wskazał żyłastą ręką w stronę pokładu. – To zbiegli galernicy albo kopacze cudem ocaleni z zagłębi kryształów, zanim jeszcze przestali widzieć w słońcu. Nawróceni oszuści i przemytnicy, złodzieje, dłużnicy niepłacący podatków, wichrzyciele ścigani przez prawo, marzyciele szukający lepszych światów... Musisz przyznać, że to zaszczyt znaleźć się w takiej kompanii, prawda? – Po pomarszczonej twarzy starca przemknął cię szelmowskiego uśmiechu. – Jesteśmy wolnymi ludźmi. Panami szczęścia, rozumiesz? Jesteśmy wyklętymi, którzy walczą o sprawiedliwość.

– Sprawiedliwość... – powtórzył Arion, po czym pogрузzył się w chmurnych myślach.

Egrit lekko zmarszczył krzaczaste brwi, przypuszczając, że chłopiec widział w tym obłudę.

– Walczymy z królem, to prawda – wyjaśnił. – I kiedy możemy, wyzwalamy galerników. Rzadko jednak napadamy na neutralne statki, które z trudem mogłyby się bronić. Nasze bractwo zajmuje się czymś innym.

– Bractwo?

Szyper przytaknął.

– Owszem. Jest nas wielu. Ponad dwadzieścia flag rozsianych po różnych wodach. Nazywają nas dragitami.

Dragici...

Arion miał wrażenie, że kiedyś słyshał już gdzieś to słowo. A może to dzisiaj je przeczytał? Na jednej z wyrysowanych kolorowym tuszem map, pośród przedziwnych nazw, które przypominały mu magiczne zaklęcia?

– Więc czym zajmuje się to bractwo?

– Zdobywamy świetlne kryształy. – Kącik ust Egrita lekko drgnął. – Zastygłe odłamki Iskry, w których drzemie moc. W odróżnieniu od panującego nam króla i

jego magów nie zagarniamy ich poprzez niewolnictwo i wyzysk, w czeluściach kopalń, gdzie bat zgina udręczone ciała kopaczy... – Wzrok starca na chwilę stał się nieobecny. Żrenica była matowa jak zadymione szkło. – Nie zdobywamy ich też wyłącznie dla potężnych czarodziejów, żeby mogli jeszcze bardziej rosnąć w siłę, sycić swoje okrucieństwo i wierzyć, że na tym świecie są niemal bogami. My sądzimy, że magia może drzemać we wszystkich. Że nie jest to łaska zastrzeżona dla wybranych. Że niejeden, gdyby tylko mógł otrzymać odrobinę mocy z kryształu, odkryłby w sobie potężny dar...

– Mój ojciec posiadał taki talent – wyszeptał Arion.

Znowu patrzyli razem na morze.

– Jak więc zdobywacie te kryształy, skoro tutaj... – zawahał się chłopiec i lekko wzruszył ramionami. Zewsząd otaczał ich jednostajny, bezkresny, niekończący się horyzont. – Tutaj nie ma nic.

– Może nic, a może wszystko? – mruknął starzec z błyskiem w oku. – Jest wiele miejsc, wiele wysp. Na niektórych z nich znajdują się kryształy. Zdobywamy je z ogromną odwagą. Prawie zawsze strzegą ich Przedwieczni.

– Bogowie? – Arion zamrugnął zaokrąglonymi nagle oczyma.

Przez ułamek chwili brakowało mu tchu. Mnóstwo myśli naraz skłębiło mu się w głowie. Gdzieś na dnie świadomości czało się ponure olśnienie, którego jednak nie chciał stamtąd wydobyć na powierzchnię, którego w żadnym razie nie mógł przyjąć. Bogowie, których kiedyś obserwował z matką i ojcem nad falami ze szczytu trawiastego wzniesienia... Ogromne, dumne smoki. To na ich cześć tyle razy zapalali święty kaganek u stóp menhiru stojącego przed domem. To przecież oni strzegą wciąż świetlnych kryształów! Te wielkie żagle to ich skrzydła, one są prawdziwe!

Poczuł się tak zagubiony, tak skołowany, że jego myśli ogarnęła nagle dziwna obojętność.

– Więc walczycie z bogami? – spytał cicho, z sercem postukującym nerwowo w

piersi.

– Dla nas to skrzydlate, ziejące ogniem bestie, które król i magowie wykorzystują do umacniania swojej potęgi. Karzą nam wierzyć w ich boskość i w to, że ofiarowali pierwszym ludziom ogień, żebyśmy się ich bali. Ale my szukamy sprawiedliwości. Z powodu okrucieństw królów przestaliśmy wierzyć. Dla nas Przedwieczni nie są już bogami. – Egrit potrząsnął głową, po czym skinął brodą w stronę wydłużonej dziobnicy. Arion podążył wzrokiem za jego gestem. Zamarł.

Spostrzegł teraz, że w cieniu trójkątnych sztaksli, na krańcu długiej stengi wieńczącej bukszpryt, tkwiła zatknięta smocza głowa. Arion przypatrywał się jej z niedowierzaniem. Jak to możliwe, że wcześniej tego nie zauważył?! A może wcale nie chciał patrzeć, nie chciał widzieć? Może przysłonił mu to ten wewnętrzny cień? Wzdrygnął się lekko. Potężna paszcza była rozdziawiona. Nawet stąd widział, że wysuszone dziąsła obkurczyły się i obnażyły zagięte jak szable, gigantyczne zęby. Skręcone spiralnie rogi i kostne szpikulce oraz rogowe płyty i migotliwe łuski tworzyły wokół pyska martwego stworzenia coś na kształt diademu, lśniąc w słońcu jak ciemne opale. W zapadnięte oczodoły stwora wprawiono świetlne kryształy.

Przeżywał teraz znowu noc pożaru. Tysiąc obrazów wirowało mu w głowie. Teraz pamiętał, że tamci ludzie krzyczeli coś o smoku. Ktoś nawoływał na plaży z przerażeniem. Dlatego uciekli bo nadlatywał smok.

– Arionie... – Z letargu wyrwał go głos Gwinta Gerka. Kapitan Krogulca zbliżył się szybko, położył mu dłoń na ramieniu. Chłopiec wyrwał się.

– Zostaw go – rzekł Egrit do Gwinta z westchnieniem.

Mężczyzna sapnął gniewnie i zacisnął usta. Patrzyli pod wiatr za odchodzącym Arionem.

– To dobry chłopak. Pogodzicie się – mruknął szyper. – To po prostu dla niego zbyt wiele. Jednej nocy stracił rodzinę i dom, a teraz dowiaduje się, że dla kryształów zabijamy jego bogów

Gwinto Gerk zmarszczył ciemne brwi.

– Nie zapominaj, że ja też jestem jego rodziną, dobra? – Ruszył za chłopcem sprężystym krokiem. – Zatrzymaj się! Stój! – syknął tak przenikliwie, że Arion mimowolnie go usłuchał. Dosłownie zmroził go ten głos. Zatrzymał się, stanął przy burcie. Gwinto podszedł blisko. – Jestem kapitanem i nie toleruję okazywania mi lekceważenia na oczach całej załogi, jasne?

Arion nie odpowiadał.

Gerk przełknął ślinę. Jego zimny ton złagodniał.

– Chłopcze... Możesz mnie nienawidzić, ale w końcu i tak zechcesz przy mnie zostać. Możesz czuć do mnie odrazę, ale i tak nikt na całym świecie nigdy nie da ci tego, co ja...

– Czyli czego? – spytał Arion wyzywająco, spoglądając wujowi w oczy. W cieniu kapelusza świeciły się jak dwa szafiry.

– Zemsty.

– Ziemia!!! Ziemia na horyzoncie! – rozległ się nagle okrzyk z bocianiego gniazda.

Arion drgnął, a Gwinto sięgnął po przewieszoną przez ramię lunetę. Podczas gdy wuj przykładał ją do oka, chłopiec z napięciem wpatrywał się w horyzont, na którym zdawało się pojawiać kłębowisko mgieł.

– Trzymaj. – Gerk podał lunetę Arionowi. – Skieruj jej koniec w tamtą stronę.

– Co to za miejsce? – spytał prędko. Tym razem skwapliwie skorzystał z rady.

– Tam chcemy znaleźć zaklinacza pogody. To Namiria. Nazywają ją Wyspą Przeklętych.

11.

Początkowo mgły wydawały się nieprzeniknione. Blakły jednak i rozstępowały się z wolna, niby opadający z powiek sen. Gwidon Gerk sam sterował teraz okrętem i wydawał komendy załodze. Wiedziony niepohamowaną ciekawością Arion w końcu ruszył za nim na podwyższenie kapitańskiego mostku na rufie. Spoglądał stamtąd poza burty Krogulca jak urzeczony.

Z fal i mgieł wynurzały się sterczące skalne grzebienie. Zdawały się osuwać w umykającą przestrzeń, odsłaniając ukryte dotąd wloty wąskich fiordów, kolejne załomy i osłonięte od wiatru zatoczki, gdzie woda kotłowała się jak w garncu, srebrzysta i migotliwa niczym rtęć.

Kiedy wpłynęli między kamienne stromizny, na okręcie zapanował półmrok. Do dna fiordu nie docierało już słońce. Niemal czuć było lodowate tchnienie obmywanych bladą pianą skał. W powietrzu rozszedł się zapach martwych wodorostów.

Kanał urwał się raptownie. Wówczas Arion zdał sobie sprawę, że labirynt niegościnnych, niemal pionowych pęknięć w kamieniu tylko otacza właściwe serce wyspy. Namiria tkwiła wewnątrz, przyczajona we mgłach, wciąż obleczona nimi niczym grubym kokonem. Miała kształt ściętego stożka z nieregularną zatoką, do której opadały strome urwiska. Widoczne w nich żleby przypominały układ napiętych żył. Gdy podpłynęli bliżej, chłopcu zdało się, że dostrzega przez moment wykute w kamieniu schody.

Przepełnęli koło nich po łuku. W jednej chwili smocze żagle zwinęły się z łopotem nad jego głową. Wpłynęli do niedużej, osłoniętej pionowymi skałami zatoczki, będącej odgałęzieniem głównej zatoki wyspy. Tu kapitan kazał opuścić kotwicę. Wpadła w wodę jak ciśnięty w studnię głaz. Na ciemnej powierzchni rozszerzały się niespokojne

kręgi. Echo ciężkiego pluśnięcia wielokrotnie odbiło się od skał i zamarło, co tylko spotęgowało przejmującą ciszę. Gdzieś daleko nad urwiskami, których szczyty tonęły nadal w gęstej mgłę, słycać było ciche trzepotanie, jakby mnóstwo ciem obijało się na ślepo o niewidoczną szybę broniącą dostępu do światła.

– Ci, których wachta wypada teraz, zostają na pokładzie. Chyba że ktoś chce skorzystać z prawa lądu. Wtedy niech znajdzie sobie zmiennika. Reszta decyduje, jak kto chce. – Gwinto zerknął przenikliwie na Spenkera, a potem na Warrasa.

– O co chodzi z tym prawem lądu? – zapytał Arion po chwili milczenia, gdy załoganci szykowali się do zejścia na brzeg.

Gwinto z powagą spojrzał mu w oczy.

– Mamy jedną, bardzo ważną zasadę, którą musisz sobie zapamiętać – powiedział. – To, co stało się na lądzie, nie liczy się na morzu, lecz to, co stało się na morzu, może zostać rozwiązane na lądzie. Rozumiesz?

Arion pokręcił głową.

– Chodzi o to, żeby zachowywać porządek i braterstwo na statku. Nieraz między ludźmi wybuchają spory, zdarzają się powody do nienawiści. Nie wolno jednak rozwiązywać takich spraw na pokładzie. Ci, którzy sobie tego życzą, mogą porachować się ze sobą po zejściu na ląd. Obojętnie, jak się to skończy, nie będzie się liczyło na okręcie.

– Bez względu na to, jak zakończy się ich zatarg? – powtórzył Arion. Jego spojrzenie prześlizgiwało się od czasu do czasu po mnóstwie broni, jaką zabierali ze sobą dragici.

Gwinto przytaknął.

– Nie chodzi tylko o kłótnie. Traktujemy okręt jak nasz azyl. Prawo lądu pozwala wybaczyć tu wszystko. Z jedynym wyjątkiem: nie wybacza się zdrady. Nie odpuszcza się jej nigdy. Pamiętaj o tym, Arionie. – Kapitan zmrużył oczy i sięgnął po lunetę. Przez chwilę jej koniec błędził po skałach.

– Mogę iść z wami?

Gerk oderwał przyrząd od oka. Milczał przez chwilę.

– Rana jest nadal świeża.

Chłopiec wzruszył ramionami jak ktoś, kogo nie obchodzi własne zdrowie i życie.

– Oszaleję, jeśli spędzę kolejny dzień w kajucie – mruknął posępnie. Mimo to Gerkowi zdało się, że w jego błękitnych oczach mignęły niepewne, drobne iskierek, których nie było w nich przez ostatnie dni.

– Więc dobrze. Ale lekarz też musi iść.

Gwinto westchnął głęboko. Gdy spoglądał na syna Ileny, przez myśl mu przemknęło, że ten chłopak mógłby chcieć skorzystać z dragickich praw. Kto wie, może chce im towarzyszyć, żeby przy pierwszej okazji wbić mu nóż w plecy albo spróbować strącić go ze skały? Uśmiechnął się gorzko kącikiem ust. Odpiął od pasa krótki miecz i wręczył go Arionowi.

– Trzymaj. Weźmiesz go ze sobą.

Spuścili łodzie na wodę. Warras zajął miejsce w jednej z nich, ale Spenker został na pokładzie. Widocznie nie chował do swojego towarzysza tak dużej urazy, żeby spędzać popołudnie na Wyspie Przeklętych. Wolał być na miejscu pod dowództwem Tika, który skinął dwóm odpływającym czółnom na pożegnanie.

Chłopotanie wiosła niosło się miarowo we mgle. Na dziobach łodzi zawieszono lampki z kryształów. Świećka sunęły jak widma i odbijały się zygzakowato w powierzchni wody.

Wylądowali między skałami, jakiś kawałek od podstawy kamiennych schodów. Przywiązali łodzie i wciągnęli je głębiej na brzeg, szorując po ciemnym, gruboziarnistym piasku, oblepionym płatami martwych wodorostów. Po kamieniach rozbiegły się klekocące kraby. Paru ludzi zapaliło żagwie pochodni. Po krótkim marszu zaczęli wdrapywać się ostrożnie po dziesiątkach wyslizganych, nierównych stopni. W szczelinach skał cicho świstał wiatr.

Arion szedł między kapitanem a Warrasem.

– Dlaczego nazywają to Wyspą Przeklętych? – zapytał, próbując ukryć lekką zadyszkę. Nie przypuszczał, że w wyniku zranienia stał się aż tak słaby. Doskwierał mu ból.

Odpowiedziało mu ponure milczenie.

– Sądziś pewnie, że stoi za tym jakaś legenda? – Usłyszał wreszcie chrapliwy głos Egrita. Starzec oddychał ze świstem, lecz tak równomiernie, jakby płynął. – Nic z tych rzeczy! Ta wyspa to więzienie. Nad osadzonymi ciąży klątwa. Przekleństwo okropnej śmierci, która uderza, gdy próbują opuścić Namirię.

Arion wzdrygnął się z zimna.

– Mieszkańcy są złoczyńcami?

Jego towarzysze chrząknęli – jedni przecząco, inni potakująco.

– Owszem – mruknął stary sternik. – Niektórzy, zanim tu trafili, żyli bardziej jak demony niż jak ludzie. Ale nie wszyscy. Wielu z nich to zbrodniarze w przekonaniu magów. Dlatego osadzono ich tutaj. Magowie, w przeciwieństwie do królów, starają się nie przelewać krwi w obrębie własnej kasty. Jeśli któryś z pełnoprawnych magów popełnił jakiś karygodny błąd, podlegał ostracyzmowi... Karze całkowitego wykluczenia ze świata. Tak musiał narodzić się pomysł tej wyspy. Miejsca wybranego przez najpotężniejszych czarodziejów na dożywotni loch dla niewygodnych współbraci. Namirię obłożono klątwą, której inni nie są w stanie przełamać.

– To więzienie dla ludzi władających magią – szepnął poważnie Gwinto.

Zbliżali się już do szczytu schodów. Z mgieł wynurzał się płaskowyż z drżącymi gałązkami karłowatej roślinności.

– Po co więc chcecie szukać tu zaklinacza pogody? – odezwał się coraz bardziej zaintrygowany Arion. – Jak rozumiem, jego moc tu nie zadziała. Skoro i tak nie będzie mógł stąd odpłynąć...

– Ten człowiek nie mógłby odpłynąć stąd sam – rzekł z naciskiem idący za nim Gerk. – Uda mu się, jeśli zabierzemy go stąd dobrowolnie.

– I zaryzykujemy tym samym, że część jego klątwy spadnie na nas, jeśli po opuszczeniu wyspy dopuści się nowej zbrodni – dokończył Egrit.

Arion nie mógł w to uwierzyć. Przez krótką chwilę poczuł przeszywający na wskroś chłód.

– Zamierzacie ściągnąć na siebie przekleństwo? – wyszeptał. Walczył z powracającym wrażeniem, że znajduje się wśród niebezpiecznych szaleńców. Nogi nie chciały nieść go dalej, chociaż przebierał nimi mechanicznie.

– Kapitan podjął taką decyzję – oznajmił po prostu Warras.

– To uczciwe ryzyko – mruknął beznamiętnie Gwinto. – Jeśli skazaniec popełni zbrodnię, gdy go uwolnimy, razem z nim poniesiemy karę.

Egrit pokiwał siwą głową, gramoląc się na płaskowyż.

– Zawsze jest się odpowiedzialnym za tych, których się uwalnia – stwierdził sentencjonalnie.

Wszyscy stali teraz na krawędzi wzniesienia i spoglądali na wprost poprzez mgłę. Zasnawała ona miękkim kokonem surowy, kamienisty krajobraz, w którym zarysowywały się budynki sklecone z desek, wyglądające jak przyklejone do skał i do siebie nawzajem. Koślawe chatki uszczelniane starymi sieciami i mułem, wyrastające z naturalnych nierówności terenu, o dachach spiczastych i pochylonych nisko jak przycupnięte muchomory. W niektórych ze ślepych okienek tliły się chwiejne światełka, pierzchające niczym błędne ogniki z zamierzchłych dni. Do wieczora było jeszcze sporo czasu, jednak wszystko spowijał dziwny, chmurny półmrok.

Miasteczko wyglądało na wymarłe.

Mimo to ruszyli w stronę zabudowań, dzierżąc w rękach zapalone pochodnie. Arion pomyślał z pewnym rozczarowaniem, że ich światła nie pomagają zbyt dobrze orientować się lepiej we mgle. Wówczas dopadło go intuicyjne olśnienie. Gdzieś tu jest ktoś, kogo nie chcą zaskoczyć. Dragici palą ogień nie po to, żeby lepiej widzieć. To oni pragną zostać w porę dostrzeżeni. Żeby kogoś uprzedzić albo... odstraszyć?

Na wietrze wciąż słycać było trzepotanie. Teraz głośniejsze i wyraźniejsze niż wcześniej. Szeleszczące, nieregularne, podrygujące. Jakby mnóstwo cykad albo ciem przężyło swe cienkie skrzydełka.

Chłopiec rozglądał się, na próżno poszukując źródła tego hałasu. Nie był głośny. Coś jak szum w tle. Jak rozdierany papier. Początkowo irytujący, z czasem, z powodu swej uporczywości, zdawał się stawać częścią świata, nieodzownym elementem rzeczywistości. Wprawiał w trans, w niespokojne wrażenie, że rozbrzmiewa teraz już w twojej głowie, że tłucze się po niej jak ćma, ślepy motyl w dziecinnej pułapce...

Arion nie dawał za wygraną, mrużył oczy i nicował wzrokiem gęstą mgłę. W niektórych oddalonych miejscach była znacznie gęstsza. Zbita w kępki i biała jak pleśń. Jej skrawki zdawały się czasem odrywać od jakiejś większej, rozchełstanej całości – wówczas wiatr pędził je jak kłębki jasnej nici. W pewnej chwili chłopiec podbiegł i zanurzył dłoń w jednym z nich. Poczł pod palcami dziwną lepkość. Ku jego zdumieniu mgła rozdarła się z cichutkim, elektryzującym trzaskiem. W środku, niemal zasuszony, tkwił martwy ptak.

Arion stanął jak wryty. Przeszył go zimny dreszcz. Pod wpływem impulsu wspiął się na jeden z wysokich ostańców, którymi naznaczony był płaskowyż. Nabrał powietrza w płuca. Zadarł głowę.

Nieba wcale nie zasnuwała mgła.

Poczł, jak drobne włoski na jego karku się unoszą. Dopiero po straszliwie długiej chwili naprawdę uwierzył w istnienie tego, co miał przed oczami. Pajęczyny! Woale ogromnych, napowietrznych pajęczyn rozsnutych między odległymi ostańcami.

Trzepotało się w nich mnóstwo ptactwa. Mewy, rybitwy, albatrosy i pojedyncze gołębie rzucały się bezsilnie w gigantycznych sieciach, falujących na wietrzyku jak obłoki. Nie było widać tylko pajaków. Mimo to Arion przeczuwał, że gdzieś tam są. Tłuste, bezwłose i bezbarwne jak ich sieci.

– Nie ociągaj się. – Usłyszał skierowane do siebie upominające słowa Aliyi. Drgnął,

jakby wyrwały go z upiornego letargu. – Trzymaj. – Kiedy ostrożnie spelzł na ziemię, dziewczyna wcisnęła mu w rękę skwierczącą pochodnię. – Lepiej mieć to przy sobie. Drapieżcy pożywiają się nocą, ale nawet za dnia boją się ognia – mruknęła ponuro, nie patrząc mu w twarz. Ariona zdziwiła ta nagła nieśmiałość.

– Czy polują też na ludzi? – wykrztusił po chwili ciszy.

Aliya zastanowiła się.

– Wolałabym nie sprawdzać – powiedziała. Jej głos był melodyjny, aksamitny. Chłopcu nieoczekiwanie przemknęło przez myśl, że mogłaby grywać na harfie i być pieśniarką, a nie piratką. – Słyszałam kiedyś, że zdarza im się schodzić na dół zimą, kiedy są naprawdę wygłodniali. Ale zazwyczaj zadowolają się ptactwem. To strażnicy więźniów, nie oprawcy.

Dołączyli do reszty grupy. Posuwali się teraz między skleconymi z desek budami, mijali kępy karłowatej roślinności – niskopiennych krzewów oraz iglastych drzewek o grubych, powykręcanych niczym artretyzmem gałęziach i szyszkach ociekających gęstą żywicą. Minęli przykrytą drewnianą klapą, wydrążoną w kamieniu studnię. Znajdowała się pośrodku maleńkiego placyku. Wiatr rozwiewał na nim kurz i piach. W charakterze kołowrotu do wyciągania wody zamocowano przy studni wielkie koło sterowe.

Arion musnął je palcami, gdy przechodzili.

– Nie dziw się temu – odezwał się cicho Egrit, gdy zobaczył ten gest. Chłopiec szedł teraz obok niego. – Całe drewno do budowy czerpano tu z wraków. Więźniowie najróżniejszymi sposobami próbowali zatapiać przepływające statki. Dopiero później zrezygnowali z drewnianej osady. Skały są tutaj miękkie, łatwo się w nich drąży. Postanowili przenieść się pod ziemię.

Arion spojrzał na niego bystro.

– Skąd biorą jedzenie?

Szyper wzruszył ramionami. Jego zbiele, ślepe oko było jak wygładzony wodą

kamyk.

– Czasem przysyła im je któryś z magów. Oni nie chcą wszak, żeby więźniowie umarli. Zaglądają tu też piraci. Mieszkańcy pośredniczą w przemyśle różnych dóbr. Polują też na uchatki. Nacierają się ich tłuszczem w czasie chłódów. No i okradają niektóre sieci drapieżców.

Chłopiec zerknął na starca z ukosa.

– Właściwie skąd wiesz aż tyle o tym miejscu?

Egrit zatrzymał się. Arion zrobił to samo. Podobnie reszta grupy.

Z głębi walącego się domu wyszedł im naprzeciw człowiek. W jednym ręku miał długą włócznię ozdobioną malutkim kryształem. Zamiast drugiej dłoni z ciała sterczał muskularny kikut, do którego przytroczono grubymi pasami kawał drzewca zakończonego sierpowatym ostrzem. Jego odzież była pozszywana ze skrawków różnych tkanin i skór, a plecy przykrywała wełniana kamizela. Spływała na nią grzywa długich, poszarpanych, zmierzwionych włosów, częściowo zaplecionych w drobne warkoczyki. Na usta i nos miał naciągniętą poplamioną chustę, ponad którą lśniły jasne oczy. Na nadgarstkach nosił grube bransolety. Arion domyślił się, że to resztki kajdan. Skórę wokół nich znaczyły głębokie, ciemne blizny.

Obserwowali się przez chwilę z napięciem, z bronią gotową do walki. Chłopiec widział, jak jego towarzysze poprawiają chwyt zaciśniętych dłoni, jak ich palce muskają niemal pieszczotliwie rękojeści, drzewce i metalowe guzy. Tylko terkotanie bijących skrzydłami, dogorywających ptaków rozbrzmiewało w posępnej, wietrznej ciszy.

Gwidon Gerk wolno opuścił sztych miecza.

– Jesteś nieźle uzbrojony jak na więźnia – zauważył zamiast powitania.

Nieznajomy nie odpowiedział.

– Poszukujemy zaklinacza pogody. Jesteśmy gotowi zabrać go stąd dobrowolnie, jeśli tylko jest dobry w swoim fachu i przysięgnie nam dozgonną wierność. Chcielibyśmy spotkać się z Wyzwolicielem.

– Ty jesteś kapitanem?

Głos człowieka był przytłumiony, dochodził spod chusty zasłaniającej dół twarzy.

Gerik twierdząco skinął głową. Ostrze włóczni cofnęło się lekko. Zdrową dłonią obcy zsunął fular z twarzy. Okazało się, że ma obcięty nos.

– Wiem, kim jesteście i po co przyszliście. On już was oczekuje. Chodźcie za mną.

Gwinto rzucił w tył porozumiewawcze spojrzenie mówiące: „Schowajcie broń, ale bądźcie czujni”. Usłuchali natychmiast. Arion zdał sobie sprawę, że on również mocno ścisnął rękojeść ofiarowanego mu miecza. Pomyślał, że tysiąc razy bardziej wolałby mieć przy sobie swój dziuryt. Nim przynajmniej potrafiłby w razie potrzeby skutecznie się postłużyć.

Ruszyli za przewodnikiem w głąb zrujnowanego domostwa. Pod stopami zachrzęściły im potłuczone, drobne muszelki i skorupy rozbitych naczyń. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny i butwiejącego drewna. We wszystkich kątach powiewały oblepione kryształkami soli strzępy wielkich pajęczyn. Łuna słabego światła napływała z miejsca, gdzie uniesiona kłapa w podłodze zdradzała sekretne zejście do piwnicy.

– Niech ostatni z was zamknie ją za sobą – nakazał prowadzący ich mężczyzna.

Już po chwili wiódł ich mnóstwem schodów w dół, środkiem wąskiego tunelu wydrążonego w skale. Było tutaj cieplej niż na zewnątrz. W płytkich niszach stały w równych odstępach naczynia z rybim tłuszczem, w który zatknięto płonące patyki albo knoty z kawałków liny.

Szli teraz szerszym, wygładzonym korytarzem, rozświetlonym w podobny sposób. Na ścianach co jakiś czas rysowały się ludzkie cienie. W miarę jak posuwali się naprzód, ukazywały się sylwetki przyodziane w różnorakie skóry i łachmany. Podziemia wyspy były płataniną różnych komór, łączników i przejść, w których toczyło się sekretne życie mieszkańców. Do dragitów docierały jego echa. Widoczne ślady. Oslaniające wloty komór, długie płótna lekkich przepierzeń, skwierczenie pochodni, niosący się gwar rozmów, słaba woń gotowanego jada, liczne kroki

rozbrzmiewające na skałach, a nawet, w pewnej chwili, głośny płacz niemowlęcia. Przewodnik prowadził ich skrajem tego wszystkiego. Zatrzymał się i otworzył wyrastające z cienia ciężkie drzwi. Nieoczekiwanie dobiegły zza nich śmiechy i rytmiczna, powracająca falami muzyka piszczałek.

– Zaczekajcie tutaj. Pójdę go zawiadomić – oznajmił, a Gwinto skinął na to głową.

Przesunął spojrzeniem po otaczającym ich miejscu. Znajdowali się w środku czegoś w rodzaju karczmy albo dużej gospody. Komora była bardzo wysoka i przestronna. Na piętro pięły się kamienne schody. U sufitu wisiały żyrandole w postaci krzyży z desek, na krańcach których płonęły ogarki prawdziwych świec. Całe wnętrze wyróżniało się może nie rażącym, ale i tak niezwykłym jak na więzienie bogactwem. Na ścianach wisiały malowane na deskach rubaszne obrazy oraz drogocenne, puste ramy. Zapewne od luster. Kontuar stanowił podłużny, płasko ścięty głaz przykryty obrusem, przy którym czekały na klientów porządne, drewniane krzesła. Niektóre z nich rzeźbione. W cieniu schodów stały ławy i mniejsze stoliki. Raczyło się przy nich trunkiem kilku ludzi, w których aparycji Gwinto natychmiast rozpoznał piratów oraz dobijających z nimi targu kupców. Krążyła przy nich młodziutka, jasnowłosa niewolnica o krągłych piersiach i kołyszących się kusząco biodrach.

Handlarze i morscy zbóje, jeśli już spotkali się w pokojowych okolicznościach, żyli zazwyczaj w dobrej komitywie. Jedni potrzebowali drugich. Kupcy płacili piratom za ochronę okrętów z towarem, pośredniczyli w nielegalnych transakcjach, od których brali sobie zawsze niezły procent, a także dokonywali krwawych zleceń, kiedy na jakimś zdradliwym, morskim szlaku trzeba było wyeliminować konkurencję. Gwinta nie dziwiła ani obecność handlarzy w takim miejscu, ani też kpiący sobie z klątw przepych tej gospody. Dawno już pojął, że największe fortuny wyrastają na ludzkim nieszczęściu i biedzie.

Dragici stłoczyli się przy długiej ławie pod ścianą.

– Zamówiłbym coś do picia – mruknął Warras.

Aliya szturchnęła go łokciem pod żebro.

– Nie pora na to.

Gwinto zaczął przekładać w palcach monetę, a medyk, którego imienia Arion wciąż nie poznał, bawił się wykałaczką.

– Czy to nie trochę dziwne, że Wyzwoliciel już na nas czeka? – mruknął, mieląc ją w zębach. Paru ludzi rzuciło sobie ukradkiem pytające spojrzenia.

– Jakiś wartownik musiał widzieć nasz statek. Sława bractwa zaczyna sięgać coraz dalej – stwierdził Gwinto z nutką dumy w głosie. – Po cóż innego mielibyśmy tu przyplýwać, jeśli nie po zaklinacza pogody?

W tej samej chwili zza wysokiej, trójkątnej skały niedaleko kontuaru wynurzył się znajomy mężczyzna bez nosa. Podszedł do nich pospiesznie.

– Czeka na was. Chce was zobaczyć. Wszystkich. Chodźcie ze mną.

W jego lekko ponagląjącym tonie było coś, co sprawiło, że Arion poczuł ucisk w żołądku. Jednocześnie na myśl o własnym strachu przeszła go odraza do samego siebie. Towarzystwo dragitów, chwała bractwa, o której wspomniał Gwinto – to wszystko musiało mieć w tym swój udział.

Bezgłośnie przełknął ślinę. Przecież nie był tchórzem. I tak nie zależało mu na życiu. I tak nie będzie się bał bardziej niż wtedy, tamtej nocy...

Minęli ukryte za parawanem drzwi. Ich kroki niosły się echem przez kolejny mroczny korytarz, którego ściany przykryto tapiseriami. Wienczyły go wysokie, ciężkie wrota z rzeźbionego drewna. Przewodnik otworzył je z cichym, metalicznym trzaskiem. Skinął im głową. Weszli do środka bez jednego słowa.

To była niezbyt wielka, ale wygodna komnata. Urządzona prawdopodobnie z całym przepychem, na jaki tylko można liczyć na przeklętej wyspie. Na masywnym, ciemnym stole o nogach w kształcie długich, rybich ogonów w rozłożystym kandelabrze ze srebra płonęły wysokie świece. Po drugiej stronie w ciemnym kącie izby siedział w ciężkim fotelu wysoki człowiek w przepastnym kapturze. Uniósł wzrok. Z cienia

błysnęły kryształowe oczy.

– Witajcie. Bardzo chciałem was poznać. – Jego głos był monotony i chłodny. Wyzuty z wszelkich emocji. Taki, jakim wprawny niszczyciel rzuca klątwy i przywołuje imiona bogów.

– To mag! – syknął lekarz przez zaciśnięte zęby.

Wyzwoliciel usłyszał to. Zsunął w tył czarny, aksamitny kaptur. Niespiesznie przysunął się do światła.

Twarz miał bladą i jakby nieostrą, o lekko zapadniętych policzkach. Ciężko było oszacować jego wiek. Na ramiona i plecy opadały długie, równo przycięte, proste włosy w kolorze bladego złota. Cienkie wargi wygiął ironiczny uśmiezek.

– Bez obaw... Jestem magiem, ale mogę być też Wyzwolicielem.

– Więc nim nie jesteś? – warknął z irytacją Gwinto.

Srebrzystooki lekko odchylił przy piersi połę długiego, powłóczystego płaszcza. Ukazał pod nim gruby łańcuch ze zawieszonym nań świetlnym kryształem.

– Jestem dokładnie tym, kogo teraz szukacie – mruknął. W powietrzu przepełnął dreszcz. Zimne, kryształowe oczy nicowały dragitów badawczym spojrzeniem. – Zdradzę wam nawet swoje imię. Dla większości brzmi ono dość prosto. – Kącik cienkich ust wygiął się lekko. – Jestem Lyelyeban.

12.

Te oczy. Oczy jak kryształ. Niby ludzkie, a jednak kamienne. Miały w sobie hipnotyczną moc. Nie można się było od nich oderwać. Nie można było przed nimi uciec. Arion miał przejmujące wrażenie, że skoro raz pochwycił go wzrok tego maga, ich spojrzenia zostaną złączone na zawsze.

Wszystko przygasło wobec takiego blasku. Ta komnata wykuta w skale, błyszczący kandelabr na stole, zdenerwowani ludzie, którzy go otaczali. Przenikała go ta nieubłagana srebrzystość. Opływała jak potężna fala, której huk i szum zmieniły się nagle w szepczący głos.

Arionie...

Mówi, że czuje jego ból, że rozumie jego słuszny gniew, zimny ogień, który trawi go od środka. Że nie powinien wstydzić się strachu, że on minie. Że ma moc go z niego uleczyć. Ze wszelkich obaw, z całej niepewności. Słowa zapadały się w duszę chłopca jak ześlizgujące się przez przestrzeń krople rześistej ulewy. Były ożywcze, niosły obietnice. Prześwietlały rzeczywistość jak błysk gromu, jak pioruny gryzące niebo tamtej nocy.

Więc on obiecał ci zemstę. Oby dotrzymał słowa, Arionie. Ty wiesz, że tacy jak on nie dochowują obietnic. To on zarwiódł twój ojca. Nie ty. Tylko on... On zna życie. Wie, że zemsta to wiele. Lecz ja mogę dać ci znacznie więcej. Wuj nie powiedział ci wszystkiego.

Wizja odeszła gwałtownie, cofnęła się niby zagarniająca wszystko fala. Arion miał ochotę za nią biec, zanurzyć się w nią po usta, po nos, po czubek głowy. Zamiast tego stał w miejscu i dygotał z chłodu, jakby naprawdę właśnie wynurzył się z morskiej kipieli. Na ustach czuł słony smak. W uszach z wolna cichł pulsujący szum.

Spojrzał na maga niemal błagalnie, wyczekująco, lecz Lyelyeban nie myślał

zaszczycić go jeszcze jednym spojrzeniem. Patrzy teraz z namysłem na jego towarzyszy. Stali wyprostowani, lecz czujni niczym zwietrzona przez myśliwego zwierzyna. Ich opalone słońcem, wysmagane wiatrem twarze przypominały ciężkie, mahoniowe maski. Cisza przedłużała się. Była gęstsza niż wosk, który drążyły w błyszczącym kandelabrze nieubłagane płomienie świec.

– Jesteś zaklinaczem pogody? – odezwał się nieoczekiwanie spod samych drzwi Parte. Jednocześnie uniósł rękę i podrapał się w czubek głowy, od której odstawały za duże uszy.

– Głupcze, to królewski mag! – zachrypiał skrzywiony przeraźliwie Egrit.

Arionowi zdawało się, że zmarszczki szypra zmieniły się w głębokie bruzdy, plecy się przygarbiły, a skóra stała się zmięta i sucha.

Na słowa starca Lyelyeban uśmiechnął się lekko z głębi miękkiego fotela. Nie lubił, gdy traktowało się go bez należytego szacunku. Czekał, aż świadomość niebezpieczeństwa zagnieździ się we wszystkich umysłach, aż serca tych ponurych prostaków przeniknie nagła myśl o śmierci. Lodowate tchnienie nieodwracalnego.

Wiedzieli już, że znaleźli się w potrzasku. Głęboko w podziemiach Wyspy Przeklętych. Że cała ich broń nic tu nie wskóra. Że on ma moc przekreślić ich jednym słowem.

Dopiero gdy to do nich dotarło, Wysoki Mag odezwał się niespiesznie, gładząc opuszkami palców zimne, pobrzękujące cichutko ogniwa łańcucha.

– Osobiście sprowadziłem dla was zaklinacza.

Patrzyli na niego z niedowierzaniem. Ich serca łomotały, chociaż unosili wysoko harde, spalone słońcem twarze. Myśleli, że oszalał. Że to sen.

– Kogoś tak dobrego, że nigdy nie byłoby was stać na jego usługi. To ktoś, kto posiada najprawdziwszą moc. I dokładnie tak jak wy, jest wyklętym. Człowiekiem z za burty. Czeka zamknięty w pokoju obok. – Lyelyeban skinął od niechcienia ku części izby, która tonęła w gęstym, chłodnym mroku.

– Czeka na co? – spytał bezbarwnym głosem Gwinto.

– Na waszą decyzję.

Arion miał wrażenie, że słyszy czyjś dobiegający z ciemności, przyspieszony oddech. Spojrzał w tamtą stronę. Barwione niebiesko, grube kobierce rozłożone na posadzce ginęły w mroku. W tamtym miejscu wyposażona w kosztowne meble komnata zdawała się przemieniać w loch. Przenikać w jakąś inną rzeczywistość.

Lyelyeban wstał. Jego cień rozlał się po przeciwległej ścianie. Mag przeciągnął się z cichym trzaskiem kości przeskakujących w stawach. W jego ruchach było coś kociego. Przechadzał się wolno po drugiej stronie stołu, skąpany w grze niespokojnych cieni i płomiennych chwiejących się światł. Był zamyślony, zatroskany.

– Pomyślałem, że musicie być zdesperowani, żeby szukać zaklinacza w takim miejscu, choć wiecie o śmiercionośnej klątwie... To musiało wymagać odwagi. Żeglarze to wyjątkowo przesądna nacja, czyż nie?

Arion nigdy jeszcze tak mocno nie wyczuwał zmieniających się odcieni ciszy.

Mag nie liczył na żadną odpowiedź.

– Rozumiem was – zamruczał głosem jak chłodny szmer. – Zemsta wymaga poświęceń. Cóż znaczy widmo dozgonnej klątwy wobec tego, co te bestie z królewskiej inkwizycji zrobiły ojcu i matce chłopca? – Kryształowe spojrzenie na chwilę ześlizgnęło się znów na Ariona. Przesuwało się po nim jak wąż oplatający pierś. Suche, niebezpieczne. Chłopiec czuł, jakby ogarniała go gorączka. – Płomienie zesześciły jej życiodajne ciało, zanim wessało ją lodowate morze. A to, co zrobili wcześniej waszym bliskim, krewnym i sąsiadom? Te wszystkie nagie, bezbronne ciała trawione przez ogień, kobiety gwałcone podczas codziennych, niekończących się tortur. Zawieszane przez oprawców na krawędzi życia, kiedy śmierć jest już nieodwołalna. Starcy wydający ostatnie tchnienie w kopalniach, pod wilgotnym od krwi batem nadzorców. Ci wszyscy ludzie, którym nie zdołaliście pomóc!

– Zamilcz! – syknął nagle Gerk, zgrzytnąwszy zębami.

Mag spojrział na niego i rozplątał się w łagodnym, smutnym uśmiechu.

– Sądysz, kapitanie, że wam nie współczuję? Że brak mi serca, ponieważ opływam w moc i potęgę wskutek planowego barbarzyństwa?

– Sądzę, że zamiast serca masz kryształ.

Usta maga zacisnęły się w bladą linię. Splótł dłonie i niespiesznie opadł na fotel obity ciemnym aksamitem. Wpatrywał się w rudawe płomienie świec, jakby nagle zapomniał o całym świecie.

– Różnica między nami jest taka, że ja potrafię wyobrazić sobie wasz punkt widzenia. W twoim przypadku próba pojęcia moich racji przekracza wyobraźnię – oświadcza beznamiętnym szeptem, który każe wyteńczyć słuchaczom wszystkie zmysły. – Dla mnie jesteście jak bezrozumne zwierzęta spuszczone z uwięzi. Mimo to postanowiłem wam pomóc. Dać wam szansę. Zdecydujcie, czy jesteście tego warci, czy też, jak planowałem pierwotnie, powinienem was po prostu zgładzić.

Cisza zawisła nad nimi niby drapieżny ptak – nadmorski sęp, który żywi się padliną.

Gwinto odchrząknął, wbijając wzrok w ziemię.

– Czemu zawdzięczamy twoją łaskę?

Czarodziej zmrużył kryształowe oczy. Patrzył na Ariona.

– Doszły mnie niedawno wieści o nieoczekiwanej śmierci królewskiego inkwizytora, Nogusa Perisa. Od przeszło stu lat nie słyszano o tym, żeby zwyczajnym śmiertelnikom udało się zabić maga. Nie jest to łatwa sztuka. Wysłani przeze mnie śledczy wyłowili z morza łańcuch Nogusa. Jego kryształ zgasł. Jak możecie się domyślać, byłem wstrząśnięty. – Po cienkich wargach błąkał się zimny, kpiący uśmiezek. – Powiedzmy, że mi zaimponowaliście. Zwróciliście moją uwagę. – Lyelyeban przez moment przypatrywał się im z atencją, zachęcająco, pragnąc może ośmielić tego, który zadał magowi ostateczny cios, do wyjścia przed szereg. – Śledczy zebrali wśród mieszkańców zeznania. Nie muszę wam mówić, w jaki sposób. – Znowu zatopił kryształowy wzrok w płomieniu. – Doniesiono mi, że mężczyzna, którego

czaszkę wygrzebano z popiołów, przejawiał za młodu niezwykle zdolności zaklinacza pogody. Zrozumiałem, że to jego chcieliście pozyskać, gdy przybyliście do osady w delcie Vissli. Łatwo było przewidzieć wasz następny ruch. Po zabiciu Nogusa spodziewaliście się, że prędzej czy później będziecie ścigani. Czego może potrzebować okręt, na który polują i na którym żyje się z polowania, jeśli nie bezcennego zaklinacza pogody? Gdzie będą szukać go desperaci tacy jak wy, jeśli nie tu, na Wyspie Przeklętych?

Lyelyeban rozchylił wiotkie, blade dłonie, jakby czekał na poklask za to, że pochylał się nad takim banałem. W gęstej ciszy słyhać było bicie serc. I czyjś zduszony, przyspieszony oddech.

– Akurat nadarzyła się okazja, by wyświadczyć wam małą przysługę. Podobną do tej, jaką wy oddaliście mnie, wyprawiając Nogusa Perisa na tamten świat. – Srebrzyste oczy rozblęsnęły szaleńczą wesołością. – Los zechciał, że trafił mi się więzień zamieszany w bardzo świeży spisek. Człowiek wyjątkowo niebezpieczny. Zdaje się, że knuł przeciwko królowi. Nie uwierzycie, ale jest magiem. W dodatku potrafiącym zaklinać pogodę. Czyż to nie cudowne zrządzenie losu? Po przesłuchaniu pomyślałem, że warto by było osobiście przetransportować go na Namirię. – Lyelyeban przetoczył po twarzach dragitów kryształowymi oczyma. – Jestem skłonny podarować go wam w prezencie, jeśli tylko przyjmiecie mój warunek.

Musnął świetlisty kamień na swojej piersi i pstryknął długimi, bladymi palcami.

Z ciemności dobiegł metaliczny jęk, przypominający odgłos zwalnianej zasuw, a potem coraz głośniejsze, jednostajne szuranie. Wszyscy, łącznie z Arionem, spojrzeli w tamtą stronę.

Najpierw dojrzeli sunący blisko podłogi, fioletowy ognik kryształu w plątaniu ostrych gałązek, które wyrastały z sękatego drzewca. Drzewiec płynął nad ziemią. Ciągnął coś za sobą. Wlekł to po ziemi. Zbliżał się, mrugając do swego pana kryształowym ślepiem, jak stary sługa, który nauczył się wyczuwać nastroje i bez słów

uprzedzać jego rozkazy. Gdy znalazł się w zasięgu złotych smug płynących z kandelabra, Arion krzyknął.

To był człowiek. Leżał na brzuchu. Jego stopy i ręce wymalowały na podłodze długie smugi czerwieni. Magiczna laska czarodzieja ścisnęła go za szyję niczym wielki, drewniany szpon. Ciągnęła za głowę. Z różdżki wyrastały sękate pazury ozdobione lodowatym pierścieniem kryształu. Wyglądały jak potężna, rozłożysta dłoń.

Mężczyzna miał na sobie tylko przepaskę na biodra. Arion zerwał ze swych pleców krótką pelerynę i natychmiast go nią przykrył. To był impuls. Ukląkł przy więźniu, lecz bał się go dotknąć. Plecy tego człowieka były jedną wielką, poszarpaną raną. Jakby coś straszliwie się w niego wgryzło i zaczynało go pożerać. Włosy, które przedtem musiał nosić długie, jak u magów, niechłujnie zgolono mu brzytwą. Z posiniaczonej czaszki sterczały jasne, posklejane krwią kosmyki.

– Pomóżcie mu! – jęknął chłopiec.

Dragici nie poruszyli się. Nic nie mogli zrobić. Stali tylko, ogarnięci wściekłością i zgrozą.

Arion z napięciem przebiegł wzrokiem po ich twarzach. Odnalazł tonące w cieniu oblicze Gerka.

– Pomóż mu! – powiedział ze świstem. Czuł, że pierś mu falowała, oczy sypały iskrami.

Aliya zrobiła krok do przodu i nagle mocno pociągnęła Ariona za rękę. Znowu stał razem z innymi. Bezradny, ośmieszony. Dygocący z wściekłości. Znowu płonął w nim ten zimny ogień...

Czarodziej przerwał ciszę.

– Jak widzicie, nie przychodzę z pustymi rękami.

– Czego od nas oczekujesz? – spytał lodowatym głosem Gerk.

Mag wodził palcem wskazującym od miękko zarysowanego podbródka aż po linię żuchwy.

– Posiadam liczne informacje o waszej konfraterni. Bractwie, czy jak to nazywacie. Wiem zapewne wiele więcej niż ten biedny chłopiec, którego zabrałeś tu ze sobą jak pirata, jeśli w ogóle mógłby nim kiedykolwiek zostać. – Lyelyeban lekko wzruszył ramionami. – Sądź, że jestem okrutny, chłopcze? – spytał Ariona swym bezbarwnym głosem. – To tylko ukarany zdrajca. To twoi towarzysze znają okrucieństwo. Oni zabijają bogów.

Arion przełknął dławiącą grudę, która zdawała się tkwić mu gdzieś w gardle. Wydobył z siebie powolny, ciężki szept:

– Dla nich oni nie są bogami.

– Otóż to. Otóż to, młodzieńcze. – Lyelyeban znów zaczął przechadzać się po izbie niespiesznymi, pajęczymi ruchami. – Niech mi to udowodnią.

Cisza była zimna i przeszywająca jak dreszcz.

Palce Gwinta nerwowo sięgnęły po monetę.

– Mów jaśniej. Czego od nas oczekujesz? Jak sam stwierdziłeś, walczymy z Przedwiecznymi. Robimy to dla kryształów. Czy to nie jest wystarczający dowód na naszą niewiarę?

– Kapitanie, kapitanie... – Lyelyeban potrząsnął głową, sprawiając wrażenie głęboko zawiedzionego. – Sądź, że coś takiego jest w stanie mnie przekonać? Nie tylko mnie, lecz innych, którzy tak jak ja władają mocą? Tych, których na samej powierzchni tego bajora, gdzie próbujemy przetrwać, utrzymuje panujący ład? Odpowiem ci: to niemożliwe! Tutaj potrzebny jest dowód kardynalny. Kiedy powiedziałem, że chcę dać wam szansę, chodziło mi o naprawdę wielką sprawę. Szansę na spełnienie twojego marzenia. Ja tak samo jak ty uważam, że świat, w którym żyjemy, jest zakłamany i niesprawiedliwy. Wiedzę o nim opieramy na lękach, na wpajanych nam przeświadczeniach. Chciałbym, żebyś odmienił moje spojrzenie na kwestię twojego bractwa i boskości smoków. Wy wszyscy – czarodziej lekko rozchylił ramiona i wyciągnął dłonie w ich stronę, a rozszerzane, powłóczyście rękawy czarnej

szaty poruszyły się niczym długie macki – możecie dzięki mnie przekonać panującą kastę, że powinniście mieć prawo do posiadania kryształów i że nasi bogowie wcale nie są bogami. Że nie jest słuszne, aby nadal w to wierzyć.

– Jemu chodzi o tarczę – wychrypiał nagle Egrit.

Stał zgarbiony jak próchniejące od wewnątrz drzewo, zapadając się sam w siebie. Jakby wsysała go jakaś wewnętrzna próżnia.

Lyelyeban z mdłym uśmiezkiem opadł na ciężki fotel. Patrzył na Ariona, którego ucho uderzył zmieniony ton starca.

– Tarcza Althirry – syknął przeciągle, z twarzą wykrzywioną kpina. – Nie powiedzieli ci o niej, prawda? Nie zdradzili, po co szykują swoją wielką wyprawę, czego tak naprawdę szukają. – W kryształowych oczach wzbierał chłód. – Ale mnie nie interesują takie mrzonki! Mnie chodzi o wyjątkowy, namacalny dowód!

– To nie mrzonki! – warknął z naciskiem Egrit, unosząc pochyloną głowę. Zbielałe oko zalśniło w sieci głębokich zmarszczek jak wielka perła.

Wszyscy na niego spojrzeli. Szyper zacisnął lekko potężne suche piersi.

– Widziałem ją, kiedy byłem chłopcem – westchnął nerwowo. Rozejrzał się ukradkiem, jakby wypatrywał kogoś, kto śmie mu nie wierzyć. – Okrągła tarcza z maską Althirry, całą ze złota i szlachetnych kamieni, dookoła niej ludzie i bogowie, równi sobie, połączeni w kręgu życia. Ujrzałem ją raz, zanim okręt zatonął. – Egrit zacisnął usta.

Lyelyeban nadal uśmiechał się kpiąco.

– Ach, więc statek zatonął? Cóż, możecie jej szukać. Musisz wiedzieć, Arionie, że ludzie morza, jak ci, którzy cię otaczają, choćby nawet wojowali z samymi bogami, żywią nieprzewyciężoną słabość do bająn starców, do fantazji i legend. Ale moja oferta jest prawdziwa, namacalna i rzeczywista. Zamiast tropić jakieś senne marzenie, możecie spróbować choć trochę zmienić nasz świat. Pomogę wam. Uzyskacie poparcie królewskiego maga. Musicie tylko przekonać mnie do swoich racji. A do tego

potrzebuję *czegoś żywego*. Nie zasuszonych skór i obciętych skrzydeł.

– Nie rozumiemy.

Lyelyeban lekko rozchylił swoje długie, blade palce. Płomienie świec przeskoczyły z kandelabra w jego otwartą dłoń jak wielkie, złote świerszcze i wystrzeliły do góry niby szkarłatny fajerwerk, który mocniej rozświetlił ciemną komnatę. Parte, Aliya i Warras cofnęli się lekko.

– Chcę jaja bogów.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał.

Lyelyeban bawił się płomieniem jak znudzone dziecko. Ogień zmieniał barwę i kształt, pląsał w jego ręku jak tancerka.

– Chyba was to nie dziwi? Tylko kiedy obcuje się z kimś od urodzenia, patrzy, jak nabiera kształtów i się rozwija, można przestać dostrzegać w nim boskość. Ja chcę widzieć, jak wykluwa się bóstwo. Chcę patrzeć, jak rośnie. Studiować jego naturę. Oswoić ją. Oswoić boskość. Oswoić prawdziwego smoka. Przekonać się, mając w zasięgu ręki jego życie, że nie jest on bardziej wyjątkowy niż wszystko to, co na co dzień nas otacza. Dowiedliście, że potraficie zabić bogów. Teraz pora, byście zdobyli ich jajo.

Dragici rzucili sobie nawzajem zdumione spojrzenia. Ich twarze okrzepły z wolna, jak odlane z ołowiu maski.

Gwinto wystąpił o krok w stronę niespokojnego ognia. Złota moneta mignęła między jego zwinnymi palcami.

– Musimy się naradzić.

*

Keramir na krótką chwilę odzyskał przytomność.

Nie wiedział, gdzie się znajdował. Zawczasu stłamsił w sobie wyostrzone zmysły maga, które oprawcy spróbowaliby obrócić przeciw niemu jak wysublimowane

narzędzie tortur. Ostatni ochronny czar, jaki zdołał rzucić sam na siebie w momencie pojmania, otaczał jego świadomość jak zszargana, podziurawiona kurtyna, przez której strzępy przebijało się jaskrawe, fioletowe światło. Promienie kłuły go niby długie sztylety. Miał wrażenie, że wyrwano mu powieki. Mocniej zacisnął podpuchnięte oczy. Ten drobny gest stanowił tylko dodatkową kroplę bólu w straszliwej, wszechogarniającej fali, która wciąż jeszcze zalewała jego umysł i ciało. Po tym jak poddano go niekończącej się torturze czterech żywiołów, Keramir pragnął śmierci. Wciąż jeszcze w żołądku miał ziemię, w płucach wodę, na twarzy ogień, a w głowie wiatr. Nienawidził życia. Nienawidził swych katów i znienawidził samego siebie. Tego, że nagle stał się zbyt słaby, by móc wyrwać im swoją egzystencję, miazdżoną przez nich Iskrę, esencję własnego ja.

Ledwie pamiętał, że kiedyś był potężny. Miał wszystko. Młodość, bogactwo i zdrowie, a w dodatku niepospolitą urodę. I talent. Nade wszystko był magiem. W swoim wcześniejszym życiu nie zaznał prawie żadnych, nawet drobnych dolegliwości. Nie poznał też bólu oprócz tego, jaki mogą sprawić wrażliwej duszy wygórowane, niemal chorobliwe ambicje. Tyle wielkich planów i palących marzeń, które spełniały się prawie same... Obecnie równie lichych i nieistotnych jak wzlatujące nad rynsztokiem jętki. Egzotyczne podróże odbywane śmigłą, dwudziestowiosłową galerą, w poszukiwaniu rozkoszy i rzadkich, dostępnych na wyspach składników, które do mikstur lubił zdobywać sam. Kobiety, których nigdy nie musiał kupować jak niewolnic. Lgnęły do niego same, skuszone jego mocą i niewinną młodością: bogate mieszczyki, rozpieszczane, delikatne córki kupców, młode wdowy po zaginionych marynarzach. I magia. Wierniejsza niż kobieta. Potężna moc, którą oswajał z każdym dniem bardziej, tak że żywioły zdradzały mu swoje tajemnice, splatały się z jego wolą coraz ciaśniej, tworząc razem najprawdziwszy kunszt...

Tak. Był czas, że Keramir posiadał prawie wszystko.

Teraz odbierał pojedyncze, nierówne wrażenia. Przeraził się własnej świadomości.

Leżał na czymś twardym. Szpon Lyelyebana nadal zaciskał mu się na gardle, jakby wrósł mu w ciało. Poprzez głuche łomotanie w skroniach dobiegały go co jakiś czas przytłumione głosy. Gdzieś ponad nim.

– To szaleństwo...

– Odwiedzaliśmy już jaskinie Przedwiecznych. Skoro wykradaliśmy kryształy, czemu miałyby się nie udać nam z jajem?

– Kryształy to co innego. Wyobrażasz sobie, z jaką furią oni będą bronić własnego dziecka? Tutaj nie da rady i tysiąc harpunów z aratrańskiej stali!

– To tylko jajo. Jeszcze nie smok.

– Mniejsza z tym! Słyszałeś go. Dla nich i dla maga to znaczy to samo!

– Mów ciszej. Może stać pod drzwiami.

– Jeśli chce, to i tak nas teraz słyszy. Albo wszystko powtórzy mu ta przeklęta laska!

– Nie podoba mi się to wszystko. Ani trochę mi się nie podoba! Ten czarodziej to wariat. Dewiant, jak to mówią...

– To już wiemy, Warras. Nie odkrywasz nowego lądu. Właśnie dlatego musimy na to przystać. Wyobrażasz sobie, co nas czeka, jeśli się nie zgodzimy? Popatrz na tego tutaj!

Keramir zrozumiał, że mówią teraz o nim. Mimo woli nie mógł przestać słuchać.

– Musimy mu pomóc. – Usłyszał bliżej siebie młody, chłopięcy głos. Taki, który dopiero w ostatnich latach zaczął nabierać niższych, męskich tonów. Ten głos wstrząsnął wszystkimi okruszynami jego rozbitego umysłu.

– Teraz to nie jest nasz największy problem, Arionie – odezwał się ktoś ze złością.

– To zaklinacz pogody.

– Przede wszystkim to mag. Tacy jak on skazali na śmierć twoją rodzinę.

– Mój ojciec też miał magiczny dar!

– To co innego. Ten tutaj to prawdziwy mag, nie rozumiesz? Nie można mu ufać! Kto wie, może tylko udaje. Może jego rany to złudzenie, które ma osłabić naszą wolę.

Po nich można się spodziewać wszystkiego!

– Egrit ma rację. My się zgodzimy podjąć tej wyprawy, zabierzemy tego... tego kogoś na statek, a on użyje swojej mocy, żeby zatopić okręt albo pozabijać nas wszystkich.

– Pleciesz bzdury! – mruknęła kobieta. – Miałby zatopić statek, na którym sam przebywa? To niedorzeczne!

– Niekoniecznie. Mógłby rozbić go o rafy w pobliżu jakiejś wyspy. Albo zdradzić nas w inny sposób. Tak, myślę, że chciałby nas zabić, kiedy zdobędziemy już to jajo.

W uszach Keramira zadźwięczała cisza.

Czym były te głosy? Czyżby jednak umarł? Na tę myśl poczuł niemal radość. Może nie żył i to niespokojne zjawy targowały się o jego duszę, niedopuszczoną do Wielkiego Płomienia? Czyżby zatem nawet po śmierci miał nie wrócić do Iskry? Na demona, przecież nie był heretykiem! Czym sobie na to wszystko zasłużył?! Co się stało, że się tu znalazł?!

Takie pytania były zbyt bolesne. Niebezpieczne. Keramir spróbował wyrzucić je z umysłu, bo czuł, że spychają go na krawędź szaleństwa.

– W takim razie mamy tylko jedno wyjście – odezwał się niski, męski głos. To musiał być przywódca. Keramir słyszał to w jego tonie. Nie otwierał oczu. – Musimy podjąć się tej wyprawy sami. Tylko my. Załoga Krogulca. Nie poinformujemy o tym innych członków bractwa. Nikogo nie będziemy prosili o pomoc. Nie zdradzimy żadnych naszych baz i kryjówek. Nie odwiedzimy żadnego z *naszych miejsc*. Wszystkich będzie obowiązywała bezwzględna tajemnica. Będziemy zachowywać się tak, jak gdyby ten człowiek, zaklinacz, był zdrajcą, który pragnie pogrzebać nasze bractwo.

Dookoła poniosły się z wolna potakujące mruknięcia.

– Aronie. – Keramir zrozumiał, że teraz mężczyzna zwraca się do chłopca. Jego głos był śmiertelnie poważny, zatroskany, surowy. – Słyszałeś, co powiedzieliśmy.

Wszyscy musimy dochować tajemnicy. Jeśli wsiądziesz z nami teraz na statek, będziesz musiał zostać już do końca. To znaczy, dopóki nie zdobędziemy jaja.

Cisza brzęczała jak rój wściekłych os. Słysząc w niej było szelest płomienia.

– Nie możemy mu kazać dokonywać teraz takiego wyboru – szepnęła łagodnie ta zagadkowa kobieta.

– Spójrzmy prawdzie w oczy. Nie ma wyboru. Musi przysiąc – podsumował ktoś ponuro. Brzmiał jak starzec.

Keramir słyszał miarowe bicie serca. Miał wrażenie, że tłukło się tuż przy jego uchu. Ten hałas stawał się nie do zniesienia.

To chłopak. Nabrał powietrza w płuca.

– Przysięgam – powiedział cicho. Głos miał niższy niż wcześniej. Pewny. Zdecydowany. – Przysięgam zostać z wami do końca tej wyprawy. I że nie zdradzę waszych tajemnic.

Reszką świadomości Keramir pojął, że te słowa przypieczętowały jego los.

13.

Przysięga Ariona nie zdążyła jeszcze przebrzmieć w zgęstniałym powietrzu, kiedy przemknął przez nie cichy powiew. Wysoki Mag stanął w cieniu między dragitami, jakby w ogóle nie wychodził z tej komnaty. Przypominał wykuty z czarnego kamienia filar.

– Niezawodne wyczucie, panie – zamruczał z przekąsem Egrit.

– Mag zjawia się zawsze w porę, starcze – odparł z suchym uśmiechem Lyelyeban.

– Nigdy ani za wcześnie, ani zbyt późno.

Zbliżył się do stołu, na którym kandelabr płonął jasno niczym srebrzysty kwiat o mnóstwie ciężkich, wdzięcznie wygiętych łodyg. Czarodziej nawet nie spojrzał na leżącego na posadzce więźnia, którego drewniany szpon wciąż miał w swojej mocy. Dragaci również nie patrzyli już w tamtym kierunku. Równie dobrze ów nieszczęsny mag mógł nie istnieć. Z powodu swoich nadzwyczajnych zdolności stał się właśnie przedmiotem targu. A taki przedmiot kupcy omijają wzrokiem, nie chcąc zdradzać drugiej stronie, że na czymś naprawdę im zależy. Podobny błąd skutkuje prawie zawsze podbiciem ceny.

– Skłaniamy się ku przyjęciu twojej oferty – odezwał się ponuro Gwinto.

– Ale? – Lyelyeban wbił w niego swój chłodny wzrok. Kryształowe oczy zdawały się załamywać światło, migotać wielością płaszczyzn niby ślepie owada. Uśmiechnął się przymilnie cienkimi wargami. – Bądźmy szczerzy. Macie wątpliwości. Sądzicie, że nie można mi ufać, prawda?

Gerik skinął głową, a pozostali zamarli. Arion nagle zapragnął stanąć przy wuju, wesprzeć go, jednak nogi przyrosły mu do posadzki. Nie mógł się poruszyć. Rana boleśnie pulsowała pod opatrunkiem, jakby wił się w niej cień. Wszystko wokół

zdawało mu się coraz bardziej nierealne, niczym koszmarny sen, z którego się zbudzi. Ta komnata z kamienia, zmiękczone żółtym światłem świec, człowiek leżący na ziemi niby szmaciana lalka. Nawet przysięga, którą wypowiedział, mimo że zrobił to z przekonaniem.

– Sądźmy, że sprowadzisz na nas śmierć. Być może tylko drwiesz z nas, żądając jaja smoków. Droga do ich siedzib jest daleka, morskie prądy zmieniają się na wiosnę. Na taką podróż potrzeba dobrych zapasów, osprzętu, lin, suszonego mięsa – powiedział Gwinto jednym tchem, lecz jego słowa zabrzmiały bardziej jak żebranina niż jak próba jakichkolwiek negocjacji.

Lyelyeban uciszył go lekkim gestem bladej ręki.

– Kapitanie, kapitanie – zamruczał, zatapiając źrenice w oczach Gwinta. Potrafił dostrzec w nich jego wspomnienia i myśli niczym barwne dno oglądane przez płytką sadzawkę. – Nie ufasz mi? – wyszeptał mag wolno i przeciągle, po czym lekko wzruszył ramionami. – Niezbyt mnie to obchodzi. Możesz czuć do mnie odrazę, ale i tak nikt w całym świecie nigdy nie da ci tego, co ja.

Arion wzdrygnął się. Ostatnie zdanie zabrzmiało niezwykle znajomo. Usłyszał je naprawdę, czy tylko rozbrzmiewało w jego myślach? Tak czy inaczej nim się spostrzegł, dokończył je na głos, wypowiadając jedno słowo, które sprawiło, że wszyscy wokół zwrócili się ku niemu.

– Zemstę.

Kryształowe oczy zwężyły się w szparki. Przypominały dwa wąskie, księżycowe sierpy.

– Otóż to, młodzieńcze. Otóż to! – Mag z aprobatą pokiwał głową. – To chyba dobra cena, prawda? – zwrócił się do wszystkich. Zaczęli przytakiwać mu z wahaniem. – Na tak mądre słowa płynące z chłopięcych ust muszę znaleźć odpowiednią odpowiedź. Nie mogę pozwolić, by wasz młody towarzysz mnie zawstydził. Jestem wszak królewskim magiem, czyż nie? To dlatego że posiadam szczodrość godną

królów.

Magiczna laska oderwała się od więźnia i prędko poszybowała na wezwanie swego pana, po czym pewnie wpasowała się w jego bladą dłoń. Drewniane szpony na jej końcu cofnęły się z cichym chrzęstem. Pozostało tylko coś na kształt inkrustowanej kością ciernistej korony, w której osadzono fioletowy kryształ.

Ten ostatni zaczął powoli przygasać, a razem z nim kontury sprzętów i krańce całej izby. Wywołało to lęk w przesądnych sercach żeglarzy. Mimo to nie mogli oderwać wzroku od świetlistego kamienia, urzeczeni i zafascynowani, jak ktoś obserwujący po raz pierwszy zorzę polarną, która przecież zdaje się podpalać niebo. Kryształ przypominał teraz najbledszy ametyst pełen cienkich, wędrujących żyłek. Splatały się ze sobą jak nitki pajęczyn, tworząc zarysy obrazów, które ożywały, nabierały kształtów i barw z każdą chwilą.

– Zbliżcie się. Oto rękojmia naszego wzajemnego zaufania.

Z twardych piersi wyrwało się westchnienie zachwytu. Zobaczyli głębiny morza. Błękitny jak niebo przestwór pełen różnokolorowych ryb, meduz pulsujących światełkami, szarych wielorybów i srebrzystych ławic, buszujących w lasach falujących wodorostów. Nad tym wszystkim zaś żeglował statek.

To była karawela. Ogromna, stabilna, o wysokich burtach mieniących się pod deszczem rozbryzgiwanych kropel, majestatyczna jak karoca sunąca po wodzie. Wysoki kasztel na rufie połyskiwał rzędami okien. Pędziła pod wielkimi grzywami wydętych, białych żagli niczym widmowy okręt ożywiony magią. Obraz zbliżył się. U masztów powiewała królewska bandera Skyerlora – oko z uniesioną wysoko powieką, która kształtem przypomina skrzydło.

– Oto zemsta, którą pragnę wam ofiarować.

Gwinto zerknął na maga. Poruszyła się wypukła gulka na jego spieczonej szyi. Czarodziej musiał dostrzec pytanie na dnie oczu kapitana.

– Na tym statku podróżuje jedyna córka króla. Najstarsza z trójki rodzeństwa,

pierworodna księżniczka Lumina.

– Ta, którą król poświęcił bogom? – szepnął lekarz. Zmarszczył brwi, wykałaczką zwieszała mu się z rozchylonych ust.

– Ta sama. – Mag uśmiechnął się lekko. – Jak już mówiłem, obaj pragniemy zachwiać religijną wiarą, spróbować odmienić panujący ład. Oswoić boskość. Ale wy chcecie czegoś jeszcze ponad to. Odwetu. Zemsty. Upokorzenia samego króla. Odebrania mu choćby części tego, co z jego rozkazu odebrano wam i waszym bliskim. Rozumiem was. Dla takich chwil warto żyć. – Lyelyeban pieszczotliwie gładził łaskę dłonią. Mglista wizja wciąż trwała, drżąca jak krąg na wodzie. – Mogę wam to dać. Dobrze znam plan podróży tego statku. Na pokładzie są ludzie, którzy pomogą wam w jego zdobyciu. Córka króla może zostać waszą zakładniczką. Przyznacie chyba, że dopóki będzie z wami, jej życie zagwarantuje wam bezpieczeństwo? Zresztą, kto wie, może sami Przedwieczni klękną przed złożoną im w ofierze niewiastą? Może w tej starej tradycji tkwi jakieś ziarnko prawdy?

Arion drgnął. Łuna magicznego kryształu odbijała się w jego rozszerzonych oczach. Przez moment krótszy niż uderzenie serca zdało mu się, że obraz wewnątrz kamienia się odmienił i że w złudnym olśnieniu dostrzega postać księżniczki.

Czuł, jak w jego wnętrzu coś tężeje, jak w duszy wzbiera lodowata zapalczliwość. Gdyby mógł, pochwyciłby teraz w ręce ten widmowy statek, roztrzaskał jego kadłub i podpalił maszty. Myślał znowu o swoim ojcu i matce, o tym wieczorze, kiedy zbiegł po schodach, podekscytowany na myśl o powrocie wuja. W izbie na piętrze stała szkatuła z kryształami, a powietrze miało posmak nadciągającej burzy. Teraz rodzice nie żyli, Gwinto naprawdę powrócił, ale Arion nie chciał mieć z nim już nic wspólnego. Nic, za wyjątkiem jednej rzeczy. Pragnął zemsty.

Nigdy dotąd niczego nie pragnął tak bardzo.

Spojrzał na kapitana. W półmroku ich oczy się spotkały i chłopak poczuł, że obaj myśleli o tym samym. Że chociaż całe życie wcale się nie znali, ich wnętrza spala ten

sam lodowaty płomień.

Gwinto poczuł ukłucie kropli potu na karku. W tej dziwnej, przeklętej izbie nie widział już chłopca. Dziecko, którym był Arion, na zawsze zniknęło. Miał wrażenie, że z mroku spogląda na niego wyzywająco wcielony duch jego przyjaciela Ravaela.

– Zgadzą się – odpowiedział twardo czarodziejowi. – Oddaj nam dziecko królów, a my damy ci dziecię bogów!

Lyelyeban zmrużył oczy z satysfakcją.

– Doskonale.

Nieznacznie poruszył ręką i wizja zniknęła. Kandelabr płonął jasno, kamienne ściany podziemnej komnaty zionęły chłodem. Zaklinacz rozciągnięty na posadzce tkwił nieruchomo jak drewniana kukła. A co, jeśli to wszystko było tylko przedstawieniem? Teatrem poruszanych sznurkami lalek, kuglarstwem, przekonywującym popisem sztukmistrza?

Jednakże Lyelyeban wyciągnął z czeluści szaty cienki zwitek opatrzony szkarłatną pieczęcią. Linie odcisnięte na płaskiej bryłce wosku układały się w kształt zagadkowej runy.

– Oto koordynata statku księżniczki z podziałem na kolejne odcinki podróży i z oznaczeniami przewidywanych czasów. Punkt odniesienia stanowi Namiria jutro w samo południe. Dlatego nie spieszcie się. – Lyelyeban wręczył zwitek papieru kapitanowi. – Musicie zebrać siły na taką wyprawę. Opłaciłem dla was sutą kolację i wygodny nocleg w tutejszej gospodzie. Jest już późno, a po zmroku drapieżcy stają się zuchwali. Liczę, że przyjmiecie zaproszenie.

Gwinto bez słowa skinął głową.

– Gdzie mamy dostarczyć jajo?

– Na wyspę zwaną Abnos.

Gerkowi stanął przed oczyma porośnięty gęstym lasem skrawek lądu przypominający kształtem skorupę żółwia.

– Wiem, gdzie to jest.
– Znakomicie.
– Skąd będziemy wiedzieć, kiedy się spotkamy?
– Nie kłopotcie się. Ja będę wiedział. Jak mówiłem, mag zawsze zjawia się w stosownym czasie. Zawarliśmy umowę. Jeśli wy mnie nie zawiedziecie, ja również nie zawiodę was. – Lyelyeban naciągnął na głowę czarny kaptur. Ich rozmowa była już skończona. – Potraktujcie waszą zemstę jako pierwszą część zapłaty. I nie zapomnijcie o zaklinaczu pogody.

Czarodziej zbliżył się do nieprzytomnego mężczyzny i na moment przystanął. Gdy bez słowa odchodził w mrok, z którego wcześniej przyciągnęła więźnia magiczna laska, Arion spostrzegł, że na szyi leżącego na ziemi człowieka pojawił się ciężki łańcuch z malutkim, dziwnie migotliwym kryształem. Lyelyeban zniknął. Nagle zaklinacz mocno wciągnął powietrze. Jakby tonący odzyskiwał dech po straszliwie długiej chwili pod powierzchnią.

– Pomóżcie mi – mruknął lekarz, przyklękając przy nieszczęśniku.

Ciężkie drzwi do komnaty otworzyły się niespodziewanie. Stał w nich znajomy mężczyzna bez nosa. Towarzyszył mu gruby karczmarz o rumianych policzkach, którego wcześniej widzieli za kontuarem.

Warras i ich niedawny przewodnik dźwignęli Keramira. Arion dokładniej przykrył swoim płaszczem jego poranione ciało. Podtrzymał też jego ciężki, ciągnący w dół łańcuch. Atrybut prawdziwego czarodzieja. Mroczne współczucie dla tego obcego, który był przecież magiem, trąciło jakąś nieznaną wcześniej strunę w jego duszy. Chłopak miał wrażenie, że jest między nimi jakieś sekretne podobieństwo. Obaj stracili wszystko, lecz teraz spróbują zawalczyć o sprawiedliwość.

– Mam dla niego wygodne łóżko na tę noc. Zaprowadzę was – oznajmił karczmarz, ruszając przodem. Żaden nerw w jego jowialnej, nalanej tłuszczem i przypominającej pysk morsa twarzy nawet nie drgnął, kiedy spojrzał na pokaleczonego zaklinacza.

Jeszcze na krótką chwilę stanął w drzwiach. Objął wzrokiem grupkę milczących dragitów. – A was, panowie i pani, zapraszam do gospody. Mój zakład jest do waszych usług tej nocy! Wszystko zostało uregulowane z góry. Napitki i najlepsza strawa na Namirii, a oprócz tego, jeśli zechcecie, wyszukane atrakcje. Gdyby zaś dopadło was zmęczenie, czekają was najwygodniejsze pokoje na piętrze!

*

Muzyka lekko świszczących, rogowych piszczałek, głębsze, melodyjne tony z muszli i rytmiczny tętent skórzanych bębenków niosły się tej nocy w głąb płataniny komór i korytarzy wykutych w miękkich skałach na Wyspie Przeklętych. Dalekie echo gnało siecią wąskich kominów wentylacyjnych i nikło w czeluściach płaskowyżu, który liczne biegnące nim tunele upodabniały do kopca termitów. Muzyka przypominała dawnym czarodziejom utracone czasy wolności. Napływała jak z odległej epoki, w której cieszyli się jeszcze słońcem i wiatrem, z kryształów zaś beztrudnie czerpali całą moc, jaka potrzebna im była zarówno do dokonywania niezwykłych czynów, jak i do spełniania przyziemnych zachcianek. Tamto życie wydawało im się snem, który minął. Być może lepiej byłoby go nie pamiętać. Obecnie spędzali dni i noce w półmroku. Rzadko wychodzili na powierzchnię, gdzie niebo spowijały zasłony pajęczyn niczym rozpięty nad wyspą pogrzebowy całun. A przecież żyli pod nim. Pogrzebani za życia.

Wnętrze gospody, skąd dobiegała muzyka, było oświetlone świecami i kagankami nasyconymi rybim tłuszczem. Ich ciepłe, ruchliwe światło tworzyło niemal pogodny nastrój zacisznego schronienia. Płomyki ożywiały cienie w nierównościach skał, odbijały się w butelkach z ciemnym winem, które napełniano z wielkiej beczki z kranikiem, połyskiwały w zastawie, w cynowych misach, na powierzchni napełnianych kubków i rogów do picia. Ozłacały kłęby aromatycznej pary wznoszącej się znad półmisków. Nie brakowało tam placków, pikantnej zupy rybnej, pieczonych w popiele tuvangów, marynowanych małży, cebuli, bulwiastych warzyw oraz mięsa ptactwa i

uchatek.

Żeglarze jedli i pili, wymieniali żarty i przekleństwa i co jakiś czas zanosili się gromkim śmiechem przy wznoszeniu żarliwych toastów, których prawdziwe znaczenie było zrozumiałe tylko dla nich. Gdy Arion na nich patrzył, nie mógł się temu nadziwić. Siedział z nimi przy stole i oddzielał od ości białe, kruche mięso, które rozpływało mu się w ustach. Jeszcze parę godzin temu groził im mag, jeden z najpotężniejszych ludzi, o jakich chłopak słyszał. Widzieli sieci drapiezców i otarli się o puste okrucieństwo. Jutro zaś mają wyruszyć na wyprawę, w czasie której wszyscy mogli stracić życie. Tymczasem jego kompani szczerzyli zęby wśród żartów, poklepywali się po ramionach, podrygiwali w rytm muzyki i niemal już rwali się do tańców. Wino lało się strumieniami. Egrit opowiadał dziwaczne historie, okraszone pijacką chrypką. Arion stara się nie stracić wątku. Gilal otwarcie przyjmował zakłady dotyczące przebiegu ich podróży. Ktoś stawiał swój talizman, ktoś kryształ. Znajdowali się w więzieniu, a wszyscy bawili się co najmniej jak na wiejskim festynie.

Muzyka piszczałek i bębenków zmieniła rytm i nagle Aliya zerwała się zza stołu. Marynarskie spodnie miała przepasane szeroką chustą. Jednym ruchem zerwała z włosów czerwoną wstążkę i rozwiesiła ją jak szarfę między wyciągniętymi palcami. Jej ramiona uniosły się jak skrzydła. Tańczyła sama, boso na kamiennej podłodze. Złoty kolczyk błyskał w jej pępku za każdym obrotem. Kompani patrzyli na nią, przyklaskiwali jej do rytmu, wołali jej imię i gwizdali z uznaniem. Arion również z zachwytem obserwował taniec. Nie widział nikogo, kto poruszałby się z taką gracją. Tańczyły jej stopy, talia, ramiona i dłonie. Rytm zdawały się wybijać nawet kolczyki podrygujące w uszach Aliyi. Dziewczyna przymknęła oczy, wzniosła się na palce. Zdawało się, że w tej muzyce odfrunie...

Arion przebiegł wzrokiem po urzeczonej widowni. Stwierdził, że nawet chmurny kapitan nie mógł oderwać od niej oczu. Gwinto sięgnął po kapelusz i naciągnął go głęboko.

Wreszcie tancerka zaczęła opadać z sił. Popis zakończyła akrobatycznym wyskokiem w powietrze, który zmienił się w diabelskie salto. Wszyscy klaskali, a paru ludzi otoczyło ją kołem i podsunęło pełen kielich wina. Aliya wypła go duszkiem, po czym otarła koralowe usta wierzchem dłoni. Szukała kogoś wzrokiem. Arion podążył za spojrzeniem dziewczyny.

Miejsce, gdzie siedział kapitan, było teraz puste.

– Twój wuj udał się już na spoczynek. – powiedział Egrit, który skorzystał z ogólnego zamieszania, żeby przesiąść się bliżej Ariona. – Prosił mnie, bym dopilnował, żebyś niebawem uczynił to samo. – Szelmowski uśmiech rozciągnął suche wargi starca. – Młodość ma swoje prawa, ale ty zostałeś poważnie ranny. Wybacz mi więc moją nadgorliwość.

Arion odpowiedział mu słabym uśmiechem.

– Ta uczta to najweselsze, co spotkała mnie od wielu dni – wyznał cicho.

– Dziwi cię to? Że świętujemy po tym, co się stało?

– Poniekąd.

– Już niedługo wszystko zrozumiesz. Teraz, chłopcze, jesteś jednym z nas. Pamiętaj, co ci mówiłem? Jesteśmy...

– ...panami szczęścia?

– Właśnie. – Egrit uśmiechnął się i skinął głową z aprobatą. W jego uśmiechu było jednak coś bolesnego, jakby mącił go jakiś cień. – Morze uczy pokory. Każe nam cieszyć się każdą chwilą. Śmierć otacza nas bezustannie. Nie tylko na morzu, Arionie, chociaż tam odczuwa się to bardziej. Żyjemy przez nią osaczeni. Nawet gdyby istniał jakiś świat bez niebezpieczeństw, bez magów, bez sztormów i smoków, to czas ciągle popycha nas w przepaść. Jedyne, co możemy zrobić, to drogo sprzedawać każdy dzień. Jutra nie zna nikt, a przeszłości nic nie wróci. Trzeba cieszyć się więc każdą trwającą chwilą. Poznasz trudy jednostajnych, morskich dni. Ta wyspa jest lochem dla osadzonych. Ale bywają chwile, że dla żeglarza więzieniem jest statek. Dlatego nie

dziw się, chłopcze, że ci ludzie śmieją się i piją, radując się jedną nocą spędzoną na łądzie. Nigdy nie wiadomo, kiedy to się powtórzy.

Niebieskie oczy Ariona zachowały wyraz cichego smutku.

– Nie mam im tego za złe – szepnął miękko. – Nie piję z innymi, ale w jakiś sposób cieszy mnie ich radość... Jeśli to właściwe określenie.

– Piją dziś po części i na twoją cześć. Za zdrowie nowego członka załogi.

– Naprawdę? – Oczy chłopca rozbłysły niepewnym światłem.

– Musisz być bardzo zmartwiony albo zamyślony, skoro dotąd tego nie zauważyłeś.

Nie winię cię. Spotkało cię wiele.

Chłopak musiał przyznać w duchu, że starzec miał rację. Poczł mieszanię zdziwienia i wstydu. Nie chciał, by dragici myśleli, że jest zamkniętym w sobie, obojętnym na wszystko niewdzięcznikiem.

– Cieszy mnie, że uratowaliśmy życie zaklinacza pogody – odezwał się cicho.

– Co z nim?

– Pomogłem go nakarmić i umyć. Lekarz podał mu mikstury na wzmocnienie.

On...

– To wszystko jest straszne. Wiem o tym, Arionie. Życie jest straszne, ale śmierć też.

Arion nie odpowiedział. Obaj spoglądali na grupkę tańczących, zasłuchani w rytmiczną, powracającą falami muzykę. Ktoś, przechodząc, poklepał chłopaka po ramieniu, ktoś podsunął bliżej półmisek z plackami. Egrit siorbał nową porcję wina. Parte uprzejmie napełnił kubek starca.

– Opowiedział ci już o tarczy Althirry? – spytał Ariona, pochylając się nad stołem. Czoło miał zroszone kropelkami potu, a usta rozciągnięte w uśmiechu. Po jego zachowaniu widać było, że alkohol dodawał mu pewności siebie.

– Jeszcze nie – odparł zapytany, przenosząc zaciekawione spojrzenie na starca.

Od razu polubił Partego. To był cichy, troszkę roztrzepany chłopak, tylko parę lat

starszy od niego, wysoki i chudy, ale bardzo silny. Miał dość mocno odstające uszy i wydatny nos. Grzywka w mysim kolorze, wyblakła od słońca, niesfornie opadała na zielone oczy.

Parte podsunął Egritowi pełen kubek.

– Opowiedz nam, stary zbój! – zwrócił się do niego uprzejmie. – Chłopak przecież złożył dziś przysięgę. Powinien wiedzieć, czym jest skarb, którego szuka tak wielu żeglarzy!

Szyper nie patrzył na nich, dziwnie chmurny i nieubłagany.

– Nie daj się prosić, kapitanie! – Parte lekko szturchnął go łokciem.

– Kapitanie? – powtórzył Arion szeptem, niemal niedosłyszalnie.

Parte zauważył jego lekkie zdziwienie.

– Egrit był kiedyś kapitanem. Miał własny statek, z tego co wiem, niejeden. O ile pamiętam, najwspanialsza była barkentyna. Zaraz, zaraz, jakie ona nosiła imię? – Parte udawał, że nie może sobie tego przypomnieć. Arion stwierdził, że temu chłopakowi mimo nieśmiałości nie brak ukrytego poczucia humoru. Dobrze wiedział, jak podejść starego żeglarza.

– Rozgwiadza! Nazywała się Rozgwiadza! – burknął na to Egrit niecierpliwie. Wychylił kubek. Wyciągnął z rękawa chustkę z haftowanym inicjałem i krótko wydmuchał w nią nos, po czym zwinął i włożył na miejsce. – Rozgwiadza... Cóż mogę wam o niej rzec? Barkantyna. Mało powiedziane. To był najszybszy żaglowiec, jakim pływałem. Za wyjątkiem naszego Krogulca oczywiście! To był statek! Dziś już nie znajdziesz takiej załogi! Takiego sternika jak Malamut Tin! Któż inny potrafiłby tak zmylić pościg w labiryncie cieśnin Pięści Wysp?! Potrafiliśmy kryć się tam miesiącami, żywiąc się zupą z żółwi, których jest tam pełno. A w tłusty, ciepły czas, gdy wzbogaciliśmy się już na rabunku, parliśmy na Tikany, pić, tańczyć i kochać dziewczyny na plażach, gdzie piasek jest zielony i miękki jak młoda trawa! Gdzież dziś taki zaklinacz jak Temalin Sęp? Wszyscy nas szanowali! Wiedzieli, co to honor

korsarza. Niejeden ze statków, któreśmy zrabowali, przyłączył się dobrowolnie do naszej załogi. Rozgwiadza... poszła na dno, a z nią moje sny. – Egrit wytarł sobie kącik ust. – Ale nie o tym miałem mówić, czy tak? Co pochłonęło morze, tego nic nie wróci. Chociaż mawiają, że co zabiera jedna fala, inna zawsze oddaje. Widzicie, nie jestem jeszcze pijany. Tarcza Althirry. To was interesuje, czy tak?

Arion z powagą skinął głową. Starzec powściągnął ogarniające go pijackie rozrzewnienie.

– Nie czas dziś na długie wywody. Czy nigdy nie słyszałeś o tarczy?

Arion zaprzeczył z rozbrajającą szczerością. Kilku ludzi zgromadziło się wokół nich.

– Cóż, Althirra żyła dawno temu. Podobno przysłała na świat na jednej z Wysp Zachodu, które dzisiaj pochłonęło morze. Niektórzy twierdzą, że była ondynką albo syreną, ale ja nie wierzę w takie baśnie.

– A cóż z tego wszystkiego nie jest choćby w części baśnią? – spytał przekornie rudowłosy Salek i Egrit zgromił go swoim surowym, jednookim spojrzeniem.

Po czym powrócił do ledwie rozpoczętej opowieści...

*

Aliya odetchnęła głębiej i naląła sobie jeszcze jedną porcję wina. Przepłynęło letnią, cierpkawą falą przez jej gardło i nagle lekko zawirowało jej w głowie. Trąciło goryczką, ale jednocześnie było kojące i słodkie. Miało barwę rozrzedzonej krwi. Nawet gdy szeroki puchar był już pusty, dziewczyna jeszcze chwilę przyciskała go do ust. Ukradkiem zerknęła znad niego na swych towarzyszy. Omiotła wzrokiem większą część gospody. Prawie wszyscy zgromadzili się wokół Egrita, który raczył ich dobrze jej znaną, legendarną opowieścią. Ona sama pokochała historię o tarczy Althirry od chwili, gdy usłyszała ją po raz pierwszy od swojego ojca, kiedy była jeszcze malutką dziewczynką. Althirra, dziewczyna żeglarz, tajemnicza podróżniczka kryjąca piękną twarz pod mityczną już maską, którą umieściła na tarczy po tym, jak udało się jej

wreszcie ujrzeć oblicza skrzydlatych bogów. Ta historia poruszała wyobraźnię nawet teraz, choć Aliya od dawna nie była już dzieckiem. Czy na Arionie legenda wywrze równie wielkie wrażenie?

Nie miała czasu zbyt długo się nad tym zastanawiać. Nie chciała, by jej kompani zwrócili uwagę na to, że już wychodzi. Była bardzo zmęczona. Przede wszystkim jednak miała jeszcze coś do załatwienia, a chwile na łądzie zawsze mijały szybko.

Dziewczyna zabrała ze skalnej niszy jeden z malutkich kaganków i pospiesznie weszła po schodach na piętro, gdzie miały czekać na nich wykute w kamieniu pokoje. Hałas z dołu był tu cichszy, przytłumiony. Spośród muzyki i śmiechów dobiegały już nie rozróżnialne słowa, lecz jedynie porywający słuchaczy ton Egrita, który starzec umiejętnie modulował, w miarę jak rozwijała się opowieść.

Wcześniej Aliya dyskretnie poprosiła karczmarza o klucz do jednej z izb, pytając przy okazji, którą zajmuje kapitan. Szynkarz spełnił bez szemrania jej prośbę. Widziała, jak jego świdrujące oczka z rozmarzeniem wpatrują się w jej dekolt. Nic dziwnego, był w końcu mężczyzną. Jednak jego wygłodniała, lubieżna mina miała w sobie coś, co wzbudziło jej głęboki wstręt.

Korytarz na piętrze rozświetlała samotna pochodnia. Aliya przystanęła w głębokim półmroku, ściskając w dłoniach maleńki kaganek. Poczowała się jak ta wążka, lekko drgająca świeczka, wylękniona i otoczona ze wszech stron ciemnością. Była dragitą, a w dodatku kobietą i wśród mężczyzn na statku nieraz nie było jej łatwo. Zwykle nie pozwalała sobie na okazywanie słabości. Tego nauczyło ją jej krótkie jeszcze życie. Jednak teraz, na tej niegościnniej wyspie, gdy stała sama w ciemności przed zamkniętymi drzwiami pokoju kapitana, coś w niej pękło i do oczu napłynęły łzy. Miała ochotę łkać, lecz tylko szybko rozmazała je po twarzy.

Lada chwila straci go na zawsze. Straci go, chociaż nigdy do niej nie należał. Przygryzła wargę, potrząsnęła głową i kilka czarnych, falujących kosmyków zsunęło się na jej mokrą od łez twarz. Nie stchórzy! Musiała powiedzieć mu prawdę. Tylko tutaj

miała ku temu prawdziwą okazję. To, co uczyniła, czasami nawiedzało ją w snach. Sądziła, że jest w stanie unieść ciężar takiej tajemnicy, ale nie umie tego, jest na to zbyt słaba. Zwłaszcza teraz, kiedy okazało się, że ten chłopiec ma zostać z nimi na pokładzie. Nie będzie potrafiła żyć obok Ariona, patrzeć na niego co dnia i myśleć, że to ona zabiła jego matkę. Ona. Tylko ona uśmierciła Ilenę!

Sądziła wówczas, że robi to z litości, że w ten sposób oszczędzi wszystkim bólu, ale czy to naprawdę była litość? Gdyby wiedziała od początku, że ta straszliwie poparzona kobieta była siostrą Gwinta, a nie jego kochanką, czy na pewno postąpiłaby tak samo? Czy nie przemawiały przez nią zazdrość, samolubny strach, zraniona nadzieja?

Wydawało jej się, że umiała zabijać. A jednak ciche zadanie śmierci pogrążonej we śnie rannej okazało się czymś innym niż podrzynanie gardeł pozbawionym skrupułów najemnikom albo walka na miecze z ludźmi króla. Była na to za słaba. I głupia! Zawiodła wszystkich. Zwłaszcza siebie. Targały nią wyrzuty sumienia. Powtarzała sobie, że według wszelkiego prawdopodobieństwa Ilena i tak by umarła. Zawsze jednak istniał przecież cień szansy. Promyk złudnej, niemądrej nadziei, który teraz ciął jej nerwy jak miecz.

Więc wejdzie tam i powie mu prawdę. Wyzna, że przyczyniła się do śmierci Ileny. Potem niech się dzieje, co chce. Może on rzuci się jej do gardła. Może w furii zacznie ją bić. I tak po stokroć gorsze od uderzeń będą jego nienawiść i wzgarda. Na samą myśl o tym Aliya czuła, jakby już umarła. Nie powinna przeciągać tych tortur, tej nieznośnej, wlekącej się chwili. Wyzna wszystko. Zrobi to teraz. Potem odejdzie z załogi. Nie była godna tego, żeby dłużej pływać z nimi na Krogulcu. Nie była godna, by zabijać bogów!

Zapukała krótko i nacisnęła prowizoryczną klamkę. Drzwi były otwarte. Wśliznęła się do środka i szybko zamknęła je za sobą.

W pokoiku paliła się świeczka. W rogu, przy koślawym stoliku, stały pojedyncze krzesło i miednica. Gwinto nie spał. Leżał na wąskim łóżku wyścielanym słomianym

materacem, pod pledem. Kiedy weszła, usiadł i potarł dłońmi twarz.

– O co chodzi? – spytał po chwili milczenia. – Coś się stało? Usiądź.

Wstał z wahaniem, jakby chciał przysunąć jej krzesło, ale ostatecznie sam przycupnął pod ścianą, by zrobić jej miejsce na łóżku.

Nie poruszyła się. Patrzyła na niego z zamierającym w piersi sercem. Nie miał na sobie koszuli i w odblasku płomienia rysował się jego nagi, wytatuowany tors. Ślady po oparzeniach goiły się z każdym dniem, ale minie jeszcze jakiś czas, zanim znikną. Gdzieś w półmroku ich spojrzenia się spotkały.

– Ty płaczesz? – szepnął nagle z nieudawanym zdumieniem. Wstał i zabrał kaganek z jej ręki, żeby odstawić go na stolik, po czym pociągnął ją lekko w stronę łóżka. Posadził ją na nim jak dziecko, przykląkł na podłodze tuż obok i delikatnie poklepał ją po ramieniu. – Aliyo – wymówił jej imię głosem zmiękczone troską, co sprawiło, że spojrzała mu prosto w oczy.

Chyba nigdy jeszcze go takim nie słyszała. Szybko wytarła łzy do sucha.

– Powiedz mi, co się stało. Możesz mi zaufać. Czy ktoś z załogi źle się wobec ciebie zachował? Wiesz, że temu zaradzę! Jeśli któryś z tych drabów...

– Oni nic nie zrobili, kapitanie! – przerwała mu, odzyskując panowanie nad sobą.

Nakrył jej rękę swoją dużą, mocną dłonią. Coś w niej krzyczało, żeby jej nie dotykał, żeby nie utrudniał tego, co miała zrobić. Żeby nie zadawał jej jeszcze więcej bólu każdym słowem i każdym ciepłym gestem.

– Więc co się stało? – mruknął i poczuła jego oddech aż na twarzy. Gorący i słodki, pachnący ciemnym winem. Musiał wypić sporo więcej, niż myślała. Jego jasnoblękitne, bystre oczy świeciły się od spożytego alkoholu. Nie był pijany, ale też nie był całkiem trzeźwy.

Nie miała siły wyrwać mu swojej ręki. Nabrała w płuca duży haust powietrza. Jej głos znów stał się pewny, chociaż drżała w nim jakaś wyższa nuta. Jego twarz była teraz tak blisko.

– Chcę skorzystać z prawa lądu, kapitanie – oświadczyła.

Gerik odsunął się lekko.

– To, co stało się na lądzie, nie liczy się na morzu. Lecz to, co stało się na morzu, może zostać rozwiązane na lądzie – wyrecytował skróconą treść prawa, patrząc na nią uważnie.

Miała wrażenie, że mimo półmroku jego oczy przenikają aż do dna jej czarnej duszy.

– Tak. Chcę skorzystać z tej zasady. Muszę coś... – zaczęła i głos się jej załamał, kiedy Gwinto złożył na jej ustach pocałunek.

– Ja też tego chcę, Aliyo. – Oszołomiona usłyszała jego niski szept. Pogładził ją po policzku i pocałował raz jeszcze. Tym razem oddała mu namiętą pieśczętę, utonęła cała w jego ustach. Bezwiednie zarzuciła mu ręce na szyję.

Miała wrażenie, że stały ląd osuwa się jej spod nóg, że pieścza ją sam ocean, morska piana i aksamitny piasek. Że porywa ją gdzieś dziki, ciepły wiatr, że zatracą w nim swoje jestestwo.

Zapomniała o swojej winie i o karze. Wszystko inne zdawało się już nie istnieć. Była tylko ona i on – mężczyzna, którego kochała. Pierwszy raz jej skrywana miłość miała szansę wybuchnąć i uczyniła to z całą namiętnością, z całą tajoną od tylu dni tęsknotą. Jednocześnie Aliya zachłystywała się burzą jego pieśczęt, jego ustami wędrującymi po swoim ciele, jego ciepłymi, masywnymi dłońmi i muskularnym ciałem smakującym słońcem i słonym wiatrem.

Gwinto czuł się opętany pragnieniem. A może była to dojmująca samotność? Tej nocy tak naprawdę bardzo nie chciał być sam. Czyżby wcześniej był ślepy? Czy nie widział, że dziewczyna była taka piękna? Czy jej nie dostrzegał? Nie widział tego ognia, który płonął w jej ciemnych oczach? Jej czarne włosy rozsypały się kobiercem i muskały jego ramiona. Jej skóra przypominała złoty jedwab, który prężył się pod jego dotykiem. Wpijała twarde usta w jego szyję. Była w niej siła i zarazem słodycz, jakiej od dawna nie zaznał.

Gdy było po wszystkim, Gwinto pocałował jej twarz i w ciemności odkrył, że jej oczy były pełne łez.

– Czy coś nie tak, Aliyo? – spytał zmieszanym szeptem.

Dziewczyna delikatnie, słodko pocałowała go w usta. Jej cichy, drżący głos przeszył mu serce.

– Obojętnie, co się stanie, pamiętaj, że cię kocham.

14.

Zbliżało się południe, ale Arion wiedział już, że na Wyspie Przeklętych słońce nie świeci nigdy pełnią sił. Z trudem przebijało się przez falujące jak chmury woale pajęczyn, jakby samo w nich teraz utkwilo. Przypominało blady krążek albo pokryte bielmem, ślepe oko Egrita.

Chłopak zauważył, że przez noc sieci drapiezców opustoszały z wczorajszej zdobyczy. Od świtu zaczęły wpadać w nie nowe ofiary, pokrzykujące czasem wysokim, rozdartym głosem, bijące skrzydłami i szamocące się w uwięzi z niewyczerpaną jeszcze energią.

Po pierwszej w swoim życiu żeglarskiej uciece, którą zakończył połknięciem mnóstwa mikstur od medyka, spał w malutkim pokoiku wykutym w skale, gdzie panowała wieczna noc. Kiedy obudzili go jego kompani, wszyscy musieli się już śpieszyć. Gruby karczmarz jak w ukropie krzątał się przy śniadaniu i poganiał swoje pracownice. Jakby się obawiał, że dragici zostaną na wyspie zbyt długo. Rzeczywiście, półmrok w czeluściach płaskowyżu zdawał się zamrażać upływ czasu.

Kiedy wspinali się za przewodnikiem ku powierzchni i przycupniętemu tam widmowemu miasteczku, Arion spostrzegł, że towarzyszy im wiele okutanych w przeróżne łańchmany postaci. Większość przysłaniała swoje twarze, jednak srebrzysta poświata dookoła ich oczu zdradziła, że muszą być to więźniowie Namirii. Ktoś uprzednio zwerbował ich jako tragarzy. Dźwigali teraz w milczeniu skrzynie z suszonym mięsem i worki z warzywami, zwoje lin, bele płótna, kosze gwoździ i haków oraz inne pakunki. Mozolnie toczyli osmołowane beczki z winem i ze słodką wodą. Arion zrozumiał, że tym, kto z taką szczodrością wyprawiał ich w drogę, musiał być ich zleceniodawca.

Po wyjściu na powierzchnię więźniowie zaczęli przystawać i z bólem mrużyć oczy. Po krótkiej chwili ruszali dalej. Arion szedł w pobliżu niesionych przez tragarzy noszy z zaklinaczem pogody, który co jakiś czas budził się, by znów zapaść w urywaną, niespokojną drzemkę. Chłopak z rozkoszą wciągał w płuca świeże powietrze i wystawiał twarz na lekki powiew bryzy. Czuł się dziś o niebo lepiej niż wczoraj. Miał jakieś dziwne, podświadome wrażenie, że rana w boku całkiem się już zagoiła, i że tym, kto w tajemny sposób go z niej wyleczył, był królewski mag o kryształowych oczach.

Wszystko, co wydarzyło się przed przybyciem na Namirię, zdawało mu się dziwną, odległą przeszłością. Wspomnieniem tak starym, że już podobnym do snu. Nagle zrozumiał, że przestał być dzieckiem. Nigdy więcej nie będzie już w miarę beztroskim chłopcem z cichej osady w delcie Vissli. Tego ranka życie otworzyło się przed nim, szerokie i bezkresne jak morze, oszałamiające jak światło i rześki wiatr po długiej nocy spędzonej w ciemnościach. Smakował z ekscytacją i zdumieniem tę nową, nieznaną rzeczywistość. Wyostrzały się w niej jego zmysły. Gdy zza skał i powykęcanych wiatrami drzew dojrzał wreszcie horyzont i głęboki błękit wody, oczy rozbłyły mu jakimś nowym, wewnętrznym uśmiechem. Stwierdził, że morze już go nie przerażało. Wręcz przeciwnie, zdawało się go przyzywać. Zmierzał ku niemu z prawdziwym utęsknieniem, ciesząc się każdym krokiem, który przybliżał go do klaszczących o brzeg fal. Nie przedstawiały już w jego oczach tylko rozszumianego pustkowiecia. Z perspektywy tej ponurej wyspy, nie na darmo zwanej Wyspą Przeklętych, ocean stanowił wszystko, o czym tylko człowiek mógł marzyć. Uosabiał wolność i tajemnicę, czekające na odkrycie miejsca i możliwości, najzarliwsze nadzieje i dreszcz niebezpieczeństwa, bez którego życie z czasem traciło smak. Arion zastanawiał się, jak on sam mógł wcześniej tego nie widzieć. Egrit miał rację. Morze było wszystkim.

Dotarli do wąskiej, zwirowej plaży, gdzie wyprowadziło ich łagodniejsze niż poprzednio zejście wskazane przez przewodnika. Gwinto wydobył swój kryształ i

posłał umówiony sygnał świetlny na statek. Z pokładu natychmiast odpowiedziało mu kilka rozbłysków. Jak porozumiewawcze mrugnięcia przyjaciół.

Przetransportowanie zapasów na okręt poszło sprawniej, niż Arion przypuszczał. Jego towarzysze byli niezwykle radzi z tych wszystkich niespodziewanych, bezcennych dla nich dóbr. Wśród załogi zapanowały wyborne nastroje. Nie pogorszyła ich zbytnio nawet wieść, że zaklinacz pogody nie od razu rozpocznie swoją służbę. Gdy wciągnięto nosze z magiem na pokład, tylko na kilku twarzach odmalowała się niepewność i dające się wyczuć rozczarowanie.

– Kolejny ranny sprowadzony psu na budę na statek. Za dużo ich tutaj naraz. To nie wróży zbyt dobrze tej wyprawie. – Arion mimochodem usłyszał ostre słowa Spenkera. Zerknął na niego z niechęcią. Żeglarz posłał mu ponury, kpiący uśmiech.

Pozostali nadal krzatali się pospiesznie z radosnymi minami, świetnie współpracując przy załadunku. Więźniowie wciąż pomagali im jak tylko mogli, lecz żaden z nich nie odważył się zanadto zbliżyć do szkunera. Przez cały ten czas nie odezwali się ani słowem. Milczeli jak cienie i Arion zaczął zastanawiać się, czy nie byli niemi. Widział w ich srebrzystych oczach nieugaszony ból. U kilku dostrzegł piętna w formie małych run wypalonych na szyi, przedramionach lub dłoniach. Wzbudzali w nim współczucie, a jednocześnie strach, mrozącą krew w żyłach fascynację. Stali na brzegu zbici w posępne gromadki, powiewając na wietrze strzępami zużytych szat. Spoglądali na okręt, jakby miał stać się cud i Krogulec mógł zabrać ich wszystkich z tej wyspy. Arion wiedział, że to niemożliwe. Jego wuj przyplłynął tu tylko po zaklinacza pogody i tylko jego los mógł odmienić. A jednak chłopaka wzburzyła ta niesprawiedliwość. Kim są ci ludzie? Wiedział, że kiedyś byli czarodziejami, ale czym zawinili? Co musieli uczynić, by zasłużyć sobie na taki los? Czy tak jak jego ojciec potrafili władać mocą, chociaż według zasad królestwa wcale nie mieli do tego prawa? A może to po prostu buntownicy, niepokorni, których osadził tu król? Banici, podobni do dragitów? Ludzie, którzy mimo swych magicznych mocy mogliby równie dobrze znaleźć się po

tej samej stronie burty, co Gwidon Gerk i jego niepokodzeni z królestwem kompani?

Nie było mu dane poznać odpowiedzi na piętrzące się w głowie pytania. Ani się obejrzał, gdy wypłynęli ze skalnej zatoczki. Pochwycili w żagle zachodni wiatr. Arion stał oparty o reling i patrzył, jak srebrnookie, nieruchome postaci zmieniają się w malutkie, niczym odlane z ołowiu figurki, po czym rozmywają we mgłach. Strome wybrzeża i skały schodzące do morza przesuwają mu się przed oczyma. Dostrzegał maskonury i czarne nurzyki gnieźdzące się w szczelinach, nurkujące pod fale ze skrzydłami ułożonymi w kształt strzały. Plamy roślinności na zboczach lekko falowały na wietrze. Opłynęli wydłużony, kamienisty cypel i wykorzystując obmywający wyspę prąd, pozęglowali prosto na wschód. Namiria na oddalającym się horyzoncie zmieniała się w wysoki komin wiszących nad lądem chmur. Wiatr przegnał obłoki i twarz Ariona ogrzało złociste, mocne słońce. Odetchnął z ulgą i z rozkoszą zmrużył oczy. Na krótką chwilę zniknął z jego duszy cały ból. Światło odbijające się w falach zdawało się przenikać do jego serca.

*

Po południu podszedł do niego Egrit.

– Pomyślałem, chłopcze, że skoro jesteś już członkiem załogi, dobrze by było, żeby starzec oprowadził cię po statku. – Szyper mrugnął do niego zdrowym okiem, w którym błysnęły wesołe iskierki.

Arion ucieszył się z jego propozycji. Wydawało mu się, że już od długiego czasu snuje się po pokładzie bez żadnego celu i przygląda pracy żeglarzy. Większość z nich była pogrążona w swoich zajęciach, on zaś tylko zawadzał, zagubiony i nieprzydatny. Znalazł gdzieś kawałek liny i starał się odwzorowywać na nim różne typy węzłów, jakie podpatrzył tu i tam. W końcu to również mu się znudziło. Jakoś zapomniał, że całkiem niedawno został ranny i w związku z tym nikt nie chciał go obciążać. Wszelkie fizyczne dolegliwości nieoczekiwanie zniknęły. Czuł się zdrowo i postanowił

skwapliwie skorzystać z oferty Egrita.

Razem wędrowali po okręcie od miejsca do miejsca, od osoby do osoby. Po raz kolejny stary szyper okazał się wspaniałym gawędziarzem. Przedstawiał chłopcu wszystkich z imienia i z przydomka, wymieniał z każdym parę uwag albo docinków, by potem prawie za każdym razem szepnąć Arionowi do ucha jakąś rubaszną anegdotkę. Chłopak dowiedział się więc, na jakich wyspach mają kochanki Salek i Spenker, skąd pochodzi ukochana Tika, kto najgłośniej chrapie, kto zasnął na warcie, którzy to najlepsi harpunnicy, co oznacza tatuaż kucharza, czyje blizny zadał smoczy ogień, kto wystrychnął na dudka królewską inkwizycję, czym zajmowali się niektórzy, zanim zaciągnęli się na statek, i że Parte pochodzi z wyspy, której mieszkańcy utrzymują, że ich przodkami są białe wieloryby. Arion poczuł, że od nadmiaru informacji nieomal kręciło mu się w głowie i że chwilami mimowolnie uśmiechał się do siebie. W takich momentach znikало wywołane bólem po stracie najbliższych ponure otępienie. Powtarzał sobie szeptem kolejne imiona i przezwiska, za każdym razem starając się skojarzyć je z twarzą.

– Widać, że byłeś kapitanem. Naprawdę wiesz wszystko o załodze. Jak kapitan – powiedział do swojego przewodnika.

– Naprawdę tak sądzisz? – rzekł cicho Egrit. Widać było, że komplement przypadł mu do serca.

Podczas zwiedzania dziobówki weszli do kubryku. Arion spoglądał przez chwilę na piętrowe koje. Pośrodku pomieszczenia znajdował się wmontowany na stałe stół, przez który przechodził maszt.

– Chciałbym mieszkać tutaj, z innymi – oznajmił chłopak.

Egrit tylko wzruszył ramionami.

– Sam powiedziałaś, że jestem teraz członkiem załogi – rzekł Arion nieustępliwie. – Co oni wszyscy sobie o mnie pomyślą, jeśli nadal będę mieszkał w kajucie kapitana?

Starzec spojrzał na niego poważnie. Chłopakowi zdało się przez moment, że z

niejakim uznaniem.

– Będziesz mógł sypiać w kubryku z pozostałymi, kiedy tylko nauczysz się tego wszystkiego, co potrafią oni, jasne? Na razie jesteś dla nas tylko dodatkowym balastem, w dodatku siostrzeńcem kapitana. To on decyduje, gdzie i kiedy będziesz jadł i spał. He, he, rozchmurz się! Głowa do góry! Tak naprawdę Gwinto nie jest taki srogi. Wszyscy jesteśmy wolnymi ludźmi. Panami szczęścia, pamiętasz?

Arion skinął głową z ponurą miną.

– Jeśli bardzo chcesz, pogadam o tym z Gwintem. Zapytam, co on na to – mruknął Egrit pojednawczo, a chłopak odpowiedział mu rozjaśnionym spojrzeniem.

– Dziękuję! Sam wiesz, że nie dogaduję się z nim najlepiej. – Na moment odwrócił wzrok. Potrząsnął głową. – Naprawdę nie chcę z nim mieszkać. Za to ty i on chyba jesteście przyjaciółmi.

– Może nie widać tego na pierwszy rzut oka, ale twój wuj to szlachetny człowiek. Po prostu życie tutaj jest inne niż na łądzie. Musisz być twardy. Nie ma miejsca na litość. Dlatego nie bądź dla niego zbyt surowy. To wszystko, co się stało, to nie jego wina.

Przez niego zginęli moi rodzice! – Arion miał ochotę wykrzyknąć tę myśl, ale tylko przełknął ślinę i w ostatniej chwili ugryzł się w język.

Przypomniał sobie o prawie ładu. Złożył przysięgę, w związku z czym dragickie prawo obowiązuje również jego. Na statku nie było miejsca na jawną nienawiść. Jeśli żywił pretensje do kapitana, powinni rozwiązać tę sprawę po zejściu na ląd.

Czyli kiedy? I jak do tego czasu zdławić w sobie nienawiść? Czy to w ogóle możliwe? Obojętnie, czego Gwinto by nie zrobił, to nie wróci życia jego bliskim. W jednym Gerk miał rację: jedyne, co mógł zaofiarować Arionowi, to zemsta. Pojmanie córki króla. Kiedy będzie już po wszystkim, kiedy zdobędą smocze jajo, chłopak na zawsze opuści ten statek.

– Arionie? – Egrit odgadł, że jego towarzysz błędził gdzieś myślami. Starzec przyświecał im błyszczakiem. Zeszli teraz w najniższe czeluście okrętu, do

zaopatrzonej suto ładowni. W części dziobowej zamieniała się ona w zbrojownię.

Chłopak był pod wrażeniem jej wyposażenia. Dziesiątki zębatych harpunów z aratrańskiej stali połyskiwały na ścianach jak srebrzyste kły. Obosieczne miecze, długie włócznie, topory, sztylety, skórzane tarcze, lekkie, migotliwe kolczugi oraz łuskowate brygantyny... Przy kuszach spoczywały powiązane w ciasne pęczki strzały. To wszystko przywodziło na myśl uzbrojenie wysoko urodzonych rycerzy, a nie broń wyjętych spod prawa morskich włóczęgów.

Tylko że oni wcale nie byli pospolici! Czyż sam Wysoki Mag, jeden z najpotężniejszych ludzi w królestwie, nie zawarł z nimi umowy, bo zaimponowała mu ich odwaga?

– Robi wrażenie, prawda? To aratrańska stal. Hartowana w ogniu wzmocnionym zaklęciem, podobnym do tego, którym zieją smoki – wyjaśnił Egrit. – Kochamy naszą broń, ponieważ to ona pozwala nam przetrwać. Pozwala walczyć o sprawiedliwość.

– To wszystko musiało kosztować majątek – stwierdził Arion, gładząc dłonią wysoką tarczę do kuszy, pokrytą łuskowatą skórą.

– Cóż ci mogę rzec? Niejeden z naszych kompanów zapłacił za to życiem. Wśród nich nasz zaklinacz pogody. Ale magowie niezwiązani z królestwem, mieszkający na dalekich wyspach, są w stanie zapłacić bardzo wiele za zdobywane przez nas kryształy. W końcu to z nich czerpią swoją moc. Nie ma dla nich nic cenniejszego. Jak widzisz, żyjemy skromnie, chociaż większość z nas mogłaby cieszyć się dostatkiem już po jednej udanej wyprawie, gdyby osiadła w jakimś spokojnym zakątku. Ale ciężko jest znów normalnie żyć, gdy choć raz zabiło się boga.

– Więc sprzedajecie świetlne kryształy magom?!

– Nie są nimi w oczach królestwa. Nie chodzi mi o czarodziei takich jak...

– Jak nasz zleceniodawca?

– Właśnie – mruknął Egrit i na moment zapadła między nimi cisza. – Wspieramy ludzi władających magią, którzy opowiadają się przeciwko tyranii Skyerlora. Zasilamy

złotem spustoszone wybrzeża. Przekazujemy pieniądze wdowom, których mężów zabrała inkwizycja. A także szkole. – Egrit lekko zmarszczył brwi i zrobił tajemniczą minę. – Daleko, na jednej z Wolnych Wysp, powstaje w tajemnicy uczelnia, gdzie zdolne dzieci mogą rozwijać magiczne talenty. Twój wuj od dawna posyła im znaczne sumy.

– Wolne Wyspy?

– Tak. Niewielu o nich słyszało.

Teraz już wiem! Gwinto musiał zazdrościć mojemu ojcu! Zazdrościł mu magicznego talentu. To dlatego odpłynął, a później powrócił. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego oczu, kiedy opowiadał o uciszeniu białego szkwału. Tak! On podziwiał w sekrecie moce ojca! Dlatego rabuje świetlne kryształy, dlatego wpłaca pieniądze na szkołę dla małych magów. Ale nawet gdyby zapłacił całym złotem Crystallum, nigdy nie kupi sobie daru, który miał ojciec! Ani mojej miłości...

– Nie wiem, czy nawet to wszystko wystarczy, kiedy staniemy oko w oko ze smokami – mruknął Egrit posępnie, wrywając Ariona z zadumy. – Rabowanie Przedwiecznym kryształów to jednak co innego niż próba wykradzenia ich jaja. Ale trzeba być dobrej myśli. W końcu zabiliśmy już kilku. Co prawda nie zawsze sami...

– Ilu?

Starzec chrząknął, przyglądając siwe włosy na skroni.

– Dziewięciu. Razem z tym, którego łeb widziałeś zatknięty na dziobnicy.

Arion zmarszczył brwi.

Dziewięciu...

Bez słowa skinął głową. Egrit przełożył lampę do drugiej ręki i nagle drobny przedmiot błysnął na podłodze. Chłopak podniósł go z osmołowanych desek i uniósł do światła. Zanim to zrobił, sądził, że to mała moneta, lecz był to czyjś oderwany guzik. Wykonano go z białej, karbowanej, okrągłej muszelki, w której wywiercono otworek na nić.

– Ktoś musiał zgubić go niedawno.

Egrit skinął głową i zacisnął usta, odbierając przedmiot z jego ręki. Wydawał się zaszepiony. Kiedy wchodzili na górę po schodkach, Arion usłyszał, jak starzec mruczy do siebie pod nosem:

– To wszystko wydaje mi się podejrzanę...

*

Niedługo potem wezwał go do siebie kapitan.

Arion posłusznie wszedł do rufówki i dokładnie zamknął za sobą drzwi. Gwinto siedział na swoim miejscu przy ciężkim stole, pod oknami świecącymi błękitem, który współgrał z odcieniem jego oczu.

– Usiądź. – Gerik wskazał mu krzesło.

Chłopak zajął je i spojrzał mu w twarz.

– Egrit powiedział mi, że wolałbyś nie mieszkać w tej kajucie. Sądziłem, że tutaj będzie ci wygodnie, ale chyba rzeczywiście to nie jest dobry pomysł. Rozumiem, że nie chcesz, żeby inni myśleli, że cię faworyzuję tylko dlatego, że jesteś synem mojej siostry. Nie zamierzam jednak odesłać cię do kubryku. Postanowiłem, że zamieszkas z lekarzem. Medyk wyraził na to zgodę.

Arion z niejaką ulgą skinął głową i wykonał gest, jakby zamierzał wstać z krzesła.

– To nie wszystko – powiedział Gwinto z naciskiem i chłopiec przywarł mocniej do drewnianego oparcia. – Powiedziałem medykowi, że twój ojciec był uzdrowicielem i że w związku z tym będziesz mu pomagał. Tym sposobem lekarz będzie miał na ciebie oko. Twoja rana jest nadal świeża...

– Czuję się dobrze.

Gerik skinął głową, przesywając go chłodnymi oczyma.

– Ponadto od dziś będziesz pomagał kucharzowi. Jest nowy na stanowisku i nie do końca jeszcze wszystko ogarnia. Myślę, że się dogadacie. Po naszej rozmowie staw się

u niego w kambuzie.

Arion po raz kolejny skinął głową. Mimo nieznoszącego sprzeciwu, chłodnego tonu Gwinta ucieszyły go nowe obowiązki, nawet jeśli nie wydawały mu się ani zbyt wymagające, ani zbyt chwalebne.

Kapitan jakby czytał w jego myślach.

– Bezczytność może dobić na morzu. Zwłaszcza w sytuacji, w której opłakujesz bliskich – powiedział. – Dlatego kiedy tylko medyk orzeknie, że jesteś całkiem zdrowy, zaczniesz ćwiczyć się we władaniu bronią pod okiem Tika. Myślę, że Parte może być twoim partnerem do potyczek na miecze. Przykładaj się do tego. Możesz się od nich obu sporo nauczyć.

Arionowi stanęła przed oczyma zbrojownia z ostrzami z aratrańskiej stali. Serce zabiło mu mocniej z ekscytacji. Miał ochotę powiedzieć, że Ravael uczył go trochę władać mieczem i że nie jest w tym zakresie całkowitym żółtodziobem, ale poczuł, że to nie była dobra chwila, żeby chwalić się takimi błahostkami.

– I ostatnia rzecz – kontynuował Gerk po krótkiej chwili milczenia. Czoło miał chmurne, jakby nad czymś się uparcie zastanawiał. – Codziennie po południu przyjdiesz do tej kajuty, żeby odczytać na głos jeden rozdział *Opisania wysp i morza według Dariniusza*.

Chłopak zacisnął usta. W źrenicach błysnął mu gniew. Natychmiast stanęła mu przed oczyma ich ostatnia kłótnia, kiedy Gwinto zastał go nad tą nieszczęsną książką. Co więc ma znaczyć obecny rozkaz? Czy to ma być zemsta? Gerk chce pokazać mu, kto tu rządzi? O co chodzi tak naprawdę temu człowiekowi?! Po raz kolejny Arion pomyślał, że on i jego wuj są sobie całkiem obcy.

– To ma być zemsta? – mruknął głucho, wbijając wzrok w podłogę.

Gwinto wstał z krzesła.

– Oczywiście, że nie. Za kogo mnie masz? Sam już wiesz, że ta książka jest bezcenna. Są tacy, którzy daliby się zabić, żeby chociaż raz móc ją przeczytać! Chcę,

żebyś zdobywał wiedzę. To wszystko.

Po jego słowach Arion poczuł się zawstydzony.

– Dziękuję – wykrztusił głucho.

Kapitan wskazał mu stojące przy drzwiach wysokie buty z miękkiej skóry, z wąskimi cholewami.

– Weź je. To jedyne, co zostało po naszym poprzednim zaklinaczu pogody. Powinny pasować. Był raczej drobnej postury. Oby tobie przyniosły więcej szczęścia.

Arion wstał i sięgnął po buty. Były w bardzo dobrym stanie, wyglądały na mocne i wygodne. Zbierał się do wyjścia, gdy głośnie chrząknięcie kazało mu odwrócić się pod drzwiami. Kapitan stał w smudze światła: wysoki, opalony, o lekko pałankowatych nogach. Półdługie, czarne włosy miał związane w kitkę. Ze skupioną, chmurną twarzą spoglądał za okno.

– Arionie... Po tym jak wyszedłem z waszego domu... Tamtego wieczora... Czy twój ojciec mówił coś o mnie? Chciałbym wiedzieć. Czy był... obrażony?

Chłopak poczuł, jak natychmiast porywa go świeża fala wspomnień. Jakbyś ktoś zdarł mu wielki strup, spod którego wylała się krew. To było silniejsze od niego. Odpowiedział bez zająknięcia, z jakąś zimną, ukrytą pasją:

– Mówił mi, że o świcie wypłynie do zatoki, żeby zatopić w niej twoje kryształy.

Gwinto spojrział na niego bystro, zwężonymi, chłodnymi oczyma. Skinął głową i nie rzekł nic więcej. Arion zrozumiał, że może wyjść.

*

Kucharz miał na imię Selmir, ale kazał zwracać się do siebie Kotwica. Był korpulentnym mężczyzną obdarzonym donośnym, basowym śmiechem. Szyję obwiesił mnóstwem pobrzękujących amuletów i talizmanów, a głowę obwiązał bajecznie kolorową chustą, spod której wystawały uparcie kępkę czarnych, przetłuszczonych włosów. Na masywnej, ogorzałej twarzy z orlim nosem utrzymywał się lekki, pijacki

rumieniec, chociaż Kotwica był całkowicie trzeźwy. Po krótkiej prezentacji odesłał Ariona do szorowania garów przy kadzi wypełnionej morską wodą, w której unosiły się plamy tłuszczu i farfocle odpadków. Podczas gdy chłopak zabrał się do pracy, Kotwica przysiadł na rzuconym pod ścianę worku z warzywami i zajął się objaśnianiem sekretów pracy w kuchni.

– Wydaje się, że to tylko gotowanie, ale to odpowiedzialne zajęcie. Poprzedni kucharz, Piskorz, zniknął bez słowa, dasz wiarę? Jakby rozpułnął się w powietrzu!

– Zrezygnował?

– Nie, do licha, po prostu zniknął! Zapewne nie żyje, ryby już dawno zdążyły go przetrawić. Podejrzewaliśmy, że chciał ukraść część łupów i przeprowić się na ląd u ujścia Vissli. Straciliśmy wtedy część kryształów, fale wyróciły łódź. Możliwe, że był na niej Piskorz. Nie zdążył nawet odciąć cum. Widocznie sam los porachował się ze zdrajcą. No cóż, trzeba przyznać, że pichcił niezgorzej. Jak widzisz, to odpowiedzialne zajęcie. Może nie mógł już tego wytrzymać? Są dwie rzeczy, chłopcze, na które trzeba uważać w kambuzie.

– Jakie?

– Szczury i upiór.

– Upiór? – Arion spojrział bystro na kucharza, przekonany, że ten próbuje go nieudolnie nastraszyć i świetnie się przy tym bawi.

Kotwica wyszczerzył wilcze zęby, po czym zmarszczył mocno zarysowane brwi, teatralnie rozglądając się na boki. Z wielkim przekonaniem pokiwał głową i pochylił się w stronę chłopaka, jakby powierzał mu nieoficjalny, zawodowy sekret.

– Nie mówili ci, że statek jest nawiedzony, hę?

Arion pokręcił głową.

– A jednak to prawda, jak mamę kocham! – Kotwica pięścią uderzył się w pierś, aż huknęło. – Czasami krąży tu zjawa, jakieś widmo. Tej nocy u brzegów Wyspy Przeklętych słyzałem wyraźnie czyjeś kroki. Porusza się cicho, ale jednak można to

usłyszeć. Jakby utykało, a przecież jedynym, kto trochę kuleje, jest teraz stary Egrit. Kto wie, może to nieboszczka siostra kapitana spaceruje niespokojnie po okręcie?

Arion wzdrygnął się na myśl, że duch jego matki mógłby nie zaznać spokoju w zaświatach. Obiecał sobie, że tego wieczora zapali ku jej czci choćby malutki kaganek. Skupił się na szorowaniu naczyń, jednym uchem przysłuchując się gadce Kotwicy.

– Kiedy skończysz, trzeba zacząć przyrządzać kolację.

*

Nigdy jeszcze Arion nie napracował się tyle podczas przygotowywania posiłku. Gdy był młodszy, nieraz pomagał w kuchni, jednak ostatnimi czasy gotowała służąca. Teraz obierał i kroił tuvangi i cebulę, siekał i mieszał, doglądał ognia pod kotłem, odliczał suchary. W kambuzie robiło się gorąco i duszno, jego ciało było zlane potem. Mimo to kiedy przed zachodem słońca razem z Kotwicą podali na pokładzie kolację, całe zmęczenie zniknęło. Chłopak podsuwał Kotwicy miski, które kucharz napełniał, po czym podawał je załogantom. Zazwyczaj dziękowali mu uśmiechem, rzucali jakieś wesołe zdanko. Niektórzy pochwalili aromat potrawy. Nastroje widocznie dopisywały. Arion zazdrościł im tej pogody ducha, nie dostrzegając, że niezauważalnie udziela się ona również jemu.

Siedział obok kucharza oparty o wysoką burtę, z apetytem zjadając kolację. Jego towarzysz wyjaśnił, że z mesy korzystają podczas złej pogody. On i Kotwica zaczęli jeść jako ostatni. Obserwowali cudowny zachód słońca. Chłopak miał przejmujące na wskroś wrażenie, jakby oglądał to zjawisko po raz pierwszy w życiu. To był jeden z tych ciepłych, upojnych wieczorów, tak charakterystycznych dla początku lata. Po bezkresnym niebie żeglowały ławice drobnych, ciemniejących, obwiedzionych złotym blaskiem obłoczków. Poniżej na czystym horyzoncie słońce staczało się coraz niżej ku grzywom spokojnych fal. W blasku zachodzącej gwiazdy smocze skrzydła u masztów skrzyły się drobniutką łuską i miało się wrażenie, że pomyślny wiatr, które je napełniał,

niósł z odległych krain deszcz iskier. Niektórzy podśpiewywali pod nosem, coraz głośniej i głośniej, a ich głosy zaczynały łączyć się w ciężki, niski, przeszywający wiatr chór.

*Wolność to wiatr
to morza szum
wolność to pełen trzos!
Niesie się w dal
przez tysiąc fal
dzisiaj nasz żeglarski głos!
Powiedzą pieśni
że było warto
kochać i żyć jeden raz!
Postawmy wszystko
na jedną kartę
to jest nasz dzień i nasz czas!
Burzy się krew,
cieszy się serce
gdy wiatr na morzu dmie!
Dla naszych wrogów
są miecze w ręce
i strach, i śmierć na dnie!!!*

Kiedy ostatnia zwrotka przebrzmiała jak grzmot, na podwyższenie kapitańskiego mostku wszedł Gwidon Gerke.

– Kamraci! – zawołał – Nadszedł czas, by odebrać naszą zemstę i nasze sny! Czas zaważyć o nasze marzenie o sprawiedliwszym królestwie! O miejscu, gdzie magia nie będzie tylko przywilejem wybranych, a władzą nie będzie się nazywać tyranii Skyerlora! O królestwie bez niewolników! Płyniemy zasiać strach, płyniemy po sprawiedliwość! Z

pomocą możnego protektora, którego hojność sami mogliście zobaczyć, uprowadzimy jedyną córkę obmierzłego władcy, uderzymy w samo jego serce! Ale to nie wszystko!

Arion widział, że spojrzenia całej załogi były utkwione w kapitanie. Jego własne oczy nie mogły się od niego oderwać. Z tej perspektywy drobne obłoki spowite szkarłatną łuną otaczały posepną, lecz dziwnie natchnioną twarz, niby czerwony nimb jakiegoś boskiego mściciela.

– Zabierzemy naszą zakładniczkę aż do siedzib Przedwiecznych! Na archipelag, gdzie według podań ukryto tarczę Althirry! Niech córka króla na naszych oczach przekona się, czy smoki naprawdę są bogami! Niech sama będzie świadkiem! Jeśli zaś naprawdę jest ich wybranką, niech uciszy przed nami ich gniew! Tym razem bowiem naszym łupem będzie coś więcej niż świetlne kryształy! – Gwinto wyciągnął rękę, w której błysnął miecz. Czerwone promienie migotały w klindze jak krew. – Zachwiejemy religijną wiarą! Wstrząśniemy samym królem i każdym, nawet najmędrszym z jego magów! Nasza chwała będzie trwać wieki! Nasze imiona przetrwają wykute nie w menhirach, lecz w nieśmiertelnej pieśni! A to dlatego, że zrobimy coś, czego żaden śmiertelnik jeszcze nie dokonał! Sięgnijmy po jajo bogów!

Na pokładzie na ułamek chwili zapadła cisza, w której Arion słyszał bicie własnego serca. Nagle wystrzeliły jak huk entuzjastyczne okrzyki, oklaski, gwizdy, toasty i wiwaty, którym zdawało się nie być końca.

Ci ludzie ukradliby księżyc z nieba, gdyby mój wuj tego chciał! – pomyślał chłopak z lekkim oszołomieniem.

Atmosfera zbiorowej ekscytacji, zuchwałości i szalonego zachwyty udzieliła mu się zupełnie. Wypełnił go jakiś dziki, gniewny zapach. Ktoś porwał go w ramiona, ktoś inny zakręcił młynka, ktoś otworzył ukrytą między beczkami butelkę. Zabrzmiała piszczałka i odezwał się skórzany bębenek. Głosy dragitów, śmiechy, rozmowy i śpiewy wznosiły się nad falami, aż do zapalających się na nieboskłonie gwiazd, które zaczynały się odbijać w ciemnym morzu.

*Burzy się krew
cieszy się serce
gdy wiatr na morzu dmie!
Dla naszych wrogów
są miecze w ręce
i strach, i śmierć na dnie!!!*

15.

Lekki, słonawy wietrzyk pieścił twarz. Drobne kosmyki włosów wymykały się z długiego warkocza oplecionego wokół jej głowy na kształt korony. Kiedy kroczyła wolno po jasnych, oheblowanych do połysku deskach z ogromnych pni szlachetnych drzew, które ścięto specjalnie dla niej, Lumina pierwszy raz zaczęła przeczuwać, że inni podziwiają jej urodę. Zrozumiała, że marynarze oglądali się za nią ukradkiem nie tylko dlatego, że była córką króla, lecz i dlatego, że musiało być w jej widoku coś, co mimowolnie przykuwało ich spojrzenia. Rejs trwał już od trzech dni, a oni spoglądali za nią nadal za każdym razem, kiedy przechadzała się po pokładzie. Wcześniej budziłoby to w niej paraliżującą nieśmiałość. Po ceremonii ofiarowania bogom, kiedy tłum ludzi patrzył na największe cierpienie w jej życiu, a później na jej chwałę – po tym wszystkim nauczyła się już ignorować spojrzenia innych.

Tak samo postępowała teraz, niespiesznie krocząc po pokładzie, chłonąc wiatr i niezmierzoną, otaczającą ją przestrzeń. Ocean oszołomił ją swoim ogromem. Miała wrażenie, że pierwszy raz otwierał się przed nią prawdziwy świat, podczas gdy aż dotąd, sama o tym nie wiedząc, przebywała w czymś na kształt więzienia. W cudownej klatce – zamkniętym świecie pełnym luster, klejnotów i ścian, sklepień, kolumn, dziedzińców i korytarzy, z których żaden nie prowadził tak naprawdę na zewnątrz.

Jakie to dziwne, że wychowała się u ujścia rzeki Imbe, w pobliżu jednego z najrojnniejszych portów królestwa, a nigdy nie było jej dane opuścić pasa lądu na odległość większą od długości kilku łodzi! Wiedziała dlaczego. Ojciec nienawidził morza. Lękał się o nią, ponieważ jego własny ojciec utonął w zatoce. Lękał się o nią... Czy to nie dowód, że naprawdę ją kochał?

Podeszła do nadburcia i oparła się o reling. Nyla mówiła, że bogowie lubią szybować nad falami. Lumina liczyła, że w czasie rejsu uda się jej zobaczyć jednego z nich. Poza tym jednostajny zazwyczaj widok wokół statku jeszcze jej się nie znudził. Kiedy już minęła pierwsza, straszna dla niej noc na okręcie, zniknął też najgłębszy lęk przed nieznanym. Chwilami cieszyła się pobytem na morzu jak dziecko, którym wciąż jeszcze przecież była.

– Księżniczko, lepiej nie zbliżać się do samej burty. Gdyby nagle zawiął wiatr i byłby mocny przechył...

– Czuwa nad tym zaklinacz – odpowiedziała Lumina z prostotą, nie odwracając się za siebie. Wiedziała, że stara służąca, którą wybrano, aby podążyła z księżniczką na Wysoką Wyspę, stała parę kroków za nią. Uparcie i cicho, jak czujny pies myśliwski pilnujący zdobyczy.

Lumina próbowała obudzić w sobie cieplejsze uczucia dla tej niskiej, pulchnej staruszki o oczach lisicy i z wolna jej się to udawało. Zazwyczaj bardzo łatwo przywiązywała się do ludzi. Pod tym względem nie była ani trochę podobna do matki. Chłodna surowość i oziębłość Rykieli były całkowicie obce jej naturze, przez co dziewczynka wmówiła sobie, że nie posiada klasy, gustu ani dumy potrzebnych przyszłej władczyni. Tym bardziej z ulgą przyjmowała fakt, że nigdy nią nie zostanie. Rodzice poświęcili ją bogom nie bez przyczyny. Czyż nie był to największy zaszczyt, jaki mógł spotkać młodziutką księżniczkę? Największy honor, jaki tylko mogła sobie wyobrazić?

Oprócz staruszki towarzyszyło jej w podróży stadko dwórek. Okazało się, że razem

z nią mają zamieszkać na siedem lat na Wysokiej Wyspie. Zanim inny okręt zabierze wyłącznie Luminę w ostatni rejs, aż do wysp ognistych bogów.

Początkowo zdziwiła się obecnością dwórek na karaweli.

– Kim są te dziewczęta? – spytała pierwszego dnia starą służącą, kiedy wszystkie one przyszły się jej pokłonić. Przyrodziane w jedwabie i muśliny, szczebiocące jak stadko młodych ptaków. Pątliki ze złotych nici na ich włosach migotały od małych perełek.

Staruszka spojrzała przenikliwie na swą podopieczną, najwyraźniej zdziwiona jej niewiedzą.

– To zakładniczki twojego ojca. – Widząc, że nadal nie rozumiała, dodała z powagą: – To pierworodne córki learów Crystallum, a także władców zależnych księstw. Król na siedem lat zabrał córki learów, żeby zapewnić sobie większy posłuch ich ojców. – Po czym pochyliła się nad uchem księżniczki tak, że Lumina poczuła jej pomarszczone wargi i kwaskawy oddech niemal na swojej skórze. – Gdyby któryś z learów się zbuntował, strażnik przebije mieczem ciało jego córki albo odetnie jej rękę.

Szept staruszki przypominał szelest suchych liści. Dziewczynka przełknęła ślinę. Uczono ją, by nie okazywała wewnętrznego wzburzenia i jakimś cudem po raz kolejny jej się to udało. Przez dłuższą chwilę nie wiedziała, co odpowiedzieć. Patrzyła na pochylone głowy dwórek, lekko zaciskając drobne, koralowe usta.

– Nie wierzę.

– Są sprawy, w przypadku których wiara nie ma żadnego znaczenia, księżniczko.

Paradoksalnie obecność innych dziewcząt sprawiła, że wśród nich Lumina poczuła się jeszcze bardziej samotna. Widać było, że jej towarzyszki dobrze czują się we własnym gronie, mają swoje tematy do rozmów, łączy je wspólny los. Mimo wszystko należały do służby, podczas gdy ona była jedyną córką władcy – istniała między nimi przepaść nie do przekroczenia. Lumina próbowała zagadnąć niektóre z nich, ale te konwersacje okazywały się bardzo oficjalne – urywały się szybko, jeśli księżniczka nie siliła się na inicjatywę. Nie mogła winić za to tych dziewcząt. Nauczono je milczeć.

Jedne w jej obecności ogarniała nieśmiałość, inne żywiły potajemną zazdrość i złość, że z jej powodu zostały zmuszone do opuszczenia rodzinnego domu.

Lumina zbudziła się z zamyślenia. Kątem oka spostrzegła, że zaklinacz pogody, który rozmawiał na mostku z kapitanem, odwrócił się i sprężystym krokiem ruszył w jej stronę. Posiadał wyostrzone zmysły maga. Musiał usłyszeć, jak powiedziała „Czuwa nad tym zaklinacz” i teraz śpieszył zapewnić księżniczkę i jej opiekunkę o niewzruszonym bezpieczeństwie okrętu. Lumina nieraz obserwowała tę służalczą nadgorliwość, typową dla ludzi wybieranych przez ojca.

A przecież doskonale widziała, że potężne czary zaklinacza chronią statek. Nie można było mieć co do tego najmniejszych zastrzeżeń. Magiczny powiew wypełniał bezustannie ogromne, śnieżnobiałe żagle rejowe i żagiel skośny, wznoszący się nad kasztelem na rufie. Na pokładzie nie było czuć kołysania. Okręt zdawał się szybować w powietrzu, mknąć nad powierzchnią wody niczym ogromna ważka.

Czarodziej skłonił się przed nią głęboko.

– Wasza wysokość. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. – Miał na sobie długi, czarny płaszcz, ale pod spodem nosił jasną, płócienną koszulę. Pamiętała, że miał na imię Yenard. Wyglądał jeszcze młodo i sympatycznie jak na maga. Jego oczy, choć srebrzyste i chłodne, zdawały się pałać entuzjazmem. A w każdym razie nie wyglądały jak połyskliwy kamień ślepiów Lyelyebana.

– Nie. – Lumina spróbowała uśmiechnąć się niepewnie.

– Czy mogę zatem potowarzyszyć w przechadzce?

Skinęła głową.

Szli teraz niespiesznie w stronę dziobu. Stara służąca w sztywnej sukni ze złotogłowi nadal dreptała za nimi, lecz w większej odległości niż wcześniej.

– Ile czasu zajmie nam jeszcze podróż? – spytała Lumina.

– To długa droga. Nawet z magicznym wiatrem przewidujemy jeszcze trzy tygodnie.

– Trzy tygodnie – powtórzyła z błyszczącymi oczyma.

– Ocean jest ogromny. Niecierpliwisz się, pani? Nie ma tu wielu rozrywek, do których z pewnością przywykłaś.

– Wręcz przeciwnie. Chciałabym, żeby ta podróż trwała jak najdłużej – wyznała szczerze. – Mam wrażenie, że to najciekawsze, co mnie spotkało... to znaczy... od dawna. Tutaj jest tak pięknie!

Mag uśmiechnął się lekko.

– Istotnie, właściwie nie muszę zaklinać chmur. Mamy wspaniałą pogodę. Te nieliczne altocumulusy na wschodzie nie wyglądają zbyt groźnie. To dobra pora do żeglugi. Początek lata...

Zabawiał ją opowiastkami o zaklinaniu pogody, o właściwościach i oprzyrządowaniu ich żaglowca. Lumina przysłuchiwała mu się z ciekawością. Widać było, że ten człowiek lubił morze i że w przeciwieństwie do jej dwórek raczej nie znalazł się na tym pokładzie z przymusu. Ta świadomość sprawiała, że w jego towarzystwie księżniczka wreszcie mogła poczuć się w miarę swobodnie. Zadawała pytania o wielkie krakeny i węże morskie, ale ku jej lekkiemu rozczarowaniu zaklinacz całkiem uspokoił ją w tej materii. Mieli żeglować tak długo również dlatego, że ominą z daleka siedliska tych stworzeń, znajdujące się w pobliżu kilku samotnych wysp i niezamieszkałych archipelagów rozsianych na rafach.

– Czy to znaczy, panie, że nie zobaczymy żadnych wysp? – spytała Lumina z lekkim żalem.

– Ależ skąd! W tych stronach jest ich wiele. Proszę się nie martwić, księżniczko. Zresztą, właśnie mijamy dwie z nich. Dwie samotne wyspy na oceanie. – Skinął głową i zbliżyli się do burty.

Zaklinacz wskazał jej dłonią kierunek. Zmrużyła oczy. Na próżno. Zdała sobie sprawę, że wyspy muszą znajdować się w znacznej odległości i że jej wzrok nie dorównuje ostrym zmysłom maga. Wpatrywała się w horyzont z takim natężeniem, że w kącikach oczu pojawiły się łzy. W tym czasie Yenard skinął na jednego z marynarzy,

który natychmiast przyniósł im lunetę.

– Wybacz mi, księżniczko – rzekł, podając jej przyrząd. – Zdarza się, że czarodziej po prostu zapomina, jak to jest *być ludzkim*. Nie bierze pod uwagę niektórych ograniczeń. Jeszcze raz proszę cię o wybaczenie. W żaden sposób nie chciałem cię urazić.

– Nie czuję się urażona – odparła Lumina.

Luneta miała dużą moc. Być może rzucono na nią dodatkowo zaklęcie wzmacniające. Księżniczka zobaczyła dwie wyspy. Leżały naprzeciw siebie, przedzielone tylko wąską cieśniną, jak dwie połówki księżyca wynurzające się z fal. Na obu plaże miały sierpowaty kształt, lecz pod każdym innym względem te dwa skrawki suchego lądu się różniły. Na pierwszej wyspie piasek i skały skrzyły się w słońcu, białe jak śnieg, na drugiej były czarne niczym popiół. Jedna wyspa była pokryta bujną, soczystą roślinnością, na drugiej zbocza stanowiły niemal nagie skały, niby pokruszone, wielkie bryły węgla. Fale niespokojnie biły tam o brzeg, wystrzeliwując w górę jęzory bladej piany.

– Co to za miejsce? Dlaczego te wyspy są tak różne? Wyglądają, jakby kiedyś mogły tworzyć całość.

– Istotnie, mogło tak kiedyś być. Jest z tym związana pewna legenda. Zapewne słyszałaś ją, pani. Żeglarze wierzą, że ich patronką jest Althirra, odważna księżniczka ze starożytnego rodu, która opuściła pałac, bo pragnęła poznać świat i zobaczyć miejsca, których nie ujrzał jeszcze żaden człowiek. Przede wszystkim chciała jednak dotrzeć do krain zamieszkałych przez bogów. Jej ojciec król poprzysiągł bowiem im ją poświęcić, ale z czasem przywiązał się do córki tak mocno, że nie chciał wypuścić jej z pałacu. Dlatego w końcu księżniczka uciekła.

Lumina z powagą skinęła głową.

– Nie kochała swojego ojca? – szepnęła.

– Kochała, ale uważała, że najważniejszy jest honor. Uciekła właśnie z tego powodu,

że chciała ochronić starego ojca przed wstydem i hańbą z powodu złamanej przysięgi – odparł mag. – Pewnie dlatego ludzi tak porusza ta legenda. Althirra założyła na twarz maskę, żeby nikt jej nie rozpoznał ani nie nastawał na cześć z powodu urody. Wyruszyła na morze. Żeglowała bardzo długo. Dzięki odwadze została kapitanem okrętu. Po licznych przygodach statek dotarł wreszcie do odległych wysp zamieszkałych przez bogów. Tam Althirra wysiadła na brzeg, wreszcie zdjęła maskę i zawiesiła ją na tarczy, żeby pokłonić się przed smokami i zostać u ich boku. Ale kiedy jej odsłonięta twarz zajaśniała jak gwiazda na firmamencie, jeden z żeglarzy ze statku poczuł, że ją pokochał. Porwał księżniczkę i uprowadził na morze. Niektórzy powiadają, że ranił lub zabił przy tym boga.

Fiołkowe oczy Luminy się zaokrągliły.

– Co było dalej?

Mag wskazał dłonią na horyzont.

– Oboje przybyli tutaj i osiedlili się na samotnej wyspie. W dawnych czasach nazywano ją Domem Księżniczki.

– Althirra pokochała żeglarza?

– Tak mówią. Ale nie było im dane zaznać szczęścia na długo. Bogowie byli obrażeni ich postępkami. Pewnego dnia ogromny smok przyleciał na wyspę i uderzeniami szponów rozłupał ją na pół, by oddzielić od siebie kochanków. Potem boski ogień spalił tę część, na której pozostał żeglarz. Dlatego do dziś jest ona czarna i pokryta prochem.

– A księżniczka?

– Została na drugiej połowie wyspy, nadal soczystej i pięknej. Podobno tu właśnie doczekała końca swych dni.

– Bogowie nie zabrali jej do siebie?!

Yenard uśmiechnął się smutno.

– Jej serce i ciało były już naznaczone ludzką miłością. Żeby dostąpić takiego

zaszczytu, musiałaby pozostać nieskalana, wolna od wszelkich przywiązań. Okazało się, że mimo wszystkich wyrzeczeń jej miłość do człowieka była silniejsza od miłości do bogów. Z tego powodu spotkał ją straszny los.

Milczeli przez chwilę. Lumina odwróciła się lekko i zerknęła ukradkiem w tył. Spojrzenia kilku marynarzy znów były w niej utkwione.

Teraz już wiem, dlaczego na mnie patrzą! Przypominam im ich patronkę. Mnie także ojciec poświęcił bogom. Dla nich jestem następczynią Althirry! W dodatku mogą do woli oglądać moją twarz!

– Przedwieczni dopiero po śmierci zlitowali się nad swoją wybranką. Żeglarze wierzą, że ten, kto odnalazłby legendarną maskę Althirry, na zawsze zyska przychylność smoków – odezwał się zaklinacz pogody.

Dziewczynka znów przyłożyła do oka lunetę. Czy to możliwe, by ogniści bogowie byli tak okrutni? Nie mogła w to uwierzyć. Zapragnęła zmienić temat. Poczula się nieswojo. Jej piastunka, Nyla, bywała przesądna. Teraz Lumine ogarnął lekki niepokój, jakby słowa wypowiedane na morzu przez czarodzieja mogły sprowadzić na nią nieszczęśliwy los. Podobny do tego, jaki spotkał w dawnych czasach jej na pół baśniową, pół rzeczywistą poprzedniczkę.

– Nigdy nie wyjaśniono mi, dlaczego magowie noszą łańcuch – odezwała się cicho, spoglądając na pierś Yenarda.

Czarodziej musnął kciukiem metal na swojej szyi. Układał się on w wielki, ciężki wisior zakończony świetlnym kryształem.

– Połączone ze sobą ogniwa łańcucha to symbol magicznej wiedzy – rzekł z powagą.
– Tak jak łańcuch, wszystkie aspekty mocy tworzą nierozzerwalną całość. Żaden element nie może istnieć bez pozostałych. Na tym polega zrozumienie natury rzeczy – zamilkł na chwilę. – Ale to nie koniec symboliki. Ciężar łańcucha ma przypominać czarodziejom, że na ich barkach spoczywa zarówno brzemię bezcennej wiedzy, jak i ogromna odpowiedzialność. Żadna moc nie jest dana bez wyrzeczeń. Łańcuch jest

ciężki, tak samo jak wybory, których musimy dokonywać. Moja moc jest mi posłuszna jak niewolnica, ale łańcuch na mojej szyi uświadamia mi, że za każdym razem, kiedy po nią sięgam, ja również staję się jej niewolnikiem.

Księżniczka zamrugła i skinęła głową.

– Jest jeszcze trzecie znaczenie łańcucha – kontynuował zaklinacz.

Nieoczekiwanie ujął jej dłoń. Lumina chciała ją cofnąć, ale jego dotyk miał w sobie coś tak władczego, że zrozumiała, że to niemożliwe. Przycisnął jej rękę do swojej piersi, do lodowatych, twardych ogniw, zwieszających się na kształt srebrzystej, dziwnie ciemnej girlandy.

– Dotknij. – Chłód kłuł jej palce niczym cienkie igielki. – To aratrańska stal. Materiał, z którego wyrabia się najpotężniejszą, najdroższą broń. Podczas gdy moźne rycerstwo walczy mieczami z aratrańskiej stali, orężem czarodzieja jest jego moc i jego wiedza. Bronią może być zarówno klinga, jak i łańcuch.

Yenard puścił jej rękę. Lumina natychmiast oderwała dłoń i przyłożyła ją do falującej piersi. Zaczęła rozcierać ją nadgarstkiem, spoglądając na niego z płochliwym zdumieniem.

– Ty także, księżniczko, nosisz przy sobie aratrańską stal.

Serce w niej zamarło. Utkwił przypominające kryształ oczy w pierścionku od Nyli. Od dnia ceremonii nosiła go na serdecznym palcu. Czy dostrzegł subtelny, słaby napis z run, wygrawerowany na obrączce?! Była tego prawie pewna. Człowiekowi, który jest w stanie dostrzec z wielu kilometrów odległą, samotną wyspę, nie mógł umknąć taki detal.

– To tylko pierścionek – bąknęła bez tchu. Tak naprawdę wciąż do końca nie mogła uwierzyć, że na pożegnanie ukochana piastunka ofiarowała jej dawkę zabójczej trucizny... Nyla sądziła, że Luminie może grozić jakieś niebezpieczeństwo. Ten dar to było wszystko, co mogła dla niej zrobić.

– Pierścionek z aratrańskiej stali także może być bronią. Symbolika jest jasna –

odparł Yenard powoli, po czym nieoczekiwanie skłonił się głęboko. – Nie obawiaj się, księżniczko – rzekł cicho. – Każdy z nas walczy ze światem najlepiej, jak potrafi. Taką bronią, jaka jest mu pisana.

*

Arion ścisnął w dłoniach drewniany, półtoraręczny miecz. Zadaniem chłopca, jak na początku każdego treningu pod okiem Tika, było unikanie lub parowanie ataków wyprowadzanych drewnianą bronią przez Partego. Szło mu nie najgorzej. Arion był szczupły, ale dobrze zbudowany, odznaczał się przy tym małą zwinnością. Jego strategia polegała głównie na bardzo szybkich zwodach i unikach. Wirował z drewnianą głownią przy ciele w obrotach i półobrotach, których kroki pokazał mu Tiko. Żeglarz powtarzał, że najważniejsze jest patrzeć. Powinien obserwować postawę i ruchy przeciwnika, żeby wyczuć jego intencje. Powinien patrzeć na jego klingę, ani na moment nie spuszczać jej z oka. I wreszcie powinien wciąż zerkać na rękojęść, gdyż bywało, że adwersarz prowadził ją szeroko i zdradzała ona wówczas więcej niż klinga.

Zaczął wciągać się w dzisiejsze ćwiczenia i zdało mu się, że wyczuwa ruchy Partego, chwytając rytm jego kroków i uderzeń. Musiał się jednak pomylić. Nie zdołał zatrzymać gwałtownego pchnięcia po klindze na jelicu. W jednej chwili popielatowłosy chłopak wytrącił mu broń z ręki, po czym podciął go w momencie, gdy Arion nie stał wystarczająco pewnie. Poleciał na plecy i huknął głową o śliskie, wilgotne od porannej mżawki deski. Przed oczami pojawiła się ciemność i jasne iskry gwiazd. Usłyszał, jak żeglarze wokół wybuchają gromkim śmiechem, z wesołością bijąc się po udach.

– Nie żyjesz – stwierdził głośno Tiko.

Codziennie od tygodnia pokład w pobliżu dziobówki zmieniał się na kilka godzin w arenę. Załoganci gromadzili się tam coraz liczniej i z zainteresowaniem obserwowali powolne postępy Ariona. Jego potyczki z Partem przypominały nieraz chaotyczną

gonitwę, w czasie której obaj przeskakiwali z mieczami wśród want, po drabinkach z lin albo po zamocowanych beczkach niczym para młodych kociąt. Dragici zaśmiewali się do rozpuku i bywało, że kapitan albo Egrit musieli przypominać im o przerwanych na długo obowiązkach. Tym niemniej atmosfera pozostawała wesoła.

Codziennie od tygodnia Arion wstawał przed świtem, żeby pomóc kucharzowi przygotować śniadanie. Mieszkał teraz z medykiem w małej kajucie przy rufie, więc starał się zachowywać jak najciszej. Po śniadaniu szedł tam znów, by nakarmić Keramira oraz zmienić jego opatrunki. Z każdym dniem zaklinacz coraz szybciej wracał do pełni sił, jakby magia drzemiąca w jego świetlnym kryształce posiadała moc uzdrawiania jego udręczonego ciała.

Jeśli chodzi o Ariona, miał miejsce chyba cud. Coś, co mogły tłumaczyć tylko czary. Po odpłynięciu z Wyspy Przeklętych chłopak wyzdrowiał zupełnie. Tamtego wieczora medyk chciał zmienić mu opatrunek, lecz ku jego zdumieniu po ranie nie został żaden ślad.

Lekarz wyciągnął cienką, rybią ość z ust i odłożył ją na brzeg kufra z lekami. Przez chwilę w milczeniu, ze zmarszczonymi brwiami macał skórę i lekko uciskał brzuch Ariona.

– Powiedz mi, kiedy cię zaboli.

Jednak chłopak nie odczuwał żadnego bólu. Medyk splunął na deski podłogi, po czym spojrzał mu w oczy. W jego obojętnym zazwyczaj spojrzeniu Arion dostrzegł coś gniewnego, złość wywołaną niedowierzaniem i niezrozumieniem.

– Jesteś zdrow, chłopcze – orzekł. – Dałbym sobie uciąć jedną rękę, że tkwi w tym jakaś parszywa magia. U zwykłego człowieka taka rana nie goi się z dnia na dzień, w taki sposób... – Lekarz zerknął przez ramię na śpiącego zaklinacza pogody. Tamten był prawdziwym magiem, a przecież nie doszedł do siebie w jednej chwili. Był słaby jak dziecko. Za to Arion...

– Mój ojciec był uzdrowicielem. Posiadał magiczny dar – oświadczył chłopak, nie

spuszczając upartego wzroku. Pragnął zaimponować medykwowi. Nie wiedzieć czemu, nie zdziwiło go zbyt wiele własne ozdrowienie. Przeczuwał je jakimś szóstym zmysłem. Przez cały dzień pod względem fizycznym czuł się tak dobrze, jednocześnie doświadczając tak wiele, że z jego głowy całkowicie zniknęły wszelkie myśli o niedomaganiu. Natomiast właśnie pojawiło się w niej nowe, ekscytujące postanowienie.

Jestem zdrów! To znaczy, że już jutro rozpocznę ćwiczenia w walce mieczem!

Nawet teraz, gdy obolały podnosił się z wilgotnych desek bez swojej drewnianej głowni w ręce, nie opuszczał go jakiś zacięty, mroczny zapach. Głęboko wciągał chłodny, poranny wietrzyk, gdyż upadek wypchnął mu powietrze z płuc. Niektórzy załoganci nadal chichotali, rozbawieni jego niezdarnością. Uśmiechnął się do nich lekko, pojednawczo. Promienie słońca rozpraszały z wolna poranną, srebrzystą mgiełkę. Wiedział, że zaraz po treningu czeka go zmywanie garów po śniadaniu, które wszyscy spożyli o świcie. Mimo to nie narzekał. Zaczynał nawet lubić to dość jednostajne, pełne wysiłku życie. Ciągłe zmęczenie nie pozwalało mu na snucie ponurych rozmyślań ani na pogrążanie się w żałobie. Treningi i praca stawały się lekarstwem na duchowy ból.

Począł po wytrącony mu z ręki miecz i znów stanął naprzeciw Partego. Na ustach dość nieśmiałego na co dzień przeciwnika błąkał się pewny siebie uśmiezek. Zielone oczy świeciły się z wyzywającym rozbawieniem spod opadającej na nie mysiej grzywki. W tym momencie Arion zobaczył, że naprzód występuje jego wuj. Dotąd Gerk czasem tylko zerkał na potyczkę z cienia wielkiego żagla.

– Siedem dni ćwiczyłeś uniki i zasłony, Arionie. Czas, żebyśmy zobaczyli twój atak – odezwał się swoim niskim głosem. – W końcu to my zamierzamy niebawem napaść karawelę... – Kapitan wyciągnął rękę i Parte podał mu drewniany miecz, po czym cofnął się na sam dziób. Gerk odrzucił kapelusz, stanął przed siostrzeńcem i rozłożył szeroko ramiona. – Zaatakuj mnie, Arionie. Spróbuj mnie zranić!

Chłopiec spoglądał na niego przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami, po czym natarł i zamachnął się ostro.

Gwinto wykonał błyskawiczny unik i Arion z wycelowanym mieczem przebiegł tuż obok, jak roześlony byk zwabiony czerwoną zasłoną. Jego głównia przecięła powietrze. Odwrócił się i natarł ponownie. Gra szybkich uników Gwinta pochłaniała całą energię chłopca. Kapitan nie został jeszcze trafiony ani razu, a jego siostrzeniec zdążył się już trochę zmęczyć. Jeśli ich klingi stykały się czasem, to tylko po to, by Gerk przekierował wprawnym ruchem impet jego uderzenia. Oczy Arion ciemniały z frustracji i z gniewu. Obserwujący ich żeglarze milczeli. Teraz chłopak postanowił jak najbardziej zbliżyć się do Gwinta, by nie pozwolić mu na zachowanie dystansu, a tym samym na więcej sposobności do uników i zwodów. Gerk szybko, bez wysiłku parował jego kolejne ciosy i nieporadne pchnięcia. W powietrzu słychać było narastający rytm uderzających o siebie drewnianych brzeszczotów. Arion widział, że klinga go nie słucha, że jest tylko zabawką dla Gerka, który pozwala jej się ześlizgiwać i odbijać tam, gdzie akurat chce. Chłopak był wściekły. Z chwili na chwilę jego ruchy stawały się ciosami na odlew, po części ze zmęczenia, a po części z desperackiej furii. Widać było, że kapitan się tym znużył. W pewnym momencie przystąpił do kontrataku. Arion zaczął cofać się pod gradem jego uderzeń, a rozchwiana, grzechocząca klinga kiwała się jak bezwładna zabawka w jego rękach, nieposłuszna jego woli ani trochę. Trzymał ją zbyt sztywno. Jego ręce przyjmowały cały impet uderzeń, dający o sobie znać narastającym bólem ramion. Wreszcie Gerk jednym ruchem wytrącił mu broń i obróciwszy się w piruecie, podstawił nogę. Tym razem Arion poleciał na deski do przodu. Zdołał się podeprzeć, by nie trzepnąć o nie głową. Na ułamek chwili zadzwoniło mu w uszach.

Uniósł twarz i zobaczył nad sobą wyciągniętą szorstką dłoń kapitana. Sięgnął po nią niechętnie, z ociąganiem. Czuł, że coś pali go w gardle.

Gwidon Gerk spojrzał mu w oczy.

– Co jest najważniejsze w obronie? – spytał.

Arion przełknął ślinę.

– Patrzenie. Obserwacja przeciwnika – odburknął.

– Bardzo dobrze. A na co trzeba uważać w ataku?

Chłopak milczał. Gerk zmarszczył brwi.

– Nie wolno pozwolić, by zaślepiły nas gniew i złość. W momencie kiedy do tego dojdzie, walka jest już prawie przegrana – wyjaśnił, podając mu drewniany miecz. – Jednak czegoś się dzisiaj nauczyłeś – dodał, odchodząc w stronę mostku.

– Czego? – spytał Arion.

Gerk odwrócił się i posłał mu przez ramię krótkie spojrzenie.

– Upadać.

*

Koło południa Arion udał się do malutkiej kajuty, w której mieszkali teraz we trzech, żeby zapytać o zdrowie zaklinacza.

Medyka nie było. Czarodziej w nieco za dużej płóciennej koszuli i spodniach powoli, sztywno przechadzał się po pomieszczeniu, od jednej ściany do drugiej. Niby zwierzę niespodziewanie zamknięte w klatce, lecz dziwnie pogodzone ze swoim losem.

– Witaj – zwrócił się obojętnie do Ariona, przysiadłszy na brzegu swojej koi.

– Witaj – odpowiedział chłopak, wchodząc do środka. – Jak się czujesz?

Jak zwykle zmroziły go srebrne oczy czarodzieja. Raczej ze względu na barwę niż na ich wyraz. Czy zawsze już te dziwne, jakby kryształowe, migotliwe tęczęwki będą kojarzyć mu się z upiorną nocą śmierci, ognia i zniszczenia – obojętnie, do kogo by nie należały?

– A jak myślisz?

Chłopak spróbował być miły.

– Chyba jest lepiej.

Keramir wzruszył szczupłymi ramionami.

– Istotnie.

Arion bez lęku usiadł na drugim krańcu koi. Przez te dni, które minęły od opuszczenia Namirii, codziennie trochę rozmawiali, ale czarodziej nigdy nie mówił o sobie. Raczej słuchał i czasem zadawał pytania. Bywało też, że nie odzywał się do nikogo przez długie godziny. Arion, medyk i Keramir dogadywali się ze sobą dobrze, a to dlatego, że żaden z nich nie miał ochoty do zwierzeń. Wszyscy trzej okazali się skrytymi milczkami.

– Widzę, że nie powiodło ci się na treningu. – Mag dostrzegał od razu jego zadrapania i siniaki.

Chłopiec wzruszył ramionami. Uśmiechnął się krzywo kącikiem ust. Współczucie, które żywił dla zaklinacza, nie pozwalało mu się na niego złościć. Wręcz przeciwnie. To, co kiedyś mogłoby go rozgniewać, teraz wywoływało w nim jakąś smutną tkliwość. Świadomość, że Keramirowi na tym statku jest o wiele ciężej niż jemu, stanowiła pocieszenie w trudnych chwilach. Podobnie jak Arion, zaklinacz przeszedł piekło, zanim trafił na Krogulca. Być może nawet gorsze, niż chłopak mógł sobie wyobrazić. Nie przystał też do załogi z własnej woli. Został im podarowany jak rzecz przez Lyelyebana i od razu uznany przez wszystkich za potencjalnego zdrajcę. Nikt nie zamierzał oprowadzać go po okręcie, nikomu nie przeszłoby przez myśl, żeby mu zaufać. Dragici od razu zaakceptowali Ariona jako jednego z nich, natomiast Keramir wciąż pozostawał dla nich człowiekiem zza burty.

– Ludzie na statku pytają mnie o ciebie – rzekł Arion – Tak jak kapitan liczą, że jak najszybciej zaczniesz zaklinać pogodę.

Keramir pokiwał głową. Niechlujnie zgolone włosy zaczynały odrastać, tworząc niesforny, jasnobrunatny meszek. Na wpół łysa czaszka czarodzieja przypominała ciało jakiegoś nieopierzonego jeszcze ptaka.

– Wiem, czego oczekuje ode mnie kapitan – odparł mag cicho. – Był tutaj, zanim

przyszedłeś. Rozmawiał ze mną. Już jutro zacznę pełnić moje obowiązki. Moje ciało nie musi być w pełni zdrowe, bym mógł zaklinać dla was wiatr. Rozumiem, że kogoś ścigacie i chcecie zwiększyć szybkość okrętu. Mogę tego dokonać.

Arion był pod wrażeniem tych słów. Obaj milczeli przez chwilę.

– Jesteś głodny?

– Nie.

– Po południu przyniosę ci obiad.

Keramir skinął głową. Chłopak przełknął ślinę.

– Czy jest coś, co mogę dla ciebie zrobić? – zapytał, unosząc ku niemu błękitne oczy. Rzadko patrzył na maga w ten sposób. Zauważył, że zaklinacza drażniło, kiedy ktoś otwarcie spoglądał mu w twarz. A przecież mimo jego świeżych blizn Arion był pod wrażeniem jakiejś chłodnej, surowej piękności bijącej z tego udreżonego, męskiego oblicza.

Czarodziej zastanowił się.

– Czy możesz przynieść mi lustro?

Arion skinął głową i wybiegł z kajuty.

Keramir znowu został sam. Przez chwilę siedział nieporuszony. Patrzył na swój ciężki łańcuch z kryształem, spoczywający u wezglowia koi, zaczepiony o metalowy hak. Pierwszy raz w życiu obawiał się tego ciężaru. Wydawał mu się nie do udźwignięcia. Perłowe, cudowne światło promieniujące z kamienia przyzywało go nieustannie. Ale łańcuch... Był jego, a jednocześnie jakby już do niego nie należał. Keramir od razu spostrzegł, że usunięto z niego niektóre ogniwa. To miał być dla niego bezdyskusyjny znak. Ostrzeżenie. Od tej pory miał całkowity zakaz używania niektórych atrybutów mocy. Najpotężniejszych, najwspanialszych zaklęć. Gdyby złamał to sekretne ograniczenie, jego los będzie przesądzony.

Czarodziej wzdrygnął się, sięgając po ciemną, aratrańską stal. Zabrzęczała wysoko w jego dłoniach. Ten dźwięk brzmiał dla niego niegdyś niczym radosny, cienki świergot

oswojonego ptaka. Obecnie łańcuch wydawał mu się okaleczony jeszcze dotkliwiej niż on sam, a po odjęciu bezcennych ogniw – krótki jak powróż, jak obroza, która ma go trzymać na uwięzi. Mimo to ostatecznie włożył go na szyję. Nabrał w płuca powietrza, jakby zaklęty wisior mógł samoistnie zacisnąć mu się wokół gardła.

Po chwili w drzwiach stanął Arion z małym zwierciadłem w dłoniach.

– Dostałem je od Aliyi – wyjaśnił chłopiec. – Kazała przekazać ci pozdrowienie.

– To ta ciemnowłosa dziewczyna, która przyniosła mi kiedyś strawę?

– To ona. Jest jedyną kobietą na statku. Wszyscy mówią, że walczy jak mężczyzna.

To znaczy, nie tak samo, ale równie biegle. Jest niesamowita – rzekł Arion z przekonaniem. – Proszę. – Wręczył mu lusterko.

Keramir uniósł zwierciadło powoli, z wahaniem. Przyglądał się odbiciu swojej twarzy, nieznacznie przechylając je pod kątem. Przesunął opuszkami palców po policzku. Nagle Arion spostrzegł, że w przypominających kryształ oczach czarodzieja wzbierają łzy. Początkowo nie były widoczne z powodu ich srebrzystego koloru. Gorzkie łzy podeptanej dumy... Keramir szybko otarł je wierzchem dłoni.

– Chciałbym, żebyś przyniósł miednicę z ciepłą wodą, mydło i brzytwę. Zgolisz mi brodę i włosy. Chcę, żeby odrastały równo – odezwał się stanowczo, przełknąwszy ślinę. – Później potrzebny będzie mi kapelusz.

Arion zabrał się do pracy jak najszybciej. Przykrył świeżym ręcznikiem ramiona czarodzieja i ogolił go jak najostrożniej i jak najstaranniej. Mag ponownie obejrzał się w lustrze i podziękował mu krótko. Egrit ofiarował mu dość sfatygowany kapelusz z szerokim rondem, który dobrze chronił od słońca. Keramir przyjął go w milczeniu, po czym oświadczył, że chce zostać sam. Arion posłusznie opuścił kajutę. I tak niebawem czekały go nowe obowiązki.

Przechadzał się przez chwilę po pokładzie, zasmucony losem zaklinacza pogody i zadumany. Widok łez w kryształowych oczach głęboko zapadł mu w pamięć. Okazało się, że potężny mag był zdolny do płaczu. Tak jak najzwyczajniejszy, szary człowiek...

Południowe słońce grzało mocno, nasycając przestrzeń niemiłosiernym upałem. Smoła zaczynała skwierczeć między deskami. Wiatr niósł przyjemne, ale słabe orzeźwienie. Arion stanął przy burcie blisko dziobu, ponad falbanami prutych fal. Zapatrzył się na sznur zielonych, rozrzuconych na horyzoncie wysepek, które mijali w pewnej odległości. Przypominały rozsypane, mieniące się w świetle szmaragdy. Chłopiec przywoływał w myślach mapy i próbował przypomnieć sobie, czy czytał już o tych wyspach w *Opisaniu wysp i morza według Dariniusa*. Wydawało mu się, że nie.

Wielka, ciekawska mewa zakołowała nad statkiem. Był to pierwszy ptak, jakiego widział od kilku dni.

– Podobno poszukiwałeś kapelusza. – Usłyszał za plecami głos Gwinta Gerka. Kapitan podszedł do burty z lekkim nakryciem głowy w rękę i stanął obok.

– Dostałem już jeden od Egrita. Potrzebował go zaklinacz pogody – wyjaśnił Arion.

Gerki wydawał się chmurniejszy niż zwykle. Jakiś ciężar przygniatał mu serce i ścinał twarz chłodnym grymasem.

– Słyszałem, że ty i on się zaprzyjaźniliście.

– Nie wiem, czy można nazwać to przyjaźnią – rzekł Arion. – Myślę, że on mi ani trochę nie ufa.

– A ty nie powinienesz ufać jemu – odparł kapitan. – Pamiętaj, że to ktoś z innej gliny. To mag.

– I co z tego? Teraz jest po naszej stronie. Sądzę, że nie jest taki, jak pozostali. Sam słyszałeś, że spiskował przeciwko królowi. Jest buntownikiem. Jak wy. – Arion skinął głową w stronę pokładu.

– Spiskowanie przeciwko władcy nie dowodzi samo z siebie szlachetnych intencji, lecz tylko i wyłącznie skłonności do zdrady. My buntujemy się otwarcie. Nie udajemy kogoś, kim nie jesteśmy. A jakkolwiek zdradę karzemy surowo. Zawsze płaci się za nią najwyższą cenę.

Arion milczał przez chwilę, zastanawiając się nad tymi słowami. Tym razem musiał

przyznać swojemu wujowi rację. Sam sobie wydał się nagle dziecinny i naiwny.

– Co więc, twoim zdaniem, odróżnia zwykłego człowieka od maga? – spytał cicho.

– Zwykły człowiek może mieć magiczny talent. Moim zdaniem powinien go wówczas rozwijać. Ale ci, którzy na ziemiach Crystallum noszą łańcuch... są kimś innym. Ich własna moc nimi zawładnęła. Nawet ich oczy nie są już takie jak nasze. – Gerk potrząsnął głową.

Arion po raz kolejny wspomniawszy czarodzieja. Poczucił, że ma ochotę zaprotestować, ale tylko znowu spytał cicho:

– Co to znaczy?

Gwinto spoglądał w dal na sznur zielonych wysp, nad którymi kołowały chmary morskiego ptactwa.

– Powiem ci, co ja o tym sędzę. Myślę, że w każdym człowieku drzemie demon, który pozwala mu czasem dokonywać niezwykłych rzeczy. Jednym pozwala zabijać bez mrugnięcia okiem, innym układać pieśni, a jeszcze innym zaklinać pogodę albo w cudowny sposób leczyć się z ran. – Kapitan zerknął wymownie na Ariona. – Magowie to ci, których ten demon całkowicie opętał. Dlatego są tak niebezpieczni.

Chłopak milczał.

– Nie mówię ci tego wszystkiego bez przyczyny – kontynuował Gwinto. – Każda zdrada to straszna rzecz. Trzeba zawsze zachowywać czujność. Chciałem ci oszczędzić tego ciężaru, ale okazuje się to niemożliwe.

Arion spojrzał na niego z niezrozumieniem.

– Niedawno wykryliśmy na pokładzie zdrajcę – wyjaśnił Gerk – Przyszedł czas, żeby go ukarać.

Odwrócił się w stronę pokładu i Arion mimowolnie zrobił to samo. Ze zdziwieniem spostrzegł, że zaczyna gromadzić się tam mały tłum, który prowadzi osaczonego, skrępowanego sznurami człowieka. Chłopca przeszył zimny dreszcz niedowierzania. Osłonił dłonią oczy od rażącego słońca. Wówczas wyraźnie rozpoznał tę twarz, a

razem z nią tożsamość oskarżonego...

16.

Ten człowiek wyglądał na całkowicie zaskoczonego. Mrużył oczy w świetle prażącego słońca jak ktoś, kogo wyrwano ze snu. Prawie nie próbował protestować, kiedy dragici przywiązali go do grotmasztu. Tylko jego dziwna, oliwkowa bladość, wzbierająca pod żeglarską opalenizną, zdradziła nagły, śmiertelny strach.

– To jakiś żart?! To jakiś cholerny żart, na demona?! – wykrzyknął, gwałtownie napinając mięśnie pod wznajającymi się w ciało więzami. Zafalowały tatuaże na jego bicepsach. Miał na sobie marynarskie spodnie i kusą, skórzaną kamizelę narzuconą na gołe ciało.

– Zamknij się, Warras! Miałeś szansę przyznać się do wszystkiego na lądzie! – wyszczał Spenker przez wyszczerbione zęby.

Dookoła posypały się straszliwe przekleństwa.

– Przyznać się do czego, ty mendo?! – Skrępowany mężczyzna nie zdążył dokończyć zdania, bo w twarz chluśnięto mu z impetem wiadro morskiej wody. Potem jeszcze jedno. I kolejne. Dragici urządzali mu druzgocącą kąpiel i raz po raz sprawnie czerpali zza burt pełne wiadra. Wmieszany w ciżbę zebraną wokół grotmasztu Arion patrzył na to, tężejąc od środka. Ociekający wodą Warras zaczął dygotać – nie wiadomo, czy z zimna, czy ze strachu.

Gwinto Gerk wystąpił naprzód i wodna kanonada z wiader ustała. Warras krztusił się przez chwilę, łapiąc powietrze. Marynarskie spodnie przylegały do jego ciała jak druga skóra.

Arion rozejrzał się wokoło po otaczających go twarzach, pałających tłumioną wściekłością. Na niektórych malowało się jednak niedowierzanie, podobne do tego,

które odbijało się na jego własnym obliczu. Powietrze było gorące i ciężkie, a milczenie załogi przypominało duszną ciszę przed burzą. Na ciemnych, mahoniowych ciałach błyskały kropelki potu. Upał i ostre światło kłuły w oczy, wdzieraly się pod powieki niczym biały piasek.

– Co teraz? Co mu zrobią? – szepnął chłopak do stojącego obok medyka. Słowa pozostawiły suchą słoność w ustach.

– Na razie odbędzie się sąd. Ale to raczej nie potrwa długo – wycedził lekarz przez zęby, które wolno mełły koniec wykałaczkii. Jego utkwiony w Warrasie wzrok był obojętny jak u wytrawnego gracza w kości.

Na pokładzie odezwał się dzwon obwieszczający początek przesłuchania.

– Obecnie tu Warrasowi zarzuca się zdradę. – Głos Gwinta rozplatał ciszę niczym nóż. – Egrit, Spenker, Parte i ja zebraliśmy przesłanki oskarżenia. Jako najstarszy z nas przedstawi je Egrit. Niech każdy słucha aż do ostatniego słowa i niczego nie pomija. Później kto zechce, będzie mógł przemówić. Warrasa sądzi teraz cała załoga, ale wyrok, zgodnie z naszym prawem, zatwierdzam ja sam.

Egrit chrząknął i splunął za burtę, po czym stanął po prawicy kapitana. Krzaczaste brwi starca sterczały groźnie niczym sierść u najeżonego psa.

– Zaczę od samego początku. Nie mamy pewności co do winy Warrasa – powiedział powoli – ale dowody i okoliczności są przytłaczające. Tych, którzy mogą je potwierdzić, wzywam spośród nas na świadków. – Powiódł wzrokiem po towarzyszach. – Tamtej nocy, gdy podejrzewaliśmy uszkodzenie okrętu – podjął chrapliwym głosem – w kambuzie znaleziono martwe szczury.

– Szczury?! Szczury miałyby świadczyć na moją niekorzyść?! Co to za diabelne brednie?! – wybuchnął szczękający zębami Warras.

Tego było za wiele! Jeszcze żywił resztki nadziei, że to tylko głupi żart, lecz pod skórą przeczuwał już prawdę. Wgryzała się w nerwy jak sól w otwartą ranę. Gwałtowna, bezsilna wściekłość sprawiła, że z jego ust dobył się ochryply jęk. Uciszył

go pełen kubek zimnej wody. Chlusnęła z impetem, a ogromna kałuża u jego stóp stała się jeszcze większa.

– Tamtej nocy podejrzewaliśmy przeciek. Wszyscy dobrze pamiętacie, he? Trzeba było przeszukać cały okręt. Przeznaczenie ocaliło wówczas nas wszystkich, chociaż wcześniej nie było równie łaskawe dla Piskorza. Parte przypadkiem natknął się w ładowni na dwie rzeczy. Nóż należący do Warrasa i tę chustę! – Egrit pokazał wszystkim smoliście czarny fular. – Jest splamiona krwią! – wyjaśnił. – Jakby owinięto tym zarżniętego kurczaka. To fular Piskorza! Leżał na dnie pustej beczki. Razem z nim znajdował się tam nóż Warrasa. Widać, że zabójca ukrył go w pośpiechu!

– Nóż Warrasa?! – powtórzył głośno Gilal.

W odpowiedzi na jego pytanie kapitan rozwinął przed załogą skrawek żaglowego płótna impregnowanego dziegciem. W słońcu zaśnił potężny nóż o lekko wygiętym ostrzu i karbowanym, charakterystyczny trzonku z gułką z macicy perłowej. Metal zdawał się płonąć. Kiedy wszyscy już mu się przyjrzeni, Gwinto przekazał zmięty fular z haftowanym inicjałem najbliższemu załogantowi. Dragici podawali sobie chustę z rąk do rąk. Poprzeczne bruzdy rysowały się na złowrogo wykrzywionych twarzach. W przestrzeń sączyły się przekleństwa, niby cichy pomruk wielkiej fali. Arion zrozumiał, że jego kompani nie mają wątpliwości, do kogo należał ten fular. Do Piskorza!

Chusta trafiła również do niego. Rozwinął ją i przez mgnienie wpatrywał się tępo w morze i niebo po drugiej stronie tkaniny. Plamy krwi były widoczne pod słońce. Wielkie skrzepy w ścisłej tkance materiału. Przypominały rozgniecione z impetem pająki.

– To nóż Warrasa. Nie ma co do tego wątpliwości.

Warrasa zalała fala gorąca. Ponure szepty kompanów kęsały go jak mrówki pełzające wzdłuż kręgosłupa. Czuł nieprzerwany dreszcz.

– To twój nóż, Warrasie? Chyba nie zaprzeczysz? – spytał nagle Gwinto. Jego oczy zwęziły się w cienkie kreski błękitu.

Oskarżony poczuł, że jego nogi przypominają dwie cienkie, puste w środku słomki. Lada chwila mogły trzasnąć pod jego ciężarem.

– Nie ma wątpliwości – potwierdził sucho Egrit.

Wśród załogi rozległo się ponure potakiwanie.

– Zgubiłem go – wymamrotał Warras.

– Gdzie?! Kiedy?!

Zamrugał oczyma. Suche, południowe światło wwiercało się w źrenice. W upale jego myśli zazębiały się o siebie chaotycznie, wpadały na siebie i umykały w ciemność niczym źle naoliwione elementy jakiejś rozklekotanej maszynerii.

– Wtedy, na lądzie. – Zwilżył wargi końcem języka. Poczował w ustach sól. – W delcie Vissli. W czasie walki z ludźmi króla! Jestem pewien, że już później go nie miałem!

– Jesteś pewien, że nóż został na brzegu?!

– Tak! Nie wiem!

– Mówiłeś komuś, że zgubiłeś ten nóż? – spytał Parte.

Gulka na szyi oskarżonego poruszyła się kilkakrotnie, jak przy przetykaniu.

– Nie. Chyba nie – wysapał, wpatrując się w Partego ze złością. – Wszystko przez tę cholerną bójkę. Pobiłem się przecież ze Spenkerem, pamiętacie? – W umyśle Warrasa nagle zapaliło się światełko. Oskarżony uchwycił się go kurczowo. – Wybiłem Spenkerowi dwa zęby, a on kopnął mnie w krocze. Wtedy zjawił się stary i kazał zamknąć nas pod pokładem! Jak miałbym ukryć ten nóż?! Jak?! Jak, skoro byłem zamknięty w jakiejś cholernej klatce?!

– Wtedy Piskorz już nie żył – stwierdził cicho Egrit, wbijając wzrok w deski. Szurnał po nich obutą stopą. – To ty i Spenker zawiadomiliście mnie o jego zniknięciu!

Dookoła poniosły się wzburzone głosy.

– Piskorz mógł polec w walce z ludźmi króla w delcie Vissli.

– Ale kucharz nie schodził wtedy na ląd!

– Parte może zaświadczyć, że ciała Piskorza nie było wśród zabitych na brzegu! –

warknął Egrit.

Parte skinał głową, aż zafalowała jego zmierzwiona grzywka.

Na okręcie zapanowała cisza. Wiatr, który słabnął od jakiegoś czasu, zamarł, a żaglowiec razem z nim, jakby ugrzązł w gęstym, złotym blasku. Morze przypominało rozbitą szybę, przełamana pajęczyną lśnienia.

– Więc nie mówiłeś nikomu o braku noża – szepnął stalowym głosem Gwidon Gerk. – Dowody przeciwko tobie są przytłaczające. Powiedz otwarcie: zdradziłeś nas, Warras?! Zabiłeś Piskorza?

Warras wytrzeszczył oczy i zmarszczył brwi, aż cienkie fałdy spiętrzyły się na jego upstrzonym kropelkami potu czole.

– To więcej niż pewne! – oświadczył nagle matowym głosem Salek. – Nie dość, że jest zdrajcą, to w dodatku skończonym głupcem! Od pływania nie zmądrzałeś, Warras! Nie zapamiętałeś sobie tej zasady: „Ten, kto traci swoją broń, traci z nią życie”!

Twarz Warrasa, szeroka, ciosana, w pewien pierwotny sposób przystojna, o niskim czole, głęboko osadzonych oczach i wydatnej szczęce, stężała w maskę mieniącą się różnymi odcieniami bladości.

– To niemożliwe! – wrzasnął, napinając wszystkie mięśnie. Zaczął więc się jak ryba nadziana na haczyk, na wpół klnąc, na wpół połykając przekleństwa. – To niemożliwe! Nic z tego nie rozumiem! Ja nie zabiłem Piskorza! Ktoś mnie wrabia, nie widzicie tego?! Ktoś mnie wrabia! Jesteście z nim w zмовie, do stu demonów?! Ostrzegam was! Wy zabijecie mnie, a prawdziwy zdrajca będzie nadal chodził po tym pokładzie! – raptownie umilkł, dygocąc.

– Więc nie ukryłeś tego noża w ładowni?

– Nie!

– Nie było cię ostatnio w zbrojowni na rufie?

– Na rufie?... Na rufie... Nie!

– A przed tygodniem?

– Nie. Nie wypadła mój dyżur przy czyszczeniu broni – zawahał się.

– Jesteś pewien, Warras? – spytał Gerk cicho, a kiedy nie uzyskał odpowiedzi, odezwał się głośniej, tak by wszyscy słyszeli: – Siedem dni temu Arion znalazł twój oderwany guzik w ładowni na rufie. Taka drobnostka... Czy możesz to potwierdzić, Arionie?

Chłopak drgnął.

Ludzie wokoło nieoczekiwanie zwrócili się w jego stronę, chyba równie tym zdziwieni, jak on sam. Zobaczył, że rozstępują się przed nim nieznacznie, żeby mógł swobodnie przejść do masztu. Przez ułamek chwili nie pojmował, dlaczego go w to wciągali. Pamięć rozjaśnił mu dopiero drobny przedmiot błyszczący na dłoni Egrita. Ta mała, charakterystyczna muszelka z otworkiem wywierconym na nią.

– Tak – potwierdził. – Znalazłem to, kiedy Egrit pokazywał mi zbrojownię.

– Wszyscy wiemy, że Warras ma koszulę wyszywaną muszlami z jego rodzinnej wyspy – zauważył stary sternik. Jego słowa zagłuszyły okrzyki zjadłej wściekłości.

– Na maszt z nim! Powiesić na rei głową w dół! Za palce u nóg! A potem na pożarcie rekinom! Przywiążmy go na noc do liny i wyrzucmy za burtę! Albo do kotwicy! Niech nurkuje tak jak nieszczęsny Piskorz! Nadziejmy go na kotwicę! Utopmy go!!!

Gwintowi udało się uciszyć wrzaski, gwizdy i ryki po przeciągającej się chwili. Mimo wszystko załogę cechowało wielkie zdyscyplinowanie. Teraz tylko sylwetki kapitana, Ariona, Partego i Egrita oddzielały związanego Warrasa od wyciągających się ku niemu zaciśniętych pięści i pustych pochew po wyjętych nożach.

– Ten guzik chyba jeszcze o niczym nie świadczy – nieoczekiwanie odezwał się chłopak. Przełknął ślinę, zdumiony własnymi słowami i zimną ciszą, jaką wywołały. Ze zdenerwowaniem rozglądał się wokoło. Rozpaczliwie poszukiwał oznak choćby najsłabszego poparcia. Potem jego wzrok padł na Warrasa. – Mógł go zgubić przy innej okazji – zauważył na wdechu.

Odpowiedziała mu cisza. Powoli rozszedł się narastający dreszcz szeptów i pomrukiwań. Arion odetchnął głęboko, całą objętością płuc. Zdawało się, że Kotwica lada chwila powie z namysłem coś w stylu: „Dzieciak ma rację”. Tymczasem zarysowujący się z wolna podział w opiniach dragitow powstrzymał Egrit.

– Nie chodzi tylko o tę drobnostkę, Arionie – przemówił starzec ze smutną powagą.
– Wiele innych przesłanek świadczy o winie Warrasa.

– Tak?! Czyli jakie?! – wykrztusił spod masztu oskarżony, wijąc się na słońcu, jakby przypiekało go żywym ogniem.

– Chcesz wiedzieć?! Powiem ci! – warknął sternik, zaciskając pięści, po czym wystąpił krok naprzód. – Tamtego wieczoru, kiedy ty, Gwinto i Tiko zeszlście na ląd u ujścia Vissli...

Skóra Ariona pokryła się gęsią skórką pomimo południowego upału. Uderzyło w niego z impetem wspomnienie tamtego wieczora, kiedy Gwinto i Tiko zjawili się w ich domu.

Na chwilę zniknął niespokojny pokład wokół niego, żeglarze wykrzykujący żargonowe przekleństwa... Zobaczył lepkie na wiosnę listki wierzby, w pobliżu której zakładali z ojcem pułapki na bobry. Zamajaczyły w jego myślach tak wyraźnie. Mieniające krople zielonego światła wzdłuż cienkich, giętkich gałązek.

W duszy znowu obudziła się nienawiść.

– ...Gwinto i Tiko poszli do miasteczka, a ty zostałeś przy łodzi. Byłeś sam. – Arion usłyszał jak przez mgłę słowa Egrita.

– Taki był rozkaz kapitana!

– Miałeś czas i idealną sposobność, żeby skontaktować się ludźmi króla. Jak się okazało, byli wówczas w pobliżu. Zdradziłeś im, gdzie udał się Gwinto!

– Niech cię diabli, Egrit!

– To nie wszystko! Sądzę, że zabiłeś Piskorza, zanim zeszlście na ląd, żeby nie rzucać na siebie podejrzeń. Możliwe też, że zrobiłeś to tuż po powrocie na okręt.

Ukryłeś nóż w pośpiechu z powodu niespodziewanego rwetesu, jaki powstał, gdy ze statku zauważyliśmy ogień w miasteczku...

– Byłem wtedy z Aliyą! Na bocianim gnieździe!

– Wiemy o tym – oświadczył Egrit surowo. – Wypytałismy ją o tamtą noc. Chciała zawiadomić o ogniu kapitana, ale ty natychmiast ją powstrzymałeś. Powiedziałeś, że sam zbudzisz Gwinta.

– Tak było, ale...

– Zyskałeś dodatkowy czas! Na przykład na ukrycie noża!

– Na demona, co to za brednie?!

– Kiedy wszyscy wróciliście na statek po stoczonych walce, a ja z Partem popłynąłem na ląd, doszło do twojej bójki ze Spenkerem. Ty sam wówczas powiedziałeś mi o zniknięciu Piskorza! Znasz tę starą zasadę, że winny zawsze się tłumaczy, obojętnie, jak bardzo chciałby się przed tym powstrzymać? A potem znaleźliśmy twój nóż razem z zakrwawionym fularem Piskorza! Dowód, którego nie można zignorować! Po bójce kazałem zamknąć was w ładowni, więc nie miałeś czasu, żeby wrzucić oba te przedmioty do morza!

Egrit gwałtownie uniósł w górę czarny fular.

Na pokładzie wystrzeliły okrzyki.

Warras zzieleniał na twarzy.

Już go skazali! Nie było odwołania... W najgorszych snach nie przypuszczał, że spotka go coś takiego. Teraz lęk otworzył mu oczy, zalewał umysł mnóstwem szczegółów, ostrych, precyzyjnych myśli i wrażeń. Popęłnił tyle błędów. Zbyt wiele. Nie miał szans, nie miał czasu, by móc to naprawić. Oni wszyscy mieli rację! Był głupcem, skończonym bałwanem!

– Pozostaje coś, co nie jest jasne. – Niespodziewanie dobiegł ich podniesiony głos Gwinta Gerka.

Wszyscy utkwili oczy w kapitanie.

– Dlaczego?

Źrenice Warrasa płonęły w poszarzałej twarzy. Usta zaciskały się w cienką, bladą linię, szczęki poruszyły się pod skórą. Nozdrza były rozdęte jak u złego byka, jakby macały zgęstniałe powietrze.

– Wszyscy domyślają się dlaczego – z tłumu odezwał się nagle Gilal.

Był on twardym, bezczelnym typem, który zawsze wygarniał innym bez ogródek, co myśli. Nutka zakłopotania, która zabrzmiała w jego głosie, była czymś niezwykłym. Natychmiast zdwoiła czujność Gwinta.

Wszyscy domyślają się dlaczego? Wszyscy, za wyjątkiem mnie? Do diabła! Co to ma znaczyć?! Czy to ja wciąż dowodzę na Krogulcu?!

Gerik doznał wrażenia, że chyba stracił rozeznanie, co się działo na jego własnym statku. To przez śmierć Ileny i Ravaela. Przez kilka dobrych dni nie był sobą. Odciął się od wszystkiego. I oto skutki!

– A więc? – ponaglił Gilalą stanowczo, pozwalając myślom płynąć obok.

Tamten odchrząknął.

– Wszyscy wiedzą, co zdarzyło się na Wyspie Przeklętych.

– Czyżby?! – Gwinto groźnie zmarszczył brwi.

– Może nie wszyscy – poprawił się Gilal – ale większość z nas.

Gwinto pomyślał nagle o Aliyi. Wspomnienie wspólnych chwil rozkoszy nieraz nawiedzało go przed snem, czasem wznecając w nim pożądanie, a czasem jakąś głębszą tęsknotę.

– Nie chcieliśmy o tym mówić, bo on był pijany. Postanowiliśmy o tym zapomnieć – mruknął Salek.

Gwinto rozsierdził się.

– Kto?! Kto był pijany?! Odnoszę wrażenie, że wszyscy, do stu tysięcy demonów! Czy muszę ciągnąć was za języki jak małe dzieci?! – spytał ze złością.

Gilal skrzyżował ramiona.

– Warras – oświadczył posepnie.

Niektórzy przytaknęli ruchem głowy, inni zaklęli pod nosem. Powstało jakieś przytłumione, wewnętrzne poruszenie.

– To zdarzyło się w gospodzie na Namirii, po tym jak większość poszła już spać. Nawet Egrit urznął się jak świnia i zakończył te swoje śmieszne historie. Ledwie zataszczyliśmy go na górę. Nic dziwnego, wszyscy mu polewali. Siedzieliśmy jeszcze w kilku z chłopakami, podsumowując zakłady. Paru z nas postawiło sporo na powodzenie obecnej wyprawy...

– Do rzeczy!

Gilal chrząknął, wzruszył ramionami.

– No, Warras pił na umór. Trzeba mu przyznać, że ma twardą głowę, ale tym razem przeholował. A że jest porywczy... Pije i pije, nic się nie odzywa. Aż tu nagle wyciąga nóż!

Wszyscy przycichli.

– „Zabiję go! Zabiję!”. Powtarzał to jak opętany. Rzucił się ku schodom, ledwie zdołaliśmy go powstrzymać. „Mam ochotę go zabić!”. „O kim mówisz, stary?” – pytamy. A on spojrzał na nas spode łba. „Wiem, że poszła do niego! Wiem, że jest z nią, że ma ją tej nocy! Nie zauważyliście, jak na niego patrzy?! Ona nic nie rozumie! Nie powinna do niego iść! Mówię wam, on ją tylko wykorzysta! Wiem coś o tym, dobrze wiem, do diabła! Znam niejedną taką historię! Ale ona jest na to za dobra!”. – Gilal westchnął i ten odgłos wszystkim wydał się donośny w głuchoj ciszy. – No i zrozumieliśmy, o co chodzi Warrasowi. Znaczy się, że o Aliję... Wszyscy przecież widzieli, że on durzy się w niej od dawna jak szczeniak. Warras ubzdurał sobie, że Aliya i kapitan... – Gilal zawahał się, ugryzł się w język. – On gadał, że chce zabić ciebie, Gwinto. Myślę, że mógł zdradzić z czystej zazdrości – zakończył z jakąś złowrogą, wewnętrzną satysfakcją. Jakby udało mu się rozwiązać zagadkę, nad którą głowił się na próżno cały statek.

Po deskach poniosły się zdecydowane, lekkie i prężne kroki Aliyi. Mężczyźni ustępowali miejsca przed jej smukłą sylwetką, aż dziewczyna znalazła się pod samym masztem. Nawet Gwinto i Egrit odsunęli się na boki.

Aliya nachyliła się w stronę Warrasa.

– To prawda? – warknęła cicho. Przygryzła usta. Nie wierzyła w to do końca. – Naprawdę jesteś zdrajcą? Ty zabiłeś Piskorza?! Naprawdę chciałeś wydać kapitana?!

Warras zupełnie zgłupiał. Wiedział już, że lada chwila zginie, a jedyne, o czym był w stanie myśleć, to jej prześliczna twarz i złota skóra, której zapach musnął jego nozdrza.

– On nie jest ciębie wart, Aliyo! – odparł raptownie, nieswoim głosem. Jakby tylko to już się liczyło. Czuł, jak więzy palą go i mocno wznajają się w ciało. – On nie jest ciębie wart, nie rozumiesz?! Co z tego, że jest kapitanem?! Co z tego?! On nigdy nie pokocha ciębie tak jak ja, nie widzisz tego?! To człowiek, który kocha tylko morze! Tylko morze! Nikogo poza tym! Zawsze już będziesz nieszczęśliwa!

Przerwał mu siarczysty, wymierzony otwartą dłonią policzek. Ręka dziewczyny nadal wisiała w powietrzu, jakby chciała uderzyć go znowu. Lekko drżąca, rzucała malutki cień, skrząc się w słońcu od ciężkich pierścionków.

– Nigdy, przenigdy nie decyduj za mnie, jasne?! – syknęła Aliya z wściekłością. – To nic, że jestem kobietą! – Odwróciła się przez ramię ku pozostałym, chcąc upewnić się, że wszyscy ją słyszeli. Biały kolczyk z muszlami zakotłosał się w jej uchu. Odgarnęła na bok kosmyk czarnych, lśniących włosów. – Żaden z was nie ma prawa mówić mi, jak mam żyć, tylko dlatego że jesteście mężczyznami! Umiem sama zadbać o siebie! Jestem jedną z was! Jestem dragitą!

– Tak, tak... Oczywiście, Aliyo – wymruczało kilku ludzi, kiwając głowami. Byli zbici z tropu wybuchem jej złości. – Jesteś z nami. Jesteś jedną z nas! Jesteś najlepsza!

Aliya ostatni raz spojrzała na Warrasa.

– Nie pojmuję, jak mogłeś to zrobić... Jak my wszyscy, nienawidzę zdrajców –

szepnęła głucho i odwróciła się na pięcie.

Jazgot okrzyków i przekleństw stał się nie do zniesienia.

– POD KIL Z NIM!!! POD KIL Z NIM!!! POD KIL Z NIM!!!

– Jaka jest twoja decyzja, kapitanie? – Egrit z posępną, zaciśniętą niczym pięść twarzą zadał to pytanie Gwintowi.

Gerik zatopił wzrok gdzieś w przestrzeni. Wpatrywał się w bliżej nieokreślony, odległy punkt.

– Pod kil – rzucił krótko. – Od burty do burty.

– POD KIL!!! POD KIL!!! POD KIL!!!

Decyzja rozprzestrzeniła się lotem błyskawicy. Arion obserwował wszystko jak przez mgłę, niczym dziwną, ludzką fatamorganę. Widział, jak załoganci brutalnie rozdziewają Warrasa, jak krępują mu ściśle kończyny. Ktoś na dziobie przygotował linę. Przywiązali go do niej.

– Jestem niewinny!!! – wykrzyknął Warras głośno, ze zmarszczonym czołem, ale teraz już nikt go nie słuchał. W słońcu błysnęły dziko białka jego oczu. Oczodoły były plamami siniego cienia. – Ktoś mnie wrabia! Prawdziwy zdrajca jest tutaj, jest między wami! Zdrajca jest wśród was!

Okrzyk urwało potężne pluśnięcie połykającej ludzkie ciało wody. Szybkie kłapnięcie młazczącej paszczy oceanu. Warras zniknął za burtą. Arion patrzył, jak napręża się lina, każde z cienkich, tworzących ją włókien. Kilku żeglarzy przeciągało ją z drugiej strony. Wszyscy klęli z mściwą ekscytacją.

Arion chwycił za przedramię lekarza.

– Czy on umrze?!

– Może tak. A może nie. Przeciągają go pod dnem statku. Może utonąć albo wykrwawić się na śmierć. Jego ciało potną muszle skorupiaków, które ciągle osadzają się pod kilem. Jeśli przeżyje, będę mógł go leczyć. Los zdecyduje. Zgodnie z naszym prawem...

Arion podbiegł prędko, chwycił mocno za linę i zaczął pomagać w przeciąganiu Warrasa.

Te krótkie chwile wlekły się niemiłosiernie. Wreszcie lina na moment poluzowała się niepewnie. Arion gorączkowo spojrzął za burtę. Ciągnęli jeszcze. Woda rumieniła się od krwi.

– Po takiej zanęcie nałowimy dziś rekinów! – ryknął nagle Spenker i upiornie zarechotał.

Lina naprężyła się znowu. Warras był ciężki. Chłopak przekładał ręce z wysiłkiem, jedną za drugą.

Wciągnęli skazańca w poprzek burty niczym sztukę skrwawionego mięsa. Ludzkie ciało wylądowało na deskach ze strasznym, wilgotnym plaśnięciem.

Krew zaczęła sączyć się na pokład. Soczysta czerwień kontrastowała ostro z wszechobecnym błękitem oceanu i nieba. W słońcu lśniła niczym kałuża ognia.

Arion nigdy nie widział tak potwornych, poszarpanych ran. Krew zaszumiała mu w skroniach. Nagle usłyszał, że medyk woła go do siebie.

– Żyje. Pomożesz mi – stwierdził ponuro.

Prawie nikt się nie odzywał, kiedy wciągali Warrasa na płócienne nosze i ciągnęli je do lekarskiej kajuty. Po drodze medyk wyjaśnił krótko, że będą smarować rany dziegciem. Gdy tylko przekroczyli próg pomieszczenia, Keramir, o którego obecności Arion prawie zapomniał, zerwał się z postania.

– Na ogień Przedwiecznych, co się stało z tym człowiekiem?!

Lekarz na moment stracił swoją zwyczajną pozę gracza w kości. Nie odzywał się przez długą chwilę, metodycznie krzątając się przy rannym. Kotwica przytaszczył kociołek z podgrzany dziegciem. W pomieszczeniu rozniósł się gryzący, duszny zapach.

– Obawiam się, że na tym statku zaczyna szerzyć się choroba, na którą ja nie znam lekarstwa. Nie wiem, czy nawet czarodziej coś tu pomoże – mruknął medyk, gdy

kucharz opuścił kajutę.

– Jaka choroba? – spytał Keramir, z napięciem marszcząc brwi. On i Arion wbili spojrzenia w medyka.

– Szaleństwo – mruknął ten posepnie, po czym zagryzł w zębach wykałaczkę.

Arion wzdrygnął się lekko, bo przez jego umysł przemknęło nagle słabe przypuszczenie, że lekarz nie wierzył w zdradę Warrasa. Chłopak spróbował odepchnąć tę myśl, lecz powracała uparcie jak natrętny komar, którego nie udaje się zignorować. Drżały mu ręce, kiedy zakładał opatrunki na rozległe partie ciała pokiereszowanego mężczyzny. Chęć zaimponowania medykowi, którą żywił jeszcze parę dni temu, opuściła go teraz zupełnie. Poczul się jak bezradne, zagubione dziecko, które lada moment może się rozplakać.

Wstrzymał oddech, bo ktoś położył mu dłoń na ramieniu.

– Odsuńcie się – rzekł cicho Keramir.

Uczynili to, jeszcze zanim poprosił, jak gdyby słowa maga rozbrzmiały w ich umysłach, nim przeistoczyły się w dźwięki.

Keramir pochylił się nad nieszczęsnym Warrasem. Na szyi miał ciężki łańcuch z aratrańskiej stali, zakończony wisiosem ze świetlnym kryształem. Teraz, kiedy włosy czarodzieja zostały starannie zgolone, a z policzków zniknął wielodniowy zarost, w jego twarzy uwidoczniła się młodość. Keramir mógł skończyć nie więcej niż trzydzieści lat, a w każdym razie na tyle wyglądał. Arion słyszał jednak, że czarodzieje starzeją się inaczej niż zwyczajni ludzie, których czas nie oszczędza z równą pobłażliwością.

Lekarz i chłopak wydali z siebie ciche westchnienie. Keramir wyciągnął rękę nad czołem Warrasa, jakiś centymetr od powierzchni skóry. Kryształ na jego szyi zaczął się rozpalać. Jednocześnie krańce izby rozpływały się w mroku, jakby całe światło, jakie w niej istniało, skupiło się teraz w jednym jedynym punkcie. Kryształ działał jak cudowna soczewka ogniskująca całą rzeczywistość. Nic nie było w stanie przed nią umknąć, nawet myśli Ariona. Światło w kamieniu było niezwykle, tak kojące, tak

przyjemnie ciepłe. Na wskroś przenikało duszę. Czas się zatrzymał i świat znów stał się taki jak wówczas, gdy Arion otworzył niedomkniętą przypadkiem szkatułę, z której wystrzeliło morze barwnego blasku. Chłopiec oglądał światła galaktyk i gwiazd biegnących po niebie, iskierki kropel rosy, nieuchwytnie i kruche, a jednocześnie wzbudzające odwieczne tęsknoty, pierwotny lęk przed ciemnością i wizje innych światów.

Rany Warrasa zaczęły jarzyć się ciepłym błękitem. Zasklepiaty się stopniowo, krew przestawała płynąć, tkanki łączyły się znowu i zbliżały do siebie. Mężczyzna oddychał równo, jakby spał głęboko. Nawet najlżejszy jęk bólu nie wyrwał się z jego piersi.

Keramir odsunął dłoń i nagle wszystko zniknęło. Tylko kryształ wciąż tlił się jak gasnąca gwiazda.

Medyk przecierał oczy i masował skronie. W końcu zrezygnowany klapnął na krzesło przy ścianie. Wcześniej wykałaczką wysunęła mu się z ust.

– Jak to zrobiłeś?! – wyszeptał Arion z niecierpliwą ekscytacją.

Stan Warrasa nadal wyglądał na poważny, lecz nie było wątpliwości, że niebezpieczeństwo śmierci zostało zażegnane. Rany pokryła sieć niewidzialnych szwów.

Keramir w milczeniu przysiadł na brzegu koi. Miał zadziwiająco regularne rysy. Chłodną urodę maga pogłębiały srebrzyste oczy, które nigdy nie zdradzały jego myśli. Baczenie obserwowały otaczający świat, podczas gdy ów tylko się w nich przeglądał, odbijał się niczym w parze gładkich zwierciadeł, nigdy nie docierając pod ich powierzchnię.

– Czyżbyś nie widział? Z pomocą kryształu – mruknął czarodziej obojętnie.

– Ale jak? W jaki sposób? – wyszeptał Arion niemal błagalnie. Nie pamiętał, żeby jakiś czyn nappełnił go kiedykolwiek takim podziwem.

– Trudno jest zabić maga, prawda, Keramirze? – odezwał się ze swojego krzesła lekarz z nutką ironii w głosie.

Czarodziej zerknął na niego przelotnie.

– Owszem. – Niedbale wzruszył ramionami. – Nasze kryształy stanowią źródło mocy, która odnawia życiodajne siły. Te kamienie posiadają energię samej Iskry, moc pierwotnego, twórczego ognia, dzięki któremu z ciemności wynurzył się świat i pierwsi bogowie. Wielu sądzi, że to sama Iskra zestaliła się, ostygła i skamieniała w jądrze Ziemi, kiedy wszystko przybrało obecną formę. Magowie korzystają z jej światła, żeby odmieniać naszą rzeczywistość. Potrafią działać jak płomień, który stworzył i ukształtował świat z ciemności. Kryształ to skamieniały, lecz wiecznie żywy ogień. Podobny do tego, jakim nadal jeszcze zieją Przedwieczni.

– Świetlne kryształy i Iskra są tym samym?

– W pewnym sensie. W kryształach płonie wciąż odblask stworzenia. Ma on moc oddalania od ludzi śmierci. Kryształ jest bezcennym narzędziem w moich rękach. Lecz to magowie, jak ja, są Iskrą tego świata.

Arion minimalnie rozdziawił usta. On i medyk wymienili pospieszne spojrzenia. Obu zdumiała pycha bijąca ze słów czarodzieja i jednocześnie doskonała obojętność, z jaką je wypowiedział. Chłopak dobrze pamiętał, że Gwinto polecił mu nie ufać magowi, lecz w tej chwili był pewien, że wyznanie Keramira jest szczere. On naprawdę uważał czarodziejów, w tym siebie samego, za niemalże bogów, za nadludzi!

Słowa maga brzmiały tak naturalnie, tak swobodnie i tak przekonywująco, że Arion nie znalazł w sobie siły, żeby w jakikolwiek sposób im zaprzeczyć. Zamiast tego powrócił do kwestii kryształów. Możliwości, jakie dawały te kamienie, wywołały lawinę myśli w jego głowie.

Pomyślał o własnym cudownym ozdrowieniu i ramiona pokryły mu się gęsią skórką. Przecież on też nosił przy sobie dwa kryształy, w woreczku z ziołami zawieszonym na szyi! Kamień, który kazał mu wybrać ze szkatuły ojciec, i jeszcze jeden, ten, który ukrył jak tchórz! Czy to właśnie dzięki nim jego rana tak nagle zniknęła? Lecz to oznacza, że on również ma w sobie talent, choćby okruszynę magii odziedziczoną po ojcu!

– Mój ojciec też posiadał magiczny dar. Posiadał moc, chociaż nie był magiem – odezwał się chłopak stanowczo, patrząc na Keramira.

– Kim więc był, jeśli nie magiem, skoro władał magią? – spytał czarodziej z uprzejmym zainteresowaniem, które lekko rozdrażniło Ariona.

– Lekarzem, uzdrowicielem, znachorem – wypalił chłopiec. Myśli płynęły gorączkowo. – Gdyby posiadał świetlne kryształy, mógłby pomóc wielu, wielu ludziom. Ocalić ich życie równie łatwo, jak ty zaleczyłeś rany Warrasa! Gdyby kryształy były dostępne dla wszystkich, gdyby mój tato nie musiał leczyć ludzi w ukryciu, zeszłej zimy nie umarłaby nasza sąsiadka, jej dzieci nie zostałyby sierotami.

Keramir mrugnął srebrnymi oczyma.

– Twój ojciec władał mocą bez użycia kryształów?

– Nie miał kryształów – szepnął Arion. – To znaczy miał, wuj Gwinto mu je dał, ale wtedy... – Głos chłopca się załamał. Oczy zaszyły łzami.

Lekarz wstał z krzesła i poklepał go po ramieniu.

– Teraz jesteś jednym z dragitów, Arionie. Zdobędziemy jeszcze wiele kryształów. Już niedługo! Wyrwiemy je spod smoczycich szponów, z głębi grot na zboczach boskich wysp! Teraz sam rozumiesz, o co walczy twój wuj. O prawo do magii dla wszystkich. O sprawiedliwość.

17.

Promienie pnącego się po nieboskłonie słońca wpadały przez nieduże okno kajuty. Prześlizgiwały się po młodej jeszcze twarzy o regularnych rysach i muskały ją ciepłem, które w południe przeradza się w skwar. Cienie pod oczyma i bruzda na czole śpiącego mężczyzny były świadectwem świeżych jeszcze, traumatycznych przeżyć. Mimo to mag spał spokojnie.

Tacy jak on nie potrzebują śnić – pomyślała Aliya, spoglądając na niego od progu. *Z pewnością nie nawiedzają go koszmary.*

Zapukała głośno w lekko uchylone drzwi. Ponieważ nie odpowiedział, wśliznęła się do środka.

– Zaklinaczu! – zawołała ściszym głosem.

Obrzeżone gęstymi rzęsami powieki uniosły się i uwolniły srebrny rozbłysk oczu. Aliya cofnęła się lekko, kiedy zbudzony Keramir siadł na pościeli.

– Kapitan cię oczekuje – oznajmiła, lustrując z lekkim napięciem tę zagadkową, chłodną twarz. – Już prawie południe. Przyniosłam ci śniadanie.

Mag przeciągnął się lekko.

– Zawsze przynosi mi je chłopiec. Dlaczego mnie nie obudził?

– Masz na myśli Ariona... Popłynął z czwórką ludzi uzupełnić zapas słodkiej wody. Stoimy na kotwicy u brzegów wyspy. Tylko im Gwinto pozwolił zejść na ląd.

– Więc nie oddaliliśmy się od Archipelagu Szmaragdów? – spytał Keramir, narzucając na grzbiet koszulę. Nawet na noc nie zdjął łańcucha z kryształem i ogniwa odcisnęły się na jego skórze niczym dodatkowa, świeża blizna. Spryskał twarz morską wodą z cynowej miednicy. Poczul jej irytującą, słonawą lepkość.

– Wczoraj ustał wiatr – wyjaśniła Aliya, lekko zdziwiona tym, jak trafnie mężczyzna

ocenił położenie okrętu. – Lawirowaliśmy w stronę brzegu. Kapitan postanowił uzupełnić zapas wody, zanim ruszymy na karawelę.

Keramir skinął głową.

Dziewczyna zamknęła za sobą drzwi.

Mag wyszeptał nad miednicą proste zaklęcie. Woda leciutko zabulgotała, a cała rozpuszczona w niej sól osadziła się na brzegach naczynia mozaiką kryształowych soplek. Keramir zmoczył twarz, sięgnął po mydło, paroma ruchami przesunął brzytwą po brodzie i policzkach. Odrobina próżności, z której nie był w stanie zrezygnować, skłoniła go do przyjrzenia się sobie w zwierciadle. Widok wzbudził w nim niesmak i ból. Jeśli mają na tym okręcie choć trochę przędzy, z pomocą czarów utka sobie nową szatę. Prosty, płócienny strój przypominał mu, jak nisko upadł. Za całą oznakę jego dostojności musiał służyć mu teraz jedynie łańcuch.

Keramir westchnął z rezygnacją. Może to i lepiej, że wśród tych ordynarnych, niewyrefinowanych ludzi, wśród których się znalazł, nie wyróżnia się za bardzo? To, że musiał spełniać rozkazy zwykłego żeglarza, było jednym z największych upokorzeń, jakich kiedykolwiek doświadczył. Przypominało mu, że to wszystko jest częścią jego kary, że ten statek to jego więzienie, pływająca cela, alternatywa dla pobytu na Namirii. Czarodziej lekko zacisnął kształtną dłoń. Jedyńm ciężarem, jaki dotąd zdarzyło jej się dźwigać, były obrączki drogocennych pierścieni. Ta dłoń gładziła ciała pięknych niewolnic i dobierała z wyczuciem składniki alchemicznych mieszanek, lecz nie zdążyła stwardnieć od jakiegokolwiek pracy. Teraz wszystko miało ulec zmianie. Został wszak jednym z członków załogi okrętu wyjętego spod prawa. Taki los pełen codziennego znoju wydawał się lepszy niż wizja życia w podziemiach Wyspy Przeklętych, pod czujnym okiem wiecznie nienasyconych drapieżców... Tyle tylko że tutaj, czy tego chciał, czy nie, Keramir stał się narzędziem w rękach potężnego Lyelyebana. Jedyńego człowieka, który wzbudzał w nim lęk i którego szczerze nienawidził. To była kolejna duchowa tortura, kolejny śmiertelny cios dla jego dumy.

Prędzej czy później przysłuży się Lyelyebanowi, nawet wbrew sobie. Swoją mocą pomoże mu zrealizować jego plan, jakikolwiek on nie był.

Wcisnął na głowę kapelusz i ruszył do kajuty kapitana.

– Usiądź, zaklinaczu. – Głównodowodzący okrętu wskazał mu krzesło.

Keramir dokładnie zamknął za sobą drzwi. Przez krótką chwilę, podczas której zmysły maga, choć nadal stępione, zdołały omieść pomieszczenie, przypatrywali się sobie bez słowa. Niebieskooka, śniada postać mężczyzny była spowita błękitnym dymem z fajki. Po chwili kapitan sięgnął za pazuchę po odrobinę ziele, które skręcił z wprawą na suchym, palmowym liściu.

– Zapalisz?

– Chętnie. – Keramir skinął głową w geście najwyższej uprzejmości.

Doznał przy tym dziwnego uczucia. Nie przywykł do otrzymywania zwykłych rzeczy od innych, tym bardziej takich drobnostek, jak fajkowe ziele. W jego świecie, o którym mimo wszystko nie zdołał zapomnieć, to on był szafarzem bogactw oraz błogosławieństw, posiadał wyłączną moc ofiarowywania. Gdy tylko czegoś pragnął, brał to lub za to płacił. Gdy czegoś potrzebował, zjawiało się niemal samo, podsuwane przez zastęp usłużnych ludzi, śledzących bacznie najlżejsze jego skinienie. Nawet okolicznościowe, drogocenne dary, jakie w ramach kurtuazji przy pewnych okazjach wymieniali między sobą czarodzieje, były częścią społecznego rytuału, świadectwem przynależności do wspólnej kasty, a nie podarkiem w pełnym tego słowa znaczeniu. Brakowało w nich bezinteresowności, toteż mag nie przypominał sobie, czy kiedykolwiek wzbudziły w nim wdzięczność. Teraz, gdy jej doświadczył, poczuł jakies zakłopotanie i wstyd.

Zaciągnął się słodko-gorzkim dymem. Przyjemnie zapiekło go w gardle.

– Jak twoje zdrowie?

– Lepiej.

– Gotowy do zaklinania pogody?

Keramira lekko rozdrażniła protekcyjność tego pytania.

– Jestem magiem. Nie mógłbym nie być gotowy. Magia i ja to jedno – odparł chłodno.

– Cieszę się. To wiele dla nas znaczy. Powiedziano mi, że jesteś naprawdę dobry, zaklinaczu. Mam nadzieję, że nas nie zawiedziesz. Powiem więcej: nie zamierzam do tego dopuścić.

Keramir rozparł się na krześle i założył zgiętą nogę na kolano.

Docenia moją moc...

– Nie ma powodu do obaw, kapitanie – powiedział, patrząc Gwintowi prosto w oczy. Kapitan wytrzymał kryształowy wzrok. – Wiem, co do mnie należy. Wyjaśniłeś mi to ostatnim razem. Jestem do twoich usług. Jestem teraz twoim więźniem, nawet jeśli moja władza sięga dalej, niż możesz to sobie obecnie wyobrazić. Potrafię zaklinać pogodę jak niewielu innych, o czym przekonasz się w każdej chwili.

– Po to cię przywołałem. Żebyś pokazał mi dziś próbkę twojej mocy. Musimy dobrze zrozumieć się w tej kwestii. Chcę, byś w razie potrzeby, zwłaszcza w czasie walki, bezzwłocznie wypełniał moje rozkazy.

– Bądź spokojny, kapitanie. Znam się na żeglowaniu. W czasie walki będę czytał w twoich myślach.

Gwinto westchnął z lekką irytacją. Nie wiedział, jak dosłownie traktować te słowa.

– Zatem, zaklinaczu, zaraz pokażesz mi, co potrafisz.

– Ale nie tylko w tym celu chciałeś mnie widzieć, prawda? – W cichym głosie Keramira nie było śladu niepewności. – Za tym wstępem kryje się coś jeszcze...

Gwinto wstał i wypuścił ustami kształtne kółko dymu. Pożegłowało w powietrzu, stopniowo rosnąc i blednąc, aż rozpląnęło się nieopodal biblioteczki strzeżonej przez białe, rekinie kości. Kapitan przechadzał się pod oknami, za stołem nawigacyjnym.

– Chciałem spytać o mojego siostrzeńca, Ariona. Poznałeś go, już spędziłeś z nim nawet trochę czasu. Zadam ci tylko jedno pytanie. Chcę uzyskać na nie prawdziwą

odpowiedź. Tylko ty możesz mi jej udzielić. – Gwinto wyciągnął z ust inkrustowany kością kraniec fajki. – Czy Arion posiada magiczny talent?

Keramir spróbował uśmiechnąć się ze zrozumieniem, lecz chłód i smutek nie zniknęły z jego twarzy. Spodziewał się, że ten człowiek go o to zapyta, jeszcze zanim przekroczył próg.

– Słyszałem o jego ojcu – odparł mag wymijająco, dostrzegając, jak rysy kapitana tężeją.

Gerik wbił w niego przenikliwe spojrzenie.

– Doprawdy? Więc ci się zwierzał? – mruknął z jednoczesnym zawodem i gniewem. Pod tym wszystkim czaił się ból, coś podobnego do zazdrości.

– Powiedział mi, że jego ojciec potrafił władać magią. Podobno moc słuchała go nawet bez użycia kryształów.

– Co o tym sądzisz?

– Chłopak ma bujną fantazję. – Czarodziej lekko wzruszył ramionami. – Któż z nas w dzieciństwie nie był skłonny wierzyć, że jego ojciec jest nieomal bogiem? Który syn nie przypisuje dobremu ojcu mądrości i siły, które zdają się niemal magiczne? To rodzice pierwsi pokazują nam świat, gdy wydaje się on jeszcze pełen cudów...

– Czyżbyś nie wierzył w cuda, zaklinaczu? – Gwinto przypatrywał mu się z ukosa, poprzez mgiełkę błękitnego dymu. – Ty, który władasz magią, który posługujesz się mocą płynącą z kryształów?

– Są rzeczy, które umykają ludzkim umysłom. Lecz nawet one mają swoją przyczynę.

Gerik pokiwał głową.

– A mój siostrzeniec? Nie wyczuwasz w nim niczego, co umknęłoby zwyczajnym śmiertelnikom?

Keramir zmrużył srebrne, przenikliwe oczy.

– Czy jest coś, kapitanie, co skłania cię do takich przypuszczeń oprócz faktu, że ten

chłopiec jest twoim siostrzeńcem? Że miłujesz go i dlatego bardzo pragniesz, by został w przyszłości kimś więcej niż ty sam? Że życzyłbyś sobie dla niego *czegoś więcej?*

Gwinto cicho przełknął ślinę. Powiadają, że przed magiem nic nie da się ukryć.

– Siedemnaście dni temu Arion został ranny – powiedział, zapatrzony w płótno mapy na ścianie, rozpięte starannie na małych gwoździkach. Przemawiał niejako wbrew sobie, lecz nie mógł tego powstrzymać. Pomyślał, że jeśli przestanie, słowa uwięzną mu w gardle. – To była rana od myśliwskiego noża. W dodatku nie zauważyliśmy jej od razu. Zadał ją człowiek pracujący dla królewskiej inkwizycji, któremu własnoręcznie poderżnąłem gardło – westchnął. – Rana początkowo wyglądała poważnie, lecz nazajutrz zmaląła. Medyk nie mógł się temu nadziwić. Po kilku dniach okazało się, że chłopak jest całkiem zdrow. Pozostała tylko dziwna blizna. Ja sam widziałem to zranienie. Lękaliśmy się o jego życie. I wszystko zniknęło.

– Młody organizm regeneruje się szybciej niż dorosły – zauważył Keramir.

– Ale nie tak! Nie tak, nie pojmujesz?! – warknął z naciskiem Gerk, odwracając się raptownie w jego stronę.

Keramir skinął głową.

– Mogę ci obiecać, kapitanie, że będę bacznie obserwował twojego siostrzeńca. Gdybym wyczuł w nim cokolwiek, jakąkolwiek energię, najśłabszy odblask Iskry, niezwłocznie dam ci znać.

Gwinto westchnął głęboko.

– Będę ci za to wdzięczny – odparł spokojniejszym tonem. – Ale nie zrozum mnie źle. Nie życzę sobie, żebyś się z nim spoufalał. Wiem tylko, że musisz służyć nam jako zaklinacz, i będę cenił cię w tej ważnej roli. Pod żadnym innym względem ci nie ufam. To przez takich jak ty, srebrzystookich, ponieśli śmierć nasi bliscy. Nie chcę, byś wywierał najmniejszy nawet wpływ na tego chłopca. Trzymaj się z dala od Ariona, rozumiesz? Inaczej drogo mi za to zapłacisz.

Przez krótką chwilę mag i kapitan patrzyli sobie w oczy.

– To uczciwe postawienie sprawy.

Gwinto zgasił i odłożył fajkę.

– Nie rzucam słów na wiatr, zaklinaczu. Mogłeś ocalić od wykrwawienia się mojego zdrajcę, Warrasa, lecz z samym sobą nie poszłoby ci równie łatwo. Dopilnowałbym tego. A teraz chodźmy. Pokaż mi, jak zaklinasz pogodę.

Gdy wyszli na zewnątrz i wspięli się na wyzkę rufową, załoganci zaczęli spoglądać w ich stronę. Na górnym pokładzie czyszczono, ostrzono i sprawdzano broń, w tym balisty rozmieszczone w wykuszach wzdłuż burt. W słońcu pod zwiniętymi żaglami jarzyły się łuskowate brygantyny, groty strzał, pikowane kaftany i okrągłe, mocne, wysklepione puklerze z aratrańskiej stali. Na wodę spuszczano łódź, w której zasiedli harpunnicy skłonni popróbować szczęścia.

Keramir stał nieruchomo i patrzył na morze oraz sznur wysepek, które intensywnie zieleniły się po lewej burcie. Nawet najłżejszy podmuch nie poruszał rozgrzany powietrzem.

Czarodziej poczuł, jak ogarnia go wewnętrzne napięcie. Gwałtowny ucisk w górze brzucha, rozchodzący się do wszystkich nerwów. Przewidział, że tak będzie. Po tym jak poddano go torturze czterech żywiołów, musiał się przełamać, by na nowo korzystać z mocy wiatru, wody, ognia. To nie to samo co wytrącenie soli z pełnej miednicy!

Odetchnął głęboko, intonując w myślach medytacyjną formułę. Nagle urwał. A raczej to jego myśli się urwały. Zamrugał, zmrożony nagłą pewnością, że po prostu nie pamięta ciągu dalszego. W głowie miał pustkę. Nie mógł przypomnieć sobie żadnego zaklęcia! Poczul się jak szalenciec tarzający się w pyłe. Słowa, które powinny przywoływać moc, nagle okazały się puste, pozbawione sensu. W jego umyśle ziały grozą niby oczodoły zbielełych czaszek, martwe wydmuszki potężnych niegdyś czarów...

Zacisnął dłonie. Poczul, że są śliskie od potu. W sytuacji, w której się znajdował,

jedyną szansą było zagłębienie się w siebie, w kłębowiska zbudzonych przez Lyelyebana demonów. Odnalezienie wewnętrznego światła, nowej drogi do własnej, uśpionej mocy.

Tylko jak?! Jak to zrobić?! Jak zmusić do posłuszeństwa chmury, wodę i wiatr?! Keramir zacisnął dłoń na świetlnym kryształu.

Przeraził się, że już nie potrafi zaklinać pogody.

*

Arion uparcie zataczał wiosłami równe pętle. Kosztowało go sporo wysiłku, żeby tempo i siła jego pociągnięć nie odstawały od pozostałych załogantów. Łódź posuwała się w stronę niedużej wyspy miarowymi skokami, niczym żyjący w płytkich stawach nartnik, który porusza się po powierzchni seriami ślizgów. Posiadała wprawdzie pojedynczy maszt i prosty rumpel, lecz w bezwietrznym skwarze nie zdały się one na nic. Za cały napęd służyła siła ludzkich mięśni. Zielone, zalesione wzgórza rozcięte cieniem wąwozu przybliżały się, obiecując kojącą ochłodę. U ich postawy rysowały się złoto łachy piachu o długich grzbietach porośniętych wydmową trawą.

Kapitan wysłał ich na ten skrawek lądu, żeby uzupełnili zapas świeżej, słodkiej wody. W ostatnich dniach jej zasoby kurczyły się szybko. Bezcenna ciecz w beczkach przy dziobówce nabierała już posmaku smoły i mulistego szlamu. Lada chwila zacznie się zielenić. Musieli zaopatrzyć się w wodę przed starciem z królewską karawelą – również na wypadek gdyby trzeba było długo umykać przed pościgiem. Arion traktował tę krótką podróż na ląd jak odskocznię, przelotną możliwość oderwania się od pokładu Krogulca i chmurnych spraw, które zatruwały myśli.

W mocnym słońcu lazurowa woda wokół wyspy była doskonale przejrzysta. Widział ławice różnobarwnych rybek przepływające wokół łodzi, a także dno błyskające z głębi grzbietami białych, gładkich kamyków. Kiedy byli już dość blisko brzegu, powodowany impulsem odłożył wiosła i zrzuciwszy buty oraz koszulę, skoczył z

dziobu w łagodne fale. Gdy nurkował, odnosił wrażenie, że lata – podobnie jak ryby szybuje w krystalicznej, ciepłej toni. Wynurzył się z drugiej strony łodzi, przepłynąwszy pod jej dnem zręcznie jak wydra. Potrząsnął głową i ramionami niczym mokry pies, rozpryskując migocące krople.

Kotwica wybuchnęła głębokim, dudniącym śmiechem, zawtórowała mu cała czwórka. Ani się obejrzeni, gdy Parte skoczył w wodę obok Ariona. Wiele nie myśląc, Tiko, Salek i kucharz odłożyli wiosła i dołączyli do nich, pospiesznie zrzucając ubrania. Nago wskoczyli do morza. Wszyscy śmiali się jak mali chłopcy i pryskali wodą, rozchlapując ją wokoło niczym kaczki. Tym razem Arion nie dziwił się owemu wybuchowi szczenięcej radości. Nadal był pod wrażeniem, z jaką łatwością piraci przechodzili od surowej, prawie żołnierskiej dyscypliny do pijackiego rozpasania, od okrucieństwa do wiernej przyjaźni, od przesądów i obaw do żartów i śmiechów. Dla tych ludzi istniało tylko tu i teraz. W każdym momencie żyli bieżącą chwilą. Zaledwie wczoraj przeciągnęli pod kilem swego niedawnego towarzysza. Obecnie zaś ciepłe, szemrzące fale, zieleń wysepki i słoneczny blask niosły cudowne orzeźwienie. Arion miał wrażenie, że kąpiel obmywa ich z wszelkich trosk i że ich spontaniczny, oczyszczający śmiech ma swoje źródło w samym sercu oceanu.

Płynąc razem, doholowali łódź do brzegu. Wciągnęli ją po złotym piasku za grzbiet wydmy i z powrotem włożyli ubrania. Narzucili na ramiona wielkie, skórzane bukłaki z pasami, dzięki którym można było nieść je jak plecak.

– W głębi wąwozu jest wodospad. To stamtąd zaczerpniemy wody – wyjaśnił Tiko Arionowi.

– Na wyspie nie ma żadnych mieszkańców?

– Ani na tej, ani na innych wyspach z tego archipelagu. Są na to za małe i zbyt nieurodzajne, poza tym leżą z dala od popularnych szlaków. Zresztą, wielu wierzy w ich złą sławę. Podobno to tutaj zatrzymała się w czasie ucieczki przed zemstą bogów uprowadzona sprzed ich oblicza Althirra.

Ruszyli do wylotu wąskiej, spadzistej doliny. Kiedy zagłębili się w cień drzew pachnących balsamiczną żywicą, w niebo poderwały się z krzykiem chmary ptactwa. Szli gęsiego dnem wąwozu pełnym sporych kamieni, między którymi wiły się płytkie strużki wody. Im dalej, tym ściany po obu stronach stawały się bardziej strome. Pokryte były drobnymi żyłkami porostów i mchów, z których wilgoć sączyła się w dół w postaci maleńkich kropelek.

Szybko zapomnieli o panującym na zewnątrz upale. Arion poczuł, że znajdują się na skrawku świata przesiąkniętym jakąś pierwotną, nieznaną mu dotąd atmosferą stojącego w miejscu czasu, niczym potężnym, drzemiącym w skałach czarem. To była siła tak stara jak sam ocean. Nawoływania ptaków, pnąca kulące płatki za drobnym dotknięciem, olbrzymie ważki zawisające nieruchomo w smugach rozproszonego światła, świecące oczy przemykających zwierząt – to wszystko przypominało im nieustannie, że na tej wyspie ludzie byli tylko gośćmi.

W miarę jak wąwóz pokrywał coraz mocniejszy, zielony cień, również myśli wędrowców stawały się bardziej mroczne. Kotwica powrócił do sprawy wydarzeń, które zostawili za sobą na statku.

– Naprawdę sądzicie, że to Warras ukatrupił Piskorza? – mruknął niechętnie. – Straszna szkoda... Wstyd się przyznać, ale lubiłem tego skurczybyka.

– Dowody były oczywiste – odparł Tiko z właściwą sobie powściągliwością.

– Sam byłem przy tym, jak w gospodzie na Namirii Warras gadał, że zabije Gerka – warknął Salek. – Gwinto mógł kazać przeciągnąć go od dziobu do rufy. Wtedy Warras by się nie wywinął. Na mój gust kapitan obszedł się z nim zbyt łagodnie.

– Zrobił to, co należało – odparł Tiko.

– Owszem. Tylko nie o to mi chodzi. Wiem, że Warras wzdychał do Aliyi, ale co do tego miałby Piskorz? – zastanawiał się Kotwica.

– Może dowiedział się o jego planach. Może chciał powiedzieć o wszystkim Gwintowi? – rzekł cicho Parte.

– Zawsze uważałem, że kobieta na statku to nieszczęście – oświadczył Salek. – Bez urazy dla Aliyi, oczywiście. Ale sami widzicie, jaki jest tego finał. Warras chciał ukatrupić kapitana z powodu ślicznotki, a przecież ona...

– Wydaje mi się, że to Warras jest zdrajcą, a ty próbujesz zrzucić winę za to, co on zrobił, na Aliyę – wtrącił Tiko powolnym, stanowczym głosem.

Salek burknął coś pod nosem i zamilkł.

– Aliyi też musi być chyba ciężko z tą świadomością, co nie? Jak myślicie, chłopaki? – Kucharz znowu wypowiadał myśli na głos. – Ostatnio chodzi taka zamyślona. Ale w jednym Warras miał chyba rację...

– W czym? – spytali chórem Parte i Salek.

– No, wiecie... Tylko niech to zostanie między nami, dobra? Zawsze mi się wydawało, że ona naprawdę czuje coś do kapitana.

Odpowiedziała mu fala zagłuszających się wzajemnie zaprzeczeń, protestów, okrzyków niedowierzania, pieprznych żarcików oraz potakiwań. Aż dziw, że pięciu ludzi mogło uczynić taki hałas i wypowiedzieć w jednym czasie tak wiele różnych opinii.

– Sądysz, że Aliya jest zakochana w moim wuju? – spytał Arion cicho, z głębokim zdumieniem.

– Owszem, chłopcze. No bo niby czemu nie? Gerk jest kapitanem, już choćby z tego powodu powinna na niego lecieć. Takie są kobiety! Podobają im się goście na stanowiskach – roześmiał się basowo Kotwica, aż echo odbiło się od skalnych ścian.

Arion przełknął ślinę. Czemu tak go to dziwi? Czyżby był zły, że Gwidon Gerk może wzbudzać czyjąś miłość? Czy to naprawdę aż tak niedorzeczne? Gerk nie jest przecież zwykłym szubrawcem, zwyczajnym bandytą. On wierzy w to, co robi. Uważa to za sprawiedliwość. Matka kochała wuja... Był jej jedynym bratem. Kochała go. A ojciec uważał go za najlepszego przyjaciela.

Chłopcu zdało się, że z głębi mrocznego wąwozu dobiega go dalekie, basowe echo

głosu: *Nigdy nie miałem takiego przyjaciela jak Gwinto...*

Wzdrygnął się.

– Słyszycie szum wodospadu? Wreszcie jesteśmy – oznajmił Tiko.

Za załomem ukazały się spienione smugi wody, spadające ze skał cienkimi kaskadami. W powietrze przeniknięte wodną mgiełką wzbiły się dwa wielkie, brodzące ptaki o grubych dziobach i pomarańczowych piórach. Mężczyźni napełniali garście srebrzystą ciecżą. Zanurzali w spadający strumień głowy i pili łąpczywie. Arion pomyślał, że nigdy nie zapomni tego smaku, krystalicznego chłodu rozplywającego się na języku. Kolejno napełniali wodą olbrzymie bukłaki. Niebawem uginali się pod ich ciężarem, gdy ruszyli w powrotną drogę na łódź.

Arion i Parte szli w pewnym oddaleniu od pozostałych, zamykając szereg. Wymieniali uwagi na temat walki mieczem i powolnych postępów Ariona.

– Chciałem spytać cię o bogów. To znaczy, o smoki – rzekł cicho chłopak do swego towarzysza. – Jak znosisz to, że oni... naprawdę je zabijają? No wiesz... Nigdy nie myślałeś, że może Przedwieczni naprawdę są bogami?

– Na wyspie, gdzie się urodziłem, ludzie nie czczą smoków.

Arion przypomniał sobie, co mówił mu Egrit.

– Więc to prawda, że tam, skąd pochodzisz, za bogów uważa się białe wieloryby?

Parte roześmiał się.

– To nie tak. Na Ramtesies od wieków czcimy sam ocean. Dlatego, że odbija się w nim cały Wszechświat. Biały wieloryb to tylko symbol nieskończonej jedności, którą uosabia dla nas morze. W noc letniego przesilenia wrzucamy do wody kwiaty i śpiewamy pieśni, których naszych przodków nauczyły wieloryby. Uważamy, że wszystko, co istnieje, jest jak ocean, a każda żywa istota tak naprawdę jest falą. Ja w to wierzę.

– Każda istota jest falą? – powtórzył Arion, lekko marszcząc brwi. Nigdy nie słyszał nic równie dziwnego.

– Trudno to wytłumaczyć. – Parte parsknął cichym, stłumionym śmiechem.

Nagle spoważniał.

– Rozumiem to tylko wtedy, kiedy patrzę na morze. Matka mówiła mi: Wszechświat to morze, a wszelkie życie przepływa i znika jak fala. Rozpływa się w większej całości, z której powstało. Jak fala, która odradza się na nowo. Widzimy tylko powierzchnię. Nie dostrzegamy głębi oceanu. Mędracy chcą dotrzeć do głębi, lecz żywi nie ujrzą nigdy dna odwiecznych mórz.

Zapadło milczenie. Ciszę przerwał przyzywający głos Kotwicy.

– Parte, Arionie, pospieszcie się! Musicie to zobaczyć!

Obaj przyspieszyli kroku ku wylotowi wąwozu. Mimo dokuczliwego ciężaru na plecach ostatnie kilkadziesiąt metrów pokonali biegiem.

Wypadli na słoneczną plażę lekko zziębnięci, z twarzami błyszczącymi od potu.

– O co chodzi? – wydyszał Parte, spoglądając niespokojnie na kompanów. Stali z dziwnymi minami na grzbiecie wydmy porośniętej kępami trawy. Salek klepnął chłopaka w ramię i wskazał ręką w kierunku zakotwiczonego szkunera. Arion odruchowo spojrzął w tamtą stronę.

Nad rufą okrętu zobaczył niezwykle zjawisko. Napływające nie wiadomo skąd obłoki kłębiły się, wirowały, zmieniały kształty. Tworzyły płóciasty lej, którego spiczasty, pełzający kraniec wyrastał z jednego świetlistego punktu na statku. Z kryształu maga.

Z wysoka zbiegały w dół pierzaste cirrusy. Skrzące się od błyskawic, ciemne chmury burzowe spadały w łagodne fale w postaci gęstej mgły. Białe kłęby formowały się w biegnące rumaki o grzywach, które daleko rozwiewał wiatr. Pod ich kopytami tęczę wyrastały z powierzchni morza jak wielkie łuki o napiętych cięciwach. Grzmiący wichur spierał wysoko fale przed rufą, nie pozwalając im nawet dotknąć burt. Na niebie zaś przez cały ten czas spokojnie świeciło słońce, błyszczące jak bezcenna, złota moneta. Mimo jego blasku można było dostrzec światełko kryształu na szyi Keramira.

Salek z głośnym cmoknięciem ucałował jeden ze swych talizmanów.

– Ten czarodziej jest prawdziwym mistrzem, Arionie! – wykrzyknął zachwycony Kotwica. – Popatrz tylko, jak on zaklina pogodę!

Tiko spoważniał, nie odrywając wzroku od zdumiewającego pokazu.

– To kapitan chciał ocenić jego umiejętności. Mag sprawdził się, więc nie ma na co czekać. Jestem pewien, że ruszamy na karawelę!

*

Noc spadła na morze jak fioletowy całun, wyszywany ostatnimi nićmi blasku. Tego wieczora na statku nie było śpiewów ani muzyki. Tylko Parte pobrzękiwał przez chwilę na małej lutni, lecz melodia urywała się raz po raz, by w końcu umilknąć. Po zapadnięciu zmroku pokład szybko opustoszał – zostali tylko ci, którzy trzymali wachtę. Szkuner parł w ciemność, pchany nieustannym, magicznym podmuchem, który wydymał posępne, smocze żagle. Ogniki lamp przy masztach kołysały się lekko.

Gwinto Gerk schował za pazuchę kryształ nawigacyjny. Mimo że zakończył codzienne skrzętne pomiary z pomocą kryształu oraz astrolabium, nie zamierzał udać się na spoczynek. Stał na mostku i wpatrywał się w niebo usiane setkami gwiazd. Łowił oczyma pozycję jaśniejszych ciał niebieskich, które od lat służyły mu jako drogowskazy. Robił to już któryś raz z rzędu, jakby w międzyczasie okręt mógł samoistnie zmienić kurs.

Kapitan westchnął. Jego oddech poszybował w nocne niebo.

Był pod wrażeniem umiejętności nowego zaklinacza pogody, ale nie potrafił mu zaufać. Chyba zdążył się już odzwyczaić od magii na statku. Tevan, poprzedni zaklinacz, nie był czarodziejem. Obecnie zaś myśl, że okręt przez noc będzie pozostawał pod wpływem czaru prawdziwego maga, wzbudzała w duszy Gwinta instynktowny sprzeciw. Oddawał część władzy, a więc los ich wszystkich, w ręce własnego więźnia. Człowieka o srebrnych oczach, noszącego łańcuch z aratrańskiej

stali, o którym nie wiedzieli prawie nic. Gerk czuł, że nie zmruży oka aż do świtu. I to nie tylko z tego powodu.

Wciąż rozmyślał z odrazą o zdradzie Warrasa. Widział, jak mimo jego starań ta sprawa źle wpływa na morale załogi. Wcześniej miał nadzieję, że wytropienie i przeciągnięcie zdrajcy pod kilem oczyści atmosferę na statku, duszną od próżnych dociekań. Tak się jednak nie stało. Co więcej, niektórzy zaczęli powątpiewać w winę oskarżonego. Czy aby na pewno on jest tym, kogo szukali? Po co miałby zabijać Piskorza? Czy Warras nie stał się tylko kozłem ofiarnym, poświęconym, by przywrócić w załodze spokój? Chociaż dowody wskazywały na niego jednoznacznie, kłując w oczy oczywistość jego winy zdawała się skrzyć równie kusząco jak złoto głupców. Błyszczący piryt, który w portach południa oferują przyjezdnym oszukańczy handlarze w przenośnych kramikach.

Oczy kapitana biegły od gwiazdy do gwiazdy, kreśląc niewidzialne linie konstelacji. Wędrując wolno, padły na bocianie gniazdo, na którym w mroku dostrzegły ledwie widoczny cień kobiety.

Gwinto zszedł z mostku. U podstawy masztu zawahał się na ułamek chwili. Sprawnie wspiał się po drabince z lin rozpiętych między wantami.

– Mogę?

– Tak, kapitanie.

Wskoczył do bocianiego gniazda i zajął miejsce obok dziewczyny. Widział jej twarz w świetle gwiazd i księżyca. Ich drobne iskierki odbijały się w jej oczach. Patrzyła gdzieś w nieodgadnioną, czarną dal. Pomyślał, że przypomina teraz syrenę albo ondynkę, zaczarowaną nimfę, która zniknie, przemieniona w morską pianę, kiedy padnie na nią światło dnia. Chciał wyjąć zza pazuchy świetlny kryształ, ale po namyśle cofnął dłoń.

– Mam nadzieję, że nie zamartwiasz się Warrasem – powiedział cicho. – Chodzi mi o to, żebyś nie czuła się winna z powodu tego drania. To, co Warras o tobie mówił, nie

ma żadnego znaczenia. Tak jak powiedziałaś, jesteś jedną z nas. To nic, że jesteś kobietą – zapewnił.

Aliya nie odpowiedziała.

W magicznym podmuchu pobrzękiwał jej długi, biały kolczyk. Muszelki uderzały o siebie niczym rój maleńkich dzwoneczków, wydając szklisty, klekocący odgłos.

– Zawsze zastanawiałem się, czy nie przeszkadza ci ten kolczyk. – odezwał się Gerk.
– Dlaczego gonosisz?

Poczuł, że w ciemności dziewczyna uśmiecha się lekko, ale nie mógł być tego pewien.

– Dzięki niemu zawsze słyszę, z której strony wieje wiatr – szepnęła.

Po twarzy Gerka również przebiegł skurcz uśmiechu. Odetchnął głębiej, zatapiając wzrok w gwiaździstym niebie.

– Kiedy byłem chłopcem, ten dźwięk nieustannie rozbrzmiewał w mojej głowie – mruknął. – Szmer wiatru, szum fal... To było jak moja własna muzyka. Wszystko, czego chciałem, to wyrwać się z Delt, z rybackiego światka otoczonego murem z bagien i lotnych piasków... Ruszyć na morze.

Skinęła głową.

– Mój ojciec mówił na to „zew wiatru”. Czujesz, że jeśli nie ruszysz z miejsca, zginiesz. Ten sam zew gna przed siebie migrujące ptaki i dzikie zwierzęta. Nie ma pewności ani bezpieczeństwa. Gdy utkniesz gdzieś za długo, dopadnie cię śmierć.

Gwinto z uwagą spojrzał na profil jej twarzy, oświetlony słabą luną nieba.

– Widzę, że oboje czuliśmy to samo.

– Chyba tak, kapitanie – odpowiedziała ze szklistym wzrokiem utkwionym wśród gwiazd.

– Ja i Ravael...

– Ojciec Ariona?

– Tak. Mieliśmy tyle planów... – urwał i potrząsnął głową. – Wszystko trafił szlag.

– Zaopiekowałaś się jego synem. Sądzę, że twój przyjaciel by tego chciał.

– Mylisz się. Mój dawny przyjaciel się mną brzydził. Chciałby, by jego syn został lekarzem, nie piratem. W dodatku zabójcą bogów... Każdego dnia umyślnie bezczeszczę wolę zmarłego. Nic dziwnego, że chłopak mnie nienawidzi. Nie mogę dać mu niczego, tylko zemstę.

Aliya zwróciła ku niemu śliczną twarz, odrealnioną przez gwiazdzistą poświatę.

– Dasz mu zemstę, o jakiej nie zapomni, kapitanie. Już niedługo będziesz mógł rzucić mu do stóp córkę króla. Ale zmarli opuścili nas i życie toczy się nadal. Nieważne, czego chciał ojciec chłopca. Teraz liczy się tylko to, czego chce Arion.

– Co przez to rozumiesz?

W ciemności Aliya dotknęła jego ramienia.

– Porozmawiaj z nim – rzekła poważnie. – Pogódźcie się. Wybór powinien należeć do niego. Może chłopak kocha morze bardziej, niż ci się wydaje? Ty i on nie możecie być od siebie aż tak różni. – Cofnęła rękę. – W końcu czy tego chcecie, czy nie, jesteście rodziną.

18.

Myśl o tym, co powiedziała mu Aliya, nie opuszczała Gwinto przez parę następnych dni. Czary zaklinacza pogody, które przeklinał nocą, po wschodzie słońca sprawiły, że nie musiał już skupiać się na ocenie wiatrów i na prowadzeniu okrętu. Miał czas na dziwne, mroczne rozważania, które jak ćmy opadły jego duszę. Wieczorem postanowił przywołać do siebie Ariona.

Za oknami kapitańskiej kajuty na rufie gasnące słońce kładło się krwawo na wodę, która przypominała barwą słabe wino. Kiedy Arion stanął w drzwiach, Gerk, który wcześniej wychylił duszkiem kielich trunku, lekko zmrużył oczy. W naprzemiennych smugach czerwonego światła i cienia chłopak straszliwie przypominał swojego ojca z dzieciństwa. Gwinto pomyślał z ulgą i z pewną radością, że pobyt na okręcie bez wątpienia mu służył. Arion nieco schudł, lecz również wyrósł. Twarz mu się zaostrzyła, a jego ciało stało się bardziej umięśnione. Skóra pięknie ściemniała mu od słońca i w tej chwili zdawała się niemal bursztynowa. Mocno kontrastowała z intensywnym błękitem marzycielskich oczu, tak wyraźnie odziedziczonych po Ilenie.

Gwinto poruszył powiekami, pod które zakradały się zdradzieckie łzy.

– Usiądź – rzekł do siostrzeńca, wskazując mu krzesło. Chłopak wykonał jego polecenie.

Gerk nie wiedział, od czego zacząć.

– Jak podoba ci się życie na tym statku? – wypalił, krzywiąc się na myśl, jak sztucznie zabrzmiało owo pytanie.

Arion nie odpowiedział od razu.

– Polubiłem je – stwierdził ostrożnie.

Gwinto skinął głową ku biblioteczce z piętrzącym się za szybką księgozbiorem.

– A jak idzie lektura *Opisania wysp i morza*? Mogę przepytac cię z treści ostatniego rozdziału?

– Oczywiście.

Gerke nie musiałby nawet zadawać pytań. Arion sam z wielką chęcią opowiedziałby komuś, o czym czyta. Miał ochotę się tym podzielić. Oprawiony w skórę morskiego węża almanach okazał się najbardziej fascynującym dziełem, jakie tylko mógł sobie wyobrazić.

– Bez obaw. – Gerke uśmiechnął się kącikiem ust. – Dzisiaj nie mam zamiaru sprawdzać twojej wiedzy. A tak poza tym... – Chrząknął. – Kucharz i medyk są zadowoleni z twojej pomocy. Tiko mówi, że w walce na miecze robisz znaczne postępy. Ja też to zauważyłem.

Chłopak widocznie ucieszył się z tej pochwały. Jego twarz rozjaśniła się lekko.

– Dobrze wiem, że przede mną jeszcze mnóstwo nauki – mruknął skromnie. – Ale staram się najlepiej, jak potrafię. Jeśli oczekujesz ode mnie czegoś jeszcze, powiedz. Postanowiłem sobie, że zrobię wszystko, żeby tylko dopaść ludzi króla!

Kiedy mówił, Gerke napełnił dwa kielichy cienkim winem. Podsunął jeden z nich Arionowi.

– Dopadniemy ich, chłopcze! Masz moje słowo! – Kapitan trącił stojący kielich brzegiem własnego naczynia i w kilku głębokich haustach wychylił do dna. Ujrzał, że Arion nie sięgnął po swoje wino.

– Matka zabraniała mi pić – oznajmił chłopak cicho, spuszczać wzrok. Gerke pospiesznie zakrył i zabrał jego puchar, jakby ów parzył.

– Miała rację – mruknął. Szybko wlał w siebie cierpkawą ciecz i otarł usta wierzchem dłoni. Opadł na krzesło.

– Kto wie, może już jutro będziesz mógł ją pomścić, Arionie. Z planów rejsu wynika, że doganiamy karawelę. Nie będę miał litości dla ludzi króla. Tak jak on rękami oprawców wydarł nam naszych bliskich, tak my odbierzemy mu coś, co kocha

najbardziej na świecie. Jego jedyną córkę. Księżniczkę poświęconą bogom! Pomyśl tylko! Zachwiejemy wiarą w całym królestwie. Jedyna córka potężnego władcy! Żyjąca bogini! Mogłaby służyć jako przynęta na smoki, bo podobno bogowie mają po nią przybyć. Tak sądzą ludzie. Nie wiem, czy księżniczka jest piękna, ale to sam ocenisz. Wymyśliłem sobie, że mógłbym cię z nią ożenić. Co ty na to?

Arion zerknął na niego z niedowierzaniem, a Gwinto wybuchnął śmiechem.

– Nie obawiaj się mnie, chłopcze! Nie jestem zupełnie szalony, chociaż tak o mnie myślała twoja matka! Chciałem ci tylko powiedzieć, że cieszę się, że jesteś na tym statku. I że zrobię, co zechcesz, żebyś zakosztował zemsty, jakiej dotąd nie znałeś.

Pierwszy raz Arion spojrzał z wdzięcznością w oczy wuja.

– Chcę walczyć albo zginąć! – wyszeptał żarliwie. – Chcę wziąć udział w abordażu karaweli!

Gwinto potrząsnął głową.

– Jeszcze nie tym razem. Walczysz za słabo, żeby brać udział w abordażu. Nie mogę ryzykować twojego życia. Jeszcze nie teraz. Twoja matka by tego nie chciała.

Arion z nagłym wzburzeniem przytrzymał w płucach wielki haust powietrza. Zamrugnął oczyma.

– Moja matka nie żyje! – zachrypiał – A ty obiecałeś mi zemstę! Jak mam jej dopełnić, jeśli każesz mi zostać na czas bitwy na tym pokładzie?!

– Nie pijesz wina, bo matka ci zabraniała, ale nie wahasz się, gdy może płynąć twoja krew? – mruknął Gwinto z lekką irytacją. – Słuchasz rad matki, lecz nie rozkazu własnego kapitana? Zdecyduj się, Arionie! Nie jesteś już chłopcem. Do stu diabłów, przestałeś nim być tamtej przeklętej nocy. Musisz wybrać, czy jesteś z nami, czy nie!

Arion nie potrafiłby dokonać takiego wyboru. Wściekłość i smutek rozdzierały mu gardło. Sięgnął po wino i nalał sobie pełen kielich. Wypił go duszkiem.

– Czy teraz mogę przelać krew? – zapytał ze złością, wytarłszy usta. – Zemścić się na zabójcach rodziców?

Jest podobny do mnie – pomyślał Gwinto. W jego wieku postąpiłbym tak samo. Do stu diabłów, ten dzieciak to demon!

– Uważaj! Gdybyś nie był moim siostrzeńcem, mógłbym kazać cię kiedyś wychłostać za bezczelność!

– Ale nie zrobisz tego, wuju, prawda?

– Nie. – Gerk zmrużył oczy. – Podobnie jak nie pozwolę, żeby choć włos spadł ci z głowy w czasie bitwy. Jesteś dla mnie zbyt cenny...

– Zbyt cenny?! Z jakiej przyczyny?! Jest jakiś powód, dla którego chcesz złamać obietnicę?!

Gwinto zawahał się. Nigdy nie potrafił mówić o uczuciach. Sapnął ze złością. Aliya nie miała racji. On i ten dzieciak byli sobie całkiem obcy. Co miał mu powiedzieć, na ogon demona? Że są rodziną? Co to zmienia?!

Wstał i zapatrzył się na morze, ciemniejące szybko za oknami rufówki, z rudą jak krew smugą kilwaternu. Nie wiadomo skąd wydobył monetę, której złoty krążek błysnął i zgasł prędko w jego szerokich, zwinnych dłoniach.

Chłopak był uparty. I bardzo dumny. Idąc na udry, nic nie wskóra. Ale gdyby tak połechtać jego dumę?

– Miałem ci nie mówić. – Gerk wzruszył ramionami. Stał, patrząc na morze, lekko zasępiiony. – Ten zaklinacz, Keramir... Rzekł mi, że najprawdopodobniej masz w sobie dar odziedziczony po ojcu.

Serce Ariona zabiło mocniej na te słowa.

– Nie chciałem wbijać cię w dumę, ale teraz już wiesz. Możliwe, że posiadasz magiczny talent. Taki sam, jaki miał Ravael. Nie zmarnuj tego, ginąc w pierwszej walce. Tuż za rogiem może czekać cię wiele kolejnych. W czasie bitwy zostań w bezpiecznym miejscu. Trzymaj się blisko czarodzieja, chłopcze, a wówczas...

– ... może z czasem nauczę się tego, co on?

– Właśnie.

Arion pospiesznie rozważał tę sytuację w myślach. Wiadomość o magicznym darze była czymś niezwykłym, a jednocześnie zaspokajającym jego niejasne dotąd ambicje i marzenia. Niby się tego nie spodziewał, a jednak przecież o czymś takim śnił. On, chłopiec okrętowy, pomocnik kucharza, poczuł się nagle wywyższony spośród wszystkich.

Nie zamierzał wdawać się teraz w kłótnie z Gwintem. Dobrze zrozumiał, że w tej sytuacji nic nie wskóra. Rozbroiła go ta nieoczekiwana wiadomość, sparaliżowała jego wolę. Musiał pomyśleć.

– Dobrze, wuju – rzekł zmienionym tonem. – Zostanę na tym pokładzie z Keramirem. Pozwolę innym zdobyć tamten okręt.

Gwinto spojrział na niego z powagą.

– I nie narazisz życia bez potrzeby?

Arion wbił w niego błękitne oczy.

– Obiecuję.

*

Z zewnątrz, poprzez grube ściany i puszyste kotary, sączył się cichy jak tchnienie, nieustający szum morza. Co chwila zagłuszał go stłumiony, perlisty śmiech niewiast. Dwórki grały w szachy na ciężkiej planszy z macicy perłowej, którą rozłożono na miękkim dywanie z pozszywanych skórek białych gronostajów. Gra była w istocie igraszką z losem – przy przesuwaniu pionków dziewczęta wybierały kierunek drogą skomplikowanej wyliczanki. Wszystkie były młode i ciekawskie, a że rejs dłużył im się w nieskończoność, w ten sposób zabawiały się w niewinne wróżby. Starły się przy tym nie przeszkadzać w odpoczynku szczupłej postaci, która wpełzała wśród brokatowych poduszek na wielkim łożu za lekką kotarą, kołysana do snu oddechami oceanu.

– Goniec skłania się ku księżniczce. To nasza księżniczka. A tutaj król znowu się od niej oddala.

- A ta wieża?
- Mówiliśmy już. Nie tak głośno, obudzisz księżniczkę Luminę...
- Czyż nie dla niej miała być ostatnia wróżba?
- Mówże ciszej. Mogłaby się na nas pogniewać.

Młode niewiasty odwróciły się dyskretnie w stronę osłoniętego muślinowym baldachimem posłania z kołysaną na nim dziewczynką. Dobiegł stamtąd szelest grubych kartek. Skryta za zasłoną Lumina nie spała. W ciepłej łunie przeświecającego przez kotary kryształu wyglądała na pogrążoną w lekturze jakiejś opasłej, oprawionej w skóry książki.

– Może pragniesz, żeby poczytać ci na głos, pani? – odezwała się najbardziej rezolutna z dwórek, zakładając za uszy pszeniczne loki.

– Nie trzeba – odparła cicho księżniczka – Nie przeszkadzajcie sobie. Pójdę przespacerować się po pokładzie.

Ostrożnie zamknęła książkę. Muśliny pełne delikatnych haftów w kształcie roślinnych gałązek rozsunęły się przed nią, zanim jeszcze zdążyła ich dotknąć. Jasnowłosa dwórka pospieszyła, żeby otulić lekką opończą ramiona swej pani. Miała wrażenie, że księżniczka z rezygnacją i zniecierpliwieniem poddaje się podobnym zabiegom. Nawet nie zerknęła na zwierciadło, które podsunęła jej inna z dziewcząt. *Cóż – pomyślała z zazdrością dziewczyna – ja też pewnie nie przejmowałabym się wyglądem, gdybym była choć w połowie tak piękna.*

– Potowarzyszymy ci, pani.

Lumina po prostu skinęła głową. Nie czekając na dwórki, rozsunęła puszyste kotary i muśliny, po czym podążyła ku schodkom, by opuścić wysoki kasztel na rufie karaweli. Taka sama, lecz mniej okazała nadbudówka zdobiła dziób okrętu – zajmowali ją kapitan, zaklinacze pogody i oficerowie. W środkowej kondygnacji mieściła się mesa, a w najniższej – kajuty marynarzy. Kasztel z zewnątrz pokrywały fantazyjne reliefy przedstawiające różne morskie stwory. Obok siebie płynęły długopłetwce wieloryby,

delfiny, krakeny, oceaniczne węże, a także ondynki o kobiecych, pełnych piersiach.

Dziewczynka bardzo pragnęła ujrzeć teraz którąś z tych istot. Ostatnio nawet delfiny opuściły okręt i nie wynurzały się już przy burtach, migając szarymi grzbietami. Tak Lumina straciła swój pożegnalny orszak. Odprowadzając ją świtę tych przyjaznych stworzeń, zawsze beztroskich i wolnych, tak jak ona nigdy nie była.

Uśmiechnęła się lekko, czując na twarzy miłą pieszczotę wiatru.

Mimo tęsknoty za rodzinnym brzegiem czuła radość. Chwilami ogarniała ją niepewna ekscytacja. Miała wszak zostać poświęcona bogom. Ten cudownie zdobiony okręt pod banderą jej ojca niósł ją na ich spotkanie. Odbywa właśnie podróż, której tak długo wyczekiwała. Aż dotąd czas upływał jej na snuciu marzeń o tym morskim rejsie do krainy smoków i zaszczycie, do którego od urodzenia ją przygotowywano. Czasem w snach widywała zarys dalekiej wyspy i to, jak przybliżał się ku niej z każdą chwilą. Strome jak mury przybrzeżne skały czerniły się spod perlistej kipieli fal. Te fale rozbijały się o kamienie, wystrzeliwały w górę niczym snopy białego dymu. Sam zamek na wyspie przypominał twierdzę, muszlę o cudownych kształtach, która miała skrywać przed oczyma zwykłych śmiertelników drogocenną perłę. Ją samą.

Lumina obejrzała się za siebie. Dwórki jakoś nie nadchodziły, a stara służąca uciniała sobie akurat popołudniową drzemkę. Wiedziała, że dziewczęta mówiły na nią „mops” – bo była niska i krępa, a przy tym głośno chrapała. Gdyby staruszka o tym wiedziała, z pewnością odpłaciłaby się z całą surowością. Chociaż nie była okrutna, już parę razy powtórzyła Luminie, że jej dwórki to w istocie po prostu zakładniczki, i że są tutaj po to, by w razie potrzeby płacić za błędy swych ojców.

Księżniczka uniosła do kostek skraj bladozielonej sukni i wspięła się po drewnianych schodach na najwyższą kondygnację na rufie, okoloną rzeźbioną balustradą. W najbardziej wysuniętym w morze miejscu tkwiła na stałe kryształowa latarnia. Do wieczora pozostało parę godzin, lecz mimo braku chmur niebo lekko ściemniało, toteż blask lampy uwidocznił się jeszcze bardziej. Lumina zapatrzyła się na horyzont, w

stronę którego umykała szeroka smuga kilwateru. Nikogo nie było obok. Zaczęła nucić cicho starą pieśń, którą nieraz grywała na harfie na dworze ojca. Jej głos był wysoki i czysty, a każde słowo odpowiadało szarpnięciu dźwięcznych strun, których brzmienie potrafiła usłyszeć w myślach.

Urwała i odwróciła się raptownie, bo na deskach w pobliżu rozległo się ciche plaśnięcie.

Podrygując bezsilnie, wiła się tam mała, srebrna rybka. Lumina kucnęła obok i najostrożniej jak potrafiła, ujęła ją w dłonie. Rybka rzucała się w jej rękach, dysząc lśniąco skrzelaми. Księżniczka podeszła do balustrady, chcąc wrzucić ją do morza. Gdy uniosła dłoń, zwierzątko rozwinęło wyjątkowo długie i sztywne boczne płetwy i trzepocąc, uniosło się w powietrze. Przypominało to lot wielkiej ważki. Ryba skuliła płetwy i kosząc powietrze, dała długiego nura w wodę. Na tle fal błysnęła jak spadająca gwiazda.

Wokół Luminy rozległy się kolejne pluśnięcia, jakby zaczął padać ciężki deszcz. Rozejrzała się po morzu z zachwytem. Z wody wypryskiwało mnóstwo latających ryb. Wyglądało to, jakby ścigały się z żaglowcem – szybowały na mieniących się w świetle niby-skrzydłach, wynurzały się i niknęły w długich skokach. W powietrzu niósł się słaby furkot płetw.

Ryb było coraz więcej. Przypominały gęstniejący rój owadów. Ich obłe, śliskie ciała spadały co jakiś czas na rufę, gdzie wiły się i trzepotały w rytmicznych podskokach. Lumina zbierała je pospiesznie i wrzucała do wody. Jedna z ostrych łusek skaleczyła ją w palec. Uniosła go do ust i wyssała krew. Wtedy spostrzegła, że do statku przybliżała się dziwna, gęsta mgła.

Stała z krwawiącą dłonią przyciśniętą do ust w deszczu spadających z nieba ryb, owiana nagłym chłodem niczym grozą. Mgła przypominała kłębiący się, zmrożony śnieg. Zimową zadymkę gnaną nadciągającą nie wiadomo skąd wichurą. Lumina spostrzegła, że świetlny kryształ latarni na rufie jest jeszcze jaśniejszy, że rozpara się,

jakby zbudzono w nim magię. Chciała coś krzyknąć, zawołać kogokolwiek, lecz z jej ust wyrwało się tylko głośne westchnienie, zmienione w kłębek gęstej pary. Na okręt ze wszystkich stron opadła ściana zimnej mgły, która odcięła Luminę od reszty statku. Wszystko wokół straciło kształt i kolor.

– Piastunko! Zaklinaczu! Kapitanie! – niepewnie zawołała księżniczka. Głos powrócił do niej stłumiony i o ton wyższy, jakby przykryto ją szklanym kloszem.

Odetchnęła głębiej, otulając się ciasniej oponczką. Gdy wyciągała przed siebie rękę, ledwie dostrzegała zarys własnej dłoni. Szurając obutymi w sznurowane trzewiki stopami, nie odrywając ich od desek, wymacała rzeźbioną balustradę wokół rufy. Wolno szła wzdłuż relingu ku bocznym schodom prowadzącym w dół kasztelu. Zawsze uczono ją, że powinna okazywać opanowanie. Ponadto nigdy nie lubiła zwracać na siebie nadmiernej uwagi, toteż nie ponawiała swoich nawoływań. Zdziwiła ją tylko głęboka cisza na statku. Słyszała jedynie słabe skrzypienie pracujących lin oraz świst powietrza pośród want i sztagów. Musiało to być wrażenie wywołane przez tę niesamowicie gęstą mgłę. W miarę jak księżniczka schodziła w dół po schodkach, zaczęła się ona lekko przersedzać. Pewnie zajął się tym już zaklinacz pogody. Jeszcze krok i Lumina znalazła się u drzwi prowadzących do pomieszczeń przeznaczonych dla niej i dwórek. Odetchnęła. Z zimna zaczynała dygotać.

Z ulgą weszła do środka, marząc o tym, by natychmiast się ogrzać. Lekko rozsunęła aksamitne, drogocenne kotary, połyskujące od brokatów i haftów, które otulały wielką kajutę, dodając jej intymności i ciepła. Na noc ażurowe, lekkie przepierzenia oddzielały sypialnię księżniczki i dwórek.

Lumina wysunęła się zza zielonych i złotych zasłon. Zdziwiła się, że nikt do niej nie podbiega. Nie proponuje, że odepnie płaszczyk, rozwiąże buty, poda jej kielich miodowego napoju ze szczyptą ostrawej przyprawy. Podeszła do ulokowanego pod oknem łoża osłoniętego baldachimem.

Wydała z siebie ciche piśnięcie, jak mysz przygnieciona kocią łapą.

Dół baldachimu był obryzganym czymś czerwonym. Kilka pięknie udrapowanych zasłon zostało zerwanych. Spłynęły na podłogę przykrytą dywanem ze skór gronostajów, między mnóstwo rozrzuconych, brokatowych poduszek, na których lubiły spoczywać dwórki. To właśnie tam, spod zwałonej na ziemię zasłony, wymykał się długi pukiel pszenicznych włosów.

Lumina tkwiła przez chwilę w bezruchu. Ten złoty kosmyk zdawał się ją przyzywać, jasny jak język magicznego ognia. Podeszła doń, czując, że się dusi. Szybkim ruchem odsunęła aksamitny materiał. Krzyknęła, odnajdując pod nim dobrze jej znaną, dziewczęcą twarz. Ciepłe jeszcze wargi były rozchylone i odsłaniały równe, białe ząbki. Martwe, szkliste, niewidzące oczy spoglądały ku wyjściu spod kaskady złotych jak chmiel, rozrzuconych loków, nadających damie dworu wygląd porcelanowej lalki. Podbródek był umazany purpurą, która grubą wstęgą opasała szyję.

Księżniczka zaczęła krzyczeć. Wysoki, świdrujący, zawodzący pisk dobywał się z jej gardła gdzieś poza nią, dopóki nie uciszył jej strach. Rozejrzała się po komnacie jak zwierzę w klatce.

Pozostałe dwórki też tam były. Leżały pod zasłonami, w kątach, wzdłuż ścian, jak martwe gąsienice owinięte w kolorowe kokony. Nie miała siły, by się ruszyć, by sprawdzić, czy może któraś żyje. W rogu za łóżkiem dostrzegła spoczywającą ciężko bladą, spowitą w delikatny pantofelek stopę.

– Wasza wysokość... – Głos starej piastunki dobiegł od drzwi. Lumina aż podskoczyła, zerwała się na nogi.

Starowinka o oczach lisicy wynurzyła się zza kotary. Na jej sztywnej sukni lśniły krople krwi.

– Nie zbliżaj się! Rozkazuję ci! – wykrzyknęła dziewczynka, a jej głos zabrzmiał stalowo z powodu gwałtownego wzburzenia i strachu.

Staruszka machnęła dłonią.

– Dobrze, nie podejdę. Nie obawiaj się...

Lumina oddychała głęboko. W jej piersi dławiący lęk walczył z wzbierającym płaczem.

– Więc to prawda? One były tylko zakładniczkami? Ich ojcowie się zbuntowali? Wybuchła wojna? To dlatego je zabiłaś? – wyszeptała, garbiąc się i opierając o drewnianą, spiralną kolumnę podtrzymującą baldachim łóżka.

Stara, niska służąca patrzyła na nią jak modliszka. Przypominała teraz Luminię grubego, złocistego pajaka o połyskliwym odwłoku.

– Musiały zginąć, księżniczko – rzekła powoli – Tak jak ci mówiłam, zapłaciły za błędy...

– Jakie błędy?!

– Córki learów stanowiły rękojmię wierności ich ojców w stosunku do uzurpatora. Usunęliśmy tę rękojmię, księżniczko. Już nikt nie będzie ich winił, kiedy learowie wymówią posłuszeństwo władcy. Te dziewczęta znajdowały się wszak pod opieką króla.

Żrenice Luminy skurczyły się do wielkości szpilek, dwóch drobnych, ostrych punkcików na dnie zogromnianych tęczówek.

– O czym ty mówisz?! O jakiego uzurpatora ci chodzi?!

Nigdy jeszcze jej myśli nie mknęły tak szybko, umysł nie pracował równie gorączkowo – podświadomość na równi ze świadomością. Olśnienie sprawiło, że niemal zemdląca.

– Mówisz o moim ojcu, prawda?! – wykrzyknęła ostatkiem tchu. – Na ogień Przedwiecznych, jesteście buntownikami! Jesteście zdrajcami mojego ojca!

Oczy zaszyły jej wielkimi łzami. Komnata wokół zaczęła się zniekształcać i rozmazywać. Miała wrażenie, że śni, że lunatykuje, że zbudzi się zaraz na łądzie, z dala od tego koszmaru. Gdyby nie nasza jej ochota na przechadzkę, podzieliłaby los swoich dwórek!

Przez łyzy dojrzała jaskrawy ognik kryształu wplecionego w łańcuch z aratrańskiej

stali. Yenard!

– Yenardzie!

Chciała go ostrzec, chciała go prosić o ratunek... Mag wszedł do komnaty. Zamrugnął kryształowymi oczyma.

– Wasza wysokość. – Skłonił się bardzo głęboko. Widząc jej lęk, przykląkł na jedno kolano i nisko pochylił głowę. Był to dowód najwyższej pokory, jakiej nigdy jeszcze nie widziała u czarodzieja. – Wybacz, że musiało do tego dojść.

– Musiało?! – W żołądku wzbierały jej mdłości. – Więc ty o wszystkim wiesz?! Mnie też zabijecie? – Pożałowała, że zadała to pytanie. Chciała po prostu wiedzieć, chciała znać prawdę. A przecież bez względu na wszystko, musiała przemawiać do tych ludzi jak księżniczka. O nic nie prosić, nie błagać o litość. Nie usłyszą od niej tego rodzaju słów!

– Nie lękaj się, pani. Wszyscy jesteśmy tu po to, żeby ci wiernie służyć.

Zadrzała. Widok klęczącego maga zbudził w niej nieoczekiwany impuls królewskiej dumy.

– Służyć tak, jak służycie teraz mojemu ojcu? – szepnęła gorzko, z bezdennym wyrzutem. – Kiedy mój ojciec się o tym dowie...

– Skyerlor nie jest twoim ojcem, Lumino.

Nic z tego nie rozumiała. Mocniej oparła się o łóżko, pozwalając, by słowa zaklinacza wolno zagnieźdżały się w jej roztrzęsionym umyśle.

– Skyerlor to uzurpator. Usunął z tronu prawowitego władcę. Twojego ojca, pani – Sykiarda. Ostatniego króla władającego magią. Pana uznawanego przez wszystkich czarodziejów w Crystallum. Sądził, że jeśli oddali cię za ocean, już na zawsze ukryje swój postępek. Ale tak się nie stało. W dniu ceremonii ofiarowania bogom... – Yenard uniósł kryształowy wzrok. – Wyrocznia wskazała na ciebie, jako na przyszłą królową, Lumino. Skyerlor nie potrafił odczytać runy, którą święty płomień wypalił na twojej dłoni. Dla niego to tylko nieistotny symbol. Ale wszyscy najwyżsi magowie w

królestwie dostrzegli to, czego nie może dostrzec fałszywy król.

– Czyli co? – wyszeptała przez ściśnięte gardło. Gdyby nie ten ucisk, zaczęłaby znów krzyczeć. Nie panowała nad tym, nie rozumiała, co się dzieje. Miała wrażenie, że zaklinacz oszalał. Że biorą udział w jakimś strasliwym przedstawieniu.

Yenard podniósł się z klęczek.

– Jesteś jedyną córką prawowitego króla. Jako jedyna w rodzinie odziedziczyłaś magiczny talent. Ten talent według nas jest niezbędny, żeby zgromadzić wokół tronu podzielonych obecnie czarodziejów i uniknąć dalszej degradacji rządzącego rodu.

– Degradacji?!

– Dla nas, magów, niezmiernie ważna jest czystość krwi. Dar magii i wiedza są przekazywane z pokolenia na pokolenie wyłącznie tym, którzy przejawiają wyjątkowe zdolności. Uważamy to za hańbę i zagrożenie, że na tronie zasiada uzurpator, który nie jest w stanie posługiwać się mocą. Taka sytuacja jest nie do zniesienia, grozi zachwianiem równowagi w królestwie... Coraz więcej ważnych osobistości potajemnie przystaje do Frakcji Sykiarda...

– Frakcja Sykiarda? – wymamrotała dziewczynka. Zakreśliło się jej w głowie.

– Naszym celem jest osadzenie na tronie córki króla Sykiarda. Ciebie, królowo Lumino.

*

– Nic nie widać. Do diabła, w tej okolicy zdarzają się mielizny! – warknął Gwinto do Keramira i Ariona. Gerk wolał nie dodawać, że mielizny te mogą zmieniać swoje położenie. Nie jeden raz już słyszał, że pod powierzchnią Morza Śpiewającego żyje ogromny wieloryb o grzbiecie porośniętym mnóstwem gruzłowatych narośli. Z punktu widzenia żaglowca przypominają one wędrujące rafy albo podwodne skały, rozkwitające kiściami drapieżnych wodorostów.

Kapitan, jego siostrzeniec oraz zaklinacz pogody stali przy wystrzeliwującym lekko

w górę bukszprycie, ozdobionym koroną trójkątnych sztaksli. Próbowali przebić wzrokiem gęstą mgłę przed dziobem okrętu. Dzięki magicznemu podmuchowi szkuner pruł jak strzała, odrzucając daleko ociężałe, ciemne, jakby oleiste fale. Umykały na boki z leniwym pomrukiem.

– Ominiemy mielizny. Zaufaj mi, kapitanie – rzekł uspokajająco Keramir. – Jeśli chcesz dostać tę karawelę, musimy ją zaskoczyć. Czuję ją. Wyczuwam magię. Jest już blisko.

– Na demona, nie możesz rozproszyć tej mgły?!

– Mogę, jeśli chcesz, byśmy się zdradzili. Utknął ją któryś z królewskich zaklinaczy. Być może ma rozkaz płynąć pod taką zasłoną. – Czarodziej zmrużył kryształowe oczy.

Arion dostrzegł, jak Gwinto przełknął jakąś wściekłą, kąśliwą uwagę. Po chwili wymienił kilka zdań z Egritem, który przyszedł złożyć mu meldunek.

Widoczność nie sięgała dużo dalej niż kraniec bramstengi, na której tkwiła zatknięta zasuszona, smocza głowa. Świetlne kryształy w pustych, łuskowatych oczodołach stwora rozpały się i rzucały dwa długie błyski na ciemnoszarą wodę. Przypominały wąskie, lecz upiornie precyzyjne reflektory. Obkurczone dziąsła z rzędami połyskujących, szablitych kłów wyglądały, jakby martwy smok uśmiechał się do siebie, połykając wpadający w rozdziawioną paszczę wiatr.

Arion przełknął ślinę, próbując pozbyć się udzielającego mu się napięcia. Na pokładzie od długiego czasu panowała cisza, nieprzerywana już nawet wykrzykiwanymi rozkazami. Słyszał tylko skrzypienie lin i słaby, niski furkot smoczych żagli, napiętych wiatrem, o likach ostrych jak brzytwy. Wszyscy byli na swoich stanowiskach. Część żeglarzy miała zapewnić konieczną zwrotność okrętu, podczas gdy inni będą obsługiwać rozmieszczone wzdłuż burt balisty. Do strzał przytroczono łatwopalne wiązki drewna nasączone rybim tłuszczem. Najlicniejsza grupa tworzyła świetnie uzbrojony oddział abordażowy pod dowództwem Gwinta. Haki abordażowe oraz topory czekały w pogotowiu. Ster trzymał Tiko, jak zwykle

milczący i opanowany. Egrit odpowiadał za balisty i kuszników, którzy tkwili na platformach przy masztach. Mieli oni celować wyłącznie do kapitana i zaklinaczy wrogiego okrętu.

Arion pogrążył się w gorączkowym wyczekiwaniu. Nieraz nocą snuł wizje nadchodzącej bitwy, w których sam jeden zatapiał królewską karawelę, strącając w odmęt zabójców rodziców. Gdy czasem, zlany potem, budził się wśród koszmarów, żądza zemsty nieomal odbierała mu zmysły. Zamknąwszy oczy, widział nadlatujące z głębokiej ciemności widmowe twarze. Były blade i ciężkie jak płatki mokrego śniegu. Opadały ku niemu, kołysząc się miarowo, zawodząc niby morski wiatr. Chłostały policzki lodowatymi pocałunkami, które wyciskały z oczu zimne łzy. Pewnego razu zastanawiał się nawet, czy nie jest chory, i zwierzył się z tych koszmarów medykowi.

Lekarz zbadał go dokładnie i oświadczył, że chłopak jest zdrow „jak ryba”.

– Tu chodzi o coś innego, Arionie – zawyrokował chudy człowieczek, wyjąwszy z ust kraniec wykałaczkii. – Myślę, że cierpisz na chorobę duszy. Obawiam się, że grozi ci *opętanie*.

– Opętanie? – powtórzył chłopak z niedowierzaniem.

Pobył wśród dragitów sprawił, że zdążył się już co nieco zapoznać z niezwykle różnorodnością przesądów, jakim hołdowali ludzie morza. Tym razem chodziło jednak o coś innego. O coś, co odczuł na własnej skórze. Nie wiedzieć czemu pomyślał o upiorze, w którego istnienie święcie wierzył Kotwica. Przypomniał sobie szuranie, jakie usłyszał ostatniej nocy. Jakby dobiegające z brzucha okrętu, stłumione echo kroków kogoś, kto kuśtyka.

Lekarz jakby czytał w jego myślach.

– Nie mówię tu o żadnych zjawach czy duchach, chłopcze. Słyszałem te brednie, które w wielkim sekrecie kucharz rozpowiada na prawo i lewo. Człowiek częściej jest opętany własną żądzą czy marzeniem niż mocą duchów.

– Opętany marzeniem?

– Owszem. – Lekarz uśmiechnął się krzywo. – Wówczas zwykle zostaje żeglarzem. Wielu to pomaga. Ale nie wszystkim. Wyzdrowiejesz, kiedy twój wuj dopadnie karawelę.

Arion wzdrygnął się, budząc się z zamyślenia, gdy drobinka wody kapnęła mu na nos. Mgła skraplała im się na twarzach i na włosach.

– Gwinto! Coś jest przed nami we mgle! – dobiegł zduszony okrzyk z bocianiego gniazda.

Gerik i Egrit dopadli relingu. Arion niecierpliwie wpatrywał się w gęsty obłok przed dziobem, zaciskając z napięcia dłonie. Dwa promienie wystrzeliwujące ze ślepiów martwego smoka zdawały się w nim grzęznąć.

– Kilwater! – syknął stłumionym głosem Gwinto.

Serce Ariona załopotowało w piersi. Zobaczył słaby ślad wodny przed ich dziobem i bruzdę z fal, rozchodzącą się na boki. Powiększała się z każdą chwilą, rozszerzała, kipiała bielą morskiej piany. Na jej krańcu ukazała się potężna płetwa rufowa.

– Dwa rumbi na prawo! – ryknął na całe gardło Gwinto. Skrzypnęły liny, zaterkotało koło sterowe, poniosły się po deskach pospieszne kroki.

Arion uniósł wzrok. Nagły, zdradziecki podmuch bocznego wiatru odgarnął grzywę mlecznej mgły przed szkunerem. Jak widmo wyrósł wysoki kasztel rufowy okolony galeryjką, z rozjarzonym okiem latarni i wielkim, rzeźbionym herbem królestwa – dwa smoki na zadnich łapach, o podwójnie splecionych ogonach, podtrzymujące tarczę z uskrzydłonym okiem.

– To ona! Załoga, gotuj balisty z lewej burty!

19.

Musiła stracić przytomność. Na kilka chwil świat pogrążył się w ciemności. Lumina nie pamiętała, co się z nią wówczas działo. Ocknęła się dopiero teraz, gdy odziany w czarne szaty Yenard wyprowadził ją na owiany mgłą pokład karaweli. Kiedy księżniczka ukazała się na wysokości kasztelu rufowego, wszyscy, począwszy od śródokręcia, zaczęli klękać. Kapitan i dwaj zaklinacze pogody zgięli się w pół w przepastnych ukłonach. Wiele osób na statku przyodziło ciemnoszare płaszcze, przypominające krojem strój Yenarda. Czarodziej przemówił do nich krótko. Nie rozumiała jego słów. Tylko to, że wypowiadał je w jej imieniu. Kiedy skończył, z mgły wystrzeliły wiwaty, z każdą chwilą bardziej ochocze. Razem z nimi w głowie Luminy rozbrzmiewały zagłuszające wszystko myśli. Rozpaczliwy, świdrujący, niemy krzyk.

Nagle zdała sobie sprawę ze swojej sytuacji. Teraz to ona była zakładniczką na karaweli ojca. Ludzie, którzy wiwatowali na jej cześć, byli zdrajcami króla Skyerlora! Chcieli osadzić ją na tronie! Nie wiedziała tylko, jak... Na bogów, przecież nie chciała, za nic w świecie nie chciała być królową. Nie mogła nią być! Dokąd ją zabierali?! Dokąd płynął ten statek?! Na pewno nie tam, gdzie powinien! Nie ku ziemiom ognistych bogów, nie na Wysoką Wyspę! Na ogień Przedwiecznych, czy oni nie wiedzieli, jakie straszne popełniali świętokradztwo?! Była pierworodną córką... była... poświęcona bogom!

Lumina zaczęła bezwiednie szeptać słowa modlitwy, której dawno temu nauczyła ją Nyła. Załoganci nadal wznosili entuzjastyczne okrzyki, wśród których przewijały się najwznioślejsze hasła, ale ona ich nie słyszała i nie widziała. W tym tumultie dręczyła ją wizja martwych dwórek, rozwleczonych jak szmaciane lalki w jej komnacie.

Wszystko działo się jak w zwolnionym tempie. Księżniczka powtarzała słowa modlitwy, jakby bogowie mogli spaść jej z nieba na ratunek. Z niemą rozpaczą spoglądała na morze. Faje kotłowały się słabo pod pierzyną mgły. Przypominały gęstą śniegową breję.

I wtedy zdarzył się cud. Lumina wiedziała, że nikt nie widział tego, co ona. Jak w jej niespokojnych, kolorowych snach, których nie podzielał nikt inny. Księżniczka była sam na sam z cudowną wizją, na którą tak długo czekała. Z wirujących wolno mgieł po prawej burcie wynurzyło się ogromne, skórzaste skrzydło, obsypane ciemną, drobną łuską. A potem kolejne. Potężny, lecz jednocześnie dziwnie smukły kształt zaczynał majaczyć za zasłoną z niskich chmur. Szybował tuż nad falami. Jego skrzydła przypominały gaflowe żagle. Na krańcu długiej szyi drobna, szlachetna głowa. Jak u gorącokrwistych koni lubianych przez ojca. Lumina rozchyliła usta, patrzyła jak urzeczona. I wtedy smok plunął salwą ognistych strzał.

Impet przypominający podmuch bocznego wiatru odrzucił ku burcie kilkunastu ludzi. Jedna z długich strzał przecięła powietrze obok Luminy. Yenard rzucił się do przodu, jakby chciał ją zasłonić. Nadział się na strzałę, która porwała go kawałek ze sobą, kazała mu się zachwiać, krzyknąć, zgiąć się i upaść... Czarodziej pluł krwią, krztusił się i dławił. Księżniczka słyszała krzyki i dudniący gong. Salwa zza burty powtórzyła się. To nie smok, lecz przybliżający się statek! Na pokładzie trwała nerwowa bieganina. Paru ludzi zdążyło w stronę księżniczki, która stała zdumiona, nieruchoma jak posąg. Po sekundzie z ich ciał sterczały już długie bełty. Niektóre strzały dymiły, trzaskały iskrami. Drobne, żółte płomienie błyskały wśród lin...

*

Na wyrzaśniętą komendę Gerka balisty zaczęły siekać monumentalne cielsko karaweli. Jej pokład migał serią krótkich rozbłysków. Szkuner piał się ukośnie w górę wysokiej, długiej fali. Potężny korab pod królewską banderą, bardziej karaka niż

karawela, przybliżał się z każdą chwilą. Strzelcy prędko nakręcali korby przy wyrzutniach strzał. Balisty na podwyższonych, drewnianych platformach wypływały kolejną serię, niczym rój kąsający brzuchatego wieloryba.

– Zabijcie zaklinaczy pogody! – wrzasnął Gwinto.

Jego ludzie rozdzielili się na dwie grupy. Jedni ściskali haki abordażowe i ostre bosaki. Inni pięli się w górę po takielunku, zajmowali miejsca na platformach i drablinkach. Kolejny grzbiet fali, wyczekanie momentu, kiedy morze wynosi lekko szkuner, i spośród olinowania wystrzelił deszcz migotliwych strzał oraz dzirytów, po czym spadł gładko na pokład wrogiego statku.

Załoganci byli w rozsypce, zaskoczeni nagłym atakiem prosto z mgły. Niektórzy bez walki padali na kolana, krzyczeli, rozdierali szaty na piersiach. Ich twarze wyrażały opętańczy, zabobonny strach. Lęk przed smokiem. Nagle na forkaasztelu karaweli ukazała się czarna postać. Wyrosła prędko, niczym słup czarnego dymu. Jeszcze zanim uniosła wyciągnięte ramiona w powłóczystych rękawach, serce Ariona zmroziło ukłucie grozy. Zaklinacz pogody!

Jakiś szmer, jakiś zawrót przebiegł powietrze. Spod burt karaweli wystrzeliła ogromna fala. Wał wody uderzył z impetem w bok szkunera. Wszystko skrzypiało, trzeszczało i zwałało się ku przeciwległej burcie. Okręt chwiało się gwałtownie, zawieszony na krawędzi wodnego uskoku. Powietrze wypełniało dudnienie, terkotanie i świst. Arion obrócił się bez udziału własnej woli, jakby zakręcił nim w miejscu psotny wiatr. Dostrzegł, że drewniane szczeble koła sterowego migają jak szalone. Wszystko wywrócone było pod dziwnym kątem, jakby odbite w krzywym zwierciadle. Uczepiony want Gwinto wrzeszczał coś na cały głos, ale nagły huk spienionej wody, która przewalała się przez dziób, porwał jego słowa. Arion z całych sił zaciskał ręce na drablince, smagany biczami chlustającej fali. Omiatały mu twarz i nie pozwalały złapać oddechu. Nogi chłopca na moment same uniosły się znad pokładu. Ogromna fala pod nimi załamała się gwałtownie. Szkuner spadał w dół, w paszczę morza. Drobną łupiną

ciśnięta w otwartą przepaść, w wyrwę w błękicie, która zamknie się nad nimi jak grobowiec. Niemal jednocześnie poprzez wodną zadymkę przebił się blask kryształu Keramira. Usta maga były szeroko otwarte, jakby to z nich wydobywał się ten cały szum i huk. Wiatr i woda napierały prędko z drugiej strony, przechył wyrównał się jak za dotknięciem... Szkuner osiadł na powierzchni ukośnie, sprężyste, miętko, jak wśród błękitnego puchu. Znowu pewnie piał się po falach w mocnym wietrze. To wszystko wydało się snem.

– Ucieka nam! – rozbrzmiał chrapliwy głos Gwinta. Krztuszający się wodą Arion rozejrzył się wokoło. Pokład był zmyty wodą, mgła zrzędła. Przez jej długie prześwity widać było pod kątem oddalającą się burtę karaweli na tle kilku cienistych wysepek.

Gwidon Gerk złapał za ramię Keramira i ciągnąc go za sobą, popędził na mostek.

– Załoga! Gotuj się do zwrotu przez sztag!

Uczepieni jeszcze masztów i want dragici klnącą chmarą dopadli lin. Gwinto, który złapał za koło sterowe, wprowadził w wirujący ruch terkoczące szczeble.

– Kiedy przejdziemy dziobem linię wiatru, musimy pędzić! – powiedział do stojącego obok Keramira.

Jeszcze przez moment szkuner mknął mocnym bajdewindem, nabierając prędkości. Brzmiały okrzyki dragitów. Miękki chrzęst lin. Słyszał koło sterowe, którym Gwinto obracał potężnymi ruchami. Padały kolejne komendy. Na moment wszystko zamarło. Smocze żagle u masztów, trójkątne topsele i wzniesione nad bukszprytem sztaksle skurczyły się jak więdnące liście. Mimo to okręt wciąż wykręcał, zaskakująco śmigły i zwrotny. Wpadł w wiatr z niesamowitym, radosnym łopotem. Znowu pędził, coraz bliżej karaweli. Był od niej dużo lżejszy, zwrotniejszy, szybszy... Podmuch, który wzmocnił swoim czarem Keramir, zdawał się unosić go w powietrze.

Bok kasztelu rufowego i fragment rzeźbionej burty przybliżyły się. Karawela przypominała drewnianą górę ze śnieżną czapą żagli, opasaną zorzą rozpryskiwanych fal. Przy relingu roiło się od żołnierzy w lekkich pancerzach. Marynarze na pokładzie

uwijali się przy czymś, co przypomina rozmieszczone w równych odstępach, odlane z brązu, wydłużone dzbany. Gwinto dostrzegł przetaczane po deskach, kamienne kule.

– To bombardy! – dobiegł okrzyk ze stanowisk wśród takielunku.

Wtem rozległ się przeszywający huk. Beczkowate lufy na wrogim pokładzie odskoczyły w tył, wypływając salwę ciężkich kul. Jedno z dział, nie dość starannie zamocowane, wyswobodziło się z lin jak spłoszone zwierzę, jak stający dęba koń na zerwanym postronku. Przygniotło królewskiego marynarza i zmieniło jego nogi w krwawą miazgę. Kule ostrotorowo kosiły powietrze. Jedna przeleciała na dziobówką, wlekąc za sobą część zerwanego takielunku. Wpadła do wody, wystrzeliwując gejzer piany. Całym statkiem wstrząsały potężne szarpnięcia. Inna kula oderwała głowę Salekowi, który nakręcał korbę balisty przy dziobie. Umazany krwią pocisk toczył się szybko i zmiotł jedną z machin strzelniczych. Padł w wodę, wybijając ziejącą dziurę w przeciwległym nadburciu. Pozostałe kule, źle wycelowane, wylądowały w falach przed dziobem i prawą burtą szkunera. Pogrzebały je strzeliste kominy wody. Powietrze wypełniła gęsta chmura wodnego pyłu.

Karawela wynurzyła się z niego niczym złowrogi półbóg tuż przed nimi. Zdawało się, że zaczepiała o nią bukszprytem.

– Gwinto, co ty wyprawiasz?! – wrzasnął Egrit, łypiąc groźnie zbielełym okiem. – To nie wielowiosłowa galera z okutym taranem na dziobie! Roztrzaskamy się o ich rufę!

– Refować żagle!

Gwinto gwałtownie skręcił kołem sterowym. Arionowi zdawało się, że wirujące, rozpędzone szczeble odmierzają ich los, jak wprawiona w obrotowy ruch klepsydra.

– Złap się czegoś! Uważaj na siebie!

– Idziemy prosto na nich!

– Strzelcy przy balistach! Na mój rozkaz! Czekać!!!

– Mogę oddalić nas od nich z pomocą fali! – wykrzyknął prędko Keramir.

– Zrób coś lepiej z ich żaglem grotu!

Czarodziej nie czekał na ciąg dalszy. Wbiegł na wyzkę rufową. Kryształowe oczy maga świeciły się w pociemniałej twarzy, usta składały tajemne zgłoski zaklęcia, łączące się z rześistym poszumem wiatru i hukiem fal. Arion czuł mrowiące ciarki na plecach. Zaklinacz ujął w dłoń kryształ na łańcuchu, a promień światła wystrzelił z niego do chmur.

Na główny maszt karaweli spadła rozwidlona błyskawica. Piorun rozpruł powierzchnię wzdętego żagla. Niby złoty szpon rozdrapał wymalowane na płótnie, ogromne oko z uniesionym jak powieka skrzydłem. Rozdarł żagiel w długie, rozchełstane, dymiące strzępy. Cały maszt pękł z hukiem z góry na dół, po czym stanął w trzaskających płomieniach.

– Teraz!!!

Gwidon Gerk puścił koło sterowe. Szeroko rozrzucił ramiona, dając znak załodze.

Balisty gwałtowną, krótką salwą szyły powietrze. W stronę karaweli pomknęły ostro zakończone haki i kotwiczki, ciągnąc za sobą i rozwijając liny abordażowe. Jednocześnie burty dwóch okrętów, które cudem uniknęły zderzenia, tarły o siebie, wymijając się o włos. W powietrzu latały drzazgi i odłamki poszycia.

Okręt trzeszczał, skrzypiał i huczał. Liny napinały się gwałtownie, kiedy „Krogulec” nadal rwał do przodu, szczepiony ich gęstą pajęczyną z karawelą. Pociągał ją za sobą, przechylał w bok jej drewniane cielsko. Potem to dziób szkunera niebezpiecznie uniósł się w górę, wystrzelił pod ostrym kątem spośród fal, po czym opadł w nie wolno, rozpryskując z hukiem kłęby piany. Fale buchały dokoła i na boki, jak przy plaśnięciu ogona wieloryba. Liny znów napięły się gwałtownie, statki zwróciły się ku sobie w szalonym tańcu kadłubów. Woda buzowała jak w ogromnym kotle. Dwa okręty płynęły obok siebie, ogarnięte nerwowymi, trzeszczącymi drgawkami, omiatane smugami wodnego pyłu. Co jakiś czas ścierały się burtami, powoli wytracając prędkość. Z pokładu szkunera wciąż sypały się strzały. Wszystko spowijał gęsty, słony

pył.

Ponad kotłującą się, ruchliwą chmurą, z takielunku „Krogulca” spadł deszcz dziurytów. Za nimi wynurzyli się linoskoczkowie. Dziką zgrają spadli na wrogi pokład. Spłynęli po linach z platform przy masztach, z drablinek na wantach, zbrojni w noże i krótkie miecze z aratrańskiej stali.

– Za mną!!! – krzyknął Gwinto do dragitów na śródkręciu. W pikowanym kaftanie, z dwoma krótkimi mieczami u pasa, z bosakiem w rękę i z puklerzem na plecach, chwycił się liny i przeskoczył pogruchotaną burzę.

*

Piękny sen Luminy o szybującym smoku zmienił się w krwawy koszmar. Czy kiedykolwiek się z niego obudzi?!

Wszystko działo się jak w zwolnionym tempie, ociężale i przerażająco wyraźnie. Dziewczynka klęczała przy wykrwawiającym się Yenardzie. Była córką króla, nie powinna klękać w obecności innych ludzi... A ona padła na kolana przed całą załogą! Marynarze i żołnierze byli dezorientowani. Prawdziwa królowa stałaby prosto, nieugięta i dumna, nawet na okręcie chłostanym zemstą bogów. Lumina pomyślała nagle z przerażeniem, że jej matka z pewnością nie zapomniaby o nakazach rygorystycznej etykiety. Nawet gdyby mag dogorywał właśnie u jej stóp.

Długi, gruby bełt sterczał z rozerwanego serca czarodzieja, lecz srebrne oczy nadal słabo płonęły. Gasły niechętnie, z niedowierzaniem. Yenard próbował chyba coś jej powiedzieć. Jego żebra unosiły się pod szatą, mięśnie twarzy napięły się lekko. Zamiast słów z otwartych ust prysnęła krwawa ślina, której kropelki spłynęły po twarzy Luminy. Yenard umarł.

Księżniczka nie płakała, choć w oczach piekły ją suche łzy. Nieco chwiejnie podniosła się z klęczek i objęła skołatany wzrokiem pogrążony w chaosie pokład. Żołnierze piechoty morskiej rozstawili rząd dużych tarcz i przygotowywali do strzału

rozłożyście kusze. Naprzeciw nich, spośród mgieł i fal plujący strzałami, smok szybował coraz bliżej okrętu.

Kusze napięły się. Lumina wstrząsnął dreszcz niedowierzenia.

– Nie strzelajcie! Nie strzelajcie do smoka! Nie strzelajcie go ognistego boga!!! – krzyknęła wysokim, nienaturalnie piskliwym głosem.

Na jej okrzyk kilku marynarzy wyciągnęło noże, rzuciło się dziko na królewskich strzelców. Przesądni ludzie morza krzyczeli, że to bóstwo przybywa po ich księżniczkę. Nie mieli wątpliwości, że oto zemsta za bezbożny czyn, którego przed chwilą dopuścili się ich dowódcy, pragnąc osadzić na tronie Lumine. Księżniczkę od dnia narodzin poświęconą bogom!

Na śródokręciu wybuchła krwawa bijatyka. Żołnierze skępowali paru zbuntowanych marynarzy i po prostu poderżnęli im gardła. Ciała uderzyły głucho o pokład. Kapitan przy sterze wyciągnął miecz z dzikim okrzykiem, wściekły za zabicie swoich ludzi.

Powstrzymał go lodowaty rozkaz zaklinacza:

– Zachować porządek! Nie wolno nam walczyć między sobą! Wszyscy na stanowiska! To nie smok, nie wasz bóg, tylko wrogi statek! Gotuj się do oddania salwy burtowej!

Kamienne kule wystrzelone z bombard świszczały w powietrzu jak meteory. Pokład przeniknęło mocne kołysanie, jakby uderzenie wielkiej fali. Powietrze wypełnił wodny pył i dym. Ognisty błysk i huk spadały na statek. Lumina chwyciła się czegoś, nie wiedziała czego, w samą porę, by uniknąć upadku w dół ze schodów kasztelu.

*

Gwinto Gerk szedł jak burza, a za nim jego ludzie. Szkuner o smoczych żaglach prawie opustoszał. Załoga Krogulca rzuciła się hurmą na karawelę. Torowali sobie drogę toporem i mieczem. Dla żaglowców abordaż to czas decydującego starcia i

liczyła się każda para uzbrojonych rąk. Okręt dragitów, nagle wyludniony, nie przestawał przez to siać grozy. Bliskość smoczego łba nadzianego na bukszpryt oraz skórzaste skrzydła przy masztach paraliżowały przeciwnika skuteczniej niż czary. Krwawa bitwa rozszerzała się jak pożar. Ogarniała karawelę począwszy od śródokręcia. Rozpełza się i rozgałęziała w mnóstwo pojedynków, toczonych wśród niszczonego takielunku.

Część królewskich marynarzy schroniła się pod pokładem i zaryglowała od wewnątrz wszystkie przejścia. Grupka ludzi, korzystając z niesamowitego chaosu, skrzyknęła się i rzuciła ku jednej z szalup. Podjęła dramatyczną, bezładną próbę spuszczenia jej na wodę. Ci ludzie byli zwykłymi żeglarzami, nie chcieli ginąć ani za Skyerlora, ani za dziecko, które ich kapitan, bez wątpienia za podstępłą namową zaklinaczy, uznał za prawowitą królową Crystallum. Szalupa, odpychana mnóstwem bosaków, chybotwała się niebezpiecznie. Przechyliła się na bok i zwała na pokład...

Wokół wybuchła dzika kakofonia bitwy. Chrzęst oręża, metaliczny grzechot brzeszczotów, łomotanie puklerzy, świst powietrza w przecinanych linach, ciepły chlupot rozpruwanych wnętrzości. Jazgot, wrzaski, klątwy i szyderstwa ucinane jednym błyskiem klingi. To wszystko z wolna przeradzało się w masakrę. Królewska piechota morska, niezrównana na lądzie, z trudem radziła sobie wśród tłoku i ścisku. Długie miecze żołnierzy z łatwością zaczepiały o liny, zaś kunsztowne kirysy i nakolanniki na niewiele zdawały się przy bijatyce, w której nie sposób utworzyć już żadnego szyku. Zbroja przeszkadzała wspinać się po takielunku, więc dragici wodzili ich za nos. Przelatywali na zerwanych linach nad pokładem, spadali z góry niby chmara wron. Rzucali nożami i harpunami, kosili powietrze toporem.

W tym wszystkim Gwidon Gerk dwoił się i troi, ogarnięty nagle zimnym szafem. Rozpędzał się w natarciach i wił w unikach, wykręcał młyńce, piruety i półobroty. Klingi mieczy niemal smagały mu policzki, dzwonięcie stali głośno dudniło w uszach. Gerk miał rozcięty łuk brwiowy, krew spływała na twarz. Czuł jej ciepłą lepkość już na

ustach. Między cięciami i pchnięciami, kopniakami i uderzeniami puklerzem, które rozdawał na prawo i lewo, migwały mu bezpowrotne urywki straconych chwil. Ilena stojąca w szeroko otwartej bramie, pod złotym niebem zalany czerwona łuną. Ravael śmiejący się znad błyszczącego pucharu, wychylający go w szerokim geście toastu. I chłopiec, Arion, kiedy Gerk go znalazł na podwórku. Te krótkie mgnienia, gdy Gwinto odnalazł swych najbliższych, tylko po to, by ich utracić już na zawsze. Tylko błysk klingi miał moc przyćmienia tych obrazów. Tylko pozoga pomoże zapomnieć o płonącym domu...

*

Bitwa toczyła się nie tylko na okręcie. Walczący nie dostrzegali tego, co ponad nim. Ich myśli nie sięgały ponad linię masztów, ponad kraniec klingi rozpedzonego miecza. A tam, w górze, wirowały barwne jęzory magii, mnóstwo strzępków światła i widmowych cieni, mrocznych klątw, odbijanych jak promień zwierciadłem.

Keramir dobrze znał tę słodko-gorzka samotność czarodzieja, której nigdy nie doświadczy motłoch. Podczas gdy tamci zarzynali się nawzajem, on jeden, stojąc prosto na rufie „Krogulca”, blokował czary maga z karaweli, które pokrzyżowałyby szyki im wszystkim. Nie czynił tego z poczucia lojalności. Robił to, bo zawsze kochał wyzwania. Podeptane przez Lyelyebana ego potrzebowało jakiegoś osobistego zwycięstwa. Mag chciał się upewnić, że nadal był jednym z najlepszych w swoim fachu. Od czasów studiów nie walczył z innym czarodziejem. Ambicja i wściekłość na tych, którzy zostawili go na pastwę inkwizycji, popychała go na coraz wyższe poziomy mocy.

Keramir przeczuwał, że skądś zna maga z okrętu zdobywanego przez dragitów, stojącego na rei niczym czarny, widmowy płomień, lecz nie ma czasu się nad tym zastanawiać. Jego umysł musiał przypominać kryształ, wypolerowaną soczewkę, skupiającą moc szeptanych inkantacji. Jedna pomyłka, jedna przestawiona sylaba, jedna

zniekształcona zgłoska i subtelnie tkany czar zmieniał znaczenie, odwracał bieg, zwracał się przeciwko swemu twórcy albo użyczał mocy jego wrogom.

– Strąć tego maga do morza, Keramirze! Powiedz, co mam zrobić, chcę ci jakoś pomóc!

Napięty do granic możliwości głos dotarł do niego zza subtelnych formuł, zza strumieni mocy tętniących pod skórą, zza niewidzialnych tarcz z ochronnych czarów. Na bogów, skąd się tutaj wziął ten chłopiec?! Keramir całkowicie o nim zapomniał. Chłopak powinien siedzieć pod pokładem, a on był obok, przez cały czas tam stał!

Czarodziej odwrócił głowę w stronę Ariona. W tej samej chwili potężne uderzenie mocy powaliło go na ziemię jak cios obuchem. Keramir padł, przekoziółkował po deskach w chaotycznych, bezwładnych obrotach i wylądował na brzuchu pod przeciwległą burtą. Łańcuch był lekko ciepły, kryształ płonął jak ogień, wokół tańczyły srebrzyste jęzory magii. Keramir wyciągnął ramiona w geście magicznej ochrony, która uratowała go w ostatniej chwili. Stał na nogi uniesiony mocą.

Arion, lekko poturbowany, znów znalazł się przy nim. Na bogów, ten dzieciak był uparty!

– Nic ci nie jest?!

– Uciekaj stąd, jazda! Co też ci strzeliło do głowy? – syknął groźnie zaklinacz, wbijając w chłopca kryształowe oczy.

– Chcę ci pomóc!

– Ty pomóc mnie?! Oszalałeś?! Odejdź stąd!

– Jesteś magiem! Możesz wykorzystać mój dar!

– Jaki dar?! Chłopcze, co ty bredzisz? Zmiataj stąd, zanim zmienię cię w rybę!

– Ale...

– Jazda! Nie ma żadnego daru, słyszysz?!

Arion cofnął się o kilka kroków. Głos zaklinacza dudnił jak grzmot, jak barwna burza przewalająca się nad statkiem. Jego oczy były twarde jak lód, podwójna bruzda

rysowała się między uniesionymi brwiami, na czole błyszczały drobniutkie kropelki potu. Keramir już nie zwracał na niego uwagi. Poświata biła z jego rozpostartych dłoni, palce rysowały w powietrzu świetliste linie.

Dziki jazgot bitwy zwałił się na chłopca, wzgarda czarodzieja paliła jego dumę. Policzki Ariona na zmianę krasniały i bladły. I wówczas, gdy poczuł się bezużyteczny i zagubiony, wyłowił spośród wrzasków i szczęku stali na karaweli czyjs wysoki, piskliwy krzyk.

– Pomocy! Ratunku!!!

*

Lumina wstrząsnął lęk, gdy trzech marynarzy w barwach królestwa ruszyło nagle prosto w jej stronę. Wynurzyli się z chaosu bitwy i dopadli schodów kasztelu. Mocniejszy przechył powalił jednego z nich na kolana. Wiedziona impulsem księżniczka uciekła w głąb kajuty, gdzie nie zdążono uprzątnąć jeszcze ciała jej dwórek. Świeże wspomnienie śladów milczącej masakry dławiło ją niczym powróż okręcony wokół szyi. Chciała zawrócić, lecz wówczas odbija się od mięsistego, męskiego ciała. Wpadła prosto w ramiona jednego z marynarzy. Zacisnęły się wokół niej jak imadło.

– Puść mnie! – wykrzyknęła Lumina najostrzejszym tonem, na jaki była w stanie się zdobyć. Pozostali dwaj mężczyźni też tam byli. Ich umięśnione, zwaliste sylwetki osaczały ją, zagrażały jej drogę.

– Przykro nam, księżniczko! – padła stanowcza, nerwowa odpowiedź. Bezskutecznie szamotała się w stalowym uścisku. Czuła kwaśny zapach potu i krwi. – Jak długo będziesz na tym statku, pani, zemsta smoków nas nie opuści! To ty ściągnęłaś na nas to nieszczęście! Nie możesz zostać królową! Trzeba cię poświęcić bogom!

– Ja nie chcę być żadną królową! Puszczaj mnie! Rozkazuję!

Marynarz przełożył ją sobie przez ramię. Dziewczynka szarpała się i okładała go drobnymi piąstkami o zbieleiałych kostkach. Wierzgała, groziła i prosiła, podczas gdy

mężczyźni wynosili ją na zewnątrz i wspinali się pospiesznie na szczyt kasztelu. Lumina zbyt gwałtownie upadła na deski. Próbowwała wstać, lecz stopy zaplątały jej się w tren sukni.

– Dalej! Oddajmy ją morzu!

Księżniczka czuła się, jakby jej ciało pokrył szron.

– Co wy chcecie zrobić? Błagam, nie! Pomocy! Ratunku!!!

Próbowwała uciec, lecz dwóch marynarzy natychmiast chwyciło ją za nogi i za nadgarstki. Dół sukni rozdarł się z suchym, jedwabistym trzaskiem. Lumina czuła szorstką, męską rękę wędrującą w górę jej uda. Sztywne palce wbijały się w jej skórę jak pijawki.

– Do diabła, zostaw ją! Ściągniesz na nas jeszcze większy gniew bogów! Jest poświęcona smokom, nie rozumiesz?!

– Dobra... Jazda, za burtę z nią!

– Szybciej, może jeszcze zdołamy przebłagać bogów! Trzeba złożyć ją w ofierze!

– Zostawcie mnie! Pomocy! Ratunku! Pomocy! Błagam, pomóżcie mi!!!

Lumina wiła się jak rybka nadziana na haczyk. Marynarze unieśli ją w górę, ponad okalające kasztel barierki. Złota obręcz diademu ze świetlnym kryształem zsunęła się z jej głowy. Mocny wiatr szarpał uwolnionymi puklami włosów, porywał je w górę, zagarniał jej na twarz. Poprzez splątane pasma Lumina dojrzała pod sobą kłębiące się fale.

*

Skok przez burtę z pomocą nadpalonej, zbłąkanej liny okazał się niełatwym zadaniem. Skręcone włókna pękły w ostatniej chwili i Arion zawisł na rękach na relingu karaweli. Podciągnął się, dzięki czemu uniknął zmiżdżenia przez pchany wysoką falą kadłub dryfującego szkunera. Wpadł na wielki pokład skąpany w dymie i krwi. Przeturlał się po deskach, złapał czegoś i zerwał na równe nogi. Rozpaczliwy pisk

wciąż wibrował mu w uszach, przyzywając go na rufę okrętu. Wyminął walczących ludzi. Jakiś żołnierz zastąpił mu drogę, lecz Arion przemknął między nogami osiłka długim wślizgiem po zalanych wodą deskach. Zerwał się z ziemi i wbiegł po szerokich schodach na szczyt potężnego kasztelu. Stalowy miecz w skórzanej pochwie obijał mu się o biodro. Arion dobył go, gnany dzikim impulsem, i wbił sztych w plecy królewskiego marynarza.

Aratrańska stal weszła w ciało jak w masło. Wyszarpnięta, zaczęła ciemnieć od krwi.

Marynarz zwalił się na kolana z ciężkim okrzykiem. Czyjeś nogi wyswobodziły się z jego uścisku. Chłopak zamarł na widok bladej jak śnieg istoty skąpanej we łzach, niby zraniony, kwilący ptaszek. W pierwszej chwili pomyślał, że to ondynka. Nimfa morska, schwyтана w sieci przez tych ludzi. Jej twarz przysłaniały splątane włosy, naprężone ręce zaś przytrzymywał inny marynarz. Arion rzucił się na niego bez namysłu. Ranił go w ramię. Tamten z sykiem odskoczył. Puścił dziewczynę i dobył noża. Był to długi, zakrzywiony, gruby sztylet. Trzeci mężczyzna znienacka podciął chłopca. Arion padł i prędko odwrócił się na plecy. Tylko po to, by ujrzeć wymierzony w siebie koniec bosaka. Przeturlał się, dzięki czemu w ostatniej chwili umknął przed ostrzem.

Wtem jeden z napastników zachwiał się. Na jego piersi wykwitła szybko szkarłatna plama. W powietrzu przemknął metaliczny błysk. Kolejny krwawy, rosnący kleks na ludzkim ciele, z wystającym z niego ciężkim trzonkiem. Ranny marynarz niebezpiecznie przechylił się przez barierkę, wywinął kozła i zleciał w kipiel fal. Arion zerwał się z miejsca, kiedy obok zjawiała się Aliya. W obu rękach złotoskóra, czarnowłosa dziewczyna dzierżyła długie miecze o cieniutkich ostrzach. W kilku śmigłych, niemal tanecznych ruchach zakończyła życie ostatniego załoganta.

– Nic ci nie jest?! – Gerk podbiegł wraz z Aliyą do Ariona.

Oniemiały chłopak wolno potrząsnął głową. Obaj wpatrywali się w opartą plecami o barierkę, przycupniętą na deskach istotę o twarzy przysłoniętej burzą włosów. Spod ich

jasnobrązowej zasłony wynurzał się tylko skrawek mokrego policzka oraz drobny, zaczerwieniony nosek. Skulona, objęła rękoma podkurczone nogi, przysłonięte bladozieloną, jedwabiście miękką suknią.

Arion podszedł do niej powoli i ostrożnie.

– Nie bój się. Nie zrobimy ci nic złego. Proszę, nie bój się. Już po wszystkim.

Jej drobnym ciałem wstrząsnął bezgłośny szloch. Wydawała się tak bezbronna, tak krucha i słaba, że Arion miał ochotę ją uściskać, pocieszyć... Schował miecz do pochwy, żeby się nie bała, po czym spojrzał na swego wuja pytającym wzrokiem, lecz Gerk już nie patrzył na płaczącą dziewczynkę. Pochylił się ku ziemi i podniósł z niej cienką, złotą obręcz o niezwykłym blasku. Bezcenną opaskę z pojedynczym kryształem.

20.

Świetlny kryształ wpleciony w cudowną złotą obręcz, wypełnił swoim blaskiem źrenice Gwinta. Brwi mężczyzny zbliżyły się do siebie w napiętym grymasie. Zdało mu się, że we wnętrzu oszlifowanej magią, fasetowej bryłki kamienia wzbierają roztańczone iskierki, formujące się w niewyraźne wzory.

Nagły huk kazał wszystkim odwrócić wzrok i odruchowo zasłonić się mieczem. Niebo nad okrętem gwałtownie przecięła czarna, dymiąca smuga, otoczona chmurą srebrnych fajerwerków. Opadła w morze pośród wycia wiatru niby olbrzymi, zestrzelony z łuku ptak. Fale zawirowały dziwnym blaskiem i rozbiegły się w mieniące kręgi. Ich głośny pomruk przypominał okrzyk konającego. W tej samej chwili na pokład z głuchym brzękiem spadł z nieba rozerwany, poczerniały łańcuch z matowym, wypalonym kamieniem, przypominającym zbiegłe oko trupa. W deskach powstało widoczne wgłębienie, niby na wpół zamarznięty przerębel. Ogniwa łańcucha rozprysły się na wszystkie strony jak odłamki suchego lodu.

– To zaklinacz. Keramirowi udało się go zabić magią – uznał Arion z pewnością, która zdumiała jego samego. Nieco przestraszony, mocno przygryzł usta. Lodowaty, powietrzny wir przemknął obok i uleciał w niebo.

Po schodach kasztelu wbiegł Tiko. Na ubraniu miał plamy krwi. Najwyraźniej nie jego własnej.

– Kapitanie! Ostatni marynarze poddają statek!

Gwinto wyprostował się jak struna. Lekko uniósł ściskany w garści miecz.

– Związać wszystkich i zgromadzić na pokładzie!

– Musisz coś zobaczyć. To ci się nie spodoba – dodał Tiko z naciskiem.

Gerik zerknął na płaczącą cichutko niewiastę, na swojego siostrzeńca i na Alię.

Szybko schował złotą obręcz za pazuchę.

– Zostańcie tu i pilnujcie tej dziewczyny! Zwiążcie ją, jeśli będzie trzeba!

– Powiedziałem, że nie zrobimy jej krzywdy – lekko zaoponował Arion.

– Tutaj ja wydaję rozkazy! – Gerk uciął dyskusję zimnym głosem. Oddalił się za Tikiem w kierunku śródokręcia, z którego sterczał okopcony, żaloszony kikut pękniętego masztu. W jego pobliżu już pętano ludzi króla, którzy ocaleli z abordażu. Z głębokiego rozdarcia w drewnie wciąż wypełzały krwawe języki ognia.

Arion zbliżył się niepewnie do skulonej, dygocącej dziewczynki. Zaczął przemawiać do niej cichym głosem. Powtarzał szeptem, żeby się nie bała, że niebezpieczeństwo już minęło. Spazmy szlochów przeszywające jej drobne ciało zaczynały z wolna ustępować. Nadal nie unosiła przyciśniętej do podkurczonych kolan, schylonej głowy. Jakby chciała się schować. Po prostu zniknąć. Arion był pewien, że doskonale wie, co ona musiała czuć. Na krótki moment nieoczekiwanie ujrzał w niej samego siebie. Znow był związany, sam pośrodku burzowej nocy, a dookoła szalał oślepiający pożar...

Przykucnął obok i opiekuńczym gestem położył dłoń na jej ramieniu.

– Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Mój wuj tak naprawdę nie jest złym człowiekiem – mruknął cicho.

Lekko drgnęła pod jego dotykiem. Pociągnęła nosem, uniosła drżący słabo podbródek i pod zasłoną jasnobrązowych, miękkich włosów przetarła oczy opuszkami palców. Zwróciła twarz w jego stronę, odgarniając falujący od wilgoci pukiel.

Chłopaka przeszły spojrzenie fiołkowych oczu. Miały czystą barwę dzikiej lawendy. Na moment powróciła myśl, że może to jednak ondynka, a nie zwyczajna, ludzka istota. W okolicach ujścia Vissli żadna dziewczynka nie przypominała jej wyglądem. Jej trójkątna twarzyczka była lekko zarumieniona od płaczu, jak gdyby pod alabastrową, niemal przepuszczającą światło skórą tętnił ogień.

– Jak cię zwą? – szepnęła głosem lekkim jak tchnienie, przełknawszy ślinę.

– Arion. A ty jak masz na imię?

Nie odpowiedziała. Tylko lekko zmarszczyła śliczne brwi. Duże oczy znów zamigotały strachem.

Aliya westchnęła głęboko, wciąż napięta i czujna.

– Właściwie co tutaj zaszło? – zapytała, próbując, na ile to możliwe, uczynić swój ton spokojnym i łagodnym. Zerknęła na chłopaka. – Możesz to wyjaśnić, Arionie?

– Ci dranie chcieli wyrzucić ją za burtę. Usłyszałem jej krzyki. Musiałem jej pomóc.

Aliya kiwnęła głową na znak, że rozumie jego pobudki.

– Ludzie króla Skyerlora to bestie – mruknęła wzgardliwie. – Jak widać, są gotowi zdobyć się na każde barbarzyństwo, nawet wobec współtowarzyszy z własnego okrętu. Ale...wyrzucić za burtę? – ostatnie słowa powtórzyła dużo wolniej, przypatrując się uważnie dziewczynce.

*

Gwinto Gerk ruszył za Tikiem do olbrzymiej kajuty na rufie. Za jej progiem czekali jeszcze Egrit i Parte. Stary sternik ścisnął w żyłastych dłoniach straszliwy topór z zadziarami, a jego uzbrojony w lekki miecz towarzysz, blady jak ściana, wpatrywał się tępo w końce własnych butów. Na widok kapitana obaj jeszcze bardziej sponępniali.

– Nie podoba mi się to, Gwinto. Bardzo mi się nie podoba – wymruczał jednooki starzec.

– O co chodzi? – Gerk przelotnie uściśnął jego żyłaste ramię. Był to gest podziękowania za wspólną walkę. Nie czekając na odpowiedź, wszedł do środka. Pozostali podążyli za nim, z bronią w pogotowiu. Okręt został wprawdzie zdobyty, lecz w jakimś zakamarku mógł czaić się nadal zbłąkany żołnierz albo marynarz.

Gwinta uderzyła nienaturalna cisza panująca w pomieszczeniu. Nie mącił jej nawet najbliższy hałas. Żadnych błagań o litość, okrzyków przerażenia, płaczu, pisku czy choćby trwożliwych szeptów. Powietrze przesycone zapachem piżma i kwiatów przeszywał czasem tylko subtelny, miękki szelest bezcennych kotar, zasłon i

baldachimów, kiedy mimowolnie dotykali ich, przechodząc.

Łoże pod oknami było puste, chociaż zaścielające je aksamitne pledy i brokatowe poduszki znajdowały się w pewnym nieładzie, sugerującym, że ktoś spoczywał tu całkiem niedawno. Lekkie wgłębienie odcisnięte ludzkim ciałem widniało nań niczym milcząca, ciepła jeszcze pieczęć.

– Ten okręt to jakaś przekłeta trupiarnia! – syknął przez zęby Egrit, po czym głośno splunął.

Na jego słowa Gwidona Gerka przeszył słaby dreszcz. Również pozostali to poczuli. Przytłumioną, metaliczną woń świeżej krwi, która zdawała się wydzielać się ze ścian.

Parte jęknął cicho. Dopiero teraz Gerk zobaczył ciała. Wokół, pod ścianami, spoczywały martwe dziewczęta. Na wpół przykryte zerwanymi kotarami, jak kolorowym całunem. Leżały tam, porażające swoją urodą i młodością, niby rozsypane, świeżo ścięte kwiaty. Podcięto im gardła, a mimo to ich twarze wyglądały wyjątkowo spokojnie. Jakby ktoś rzucił na nie obezwładniający czar. Gdyby nie krew, można by sądzić, że po prostu śpią.

– Bogowie... – szepnął Tiko, głośno wypuszczając powietrze z płuc.

– Być może wolały umrzeć, niż wpaść w ręce wrogów królestwa – mruknął Egrit, sam do końca w to nie wierząc. – Może powiedziano im, że utracą honor...

– Kto to zrobił? Jak to możliwe? Dlaczego? Czy oni poświęcili je w ofierze?! Czy tak wygląda ofiara dla smoków?! – Parte nadal nie mógł się pogodzić z tym, co zobaczył.

– Poświęcona bogom była tylko księżniczka – szepnął Gwinta zduszonym głosem. – O ile wiem, nikt nie zamierzał jej zabijać. Mieliśmy wziąć ją jako naszą zakładniczkę.

– Może wolała śmierć niż taki los? Może tak wybrała. Królowie są bardzo dumni.

– Nie chcę w to wierzyć – szepnął Gwinto ze złością.

– Dlaczego? – Tiko bezradnie rozłożył ramiona. – Popatrz tylko! Przecież to mogła być każda z nich!

To była prawda. Wszystkie dziewczęta nosiły wspaniałe, bogate stroje. Na ich

mlecznych szyjach i dekoltach połyskiwały złote lub srebrne naszyjniki, w uszach świeciły perły, szafiry, rubiny. W oczach dragitów nie było żadnej, która nie wyglądałaby na córkę monarchy.

– To nie tak miało być! – syknął Gwinto przez zaciśnięte zęby. – Czekaście tu! I zdejmijcie z nich te kotary! Zaraz wracam!

Na zewnątrz paru ludzi chciało z nim rozmawiać.

– Nie teraz! Przeszukać okręt! Każdy kąt, każdą beczkę! Musimy znaleźć księżniczkę! – rzucił do nich, wbiegając po schodach. Ruszył wprost ku skulonej na deskach dziewczynce. Chciał ją wziąć na ręce, ale kiedy przypomniał sobie, że tak właśnie schwyтали ją królewscy marynarze, po prostu pociągnął ją za łokieć.

– Pójdiesz ze mną! Chcę wiedzieć, co tu się stało!

Na jego słowa zbladła gwałtownie. Rzuciła prędkie, błagalne spojrzenie na Ariona, jakby w nim szukała ratunku. Mimo to nie odezwała się nawet półsłówkiem, nie zaprotestowała żadnym gestem. W podartej sukni, z lekko rozwichrzonymi, opadającymi swobodnie włosami i zapłakaną twarzą wyglądała wyjątkowo żałośnie. Gerku poczuł ukłucie żalu, jednak był teraz zbyt wzburzony, żeby okazać współczucie. Serce biło mu niespokojnie. Czy to możliwe, że to ta wątła istota była żyjącą boginią, sławioną w pieśniach ludu księżniczką Lumina? Uczepił się tej myśli.

– Chcę pójść z wami! – oznajmił Arion.

Gwinto nie odpowiedział. Siostrzeniec podążył za nim jak cień. Właśnie ocalił czyjeś życie i teraz czuł się za nie odpowiedzialny. Chłopak oczy miał utkwione w dziewczynie. Nie pozwoli, żeby spadł jej choć włos z głowy. Ona była taka krucha, delikatna. Od razu widać, że była ofiarą, a nie ich wrogiem.

Cała czwórka, łącznie z Aliją, weszła do komnaty na rufie.

– Jak mogliście?! Wuju, jak mogliście?! – wykrzyknął Arion przez ściśnięte gardło.

Nie wierzył własnym oczom.

Wstrząsnął nim widok tylu bezbronnych, martwych ciał. Dłoń bezwiednie

poszukała miecza, konwulsyjnie zacisnęła się na rękojeści.

Gerka szybko ujął go za ramię.

– Przysięgam ci, chłopcze! Przysięgam, że to nie my! Te dziewczęta nie zostały zabite przez nas.

Chłopak się zmieszał. Wolno wypuścił powietrze z płuc. Zerknął niepewnie na bladą jak śnieg dziewczynkę. Przełknął ślinę, choć odczuwał suchość w ustach, a w żołądku bolesny ucisk.

– A ona?! Czemu ją tu przyprowadziłeś?! – zachrypiał.

– Tylko ona może wiedzieć, co się tu stało, nie rozumiesz? – Zimne opanowanie, które nie opuszczało Gerka w czasie bitwy, rozpięchło się, gdy przekraczał próg tej kajuty. Niepewność sytuacji, rozczarowanie, groza, niejasne współczucie i wreszcie wściekłość łączyły się w jego wnętrzu w niebezpieczną, wybuchową mieszankę. Umysł przypominał wrzący tygiel.

Przykląkł przed nieznaną. Jej delikatna twarz przypominała drżący śniegowy płatek, gotów rozpląnąć się albo skruszyć pod nieopatrzny dotknięciem. Powiew zimowej świeżości w środku lata.

– Ja masz na imię?

Nie odpowiedziała. Fiołkowe oczy połyskiwały strachem.

– Nie zrobimy ci krzywdy, nie bój się. Musimy wiedzieć, co się stało z księżniczką. Znasz ją, prawda?

Przygryzła usta. Powoli skinęła głową.

– Czy księżniczka jest w tej komnacie?

Dziewczynka przytaknęła. Wszyscy drgnęli.

Gwinto wyciągnął zza pazuchy złotą obręcz diademu ze świetlnym kryształem. W powietrzu wokół kamienia zamigotały niespokojne iskierki blasku.

– Leżało tam, gdzie znalazł cię mój siostrzeniec. Należy do ciebie, prawda?

Na ułamek chwili dostrzegł coś jakby wahanie w jej oczach. Wypełniły się łzami.

Zakryła twarz dłońmi i zaczęła szlochać.

– Wiedziałem! – szepnął Gwinto. – To ty! Ty jesteś Lumina, prawda?!

Jego ostatnie słowa pokrył ochrypły, dochodzący gdzieś z boku jęk. Przeciągłe, rozpaczliwe zawodzenie. Jedna z kotar wyrzuciła się niespodziewanie, a pod materiałem zarysowała się niska postać. Była widoczna pod światło jako pokraczny cień. Podniosła ręce. Na moment wszyscy uwierzyli, że ukazuje im się zjawa. Wówczas jednak ujrzeli jęczącą głośno starowinkę w sztywnej sukni ze złotogłowiu. Jak to możliwe, że przez cały czas się ukrywała?!

Staruszka padła na kolana przed Gwintem, nim ktokolwiek zdążył zareagować.

– Miejcie litość! Miejcie litość nade mną! Moja pani nie żyje! Księżniczka Lumina nie żyje! Kazali ją zabić, kiedy napadnięto statek!

– Kto?! Kto kazał ją zabić?! – Gerk złapał za kołnierz sukni i ściskając go w garści, podniósł staruszkę na nogi.

– Magowie, panie! Zaklinacz! – zachrypiała. – Żebyście jej nie dostali! Żeby nie dopuścić do świętokradztwa!

– Skąd to wiesz?!

– Widziałam, panie, widziałam! Schowałam się tutaj, kiedy je zabijali!

Gerk skrzywił się. Poczul litość, ale i odrazę. Puścił ją.

– I postąpiłaś tak tchórzliwie? Ukryłaś się, zamiast stanąć w obronie swojej pani? Co z ciebie za sługa?

Stara załamała ręce. Upadła na kolana, jęcząc, płacząc, krztusząc się i zawodząc.

– Nic nie mogłam poradzić, panie! Ja stara! Słaba i stara, jak dałabym radę z żołnierzami? Nie dałabym rady, panie! Moja pani! Moja piękna księżniczka zabita!

Szarpała siwe włosy upięte w wielki kok, wbijała paznokcie w pomarszczone policzki, zalewając się grubymi łzami. Wyła jak zbity pies. Ślina chlapała jej z ust. Zachowywała się, jakby rozpacz odbierała jej zmysły.

– Gdzie jest księżniczka? – warknął Gwinto.

Starownika zerwała się z dziką zręcznością, żeby upaść na kolana przed jednym z ciał.

– Tutaj, panie! Tutaj! Tu spoczęła, żyjąca bogini Crystallum, najjaśniejsza gwiazda w koronie swego ojca! Moja biedna, piękna pani nie żyje! Księżniczka Lumina! Królewskie dziecko poświęcone bogom! Księżniczko! Ach, pani moja, księżniczko! Dlaczego to ciebie spotkało? Spójrz, panie! Jej włosy złote jak słońce o poranku, jej skóra gładka jak najdoskonalsza z pereł! Głos miała czysty jak kryształ, uśmiech słodszy niż miód zbierany w krainie Dratros! Tutaj spoczęła jedyna córka domu królów! Piękna dziewica poświęcona bogom!

Stanęli milczącym półkolem wokół ciała młodej dziewczyny o wciąż otwartych, wpatrzonych w pustkę oczach. Grube, pszeniczne loki wiły się wokół jej młodziutkiej twarzy o wygiętych w delikatne łuki brwiach i zdecydowanie zarysowanych kościach policzkowych. Szlachetny, prosty nos pokrywały delikatne, bladozłote piegi. Na głowie nosiła drogocenny pątlak ze złotych nici, w uszach wielkie perły w kształcie łez. Suknia w kolorze malin miała sznurowany z przodu gorset mocowany połyskliwą tasiemką. Ramiona wciąż okalała zachlapaną krwią, krótka pelerynka obszyta gronostajem. Zupełnie jakby dziewczyna szykowała się, żeby wyjść na zewnątrz.

– To naprawdę ona? – wykrztusił Gwinto przez suche, piekące gardło.

– O, nieszczęsna! Wybrała śmierć! Śmierć! Woląca to niż świętokradztwo z waszych rąk! Gdyby nie wy, panie, ona żyłaby nadal! – zaskrzeczała stara służąca, zawodząc nad ciałem zmarłej.

Gwinto odwrócił się raptownie i przyciągnął za łokieć dziewczynkę, którą uratował Arion.

– To prawda, co mówi ta kobieta? Czy tutaj leży twoja pani, księżniczka? To naprawdę ona? Czy ta starucha próbuje mnie okłamać, żeby ocalić cię przede mną? Odpowiadaj!

Wszyscy spoglądali na dziewczynkę jak na wyrocznię. Ona zaś patrzyła na ciało

zabitej ze szklistym, zamglonym spojrzeniem. Przełknęła ślinę. Splotła smukłe dłonie z pojedynczym pierścionkiem na drobnych piersiach, jakby kuliała się z zimna.

– To prawda – szepnęła cicho, lecz zdecydowanie. Na moment zacisnęła powieki. – Księżniczka Lumina nie żyje.

Stara służąca wybuchnęła nową falą płaczu i zawodzeń.

– Odebrali mi moją zemstę! – wyszeptał Gwinto ze straszną, napiętą twarzą.

Jego oczy zwężyły się. Oskarżycielsko wymierzył palec w dziewczynkę.

– Nie wierzę w wasze słowa! Obie jesteście w zмовie! Ale nie odejdę stąd bez zakładniczki. Nie po to walczyliśmy, żeby zostać z pustymi rękoma. Popłyniesz z nami, moja mała. Zabierzcie ją na okręt! Natychmiast! Jazda!

Tiko ujął dziewczynkę pod ramię i szybko wyprowadził. Sunęła przy nim jak zbłąkany, bezwolny cień.

– Nie możesz tego zrobić! Po tym, co ją spotkało? To okrutne! – zaprotestował cicho Arion.

– Okrutne?! – Gerk zaśmiał się zimno, po czym rozłożył ręce, jakby prezentował mu komnatę. Ciała dziewcząt tkwiły w niej niby woskowe figury. – Naprawdę wolałbyś, żeby została tutaj?

Egrit, który zniknął na moment z Tikiem, zbliżył się do nich pospiesznie.

– Kapitanie, ludzie pytają, co chcesz uczynić z jeńcami. Nie jest ich wielu, ale...

– Każ rozwiązać ich pęta. Wsadźcie ich do szalupy. Zapakujcie do niej zapasy na drogę. Dajcie im w ręce wiosła. Ta starucha popłynie z nimi. Kiedy się ich pozbędziesz, przywołaj tu Keramira. Niech wyrecytuje nad ciałami zabitych odpowiednie inkantacje pogrzebowe.

Egrit skinął głową.

– A co z karawelą? To wspaniały statek. Gdyby wśród naszych znalazł się odpowiedni kapitan...

– Zabierzcie wszystkie kryształy, jakie tylko znajdziecie. Musi być tego sporo, skoro

mieli tutaj trzech czarodziejów – przerwał Gerk. – Gdy Keramir skończy swoje modły, nakazuję spalić ten okręt.

Stary sternik zmarszczył brwi.

– W tej sytuacji to jedyny stos pogrzebowy, jaki możemy zaoferować tym niewinnym. – szepnął Gwinto, spoglądając ponuro na pszenicznowłosą dziewczynę.

– Tak jest, kapitanie. – Starzec ruszył wykonać rozkaz.

– Egrit. – Gwinto zatrzymał go ruchem ręki. Zasepił się. – Zanim dasz jeńcom zapasy i wiosła do ręki, zanim spuścisz ich w szalupie na morze... Każ ich oślepić.

– Tak jest, kapitanie.

*

Mgły, które spowijały morze podczas starcia okrętów, rozpełzały się z wolna grubymi smugami, niczym tłuste, leniwe węże. Z ust Keramira wydobył się cichy szmer zaklęcia i smocze żagle napięły się mocniej, wydęte magicznym podmuchem. „Krogulec” sunął w kierunku wysp na ciemniejącym horyzoncie niczym napuszczony, czarny łabędź.

Mag kątem oka dostrzegł Ariona. Chłopiec przyglądał mu się przez chwilę w momencie, kiedy ten rzucał czar, stojąc w pewnej odległości przy relingu. Obecnie obaj wpatrywali się w ten sam punkt, oddalający się w jednostajnym tempie, tak samo jak cała przeszłość.

Obserwowali zagładę wielkiego okrętu. Płonąca karawela jarzyła się na tle nadciągającego zmierzchu, oplątywana jęzorami ognia i zmieniającymi się w szarą kurzawę smugami dymu. Zanurzała się w wodę z cichym, mrocznym pomrukiem, przechylając się coraz mocniej na lewą burtę. Pożar pełgał po masztach, wgryzał się w jej drewniane cielsko. Keramir widział cudownie rzeźbiony kasztel rozświetlony grą migoczących cieni. Żar ożywiał oczy stworzeń przedstawionych na nim przez artystę: krakenów, wielorybów, ondynek. Zdawało się, że ogień tchnął duszę w te istoty, które

teraz, pośród szalejących światła, niecierpliwiły się, żeby całkiem zanurzyć się w oceanie, jakby dotąd więził je potężny czar.

Czarodziej odetchnął głęboko i znów spojrzał w bok.

Ariona już nie było.

Zamrugnął kryształowymi oczyma i zasepił się lekko. Pomyślał, że w jakimś miejscu na mapie Wszechrzeczy królewska karawela będzie płonąć do końca świata. Dopóki nie ostygnie twórczy ogień Iskry, dopóki cały żar istnienia nie skostnieje, by obrócić się w kryształ, dopóty ci, którzy poprzez zasłonę bieżącej chwili potrafią dostrzegać przeszłość i przyszłość, będą mogli natrafić przypadkiem na jasny punkcik pośrodku oceanów.

Mag potarł ręką czoło. Próbował wyciszyć emocje, ale dręczyły go niepokój i wściekłość. Mocniej owinał się czarnym płaszczem, który zdjął z ciała zabitego zaklinacza. Od morza wionęło chłodem nocy. Keramir ruszył do kajuty kapitana.

Zapukał i usłyszał krótkie „wejść”. Nie cierpiał tego rozkazującego tonu. Skrzywił się lekko, chociaż dobrze rozumiał, że Gwinto po prostu przywykł do wykonywania poleceń.

Gerk siedział przy stole razem ze starym sternikiem o jednym oku pokrytym gładkim bielmem. Przed nimi stały dwa opróżnione kielichy po winie. Nie wyglądało na to, by zamierzano rozlać więcej trunku. Zwycięstwo w morskiej bitwie świętowano po cichu, bez toastów, bez tańców i śpiewów, które tak kochali ludzie morza. Keramir widział, że mimo wygranej załoganci pozostali poważni, niemal przygnębieni. Niewyjaśniona śmierć niewinnych dziewcząt na karaweli, jeszcze dzieci, kładła się cieniem na ich nastroje. Zajmowali się naprawą takielunku, pospiesznie przygotowując okręt do zapadającej nocy. Częściej niż zwykle spoglądali na swe talizmany, a co najbardziej przesądni otwarcie powtarzali zrodzoną gdzieś plotkę, że po okręcie pod osłoną ciemności krąży upiór. Nienaturalna, piekielna istota, której przejście znaczą truchła martwych szczurów.

– Chcę porozmawiać – oznajmił Keramir.

– Mów więc. – Gerk wskazał mu krzesło. – Wina?

– Na osobności – dodał czarodziej zamiast odpowiedzi, nie poruszając się z miejsca.

Egrit podniósł się niespiesznie, wciskając na głowę kapelusz.

– Chyba już pójdę – wymamrotał pod nosem, mierząc zaklinacza nieprzychylnym spojrzeniem. Zerknął na Gwinta, jakby chciał powiedzieć: „Uważaj na niego. Nie ufaj mu. To mag”.

– Egrit. – Gwinto zatrzymał swego zastępcę. – Miałem ci zaproponować, że przez jakiś czas możemy razem mieszkać w tej kajucie. W twojej umieścilibyśmy tę dziewczynkę. Miałabym tam wygodniej niż... – zawahał się. – To tylko na jakiś czas. Zgadzasz się?

– Ja? W kajucie kapitana? – powtórzył starzec powoli, drapiąc się po ogorzałym, pokrytym siwym zarostem policzku. – No, wiesz. Pomyślę o tym. Ty tu rządzisz, Gwinto.

– Dobra. Zastanów się. Ja też jeszcze sobie to przemyślę. Pogadamy potem.

– Jasne.

Starzec wyszedł i Gerk ponownie wskazał krzesło Keramirowi, po czym napełnił dla niego złoty kielich, zaledwie dziś zrabowany z karaweli.

– To może ja zacznę – powiedział, przechylając dzban nad własnym naczyniem. – Chciałem ci podziękować, Keramirze. Za dzisiejszy dzień, za całą bitwę. Doprawdy, jesteś potężnym zaklinaczem. Mistrzem w swoim fachu. Mam nadzieję, że zakosztowałaś zemsty na królu. Nie sądziłem, że to powiem, ale naprawdę cieszę się, że mamy cię po swojej stronie. Przyjmij moją wdzięczność, Keramirze.

– Wolałbym usłyszeć od ciebie prawdę, kapitanie.

– Prawdę? – Gerk wstrzymał kielich wędrujący do ust. Zmrużył oczy. – Mów jaśniej. Jestem prostym żeglarzem.

– Jesteś znakomitym żeglarzem i odważnym człowiekiem. Mógłbyś osiągnąć wiele,

gdybyś nie wybrał złej drogi. Beznadziejnej drogi buntownika. Zaslepiają cię własne marzenia. Gorycz. Żądza zemsty.

Gerik odchylił w tył głowę i roześmiał się krótko.

– I kto to mówi? Ty, którego współbracia skazali za zdradę? Ty, który spiskowałeś przeciwko królowi? Wybacz, lecz jesteśmy do siebie podobni. Obaj nie mogliśmy wieść zwykłego życia i być tylko jednym z setek pokornych poddanych.

– Ale ja jestem magiem.

– I co z tego?! – zachnął się kapitan, uderzając dłonią w stół.

– Skoro to dla ciebie tak mało istotne, skoro nie widzisz między nami znaczącej różnicy, czemu nie powiedziałeś mi, że na karaweli podróżuje jedyna córka króla Skyerlora?

– Wiedziałeś, że chcemy napaść na okręt królestwa.

– Lecz nie wiedziałem, że na pokładzie jest księżniczka!

– Czy to takie istotne?

– Tak! Być może wówczas jakoś zapobiegłbym jej śmierci! Powstrzymałbym cię...

– Mnie? Przed szukaniem słusznej zemsty? Przed ściganiem ludzi, którzy rzucili w ogień moją siostrę? Chcieli spalić ją żywcem, rozumiesz?! Była dla mnie droższa niż wszystkie córki królów tego świata!

– Ale księżniczka Lumina...

– Mnie obchodziła moja siostra, nie księżniczka! Matka mojego siostrzeńca, Ariona!

– Gwinto zacisnął dłoń w pięść. – Przykro mi, ale czasu nie cofniemy. Najwyraźniej Lumina zginęła. Nie ja ją zabiłem, tylko słudzy jej ojca. Sam król poczuje to, co czułem ja, tracąc najbliższych. Stało się i już!

– Nie rozumiesz, jakie to może mieć konsekwencje!

– Daj mi skończyć!

– To ty mnie posłuchaj! – Keramir wstał z krzesła, jego oczy rozpały się srebrnym światłem. Obaj mężczyźni zamilkli jednocześnie.

– To ty przyszedłeś do mnie, więc dobrze, mów... – burknął Gwinto po pełnej napięcia chwili ciszy. Rozparł się na krześle, odchylił do tyłu i założył zgiętą nogę na kolano.

Czarodziej usiadł sztywno, po czym westchnął.

– Niewiele o mnie wiesz, prawda? Wolałbym, żeby tak pozostało, jednak jeśli mamy współpracować, powinienes...

– Wysoki Mag powiedział, że spiskowałeś przeciwko królowi. Dlatego zamierzali uwięzić cię na Namirii – wyjaśnił cicho Gerk, którego ogarniał chłód i niepokój, ilekroć wspominał Lyelyebana. Przed tym człowiekiem każdy musiał czuć respekt. Jeśli bractwo dragitów zyskałoby takiego sojusznika, idee, o które walczą, miałyby szansę rozkwitnąć.

– Owszem. – Keramir lekko skinął głową. – Spiskowałem przeciwko królowi. Nie byłem w tym jednak osamotniony. Pojedynczy człowiek, nawet mag, najprawdopodobniej nie byłby w stanie nawet myśleć o zamachu na życie Skyerlora. Widziałeś kiedyś Zamek Wiatrów? To istna forteca. Dwór przypomina ul. Pełno szpiegów i nieujawnionych strażników. A nam się udało to zorganizować...

– Zamach?

– Skrytobójstwo, jeśli wolisz. Nie powiodło się, nie doszło do skutku.

Gerk słuchał z ogromną uwagą.

– Jak widać nie tylko wśród ludu terror stosowany przez Skyerlora wzbudza nienawiść – rzekł cicho, wpatrując się w Keramira.

– Nie chodzi o to. Dla wielu magów nie do przyjęcia jest fakt, że na tronie zasiada pan, który nie włada mocą. Jeśli król nie jest magiem, co z naszą religią? Co z kultem mocy, z wydobyciem kryształów? Z odwiecznym porządkiem, w którym wyznacznikiem pozycji człowieka jest magia?

– Ty uważasz, że to jest właściwy „porządek”, że ten świat powinien być zarządzony w ten sposób? Wyzysk jednych i bezkarność drugich?! – wyszczał Gwinto, czując, jak

krw krew bije mu na policzki, które ciemnieją z gniewu.

– Świat nie jest sprawiedliwy.

– Ale ludzie powinni go takim uczynić! Nie sądzisz?

Keramir nie miał ochoty na nową awanturę.

– To, co ja uważam, nie ma teraz znaczenia. Jestem tutaj więźniem – wyjaśnił chłodnym, obojętnym głosem. – Liczy się to, że w oczach magów Skyerlor nie jest prawowitym królem, rozumiesz? Uważają go za uzurpatora. Są też tacy, którzy próbują nim sterować. Jednak większość, która wyznaje zasadę czystości krwi, pragnęła osadzić na tronie księżniczkę Luminę. W tym ja. Należałem do frakcji Sykiarda.

Gerik nabrał w płuca wielki haust powietrza i wypuścił go wolno, nadymając policzki. Poczł, jakby ktoś położył mu kamień na piersi.

– Na demona, nic z tego nie rozumiem... – Wstał i zaczął przechadzać się tam i z powrotem z rękami splecionymi za plecami. – Mów jaśniej, do diabła! Jaka frakcja Sykiarda? Chodzi o poprzedniego króla, tak? Brata panującego nam Skyerlora. O nieboszczyka! Jaki związek miała z tym księżniczka? Czyżby...

– Księżniczka Lumina to córka króla Sykiarda i królowej Rykieli. Dziecko pogrobowiec prawowitego władcy. Tylko ona ma pełne prawo sprawować władzę.

Gerik się zatrzymał.

– Przecież król poświęcił ją bogom!

– Owszem. Żeby pozbyć się jej z zamku i umocnić własną pozycję. Oddalić jedyną konkurentkę do tronu. – Keramir mówił powoli, znużonym głosem, jak ktoś, kto wyklada lekcję opornemu dziecku. – Jedno jest pewne. Ani Skyerlor, ani członkowie frakcji Sykiarda raczej nie chcieli jej zabić. To twoja interwencja przyczyniła się do jej śmierci. Nie mogli pozwolić na porwanie księżniczki. – Mag westchnął cicho. – Chciałeś zemścić się na Skyerlorze, ale tylko się mu przysłużyłeś, kapitanie. Jedyna osoba, która mogłaby zająć jego miejsce w Zamku Wiatrów, najwyraźniej nie żyje.

– To nie jest przesądzone. Jest jeszcze szansa. Uratowała się dziewczynka – wycedził

Gerik, doskakując do maga znieczeka. – Do diabła, muszę wiedzieć, co zaszło na tym przeklętym statku! Co się stało z księżniczką! – Te słowa wprawiły Keramira w zdumienie. Gwinto chwycił go za ramię i zacisnął palce. Jego niebieskie oczy lśniły jak stal. – Wygląda na to, że wiesz o wiele więcej, niż chcesz przyznać, zaklinaczu. Nie spodziewałem się tego. Ty powiesz mi, czy to ona! Pójdiesz ze mną!

21.

Arion leżał na koi w pustej, ciemnej kajucie. Medyk kończył opatrywać rannych pod pokładem i odprawił już swojego pomocnika. Keramir zapewne nadal krzątał się tu i tam, rzucając czary naprawcze na poszycie i nadburcia szkunera. Niektórzy załoganci gratulowali sobie ściszonymi głosami takiego zaklinacza pogody. To wprawdzie mag, ale był świetny w swoim fachu i tego dnia dopomógł im w zwycięstwie. Uczynił więcej. Zabił innego maga. O czymś takim nigdy jeszcze nie słyszeli. Niektórzy nie chcieli nawet w to uwierzyć. Sądziли, że to plotka zrodzona w chaosie bitwy. Wiadomo przecież, że srebrzystoocy wzdragają się przed przelewaniem krwi członków własnej kasty. Najważniejsze, że teraz magiczny powiew napełniał smocze żagle, oddalając ich prędko od płonącej karaweli, naznaczonej śmiercią i szaleństwem. Nawet Spenker, zwykle zrzędlivy i pałający nienawiścią do czarodzieja, szepnął dziś pojednawczo do Ariona, wskazując na Keramira: „Widzisz, kapitan jednak wiedział, co robi, kiedy zabrał go z tej przeklętej Namirii”.

Arion przymknął oczy. Czuł się wyczerpany. Rozdarty. Oszołomiony wszystkimi wrażeniami tego długiego dnia, który zdawał się przechodzić w noc, ale nie kończyć się. Chciałby zasnąć i jednocześnie czuł, że to niemożliwe. Przekręcił się na bok. Za niedużym oknem zaróżowiony księżyc w pełni wolno wznosił się nad dalekim horyzontem. Chłodne, trwożliwe światło zaczynało sączyć się do środka niby strużki drgającej rtęci albo kłaczkę przejrzystego kurzu. Serce chłopaka waliło jak młot w rękach szalonego kowala. Pod czaszką migwały urywki świeżych wspomnień. Ogromna fala. Wuj wykrzykujący rozkazy, które porywają za sobą ludzi. Abordaż karaweli. Keramir podczas próby sił z innym czarodziejem, otoczony srebrzystymi jęzorami magii. Krew, huk i walka. Zabita księżniczka o pszenicznych włosach, leżąca pośrodku

komnaty strasznej jak grobowiec. I ta dziewczynka, którą uratował. Serce zabiło mu mocniej. Ta jedna myśl przynosiła ulgę, dumę, niemal radość. Ocalił ją. Dobiegł tam na czas.

Zamknął oczy i nagle spadł na niego sen. Śniło mu się, że ona uśmiecha się do niego. Jej fiołkowe oczy świecą własnym światłem, jasnobrązowe włosy rozwiewa wiatr, kąciaki drobnych ust unoszą się w górę. Stoją razem przy dziobie okrętu, który dryfuje gdzieś niespiesznie, obraca się leniwie jak liść nenufaru. Arion chwytą ją za rękę i razem przeskakują przez burtę. Powierzchnia morza ugina się pod nimi łagodnie i miękko, niby cienki, aksamitny dywan. Biegną po niej obok siebie, nadal trzymając się za ręce. Ich kroki wzbudzają słabe kręgi na wodzie, w której niebo odbija się jak w zwierciadle. Plusk ich bosych stóp, uderzających lekko o taflę wód, stanowi jedyny hałas oprócz szmeru wiatru. Smugi rozlanych obłoków mieniają się światłem i barwami letniego świtu.

Nagle jakieś łupnięcie, jakby stukanie w drewno, kazało mu się zbudzić. Ciemność zmiotła senną wizję sprzed jego oczu. Księżyc nadal wznosił się tuż nad horyzontem, na którym nie zgasły jeszcze ostatnie łuny zachodu. A może to tylko daleki odbłask płonącej karaweli...

Kajuta była pusta.

Arion poczuł, że musi zobaczyć tę dwórkę. Nie zaśnie, jeśli tego nie uczyni. Pomyślał o tym, jakie przerażenie pewnie wzbudzał w dziewczynie ten obcy statek o smoczych żaglach, podczas gdy wokół na oceanie zapadała noc.

Wyszedł na wąski korytarz, na którego końcu znajdowała się kajuta kapitana. Kiedy zmierzał do drzwi, usłyszał nerwowy głos Gwinta i kroki dwojga ludzi. Zobaczył, że jego wuj i zaklinacz pogody idą przejściem pod pokładem w kierunku dziobu, żeby zatrzymać się przed malutkim pomieszczeniem, które zajmowała Aliya. Arion stał nieruchomo, obserwując tę scenę. Jego wuj krótko i zdecydowanie zapukał do drzwi. Czarnowłosa dragitka otworzyła pospiesznie i obdarzyła go zdumionym spojrzeniem.

Na jej ciemnoziłotej, ślicznie wyrzeźbionej twarzy pojawiło się lekkie zmieszanie. Chłopak przypomniał sobie, co mówił Kotwica o uczuciu, jakim skrycie darzyła kapitana, i w jednej chwili w myślach przyznał mu rację. Gwidon Gerk był jedynym człowiekiem, przy którym pewność siebie, ironia i cięty język opuszczały tę dziewczynę. I nie chodziło tylko o to, że Gwinto był dowódcą. Za tym wszystkim kryło się coś jeszcze. Coś, czego Arion wcześniej nie zauważał, a co dostrzegł teraz, w tym mrocznym korytarzu, w wyrazie jej twarzy i w tonie głosu, który przy Gerku stawał się miękniejszy, niższy, łagodny.

Ona, która w czasie bitwy nie okazała strachu, drgnęła, gdy kapitan rzucił jej prosto w twarz:

– Gdzie dziewczynka?

– Tutaj, kapitanie.

Otworzyła szeroko drzwi.

– Przyprowadź ją – rozkazał Gerk niecierpliwie.

Arion poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. Stał w ciemności jak sparaliżowany, czekając na pojawienie się tej młodziutkiej dwórki, i nie wiedział do końca, co powinien zrobić.

Keramir musiał wyszeptać jakieś zaklęcie, bo kryształ w jego łańcuchy zapłonął jak blada lampa, roztaczając dookoła plamę światła. Usłyszeli lekkie, ciche kroki bosych stóp i chyba urwane łkanie. Dziewczynka wyszła za próg. Lekko zadarła głowę i utkwiała dziwnie spokojny, wyczekujący wzrok w czarodzieju. Arion dostrzegł ślady wilgoci na jej policzkach. Nadal miała na sobie bladozieloną suknię. Rozpuszczone włosy, tym razem starannie rozczesane, spadały w dół, sięgając jej bioder. Delikatna skóra zdawała się przepuszczać cudowne światło płynące z kamienia.

– Czy to księżniczka? Czy tylko jedna z jej dwórek? Wiem, że jesteś w stanie się tego dowiedzieć. Zabiję cię, jeśli skłamiesz – rzekł głucho Gwinto, krzyżując ramiona. Twarz miał napiętą, oczy błyszczące jak w gorączce. Zaciskał usta w bladą, cienką

kreskę.

W głowie Keramira zakłębiło się od myśli i pozazmysłowych, intensywnych wrażeń. Pojawienie się tej drobnej istoty, z którą stał teraz twarzą w twarz, całkowicie zbiło go z tropu. To było coś, co autentycznie go zdumiało. Coś, co w jakiś subtelny, ulotny sposób wstrząsnęło nim prawie tak mocno jak niekończące się godziny tortur z rąk Lyelyebana. Jakże dziwny splot różnych wydarzeń postawił ich w tej chwili naprzeciw siebie! Czy ona wiedziała o Frakcji Sykiarda? Czy podejrzewała, jak wielu magów pragnie osadzić ją na tronie? Nie był tego pewien. Członkowie frakcji chronili swoją tożsamość. Używali pseudonimów, szarad, łamigłówek, magicznych rebusów, sekretnych wiadomości i ulotnych haseł. Trochę z ostrożności, a może i trochę z nudy, magowie zaprzęgli do swojej sprawy cały arsenał wymyślnych zagadek i artefaktów, czarów przemiany, osłony i mistrzowskiej iluzji, tworzących razem jedyną w swoim rodzaju aurę spisku.

Keramir wolno wypuścił powietrze z płuc. Sięgnął po drobną, bladą rękę dziewczynki. Na serdecznym palcu załśnił prosty pierścionek. Obrączka przypominała aratrańską stal. Dziewczynka nie protestowała. Delikatnie ujął jej dłoń i odwrócił wnętrzem do góry. W blasku kryształów natychmiast wyłowił połyskliwy, bladej niczym najcieńsza blizna zarys runy, którą wypalił na skórze święty ogień wyroczeni.

Wahanie zamigotało na moment w kryształowych oczach. Jakaś niewymowna, głęboka ulga kazała Keramirowi skłonić się głęboko. Schylając głowę, jednocześnie uniósł jej drobną, drżącą dłoń do ust i złożył na niej suchy pocałunek.

– Oto prawowita królowa Crystallum. Księżniczka Lumina Sikria, jedyna córka władającego magią Sykiarda. Żyjąca bogini, towarzyszką smoków...

– Wiedziałem! – wykrzyknął Gwinto, zaciskając pięść na złotej monecie, którą dotąd niepostrzeżenie przekładał między palcami. – Wiedziałem, że los mnie całkiem nie opuścił! Cała załoga musi się o tym dowiedzieć. Aliyo, zwołaj ludzi. Wszyscy na pokład! Dziś będziemy świętować aż do rana! Mamy na pokładzie córkę króla!

Kapitan wziął dziewczynkę za rękę i pociągnął za sobą, żeby natychmiast zaprowadzić na górny pokład. Wtedy Arion wynurzył się z mroku i zastąpił mu drogę.

Gwinto zatrzymał się, szczerze zdumiony. Żadne z nich nie zauważyło wcześniej chłopaka. Arion poczuł na sobie jednocześnie pytający wzrok wuja i wbite w niego, przejrzyste jak niebo spojrzenie dziewczynki. Nic poza jej oczyma nie zdradzało strachu. Żadne słowo skargi nie padło z jej ust.

– Arionie...

– Zostaw ją.

– To księżniczka! Rozumiesz?

– Ona nie jest księżniczką...

– Mylisz się! – roześmiał się szczerze Gwinto, w półmroku błysnął białymi zębami i poklepał siostrzeńca krzepko po ramieniu. – Keramir ją rozpoznał. Ręczy za to. Prawda, Keramirze?

Za jego plecami czarodziej skinął głową.

– Nie ma wątpliwości. To księżniczka Lumina – zapewnił.

– Udało nam się dopaść córkę króla, Arionie. Obiecałem ci zemstę, chłopcze, i dotrzymałem słowa. A to dopiero początek. Chodźmy szybko to uczcić – rzucił Gerk wesoło, wymijając go zwinnie i pnąc się razem z dziewczynką po schodach zejściówki.

– Zaczekaj!

Arion ruszył za nim na górny pokład. Przy masztach kołysały się latarnie z kryształów, pełniący wachtę dźwżyli kryształowe pochodnie. Na ocean spadła księżycowa noc, zachodni horyzont tlił się żyłkami złota. Księżyc w pełni rósł w oczach niczym srebrna dynia.

Chłopak chwycił Gwidona Gerka za przedramię.

– Tak nie można! Ona jest przerażona, nie widzisz? Nie pamiętasz już, co ją dzisiaj spotkało? Co z nią zrobicie? Chcesz ją pokazać teraz wszystkim jak jakieś zwierzę w cyrku? – powiedział głosem zduszonym od smutku i złości.

– Owszem. – Gerk raptownie puścił dziewczynkę, która cofnęła się i oparła plecami o bezanmaszt. Uśmiechnął się krzywo. – Mamy co świętować. To część naszej zemsty, Arionie! – Oparł dłonie na ramionach chłopca, zaglądając mu w oczy. – Właściwie to dopiero jej początek!

Siostrzeniec cofnął się w chwili, kiedy Gerk chciał go uściskać.

– Nie chcę tego. Nie chcę takiej zemsty, wuju. Proszę, byście zostawili ją w spokoju. – Potrząsnął lekko spuszczoną głową. Zerknął na moment na młodziutką nieznajomą. Promyk wschodzącego nad morzem księżycy błąkał się po jej lekko falujących włosach.

Poczuł, jak skupiają się na nim spojrzenia kilku załogantów. Zwołani przez Aliję ludzie zaczęli gromadzić się przed wyżką rufową. Keramir i czarnowłosa dragitka przysunęli się bliżej. Gwidon Gerk lekko zmarszczył brwi. Mimo to odezwał się z uśmiechem:

– Dlaczego? Czemu mielibyśmy dać jej spokój? Dlaczego mielibyśmy zaniechać słusznej zemsty? – Lekko wzruszył ramionami.

Arion zawahał się. Serce zabiło mu mocniej.

– Bo... ona... ona wcale nie jest księżniczką – odpowiedział głośno, mimowolnie rzucając kolejne spojrzenie na Luminę.

Gerk uśmiechnął się kącikiem ust, co nieco złagodziło jego smagłe rysy. Westchnął z nutką zniecierpliwienia.

– Myślałem, że już to sobie wyjaśniliśmy. Zaklinacz poświadczył, że to właśnie ona.

– Zaklinacz kłamie! – wypalił Arion, celując palcem w Keramira.

Wśród zbierających się ludzi przebiegł szmer. Niektórzy zaczęli gestykulować żywiołowo, rozprawiając przy tym ściszonymi głosami. Spoglądali podejrzliwie na czarodzieja, energicznie kiwając głowami.

– Może chłopak ma rację, Gwinto – rzucił Kotwica tonem lekkiego wahania. – To w końcu mag. Nie powinniśmy mu ufać.

Oczy kapitana były zwężone, pięści zacisnęły się lekko.

– Nie o to chodzi – mruknął powoli, odrobinę przeciągając zgłoski. Na moment spuścił wzrok. – Prawda, Arionie? – Uniósł oczy, które stały się chłodne jak stal. – Nie o to ci chodzi, czyż nie, mój chłopcze? Po prostu ty zawsze musisz być przeciwko mnie. Nie potrafisz mi wybaczyć tego, co się stało. Wciąż obwiniasz mnie o śmierć twoich rodziców. Wygląda na to, że będziesz robił to już zawsze. Obojętnie, czego bym nie uczynił, to ja pozostaję dla ciebie wrogiem. Nie król, nie magowie, tylko ja. Przyznaj to, Arionie. Powiedz mi to otwarcie! – Gerk rozłożył ramiona w geście bezradności.

Arion poczuł, jakby połknął bryłę lodu. Przełknął ślinę.

– Keramir naprawdę kłamie – wykrztusił.

– Czyżby? – Kapitan postąpił krok do przodu.

Załoganci, otaczający ich teraz jak ścisły mur, całkiem zamilkli. W głębokim, księżycowym półmroku mahoniowe twarze łowców smoków błyskały białkami oczu. Światło z pochodni napełniało pokład różnokształtnymi cieniami, strzępkami ciemności, które niby trzepoczące nietoperze zdawał się pędzić słony wiatr.

– Jeszcze nie tak dawno twierdziłeś, że ten mag „jest inny niż wszyscy”. Było to wówczas, kiedy ja sam ostrzegałem cię przed zaklinaczem. Teraz zaś, kiedy i ja próbuję mu zaufać, najwyraźniej stał się twoim wrogiem. Prawda, Arionie? Postanowiłeś zatem stanąć w obronie córki króla. Żeby móc mi się znów przeciwstawić, żeby spróbować mnie choć trochę upokorzyć. Wydrzeć mi chwałę po zdobyciu karaweli! Każdy sojusznik jest dla ciebie lepszy niż ja. Nawet córka mojego największego wroga!

Arion odniósł wrażenie, że pod osłoną ciemności cały statek wstrzymuje oddech. Słysząc było tylko cichy świst powietrza wśród want i szum wiecznie żywych, mrocznych fal. Tymczasem w głowie wciąż rozbrzmiewał wyzywający ton wuja. Pierś chłopca się uniosła. Nieoczekiwanie w kącikach oczu zapiekły go łzy. Zacisnął pięści.

– Keramir naprawdę skłamał – zaczął mówić cicho. – To ty miałeś rację. Nie można mu ufać. Powiedział ci, że posiadam magiczne zdolności, pamiętasz? To nieprawda.

On cię okłamał, wuju. Przyznał mi to dzisiaj. Ja nie mam daru! Nie mam daru mojego ojca!

Arion stał teraz naprzeciwko Gwinta. Spoglądali sobie prosto w oczy. Widział, jak w łunie pochodni rysy kapitana tężeją w ostrą, kamienną maskę. Gdzieś w ciemności zgasł pojedynczy błysk złotej monety.

– To nie Keramir skłamał. To ja. Okłamałem cię co do daru magii, Arionie.

– Ty?!

– Tak. Zrobiłem to, żeby cię chronić. Żebyś nie wziął udziału w abordażu – mruknął Gerk głucho. Postąpił o krok, nie spuszczać oczu z siostrzeńca. – Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Arion nabrał powietrza w płuca.

– Nigdy! – Własne słowa odbiły się głuchym echem w jego sercu. Wściekłość i żal porwały go z całą gwałtownością. Coś w nim pękło, jak zmieciona pod naporem wody tama. To było jak zimny ogień, pęczniejący mrok, który od dawna szukał ujścia. – Chcesz wiedzieć, co naprawdę o tobie myślę? Zatem powiem ci... Tak! Masz rację. Obwiniam cię za śmierć moich rodziców. Powinienem był wiedzieć, że nie można ci ufać. Okłamałeś mnie! Tak samo oszukałeś ojca! Zaufał ci, ugościł cię w naszym domu. Spotkała go za to śmierć! Nic dziwnego, że matka mi o tobie nie wspominała. Nie wiem nawet, czy naprawdę jesteś moim wujem. Zawiodłeś ją, odszedłeś, chociaż cię prosiła. Błagała cię, żebyś został! Zostawiłeś nas samych! To ty ją zostawiłeś! Sprowadziłeś śmierć! – wykrzyczał chłopak jednym tchem, jak w amoku.

Krew szumiała mu w skroniach, serce waliło jak dzwon. Miał wrażenie, że ta pusta noc na oceanie ogarnęła wszystko i będzie trwać wiecznie. Kiedy przerwał na moment swoją tyradę, żeby zaczerpnąć oddechu, zorientował się nagle, że ściska w rękach miecz.

Nie przypominał sobie, kiedy po niego sięgnął. Chyba od czasu abordażu jeszcze go nie odpiął. Teraz lekka, skórzana pochwa wisząca u pasa była pusta. W mroku przed

nim lśniła gładka stal, a chłodna rękojeść lizała mu dłoń.

– Odłóż miecz, Arionie – rzekł Gwinto. – Załatwimy tę sprawę na wyspie. Niebawem dotrzemy na pewien archipelag. Pamiętaj, że obowiązuje nas prawo łądu. To, co stało się na lądzie, nie liczy się na morzu, lecz to, co stało się na morzu, może zostać rozwiązane...

– Mam gdzieś wasze prawa! – krzyknął Arion ze wzrokiem zamglonym bólem. – Nie jestem jednym z was i nigdy nie będę! Opuzczę ten statek, kiedy tylko się da! Już więcej mnie nie zobaczysz!

Poczuł na sobie wściekły wzrok Gwinta.

– Skoro tak, dobrze! Sam tego chciałeś. Załatwimy to tutaj. Podajcie mi miecz. – Jednym ruchem Gerk zrzucił krótką pelerynę. W powietrzu schwycił podrzucony przez Tika oręż.

Z ust paru osób wyrwało się westchnienie. Aliya jęknęła cicho, dziewczynka pod masztem pisnęła. Załoganci odskoczyli na boki, gdy kapitan natarł na swego siostrzeńca.

Arion wykonał gwałtowny wypad w tył. Poderwał się znowu tylko po to, żeby zacząć cofać się pod gradem metalicznych uderzeń. Impet precyzyjnych, ostrych ciosów Gwinta sprawiał, że z trudem utrzymywał w rękach broń. Miał wrażenie, że jego ciało rezonuje za każdym razem, gdy dwa brzeszczoty spinają się ze zgrzytem. W ramionach z każdą chwilą rozchodził się ból. Jedyne, na co było go stać, to utrzymywanie zasłony i impulsywne próby nieporadnych uników. Bronił się głównie odległością, cofając przed natarciem przeciwnika. Pomyślał, że miejsce niebawem się skończy. Że każdy kolejny cios spychał go nieubłaganie ku zwężającemu się dziobowi okrętu. Tymczasem wuj posługiwał się mieczem jak drwał wyrabujący sobie ścieżkę w gąszczu mroków. Uderzał raz szybciej, raz wolniej, zmieniał tempo i rytm ruchów niczym tancerz, któremu przygrywa sam wiatr. W pewnym momencie tuż przy zetknięciu się ostrzy odpuścił impet. Mało brakowało, a zaaferowany Arion straciłby

równowagę. Odsłonił się niebezpiecznie. Dostrzegłszy kątem oka środkowy maszt, uskoczył w bok, za drewniany słup, przed ścigającym go ostrzem.

Gerke podążył za nim, wciąż nacierając na klingę. Chłopak, jak tylko mógł, parował jego ruchy, starał się przekierowywać impet uderzeń, bardziej się rozluźnić, trzymać miecz mniej sztywno. Pod mocnym ciosem z góry wykonał zejście, uniósł ręce, kierując sztych w dół, by klinga wuja ześliznęła się w tę stronę. Poderwał się gwałtownie. Ścigające się miecze wykręciły młyniec od dołu do góry. Tym razem Gwinto natarł jeszcze mocniej, bezwzględnie spychając go wciąż w tył, każąc mu się cofać, nie oglądając się za siebie, w kierunku bukszprytu. Za nimi wzdłuż burt niczym cienie przemykali załoganci, baczenie śledzący nierówny pojedynek.

– Teraz ja ci coś powiem, Arionie! – warknął Gerke między kolejnymi błyskami klingi.

Światło pochodni odbite od aratrańskiej stali rozbiegło się i oślepiło Ariona. Chłopak potknął się o coś, chyba o jakąś linę, lecz przeturlał prędko i znów zerwał na nogi. Adrenalina tętniła mu w żyłach. Wykonywał kolejne uniki. Jego ciało zmieniło się w jeden czuły, wibrujący od wytężonej pracy mięsień.

– Sądzisz, że tylko ty jeden cierpisz?

Słyszał ten niski głos, lecz jakby nie rozumiał słów, całą uwagę, całą koncentrację poświęcał rozpaczliwej obronie. Wszechświat skupiał się w dwóch wirujących klingach, w ich lodowatym, metalicznym klekocie. Całą resztę pochłaniał słony mrok.

– Uważasz, że tylko ty masz prawo nienawidzić? Nie tylko ty straciłeś swoich rodziców! Moi zginęli w kopalni kryształów! Pewnie matka nie mówiła ci o tym, co? Zawsze unikała konfrontacji!

Umykając przed rozpędzonym mieczem, Arion błyskawicznie obejrzał się za siebie. Został zapędzony w kozi róg, przyparty do miejsca, gdzie dwie burty ostro schodziły się w jedno. Zrobił desperacki unik i zwinnie przeskoczył nadburcie przy dziobie. Schwycił się liny, oparł nogi na bukszprycie. Kapitan podążył za nim. Chłopak

posuwał się teraz krok po kroku, centymetr po centymetrze w tył, pod lekkim skosem, po wąskiej belce wychodzącej w morze, broniąc się rozpaczliwie. Zachwiał się lekko. Wyrzucił nogę w bok i w ostatniej chwili złapał równowagę. Błyskawicznie rzucił spojrzenie w dół. Wokół zionęła rozchodząca się z niskim pomrukiem, wzburzona, smoliście czarna kipiela fal. Przed nim zaś był nacierający Gwinto. Chłopak bronił się z całą zaciętością, na jaką było go jeszcze stać.

– A co do twojej matki i ojca: na demona, to byli też moi bliscy! Moi bliscy, rozumiesz to, chłopcze? Twoja matka, ale moja siostra! Twój ojciec to mój najlepszy przyjaciel! Sądzisz może, że łatwo mi z tym żyć? Nie! Nie jest mi łatwo! Śmierć nigdy nie jest prosta, Arionie! Ale to nie ja ich zabiłem!

Ostatnie słowa przedarły się do świadomości chłopaka razem z ostrym zgrzytnięciem, zdradliwym podmuchem wiatru i zimnym ukłuciem w sercu.

Drgnął pod wpływem lodowatego dreszczu, który zmienił się w dławiące gorąco. Chciał cofnąć się jeszcze o jeden krok, lecz jego stopa nie znalazła już oparcia. Wiedziony odruchem, schwycił się forsztagu. W tej samej chwili wuj wytrącił mu broń z ręki.

Lekki, hartowany w magicznym ogniu miecz zamigotał w promieniach księżycy i zniknął, pogrzebany atramentową grzywą fali. Arion ujrzał tylko gasnący w wodzie błysk. Stał na samym krańcu bukszprytu, plecami do kierunku, w którym sunął okręt, uczepiony ostatniej z lin, owiany gwałtownym chłodem oceanu. U stóp miał zasuszoną, smoczą głowę. Światło niebieskawych kryształów wprawionych w puste oczodoły stwora padało od dołu na niego i na kapitana. Za Arionem został już tylko ocean. Świat wód zasnutych wszechogarniającą ciemnością, w której budzą się wielkie krakeny i węże morskie grube jak mury miast. Świat, w którym brakuje powietrza.

Kraniec klingi Gwidona Gerka był wymierzony w jego serce. Chłopak wstrzymał oddech. Gdzieś w półmroku ich spojrzenia się spotkały.

– Łudziłem się, że ty i ja jeszcze możemy być przyjaciółmi, Arionie – mruknął Gerka

głucho, poprzez ostry świst wiatru. – Widzę jednak, że to niemożliwe. Ta przepaść między nami jest zbyt głęboka. Nie będę cię dłużej zatrzymywał na tym statku. Opuścisz go, kiedy tylko zechcesz.

– Jak najszybciej – szepnął Arion, z trudem dobywając głos.

– Kiedy zechcesz – powtórzył Gerk głucho, po czym odciągnął ostrze i zaczepił u pasa swój miecz. Przeszedł po bukszprycie znów na statek.

Zgromadzeni przy dziobie i na drablinkach dragici rozstąpili się z cichym pomrukiem, robiąc miejsce dla kapitana. Arion po chwili ruszył za nim. Wlókł się z głęboką niechęcią. Miał ochotę ukryć się przed całym światem. Czuł się tak, jakby trawiła go gorączka. Ciężko łapał oddech, który palił go w płucach.

Gwinto Gerk wszedł na podwyższenie mostku. Wszyscy naraz zamilkli. W świetle płonących pochodni zastygli, wyczekująco wpatrzeni w kapitana. Ten mocno wcisnął na głowę kapelusz. Gdy przemówił, w jego głosie nie było nawet słyhać zadyszki, choć jego pierś poruszała się szybciej.

– Kamraci! Słyszeliście, co powiedział Arion. Nie czuje się jednym z nas, nie chce z nami zostać. Stwierdził, że nigdy nie będzie członkiem naszego bractwa. Dlatego opuści statek, gdy tylko zapragnie. To jego decyzja. Może podjąć ją, kiedy tylko zechce. Ja, kapitan, oznajmiam, że zwalniam go z danego słowa. Z obietnicy wierności danej na Namirii. Żaden z nas nie będzie go zatrzymywał.

Szmer rozmów, zmieniający się w rosnący gwar, rozległ się na moment wśród załogi. Arion stał przy dziobie z ciężkim sercem.

– To nie powinno jednak przyćmić radości z naszego dzisiejszego zwycięstwa! – kontynuował kapitan lekko ochryplym głosem. – Dzięki odwadze, dzięki męstwu i przelanej krwi zdobyliśmy królewską karawelę. To nie lada wyczyn! Ogromna wygrana! I bezcenny łup w postaci świetlnych kryształów. Dzięki temu wielu waszych bliskich i przyjaciół, ludzi niebędących magami, będzie mogło posługiwać się mocą dla dobra całej wspólnoty. Niech ta noc będzie zatem nocą świętowania! Czas aż do

wchodu słońca należy do nas. Wytoczmy beczki najlepszego wina. Tańczmy, bawmy się i pijmy za pamięć poległych. Pokażmy córce samego króla, jak bawią się jego niegdysiejsi poddani. Zbierzmy siły przed czekającym nas zadaniem. Już za trzy dni powinniśmy stanąć u smoczycich wysp. Wówczas spróbujemy zrobić coś, czego nie dokonał jeszcze żaden śmiertelnik. Coś, o czym dotąd nie mogli marzyć nawet magowie. Wykradniemy jajo ognistych bogów!

W nocne niebo wystrzeliły wiwaty i oklaski, okrzyki, śmiechy i szalone gwizdy.

– Tak! Przechytrzymy samych ognistych bogów. Udowodnimy swoje racje czarodziejom. Zdobędziemy sławę i nieśmiertelność! Córka króla ujrzy prawdziwe oblicze smoków. Przekona się, komu poświęcił ją ojciec!

Hałas narastał. Zaczęła płynąć wesola muzyka liturii, piszczałek, bębena oraz ustnych harmonijek. Zaklinacz pogody pospiesznie zbliżył się do Gwinta, zanim ten zdążył sięgnąć po wino.

– Co to ma znaczyć? Kolejna twoja niespodzianka? Chcecie wykraść jajo bogów?! Dla tego łotra Lyelyebana? Kapitanie, czy ty całkiem oszalałeś?! Przypominam ci, że masz na pokładzie księżniczkę! – rzekł pospiesznie ściszone, surowym głosem, nachylając się nad uchem dowódcy. – Prawowitą królową Crystallum! Rozumiesz?

– Ach tak? – Gerk obdarzył go niedbałym spojrzeniem. Jego usta wygiął ironiczny grymas. – Oświeć mnie zatem! Co twoim zdaniem powinienem z nią zrobić?

Keramir powściągnął ogarniającą go irytację.

– Zmienić kurs – odpowiedział z naciskiem. – Z pomocą tych kryształów, które zdobyliście, mogę spróbować skontaktować nas z najważniejszymi członkami Frakcji Sykiarda. Jak już mówiłem, wielu magów chce osadzić ją na tronie. Zapłacą ci za nią bajecznie hojny okup. Wyobraź to sobie! Żaden z twych ludzi nigdy nie zazna niedostatku. Nigdy więcej nie będziesz musiał zabijać bogów. Jeśli zechcesz, kupisz za to całą flotę. Albo zamek dla twojego siostrzeńca.

Gerk potarł palcem podbródek.

– Mów dalej, zaklinaczu. Mam dostarczyć czarodziejom prawowitą królową, a oni z pomocą swoich wpływów osadzą ją na tronie, na którym obecnie zasiada jej przybrany ojciec? Dobrze rozumiem twój plan, Keramirze?

Mag lekko zmarszczył brwi, wietrząc szyderstwo.

– Myślałem, że tego właśnie chcesz. Że pragniesz końca tyranii Skyerlora!

– I dlatego wybiorę tyranię jego magów, którzy posłużą się tą dziewczynką jak marionetką?

Gerki i czarodziej spojrzeli sobie w oczy.

– Teraz ty mnie posłuchaj, zaklinaczu – syknął Gwinto, przysuwając bliżej twarz. – Nie jestem aż takim głupcem, na jakiego wyglądam! Nigdy jeszcze nic dobrego nie spotkało ani mnie, ani kogokolwiek na tym pokładzie ze strony srebrzystookich. Nie sądzę, by to się miało kiedykolwiek zmienić. Ja dostarczę twoim ziomkom księżniczkę, a oni zabiją wszystkich, za wyjątkiem ciebie, rzecz jasna. Albo oskarżą nas o morderstwo tamtych dwórek. Mało prawdopodobne? Nie sądzę! Dlatego załatwimy to po mojemu. Nie obchodzą mnie sprawy królów, nie obchodzą mnie wasze tajne spiski! Zawalczymy o sprawiedliwość i udowodnimy wszystkim, że ziejące ogniem smoki wcale nie są bogami, a prawo do magii powinno przysługiwać każdemu, bez względu na stan jego urodzenia. Księżniczka zostanie z nami jako gwarancja naszego bezpieczeństwa. A nawet gdyby jej i nam zdarzyło się zginąć, być może znajdziemy sprawiedliwość w śmierci.

Mimo wewnętrznego buntu, mimo gniewu, mimo całej niedorzeczności słów, które właśnie usłyszał, Keramir poczuł przez ułamek chwili coś jakby uwielbienie dla tego człowieka. Czy chciał, czy nie, był pod wrażeniem podobnej odwagi. Mimo to mruknął zimnym półgłosem:

– Jesteś szalony.

– Być może. – Gerki przyjacielsko poklepał go po ramieniu, odchodząc bawić się między swoich ludzi. – Ale jestem tu kapitanem!

Muzyka rozbrzmiewała coraz głośniejsze, wino zaczynało lać się strumieniami. Po deskach wśród śmiechów i docinków wytoczono kolejną beczkę, z której w mig chlusnęła cienka struga aromatycznego trunku w kolorze ochry.

– Arionie! – Parte podbiegł do przemykającego wzdłuż burty przyjaciela z napełnionym kubkiem. – Myślałem, że zostaniesz dziś świętować z nami! To była świetna walka z twoim wujem. Nie żartuję! Widać, jak dużo dają ci nasze treningi.

Poblądły chłopak pokręcił mechanicznie głową. Marzył jedynie o tym, by położyć się spać. Bał się, że jeśli dłużej zostanie tu z Partem, coś w nim znowu pęknie. Coś, nie wiedział co...

– Przykro mi. Przepraszam. Chciałbym zostać sam. – Spróbował się uśmiechnąć do młodego żeglarza.

Parte zrobił strapioną minę, ale nie naciskał.

– Weź chociaż wino – rzekł, podając naczynie. – Egrit twierdzi, że to zawsze pomaga... No wiesz...

Ściskając kubek, Arion zszedł pospiesznie po schodach zejściówki. Zdążył zobaczyć jeszcze, że kapitan kazał odprawić księżniczkę. Pograżał się w mroku pod pokładem z sercem ciężkim jak ołów, ścigany przez taneczne kroki, brzęk trzaskających o siebie kielichów, gromkie śmiechy i rubaszne historie, spomiędzy których przebijała się dobrze mu znana, melodyjna pieśń ludzi morza:

Wolność to wiatr

to morza szum

wolność to pełen trzos!

Niesie się w dal

przez tysiąc fal

dziś nasz żeglarski głos!

Powiedzą pieśni

że było warto

kochać i żyć jeden raz!
Postawmy wszystko
na jedną kartę
to jest nasz dzień i nasz czas!

22.

Muzyka prostych, melodyjnych instrumentów oraz wybijającego rytm tamburynu, któremu wtórowali przytupujący i klaszczący biesiadnicy, przyspieszała tempo. Na przesuwającym się pod rozgwieżdżonym niebem pokładzie Krogulca huczna zabawa trwała w najlepsze. Liturgia Partego, ustna harmonijka Egrita, rogowe piszczałki oraz wydająca niski, wibrujący dźwięk koncha przyciskana do ust przez Gilala z trudem nadawały ton wśród panującego zgiełku. Okrzyki, gwizdy, przekomarzania, wybuchy śmiechu oraz rozmaite opowieści towarzyszyły popisom pirackiej zręczności, których podejmowali się rozochoceni winem i niedawnym zwycięstwem dragici. Ktoś właśnie wykonał salto na deskach ułożonych na przewróconej beczce, ktoś inny chodził na rękach ku uciesze pokrzykującej, roześmianej grupki. Do bezanmasztu przytroczono tarczę, żeby wśród lejącego się obficie rumu ćwiczyć rzucanie nożami do celu. Śpiewano i tańczono, spierano się i już po chwili łagodzone spory. Kolejne beczki wina wytaczano jedna po drugiej. I chociaż większość ludzi była już mocno pijana, nie wyglądało na to, by ktokolwiek miał dość. Przeciwnie, wraz z każdym napoczynanym antalkiem, z każdym nowym kielichem wznoszonym do ust, z każdą kroplą krążącego w żyłach trunku noc stawała się jeszcze piękniejsza.

Keramir przysiadł w ciemności na schodkach prowadzących na wyżkę rufową. W odblasku światełek z kryształów i płonących pochodni obserwował świętujących dragitów. W pierwszej chwili wzbudzali w nim niesmak, niemalże odrazę. Tworzyli

nieokrzesaną hałastrę, hałaśliwą zgraję, którą radowała prostacka muzyka, niewykwintne wino i zabawy dobre dla gawiedzi. Ani się spostrzegł, kiedy sam zaczął z zapartym tchem śledzić akrobatyczne popisy Partego i Yella, a także niesamowity, hipnotyczny taniec Aliyi. Złapał się na tym, że końcem stopy kiwa w rytm brzęczącego tamburynu. Poczul żal, kiedy czarnowłosa dziewczyna zostawiła swoich wiwatujących kompanów i zniknęła w drzwiach dziobówki. Na śródokręciu rozległa się kolejna salwa śmiechów. Keramir poczuł, że kąciki jego ust mimowolnie unoszą się w górę.

Chyba nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy, jak tej nocy jest którykolwiek z tych ludzi.

Zdumiało go ukłucie dziwnej zazdrości. Nie zaznał czegoś podobnego nigdy dotąd.

– Zaklinaczu! Tutaj jesteś, zaklinaczu! – dobiegł go basowy, lekko ochryply, wesoly okrzyk Kotwicy. – Widzisz go, jak się schował? Mistrz iluzji! – zaśmiał się gromko mężczyzna, lekko dźgając łokciem równie ucieszonego towarzysza.

Kucharz i Spenker zmierzali w jego stronę z dzbanem wina i pobrzękującymi kubkami. Każdy z nich zarzucił drugiemu rękę na szyję, tak że nie było wiadomo, kto kogo prowadził. Przeciskali się w głębokim półmroku między roześmianą cizbą, wykrzykującą słowa jakiejś żeglarskiej przyśpiewki.

– Przyszliśmy, żeby się z tobą napić. Nie dziw się tak, czarodzieju! I nie patrz tak na mnie tymi srebrnymi ślepiami! Daję słowo, że robi mi się nieswojo. Słyszałeś może legendę o bazyliuszku? Nie? No dalej! Spenker, dawaj no wino. Dzisiaj ocaliłeś nasze skóry. A więc twoje zdrowie, zaklinaczu!

Zanim Keramir zdążył zaprotestować, Kotwica wcisnął mu w rękę potężny puchar ozdobiony okruszynami czerwonego jak krew koralu. Spenker, uśmiechając się krzywo, napełniał go po brzegi.

– A więc do dna! – zarządził Kotwica. Klepnął szczupłego maga w plecy tak mocno, że chcąc tego, czy nie, czarodziej przybliżył kielich do ust.

– Nie ma oszukiwania! Wzniesliśmy toast! Chyba nie masz zamiaru nas obrazić? – mruknął Spenker z nutką podejrzliwości, opróżniwszy własny kielich, lecz Keramir nie

kazał na siebie czekać. Wypił zawartość pucharu duszkiem, nie odrywając go od ust. Dokładnie tak, jak uczynili to właśnie jego towarzysze.

Ze zdziwieniem stwierdził, że wino z głębi okrętowej ładowni ma całkiem przyjemny, cierpkawy smak, którego się po nim nie spodziewał. Nim się spostrzegł, Kotwica znów napełniał opróżnione dopiero co naczynie. Szczerzył przy tym niekompletne, lecz mocne uzębienie w radosnym uśmiechu. Keramir zorientował się, że pozostali dragici z zainteresowaniem i jednocześnie z rezerwą raz po raz zerkali w ich kierunku.

Kotwica rozrzucił ramiona, prężąc pierś niby jakiś bohater. Spod rozchełstanej koszuli czerniły się wyobrażające trupie czaszki tatuaże.

– Widzicie, mówiłem wam, że się z nami napije. On nie jest aż takim sztywniakiem, na jakiego wygląda. A ty, Gilal, dawaj moje sześć dukatów!

– A niech mnie. Zakład to zakład – mruknął Gilal niechętnie, po czym wzruszył ramionami i rzucił niewielką, brzęczącą sakiewkę, którą Kotwica przechwycił w mgnieniu oka, nie przerywając picia.

– A więc jeszcze raz twoje zdrowie, magu! Tym razem podwójne, bo dzięki tobie właśnie zyskałem dwie sztuki złota! – zaśmiał się kucharz i wzniosł w górę kielich, okazując go triumfalnym, zamaszystym gestem, jakby ścisnął w rękę jakiś skarb.

Keramir bez nadmiernego entuzjazmu wychylił swój puchar. Zdał sobie sprawę, że wszyscy wokół odprowadzają wzrokiem naczynie wędrujące do jego ust. Następnie równie czujnie obserwują każde poruszenie jego grdyki. Zrobiło mu się nieswojo. Kiedy wreszcie oderwał od zwilżonych warg pusty kielich, z wielu piersi wyrwało się stłumione westchnienie. Tym razem mocniej przeszły go słabe ciepło alkoholu. Zadziwiająco szybko ogarnęło jego ciało. Przez ułamek chwili nie był pewien, czy to mocniejsza boczna fala bujnęła okrętem, czy też jemu delikatnie zakręciło się w głowie.

– I cóż wy na to, moi mili kamraci? Znacie jeszcze kogoś, kto może się pochwalić, że kiedykolwiek pił z prawdziwym magiem? Z jednej beczki? Z jednego dzbana? –

dopytywał rozanielony Kotwica.

Odpowiedział mu początkowo niewyraźny pomruk.

– Hej no, czekaj! Czekajcie na nas, na demona! Ja też chcę się z nim napić!

– I ja też!

– I ja!

– Widzisz, zaklinaczu? Uwielbiają cię! – roześmiał się kucharz. Alkohol szybko pozbawiał go uprzedzeń i zahamowań, toteż poufałym, prawie zażyłym gestem położył dłoń na ramieniu Keramira. – Wiedziałem, że żaden człowiek, nawet mag, nie oprze się równie zacnemu trunkowi. Nie na darmo wybrali mnie na kuka. Znam się na jedzeniu i na picciu. Przyznaj otwarcie, że nigdy dotąd nie piłeś takiego wina.

– Przyznaję, że nigdy w życiu nie próbowałem niczego podobnego – odparł czarodziej z przekąsem, wydatnie unosząc jedną brew.

Dragici nie dostrzegli w tym sarkazmu. Natychmiast wzięli jego słowa za dobrą monetę i zareagowali spontanicznym ożywieniem. Keramir pożałował swojej ironii w chwili, gdy ujrzał kilka rzędów rogów do picia, kubków, dzbanków i kielichów, wyciągających się w jego stronę w geście toastu.

– Słyszeliście? Biedaczysko, nie pił dotąd nic równie dobrego! Ci magowie żyją chyba jak mnisi! Natychmiast trzeba temu zaradzić! – oznajmił Kotwica z troską, podczas gdy strumień wina tryskał z beczki. – Przed nami noc jeszcze długa, zaklinaczu. Żwawo, Spenker! Polejcie mu jeszcze!

Egrit, oparty o jedną z szalup, z poważną miną obserwował rozochoconych kompanów. Otaczali kręgiem odzianego w czerń czarodzieja noszącego na piersi łańcuch z kryształem. Stary sternik był właśnie w połowie jednej ze swoich niezapomnianych, morskich opowieści, kiedy nagle Kotwica do spółki z magiem w kilka chwil podkradli mu słuchaczy. Podchmielony, opuszczony przez swoją widownię, rozczarowany bajarz został sam na sam z przerwana historią. Niedokończone zdanie zdawało się dosłownie palić go w usta. Wieńczące je słowa, które zawsze wypowiadał z

werwą i z naciskiem, przeobraziły się w niewyraźne mruknięcie. Coś podobnego nie zdarzyło mu się nigdy dotąd. Czy jego opowieści stały się przeżytkiem? Czy przeoczył moment, w którym po prostu zaczęły ich nudzić? Chociaż za nic by się do tego nie przyznał, ta sytuacja uraziła go do żywego.

– Egrit! Nie chcesz tego zobaczyć? Gilal namawia Keramira, żeby pokazał wszystkim jakieś czary. Spenker chce, żeby nad statkiem wybuchły fajerwerki. Nawet Gwinto wyraził na to zgodę – odezwał się z nieskrywanym entuzjazmem Parte, który wypatrzył osamotnionego starca i zbliżył się do niego pospiesznie.

Twarz młodego żeglarza pałała bezgranicznym ożywieniem. Oczy błyszczały mu wesołością i winem. Gładka, miękka skóra na policzkach była lekko zarumieniona.

Egrit poczuł się bardzo, bardzo staro.

– Oby tylko nic nie wybuchło na pokładzie! – sarknął, krzyżując ramiona. Znów przeniósł zatroskane, jednookie spojrzenie na rozbawiony tłumek dookoła zaklinacza pogody. Nieznacznie potrząsnął przy tym siwą głową.

– O co chodzi? Zrobiłeś minę jak murena! – roześmiał się krótko Parte. – Uważasz, że to zły pomysł?

– Uważam po prostu, że nadal nie powinniśmy mu ufać. Nie zapominaj, Parte, że to prawdziwy mag. A teraz wszyscy traktują go jak jakiegoś bohatera! Jeszcze wczoraj nie chcieli mieć z nim nic wspólnego. Spójrz tylko, jego oczy są jasne jak kryształ. Tak naprawdę nic o nim nie wiemy. Kim jest ten człowiek? Co o nas sądzi? Co planuje? Jak daleko sięga jego magiczna moc? Mam wrażenie, że dzisiejszej nocy wszyscy tutaj kompletnie oszaleli.

– Zwłaszcza kapitan i Arion, prawda? – zauważył nieoczekiwanie młody chłopak, lekko ściszej głos.

Egrit powoli skinął głową.

– Pomyślałem, że ty mógłbyś z nimi porozmawiać – kontynuował Parte – No wiesz, namówić ich, żeby się pogodzili. Wszyscy sądzą, że Gwinto tak naprawdę wcale nie

chce, żeby Arion opuścił okręt.

– To sprawa wyłącznie między nim a Arionem. Tym bardziej że są rodziną. Żaden z nas nie powinien się w to wtrącać. – Starzec wolno pokręcił głową. Zdawał się pograżać w chmurnych myślach. Głębokie bruzdy zaostrzyły się na jego czole. – Chociaż stwierdzam to z ciężkim sercem, wszyscy widzimy, że ostatnio sprawy osobiste mają bardzo zły wpływ na kapitana. Dziś na tym statku zostało złamane prawo łądu. To przeciwne zasadom bractwa. Sytuacja robi się naprawdę poważna.

– Właśnie dlatego powinieneś z nimi porozmawiać – zauważył Parte, ujmując za przedramię starego szypra. – To widać, że są rodziną, prawda? Obaj tak piekielnie uparci! Każdy z nich ciebie jednego posłucha. Nie daj się prosić, kapitanie. Jeśli boisz się urazić Gwinta, to pogadaj przynajmniej z Arionem. Wydaje mi się, że on żałuje teraz tego, co się stało. Im szybciej się pogodzą, tym lepiej. Dla nas wszystkich. No, kapitanie...

– Kapitanie, kapitanie – westchnął starzec – Zawsze wiesz, jak wkraść się w moje łaski, młodzieńcze! – Rozpogodził się lekko. – Tam, do licha, masz rację! Choć moja Rozgwiadza poszła na dno dawno temu, to póki żyję, mam jeszcze coś do powiedzenia, przynajmniej na Krogulcu. Pójdę zatem przemówić do rozsądku Arionowi... – urwał. – Chociaż może nie będę musiał tego robić. Może wyręczy mnie w tym jego wuj – mruknął do Partego, bo w rozświetlonym pochodniami półmroku obaj ujrzeli, jak Gwinto Gerka zniknąć w drzwiach rufówki.

– Myślisz, że idzie z nim pomówić?

– Tak sędzę.

*

Zniknąwszy w głębokim cieniu, Gwinto przemierzał przez chwilę trzewia płynącego okrętu. Dostrzegł żółte światło oszklonej lampy. Dochodziło z jednego z pomieszczeń. Kapitan zawahał się przez ułamek chwili, po czym ruszył ku niemu zdecydowanym

krokiem.

To ponure miejsce graniczące z ładownią, o ścianach obwieszonych mnóstwem sieci i lin, w razie potrzeby służyło za izbę chorych. Tutaj jeszcze niedawno medyk opatrywał żeglarzy, którzy odnieśli rany w czasie abordażu karaweli. Dragicka załoga miała dużo szczęścia. Obyło się bez naprawdę poważnych obrażeń i jedynym chorym pozostawał Warras. Gdy szykowali się do morskiego pojedynku, umieszczono go pod pokładem, na posłaniu z płótna. Mężczyzna wciąż nie wydobrzeał po przeciągnięciu pod kilem. Przez większość czasu spał. Zdarzało się, że majaczył i tracił przytomność. Mimo wszystko lekarz martwił się o jego zdrowie.

Wyglądało na to, że nie tylko on. Gerk zatrzymał się w cieniu, dostrzegłszy Aliję. Stał nieruchomo, obserwując ją. W złotawym świetle migoczącego za szybkami kaganka dziewczyna napełniła wodą z dzbana cynową miednicę i postawiła na krześle. Zmoczyła skraj jasnego ręcznika i wyżeła go mocno, powodując urwany plusk. Powierzchnia misy zmieniła się w gąszcz złocistych okręgów. Kobieta zaczęła delikatnie wycierać z potu czoło śpiącego Warrasa. Nuciała przy tym bardzo cicho niskim, aksamitnym, zmysłowym głosem.

Znowu odwróciła się w stronę miednicy. Na moment wstrzymała rękę, którą chciała zanurzyć, a jej twarz zmieniła wyraz. Gerk zdał sobie sprawę, że dostrzegła jego odbicie w uspokojonej powierzchni wody. Chrząknął znacząco i wynurzył się z cienia. W tej samej dziewczyna chwili uniosła wzrok i ich spojrzenia się spotkały. Jej oczy były wielkie i pociemniałe jak dwie studnie.

– Kapitanie...

– Przepraszam. Nie zamierzałem cię przestraszyć.

– Nie jestem bojaźliwa.

– Wiem o tym. Więc dlaczego...

Dostrzegł, że była naprawdę blada. Spróbowała uśmiechnąć się słabo. Na moment spuściła rzęsy. Potrząsnęła głową z tajemniczą miną.

– Może uznasz to za głupotę, ale przestraszyłam się naprawdę. To przez te wszystkie historie...

– Historie?

– Tak. Te o zjawie krążącej nocą po okręcie. – Jej cichy głos zdradzał lekkie napięcie. – Nie wiem, co się dzieje, ale ta pogłoska jest powtarzana zbyt często. Nawet Warras – spojrzała przelotnie na twarz głęboko śpiącego mężczyzny – mówił mi, że raz gdy się tutaj zbudził, dostrzegł w ciemnościach stojące w przejściu widmo. Ludzką postać przyczajoną w progu. Ale to coś nie było człowiekiem.

– Warras majaczy – szepnął Gwinto spokojnie, podchodząc bliżej lampy.

Aliya skinęła głową. Czarny kosmyk wymknął się z luźnego koka i spłynął jej na opalone ramię, którego skraj wystawał spod obrzeżonej falbaną, białej bluzki z dekoltem.

– Przyszedłeś zobaczyć, jak jego zdrowie? Postanowiłeś wybaczyć mu zdradę?

– Przyszedłem, bo potrzebuję bratniej duszy. Przyszedłem do ciebie, Aliyo.

Spojrzała mu w oczy.

– Wiesz, że dla ciebie i dla naszej przyjaźni zrobię wszystko – szepnęła.

– Teraz najbardziej rozweseliłby mnie twój taniec. – Gwinto błysnął zębami w krótkim, bladym uśmiechu. – Wszystkim go brakuje na pokładzie. Tak szybko nas opuściłaś. To do ciebie niepodobne. Czy coś się stało?

Odwróciła się lekko.

– Niezupełnie. Po prostu nie mogłam spokojnie patrzeć, jak cierpisz.

– Cierpię?

– Tak. – Zbliżyła się o krok. Jej cichy głos znów nabrał tonów stanowczości. – Nie mogę znieść tego, jak kłócisz się z siostrzeńcem! Widzę wyraźnie, jaki to wszystko sprawia ci ból. Wam obu. To dobry chłopak, kapitanie. Musisz dać mu szansę. Spróbować go zrozumieć. Pogodzić się z nim. Musicie wyjaśnić sobie wszystko raz na zawsze.

Gwinto Gerk zasępił się.

– Arion dokonał już wyboru – stwierdził sucho. – Przyznaję, że jest mi z tym ciężko. Dochodzę jednak do wniosku, że dla wszystkich lepiej będzie, gdy nas opuści. Jego zachowanie źle wpływa na morale załogi. Jest krnąbrny, nieobliczalny i rozkapryszony. Najwyraźniej tak wychowała go moja siostra.

– Mylisz się. On zachowuje się tak, ponieważ cierpi.

– To go w niczym nie usprawiedliwia! Sama widziałaś, pierwszy wyciągnął miecz! A ja dałem mu się sprowokować jak jakiś szczeniak. Mam nadzieję, że odebrał naprawdę solidną nauczkę, której nigdy nie zapomni. – Gerk wolno wypuścił powietrze z płuc. Potrząsnął głową.

Aliya wbiła wzrok w podłogę. Gwinto zbliżył się o krok i nieoczekiwanie sięgnął po jej dłoń z delikatnością, jakiej się po nim nie spodziewała. Lekko ją ścisnął.

– Ale być może jest jakaś dobra strona tego zajścia. To, co się stało, przypomniało mi, jak bardzo... – Zwilżył usta. – Dzisiejszej nocy złamałem prawo łądu – stwierdził poważnie. – I oszaleję, jeśli nie złamię go po raz drugi.

Objął jednym ramieniem jej smukłą kibić i przyciągnąwszy ją gwałtownie, pocałował. Po chwili oddała mu namiętą pieśczoć. Przycisnął ją lekko do ściany i zanurzył palce w jej włosach. Luźny kok rozplótł się w morze falujących, ciemnych pukli. Aliya zarzuciła mu ramiona na szyję, jakby mogła wtulić się w niego już na zawsze.

– Cała drżysz – szepnął, przyciskając czoło do jej czoła.

Opuszki palców Aliyi gładziły jego twarz, jakby chciały zapamiętać jej mocne rysy. Usta miała czerwone jak krew. Drobną plamką światła z kaganka błędziła po złocistym policzku dziewczyny. Nagle przemknęła przez nią błyszcząca łza.

– Ty płaczesz...

Przygryzła pełne usta.

Zadziwiające, że tak silna, niezależna, odważna kobieta jednocześnie potrafiła być

tak krucha. Zdumiewała go, wprawiała w zachwyt.

– Aliyo, nie rób mi tego! Przepraszam! Przepraszam cię najmocniej. To wszystko miało wyglądać inaczej. Zachowałem się jak dureń! Chciałem ci wszystko powiedzieć... Nie płacz, słyszysz? Bo oszaleję... Wygląda na to, że ciągle doprowadzam do łez wszystkich, których kocham. Moją siostrę, mojego siostrzeńca, a teraz ciebie. – Posłał jej wstrząsający, smutny uśmiech.

– Kochasz? – powtórzyła głosem cichym jak tchnienie, lekko unosząc przy tym śliczne brwi.

Musnął ciepłymi wargami jej policzek. Znowu zatopili w pocałunku.

– Tak. Kocham cię – wyszeptał wprost do jej ucha. – Ty jedna potrafisz mnie zrozumieć. Wiem, że nie powinienem tego mówić. Chociaż właściwie powinienem był powiedzieć, zamiast rzucać się na ciebie jak jakiś łajdak. Nieokrzesany głupiec, którym jestem! Jeśli chcesz, możesz dać mi teraz w twarz.

Uśmiechnęła się słabo przez łzy. Nagle wydała mu się bardzo słaba, więc wziął ją pod ramię i posadził na wielkim, drewnianym kufrze o rogach okutych blachą. Przyklęknął obok w ciemności, poważny i niemal niepewny. Poczul się znów jak nastoletni chłopak albo jak niedoświadczony czeladnik, którego pragnie poddać próbie jego mistrz.

– Muszę ci wyznać... – Zaczerpnął powietrza. – Myślałem o tobie od dawna, Aliyo. Uważałem po prostu, że nie mam prawa ci się narzucać. Dlatego, że ja jestem tu kapitanem, a ty jedyną kobietą na statku. Ne chciałem, żebyś czuła się... no wiesz...

– Sądziłeś, że w ten sposób będę... pod presją?

– Tak. Obawiałem się, że nasze stosunki się pogorszą, delikatnie mówiąc. W najgorszym razie mogłabyś chcieć odejść z Krogulca. Ponadto nie wiedziałem, jak zareaguje na to reszta załogi. „Kapitan znalazł sobie kobietę na statku”. A potem żarty, żarciki i przyspiewki. Nigdy nie przejmowałem się ludzkim gadaniem, ale w tym jednym wypadku...

– Mógłbyś przez to stracić autorytet wśród pozostałych.

Skinął głową.

– Tak wówczas sądziłem.

– A teraz?

Spojrzał jej prosto w oczy.

– To nie jest już dla mnie najważniejsze. Ty nie jesteś kobietą, która ulega presjom. Dobrze wiem, że nawet jako kapitan nie byłbym w stanie zmusić cię do czegoś, czego ty sama nie chcesz. Każdego dnia przekonuję się, jaka jesteś niezależna, odważna i nieugięta. Udowodniłaś to wszystkim wiele razy i już nie wierzę, że ktokolwiek na tym statku krzywo patrzyłby na nasz... związek.

Aliya przełknęła ślinę.

– Czy ty proponujesz mi...

– Związek. Tak, jeśli zechcesz. Jeśli tylko też tego chcesz.

– Ale ja...

– Ciiii... – Delikatnie położył palec na jej ustach. – Zanim zdecydujesz, musisz wysłuchać mnie do końca. Jestem prostym żeglarzem. Nigdy nie potrafiłem mówić o uczuciach i pewnie więcej już tego nie powtórzę. Od kiedy przyszedłaś do mnie, wtedy, na Wyspie Przeklętych, nie było dnia, żebym o tobie nie myślał. Zakochałem się jak jakiś szczeniak. Jeśli nie wspominałem o tym, co zaszło wówczas między nami, jeśli zachowywałem się, jakby nic się nie stało, to tylko dlatego, że ty sama mnie o to prosiłaś.

– Ja cię prosiłam? – Aliya mocniej wciągnęła powietrze, uniosła brwi. Jej ciemne, migdałowe oczy zaokrągliły się w półmroku.

– Tak. Powiedziałaś, że chcesz skorzystać z prawa lądu, pamiętasz? To, co stało się na lądzie, nie liczy się na morzu. Sądziłem, że nie chcesz, żebym na statku wspominał kiedykolwiek o tym, co zaszło wtedy na wyspie. – Gwinto odetchnął głębiej. Oczy mu się zaświeciły. – Tak czy inaczej, jestem ci wdzięczny, że to zrobiłaś. Że przyszedłaś do

mnie tamtej nocy. To dopiero utwierdziło mnie w przekonaniu, a może raczej w domyśle, że ja też jednak nie jestem ci obojętny. – Ucałował lekko wierzch jej dłoni. – Dzisiejsze zachowanie mojego siostrzeńca pchnęło mnie do złamania prawa łądu. Teraz robię to po raz drugi. Po to, żeby być z tobą szczerym. Nie mogę dłużej tłumić takich uczuć. Nie potrafię, Aliyo. – Nachylił się i głębokim pocałunkiem rozgniół jej ciepłe usta.

Całował ją namiętnie i zachłannie, zapalając się coraz bardziej z każdą chwilą. Jego silne, twarde, szorstkie dłonie zaczęły wędrować po jej ciele, krzesząc niewidzialne iskry najlżejszym dotykiem.

Odsunęła się delikatnie, najwyższym wysiłkiem woli, która tak łatwo poddawała się temu mężczyźnie. Tylko jemu. Nisko spuściła głowę, jakby wstydziła się swoich zaognionych policzków i przyspieszonego oddechu. Czarne, lśniące pierścienie włosów zsunęły się na jej ramiona i głęboko wycięty dekolt.

– Teraz moja kolej – szepnęła, mrugając oczyma. – Jesteś ze mną szczery, więc ja też muszę okazać szczerą wobec ciebie. Inaczej oszaleję. Obiecuj, że wysłuchasz mnie do końca!

Gerk odetchnął i skinął głową, wpatrzony w nią z uwagą.

– Kocham cię od dawna. – Gdy to powiedziała, poczuła, jakby uwolniła się od ogromnego ciężaru. – Oddałabym życie, żeby uczynić cię szczęśliwym, kapitanie. Zaklinam się na własną duszę, że jest to moje największe pragnienie. Ale ty nie wiesz o mnie wszystkiego. – Przełknęła ślinę i mimowolnie wstrzymała oddech. – Sądzę, że kiedy poznasz prawdę, znienawidzisz mnie z całego serca.

W półmroku Gwinto zmarszczył brwi.

– Kiedy przyszedłem do ciebie wtedy, na Namirii, to nie po to, żeby wyznać ci moje uczucia. Źle odczytałeś wówczas moje intencje. Zamierzałam przyznać się do zbrodni, którą popełniłam. Błagać cię o wybaczenie. Chociaż i tak wiem, że nigdy go nie uzyskam. Jestem gotowa o nie zebrać, kapitanie.

Gerka przeszył chłodny dreszcz. W ostatnim słowie, które wypowiedziała, pobrzmiało coś nienaturalnego. Jakby bała się do niego zwrócić po imieniu, chciała zachować dystans między nimi.

– Aliyo, czy ty wiesz coś o zabójstwie Piskorza? – Jego głos stał się chłodny i suchy.

– Nie, kapitanie. Nie mam z tym nic wspólnego.

Gwinto odetchnął.

– W takim razie nie ma o czym mówić. Każdy z nas ma na sumieniu wiele grzechów. Zabijamy nawet bogów, Aliyo. Większość załogi przelała w życiu sporo krwi.

– Tu chodzi o coś innego.

Położył dłoń na jej dłoni.

– Nie obchodzi mnie twoja przeszłość. Ja sam nie jestem święty i dobrze o tym wiesz. Nie będę cię pytał, jak żyłaś, zanim przystałaś do bractwa dragitów. Cokolwiek złego uczyniłaś poza tym statkiem, nie mam prawa cię osądzać ani obwiniać. Jestem kapitanem. Obchodzi mnie tylko to, co ma miejsce na moim okręcie. Rozumiesz?

– Ale to się stało na okręcie! – wyszeptała bez tchu Aliya.

Zanim zdążył ją podtrzymać, dziewczyna opadła na klęczki na podłogę i zakryła twarz dłońmi, dławiąc się płaczem. Dygotała, jakby jej ciało przeszywały konwulsje. Łzy zrosiły jej twarz, szyję, dekolt.

Objął ją i mocno przycisnął do piersi. Przez chwilę próbowała się wyrwać, walcząc słabo i niezdarnie jak ślepe kociątko. Gerk długo siedział w półmroku na podłodze, oparty plecami o wielki kufer, z jej głową ułożoną na kolanach, gładząc ją po ramionach i po włosach. Uspokajała się, lecz wystarczyło, że się poruszył, by spowodować nową falę łez.

– Powiesz mi o tym, kiedy oboje zejdziemy na ląd, dobrze? Po tym jak zdobędziemy już smocze jajo – szepnął wreszcie, bo przeszył go instynktowny lęk przed prawdą. Miał wrażenie, że cały mroczny ocean, bezdenne otchłań obmywająca burty szkunera,

tylko czeka, by zwalić się na nich i ich pochłonąć. W myślach widział wyraźnie, czym są naprawdę: śmiesznym pyłkiem kołysanym na falach, igraszką własnych uczuć wystawioną na uderzenie złego losu. Spoglądał na Aliyę i pragnął ją przed tym wszystkim ochronić, uratować ją przed samym sobą, chociaż przeczuwał, że to już niemożliwe. Krąg ciemności zaciskał się wokół jego serca niby ścigająca go klątwa. Krwawy pech, w którego istnienie wierzą wszyscy żeglarze. – Do czasu tej rozmowy musimy żyć każdym dniem, cieszyć się każdą upływającą chwilą. Dobrze, Aliyo?

Podniosła głowę, otarła łzy i pocałowała go w usta.

– Wiesz, że zrobię wszystko, co zechcesz.

Uśmiechnął się, przewycięzając jakąś wewnętrzną pustkę.

– Chodźmy napić się wina. Chcę zobaczyć, jak tańczysz! Noc jest jeszcze młoda...

*

– Ekhm. – Głośne, dobitne chrząknięcie rozległo się za drzwiami kajuty chwilę po serii krótkich stuknięć w drewno.

Nikt nie odpowiadał, toteż Egrit uchylił drzwi i ostrożnie wszedł do środka. Natychmiast zdziwiło go migotliwe, barwne, chłodne światło, które tliło się w mrocznym błędnym ogniku. Starzec zmrużył na moment zdrowe oko, podczas gdy drugie zalśniło słabo jak wprawiona w oczodół perła.

Arion siedział na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, oparty plecami o ścianę. Na jego twarz padała blada luna. Przed nim spoczywał świetlny kryształ o fasetowej, błyszczącej powierzchni i złocistej barwie, upodabniającej go do plastra miodu. W dłoniach chłopak obracał drugi kamień, rzucając wokoło niespokojne refleksy, które gasły w powietrzu niczym wolno zdmuchiwane płomienie. Ten kryształ przypominał wielki szafir w głębokim kolorze indygo, przecięty wędrującymi żyłkami blasku. Arion sięgnął po niego i uniósł wzrok, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z obecności Egrita.

Starzec w milczeniu klapnął na wąską koję naprzeciw chłopca.

– Są wyjątkowo piękne. Skąd je masz? – zachrypiał.

Arion niespiesznie, z zastanowieniem wazył w dłoniach oba magiczne kamienie. Sycił zmartwiałe, puste spojrzenie ich niesamowitą łuną.

– Gwinto podarował je mojemu ojcu – odparł cicho, prawie nie poruszając ustami. – Ten – uniósł lekko złocisty klejnot – ojciec pozwolił mi wybrać dla siebie ze szkatuły wuja. A ten – mocniej zacisnął dłoń na niebieskim kryształ – ukradłem. Zabrałem go po kryjomu, jak tchórz. Schowałem go na piersi. W woreczku z ziołami. Matka kazała mi mieć taki zawsze przy sobie – wyszeptał. – Naprawdę zamierzałem zwrócić ten kryształ ojcu. Po prostu na początku nie miałem odwagi. Bałem się, że go zawiodłem. Pomyślałem: oddam kamień potem. A potem... – zacisnął powieki – ...było już za późno.

– Bo w waszym domu zjawił się królewski inkwizytor? To było w noc pożaru, tak?

Arion wypuścił powietrze z płuc i skinął głową.

Egrit urwanym ruchem pogładził się po brodzie. Tego wieczora zdążył już wypić nieco wina, ale jeszcze nie aż tyle, by odczuwać tego zauważalne skutki.

– Być może przez jakiś czas nie powinienes oglądać tych kamieni – zauważył powoli. – Czasem nie warto zbyt dużo spoglądać w przeszłość. Często zaglądasz do ich wnętrza?

Arion pokręcił głową z niezrozumieniem, marszcząc brwi.

– Do wnętrza?

Stary szyper przytaknął.

– Czyżbyś nie wiedział, że świetlne kryształy przechowują niektóre obrazy? Czasem osoby i zdarzenia, które odbiły się w ich powierzchni, pozostają tam widoczne na zawsze. Jak cienie ludzi, którzy już odeszli. Można je dostrzec, jeśli patrzy się dość głęboko. Magowie odczytują tak przeszłość i przyszłość, lecz nawet zwykły śmiertelnik może coś zobaczyć, jeśli przeżycia, których świadkiem był kryształ, były dość

intensywne.

Arion przełknął ślinę.

– Chyba nie chcę próbować.

– To zależy tylko od ciebie, lecz ośmielę się z tobą zgodzić. Widzisz, jestem starym człowiekiem, Arionie. Miałem kiedyś wszystko: własny okręt, sławę i złoto. Wiem, jak potrafi boleć przeszłość. To cierpienie, które nasila się z wiekiem. Ty jesteś młody. Nie warto zatruwać sobie duszy zbyt wcześnie. Jedyne lekarstwem, jakie mogę ci doradzić, jest wybaczenie. Teraz, póki nie jest jeszcze za późno. Musisz wybaczyć Gwintowi, mój chłopcze.

Arion nie odpowiadał. Wolno obracał w dłoniach świetlne kryształy, a isierki blasku prześlizgiwały się po ścianach kajuty, wirując jak ławice maleńkich rybek.

Odetchnął głęboko, jak ktoś, kto nurkuje, by szukać pereł przy dnie, i po długiej chwili wynurza się z wody.

– Wiem, że to nie była jego wina...

– Mogę ci to przysiąc, jeśli trzeba! Twój wuj nie mógł przypuszczać, że był śledzony. Nie wiedział, że inkwizycja jest na jego tropie. Nie mógł też sądzić, że królewska zemsta dosięgnie jego rodziny. Nikt nie brał pod uwagę takiej możliwości. To wszystko, co się stało, to tragiczny przypadek.

Arion przygryzł usta.

– Pamiętam, jaki był szczęśliwy, że was ujrzy – kontynuował Egrit. – Szukaliśmy wówczas zaklinacza pogody, a on powiedział, że tak się składa, że ktoś taki to jego najlepszy przyjaciel. Planowaliśmy wtedy wyprawę, wiesz... Gerk chciał płynąć ku ujściu Vissli, żeby zobaczyć swoją rodzinę, zanim wyruszymy. Tak mówił. Sam wiesz, jaki jest Gwinto. Bardzo skryty. Zastanawialiśmy się, kto dokładnie na niego czeka. Sądziliśmy, że zapewne jakaś dawna ukochana.

– Dotąd tak nie myślałem. O tym, że on też stracił bliskich – szepnął chłopak, ciężko zwiesiwszy głowę. – Myślałem tylko o sobie.

Egrit przytaknął ze zrozumieniem.

– Tak bywa, kiedy ktoś cierpi.

Siedzieli w milczeniu. Z zewnątrz dobiegał gwarny pogłos ludzkich śmiechów, toastów i muzyki.

– Ale po tym, co się stało, już nigdy się z nim nie pogodzę.

Po twarzy szypra przemknął w mroku cierpki uśmiech.

– Nie powiesz mi chyba, że pozwolisz, by stanęła między wami kobieta?

– Kobieta? – mruknął Arion z niedowierzaniem.

Egrit potwierdził ruchem głowy.

– Jestem stary. Mnie nie nabierzesz. Przecież dziś pokłóciliście się o tę małą.

– Pokłóciliśmy się, bo Gwinto mnie okłamał! Ja twierdziłem tylko, że nie ma pewności, czy ona naprawdę jest księżniczką!

– Jest księżniczką, czy nie jest... Kogo to obchodzi? Liczy się tylko to, że jest niewinna i śliczna i odkąd ją ujrzałeś, nie możesz oderwać od niej oczu. Prawda? Mnie nie oszukasz. Może nawet sam nie zdajesz sobie sprawy, co się dzieje w twojej kędzierzawej głowie. Zapewne nigdy wcześniej nie byłeś zakochany, co, chłopaku?

Arion prychnął coś pod nosem.

– Nie wiem, o co ci chodzi – odburknął oschle, wzruszywszy ramionami.

– Ale ja wiem. – Egrit uśmiechnął się chytrze, nachylił się i przelotnie położył mu suchą, żylastą dłoń na ramieniu. – Spodobała ci się ta mała ślicznotka. Dlatego koniecznie chciałeś stanąć w jej obronie. I awantura gotowa!

Chłopak milczał.

– Wierz mi, nie warto kłócić się o dziewczynę. Widziałem, jak przez coś takiego rozpada się niejedna męska przyjaźń. Masz przed sobą przecież całe życie, poznasz jeszcze całe mnóstwo kobiet. Za to wuja masz tylko jednego. Jesteście dla siebie teraz jedyną rodziną. Pomyśl, co by poczuła twoja matka, gdyby wiedziała, że nienawidzisz jej rodzonych brata? Okropna myśl, prawda? Dlatego dobrze ci radzę: przestań bujać w

obłokach, nie rozpamiętuj przeszłości, nie myśl o dziewczynie. Skoncentruj się na tym, co naprawdę się liczy. Ocean jest ogromny. Wiele rzeczy można utracić tu bezpowrotnie.

Arion potrząsnął głową.

– Nie wiem jak – rzekł zdławionym głosem. – Jak miałbym pogodzić się z Gwintem?

Teraz Egrit wpatrywał się w świetlne kryształy.

– Chyba mam pewien pomysł – mruknął z namysłem – A przynajmniej coś, co mogłoby ci pomóc. Wpadłem na to, kiedy zobaczyłem te dwa kamienie. Dwie części tego samego skarbu, który przepadł. Chodź ze mną, chciałbym ci coś pokazać.

– Co takiego?... – spytał zaintrygowany Arion, podrywając się z miejsca.

– Mapę skarbów.

23.

Egrit zamknął od wewnątrz skrzypiące drzwi swojej budy, jak nazywał malutką kajutę, którą zajmował od lat, po czym zawiesił na haku przy koi oszkloną lampę. Arion rozglądał się po wnętrzu z zainteresowaniem. Rzucił okiem na wyblakłe, fantazyjne tapiserie rozwieszane na ścianach, obity żelazem kufer oraz zwoje lin, a także zakurzony kapelusz z szerokim, wygiętym rondem, upstrzony długą kitą ptasich piór. Spoczywał on na tajemniczym popiersiu wyrzezanym z mahoniowego drewna i skrywał rysy twarzy figury.

Chłopak lekko zmarszczył brwi, kiedy starzec sięgnął pod czarny fular na swojej szyi. Wymacał tam ciężki klucz z mnóstwem różnokształtnych ząbków, zawieszony na rzemieniu pełnym małych supełków. Wówczas na krótki moment w chwiejnym świetle lampy Arion spostrzegł na skórze szypra mały tatuaż w formie

charakterystycznej runy, która zaraz zniknęła zakryta ciemną chustą. Patrzył z narastającą ciekawością, jak Egrit sięga pod koję po nieduży hak, którym z wprawą podważył jedną z desek podłogi. Pod spodem znajdował się otwór zamka. Klucz wpasował się ze zgrzytem i przekręcił kilka razy. Wreszcie rozległ się cichutki trzask, przypominający raczej kliknięcie. Starzec rozsunał na boki wieko wąskiej skrzynki, ale nie wydobył jej ze skrytki.

Zanurzył żyłastą dłoń w ciemność, żeby wyjąć... cyprysową fajkę.

Fajka jakich wiele – pomyślał Arion. Jednakże wziął ją do ręki z należną czcią, żeby nie urazić staruszka, podczas gdy ten pospiesznie przywracał do poprzedniego porządku wszystkie zabezpieczenia.

Cybuch był dość szeroki, długi i prosty. Wieńczył go wąski ustnik inkrustowany kością, a z drugiej strony – okrągła, gładka, masywna główka z kominem.

– Nie wszystko widać na pierwszy rzut oka, prawda? Strzeż się pozorów, Arionie. Żyjemy w czasach, w których nie można ufać prawie nikomu – mruknął Egrit z poważną miną, ukrywając gdzieś pod koją hak.

Chłopak podał mu znów fajkę, a jednooki żeglarz przycisnął i odkręcił ustnik, po czym najmniejszym palcem zwolnił ukrytą malutką zasuwkę. Cybuch rozczepił się na dwie części, które odskoczyły od siebie leciutko. Od wewnątrz wyłożone były masą perłową, co nadawało im wygląd dwóch połówek dziwacznej, podłużnej, cienkiej muszli. Skrywała ona ciasny zwój miękkiej, jagnięcej skóry.

Serce Ariona zabiło mocniej i szybciej. Egrit powoli rozwinął zwój przed jego oczyma. Usiadł przy tym ciężko na koję, jakby przygniotło go nagle jakieś brzemie.

On i Gwinto mieli po jednej części tej mapy: wykreślonej atramentem wyciśniętym z trzewi czarnej ośmiornicy, opatrzonej wierszowanymi wskazówkami. Przecięli ją na pół, żeby jeszcze lepiej zabezpieczyć jej sekret. Tajemnicę stanowiącą obietnicę skarbu, o jakim każdy z nich marzył przez całe życie. Skarbu cenniejszego nawet niż świetlne kryształy. Czegoś, co –– jeśli to zdobędą – pozwoli im odmienić świat.

Z zamyślenia wyrwał go lekko zawiedziony głos chłopaka:

– Wszystko się urywa. Wskazówki, szlak, linia brzegowa. Brakuje...

– ... drugiej części. – Egrit pokiwał głową. – Ma ją twój wuj, Arionie.

– Podzieliliście się mapą Antalarii? Z planów rejsu wynika, że będziemy przepływać w jej pobliżu, prawda?

Starzec uniósł brwi. Zacisnął usta, które prawie zniknęły pod najeżoną brodą.

– Skąd wiesz, że chodzi akurat o tę wyspę? – mruknął powoli, wpatrując się z natężeniem w Ariona.

Chłopak lekko wzruszył ramionami.

– Zapamiętałem jej kształt. Jest o niej mowa w *Opisaniu wysp i morza według Dariniusa*. Są tam rysunki. Ostatnio pomiąłem kilka rozdziałów, żeby móc poczytać o smoczycach wyspach – wyznał cicho. – Darinius nazywa Antalarię przyczółkiem smoczyczego archipelagu. Pisze, że między nią a Wielką Krzywą Rafą Koralową rozciąga się brama do ognistych wód. Oczywiście nie mogę mieć całkowitej pewności, ale wyspa, o której mowa w książce... – Arion zawahał się. W głowie miał żywy obraz stronnic *Opisania wysp i morza*, wypełnionych ciasnym, równym, jakby pełzającym pismem, lekko pochylonym w prawą stronę. Kolejne litery, zdania i akapity przemykały prędko w jego myślach. Ogarniała go coraz większa ekscytacja. – Ten cypel w kształcie buta jest bardzo charakterystyczny. A tutaj, te dwa szczyty, tworzą lej, który...

– Wystarczy, Arionie – przerwał Egrit łagodnie, choć stanowczo. – Jesteś bystrym młodzieńcem, trzeba ci to przyznać. Jednak nawet z najwspanialszą, najrzadszą książką o geografii mórz ten, kto nie ma tej mapy, nie odnajdzie skarbu.

Chłopak westchnął.

– Więc czemu ty i Gwinto podzieliliście ją na dwie części? Nie ufaliście sobie, prawda? To było, zanim zostaliście przyjaciółmi?

– Masz niesamowity dar udzielania sobie odpowiedzi na własne pytania, mój

chłopcze. – Egrit uśmiechnął się krótko. Przypomniało to słoneczny refleks muskający powierzchnię stojącej wody, jak gdyby pod spodem ocean wstrzymywał oddech. – Istotnie, kiedy lata temu zawierałem znajomość z twoim wujem, żaden z nas nie ufał drugiemu. Obiecałem, że dam mu tę mapę. To owoc wypraw i bitew mojej młodości. Nie potrafiłem się z nią wówczas całkiem rozstać. Ofiarowałem ją Gwintowi pod warunkiem, że podzielimy się po połowie. Zarówno nią samą, jak i przyszłym łupem. – Starzec utkwiał zdrowe oko w jakimś odległym punkcie przestrzeni.

Arion wciąż z natężeniem wpatrywał się w pergamin.

– Czy to była zapłata? – szepnął w końcu niepewnie, czując szarpiący mu gardło dreszcz.

Egrit westchnął.

– Niby za co? – spytał od niechcenia, jakby cały czas myślał o czymś innym.

– Za to, że Gwinto zabrał cię z Wyspy Przeklętych – odparł chłopak ściszonego głosem.

Egrit nie poruszył się. Siedział nieruchomo, lekko przygarbiony. Przypominał kamienną rzeźbę albo niezwykle stary, przekrzywiony menhir, zmieniony przez czas w zagadkowy pagórek pełen trawy, powojów i mchów. Kiedy tak tkwił, Arion dostrzegał podobieństwo między starcem a mahoniowym, ciemnym popiersiem o głowie przykrytej zdobnym w ptasie pióra kapeluszem. Na wyrzeźnionej w drewnie twarzy figury artysta oddał przepaskę zasłaniającą jedno oko.

– Proszę, nie gniewaj się na mnie – szepnął chłopak przepraszającym tonem, zbity z tropu przedłużającym się milczeniem. Najwyraźniej mógł urazić Egrita. Może powiedział o tych parę słów za dużo, ale teraz nie zamierzał zrezygnować. – Dobrze wiem, że to nie moja sprawa. Nigdy nikomu o tym nie powiem, jeśli to tajemnica. Przymierzam! Po prostu chciałem wiedzieć, jak poznałeś mojego wuja. Zanim was opuszczę, chciałbym chociaż poznać jego przeszłość. Nie potrafię go zrozumieć. Płyniemy na jednym statku, a właściwie go nie znam. Mówiłeś, że chcesz, żebym się z

nim pogodził. Że jest wart przyjaźni, zaufania. Czy to prawda? Jeśli to on zabrał cię z Wyspy Przeklętych, jestem chyba w stanie w to uwierzyć. W to, że jest naprawdę szlachetny.

– Domyśliłeś się już wtedy, podczas naszego pobytu na Namirii? – spytał sternik ochryłym głosem. Z przelotnym, cierpkim uśmiechem, przeniósł wzrok na chłopaka.

– Nie. – Arion odetchnął głębiej i pokręcił głową. – To znaczy, wówczas zacząłem coś podejrzewać. Wiedziałaś tak dużo o wyspie, o jej historii, o podziemnych tunelach. Jakbyś mieszkał na niej przez wiele lat. Podobno to ty doradziłeś Gwintowi, żeby płynąć po zaklinacza pogody na Namirię. A on się zgodził. To było tak odważne, że aż głupie. Pamiętam, kiedy powiedzieliście mi o klątwie wyspy. Nie znam nikogo, kto ryzykowałby świadomie ściągnięcie na siebie prawdziwego przekleństwa. No i jeszcze drapieżcy. – Na wspomnienie ogromnych, pajęczych sieci chłopaka przeszył słaby, wewnętrzny dreszcz. – Każdy inny człowiek zastanowiłby się trzy razy, czy naprawdę chce wylądować na Wyspie Przeklętych. Ale nie ty i nie Gwinto. Zastanawiałem się dlaczego. Zrozumiałem, że obaj musieliście odwiedzić ją już wcześniej. Tak samo jak niektórzy członkowie załogi. I już wcześniej Gwinto musiał kogoś uwolnić.

Egrit powoli przytaknął.

– Rzeczywiście.

– Ale zyskałem pewność dopiero przed chwilą – kontynuował Arion ściszonego głosem. Poczuł, że w miarę jak mówi, lekkie ciarki przebiegają mu plecach. – Zobaczyłem runę na twojej szyi. Taką samą jak u więźniów przebywających na Namirii. – Zamilkł. Splótł ręce i potarł kostki. – Jak dla mnie jesteś bohaterem, Egricie. Na pewno sprzeciwiłeś się magom, prawda? Dlatego cię uwięzili na Wyspie Przeklętych. I dlatego nie chcesz zaufać Keramirowi. Dzisiaj powiedziałaś, że kiedyś miałaś wszystko. Nie chodziło ci tylko o okręt, czy tak? Myślę, że... – Nabrał w płuca powietrza. – Posiadałeś magiczny dar, chociaż nie masz srebrnych źrenic czarodzieja. Zupełnie jak... mój ojciec. – Błękitne oczy chłopaka zaszyły lekką mgiełką.

Zapadła między nimi gęsta cisza. Siedzieli na jednej koi bez najmniejszego poruszenia, każdy z nich zatopiony we własnych myślach. Młody chłopak i na wpół ślepy starzec o wysklepionym, pobrużdżonym czole, zasnutym pajęczą nicią siwizny.

Wreszcie Egrit powoli pokiwał głową.

– Odkąd cię poznałem, wiedziałem, że jesteś bystry, Arionie – westchnął w półmroku z głębi suchej piersi. – Ale jesteś też bardzo młody, a przez to łatwowierny i nieostrożny. Popędliwy. Brak ci wyczucia. Nie winię cię za to. Jak większość młodych ludzi w obecnych czasach, formułujesz zbyt daleko idące wnioski na podstawie powierzchownych przesłanek.

W ciemności Arion zarumienił się lekko.

– To znaczy, że... nie mam racji? – szepnął zaskoczony. Poczł jednocześnie zawód i wstyd.

– Tego nie powiedziałem – mruknął Egrit ze smutnym uśmiechem. Jego lekko ochryply głos nabrał tonu głębokiej powagi. – Twoje domysły są częściowo słuszne. To prawda, że spędziłem kilka lat swojego życia jako więzień na Wyspie Przeklętych.

Arion drgnął.

– To prawda, że zabrał mnie z niej Gwinto Gerk. To prawda, że zrobił to, ponieważ do tej pory marzy o odnalezieniu skarbu, do którego prowadzą moje mapy. I dlatego że ja wiedziałem, gdzie szukać ludzi, którzy odważą się zabijać bogów. Wiedziałem, jak zdobyć porządny statek i jak pomóc ambitnemu chłopakowi z Delty zostać prawdziwym kapitanem żaglowca. Tylko tyle. I aż tyle. Ale nie doszukuj się we mnie cech twojego ojca z racji tego, że wciąż za nim tęsknisz. Przykro mi, ale chyba nie miałem z nim nic wspólnego.

Chłopak odetchnął głęboko. Lekko zmrużył błękitne oczy, w których odbijał się wijący się za szybkami płomyk lampy.

– Nie rozumiem. To znaczy, że nigdy nie władałeś mocą?

– Bynajmniej. – Arionowi zdało się, że głos starego drgnął. Napięty grymas

przebiegł po jego twarzy, sięgając nawet ślepego oka. – Powiedziałem ci przecież, że *miałem wszystko*. Wszystko, pojmujesz, mój chłopcze? Wszystko... Sądzę, że nie możesz przypuszczać, co to oznacza. Potężna moc, najczystszy przejaw magii, jak wypełniający cię płomień. Nieograniczona niczym potęga... Prawdziwa wolność... Dawno temu odebrano mi *wszystko* – oznajmił Egrit z naciskiem. Jednocześnie gwałtownie zwrócił pomarszczone, smutne oblicze w stronę chłopca, może szukając u niego zrozumienia.

W tej samej chwili odetchnął głębiej i sięgnął powykręcanymi, zgrubiałymi palcami do powleczonego bielmem oka, jakby chciał wytrzeć wzbierającą w kąciku łzę. Zamiast tego wbił paznokcie w krawędź oczodołu. Nim Arion zdążył zareagować, coś drobnego odkleiło się, oderwało, odpadło od tej pomarszczonej, lecz nadal czerstwej twarzy, niczym gruba, mlecznobiała, śliska łuska, która dotąd tkwiła tam na stałe. Szyper położył na dłoni niewielką, białą zaślepkę.

Chłopak mimowolnie wstrzymał oddech. Tylko jego serce tłukło się głośno pod uniesionymi żebrami.

Dotąd ślepe i mętne oko Egrita jarzyło się niczym najczystszy kryształ o niesamowitym, migotliwym blasku, chłodnym i majestatycznym. Bezcenny, żywy klejnot. Oko maga.

– Nie mów o tym nikomu. Nigdy. Nikomu – wychrypiął.

Arion z trudem przełknął ślinę, żeby wydobyć z siebie suchy, świszczący dźwięk. Serce łomotało mu głucho. Zacisnął dłonie, czując, że są śliskie od potu.

– Czy kapitan... wie?

– Nie. – Egrit potrząsnął głową.

Srebrzyste oko nadawało jego obliczu wyraz niesamowitego dostojęstwa.

– Być może kiedyś mu powiem. Moje życie było pełne przygód i niektóre z nich chcę zachować wyłącznie dla siebie. Rozumiesz, mój chłopcze? Zresztą, ta konkretna wiadomość na nic by się zdała Gwintowi. Moja moc wygasła dawno temu. Ale nie

myśl, że nie mam do niego zaufania. – Położył suchą dłoń na ramieniu chłopaka. – Twój wuj to dobry i odważny człowiek. Bez względu na wszystko, to jego decyzjom zawdzięczam wolność, Arionie. To chyba nie grzech, że chciał żyć w zgodzie z własnymi zasadami? Że nie chciał podporządkować się innym? Nie jest święty, ale przynajmniej zawsze robił to, co uważał za słuszne, i był gotów płacić za to wysoką cenę. Zawarliśmy znajomość jako nieufni wobec siebie współnicy, ale jak wiesz, zostaliśmy przyjaciółmi. Ufam mu tak dalece, że od jakiegoś czasu myślałem o tym, żeby oddać mu moją połowę mapy. Teraz jednak postanowiłem przekazać ją tobie.

– Mnie?! – Arion poczuł ciarki, rozchodzące się po całym ciele, niby smagnięcie drobnego, letniego deszczu.

Zamarł z lekko rozdziawionymi ustami. Gardło mu się ścisnęło, w piersi wezbrało gorąco. Nie miał pojęcia, co powinien powiedzieć. Dziesiątki myśli przebiegały mu naraz przez głowę. Cała ta sytuacja była tak niespodziewana, że przez moment wydało mu się, że śni. Poczuł się kompletnie zagubiony, a jednocześnie ogarnęła go niesamowita ekscytacja. Srebrzyste oko starca przypatrywało mu się z półmroku, lśniące jak księżyc w pełni nad bezmiarem wód. Wściekłość, niepewność i lęk, które tak go trawiły, zdawały się rozpraszać z każdą chwilą. Nagle wszystko stało się możliwe.

– Jestem już stary, Arionie. Od dawna zastanawiam się, czy kiedykolwiek odnajdę skarb moich marzeń. Nie chcę, żeby mapa popadła w zapomnienie... – urwał. – Stwierdzam, że najwyższy czas, żeby przekazać ją w całości. Przekazać ją ludziom silniejszym i młodszym od siebie. Żeby to oni podjęli próbę odnalezienia maski Althirry.

– Więc chodzi o maskę Althirry? – szepnął Arion z niedowierzaniem, a jego oczy zaokrągliły się jeszcze mocniej, niemal wychodząc z orbit. Czy to, co słyszał, w ogóle mogło być prawdą? – Tę z legend o księżniczce poświęconej bogom?!

Egrit przytaknął z lekkim grymasem twarzy.

Kiedy chłopak na niego patrzył, przypominał sobie wszystkie głoszone z werwą opowieści, którymi szyper dzielił się przy różnych okazjach. Jedne stanowiły historię szaleńczych morskich pościgów, inne mówiły o popadających w obłąd rozbitkach i wodnych potworach, pozostałe zaś zdawały się zbieraniną różnej maści legend. Stare baśnie wiodły w nich prym na równi z plotkami zasłyszanyymi w dalekich portach, których wspomnienie na zawsze wyryło się w duszy starego żeglarza. Arion nie miał wątpliwości, że wiele z rzeczy, o których mówił Egrit, przydarzyło mu się naprawdę, chociaż niewątpliwie tęsknota za przeszłością ubarwiała je nawet mocniej niż wino. Do tej pory nie był jednak szczerze przekonany, że Egrit kiedykolwiek naprawdę widział maskę Althirry, zawieszoną na jej legendarnej tarczy. To znaczyłoby tyle, co przyznać rację mitom, a przecież on nie był już małym dzieckiem, które wierzy w baśnie.

Nie wierzy w baśnie? W tej chwili nie był tego pewien. Już sam nie wiedział, w co powinien wierzyć, na czym się oprzeć ani którą drogą podążać.

Jakby w nagłym przebłysku zdał sobie sprawę, że imię Althirry i wzmianki o jej cudownym skarbie przewijały się w prawie każdej opowieści Egrita w taki czy inny sposób. Był to motyw, który stale powracał, jakby zataczał wielkie koło, dlatego że bez wątpienia nieustannie tkwił w myślach starego bajarza. Z chwili na chwilę Arion nabierał pewności, że musiało kryć się za tym coś jeszcze. Poprzez działające na wyobraźnię, urzekające historie starzec chciał zarazić swoich słuchaczy własnym marzeniem. Mimo że nie przekazał im mapy, nie wyjawiał swoich sekretów ani nie przyznał, że był kiedyś magiem, jego wiedza i sny szukały sobie ujścia. Tajemnica drzemała pomiędzy wypowiedzianymi przez niego słowami, wyłaniała się z barwnych zdań, spowita w bezpieczną otoczkę legendy, która chroniła ją przed odkryciem dużo lepiej niż rebusy, tajne hasła czy krwawe przysięgi.

W końcu jednak niektórzy w nią uwierzyli. Arion na własne uszy słyszał, jak któregoś razu paru członków załogi rozmawiało o możliwości odnalezienia tarczy Althirry.

– Podobno ten, kto by ją odnalazł, mógłby rozkazywać samym smokom. Mógłby przebywać między nimi, nie narażając się na niebezpieczeństwo – mruknął Egrit. – Ale sam skarb nie jest już dla mnie najważniejszy. Chodzi mi o ciebie i o twojego wuja. Ja i Gwinto przysięgliśmy sobie kiedyś, że jak długo każdy z nas ma swoją połowę mapy, pozostaniemy wiernymi przyjaciółmi. Moja połowa nie jest mi już potrzebna. Przestała być, odkąd bliżej poznałem Gwidona Gerka. Po prostu jestem przyjacielem twojego wuja. Jeśli chcesz się z nim pogodzić, pokaż mu tę mapę. – Starzec ciasno zrolował zwitek pergaminu i wyciągnął go w stronę chłopaka. – Na pewno zrozumie. Wierz mi. Będzie wiedział, co chcesz mu powiedzieć, nawet jeśli z twoich ust nie padnie ani jedno słowo.

Arion zawahał się i poruszył się niespokojnie.

– Ale ta mapa należy do ciebie. Nie jesteś aż taki stary. I jesteś najlepszym żeglarzem, jakiego znam – szepnął. – Możesz jeszcze odnaleźć to, czego szukasz. A kim jestem ja? Nikim. – Spuścił głowę. – Ta mapa jest dla ciebie bardzo cenna. Wydaje mi się, że nie mam do niej prawa.

– Wydaje mi się, że masz – mruknął starzec. – Jest coś jeszcze. Kiedy Gwinto przybył prosić twojego ojca, żeby popłynął z nami jako zaklinacz pogody, planowaliśmy wówczas wyprawę właśnie po maskę Althirry.

Chłopak drgnął. W środku poczuł falę gorąca.

– Jak wiesz, później wszystkie nasze plany zostały pokrzyżowane. – Egrit wzruszył bezradnie lekko przygarbionymi ramionami. – Tak czy inaczej, twój wuj chciał, żeby twój ojciec ujrzał ten skarb, żeby miał swój udział w jego odnalezieniu. Żeby stał się częścią naszej wielkiej przygody. Rozumiesz? Sądzę, że Gerk chciałby teraz, żebyś to ty miał tę mapę. Zastanów się, Arionie. Jeśli wiedząc to wszystko, co ci powiedziałem, uważasz, że jesteś w stanie wybaczyć Gwintowi, pogodzić się ze śmiercią twoich rodziców... Jeśli chcesz dojść do zgody z wujem i zostać na tym statku, żeby odszukać kiedyś skarb moich marzeń – szyper rozchylił przed nim wyżyłowaną dłoń, w której

spoczywał pergamin – moja połowa mapy jest twoja.

Arion słyszał dudnienie własnego serca. Mięśnie mu stężały i nie mógł się ruszyć, nie mógł wykonać najmniejszego gestu. Słowa starca przygniotły go, zwały się na niego jak lawina, jak spadający z czystego nieba biały szkwał. W ustach piekła go suchość, w żołądku wzbierały mdłości. Zamrugął oczyma i sięgnął po kubek z winem, który nie wiedzieć czemu zabrał ze sobą z kajuty. Natychmiast wychylił go duszkiem. To go orzeźwiło. Na moment podłoga zatańczyła pod stopami. Zapiekło go gardło.

– Nie mogę ci teraz nic obiecać – szepnął powoli, tocząc wewnętrzną walkę. – Nie wiem, czy jestem w stanie.

– Obiecaj mi po prostu, że dobrze to przemyślisz. Jeżeli zrezygnujesz, jutro oddasz mi mapę.

– Nadal wydaje mi się, że nie powinienem jej brać.

– To dar, Arionie. Nie możesz odmówić.

Chłopak przełknął ślinę i sięgnął po zwój. Pospiesznie schował go za pazuchę, jakby bał się, że ktokolwiek go dostrzeże, zanim podejmie ostateczną decyzję. Odetchnął głęboko, czując niemal ulgę.

– Dziękuję. Mam tyle pytań.

– Domyślam się. Ale wierz mi, dziś dość ci już powiedziałem. – Srebrne, kryształowe oko łypnęło w półmroku. – Każdy z nas ma swoje tajemnice. Lepiej, żeby niektórych nikt nie poznał.

Arion skinął głową, czując, że starzec pragnie zostać sam. On również musiał uporządkować myśli. Skłonił się lekko, wstał i ruszył do drzwi. Otworzył je. Zanim wyszedł, uśmiechnął się blado.

– Dziękuję ci, kapitanie.

Lumina odchyliła głowę w tył i oparła ją o ścianę. Mocniej podciągnęła kolana pod brodę. Mimo że letnia noc była ciepła, dziewczyna naciągnęła głębiej opończę, szukając w ten sposób namiastki zacisznego schronienia. Kajuta nie miała okien i poza pojedynczym lichtarzem z osadzonym w nim wąskim błyszczakiem nic nie rozpraszało mroku nocy. Lecz gdzieś nad tym okrętem, nad oceanem i łańcuchami jego wysp królowała księżycowa pełnia. Lumina czułaby to nawet, gdyby nie ujrzała dziś wieczór świecącego mocno koła blasku, toczącego się wśród gwiazd niczym olbrzymia perła. W takie noce zawsze chodziła we śnie. Lunatykowała, jak określał to Wysoki Mag. Dlatego przy jej otoczonym baldachimem łóżku musiała czuwać piastunka. Księżyc przyzywał królewską córkę swoim nieziemskim światłem, podobnie jak czyni to z pływami wszystkich mórz. Wypełniał ją niepokojem i dziwną tęsknotą, tak że poddawało mu się nawet jej ciało. *Tak się zdarza, księżniczko* – uspokajała ją Nyla, gdy Lumina mimo opadających, ciężących z każdą chwilą powiek, starała się nie zasnąć. *Wielu ludzi nie jest do końca sobą w czasie pełni. Okrągły księżyc ma wielką moc, wielką energię. Przecież porusza całym oceanem. Wszystko, co odczuwamy, staje się mocniejsze. Strach, nienawiść i miłość wzrastają w czasie pełni.*

– Strach jest gorszy od niebezpieczeństwa. Strach jest gorszy od niebezpieczeństwa – powtórzyła bezgłośnym szeptem Lumina, zaciskając powieki – Ale i tak się boję. Tak bardzo się boję. Dlaczego zostawili mnie samą? Gdzie się podziała ta czarnowłosa kobieta?

Odetchnęła głębiej. Starła się myśleć o tym, że każda chwila przybliżała ją do świtu, a kiedy ów nastanie, jakimś cudem wszystko będzie wyglądało inaczej. Czy po tym, co ją spotkało, w ogóle byłaby w stanie zasnąć? Bała się snu i jednocześnie z całych sił go pragnęła. Czowała się kompletnie wycieńczona. Marzyła o tym, żeby pograć się w zapomnieniu, w mrocznym odrętwieniu i w odpoczynku, jakie daje gasnąca świadomość. Chciałaby na tę noc wymazać z myśli upiorne obrazy, wynurzające się co jakiś czas z jej pamięci cienie, zalewające umysł rozpaczą. Nie

wiedziała, co się z nią stanie, i nie myślała o przyszłości. Przywykła do tego, że jej los od urodzenia ustalano za nią, że to inni troszczyli się o jej potrzeby. Przyszłość była zagadką, kwestią przeznaczenia. Za to przeszłość ściagała księżniczkę niby rozszerzająca się przepaść. Tak bardzo pragnęła o wszystkim zapomnieć!

Obróciła na palcu pierścionek, który dostała od Nyli. Czasem piastunka opowiadała jej przed zaśnięciem baśnie, w których pierścienie miały magiczną moc, równie prawdziwą jak świetlne kryształy magów. Potrafiły uczynić niewidzialnym, zmienić postać swojego właściciela albo przenieść go w jakieś odległe miejsce. Teraz Lumina zamarła na myśl, że może nic, co mówiła jej piastunka, nie było przypadkowe czy niepotrzebne. W legendach i baśniach, którymi Nyla karmiła księżniczkę, drzemała niemal zawsze ukryta treść, dojrzewająca wolno do jej całkowitego odkrycia. Zazdrosne, mściwe macochy, podstępni posłowie i sieroty dowiadujące się o swoim prawdziwym pochodzeniu – oni wszyscy mieli jej coś przekazać. Wzdrygnęła się słabo. Ale dokąd na końcu miało ją to wszystko doprowadzić? Co oznaczała trucizna ukryta w pierścionku? Lumina nie bała się śmierci, ale jej nie chciała. Wierzyła w życie. Czy prawdziwe niebezpieczeństwo groziło jej na królewskiej karaweli, czy dopiero tu, na tym smoczym okręcie? Czy ten żagłowiec zabierze ją do krainy bogów?

Zaczynało ogarniać ją poprzedzające sen odrętwienie, kiedy powróciła niespokojna myśl o pełni. Z góry wciąż dobiegały odgłosy pirackiej biesiady. Lumina poderwała się z miejsca, żeby upewnić się, że drzwi są dobrze zamknięte, na wypadek gdyby zaczęła chodzić we śnie. Paradoksalnie wcale nie chciała się uwolnić, uciec gdziekolwiek z tej izby. W końcu i tak dookoła rozciągał się ocean, a jej życie zawsze toczyło się w złotej klatce. Taki stan rzeczy wydawał jej się zbliżony do naturalnego. Była prawie pewna, że czarnowłosa kobieta niebawem powróci, żeby wyszczotkować jej włosy i pomóc zmienić szaty, że przyniesie jej ciepłą wodę do mycia.

Poczuła, jak jej tętno gwałtownie przyspiesza, gdy odkryła, że drzwi wcale nie były zamknięte na klucz. Uchyliła je i dokładnie w tej samej chwili stanęła oko w oko z

ciemnowłosym chłopakiem. Na jej widok stanął jak wryty. Cynowy kubek po winie wysunął się z jego dłoni i z pustym, blaszanym brzdękiem potoczył się do jej stóp. Lumina lekko rozchyliła usta.

– Co ty tu robisz?!

– A ty?!

W półmroku spoglądali na siebie zdumieni – kompletnie nie wiedzieli, jak się zachować ani co powiedzieć. Jedyne słabe światło z lichtarza z błyszczakiem sączyło się przez uchylone przez dziewczynkę drzwi.

– Wejdz tutaj! – rozkazała Lumina, lekko pociągając go za rękaw.

Arion szybko rozejrzał się na boki. Zaskoczony nieznoszącym sprzeciwu tonem dziewczynki, wśliznął się za nią do środka.

– Dlaczego stałeś pod moimi drzwiami?

– Twoimi... – Ariona lekko zatkało. – Nie stałem, tylko szedłem. To ty stałaś.

– Dokąd?

– Jak to: dokąd? Czy to ważne? Do siebie. Jestem członkiem załogi. Mam prawo poruszać się po okręcie.

Dziewczynka spojrzała mu prosto w oczy.

– Członkiem załogi? – powtórzyła szeptem, lekko marszcząc śliczne, delikatne brwi.

– Przecież słyszałam, jak mówiłeś, że nie jesteś jednym z nich.

Arion zasepił się, szurnął nogą po deskach. Nie odpowiedział. Lumina domyśliła się, że swoją uwagę mogła go nieświadomie urazić. Dygnęła z wdziękiem i zastygła w pozie głębokiego pokłonu, który tak dobrze opanowała na dworze ojca.

– Dziękuję, że stanąłeś dziś w mojej obronie. Już drugi raz. Przyjmij moją wdzięczność – szepnęła, wznosząc na niego źrenice. – Jest mi bardzo przykro, że poróżniłeś się z kapitanem. Walczyłeś bardzo dzielnie. Bałam się, że umrzesz. Przepraszam, że przeze mnie masz kłopoty.

Chłopak potrząsnął głową, jakby wciąż się gniewał. Na jego opaloną, zmęczoną

twarz o podbitych cieniami oczach wypłynął grymas.

– Ja mam kłopoty z twojej winy? – Uśmiechnął się gorzko, ale łagodnie, jakby dręczyło go sumienie. Mimo wszystko Lumina pomyślała, że ma piękny uśmiech. – Lepiej popatrz na siebie. – Na jego wibrujące słowa zamrugła oczyma. – Jeśli jeszcze tego nie wiesz, znalazłaś się tutaj z mojego powodu. W imię zemsty, rozumiesz? Domyślam się, że teraz nie chcesz mnie już znać. Lepiej już pójde.

– Zaczekaj! – rzuciła przenikliwym szeptem, a on zatrzymał się przy drzwiach, odwrócony do niej plecami.

Przełknęła ślinę.

– To kwestia przeznaczenia.

– Co?

– To kwestia przeznaczenia. To wszystko, co mnie spotkało. To, że jestem teraz tutaj. Uratowałeś mnie. Ocaliłeś moje życie. Tak chcieli bogowie i los – wyjaśniła z prostotą.

– Los chciał, żebyś znalazła się na tym okręcie?

– Tak. – Wbiła wzrok w podłogę. – Przepowiedziała mi to wyrocznia. Widziałam już kiedyś ten statek. Jakby w krainie snów. W oparach świętego ognia, w obsydianowym kielichu...

Arion odwrócił się powoli i przyjrzał się jej z ciemności szklistymi oczyma. Wyglądała krucho i pięknie. Czuł, że jest pełna dobroci i że mówi szczerze.

– Nie wierzysz w przeznaczenie?

– Sam nie wiem – westchnął ciężko. – Chyba nie.

– Dlaczego?

– Wolę sam kształtować swój los. Dokonywać własnych wyborów. Postępować dokładnie tak, jak chcę.

Niepewnie skinęła głową.

– Czy to dlatego chcesz opuścić ten okręt?

Arion milczał. Zachmurzył się.

– Po części tak – przyznał z ociąganiem. – To moja sprawa. Właściwie czemu o to pytasz?

Lumina splotła dłonie. Przysiadła na brzegu koi, jakby bała się, że opadnie z sił. Światło z lichtarza igrało w miękkich, jasnobrązowych włosach. Jej twarz przypominała teraz maskę wyrzeźbioną z kości słoniowej. Oczy znaczyły cienie od wylanych w ciągu całego dnia łez.

– Ponieważ chciałabym prosić cię, żebyś został. Nie chcę być tutaj sama. Bardzo się boję – wyszeptała.

Na moment ich spojrzenia się spotkały.

– Nie bój się – powiedział Arion miękko, podchodząc bliżej. Zawahał się, po czym przysiadł w pewnej odległości. – Nie ma czego. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Wszystko jakoś w końcu się ułoży.

– Ale jestem tutaj zakładniczką, prawda? Powiedziałeś mi, że twój wuj nie jest złym człowiekiem. Czy to prawda? Jesteś tego pewien?

– Tak. Jestem pewien – odpowiedział powoli, zastanawiając się jednocześnie nad własnymi słowami. – Jest łotrem, ale szlachetnym, jeśli to ma jakiś sens. Może się wściekać i kłąć, ale nie pozwoliłby, żeby stała ci się prawdziwa krzywda, kiedy jesteś na jego statku. Zresztą, on wierzy w prawo łądu. Dragici uważają, że nie wolno im wyrównywać rachunków na własnym okręcie. Jedynym wyjątkiem jest zdrada.

Lumina przypatrywała mu się zaintrygowana.

– Jesteś bardzo młody. Nie wiedziałam, że tacy chłopcy mogą być piratami.

– To nie są zwyczajni piraci. Oni... nie łupią innych okrętów. Zazwyczaj. Zdobywają tylko świetlne kryształy. Sprzedają je w portach daleko na południu. I polują na smoki.

Fiołkowe oczy zaokrągliły się do granic możliwości.

– Masz na myśli bogów?! Nie wierzę.

– Nie kłamie.

Nie zamierzała nawet podjąć próby zaakceptowania podobnej myśli. Czowała, że niechybnie przybliżyłoby ją to ku rozpacz, której ostatkiem sił próbowała się nie poddawać. Przełknęła ślinę i skinęła głową, pragnąc pominąć ten temat.

– W jaki sposób zostałeś jednym z nich?

Arion odetchnął głębiej. Oparł się o ścianę i odchylił głowę, wpatrując się w róg izby.

– Inkwizycja zabiła moich rodziców. Ludzie ze znakiem króla Skyerlora wznieśli pożar w moim domu. Mnie też próbowali zabić – wyszeptał powoli, cedząc głoski. Machinalnie podwinął brzeg koszuli, ukazując długą, białą bliznę. – Gwinto zabrał mnie na ten okręt w noc pożaru. Byłem wtedy nieprzytomny. Kiedy się ocknąłem, nie wiedziałem, gdzie jestem. Okazało się, że otacza nas ocean. Że nie ma stąd żadnego wyjścia, żadnej drogi ucieczki...

Lumina aż nazbyt dobrze знаła to uczucie, którego aż dotąd nie potrafiła wyrazić. Wrażenie, że chociaż wokół nie ma łańcuchów czy krat, znajduje się w niewidzialnej pułapce. Spętana przez okoliczności, zakazy i los, który tak skrzętnie dla niej przeznaczono. Dlatego słowa wypowiedane przez Ariona sprawiły, że wydał się jej niesamowicie bliski.

– Wtedy powiedzieli mi o wszystkim. A ja przypominałem sobie, co się stało. To było okropne. Jak koszmar, w którego nie możesz się obudzić. Nie cieszyłem się nawet z tego, że przeżyłem. Gwinto przygarnął mnie, bo jest moim wujem. Moja matka była jego siostrą. Pamiętam, że on wyniósł ją z pożaru, i byłem pewien, że ją uratował. Wierzyłem w to. Ale za długo oddychała dymem. Powiedzieli mi, że umarła we śnie.

Zapadła cisza.

– Przykro mi z powodu twoich rodziców – szepnęła Lumina, czując, jak od środka przenika ją drżenie, jakby jej ciało rezonowało niczym trącona struna harfy.

– A ty? – Arion zwrócił twarz w jej stronę. – Pewnie tęsknisz za rodziną? Pewnie

chciałabyś wrócić do domu?

Dziewczynka również oparła się o ścianę. Podciągnęła nogi z jedwabistym szelestem długiej sukni.

– Chyba tęsknię. Najbardziej za moją piastunką Nylą. I za braćmi, mimo że często mi dokuczali. Ale ja już nigdy nie wrócę do domu. Już nigdy.

– Dlaczego? – zdziwił się Arion. – Tylko nie mów, że to twoje przeznaczenie. – Spróbował się uśmiechnąć.

Potrząsnęła głową, ale nie odpowiedziała, a on nie śmiałby jej naciskać. Po rozmowie z Egritem, która cały czas rozbrzmiewała mu w pamięci, jakoś instynktownie przeczuwał brzemień tajemnicy.

– Po prostu nie mogę. – Przymknęła oczy.

Chłopakowi zrobiło się ciężko na duszy. Zastanawiał się, co ona ma na myśli, dlaczego nie może lub nie chce wrócić tam, skąd pochodzi. To sprawiło, że natychmiast stanął mu przed oczyma jego własny dom. Wrażenie było tak silne, że poczuł w nozdrzach woń rzecznego mułu i lawendowy zapach szat matki, usłyszał w głowie poranny okrzyk ptactwa na moczarach pokrywających rozlewisko Vissli, kiedy szli z ojcem sprawdzać sidła.

– Gdybym mógł, zrobiłbym wszystko, żeby wrócić do domu – wypowiedział na głos trawiącą go tęsknotę.

Spojrzała na niego z uwagą.

– Więc ty też nie możesz tego zrobić?

Skrzyżował ramiona.

– To bardzo daleko. Zresztą, wszystko spłonęło w pożarze. Ale nie o to chodzi. Moja matka powiedziała mi kiedyś, że dom to ludzie. Najbliżsi. Nie zastanawiałem się nad tym. Dopiero teraz to rozumiem. Kiedy jestem sam...

– Nie jesteś tu sam – szepnęła nieoczekiwanie. Jej drobna, jasna dłoń niepewnie powędrowała ku niemu i dotknęła jego ramienia.

Przytrzymał ją delikatnie, kiedy chciała się cofnąć, niby spłoszone zwierzątko.

– Jeśli ty masz dom, do którego chcesz wrócić, nie rezygnuj z tego – powiedział jej z przekonaniem, zanim puścił jej rękę.

– Jestem tu zakładniczką.

– Ale jesteś też księżniczką Crystallum, prawda? Wszyscy wierzą, że twoja wola znaczy więcej niż wola zwykłych ludzi. Nawet na tym statku. Kazłaś mi wejść do tej kajuty i wszedłem. – Uśmiechnął się kącikiem ust. – Kiedy chcesz, potrafisz rozkazywać.

Przymknęła oczy, lekko potrząsając głową.

– To nie tak. To całkiem inaczej...

Arion przypatrywał jej się zdumiony i zatroskany. Jej twarz rumieniła się i bladła niby chwiejący się płomyk i przez chwilę wydała mu się pierzchającą iluzją.

Jednocześnie z każdą upływającą minutą jego myśli krążyły nieodparcie wokół połowy mapy otrzymanej od Egrita. Czuł ciasno zrolowany pergamin spoczywający za pazuchą, po lewej stronie ciała. Jak postąpić?! Jutro będzie musiał dokonać najcięższego wyboru w całym swoim dotychczasowym życiu. Wiedział już, że nie zmruży oka tej nocy.

– Pewnie chciałabyś iść spać. Lepiej już pójdę.

– Nie, proszę! Nie zostawiaj mnie tu samej! Nie na noc... – wyszeptała Lumina z odcieniem paniki w głosie. Zaskoczyła go jej reakcja. Ujrzał wbite w siebie szkliste oczy o źrenicach skurczonych prawdziwym strachem.

– Dobrze. – Skinął głową. – Jeśli zechcesz, zostanę tu do rana. Pod warunkiem że ty pójdziesz spać.

Pomyślał, że Aliya zapewne znakomicie bawi się z resztą załogi, a zwłaszcza z jego wujem. Muzyka, tupot nóg i toasty cały czas niosły się po okręcie. Biorąc pod uwagę niebotyczne ilości wina, jakie rozlewano na górnym pokładzie, raczej nieprędko ktokolwiek zawita do tej kajuty.

Lumina przytaknęła mu z wdzięcznością.

– Dziękuję. – Odwzajemniła jego blady uśmiech.

Wstał, żeby całkiem zwolnić dla niej koję, a sam przysiadł na podłodze blisko wezgłowia, oparty plecami o ścianę. Lumina ułożyła się na pościeli i podciągnęła pled pod samą brodę.

– Chyba domyślam się, co ci dolega – mruknął Arion.

– Tak?

– Tak. I mogę temu zaradzić. Ty boisz się ciemności, prawda?

Wydobył ze skórzanego woreczka na piersi jeden ze swoich świetlnych kryształów. Rzucane przez kamień iskierki blasku zatańczyły na ścianach i na suficie. Usłyszał, jak dziewczyna niemal bezszelestnie westchnęła z zachwyty.

– Tam, gdzie mieszkałam...

– W zamku?

Zawahała się.

– Tak. Jest tam dużo świetlnych kryształów. Tron króla jest wykuty z wielkiej, świecącej bryły. Kiedy jest odkryty, przypomina słońce. Prowadzą do niego dwa rzędy ogromnych świeczników z rytami starożytnych, pięknych run. Niektóre z tamtejszych kryształów mają wielką moc.

– Myślę, że ten też ma. Jestem prawie pewien.

Lumina przełknęła ślinę. Ten tajemniczy chłopak zadziwiał ją z każdą chwilą. Wszystko, co robił i mówił, jej imponowało. Był odważny. Był dla niej bohaterem. Robił, co chciał. I był piratem. Pojedynekował się z samym kapitanem.

– Czy jesteś też magiem?

– Magiem? – parsknął stłumionym śmiechem. – Ja?

W tej samej chwili odkrył, że to, co wywołało w nim wcześniej zawód i wściekłość, obecnie nie ma dla niego żadnego znaczenia. Owszem, nie posiadał daru swojego ojca. Tak jak większość zwykłych ludzi nie skrywał żadnych nadprzyrodzonych zdolności.

Nie miał w sobie bodaj najdrobniejszej magicznej iskry i potrafił się z tego po prostu śmiać. Jej naiwne pytanie szczerze go rozbawiło.

– Skoro nie jesteś magiem, to kto pozwolił ci nosić na szyi świetlny kryształ? – szepnęła. Nie było w tym przygany, tylko autentyczna ciekawość, wobec której poczuł się bezradny.

– Nie muszę pytać nikogo o pozwolenie – rzucił hardo.

Zastanowiła się nad tym chwilę.

– Dlatego że jesteś piratem.

Wzruszył ramionami z łobuzerską miną.

– A czy król pyta innych, kiedy chce coś zrobić? Albo ty?

– Nie bluźnij. Nie powinieneś tak mówić.

– Dlaczego? Przecież jesteś jego córką, prawda? – mruknął chłopak obojętnie.

– Ja... – Głos jej zadrżał, załamał się i przeszedł w cichy płacz.

Wszystko w Arionie stężało w jednej chwili.

– Nie płacz. – Ukląkł przy koi. Odruchowo poszukał jej dłoni. Była drobna i zimna jak lód. Na moment przycisnął ją do ust i ogrzał oddechem. – Proszę cię, zostanę tu do rana, tylko już nie płacz!

To nieco poskutkowało. Uspokoila się z wolna, rozmazując po policzkach łzy.

– Przepraszam – wyjąkała, nadal pochlipując.

– Nie masz za co przepraszać. Domyślam się, jak się czujesz.

– Nie rozumiesz – zaprzeczyła słabo. – Ja sama już nie wiem, czy jestem córką mojego ojca! Nie mam pewności, czy w ogóle jestem księżniczką. Nie mogę więc wiedzieć, jakie jest moje przeznaczenie!

Arion nadal trzymał ją za rękę.

– Tego nie wie nikt.

– Ale ja muszę to wiedzieć! Mój los od początku był zaplanowany, nie rozumiesz? Poświęcono mnie bogom!

Potrząsnął głową nieco oszołomiony. Nie potrafił zrozumieć, jakim torem biegly myśli tej dziewczyny. Wspomniał słowa wypowiedziane dziś przez Keramira i wzdrygnął się lekko. *Jedyna córka władającego magią Sykiarda. Żyjąca bogini, towarzyszka smoków.* Sykiard był poprzednim władcą Crystallum, starszym bratem Skyerolora. Nawet Arion to wiedział, chociaż nigdy nie pobierał nauk o genealogii wysokich rodów królestwa. O nagłej śmierci tamtego króla krążyły wśród ludu rozmaite pogłoski. Kiedyś usłyszał przypadkiem rozmowę na ten temat w miasteczku i zapytał o tę sprawę ojca.

– A to, co powiedziałaś mi o wyroczni? Mówiłaś to na poważnie, prawda? O ogniu i o kielichu. Naprawdę zobaczyłaś już kiedyś ten statek?

Przytaknęła.

– Pokazała mi go wyrocznia. Widziałam wyraźnie taki sam okręt w świętym płomieniu. Te żagle... Jakby pokryte skórą węża... Są jedyne w swoim rodzaju. Aż do tej pory nie wiedziałam, co ta wizja może oznaczać.

– W takim razie wygląda na to, że naprawdę to przeznaczenie przywiodło cię tutaj. Może znalazłaś się na tym statku w jakimś celu – powiedział to głównie po to, żeby ją pocieszyć. Jednak przez moment miał wrażenie, że słowa, które padają z jego ust, mogą dotyczyć również niego samego. Nie, niemożliwe. – Skoro wierzysz w los, może spróbuj mu zaufać. Ja chyba właśnie tak bym postąpił, gdybym myślał podobnie jak ty.

– Ufam mu, tylko... Zrozum, tamta wizja była przeznaczona dla córki króla. – Słowa ledwie przechodziły jej przez gardło. – Dla prawdziwej księżniczki. A co, jeśli wszystko, czego mnie uczono, jest nieprawdą? Jeśli ja nie jestem...

– Ciii – szepnął Arion, przerywając jej łagodnie.

Spojrzała mu pytająco w oczy. Przeszedł go ciepły dreszcz.

– Ty jesteś księżniczką – zapewnił ją z przekonaniem.

W tej chwili chciałby, żeby nią nie była, ale nie potrafiłby skłamać. Mimo to zapragnął, żeby nie urodziła się jako córka króla, lecz jako zwyczajna dziewczynka,

podobna do jego rówieśników z delty Vissli. Przypomniwał sobie znajome twarze dość beztroskich, wesołych dzieci pływających w morzu, łowiących ryby na wędki z patyków, wznoszących zamki z piasku i improwizowane domki pośród rozłożystych konarów drzew lempe o mnóstwie powietrznych korzeni podporowych, upodabniających je do starych figowców.

– Źle cię oceniłem – mruknął chłopak na wydechu. – Nie tylko ciebie, dużo innych osób także. – W tej chwili pomyślał o Egricie, ale przede wszystkim o swoim wuju. Na świeże wspomnienie szalonego pojedynku z Gwintem przeszywał go narastający ból i wstyd. W głowie nie cichł jeszcze metaliczny trzask i zgrzyt uderzających o siebie brzeszczotów. Połowa mapy za pazuchą zdawała się parzyć mu ciało. – Myślałem tylko o sobie. I kierowałem się pozorami. Dlatego znalazłaś się tutaj. Chciałem zemsty za śmierć moich rodziców i w ten sposób wpłynąłem na twój los, Nie wiem, co będzie dalej. – Potrząsnął głową. – Ale jestem pewien, że ty jesteś księżniczką. Byłem tego pewien od początku. Tak naprawdę chciałem zrobić na złość wujowi, dlatego twierdziłem inaczej. Nagle wściekłem się na niego za twoje łzy, a przecież w równym stopniu to moja wina. Gwinto ma rację co do mnie we wszystkim, co dziś powiedział. Nawet nie wiesz, jak wiele prawdy było w jego słowach.

– Wiedziałaś od początku? – szepnęła po chwili ciszy Lumina. – Ale jak...?

Arion wzruszył ramionami.

– Po prostu. Wiedziałem. Byłaś taka piękna, że nawet bez korony czy diademu... – Zerknął w bok, oczy mu błysnęły. – Nawet gdybyś była ubrana w łachmany, miałbym pewność, że jesteś księżniczką.

Twarz Luminy zaczął oblewać delikatny rumieniec. Słowa Ariona spłynęły na nią jak balsam. To była najmiłsza, najcudowniejsza, najbardziej kojąca rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszała. Odetchnęła głęboko i nie puszczając jego ręki, położyła głowę na płaskiej i wypłowiej poduszce.

– Dziękuję – wyszeptała po chwili.

– Nie masz za co.

– Mam... Zostaniesz tutaj ze mną, prawda, Arionie? Nie zostawisz mnie samej aż do rana? – Jej głos stawał się coraz bardziej senny. Opuściła powieki.

– Zostanę tutaj, księżniczko.

– Mów mi Lumina.

– Lumino.

Z chwili na chwilę jej oddech wyrównywał się i uspokajał. Siedząc na podłodze, Arion patrzył na jej uśpioną twarz w słabym odbłasku kryształowego światła. Dopiero po długim czasie wysunął rękę z jej omdlałej, rozluźnionej dłoni. Zauważył, że na serdecznym palcu nosi prosty pierścionek z koralowym oczkiem.

Poruszył zeszywniałymi ramionami i wyciągnął przed siebie nogi. Serce nerwowo postukiwało mu w piersi. Na czole błysnęła kropelka potu. Czy naprawdę istniało coś takiego jak przeznaczenie? Gdyby tak było, to czy wybór, którego musiał teraz dokonać, został już przewidziany? Czy to możliwe, że było mu pisane przeżyć pożar, że znalazł się na tym okręcie w jakimś celu, chociażby po to, żeby spróbować odnaleźć wysniony skarb starego Egrita?

Nie chciał ani nie potrafił się z tym zgodzić. Myśl, że coś lub ktoś zaplanowało śmierć jego rodziców, wzbudzała w nim odrazę i dreszcz grozy. Jednakże czy ktokolwiek mógł choćby przypuszczać, że on, zwykły chłopiec z zapomnianej przez bogów krainy otoczonej mnóstwem bagien i lotnych piasków, pewnego dnia spotka córkę samego króla?

Kiedy patrzył na nią, mimo wszystko czuł, że ich losy w jakiś sposób są splecione. Na oceanie żadna fala nie biegnie sama. Wszystko jest ze sobą połączone.

I chociaż Arion nie chciał wierzyć w przeznaczenie, wybór w jego duszy już się dokonał. Ziarno przyszłości zostało zasiane i kielkowało wolno, chociaż starał się je zwalczyć, chociaż nie potrafił albo nie chciał sobie tego uświadomić.

– Zostanę tutaj, księżniczko – wyszeptał wreszcie na głos w mroku, dotykając skrytej

za pazuchą połowy bezcennej mapy.

Kiedy to zrobił, pierwszy raz od dawna poczuł zupełny spokój. Wiedział, że jutrzejsza rozmowa z Gwintem będzie jedną z najtrudniejszych w jego życiu, ale postanowił spróbować mu wybaczyć i poprosić go o wybaczenie. W jednej chwili uwolnił się od rozterek. To sprawiło, że uśmiechnął się do siebie. Schował świetlny kryształ do woreczka na rzemieniu i głęboko odetchnął pełną piersią. Na kajutę spadła prawie całkowita ciemność, miękka niby aksamitny koc. Do uszu chłopca docierały coraz cichsze odgłosy muzyki oraz łagodny, kojący szum fal. Dragicki okręt zmienił się w przytulną, lekko kolebaną magicznymi wiatrami kołyskę. Arion nie zorientował się, kiedy zapadł w głęboki, spokojny sen.

25.

Zbudził go cichy jak tchnienie, chłodny szept. Przypominał raczej szmer nocnej bryzy znad fal. Mimo to rozpoznał w nim głos swojej matki, znaną mu dobrze nutę czułości, która nim wstrząsnęła.

– Arionie.

Ramiona owiał mu lekki chłód. Poruszył się słabo. Mięśnie miał zeszywniałe. W ciemności zamrugał nieprzytomnie oczyma i zmieniwszy niewygodną pozycję, znowu zamknął powieki, usiłując przywołać na powrót napełniający go tęsknotą, pierzchający obraz ze snu.

– Arionie.

Powiew chłodu liżący mu plecy stał się wyraźniejszy. Chłopak zwinął się w kłębek na twardych deskach pod ścianą. Serce mocniej zabiło mu w piersi. To lekkie tchnienie opływające jego ciało nie dawało mu spokoju. Nadal ogarnięty głęboką sennością, przekręcił się na drugi bok, w kierunku źródła wiatru.

W wątlym snopie światła z błyszczaka staającego opodal marynarskiej skrzyni dostrzegł wreszcie, że drzwi kajuty są otwarte na oścież. Z korytarza wdzierał się przez nie słaby przeciąg. Chłopiec nadgarstkami potarł zaspane oczy i wstał niespiesznie, na sztywnych nogach, żeby zamknąć wejście. Wówczas jego wzrok padł na chwilę na koję, z której zwieszał się lekko skołtuniony pled.

Była pusta.

– Księżniczko.

Arion wydobył błękitny kryształ świetlny, który rozpałił się w jego dłoni, i rozejrzał się dookoła po niewielkim pomieszczeniu. Ani śladu Luminy.

Z kryształem w ręku wyszedł na wąski, mroczny korytarz. Nasłuchiwał przez moment, czy gdzieś w pobliżu nie rozlegną się jej kroki. Poczul się jakoś nieswojo. Dookoła panowała niesamowita, nieprawdopodobna wręcz cisza, kontrastująca ostro z hałaśliwym harmiderem żeglarskiej zabawy, trwającej wcześniej na okręcie. Każde skrzypnięcie deski, każdy mocniejszy pomruk fali i każdy chrzęst liny zdawały się nieść w niej bez końca, jakby każda deska, każda fala i każda lina przekazywały dalej chóralnym szeptem najlżejszy nawet dźwięk.

Arion ruszył ku schodkom prowadzącym na górny pokład. Trwała właśnie ostatnia godzina nocy, najchłodniejsza pora, kiedy ludzi ogarnia najmocniejszy sen. Odrętwiały, wyzuty z kolorów świat czekał na nadejście świtu. To w tej godzinie, chłopak wiedział to od ojca, ciężko chorzy kierują się bądź w stronę śmierci, bądź w stronę życia.

Cała załoga na górnym pokładzie spała. Ogromny, lekko zaróżowiony księżyc w pełni wisiał nad zachodnim horyzontem, z którego wyrastało wyniosłe pasmo lądu, ciemne i tajemnicze. Załomy klifów skrzyły się w księżycowym blasku, który malował na falach prowadzącą ku nim złudną drogę rozbieganych światel.

Ariona ogarnął narastający niepokój. Nikt nie trzymał wachty. Wzdrygnął się, widząc, jak pozostawione samopas koło sterowe chybotrze się delikatnie z jękliwym

skrzypieniem. U jego stóp dostrzegł zwalistą sylwetkę Tika, który leżał na plecach z rozrzuconymi ramionami, głośno pochrapując. Chrapanie zresztą niosło się ze wszystkich stron. Chłopak nie mógł w to uwierzyć. Pokład przypominał pobojojwisko. W najróżniejszych, nieraz bardzo dziwacznych pozach, ułożyło się na nim mnóstwo znieruchomiałych ciał. Wszyscy spali kamiennym snem sprawiedliwych. Niektórzy ściskali jeszcze kielichy od wina, piszczałki i harmonijki. Z rozdziawionych ust skapywała ślina, czasem przechylone głowy nieświadomie tuliły się do najbliższych towarzyszy. Arion ostrożnie zrobił parę kroków między opróżnionymi beczkami, ogryzionymi do ości, bielącymi kręgosłupami ryb, skorupami rozbitego w drobny mak dzbana i mnóstwem splątanych kończyn oraz nieprzytomnych, osrebrzonych księżycem twarzy. Niepokój ścisnął mu serce. Skórzaste, wielkie żagle przy masztach były obwisłe i bez życia. Łopotały co jakiś czas nierówno i bezwładnie, zaczesywane przez swawolny wiatr.

Okręt dryfował przed siebie. Nie prowadziły go nawet czary Keramira. Zresztą, Gwinto nigdy by nie pozwolił, żeby mag, któremu do końca nie ufa, całkiem sam...

Arion poczuł podchodzącą mu do gardła panikę.

– Wstawajcie! – wrzasnął, jednocześnie cały czas rozglądając się wokoło w poszukiwaniu Luminy. – Wstawać, jazda! Ruszcie się! Wstawajcie! Pobudka! Ruszcie się! Wstawajcie, wy lenie!

Żadnego odzewu. Nikt nawet nie drgnął.

Zaczął kurczowo potrząsać za ramiona najbliższymi żeglarzami, ale żadnego nie zdołał obudzić. Kopnął Partego w kostkę. Bez rezultatu. Ciała mężczyzn stały się ociężałe i bezwładne. Rzekłbyś: ciała wylegujących się na brzegu uchatek, które dopiero w wodzie odzyskują grację. Wszyscy byli pogrążeni we śnie tak głębokim, że przypominał on śmierć.

Naraz chłopak dostrzegł wielką konchę Gilala. Skoczył ku niej, żeby w nią zadać, licząc na to, że może wibrujący, potężny głos zbudzi kogokolwiek na okręcie. Nabrał

pełen haust powietrza i dmuchając w zaopatrzony w ustnik, spiralnie skręcony róg muszli, wycisnął je z płuc aż do ostatka. Przenikliwy, podobny do krzyku wieloryba głos rozszedł się nad falami. Po chwili powrócił echem, odbity od czarnych klifów skąpanej w księżycowej łunie wyspy. Spojrzenie Ariona chaotycznie prześlizgiwało się po leżących wokół towarzyszach, wypatrując najmniejszego choćby poruszenia.

– Wuju Gwinto – wyszeptał chłopak, zrywając się z miejsca.

Dojrzał śpiącego na pokładzie Gerka. Przekrzywiona głowa kapitana opierała się o nadburcie w pobliżu okrętowego mostku. Ciemnozłota, nieprzytomna twarz Aliyi spoczywała na jego szerokiej piersi, przysłonięta burzą kruczoczarnych włosów. Jedną ręką mężczyzny obejmowała kibić młodej kobiety, z drugiej zaś wysunął się okuty metalem róg z pozostawioną na dnie resztką wina. Arion nachylił się nad Gwintem. Próbował go zbudzić, gdy w jego nozdrza uderzył gorzki zapach, który w miarę wdychania nabierał ostrości. Chłopak uniósł na wpół opróżniony róg i skrzywił się mimowolnie, przeciągnąwszy nim koło nosa. Brunatny nalot, którego nie powinno tam być, osadził się na kościanych ściankach naczynia. Arion zmarszczył brwi. W oczach zapaliły mu się drgające ogniki. Coś było wyraźnie nie tak z winem z dna ładowni.

Nagle pojął, że nic nie wskóra dopóty, dopóki mikstura, którą wypili jego kompani, w końcu nie przestanie działać.

Jeszcze bardziej zaniepokoił się o Luminę.

Wbiegł na mostek, żeby zablokować ster. Zanim to zrobił, zakręcił szczeblami koła kilka razy i zaczekał, aż wychylona płetwa sterowa każe dryfującemu okrętowi skierować się wolno ku wyspie. Nocą bryza wieje od lądu do morza, ale o tej porze powinna już słabnąć. Arion liczył, że trwający jeszcze przyptyw będzie im sprzyjał. Jeśli statek dostatecznie zbliży się do podnóża wyspy, będzie mógł zrzucić kotwicę i czekać, aż załoga dojdzie do siebie.

– Księżniczko! – zawołał na cały głos. – Lumino! Lumino!

W odpowiedzi tylko żagle załopotały na tle nieba, gdzie mienił się daleki pył galaktyk, po czym znowu opadły bez życia. Zaciskając dłoń na płonącym niebiesko kryształach, Arion postanowił poszukać dziewczynki pod pokładem. Na początek zamierzał wrócić do opuszczonej przez nią kajuty.

W chwili gdy zbiegał z kapitańskiego mostku, dostrzegł ją w snopie księżycowego światła.

Ukazała się w drzwiach dziobówki. Podeszła do relingu. Uradowany, zawołał jej imię. Zdawała się go nie słyszeć ani nie widzieć. Nim zdążył zareagować, chwyciła się jednej z want i podciągnąwszy się zwinnie, obiema bosymi stopami stanęła na krawędzi nadburcia i uniosła skraj długiej, lejącej się sukni.

Arion zamarł ze zduszonym okrzykiem na ustach. Co u diabła ona wyprawia? Czy zamierza rzucić się do morza?

Cały świat zakolebał mu się przed oczyma. Lumina zaczęła stąpać wolno po nadburciu. Kołysała się lekko na tej cienkiej granicy oddzielającej okręt od czarnego, pomrukującego morza niby człowiek przechadzający się po linii nad przepaścią. Każdy jej krok odbijał się głuchym echem w sercu Ariona. Każde poruszenie stawianych jedna za drugą drobnych stóp sprawiało, że oblewał go lodowaty pot. Wpatrywał się w nią jak sparaliżowany, pragnąc za wszelką cenę przerwać ten powolny, hipnotyczny taniec ze śmiercią.

Zaczął powoli, ostrożnie zbliżać się w jej kierunku. Niemal obawiał się oddychać. Dotarło do niego, że dziewczynka jest lunaticzką i raptowne wyrwanie jej ze snu może okazać się dla niej zabójcze. Nagły hałas mógłby ją spłoszyć, strącić w otchłań. Zachwiać kruchą równowagą jej ciała w sposób równie niebezpieczny, co niespodziewany podmuch bocznego wiatru albo gwałtowna fala, których pojawienia się lękał się Arion.

Ale fale i wiatr ucichły. Morska woda szemrała leniwie, przeciągle liżąc burty. Nocne powietrze zastygło, podczas gdy chłopak, zrównując swoje kroki z krokami

ramieniem, mocno przycisnął do ciała. Moment, kiedy razem upadali na pokład, rozciągnął się w jego umyśle w nieskończoność.

Starał się opaść bokiem, wykręcił się w powietrzu. W tej samej chwili usłyszał i poczuł, jak coś olbrzymiego zrywa się w górę po drugiej stronie burty, dosłownie mija ich o włos. Zobaczył, jak nad nadburcie wystrzeliwiają w nocne niebo jęzory wody, a rozdwojona, mocna fala o spienionej grzywie wznosi się wysoko i opada na pokład za nimi, obmywa śpiących, nieprzytomnych dragitów. Jednak nawet poprzez kipiącą pianą tafłę zdołał dostrzec w blasku księżyca gigantyczny cień. Coś przesłoniło gwiazdy, przemykając nad statkiem. A potem wszystko ucichło.

Lumina mrugała wielkimi jak dwie studnie oczyma, wpatrując się w niego kompletnie zagubiona.

– Co... Co się stało?

Jej rozpuszczone włosy zaczęły skręcać się od wilgoci. Oboje byli mokrzy od morskiej wody. Otaczało ich mnóstwo płytkich kałuż, w których ogromny księżyc odbijał się jak w odłamkach rozbitego zwierciadła.

– Nie wiem – wyszeptał nerwowo Arion, obejmując ją ramieniem. – Coś wielkiego właśnie przeleciało nad statkiem. Boję się, że zaraz może tu wrócić. Dobrze się czujesz?

Niepewnie skinęła głową.

Położył palec na ustach, dając jej znać, żeby nie hałasowała. W milczeniu siedzieli skuleni pod samą burcią, trzymając się za ręce, zasłuchani w tajemniczy pomruk oceanu. Ich serca uderzały w jednym rytmie, złączone strachem i wzajemną bliskością.

– Chyba zniknęło – mruknął Arion, gdy wreszcie odważył się uznać, że niebezpieczeństwo minęło.

Lumina przełknęła ślinę.

– Przyszłam tu we śnie, prawda? – raczej stwierdziła, niż spytała, spuszczaając głowę.

Wstydziała się tego, że jest lunaticzką. Król i królowa uważali, że to nienormalne.

Ich jedynej, pierworodnej córce, księżniczce, która miała pozostać czysta i nieskalana, nie przystawały żadne samotne wędrówki, nie mówiąc już o opuszczaniu łóża nocą. Świadomość, że podczas snu Lumina nie panuje nad własnym ciałem, doprowadzała do skrywanej furii króla Skyerlora.

– Tak – potwierdził Arion. – Chodziłaś we śnie. Wiedziałaś, że ci się to zdarza?

Przytaknęła ledwie dosłyszalnym szeptem.

– Powinnaś była mi o tym powiedzieć. Nie słyszałem, kiedy wyszłaś z kajuty, i gdybym przypadkiem się nie zbudził... – Wymownie zawiesił głos. – Mogłaś wypaść za burtę. Mało brakowało, rozumiesz?! Spacerowałaś po nadburciu jak jakiś wędrowny akrobata, a to coś pędziło prosto na ciebie!

– Ale co to było?

– Nie mam pojęcia. To mógł być potwór morski.

Oboje zamilkli, przebiegł ich lodowaty dreszcz. W nocnej ciszy z pokładu rozbrzmiewało wciąż chóralne chrapanie. Szum oceanu przenikał przedświtną ciemność.

– Dlaczego oni wszyscy śpią?

– Ktoś dodał do wina usypiającej mikstury.

Lumina drgnęła. Czyżby również na tym statku, tak samo jak na królewskiej karaweli, w sekrecie zagnieździły się podstęp i zdrada?

– Jesteś pewien?

– Tak. – Arion spojrzał jej w oczy. – Mój ojciec był uzdrowicielem. Dobrze znał się na leczeniu i czasem przyrządzał podobną miksturę, jeśli pacjent z powodu bóleści nie mógł zasnąć. Sporządza się ją ze zmielonych muszli opłuwków. Jestem przekonany, że ktoś wsypał coś takiego do beczek w ładowni. Zauważyłem resztki zawiesiny. Były na rogu do picia mojego wuja.

– Ale kto mógłby to zrobić?

– Nie wiem – szepnął lekko oszołomiony i wypuścił powietrze z płuc. Za dużo myśli

naraz buszowało mu w głowie. – Ale Gwinto przestrzegał mnie, żeby nie ufać zaklinaczowi pogody. Może coś przeczuwał? Albo o czymś wiedział? Obawiam się, że mógł to zrobić Keramir.

Lumina ścisnęła jego dłoń.

– Więc nie śpi gdzieś tutaj z pozostałymi?

Chłopiec znów spojrzał jej w oczy, po czym wyciągnął mały świetlny kryształ.

– Sprawdźmy to – zaproponował zdecydowanie.

Strach na równi z rozsądkiem podpowiadał księżniczce, że w takiej sytuacji powinni raczej się ukryć, gdyż zbuntowany mag mógł być szalenie niebezpieczny. Zwłaszcza że tylko oni dwoje uniknęli jego podstępów. Ale miała już dość uciekania i ulegania lękom, a Arion nie zgodziłby się postąpić jak tchórz. Chwilowe, złudne poczucie bezpieczeństwa nie było tego warte. Los całej załogi mógł spoczywać w ich rękach.

Chłopak pomógł dziewczynce wstać. W tej samej chwili niski, znany mu już furkot rozległ się w powietrzu za jego plecami. Lumina pisnęła. Potężny podmuch niemal przewrócił ich na deski okrętu, załopotał suknią dziewczyny. Chłopiec zasłonił twarz rękami, odwrócił się z trudem i poprzez palce dłoni spojrzał w górę. Ogromny, rozcapierzony cień przeleciał wysoko nad statkiem, przemykając przez sam środek księżycowej tarczy. Wzbił się ku rozgwieżdzonemu niebu.

Z łomocącymi sercami i bladymi twarzami Arion i Lumina dopadli relingu.

– To był...

– Tak – szepnęła bez tchu Lumina. – To był bóg. Tam, szybko, popatrz!

Ujrzeli go oboje. Szybował w księżycowym świetle nad falami, olbrzymi i majestatyczny. Przy każdym machnięciu skórzastych skrzydeł łuski na jego ciele połyskiwały. Zielonkawe iskry sypały się z ostrego pyska i z sykiem gasły w oceanie. Smok dał nura w przestworza, zawirował wokół własnej osi. Ciął przy tym krańcem skrzydła powierzchnię wody, a krople roztrysnęły się jak diamenty. Podciągnął lot. W jednej chwili wzbił się wysoko, nieomal zniknął wśród gwiazd, kreśląc pomiędzy nimi

szerokie klepsydry. Po długiej chwili znowu opadł nisko nad wodę, zbliżając do siebie skrzydła i podkurczając szpony, jak gdyby powtarzał sekwencję w przedziwnym tańcu. Niesamowity, szorstki, ciężki szum jego lotu rozbrzmiewał nad oceanem.

– Spójrz, tam jest jeszcze jeden! – wykrzyknęła Lumina, stając na palcach.

Dwa smoki leciały teraz razem, wyczyniając w powietrzu zachwycające akrobacje. Wznosiły się to niżej, to wyżej. Ściagały się i czasem ocierały o siebie grzbietami, krzesząc fontanny zielonkawych iskier. Powierzchnia morza zaczęła roić się od świecących, czerwonych meduz, które musiały przynieść tu fale przyływu. Gdy smoki rozpryskiwały wodę, mieniła się ona połyskliwą czerwienią. Kołując pomiędzy niebem a oceanem, bogowie ognia oddalali się w stronę wschodniego horyzontu, który zaczynał się rozwidniać.

Arion i Lumina stali przy burcie jak zahipnotyzowani. Zmrożeni strachem, a jednocześnie szczęśliwi. Ogarnęło ich nawiedzające czasem ludzi, zniewalające poczucie, że we Wszechświecie są tylko drobną cząstką czegoś większego – czegoś, czego nawet bogowie nie mogliby objąć, bo nawet oni tworzą element większej całości.

– Wzbudzają podziw... i strach – szepnęła dziewczynka. Poczowała szarpnięcie rozzierającej tęsknoty.

– Masz rację. Dokładnie tak się czuję.

– Czy to prawda, co mówiłeś? Że dragici... ich zabijają?

Chłopak zamyślił się. Nie odrywał wzroku od kluczących coraz dalej, dwóch majestatycznych, smoczyc sylwetek, które zdawały się blednąć razem z gwiazdami wschodniego horyzontu. Przez długi moment bił się z myślami. Zacisnął obie dłonie na relingu.

– Tak. To prawda. Ale ja... chyba nie mógłbym zabić czegoś tak pięknego. Nie potrafiłbym. Czuję, że to grzech.

– Ja się nie zawaham.

Arion wzdrygnął się. Ten chropowaty, zdarty i zimny głos, który dobiegł z

ciemności za jego plecami... Zawtórował mu cichy, zduszony jęk Luminy. Niejasno zdał sobie sprawę, że dziewczynki nie ma już obok. Zniknęła, a on nie wiedział kiedy. Odwrócił się raptownie, instynktownie szukając u pasa miecza. Węszące za rękojeścią palce desperacko przecięły powietrze. Skórzana pochwa była pusta. Jak to możliwe?! W chaotycznej gonitwie myśli przemknęła chwila, gdy Gwinto Gerk wytrącił mu miecz.

Oręż Ariona zniknął na zawsze w oceanie.

– Nie ruszaj się! – wysyczał do niego mroczny, spowity w czerń kształt, a jemu zatkało oddech.

Natychmiast usłuchał. Cień trzymał Luminę. Zakrywał jej usta, drugą ręką przyciskając do jej mleczej szyi ostry nóż. Dziewczynka odgięła głowę, starając się odsunąć od ostrza, spod którego wymknęła się cienka, krwawa strużka.

– Nie krzywdź jej! Zrobię, co zechcesz! – wychrypiał Arion, jakby przedarł się przez ścianę ciszy.

– Wiem, że zrobisz – wysyczała czarna postać. Gdy przemówiła, w powietrzu rozszedł się odór rozkopanych grobów. Była to niska, kwaśna, duszna woń rozkładu, zatęchłych szmat, rozgrzebanej ziemi, martwych ryb i gnijących wodorostów. – Na początek oddasz mi mapę. Wiem, że ją masz.

Arion nie oponował.

– Powoli, powoli, chłopcze.

Chłopak zanurzył dłoń pod pazuchę, zacisnął ją na zrolowanym pergaminie.

– Podaj mapę do rąk księżniczki. Ona niech ją wsunie za swój stanik. Głęboko. No, dalej... – Nie odciągając ostrza, cień lubieżnie zagłębił wolną dłoń za dekolt Luminy. Przeciagle pogładził jej skórę, dotykając miękkich piersi, w widoczny sposób rozkoszując się tym gestem. – Taka świeża... Taka delikatna... – wydyszał nisko, nachylając się nad jej uchem. – Tak dawno... Nie miałem w rękach... kogoś takiego...

Zabrał mapę. Pergamin zniknął w czeluściach czarnej, obszernej szaty.

– Puść ją teraz! Dostałeś to, czego chcesz!

– To, czego ja chcę... – Im częściej cień się odzywał, tym bardziej jego słowa przypominały gardłowe rżenie. Przerывało je coś jak gulgot albo mlaskanie, jakby miał w ustach coś rozmiękłego. – To dopiero... początek... Przygotuj do opuszczenia szalupę! Chcę... żebyś opuścił ją na wodę.

Arion zakrzętnął się pospiesznie wokół łodzi. Dwoił się i troił. Liny parzyły mu dłonie, mięśnie napinały się kurczowo. Wreszcie najmniejsza, wąska szalupa z wiosłami osiadła przy burcie i z potężnym pluskiem opadła na czarne fale, w których unosiły się świecące meduzy.

– Świetnie... A teraz... umieść... w łodzi... tę beczkę... – Cień wskazał beczkę rumu, którą z ładowni musieli przytargać na pokład żeglarze. Najwidoczniej nie zdążyli jej jednak napocząć. – Tylko... ostrożnie... Nie chciałbym przecież... skaleczyć tej ślicznej... dziewczęcej buzi...

Chłopak dokładnie obwiązał liną antałek. Mimo niewielkich rozmiarów okazał się bardzo ciężki. Arion powoli spuścił go na lódź.

– Dobrze... Teraz księżniczka... zejdzie do łodzi – syknęła postać, popychając przed sobą Luminę.

Nie mogąc nic zrobić, Arion rozwinął sztormtrap. Dziewczynka zaczęła schodzić w dół po drabince. Dygotała na całym ciele.

– Dzięki mojej mapie odnajdziesz skarb! Czy to ci nie wystarczy? Zostaw ją tutaj! – wykrzyknął z desperacją chłopak, domyślając się teraz niejasno, że klify wyspy skrzące się w świetle księżyca to w istocie brzeg tajemniczej Antalarii.

– Ona sama... jest cennym... skarbem... bardzo cennym... Zamierzam... zabrać... wszystko...

Podczas gdy Lumina sadowiła się w łodzi, cień przybliżył się do Ariona. Przesunął się szybkim, pajęczym ruchem, któremu jednak brakowało gracji. Chłopak zauważył, że kuśtykał. Odór stęchlizny i rozkładu całkiem go otoczył. Poczł gwałtowne

mdłości. Ostrze noża było wymierzone w jego serce.

– Kim ty jesteś? – wykrztusił, zbierając w sobie całą odwagę, na jaką było go stać w obecnej chwili. Jego głos zabrzmiał prawie spokojnie.

Czarna postać nachyliła ku niemu głowę, którą spowijał mroczny, bezdenny kaptur. Zdawało się, że skrywał on tylko pustkę, lecz na dnie tej ponurej nicości Arion dostrzegł w końcu dziko lśniące, kryształowe oczy o wejrzeniu, w którym czaił się obłąd. Potem usłyszał słaby, metaliczny brzęk łańcucha.

Zakręciło mu się w głowie. Słowa uwięzły mu w piersi razem z oddechem.

– Zjawia na tym okręcie... to ty!

Odpowiedziało mu gardłowe rzężenie z mroku:

– Też... pójdziesz... ze mną....

Nie miał wyboru. Był jak sparaliżowany. Po tym jak wróg wsiadł do szalupy, Arion zszedł za nim i odwiązał cumy. Czarny mag znów przyłożył nóż do ciała Luminy, po czym nakazał chłopakowi sięść do wiosła. Wymruczał rozwlekłe, gardłowe zakłęcie i fale zaczęły posłusznie popychać łódź ku wyspie. Jednocześnie zerwał się magiczny wiatr, który napełnił żagle Krogulca. Czar musiał uwolnić także ster. Zrozpaczony Arion, pomagając wiosłami niosącym ich prądom, zobaczył, jak okręt oddala się w przeciwnym kierunku, z każdą chwilą rozwijając prędkość. W blasku księżyca czarny żaglowiec z uśpioną załogą przypominał ponure widmo, mimo że upiór, który dotąd na nim straszył, zasiadał teraz naprzeciw Ariona.

Jego zakłęcie było szybkie i potężne. Posiadał wielką moc. Gdzie będzie znajdowała się załoga Krogulca, kiedy zbudzi się w końcu z narkotycznego snu?

– Nie przestawaj... wiosłować...

Arion obracał wiosłami w drewnianych dulkach. Starał się poruszać nimi powoli i miarowo, rozgarniał w wodzie szkarłatne meduzy, lekkie jak mydlane bańki. Z napięciem wyczekiwał na moment, gdy ich wróg opuści dłoń z nożem. Zdawało się, że taka chwila nie nadejdzie, lecz chłopak kurczowo trzymał się nadziei. Wreszcie na

jedno mgnienie cień stracił czujność. Arion raptownie rzucił się na niego z wiosłem, celując w głowę, żeby strącić go z szalupy. Łódź zachybotwała się niebezpiecznie, nad ciemną wodą rozległ się trzask i krzyk Luminy. Jej przyjaciel nie docenił mocy przeciwnika. Cień zdołał się uchylić i nim chłopak się spostrzegł, obronny czar spadł na niego jak uderzenie obuchem. Z rozkrwawionym uchem Arion upadł ciężko na dno łodzi. Krew pociekła mu z nosa i z kącika ust. Jęknął cicho, tracąc przytomność.

26.

Nogus Peris spoglądał z wytęsknieniem ku rosnącym brzegom Antalarii, obejmując ramieniem córkę króla. Nic nie mówiła, nie prosiła o litość, lecz jej ukradkowe spojrzenie było tak bardzo wymowne. Czyste, jasne spojrzenie, nieskażone jeszcze żadnym grzechem. Spełnienie marzeń królewskiego inkwizytora. Chciałby dotrzeć do dna duszy tej dziewczyny po to, żeby odkryć w niej ów grzech, który tak dobrze, tak głęboko przed nim skrywała. On wiedział, że jest w stanie go tam znaleźć. Bo wiedział, że na tym świecie nie ma niewinnych. Powolne odkrywanie grzechów było jego największą namiętnością. Zwłaszcza wtedy gdy nie były one oczywiste. Tylko wówczas stanowiły prawdziwe wyzwanie, pobudzały jego wyuczony kunszt.

A ona została poświęcona bogom. Jako inkwizytor powinien przekonać się, czy rzeczywiście nie znajdzie w niej żadnej skazy.

Sama jej bliskość budziła jego zmysły, przywracała je do życia. Księżniczka na przemian mdlała i drżała w jego wychudzonych ramionach, cudownie uległa i tak bierna, jakby tylko czekała, żeby się nią zajął. Być może zrobi to po zejściu na ląd. Pokaże jej ogień i ból. Teraz jednak nie ma na to czasu. Za długo czekał, zniósł nazbyt wiele wyrzeczeń, żeby cokolwiek, nawet to dziewczę o skórze jak biały jedwab, mogło odciągnąć w czasie spełnienia jego zamiarów.

U stóp Nogusa, na dnie łodzi, leżał chłopak o pokrwawionej twarzy. Na początku Peris chciał go wyrzucić za burtę. Był przekonany, że położył go trupem. Jednak w pierwszej, czerwonej łunie świtu, która wolno rozpaliała się za rufą łodzi, zauważył, że chłopak oddycha. Niestychane. Tego się nie spodziewał. Przyglądał mu się uważnie z cienia kaptura, zastanawiając się, jaką decyzję podjąć. Odniósł mętne wrażenie, że gdzieś już widział tę twarz. Bardzo młodą, ciemnowłosą twarz o regularnych rysach i zdecydowanie zarysowanym podbródku.

Zimne, kryształowe oczy rozszerzyły się z niedowierzania. Czy po tygodniach ciemności i cierpienia los okazuje się dla niego aż tak łaskawy? Ależ tak! Wszystko się zgadza! Widział już tego chłopaka! To było wtedy, tamtej nocy, kiedy przekroczył bramy śmierci. Gdy morze chciało pogrzebać go żywcem, lecz dzięki magii on utrzymał się przy życiu. Wówczas, gdy zstąpił aż do piekieł, żeby powrócić między żywych, kryjąc się w mroku, żywiąc się szczurami.

Nienawiść rozpałała srebrne źrenice. Pod jej wpływem umysł Perisa się oczyszczał, a mętne, zalegające w nim straszne wspomnienia nabierały coraz większej ostrości. Tym razem, mając przed sobą perspektywę upragnionej zemsty, pozwolił sobie w nich na moment zatonać, podczas gdy posłuszny czar pchał łódź ku zamglonym brzegom.

Pamiętał rozchodzącą się w wodzie krew. W świetle ciągnącego na dno kryształu jej chmura rosła jak rozlany atrament. Przed oczyma migotały szaleńczo pęcherzyki powietrza. Rozsadzało mu czaszkę i płuca. Ocalił się dzięki zaklęciu. Pobrał życiodajną moc z kamienia.

Potem wszystko zaczęło się mieszać. Wypłynął na powierzchnię i zdołał wziąć oddech tylko po to, żeby stać się zabawką dla fal. Chwilami nie wiedział, gdzie był dół, a gdzie góra, gdzie kończyło się czarne niebo, a zaczynał się ocean. Unosił się w pustce jak jakiś poroniony płód, miotany skurczami wody. Nie wiedział, kiedy zjawiła się myśl o łodzi, o łodzi pełnej świetlnych kryształów, które miały moc podtrzymać w nim życie. Morze niespodziewanie rzuciło nim w stronę światła, a on uczeplił się go

pazurami i zębami, podążając za pierwotnym instynktem. I za ostatnim zmysłem, jaki mu pozostał – zmysłem magii.

W chwili gdy dosięgał drewnianej burty, umarł, żeby znów żyć. Wpełził na nią częściowo, niczym ogromna, wpółżywa ćma, w ostatnim, niewyobrażalnym wysiłku.

Przyływ mocy był niesamowity. O wiele za duży naraz, ale on nie mógł tego kontrolować. Podczas gdy świetlne kryształy gasły wokół jeden po drugim, Nogusa Perisa przeszywało ostrze blasku. Ciało płonęło od wewnątrz, omiatały go konwulsje. Ból, który zmiotł jego świadomość, zmienił ją w szaleństwo.

Ocknął się z niego nagle na dnie tamtej łodzi i odkrył, że coś ściąga ją w stronę rosnącego przed nim statku. Statek! Sądził wówczas, że to sen. Wszystko to ciągle mu się miesza. Urywki wspomnień przepoczwarzają się jedne w drugie. Pamiętał tylko, że musiał się tam dostać. Instynkt podpowiadał mu, co robić. W ostatniej chwili, używając całej siły, wywrócił łódź do góry dnem. Schronił się pod nią, gwałtownie wyciągnął szyję, korzystając z uwięzionego tam powietrza. Potem jeszcze kawałek musiał przepłynąć. Tylko trochę, do burty okrętu. Morze natychmiast otoczyło go jak śmierć. Wodorosty chwyciły go za nadgarstki, oplatały mu kostki i szyję. Parzące meduzy wciskały mu się do ust i gardła, osiadały jak zimny woal na jego twarzy. Słoność wody paliła mu oczy. Zęby rekinów rwały na drobne strzępy jego ciała.

A może to były tylko majaki? Może to mu się tylko śniło?

Tak czy inaczej, na szczęście miał ze sobą nóż. Ten nóż, który wcześniej tkwił głęboko w jego ciele, który wyrwała z niego czysta moc z kryształów. Po ostatniej walce, jaką stoczył z morzem, użył go znowu. Udało mu się wspiąć na ciemny pokład tuż przed przybiciem do niego łodzi z załogą. Przetoczył się przez burtę niczym mokra kukła, a potem, dysząc ciężko, próbował się podnieść z powiększającej się kałuży słonej wody. Wówczas wyrósł przed nim nieduży mężczyzna o szerokiej, płaskiej twarzy i wytatuowanych przedramionach, na których wzór kłębił się jak ryby w sieci. W mroku narastał równy chłopot wielu wioseł, napływały nawołujące głosy.

– Ktoś ty?

Nogus wstał, chwiejąc się i krztusząc.

– Ktoooooo...

Poderżnął mu gardło długim cięciem od ucha do ucha, mocnym szarpnięciem zdarłszy z szyi czarny fular. A przecież tamten nie umarł od razu. Gdy wypchnął go za burtę, wytatuowane ręce jeszcze próbowały bić powietrze, szukając niemożliwego ratunku. Grzmoty z nieba i nadpływające łodzie zagłuszyły ciężki plusk ludzkiego ciała. Nogus Peris szybko ukrył się na statku.

Mimo że szaleństwo tliło się w nim nadal – szaleństwo śmierci, magii i oślepiającego światła – bywały chwile, że jego umysł się rozjaśniał. Zrozumiał, że znalazł się wśród swoich największych wrogów – zbuntowanych, brudnych heretyków. Z miejsca zaczął planować zemstę. Jak znieruchomiały, zacząjony na ofiarę wąż, nie spieszył się, wyczekując chwili. Jego instynkt przetrwania stał się ostry jak brzytwa, zniknęły wszelkie stępujące go ograniczenia, jakiegokolwiek psychiczne hamulce. Została tylko czysta, niepowstrzymana niczym wola istnienia. Ta wola rosła jeszcze, pęczniała pod skórą z powodu poczucia własnej potęgi, która pewnego dnia wyjdzie z mroku i objawi się światu. On, Nogus Peris, zdołał pokonać śmierć. Chociaż nikt o tym nie wie, w jego żyłach krąży teraz czysta magia. Stał się najdoskonalszą, świetlistą istotą. Zrodzoną z blasku kryształów. Ze skamieniałego ognia.

Żywił się głównie szczurami, którym rozrywał gardła. Po tym jak raz zobaczył go okrętowy kucharz i zaalarmował innych, Nogus długo bał się zakradać do kubryku. Potrzebował jednak pić słodką wodę. Po okręcie poruszał się więc tylko nocą. Za dnia tkwił w jakimś mrocznym kącie ładowni, wciśnięty między beczki, kufry, liny i skrzynie. Odrętwiały, pogrążony w swych majakach. Czasem znikał, ukryty pod ochronnym czarem, czasem w ogóle na to nie zważał. Kiedy chciał, potrafił być niesamowicie szybki. Przemieszczał się jak cień. Tkwił tam, blisko dna statku, śnił na jawie lub nasłuchiwał. Ciągle czekał. Obmyślał zemstę, znosząc tę torturę. Ciemność

otaczała go jak gruby kokon, pozwalając zapomnieć czasem o bólu światła. Morze nadal przejmowało go strachem, ale na statku czuł się coraz pewniej, nawet gdy myśli w głowie wirowały dziko, jak w opętańczym kalejdoskopie. Z wolna przestawał dbać nawet o ostrożność. Zrozumiał, że inni mogą uznać go za ducha. Za upiora, który zwiastuje im rychłą śmierć.

Nieustający szum wypełniał mu czaszkę, potęgując szaleństwo. To morze wokół stało się dlań zniechęcającym więzieniem. A nienawiść jak nic innego potrafiła rozjaśnić mu umysł. W takich momentach przypominał sobie, co go spotkało. Chciał zemścić się na wszystkich, na każdym człowieku, który w jakikolwiek sposób przyczynił się do jego poniżenia, do tego, że musiał egzystować w ukryciu jako odbywający kazań duch. Załoga okrętu, najmici, którymi dowodził tamtej nocy, mieszkańcy miasteczka, Wysoki Mag, a nawet przeklęty król Skyerlor nie mogą wyjść z tego bezkarnie! Z każdym z nich w końcu porachuje się na swój sposób.

I oto pojawiła się sposobność.

Dzięki swoim wyostrzonym zmysłom odkrył, że dragi planują porwanie córki króla. Zamierzali uprowadzić pierworodną, poświęconą bogom księżniczkę Luminę. Zrozumiał, że oto podsuwa mu ją sam los. Że ich zemsta ostatecznie stanie się jego. Księżniczka należała mu się jako zapłata za służbę dla króla, za całą jego pracę w inkwizycji. Ale nie tylko ona.

Nogus Peris pragnął dla siebie o wiele więcej.

Imię jego wroga huczało mu w głowie. Gwiiintooo Gerrrrrrrrkkk. Heretyk, złodziej i morderca! Kapitan tego obmierzłego statku noszącego przy masztach smocze skrzydła. To Gerka tropił przecież tamtej przeklętej nocy. Buntownik napadł wcześniej na kilka okrętów królestwa i zabrał z ich pokładów pewną książkę – bezcenny, znajdujący się na oficjalnym indeksie atlas mórz, noszący tytuł *Opisania wysp i morza według Dariniususa*. Krążyły pogłoski, że wszedł również w posiadanie zaginionej dawno mapy, z pomocą której pragnął odnaleźć tarczę Althirry – bezcenny,

legendarny artefakt, oferujący moc prześlągania samych bogów.

Nogus natychmiast zapragnął tego artefaktu. Kiedy przedziwnym trafem znalazł się na okręcie Gwinta, owo pragnienie przyjęło formę obsesji. Jako mag wierzył w moc skarbu z legend. Jako inkwizytor musi przekonać się o tym osobiście. Musi zobaczyć tarczę Althirry na własne oczy. Chce zdjąć wiszącą na niej złotą maskę i założyć ją na swoją twarz. Pod nią rozpocznie swoje drugie, nowe życie jako istota nieśmiertelna, ożywiona w cudowny sposób czystą magią. Przeobrazą się w to, czym powinien być. Zyska całkiem nową tożsamość. Mając księżniczkę oraz legendarny skarb, będzie mógł kierować żądania do króla... Przewyższy swą potęgą wszystkich magów!

Odetchnął chrapliwie, wypełniony niecierpliwym uniesieniem. Słońce wschodziło, pierwsze, różowe promienie czepiały się klifów przed dziobem łodzi. Popielata linia plaży i piaskolubnych drzew wynurzała się z mgieł, które wirując spiralnie, umykały w górę.

Nareszcie! Jest w połowie spełnienia swojego planu! Ma w rękach zarówno beczenną mapę, jak i Luminę! W beczce znajdują się świetlne kryształy. Na jego szyi lśni nowy łańcuch z aratrańskiej stali. Ku niemu zaś zbliża się wyczekiwany od dawna brzeg...

Zerknął na nieprzytomnego Ariona. I jeszcze ten chłopak. To dzięki niemu zemści się wreszcie na Gwidonie Gerku. Tak, teraz sobie dobrze przypominał. W ciemności w jego głowie panował zamęt, nie poznał szczeniaka tak od razu. Ale znowu pomógł mu łut szczęścia, dobry los, chyba samo przeznaczenie. Niebawem siostrzeniec zapłaci za wszystkie grzechy swojego wuja. Mają však jedną krew, w której krąży wspólne zło.

Cierpienie, które Peris planował dla chłopaka, sprawiło, że wypełnił go upiorny spokój. Od chwili gdy opuścił znienawidzony pokład szkunera, świadomość, że Gerk i załoga zostali tam żywi, jakoś nie dawała mu wytchnienia. Planował przecież zabić ich po tym, jak już dragici sprowadzą dla niego księżniczkę, a potem samemu odszukać na pokładzie mapę Antalarii. I postąpiłby tak, gdyby nie tamten mag. Musiał však

przysiąc mu, że zostawi ich przy życiu!

Tylko ów człowiek zdołał odkryć obecność intruza. Natknął się na Nogusa Perisa ciemną nocą i jak szaleniec podążył jego śladem do okrętowej ładowni. Odszukał go. Peris już miał zaatakować, lecz niemalże natychmiast rozpoznał w nim maga. Zastygł, skamieniał jak modliszka.

Czarodziej nie przelewa krwi czarodzieja. Widocznie obaj uznawali tę zasadę, tak dogłębnie wpajaną im od dziecka. Mierzyli się wzrokiem. Mogli być wrogami, mogli się nienawidzić, ale obaj przynależeli do wspólnej kasty. Ten, kto kiedykolwiek nosił na piersi łańcuch z kryształem, kogo wiedza i moc wyniosła nad zwykłych śmiertelników, dobrze wie, że tajemne więzy magii bywają mocniejsze nawet niż więzy krwi. Prawie nigdy jeden mag nie zabije drugiego. Prawie zawsze postara się mu pomóc.

– To ty zabiłeś człowieka imieniem Piskorz, prawda? – odezwał się tamten, próbując w mroku wybadać z pewnej odległości przysłoniętą szerokim kapturem twarz Perisa. – Ukrywasz się tutaj, mistrzu magii. Kim jesteś?

Nogus nadal czał się w ciemności, trawiony szałem, grozą, lękiem i wściekłością.

– Rozbitkiem – wycharczał, skulony jak zagrożone zwierzę, które w każdej chwili może zaatakować. – Nie możesz... mnie wydać... Proszę... o azyl...

Zapadła cisza.

– Powiedz mi, jaki jest cel twojego pobytu tutaj?

Nogus Peris zwilżył końcem języka popękane usta.

– Chcę... wszystkich... zgładzić...

Obcy czarodziej zmieszał się, zawahał na te słowa. Nie wiedział widać, jaką decyzję podjąć. Jakby skamieniał.

– Ochronię cię. Nie powiem o tobie nikomu – oświadczył wreszcie bardzo cichym i chłodnym głosem. Nie zszedł jednak na wspólny poziom myśli. – Mogę oddalić od ciebie wszelkie podejrzenia, kierując je na kogoś innego. Podmienię nóż, który

znaleziono w pustej beczce, na nóż jednego z marynarzy. Winny się znajdzie. Wierz mi. Zrobię to wszak pod jednym warunkiem.

Nóż?! Szaleństwo znów odezwało się w głowie Nogusa. Tak, był przecież nóż. Gdzieś go cisnął, czuł się zagrożony, gdy tylu ludzi zaczęło penetrować statek. Nóż... Nóż, który wcześniej wbito w jego ciało. Ostrze brzęczało jak zimny chichot na dnie mózgu. Dzwoniło coraz głośniejszym rytmem fal, z głębokim echem, jak rozkołysane serce dzwonu.

– Nie zabijesz nikogo z tej załogi. Nie zabijesz też ich kapitana. Kiedy będzie to możliwe, zejdziesz na ląd.

– Czemu?! – wydyszał z gniewem Nogus Peris. – Oni... nie są... jak my... mój... bracie...

Mężczyzna zasepił się. Pokręcił głową, zmarszczył brwi.

– To prawda – przyznał mu rację – ale kapitan zabrał mnie z Wyspy Przeklętych.

Nogus Peris miał ochotę rzucić mu się do gardła, lecz poczuł się nagle słaby i zaszczyty jak zwierzę, które powoli zdycha. W jego płucach zdawały się chlupotać resztki morskiej wody.

Tak, zaprawdę ogromną siłę mają subtelne więzy magii. Niewielu wie, jak trudno się im przeciwstawić. Peris zgodził się na warunek czarodzieja. Dane mu słowo wypaliło na jego skórze runę przysięgi. Tej samej nocy tamten zostawił mu w umówionym miejscu bukłak z winem i garść sucharów.

Nareszcie! Ominąwszy przybrzeżne rafy oraz sterczące z wody, podobne do wypolerowanych maczug skały, łódź osiadła na lizanym falami piasku. Zaczynał się poranny odpływ. Morze już cofało się niezauważalnie, pozostawiając u stóp klifów esowate bajorka – więzienia dla zabłąkanych ryb. Nogus Peris z rozkoszą postawił obie nogi na mokrym piachu i rozprostował z trzaskiem zeszywniałe kości.

Nareszcie! To była pierwsza z wielu chwil jego triumfu. Wschód nowego słońca królującego nad całym światem.

Podczas gdy on w pierwszych promieniach dnia z natężeniem wpatrywał się w mapę, planując dotarcie do skarbu najkrótszą drogą, mała księżniczka rozdarła brzeg długiej sukni i zanurzyła go w falach. Wyżyła mocno materiał i zaczęła nim ostrożnie ocierać z krwi twarz nieprzytomnego chłopaka. Nogus Peris jej nie powstrzymywał. Jeśli ten przeklęty szczeniak nie będzie w stanie iść razem z nimi, zwiąże go tutaj i zostawi krabom na pożarcie! Czemu by nie? Chętnie patrzyłby, jak głodne kraby powolutku rozcinają na kawałeczki jego ciało, jak kłębią się i wydzierają skrawki mięśni żywcem, jak muskularne, ostre niczym brzytwy szczypce sięgają najpierw po jego miękkie oczy i ciepły, wijący się język. Rozwlekłyby go po piasku jak rannego pisklaka.

Chociaż... przecież po coś go tu zabrał. Tak, chłopak wciąż się może przydać! Będzie niósł świetlne kryształy. Przede wszystkim może posłużyć jako przewodnik. W końcu miał mapę, musiał oglądać ją wiele razy. Tak, to siostrzeniec Gwinta Gerka doprowadzi go do maski Althirry! To niesłychane, jak bardzo los bywa przewrotny. Chłopak sam stwierdził, że dla księżniczki zrobi wszystko.

– Obudź go... Niech się pospieszy... Musimy ruszać... – wycharczał Nogus Peris do Luminy. Wciąż śledził linie na mapie niewidzącymi, skażonymi obłędem oczyma.

Dziewczynka nabrała w garść wody i wylała ją na twarz Ariona. Strużki spływały po jego opalonej skórze. Zawołała go po imieniu, potrząsała nim za ramiona, ścisnęła za rękę, szczypała policzki. Do gardła zaczęła podchodzić jej straszliwa, paralizująca panika.

– Proszę, obudź się! Nie zostawiaj mnie! Ocknij się!

Zaschło jej w gardle. Słońce oderwało się od horyzontu. Czuła na policzkach jego ciepłe muśnięcia, podczas gdy chłodne fale plątały się wokół stóp, pociągając za sobą brzeg sukni. Każda z nich przetaczała się przez wieczność. W nozdrzach Luminy wirował zapach jodu, soli i wydmowych kwiatów, przypominając niejasno, że oto mają już pełnię lata. W górze kołowały morskie ptaki, posyłając na wiatr wysoki, żalobny

krzyk.

Schyliła głowę, przygryzła usta aż do krwi. Wtedy przez rzęsy zobaczyła, że chłopak mruga oczyma.

– Arionie!

Skrzywił się z bólu, spróbował się przeciągnąć. Jęknął cicho. Wyglądał, jakby budził się ze złego snu, który zamęczył jego umysł i ciało. Ale ich wspólny koszmar trwał nadal. Właściwie to dopiero się zaczynał.

Nogus Peris doskoczył do Luminy. Zdusiła krzyk, a on związał jej nadgarstki liną cumowniczą zdjętą z łodzi. Jej drugim końcem obwiązał się w pasie. Ściskając jej przegub, odwrócił się gwałtownie, słysząc plusk.

Arion zachwiał się na granicy fal i upadł w wodę na kolana.

– Niezzzzwyczajnie... Wygląda... na to... że masz... wiele życ – wysyczał Peris, przyciskając do piersi dziewczynę. – Nie próbuj... mnie zwieść... Inaczej... ona... za to... zapłaci... Jestem... magiem.

– Zrobię, co zechcesz – wydyszał Arion, podpierając się rękami w wodzie. Czuł gruboziarnisty piasek osuwający mu się między palcami.

Nogus zatrzymał na nim błędny wzrok.

– Przynieś... beczkę....

Chłopak podniósł się z klęczek i powoli dźwignął z dna łodzi ciężki antałek. Zgodnie z rozkazem wyniósł go na brzeg.

– Otwórz...

W środku znajdował się spory, ciężki toból. Arion domyślił się natychmiast, co było wewnątrz. Szaleniec nie zabrał ze sobą na wyspę słodkiej wody ani strawy. Jediną rzeczą, o którą się troszczył, były świetlne kryształki.

– Będiesz... to niósł....

Arion wyciągnął toból i z wysiłkiem zarzucił go sobie na plecy.

– Dokąd? – zapytał spokojnym głosem.

Postać w czarnej, zszarganej szacie milczała, jakby jej myśli szybowwały poza ciałem, tak że pytanie chłopca nie było w stanie ich doścignąć. Arion miał poczucie, że ich oprawca nie był realny. Może to reakcja obronna umysłu, który znalazł się w sytuacji zagrożenia, w tym wszystkim jednak tkwiło coś jeszcze. Nawet teraz, na lądzie i w świetle dnia, czarna sylwetka zdawała się cieniem, powracającym z zaświatów upiorem. Jedynie łańcuch z kryształem na jej szyi był ciężki, materialny, rzeczywisty.

– Maski... Althirry... – Niespodziewanie Nogus Peris pokazał mu mapę. Błada skóra trzymającej ją dłoni wyglądała jak u trupa. Paznokcie były zielonkawe i połamane, żyły u podstawy palców piętrzyły się w wypukłe, wstrętne kleksy. – Wiesz... gdzie.... to jest?

Arion przełknął ślinę. Nie wahał się ani chwili.

– Tak. Zaprowadzę cię tam, jeśli będę mógł patrzeć na mapę.

Nogus Peris zamruczał coś do siebie. Wymownie wskazał na Luminę, przypominając, że może spełnić swoją groźbę.

– A więc... ruszaj!

27.

Gwinto Gerk poczuł w skroniach pulsujące napięcie. Tępy ból rozsadzał mu czaszkę, dzwonił w uszach i kłuł za oczami. Ich kąciki łzawiły, gdy z ponurą miną spoglądał na pozostałych załogantów – niektórych cierpiących bardziej niż on. Jednak to nie fizyczne dolegliwości były najdotkliwsze.

– To na nic! Nigdzie ich nie ma, kapitanie! W każdym razie na pewno nie na tym pokładzie – stwierdził załamany głosem Parte. Stał przed Gerkiem, bliżej od reszty, lecz dość daleko, żeby zachować bezpieczny dystans. Dystans? Czyżby własna załoga przestawała mu ufać?

– Przecież to oczywiste! To jasne jak słońce, że odплыnęli małą łodzią! Ech, gdybym tylko dostał tego szczeniaka w swoje ręce! – Gilal wymownie przeciął powietrze na wysokości gardła. – Nie mamy tu czego szukać! Nawet przeklętych kryształów, które ze sobą zabrał! – Mężczyzna warczał jak rozjuszony niedźwiedź. Słowa padały z jego ust pomiędzy przekleństwami, których obelżywość mogłaby podnieść z grobu nieboszczyka. Siłacz jedną ręką masował sobie skroń zimnym trzonkiem noża, drugą zaciskał w zbielełą pięść pełną krzykliwych pierścieni.

– Zabrał? Więc jesteś całkowicie pewien, że to zrobił Arion? – odezwała się Aliya, krzyżując ramiona. Skóra kobiety stała się popielata, na dnie oczu płonął ból i dręcząca niepewność. Pełne usta były nerwowo zaciśnięte. Chwilami przygryzała dolną wargę.

– Masz jeszcze jakieś wątpliwości?! – zaryczał na to Spenker – Czy ktoś w ogóle je ma? Ten szczeniak, którego sprowadził tu Gwinto, wykiwał nas wszystkich! Popatrzcie tylko na siebie! – Machnął wytatuowaną ręką, zazgrzytał zębami – Wszyscy jesteśmy bandą pijusów i nierozgarniętych durniów. Ten smarkacz przez cały czas wodził za nos. Tak! Wodził za nos wszystkich, łącznie z kapitanem!

Gwinto poczuł, jak rozgorączkowane, rozbite spojrzenia na pokładzie znowu skupiają się na nim. Mimo to nie zareagował, nie odrzekł ani słowa, pozwalając, by nadal wylewali swoją wściekłość, taplając w tych wiadrach pomyj dobre imię jego siostrzeńca, a więc zarazem jego rodziny i jego własne.

Dobre imię? A co to właściwie znaczy dobre imię? Czy on w ogóle kiedykolwiek je miał? Przecież od lat był wyklętym, ściganym przez inkwizycję heretykiem. Zaśmiał się gorzko do własnych myśli. Od zawsze był czarną owcą dla najbliższych, teraz mógł stać się nią dla własnej załogi. A owce zwykle zarzyna się po cichu. Czuł, jak cienki lód, po którym stąpał, gwałtownie topnieje mu pod nogami, ale w tej chwili nie był w stanie uczynić nic, co mogłoby zapewnić mu przetrwanie.

Kłótnie i bluzgi spadały wokół jak gradobicie. Gerk przyglądał się obojętnie tym poszarzałym, niezdrowym, naznaczonym rozczarowaniem twarzom, jakby oglądał je

pierwszy raz w życiu. Niemożliwie łupało go w głowie. Miał wrażenie, że coś ujęło ją w olbrzymie, żelazne kleszcze.

Niektórzy musieli czuć się jeszcze gorzej niż on. Przynajmniej fizycznie. To święństwo, które wypili w winie – zgodnie z szacunkami ponad dobę temu – cały czas krążyło w ich ciałach. Najpierw zaczęli połykać morską wodę, żeby pozbyć się trucizny z wymiotami. Ale to mocno osłabiało organizm, a ból głowy i wszystkich mięśni nie ustawał. Medyk kazał pić dużo słodkiej wody z beczek i mimo braku pewności, czy jej też nie zatruto, nie mieli innego wyboru. Zapas skurczył się przez to błyskawicznie. Dopiero wówczas, gdy wszyscy ocknęli się z zamroczenia i opuściły ich najczarniejsze majaki, nagle odkryli zniknięcie Ariona i księżniczki. A także wszystkich świetlnych kryształów, jakie tylko znajdowały się na statku.

– Słyszeliście dobrze, co ten przeklęty szczył wtedy powiedział! – grzmiał Spenker, podczas gdy inni pomrukiwali z zaciętością morskich bałwanów. – Pamiętacie, staliście przecież obok! *Mam gdzieś wasze prawa* – tak rzekł i wyciągnął miecz na kapitana! *Nie jestem jednym z was i nie zostanę! Opuzczę ten okręt, kiedy tylko się da!* To jego własne słowa, których od razu dotrzymał! Niechaj będzie przeklęty na wieki! Nasza zemsta dopadnie go wszędzie!

Ze wszystkich stron poniosły się przeraźliwe gwizdy i okrzyki.

– A zatrute wino? Naprawdę sądzisz, że to Arion dodał nam czegoś do wina? – wymamrotał spod lewej burty Tiko.

Spenker wyszczerzył zęby w złym uśmiechu, zmrużył zaczerwienione od pijaństwa oczy. Jego pociągła, ziemista, wykrzywiona twarz o ostrym nosie i szczeciniastym zaroście dawno aż tak mocno nie przypominała szczurzego pyska.

– A któżby inny? To bardzo proste, panie Tiko. Smarkacz pomagał przecież medykwowi, co nie? Co mu szkodziło podkraść ukradkiem którąś z mikstur i wlać zawartość do beczek w ładowni? Mógł zrobić to właściwie w dowolnej chwili! Poza tym słyszałem, że jego stary był alchemikiem! Chłopak nie pił z nami wcale tej nocy,

prawda, mili kompani?!

– Prawda! Racja! Spenker dobrze gada!

– Spenker ma rację! – poparł kompana Gilal, przekrzykując nawałnicę głosów. – Jedynie Arion mógł zabrać stąd tę małą wszetecznicę!

– Licz się ze słowami, dobra, Gilal?! – warknęła Aliya.

– Wszyscy słyszeli, to o nią pokłócił się z Gwintem! – kontynuował mężczyzna. – Cholerny szczeniak! On twierdził, że zaklinacz pogody łąze jak pies, prawda? Że ta dziunia wcale nie jest taka ważna!

– A myśmy byli skłonni wierzyć raczej dzieciakowi niż srebrnookiemu!

– Mimo wszystko siostrzeniec kapitana nie wyglądał mi na truciciela i złodzieja – zamruczał ochryple Egrit, żeby urwać w pół zdania. Siwe włosy opadały mu na twarz poszatkowaną bruzdami jak seria cięć. W ciągu ostatnich godzin gwałtownie się postarzał.

– I jeszcze porywacza księżniczki!

– Durniu, to przecież myśmy pierwsi ją porwali! Czy można porwać kogoś z rąk porywających?

– Jak widać można! Kto by się tego spodziewał? Okazał się przebieglejszy od nas wszystkich!

– Racja. – Kotwica chwiejnym krokiem wytoczył się z kąta pokładu. Miał minę wyliniałego, zbitego psa, a na czole wielkiego guza. – Wierzcie mi, chłopak nie był taki zły. Nigdy się nie obijał, zawsze sumienny. Lubiałem go, naprawdę. W najczarniejszych snach bym nie wyśnił, że tak podle nas wszystkich oszuka! Jak mamę kocham!

– To czcze gadanie, Kotwica! – warknął Spenker raptownie. – Fakty mówią same za siebie! Chłopak zniknął, a razem z nim jedna łódź, księżniczka i kryształ! Nie pił z nami i miał możliwość zatruć nasze wino. Wieczorem złamał prawo łądu, pojedynkował się z kapitanem i zapowiedział, że opuści nas jak najszybciej. Wykrzykiwał, że nie jest jednym z nas, że ma gdzieś nasze prawa. Wszyscy to słyszeli!

Czy potrzeba nam jeszcze jakichś dowodów? Czy dla kogoś coś tu jest jeszcze niejasne? Czy ktokolwiek ma wątpliwości, że to wszystko to sprawka naszego drogiego Ariona?

Na pokładzie szybko zapadła cisza. Można by usłyszeć przelatującą muchę. Przekleństwa, stęknienia, pojękiwania – wszystko znikło. Milczenie nasycił tylko niski pomruk morza.

Gwinto Gerk wyprostował się i wystąpił na środek. Spenker niechętnie, z ociąganiem ustąpił mu miejsca. Gerk jakby przepędził go wzrokiem. Mocno wcisnął na głowę kapelusz. W cieniu runda płonęły zwężone, niebieskie oczy, skrzące się jak wyblakłe szafiry.

– Macie prawo mieć do mnie pretensje! To ja sprowadziłem na okręt Ariona. Chciałem wierzyć, że chłopak może zostać kiedyś jednym z nas. Pomyliłem się! Przyznaję otwarcie! – oświadczył. – Wiem też, że uważacie, że ponoszę odpowiedzialność za jego czyny. Żaden człowiek nie może odpowiadać w ten sposób za drugiego! Żaden, za wyjątkiem kapitana... – urwał. Dookoła przebiegł szmer. – Powinienem zapewnić wam łupy, a wszystko zostało stracone. Co gorsza, utracone zostało zaufanie pomiędzy członkami naszej załogi! Już drugi raz jeden z nas okazał się zdrajcą! I tym razem ten ktoś to mój własny siostrzeniec. Ponadto Arion złamał prawo łądu, na pokładzie kierując miecz przeciwko mnie. To prawo, które jest najważniejszą zasadą całego bractwa. Zapewnia nam jedność, pozwala uniknąć walki, chaosu i śmierci na morzu. Dlatego – Gwinto odchrząknął – zgodnie z prawem łądu popłyniemy teraz ku najbliższym brzegom. Na lądzie zdecydujecie, czy chcecie, żebym nadal był waszym kapitanem. Zamierzam zrzec się dobrowolnie dowodzenia!

Nikt się nie odezwał. Powietrze zgęstniało.

– Jakież pytania?

Odpowiedziało milczenie. Gerk wydał więc dyspozycje.

– W razie potrzeby będę w swojej kajucie.

Przystanął w pół kroku. Dopiero teraz dostrzegł bladego jak kreda zaklinacza

pogody. Potężny kac dokuczał magowi znacznie mocniej niż pozostałym.

– Keramirze, potrzebny nam mocny wiatr.

Kryształowe oczy przeszły go zimnym spojrzeniem.

– Nie mogę – oznajmił głucho czarodziej.

– Co takiego?! – Gwinto zmarszczył brwi.

– Nie mogę zaklinać pogody – wychrypiał mag, ściągając na siebie wzrok całej załogi.

Jego twarz miała kolor leżących na słońcu kości. Gdyby nie ta porażająca bladość, można by myśleć, że trawi go gorączka. Dłonie mu drżały, usta zaciskały się nerwowo, zgarbione plecy dźwigały z trudem skulone ramiona. Cała przycupnięta na deskach, skurczona sylwetka tonęła pod potarganą, czarną szatą – zdobycznym łupem z królewskiej karaweli.

– Możesz mi to wyjaśnić? – syknął Gwinto, mrużąc oczy.

Keramir otworzył i zamknął usta. Potrząsnął głową, odwrócił wzrok, wreszcie wykrztusił:

– Skradziono mój łańcuch. – Wzdrygnął się konwulsyjnie i ukrył twarz w dłoniach.

Na pokładzie wrzawa wybuchła z nową siłą. Ludzkie głosy wibrowały od emocji. Wszyscy miotali się jak ryby w niewidzialnej sieci, próbując dać upust niesamowitemu poruszeniu.

– Widzicie? To zrobił ten szczeniak! – wyrzaskiwał dziko Spenker. – Pamiętacie, że pragnął magicznej mocy! Oto jak zemścił się na tym pyszałku!

– Cisza!!! – huknął Gwinto z niespodziewaną wściekłością. Następnie zwrócił się do zaklinacza: – Jesteś pewien, że ci go skradziono?

Srebrne oczy Keramira uniosły się w górę. Rozbłysły gniewem i autentyczną desperacją.

– Nigdzie go nie ma – wycedził mag. Jego głos zmienił się w jęk. – Jestem pewien.

– I bez łańcucha nie jesteś w stanie zaklinać pogody?

Czarodziej dygotał.

– Bez łańcucha i bez kryształu... Nie jestem w stanie.

Gwinto odwrócił się i ruszył do swojej kajuty. Po drodze przystanął.

– Słyszeliście. Płyniemy bez magicznych wiatrów! – rzucił ostro załodze. A potem dodał przenikliwym, cichszym głosem, skierowanym wyłącznie do zaklinacza: – Przecież to tylko kawałek metalu. Myślałem, że prawdziwa magia to coś więcej.

Drzwi rufówki zatrzasnęły się głucho za męską sylwetką o pałakowatych nogach. Aliya rozejrzała się wokoło, wydymając usta. Spenker posłał jej kpiący, współczujący uśmiezek.

– Z początku myślałem, że Gerk ma po prostu pecha. Ale nic nie dzieje się bez przyczyny. Nie można mieć pecha i przewodzić załodze. Widać jego słynna złota moneta go zawiodła!

– Nad kapitanem ciąży klątwa, to jasne! – rzucił ktoś z tyłu bez wahania. – Ściga go widmo, które na własne oczy widział Kotwica. Płynmy do najbliższego lądu jak najszybciej. Trzeba przerwać w końcu tę niebezpieczną farsę. Raz na zawsze!

Dziewczyna nie chciała tego słuchać. Nie wytrzymałaby tego ani minuty dłużej. Zakląła ostro, odwróciła się na pięcie i ruszyła za kapitanem. Bez pukania weszła do środka, zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Nie możesz tego zrobić!

Gerk napełniał właśnie wielki puchar o ściankach ozdobionych drobinami koralu. Rdzawy strumień bił z butli z zielonkawego, mętnego szkła.

– Czego?

Ciemny napój lekko spienił się przy brzegach. Gerk pochłonął go w paru haustach, wcale nie smakując ani też nie czekając na odpowiedź.

– Nie możesz przestać być tu kapitanem!

Nalał sobie znowu. Z pucharem w ręce siadł ciężko na krześle. Jego wzrok ledwie prześliznął się po dziewczynie. Spoczywał tu i tam, na kolejnych sprzętach, by wreszcie

zaczepić pytająco o jej twarz.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – wycedziła ze złością Aliya, siadając teraz naprzeciwko niego.

– Wybacz... – zamruczał, wychylając wielki kielich, i od razu napełnił go po raz trzeci.

– Popatrz na mnie! Naprawdę popatrz na mnie chociaż raz! – warknęła ostro. Tym razem poskutkowało.

– To załoga zadecyduje, kto zostanie nowym kapitanem. Sądzę, że ja już nie mam wyjścia. Zanim ludzie sami się zbuntują, powinienem zrzec się dowodzenia.

– Przez zniknięcie Ariona i tej dziewczynki?

– Nie tylko przez to. Ale owszem, to jest główny powód.

Aliya zamrugnęła oczyma.

– I nie obchodzi cię, co się z nimi stało? Gdzie teraz są, czy zeszli na ląd, czy nie utonęli?

Gerik odchylił się w tył na krześle. Tępy ból rozsadzał mu głowę. Łomotanie w czaszce było nie do wytrzymania.

– Jeżeli utonęli, to dobrze wiesz, że już ich nie znajdziemy. Zresztą, na której wyspie miałbym ich szukać? Prawdopodobnie wczoraj minęliśmy cały archipelag!

– Dałoby się ich tam odnaleźć! Ty to wiesz!

– Może – wymruczał pod nosem przekleństwo – ale wówczas, jako kapitan tego okrętu, sam musiałbym wymierzyć Arionowi sprawiedliwość. Zdrady nie przebacza się nigdy, pamiętasz? Co ja plotę, doskonale wiesz to sama! Widzisz, nie jestem wcale tak nieugięty, jak sądziłem. – Zapatrzył się w sufit, gdzie wznosił się dym z zapalonej fajki.

– Czy sądzisz, że chciałbym kazać przeciągać mojego siostrzeńca pod kilem? Mojego jedyne, ostatniego krewnego, który w dodatku przeze mnie stracił rodziców? Nie! Nie jestem aż takim łotrem, Aliyo! Moja siostra przekłęłaby mnie wówczas aż z dna morza. W tym chłopaku płynie moja krew! I ona spadłaby wówczas na moją głowę!

Sprawiedliwy kapitan powinien przedkładać nad to dobro załogi. Ja nie potrafię! To dlatego muszę odejść.

– Nowy kapitan na pewno zechce ścigać Ariona.

– Bardzo możliwe. Ale to nie będę ja.

Aliya wypuściła z płuc powietrze, kręcąc głową. Na dnie jej oczu błyskały mroczne ogniki.

– Więc ani trochę nie wierzysz w jego niewinność? Nie dajesz mu żadnej szansy, żadnej nadziei?

– Wszystkie fakty świadczą przeciw Arionowi. Gdyby pomagał mu ktoś z załogi, zniknąłby wówczas razem z nim, to oczywiste. W głębi duszy ten chłopak zawsze mnie nienawidził.

– To nieprawda!

– Owszem, prawda! Nie jesteś obiektywna, bo mnie kochasz. A ja ciebie. – Kącik ust Gwinta wygiął urwany skurcz uśmiechu. – Dla Ariona byłem obcym, który zburzył cały jego świat. Ja skrzywdziłem jego, a on mnie. On przeze mnie utracił rodzinę, ja przez niego utracę ten statek. – Wzdrygnął się lekko. Wychylił kielich do dna, ciężko odstawił go na stół. Sięgnął po butelkę, która ponownie zagulgotała nad naczyniem. – Można więc powiedzieć, że jesteśmy ze sobą kwita. Lepiej niech tak zostanie. Nie chcę ryzykować tego, że ostatni żyjący krewny musiałby zginąć z mojej własnej ręki. Zbyt wiele już trupów za mną, Aliyo!

Dziewczyna mierzyła go przenikliwym wzrokiem.

– Jesteś najlepszym kapitanem, jakiego może mieć ten okręt. – Mimo łagodnego tonu jej aksamitny, matowy głos brzmiał nieugięcie. – Nie powinieneś teraz poddawać się zwątpieniu! Posłuchaj mnie, Gwinto. Domyślam się, jak się teraz czujesz, ale przecież Arion...

– Na demona, nie masz pojęcia, jak się teraz czuję!

Gerik raptownie porwał butelkę i rzucił nią o ścianę z takim impetem, jakby ciskał

harpunem. Zielonkawę, grube szkło rozprysło się z trzaskiem we wszystkich kierunkach. Rozbryźnięta plama z wina zaczęła ściekać po drewnie na kształt krwawiącej rany.

– Jestem trędowaty! Cięży nade mną jakieś przekleństwo! Wyobrażasz sobie, co znaczy ściągnąć śmierć na najbliższych? Nie bez przyczyny dawno temu postanowili o mnie zapomnieć! Odwiedziłem Ilenę i Ravela po wielu latach, a teraz oni oboje nie żyją! Jedynie Arion zdołał ocaleć z rąk ludzi, którym tak naprawdę chodziło tylko o mnie! – Zerwawszy się z krzesła, zaczął przemierzać rozkołysanym krokiem pomieszczenie. – Od tamtej chwili prowadzę okręt z nieszczęścia w nieszczęście. Jakby za horyzontem nieustannie czaiła się katastrofa. Na początku podejrzewaliśmy przecież przeciek. Ktoś zaczął rozsiewać plotki o zjawie na pokładzie. Piskorz zaginął, Warras okazał się zdrajcą! Na Wyspie Przeklętych mógł nas pozabijać Wysoki Mag! A potem na pokładzie królewskiej karaweli czekała na nas tamta izba pełna zwłok. I teraz Arion! – Gwinto przetarł twarz rękoma, zatrzymał się, odchylił głowę do tyłu. Z jego ust dobył się cichy, zduszony śmiech, który zmieniał się w radosny, niski chichot. Było w nim coś szalonego. – Własny siostrzeniec wbił mi nóż w plecy. I zrobił to chyba w najohydniejszy możliwy sposób. Byłem ślepym, otumanionym głupcem. Przecież mogłem się tego po nim spodziewać. Chłopak nieustannie podważał moje polecenia. Chociażby ostatnio: złamał mój zakaz, przedostał się na karawelę, wdał się w potyczkę z marynarzami!

– Gdyby nie on, być może księżniczka by zginęła – zauważyła ściszym głosem Aliya.

– Wyzwał do walki własnego kapitana!

Spojrzała mu w oczy z głębokim smutkiem, szepcząc powoli:

– Wyciągnął miecz, ale to ty natarłeś pierwszy.

– Sugerujesz, że to była też moja wina? – Gwinto walnął zaciśniętą pięścią w stół. Żyły na jego skroniach pulsowały. Niebieskie oczy skrzyły się pod ściągniętymi

brwiami, jakby mogły ciskać błyskawice.

Aliya nie była kobietą, która daje się zakrzyczeć.

– Nie! – warknęła z irytacją, zrywając się z krzesła niczym tygrysyca. – Oczywiście, że nie! Sugeruję jedynie, że nie wszystko wygląda dokładnie tak, jak ty to odbierasz. Świat wokół wcale nie jest czarno-biały. Zawsze sądziłam, że ty to rozumiesz. Że wiesz o wiele lepiej niż inni... – Głos jej nagle zadrżał. – Zdarzają się zbrodnie, które popełnia się z miłości. Pewnie są też rzeczy, które przyjmują pozór zbrodni...

– Pozór? – powtórzył Gwinto.

– Tak, pozór. A może to, co zrobił Arion, jedynie wygląda teraz na zdradę? Nikt nie wie, co się tak naprawdę stało. Pomyśl, on i ta mała zostali tu właściwie całkiem sami. Przez jakiś czas mogli liczyć tylko na siebie. A może coś zmusiło ich do opuszczenia statku?

– Niby co?

– Nie wiem! Ale nigdy się nie dowiesz, jeśli nie spróbujesz ich odszukać!

– Mogę się dowiedzieć, że mój siostrzeniec stał się zdrajcą i złodziejem! Zniknęły kryształki, a nawet nieodłączny łańcuch Keramira.

– Nie wszystkie kryształki! Jeden znalazłam przy łodziach.

– A więc jeden został? – Gwinto podrzucił ramionami – Chłopakowi nie można odmówić poczucia humoru. Moja krew! Potrafi uderzać celnie. Nie ma szans, żeby Arion był niewinny!

– Może nocą zjawił się jakiś inny statek...

– Na tych wodach? To by graniczyło z cudem. To by musiał być inny okręt bractwa.

Aliya przygryzła usta.

– Widzę, że wszyscy na tym statku, łącznie z tobą, już wydali wyrok na Ariona – syknęła przeciągle, zaciskając pięść. – Tak łatwo jest oskarżać kogoś, kto nie może się bronić, kto jest daleko, być może walczy teraz o życie! Nie rozumiem, czemu nie chcesz dać mu szansy. Mówiłeś mi, że jego ojciec był twoim przyjacielem. Naprawdę

sądzisz, że tamten człowiek i twoja siostra wychowaliby jedyne syna na oszusta, zdrajcę i złodzieja?

– Nie, nie wierzę! – odparował Gwinto, zgrzytając zębami. – Arion zmienił się jednak po ich śmierci!

– Nie aż tak! Chyba w ogóle go nie znasz!

– Nie? Jego ojciec zginał z mojej winy! Jego matki nie zdołałem uratować! – Wyciągnięta ręka kapitana gwałtownie zmiotła na podłogę zawartość stołu.

Aliya upadła na kolana wśród stert papierów, piór, atramentu i okruchów szkła. Spuściła nisko głowę, na którą zsunęły się grube, kruczoczarne kosmyki.

– Uratowałeś ją! – wychrypiała niespodziewanie, gwałtownie dygocąc. – Medyk mówił, że ona umrze, ale to byłam ja! Udusiłam ją poduszką! Nie umarła sama we śnie! – Jej skóra stała się nagle biała i połyskująca od potu. Głosem szarpał jakiś lodowaty podmuch. Oczy zaszyły łzami, jakby szronem. – Jeśli trzeba, sama popłynę szukać tego chłopca. Żeby chociażby w części zmasać moją winę. Wobec niego i... ciebie. – Słowa dziewczyny przeszły w suchy, duszący szloch.

Gerik opadł na krzesło jak porażony.

– Nie mówisz prawdy! Robisz to, żebym pozostał kapitanem! Żeby zmusić mnie do szukania Ariona. Ty przebiegła... – wycodził wolno i groźnie, łypiąc oczyma.

Przeszył go ziąb, rozszedł się wzdłuż kręgosłupa. Żołądek z chwili na chwilę zmienił się w głąz. Poczul w ustach metaliczny smak popiołu.

Patrzył na Aliyę i myślał o tym, że mógłby ją zabić, zdusić w rękach tę smukłą szyję, po której niedawno błędziły jego głodne wargi. Rozszarpać ciało, które dało mu tyle rozkoszy.

Złapał ją za włosy i otworzywszy kopniakiem drzwi, wrzasnął coś dziko. Cisnął ją na deski jak szmacianą lalkę, jak najdalej od siebie. Nawet nie pisnęła, chociaż tego by chyba chciał. Może jej krzyk przyniósłby mu jakąś ulgę.

– Związać ją! Zamknąć ją dobrze w jej kajucie! – huknął wściekle do nadbiegającego

Tika. – Lepiej stamtąd nie wychodź, jeśli chcesz żyć, moja śliczna! – wycharczał do ucha podnoszonej z desek dziewczyny, przykładając do jej szyi nóż.

– Jaki jest zarzut przeciwko niej?!

– Zabójstwo mej siostry!

Gerk cofnął rękę i Tiko zabrał, a właściwie zawlókł za sobą Aliyę, która nie miała siły utrzymać się na nogach. Stał w miejscu jeszcze przez chwilę, dysząc ciężko przez usta. Wszyscy ujrzeli kapitana ze straszną, zzieleniałą twarzą, ze świecącymi się dziko, przekrwionymi oczyma i włosami opadającymi w nieładzie na ramiona. Wreszcie zniknął w półmroku za zatrzaśniętymi z hukiem drzwiami. Niemal natychmiast poniósł się zza nich gruchot, brzęk i trzask wywracanych sprzętów, a potem urwany, gardłowy jęk. Wrzask potępieńca.

Załoganci wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Atmosfera z ponurej stała się grobowa, gęsta, burzowa chmura zawisła w powietrzu.

– Kompletnie oszalał!

– Ktoś taki dłużej nie może być kapitanem!

– Oby ten okręt nie zmienił się w nasz grób! Co innego zginąć w walce, w smoczym ogniu, a co innego z powodu szajby kapitana!

*

Przez parę godzin Gwinto Gerk pił na umór, wydając się na pastwę najczarniejszych myśli. Ciemność pochłonęła jego duszę, zasnęła izbę pantomimą głodnych cieni. Siedząc sam pośrodku dopadających go majaków – czających się w kątach pierzastych chimier, płomienistych salamander, bezgłowych smoków i powabnych, okrutnych syren, z których każda miała twarz Aliyi – nie poczuł, kiedy zapadł w głęboki, pijacki sen.

Przed jego oczyma migotały łagodne, lazururowe fale, liżące jakiś odległy, lecz znany mu brzeg. W wodzie igrały stada kolorowych ryb. Rozgrzany piasek napęłniał

powietrze miłym ciepłem. Woda zalewała bosc stopy młodego chłopca, kiedy wędrował skrajem fal. Tak, we śnie znowu był młodym chłopcem, sierotą, rozstawiającym sieci przy Nawiedzonych Skałach. Rozglądał się za swoim przyjacielem. W końcu go dostrzegł.

Ravael stoi na cyplu, który załamuje linię plaży. Przyzywa Gwinto ręką, chce mu coś pokazać. Gerk puszcza się biegiem po piachu. Mimo swoich krzywych nóg jest bardzo szybki. Uszczęśliwiają go morze i wiatr, kiedy tak pędzi przed siebie. Jest już bardzo blisko przyjaciela. Z nieba spada nagle biały szkwał. Tak mu się zdaje. Ogromna fala zrywa się z wody niczym wąż morski, żeby porwać stojącego na cyplu chłopca.

Gwinto biegnie rozpaczliwie, rzuca się w kotłującą wodę, żeby go ratować. Ravael jest gdzieś tam, pod powierzchnią, miotany falami. Gwinto nurkuje, płynie ze wszystkich sił, jak najdłużej chcąc zachować w płucach powietrze. Macha nogami, rozgarnia wodę rękoma, ale pod spodem, mimo smug niebieskiego światła, nie widać dna. Jego przyjaciel wciąż szybciej niż on opada w otchłań. Wreszcie jakimś cudem Gerk go dosięga, chwytą mocno. Walczy zaciekle, próbując wynieść to bezwładne ciało na powierzchnię. Nadchodzi odpływ, w jednej krótkiej chwili, jak to bywa w snach, w których czas i przestrzeń się nie liczą. Woda się spłyca i Gwinto, ciągnąc za sobą topielca, ciężkiego jak kamień, dopada brzegu. W rozpalonej głowie tłucze się myśl, że w zimne usta trzeba koniecznie wdmuchnąć powietrze. Ostatkiem sił odwraca nieprzytomnego Ravaela na wznak.

Chłopiec, którego wyciągnął z głębin, ma twarz Ariona!

Gwinto zerwał się ze snu zlanym zimnym potem. Rozchylone usta łapczywie chwytają powietrze, jakby naprawdę przebywał długo w odmętach wód. Zmierzwiłone włosy opadały mu na czoło. Mrugając oczyma, które piekły jak od morskiej soli, rozejrzył się wokoło po zrujnowanej kajucie. Jęknął, marszcząc brwi, między którymi skapywał gęsty pot. Za oknami zmierzchało, niebo zasnuły grafitowe chmury zwiastujące deszcz. W półmroku na podłodze u swoich stóp zobaczył światło. Kryształ, który musiała

znaleźć ta... Aliya.

Gerk podniósł go i zaczął obracać w dłoniach. Zatopił zamglony wzrok w samotnym, miodowozłotym klejnocie, który stał się symbolem jego dążeń i porażek. Świetlne kryształy, prawo do magii, walka z inkwizycją. Wspominał znowu wieczór tamtej nocy, kiedy poróżnił się z Ravaelem. I myślał o Arionie, z którym nigdy nie zdołał się pogodzić. Tamten wieczór, kiedy opuścił Ilenę wbrew jej prośbom... Tak samo jak wówczas, gdy pierwszy raz wyruszył na morze.

Kryształ rozpalał się z wolna wewnętrznym światłem, ciepło liznęło skórę kapitana. Wędrujące, płomieniste żyłki przypominały zapis z jakichś nieodgadłych run. W środku kamienia gra cieni wirowała wolno jak prąd w zakolu rzeki. To wszystko odbijało się w źrenicach Gwinta, wypełniając je złocistą poświatą. Był zafascynowany, jak nocny wędrowiec, który bez końca może spoglądać w żar ogniska. Hipnotyczne kształty formowały się w sercu kryształu. Klejnot załamywał teraz całą przestrzeń wokół siebie. Kajuta zniknęła, stała się nieistotnym odbiciem. Inne obrazy rozgrywały się wewnątrz – uchwycony na wieczność pomiędzy błyskającymi zwierciadłami refleks chwili...

Pokój kołysze się jak okręt w świetle świec. Na stole znajduje się kuferek.

– Nie powinieneś był otwierać tej szkatuły – mówi łagodnie Ravael. Zamyka wieko, ale nie do końca.

– Dał ci je wuj Gwinto, prawda? – pyta Arion. – Mówił przecież, że przyptynął, żeby spłacić dług.

– Chciał okazać mi wdzięczność, ale zrobił to w niewłaściwy sposób.

– Niewłaściwy? Ojczy, to jest przecież najprawdziwszy skarb!

– Wierzę, że skarby powinno się zdobywać w uczciwy sposób, Arionie.

– Ojczy, co niby mógłby zrobić wuj Gwinto?

– Nie zrozum mnie źle, Arionie. Twój wuj to dobry człowiek. Zawsze pod maską pozorów skrywał złote serce. Twoja matka bardzo go kocha. Gwinto i ja byliśmy

przyjaciółmi. Takimi, jakich miewa się raz w życiu. Ale nasze drogi się rozeszły. Wybrał inne życie. Na morzu. Bardzo brakuje mi Gwidona, wiesz? Jednak przeszłości nic nie wróci.

– Powiedziacieś mu to?

– Co?

– Że ci go brakuje. Matce również. Może wtedy on odwiedzałby nas częściej. Może myśli, że o nim zapomnieliście. Albo że masz teraz nowych przyjaciół, których wolisz od niego.

Ravael uśmiecha się, kręci głową.

– Nigdy nie miałem takiego przyjaciela jak Gwinto.

– Nawet mnie?

– Ty to całkiem inna historia. My dwaj będziemy przyjaciółmi na zawsze. Nic nigdy nas nie rozdzieli!

Ravael przyciska do piersi syna.

– To będzie nasza tajemnica. O świecie zamierzam zatopić w morzu ten kuferek. Ale mimo wszystko jest to dar od twojego wuja i nie godzi się nic z niego nie zachować. Możesz wybrać jeden świetlny kryształ. Zatrzymasz go dla siebie, ale nie mów o nim nikomu. Ludzie bywają zazdrośni o takie rzeczy.

– Obiecuję.

Wizja znikła, rozpierzchnęła się jak zdmuchiwany wolno płomień. Gerk ścisnął kryształ, jakby w ten sposób mógł ją zatrzymać. Serce łomotało mu w piersi. Umysł rozjaśnił się. Oczy otworzyły się szeroko.

Kapitan raptownie zerwał się z krzesła i w długich susach popędził wprost na mostek. W drzwiach zderzył się z Egritem, ale nie zwrócił na to uwagi.

Przed dziobem szkunera rysował się już czarny, lesisty brzeg. Jeszcze trochę i mogliby zrzucić kotwicę.

– Zmiana kursu! – rozkazał Gerk mocnym głosem. – Zawracamy! Jazda! – Przetoczył wzrokiem po zbitej z tropu załodze. Gorąca krew uderzyła mu na twarz. – Ogłuchliście? Macie rozkaz zmienić kurs!

Spoglądali to na niego, to na ląd na horyzoncie, to na siebie nawzajem. W ich twarzach widział malujące się wahanie.

– Niech cię szlag, Gwinto! Jeszcze trzy mile i nie byłbyś naszym kapitanem! – wrzasnął Gilal.

– Ale nim jestem! Nie dotarliśmy do lądu! Na demona, nadal jesteście na morzu! Każdy z osobna winien jest mi pełne posłuszeństwo! A teraz jazda! Płyniemy szukać Ariona!

– Słyszeliście, co powiedział wasz kapitan? – zachrypiął lodowatym głosem stary Egrit.

Klnąc siarczyście, jeden po drugim dragici rozbiegli się na stanowiska.

Stary szyper zbliżył się do Gerka, ciężko położył mu dłoń na ramieniu i potrząsnął głową.

– Chyba wiem, dokąd mógł się udać Arion – wychrypiął zduszonym głosem.

– Co takiego?

– Boję się myśleć, że sam się do tego przyczyniłem. Bo widzisz, on ma moją połowę mapy...

28.

Arion czuł na plecach gorący jak pożar oddech losu. To monstrum, to coś, co zabiło jego najbliższych, tkwiło tuż przy nim, na okręcie, przez cały czas! Nie opuściło go ani na moment! Klątwa, w którą wierzyli dragici, istniała naprawdę. Teraz i on też zaczynał w nią wierzyć. Cokolwiek zrobisz, nie możesz przed tym uciec. Błądzisz po mapie, której brakuje drugiej połowy...

– Ile jeszcze? Czy to... wciąż daleko? – zaczął wypytywać Nogus Peris, doskoczywszy do Ariona z nienacka. – Pokaż mi... dokąd... musimy dojść!

Chłopak zrzucił z pleców ciężki toból z kryształami, który boleśnie wżynał mu się w ciało. Ręce i plecy miał zeszywniałe, zmęczone nogi pulsowały z bólu, podobnie jak opuchnięta po uderzeniu twarz. Z dręczącą obawą spojrzął na księżniczkę, która zamykała pochód. Chwiejnie usiadła na zwałonym pniu. Jej delikatne stopy obtarły się o kamienie, suknia była do kolan umazana w piachu i kurzu. Wyglądała na skrajnie wycieńczoną, ale jak dotąd się nie poskarżyła.

Ona wierzy w przeznaczenie – pomyślał Arion. Dlatego jest taka spokojna! Zdała się na los!

Ale los ich obojga spoczywał w jego rękach, w postaci rozpaczliwie bezużytecznej mapy, która urywa się w połowie. Ich oprawca święcie wierzył, że z jej pomocą znajdą legendarny skarb!

Jak to możliwe, że nie dostrzegął braku połowy pergaminu? Arion nabierał pewności, że Nogus Peris oszalał. Mimo to bał się, czy uda mu się go oszukać.

– Jesteśmy mniej więcej tutaj – oznajmił, wskazując punkt na mapie. Starał się, żeby jego głos brzmiał jak najpewniej, pomimo dławiącej suchości w ustach. – Widzisz ten cypel? Mamy go teraz za plecami – kontynuował z determinacją, nie pozwalając, żeby mag doszedł do słowa. Im więcej informacji naraz mu przekaze, tym większy chaos ma szansę wywołać w jego głowie. – Musimy ominąć te dwa wzniesienia i skręcić na północ. Szlak prowadzi tędy i tędy. Te wysokie klify...

– A potem... będziemy się wspinać w górę?

– Tak – podchwycił Arion w popłochu. – Strome podejście. Musimy oszczędzać siły.

Powiew zafalował czarnym kapturem.

– Nie ma... czasu... Trzeba... się spieszyć.... Tak długo... czekałem!

– Księżniczka jest bardzo zmęczona – powiedział chłopak, mrugając piekącymi, podpuchniętymi oczyma. – Jeśli nie dasz jej odpocząć, może zachorować i umrzeć.

Odór rozkładu i rżący chłupot zjeżyły mu włosy na głowie.

– Umrzeć? Głupcze!... Czy nie widzisz.... że ja... pokonałem śmierć?.... Jeśli ona umrze... z pomocą magii... znowu tchnę w nią życie...

Ariona sparaliżowały te słowa. Ciężko, z ogromnym zmęczeniem, osunął się i usiadł na ziemi.

Nogus Peris zabrał mapę i odszedł za pobliski głąz, by pochylić się nad nią z uwagą. Chłopak tylko czekał, aż mag odkryje jego kłamstwa, lecz starał się nie poświęcać tej myśli wiele czasu. Powoli, ostrożnie podpełzł bliżej księżniczki siedzącej na zwałonym pniu ze zwieszoną głową i skulonymi ramionami. Długie włosy opadały jej na twarz.

– Ciii... Bo nas usłyszysz. Dasz radę iść dalej? – wyszeptał jak najciszej, prawie nie poruszając ustami.

Drgnęła leciutko.

– Nie wiem – dobiegło go słabe tchnienie jej głosu – On chyba nas nie słyszy. Ani nie widzi.

– Co masz na myśli?

– Patrzy, ale tak, jakby nas nie widział. Przez cały czas śni. Może to przez pełnię. On chodzi we śnie.

Arion odetchnął. A więc oboje to zaobserwowali.

– Ciepło ci? Nie bój się. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

– Wiesz, dokąd idziemy?

– Tak – potwierdził bez zawahania. – Wiem dokładnie. Mamy przecież mapę. Odnajdziemy skarb. Wtedy on puści nas wolno. Kiedy nas tam zaprowadzę...

– Nie musisz tego robić. – Jej szept rozdarł mu serce – Nie wiem, czy ja dam radę... dojść tak daleko. Ale nie pozwolę mu nas skrzywdzić. Nic mi nie zrobi. Jeśli spróbuje, połknę truciznę.

– Co takiego?

– Mam ją w pierścionku. Zaledwie kroplę. Dostałam od Nyli. Połowę zostawię dla ciebie.

– Ani się waz! Zabraniam ci, rozumiesz? W żadnym wypadku nie możesz chcieć się zabić!

– Jestem księżniczką – szepnęła Lumina po długiej chwili upiornego milczenia. – Poświęcono mnie bogom. Wolę chyba umrzeć, niż zaprzepaścić tę ofiarę.

– Nie umrzesz. Znajdziemy skarb, maskę Althirry. Dragici przyplyną, żeby nas odszukać!

Arion odsunął się szybko, bo zakapturzony cień zwrócił się w ich stronę. Chłopak oparł się plecami o zwalony pień i spoglądał z łomocącym sercem na związaną Luminę. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak straszliwie była wycieńczona i jak ogromne spustoszenie zrobiły w jej duszy ostatnie przeżycia. W ciągu paru dni próbowano wyrzucić ją za burtę, porwano ją, grożono jej śmiercią, a potem zabrano na bezludną wyspę, pozbawioną jedzenia i snu. To o wiele za dużo nawet dla niego, a co dopiero dla kruchej dziewczynki, którą wychowano w pałacu w przeświadczeniu, że jest dzieckiem samego przeznaczenia.

*

W zapadającym zmierzchu z nieba spadała siąpiąca mżawka. Sine, zmierzwione wiatrem fale rozchełstywały się przed dziobem szkunera, pryskając na boki strzępami piany. Gwinto Gerk stał u postawy bukszprytu, ściskając w garści sztag i czując, jak stalowoszare morze gnie mu się pod stopami. Uszy wypełniał mu świst wiatru i brzęczenie drobniutkich kropel bijących o wodę. Deszcz zmierzwiał mu włosy i spływał po twarzy za koszulę, która przywarła do wytatuowanych pleców. Nie od razu usłyszał dobiegający z tyłu głos.

– Kapitanie!

Zeskoczył na pokład. Ku swojemu zaskoczeniu zobaczył stojącego w deszczu Keramira.

– O co chodzi?

Twarz maga była bardzo blada. Po nosie spływały jedna za drugą krople deszczu. Odrastające włosy kleiły się mokrymi kosmykami do mocno wysklepionej czaszki.

– To musi być smętny widok: moknący zaklinacz pogody. – Skrzywił się, jakby w wymuszonym uśmiechu.

Gwinto nie odpowiedział.

– Uważam, że jesteś dobrym kapitanem. Przyszedłem ci powiedzieć, że chociaż pewnie wcale w to nie wierzysz, masz we mnie sojusznika. O ile mag, który stracił swój łańcuch, może się w ogóle na coś przydać. – Srebrne oczy zapatrzyły się nieruchomo w rozkołysany ocean. Twarz stężała. Drobnym deszczem ostro ciał powietrze.

– Jednego dnia świętujemy i wydaje się nam, że mamy wszystko, że możemy płynąć na sam kraniec świata. Nazajutrz wszystko tracimy i być może nawet załoga już nas nie chce – powiedział po chwili Gerk, wzdychając głęboko.

Keramir przytaknął.

– Ja jednego dnia jadałem w Zamku Wiatrów i władałem najpotężniejszą mocą, a drugiego zostałem zaklinaczem pogody na okręcie wyjętym spod prawa. Pomijając to, co spotkało mnie pomiędzy tymi sytuacjami – zamruczał ponuro.

Obaj zamilkli.

– Naprawdę utraciłeś swoją magię?

Czarodziej potrząsnął głową, mrużąc kryształowe czy.

– Chyba nie – odparł ostrożnie. – Myślałem o tym, co mi powiedziałaś, kapitanie. Zabawne, prawda? Miałaś rację mówiąc, że łańcuch wcale nie jest najważniejszy. To tylko atrybut, symbol. Kryształy wzmacniają energię przemian, ale jej źródło znajduje się w nas samych. Jednak ciężko jest zmienić swój sposób myślenia. Porzucić dotychczasowe przekonania. Wyuczone nawyki, które każą nam szukać mocy poza nami. Nie odzyskam mojej magii z dnia na dzień, ale kiedyś może mi się udać. Jak daleko jeszcze do tej wyspy?

– Jeśli wiatr nie zmieni się gwałtownie, powinniśmy dotrzeć jutro rano. Straciliśmy

dużo cennego czasu. Mam nadzieję, że nie jest za późno.

– Co zrobisz, kiedy znajdziemy Ariona?

– To się okaże. Przede wszystkim dowiem się całej prawdy – odpowiedział Gerk ze śmiertelną powagą.

– Nie musisz już szukać smoczego jaja – podjął Keramir. – Miałeś dostarczyć je w zamian za zaklinacza pogody, ale ja, zgodnie z prawem magów, bez łańcucha nie jestem pełnowartościowym czarodziejem. A to oznacza, że umowa między tobą a Lyelyebanem właśnie przestała obowiązywać.

– Tutaj nie chodzi tylko o ciebie – oznajmił Gwinto szorstko. – Chciałem udowodnić, że smoki nie są bogami.

– A może są?

– To i tak nic nie zmienia. Chodzi o to, że powinniśmy móc wybierać świadomie, w co wierzymy. Bez nakazów i zakazów fanatyków. Magia istnieje na tym świecie i żadna grupa, żadna kasta, nie ma prawa jej zawłaszczać tylko dla siebie. Dopóki ludzie władający Crystallum tego nie rozumieją, niesprawiedliwość i wyzysk będą trwałe... A my będziemy walczyć. I będziemy coraz silniejsi.

Stali obok siebie, ociekający strużkami wody, pogrążeni w myślach chmurnych jak niebo nad nimi. Wreszcie Keramir odwrócił się na pięcie.

– Pójdę poszukać w sobie mojej magii. Przydałoby się rozproszyć ten deszcz i pokonać żywioły.

– Żywiołu nie można pokonać – rzucił za nim Gwinto. – Można próbować tylko dobrze wykorzystać jego siłę.

*

Stojąc na bocianim gnieździe, Egrit czuł, jak promienie wschodzącego słońca rozgrzewają jego zeszywniałe i zziębnięte po nocnym deszczu gnaty. Światło rozpraszało resztki chmur, napełniając morze i niebo grą pastelowych barw świtu.

Starzec przykładał do oka lunetę skierowaną ku ostatnim cieniom nocy.

Wreszcie ją dostrzegł. Okoloną zrębami stromych klifów, pokrytą lasem, pod którym niկł zarys licznych wzniesień. Rozległą, tajemniczą i tak dziką, jakby przed chwilą dopiero wynurzyła się z fal. Wyspa skarbów leżała przed nimi. Wreszcie naprawdę zmierzali ku Antalarii!

Jak na komendę do okrętu przyłączyło się stado delfinów. Baraszkowały przed dziobem w długich skokach. Starzec uznał to za dobry znak. Schował lunetę do futerału na ramieniu i w milczeniu napawał się tą chwilą.

Od dawna planowali obaj z Gwintem przybyć na Antalarie, a jednak zawsze coś oddalało ich od celu. Jak choćby pragnienie zemsty, które zawładnęło kapitanem. Interesy bractwa, walka z inkwizycją, okręty królestwa, ogromne smoki i przemysł bezcennych kryształów. Dla Gwidona Gerka te sprawy zawsze liczyły się bardziej niż jakiś legendarny skarb, o którym nie wiadomo, czy w ogóle istnieje.

Egrit zapatrywał się na to inaczej. Był już stary, zmęczony walką o ideały, która jak dotychczas nie zmieniła wiele. Miał dość znoju. Dość zmagania ze smokami. Dość bezinteresownego pomagania przestraszonym ludziom, którym lata zajmie nauka choćby najprostszyc zaklęć, gdyż nie posiadają wyszkolenia magów. To wszystko było dobre wcześniej. Obecnie pragnął łatwiejszego i znacznie większego zysku. Spektakularnego odkrycia skarbu, które na starość znów rozstawiłoby po wszystkich morzach jego imię. Pragnął odzyskać splendor słynnego pirata, przed którym drżeli niegdyś najzuchwalsi. Mieć własny okręt, własnych ludzi i złoto. Nadal posiadał zdrowie i żywotność maga i wierzył, że przed nim jeszcze kilka tłustyc lat, w czasie których będzie mógł cieszyć się życiem jak dawniej.

Tak, wreszcie spełniało się jego marzenie. Zrobi wszystko, żeby tak się stało. Nawet zaklinacz pogody, któremu ani trochę nie ufał, utraciwszy swój bezcenny łańcuch, nie stanowił już zagrożenia dla jego planów.

*

Łodzie zostały opuszczone na wodę z zakotwiczonego okrętu. Rzędy wiosel zamiatały szafirową powierzchnię morza. Dragici wylądowali na plaży u podnóża poszarpanych, skalnych klifów.

– Myślisz, że gnieźdzą się tutaj smoki? – spytał Parte, kierując te słowa do Tika.

Mężczyźni rozglądali się po brzegu. W miejscach, gdzie wielkie bestie przylatywały, żeby bez wysiłku polować na uchatki, piach znaczyły zazwyczaj wypryski mętnego szkła – ślady po spadającym z nieba ogniu.

– Ta wyspa nie przypomina miejsc, w których ziemia skrywa świetlne kryształy.

– Za to może skrywać wielki skarb – mruknął Spenker, nachylając się ku nim niespodziewanie.

– Na to przyjdzie czas.

– Istotnie, na początek musimy dorwać Ariona! O ile żyje. – Przekrwione oczy żeglarza błysnęły ponuro.

Parte zacisnął usta, rzucił na boki czujne spojrzenia.

– Jeśli on i księżniczka Lumina utonęli, to skarb przepadł na zawsze – wyszeptał nerwowo, spuszczać wzrok. – Arion miał ze sobą połowę mapy prowadzącej do maski Althirry.

– Co takiego? Skąd to wiesz? – warknął Spenker, łapiąc go za koszulę i przyciągając gwałtownie.

Parte wbił wzrok w ziemię.

– Usłyszałem rozmowę kapitana z Egriem. Połowa mapy, którą ma Gwinto, na nic się nie zda bez brakującej części.

– Pewnie, że się nie zda! – wycedził z wściekłością Spenker. Jego twarz mieniła się różnymi odcieniami czerwieni. – Mówiłem wam, ten dzieciak to wcielony demon! Jego pobyt na statku posłużył wszystkim nie gorzej niż zaraza! – Mężczyzna splunął pod nogi. – Ale ja go dopadnę! Przysięgam, że go dorwę! Wówczas przekonamy się,

czy Gerka pozostanie kapitanem! Jeżeli chce nam dalej przewodzić, wszyscy muszą zobaczyć, jak wymierza temu zatraconemu smarkaczowi sprawiedliwość! Inaczej weźmiemy sprawy we własne ręce!

Z przekleństwem na ustach i zjeżonymi jak u złego psa włosami Spenker odszedł w kierunku Gilala.

Parte pożałował swoich słów.

– Rozdzielimy się na dwie grupy! – Dobiegł ich donośny głos Gwidona Gerka. – Połowa idzie ze mną na północ, druga połowa z Egritem na południe! Przeczeszemy najpierw obszar brzegu i klifów! Jeśli Arion dopłynął tu łodzią, nie mógł ukryć jej gdzieś daleko! Poza tym szukajcie jakiegokolwiek śladu tego chłopaka! Każdy, najmniejszy trop jest dla nas bezcenny! Arion ma ze sobą nie tylko córkę króla i kryształ... – Gerka opadły skupione, świdrujące spojrzenia kompanów. – Połowa mapy tej wyspy znajduje się w jego rękach.

– Mapy prowadzącej do skarbu Althirry?

– Tak.

Po pierwszym szoku na plaży wybuchła niesamowita wrzawa. Z najwyższym trudem zaprowadzono porządek i podzielono się wreszcie na dwa oddziały, którym przewodzili Gwinto i Tiko, jako że Egrit ostatecznie wolał wyruszyć u boku Gerka. Dragici, w odróżnieniu od pospolitych piratów, mimo wszystko cechowali się dużym zdyscyplinowaniem. Wszystkie spory rozstrzygną po odnalezieniu Ariona. Tak czy inaczej nie mają innego wyboru. Jeżeli chłopak żyje, przeczeszą choćby i całą tę przekłętą wyspę, żeby go odnaleźć!

*

Nieoczekiwanie rozległo się głośnie pukanie do drzwi kajuty. Odgłos narastał, zmieniając się w łomot.

– Aliyo! Jesteś tam?!

Dziewczyna drgnęła w półmroku.

– Warras? – spytała z niedowierzaniem. Serce mocniej uderzyło jej w piersi.

– Tak, to ja. Nie zbliżaj się do wejścia! Zaraz cię uwolnię!

Usłyszała, jak dwa potężne uderzenia ciężkiego narzędzia rozbijają grubą kłódkę na zewnątrz. Metalowy zamek upadł na podłogę. W progu stanął Warras. Za parciany pas miał zatknięte dwa miecze.

– Wszystko w porządku? – zapytał, podchodząc do skulonej w kącie kobiety, żeby rozwiązać jej skrępowane liną kostki i przeguby.

Aliya zaczęła rozcierać naznaczone czerwonymi pręgami miejsca.

– Co ty wyprawiasz?

– No... uwalniam cię. – Mężczyzna wzruszył szerokimi ramionami.

Bardzo schudł i był bledszy niż kiedyś, ale poza tym wyglądał na ozdrowiałego. Kilka poszarpanych blizn znaczyło jego ręce i policzki. Ślad po tnących ciało skorupach małży, które porastają dno okrętu.

– Stoimy na kotwicy. Wszyscy co do jednego odpłynęli na wyspę! Zostaliśmy tylko my! Musimy się spieszyć!

– Byłam prawie pewna, że już wydobrzałeś – rzekła Aliya, przyglądając mu się uważnie od stóp do głów. – Nawet te rany... Tak dobrze się zagoiły. Udawałeś bardziej chorego, niż jesteś!

– A co twoim zdaniem miałem robić? – Głęboko osadzone oczy Warrasa pociemniały. – Uznano mnie tu za zdrajcę, prawda? To zaklinacz pogody mnie uzdrowił. W życiu bym nie pomyślał, że srebrzystooki zrobi dla mnie coś takiego! – Mężczyzna uśmiechnął się chytrze. – W mojej sytuacji nie było mi aż tak źle pod pokładem. Wszyscy o mnie właściwie zapomnieli. Pewnie liczyli, że w końcu i tak zdechnę. Ale ty się mną opiekowałeś. Czemu, Aliyo?

– Zawsze byliśmy przyjaciółmi. Bez względu na to, co zrobiłeś... – zawahała się, jej głos stał się chłodny. – Poza tym oboje jesteśmy zdrajcami! Jako jedyna nie miałam

prawa cię osądzać. Nie po tym, co sama zrobiłam. Wiesz, że udusiłam we śnie siostrę kapitana?

– No... tak. Podśluchałem rozmowy załogi – przyznał Warras.

Spojrzeni sobie prosto w oczy. Badawczo, pytająco.

– Oboje jesteście zdrajcami – powtórzyła Aliya.

– Nie! Nas tylko uznano za zdrajców, a to jednak różnica. Ja nie zabiłem Piskorza, a ta kobieta, którą udusiłaś, i tak by umarła. Wszyscy to wiedzieli! Ty po prostu skróciłaś jej cierpienia. Rannych też dobija się po bitwie. Widać, że Gwinto kompletnie oszalał, skoro cię tutaj zamknął!

Dziewczyna nie odrywała palącego wzroku od źrenic mężczyzny.

– Możesz mi przysiąc, że nie ty zamordowałeś Piskorza?

– Przysięgam.

– Dlaczego się nie broniłeś, nie wyjaśniłeś im... – Nagle zaschło jej w gardle.

– Próbowałem! To i tak nic by nie dało. Nie pamiętasz? Wszyscy byli przeciwko mnie. Ktoś mnie wrobił, teraz nie mam wątpliwości. A poza tym... no... ja... – Warras zwilżył językiem spękane wargi. – Co tu gadać... Kompletnie mi odbiło, kiedy wmieszali w to ciebie. Powiedziałem wtedy prawdę. Jesteś za dobra dla Gerka. Dla niego nie liczy się nikt poza nim samym! Przekonałaś się. Nasz kapitan poświęcił ciebie i mnie dla własnych urojeń.

– Nieprawda!

Warras sapnął, potrząsnąwszy głową. Wyciągnął grubo ciosaną dłoń i dotknął jej ramienia. Przy szczupłej, niezbyt wysokiej dziewczynie potężnie zbudowany żeglarz zdawał się olbrzymem.

– Wiem, co zaszło między tobą a Gwintem – wymamrotał ponuro – W nocy, pod pokładem... Tylko udawałem, że śpię. Przysięgam, że ostatkiem sił powstrzymałem się, żeby się na niego nie rzucić, kiedy cię całował!

Aliya milczała, tylko policzki jej pociemniały. Ich spojrzenia się od siebie nie

odrywały.

– Możemy razem stąd odpłynąć, Aliyo! Zacząć wszystko od nowa. Jeżeli martwi cię los pozostałych, to kapitan i reszta jakoś poradzą sobie na wyspie. Teraz musimy myśleć tylko o sobie. Taka szansa już się nie powtórzy!

– Chcesz uprowadzić okręt? – Uniosła brwi, przełykając ślinę.

Warras roześmiał się dziwnie.

– Uprowadzić? Przecież oni sami nam go zostawili. I to oni pierwsi zdradzili nas oboje. Skazali nas, Aliyo! Odbierzemy tylko naszą zemstę. – Przysunął się bliżej. Poczula zapach męskiego ciała. – Wolisz, żeby cię wychłostali, a może zabili? Albo przeciągnęli pod kilem, jak mnie? Nie zniósłbym widoku twojej ślicznej buzi poharatanej. Popatrz na moje blizny!

Serce uderzało jej jak szalone.

– Kiedyś byś się nie zawahała. Nie brak ci odwagi, potrafisz zadawać śmierć, nadajesz się na korsarza lepiej niż niejeden mężczyzna! Aliyo... – Warras odchrząknął – ...wiele sobie przemyślałem, kiedy leżałem tyle czasu pod pokładem. Nie jestem już takim durniem jak wcześniej. Powinienem był dawno wyznać ci to otwarcie. Teraz znowu los daje mi szansę. Zrozum, Gwinto cię tu zostawił! Już cię skazał. Ja nigdy tak nie postąpię. Nigdy nie zrobię niczego wbrew twojej woli, słyszysz? Odpłyniemy stąd natychmiast! Potem sama zdecydujesz, co będzie dalej. Zawsze cię pragnąłem...

Warras nachylił się i pocałował ją w usta. Jego pocałunek był głęboki, przeciągły, przedziwnie czuły i nieomal delikatny. Tak inny od namiętych, szorstkich pieścizot Gerka, które spadały jak pożar i natychmiast rozpałały jej zmysły.

W głowie dziewczyny zawirowały dziesiątki myśli. Przeszyło ją ciepło.

Mężczyzna odsunął pobliznioną twarz i spojrzał na nią z napięciem, wyczekująco. Patrzyli na siebie bez mrugnięcia okiem.

– Masz rację, zrobmy to! Nie będziemy tu czekać na śmierć! Inni nie będą decydować o moim losie! – oznajmiła raptownie Aliya.

– Zatem do dzieła!

Popędzili na zalany słońcem górny pokład. Sprawnie postawili topsle i sztaksle. Wyprężyły się po chwili na słabym wietrze. Okręt zaczął nabierać życia. Aliya i Warras dopadli do kabestanu i zaczęli wybierać kotwicę.

– Czekaj! – wykrzyknęła niespodziewanie dziewczyna.

Usłuchał. Zastygli z wyciągniętymi przed siebie rękoma opartymi na kołowrocie.

– Nie ty zabiłeś Piskorza, więc kto to zrobił? – spytała Aliya, jakby mówiła sama do siebie.

– Kto to wie? Pewnie ten, co mnie wrobił! Nigdy się nie dowiemy!

– Piskorz zginął tej samej nocy, gdy ludzie króla zabili rodzinę Ariona. Szukali Gwinta, prawda? Skąd wiedzieli, że akurat był w miasteczku? Że tego dnia postanowił zejść na ląd?

Warras zaklął głośno, marszcząc czoło.

– Chcesz powiedzieć, że to ktoś z załogi wydał Gerka inkwizycji? Poinformował ich, gdzie będzie kapitan, tak?

– To możliwe, nie sądzisz?

– Możliwe! Możliwe, że zabójca Piskorza to ta sama osoba, która chciała wydać kapitana inkwizycji! Albo i nie! Co to zmienia?

Aliya puściła kabestan i podeszła do relingu. Warras zrobił to samo. Jego twarz płonęła.

– Aliyo, o co chodzi? Nie mamy teraz czasu! Odpływamy albo czeka nas los zdrajców!

– Morderca Piskorza jest teraz na wyspie, nie rozumiesz? I jeśli jego celem było zgładzenie kapitana, na pewno spróbuje to zrobić! To, co stało się na lądzie, nie liczy się na morzu, pamiętasz? Tylko dureń zabijałby kapitana na jego własnym statku. Ale na lądzie... – Przygryzła usta, nie kończąc tej myśli. Wiatr unosił końce jej rozpuszczonych włosów. – Przykro mi. – Potrząsnęła głową, spoglądając zmartwiałym

wzrokiem ku klifom. – Nie mogę z tobą uciec. Płynę na wyspę! Nikt nie pomyśli o tym, żeby ostrzec kapitana...

– Więc ty chcesz być jego stróżem, tak? Dziewczyno! – Warras odwrócił ją ku sobie, ujął jej twarz w obie dłonie. – A co z tobą? Poza tym statkiem prawo lądu przestanie chronić też ciebie! Gerk uważa cię za zabójczynię tamtej kobiety! Płynąc do niego, ryzykujesz własną skórę!

Spuściła powieki.

– Powiedział, że mnie kocha. Nie zechce mnie skrzywdzić – szepnęła.

– Chyba sama w to nie wierzysz! Przypomnij sobie, co rozkazał zrobić mnie!

Aliya po chwili wyciągnęła dłoń i dotknęła jego policzka.

– Przykro mi, Warras. Rozumiem cię. Nie będę cię winić, jeśli teraz odpłyniesz. Masz wolną rękę. Ja dokonałam już wyboru. Nie mogę zostawić Gwinta Gerka samego.

Odsunął się od niej jak oparzony.

– Zawsze go kochałaś, prawda?

– Tak. Tak, przyznaję! Czy to grzech? Czy powinno się mnie za to ukarać?

Warras rozejrzał się bezradnie po pokładzie. Dziewczyna lustrowała go smutnym, przybitym spojrzeniem. Mógłby przeciąć teraz linę kotwiczną i spróbować ją uprowadzić, ale nigdy by mu tego nie wybaczyła. Nie Aliya. Była tak uparta, że raz powziąwszy decyzję, prędzej skoczy z burty do morza albo wyzwie go na pojedynek, niż podda się biernie losowi. W najgorszym razie pozabijaliby się, walcząc na miecze. Niewielu mogłoby się równać z nią w szermierce.

– Niech tak będzie. – wykrztusił wreszcie z rezygnacją, jakby wbrew własnej woli. – Nie zostawię cię. Płynę z tobą na tę wyspę!

Część dragitów przemierzała obszar u stóp klifów, pozostali posuwali się górą. Co jakiś czas Gerk przystawał, żeby zlustrować lunetą granicę załamujących się nisko fal. Sylwetki odpoczywających na skałach lwów morskich przypominały ludzkie ciało. Poprzez przejrzystą wodę widział ogromne, drapieżne barakudy zaganiające stada mniejszych ryb. Odpływ pozostawił na brzegu długie kępy ogniście czerwonych wodorostów. Ich wąskie, karbowane liście wyglądały z daleka jak mieniące się w świetle smugi krwi.

Słońce wędrowało coraz wyżej nad horyzontem. Wśród intensywnie pachnących żywicą drzew rozbrzmiewał oszałamiający świergot ptactwa i skrzypienie cykad. Dragici, którzy z początku często pokrzykiwali na siebie nawzajem, posuwali się teraz w milczeniu, znużeni nasilającym się gorącem.

– Tam! Jest! – wykrzyknął nagle Gwinto, odrywając od oka lunetę. Nim ktokolwiek zdążył go o coś spytać, puścił się pędem w dół klifu, zjeżdżając po kamieniach na ugiętych nisko nogach i na plecach, ryzykując karkołomny upadek. Wylądował na piachu, podpierając się rękoma i popędził wzdłuż plaży. Pozostali ruszyli w ślad za nim. Teraz też dostrzegli majaczący na skraju fal, leżący w cieniu pojedynczej skały kształt, ku któremu schodziły się kolumny krabów.

*

Zbocze stawało się strome. Trzy postaci pięły się między wapiennymi ostańcami opasanymi przez pnącza. Za załomem górującego nad okolicą wzgórza owiał ich słony wiatr i ukazał się niesamowity widok. W dole błękitniała wąska zatoka wcinająca się w łąd na kształt fiordu i skutecznie zagradzająca im drogę. Schodzące ku niej, połyskujące w słońcu skały odbijały echo fal.

Arionowi ten widok zmroził serce. Nerwowo zmiął w rękę mapę, zanim wyrwała mu ją pajęcza dłoń Nogusa Perisa.

– Co teraz?!... Przejścia... nie ma! Oszukałeś mnie! Parszywy kłamco! Mówiłeś, że

trzeba iść tędy!

Peris z całej siły zdzielił chłopaka w twarz porwaną z ziemi żerdzią. Arion upadł i przeturlał się ku krawędzi skalnej półki, do której doprowadził ich po bezsensownym marszu, będącym grą na czas. Wór z kryształami, który chłopak niósł na plecach, również runął i kilka świecących kamieni niespodziewanie wysypało się i poturlało po skale.

Nogus Peris wydał okropny krzyk i rzucił się ku klejnotom.

– Zostaw go! – zawołała rozpaczliwie Lumina. Sądząc, że ich oprawca chce dopaść Ariona, dziewczynka skoczyła na plecy pochylającej się postaci. Czarny cień wściekle wygiął się w tył, strącił ją z furją i cisnął o skalną ścianę, jakby była szmacianą lalką. Złapał ją jedną ręką za szyję i z nieprawdopodobną siłą uniósł w górę. Wiotkie ciało Luminy naprężyło się, palce stóp ledwie muskały podłoże.

– Będziesz moja! – syknął Nogus Peris, zaglądając z lubością w jej przerażone oczy, nachylając się ku jej dławiącym się ustom. – Oboje zapłacicie za grzechy waszych ojców!

– Puść ją! – wrzasnął zza jego pleców Arion. – Albo twoje kryształy wylądują w morzu!

Chłopak stanął na krawędzi skał, trzymając rozsypłany toból i wymachując nim nad przepaścią fiordu. Mag odwrócił się. Z jego rozcapierzonej dłoni wystrzelił jak długi piorun promień mocy. Uderzył Ariona prosto w serce i wypchnął z jego płuc powietrze. Niespodziewanie czar natrafił jednak na świetlny kryształ, który chłopak nosił w mieszku na szyi. Wiązka odbiła się jak promień światła w momencie, gdy Arion przewracał się w bok.

Duszący dziewczynkę ucisk ustąpił. Opadając na ziemię, Lumina zobaczyła, jak uderzenie mocy strąca w tył czarny kaptur maga. W powietrzu migwały, skrząc się, świetlne kryształy. Tak samo jak odrzucony niewidzialnym impetem Arion, jeden po drugim znikwały po drugiej stronie skalnej półki. Z ust księżniczki wyrwał się krzyk

przenikający aż do szpiku kości.

*

Zdyszany Gwinto oparł się o pojedynczą skałę, na przemian klnąc i łapiąc oddech. Jego kompani z każdą chwilą coraz wyraźniej patrzyli na niego jak na wariata.

– To tylko gnijąca gałąź i kupa glonów! – uświadomił ich życzliwie Kotwica, kopiąc końcem buta to, o czym mówił. – Chociaż z daleka faktycznie mogło wyglądać na trupa!

Keramir skrzywił się z niesmakiem i odwrócił. Pozostali wymownie milczeli, zmęczeni i rozczarowani.

Konsternację przerwał tym razem okrzyk czarodzieja, który wyciągnął prędko rękę.

– Tam! Patrzcie!

Nawet bez czułego wzroku maga wszyscy zobaczyli kilka niezwyklej rozbłysków na zboczu skalnego wzgórza przed nimi. Klify ustępowały tam nieregularnym skałom, brzeg się załamywał, morze wdzierało w ląd. Gerk, nie odrywając wzroku, sięgnął po lunetę. W tym samym momencie dobiegł ich rozdzierający krzyk. Wszyscy wykonali zaklinające gesty.

Gwinto wyraźnie zobaczył dziewczynkę, a obok niej wysoką postać w czerni.

– Bogowie, to demon! – wyrwało mu się raptownie.

Przez myśl mu przeszło, że być może naprawdę oszalał. Ale obraz nie zniknął. Przez ułamek chwili bezskutecznie wypatrywał przez soczewkę Ariona.

– Musi tam być! Za mną, prędko! Nie ma chwili do stracenia!

*

Arion zdołał chwycić się grubego pnącza. Zawisł jakieś dwa metry poniżej skalnej półki. Stopy kompulsywnie drapały skałę, szukając oparcia i strącając luźne odłamki w błękitną otchłań. Czuł pulsujące ciepło kryształu na piersi, jakby z tego miejsca rozchodziły się po ciele fale energii, która dodawała mu sił. Wreszcie udało się znaleźć

punkt zaczepienia dla nóg. Chłopak piął się górę centymetr po centymetrze, zdzierając połamanymi paznokciami drobiny porostów i mchów.

Nogus Peris upadł na kolana, dławiąc się i krztusząc. Jego ręce, wyciągnięte jak ramiona pływaka, zagarniały tych kilka rozsypanych kryształów, które ocalały. Światło przeskakiwało na czarną sylwetkę z klejnotów niby iskry w palenisku, przyciągane tajemniczą siłą. Maga zaczęła otaczać niesamowita, gęstniejąca łuna. Lumina zamarła, ujrzawszy jego oblicze.

Tylko oczy, przypominające dwa diamenty, nie były dotknięte rozkładem. Pofałdowana, pobrużdżona skóra miała zielonkawy odcień morskich glonów i taką samą, śliską konsystencję. Skurczone usta odsłaniały czarne dziąsła. Zapadnięte policzki ukazywały masywną szczękę, po której sączyła się pienista ślina. Długie włosy czarodzieja stały się białe jak śnieg i zmieniły w zbite, ciężkie kołtuny. Poruszył nimi wiatr, gdy Peris podniósł się z klęczek. Każdy jego ruch krzesał w powietrzu iskry. Z bezkształtnej jamy ust wyrwał się szaleńczy, chrapliwy śmiech. Kryształowe ślepie padły na Luminę jak oczy węża.

– Jeśli nie mogę mieć maski Althirry, wezmę ciebie! Razem... będziemy panować przez całą wieczność! Przekonasz się... Pokonałem śmierć!

Nogus Peris wyciągnął opalizującą od mocy rękę w jej stronę. Jak pomruk burzy wybrzmiało chrapliwe zaklęcie. Wszystko wokół przeniknął rozbłysk magii. Zaklęcie zmieniło się w okropny krzyk. Głos zawibrował w przestrzeni jak przeciągły skrzek rannego smoka.

– Prędszej! – wrzasnął wstrząśnięty Gwinto. Przedzierał się przez chaszczę, które czepiały się ubrań i kaleczyły skórę. Dobył broni.

Kiedy zziązani dragici wpadli za nim na skalną półkę, pomimo mieczy w garściach cofnęli się przerażeni.

Straszliwa postać w czarnej, rozchełstanej szacie chwiała się jak wahadło, kurczowo przyciskając ręce do swojej szyi. Ciężki łańcuch z aratrańskiej stali zaciskał się wokół

niej. Pulsował i wił się jak żywa istota, jak srebrny wąż o ciężkim, segmentowym cielsku.

Włosy zjeżyły się na głowie Keramira. Cała krew odpłynęła z jego twarzy. Natychmiast przypomniał sobie o brakujących ogniwach jego łańcucha. Sekretna groźba Lyelyebana. Tego, kto próbowałby zgromadzić zbyt wiele mocy, czeka śmierć!

Słysząc było gruchot kruszonych kości, lecz opleciony metalem cień walczył nadal. Z łańcucha wystrzeliwały rozbłyśki światła. Czarna sylwetka wygięła się pod wpływem ucisku jak elektryczny węgorz. Kryształowe oczy wychodziły z orbit. Nogus Peris upadł na ziemię. Jego konwulsje zdawały się przenikać skały. Drobne kamyczki u stóp dragitów brzęczały niczym rój rozdrażnionych os. W tym momencie stopa pnącego się ku półce Ariona omsknęła się i chłopak zsunął się gwałtownie w dół, wydając okrzyk strachu.

– Arionie! – wrzasnął na to Gwinto, bezskutecznie rozglądając się wokoło.

Zaklinacz pogody mocno przytrzymał go za ramię, nie pozwalając zbliżyć się do Nogusa Perisa.

Po niemożliwie długiej agonii kryształowe ślepie zaczęły zachodzić czernią. Ciało w kilka chwil zmieniło się rozmiękłą, ciemną masę, w której z trudem można było rozpoznać kształt człowieka. Ogniwa wijącego się nadal łańcucha dzwoniły o siebie jak szczękające zęby, pożerające to, co zostało z dawnego królewskiego inkwizytora. Zmieniły się w zakrzywione, stalowe kły pełzające po ziemi niczym szarańcza.

– Arionie! – krzyknął na wiatr śmiertelnie blady Gwinto.

– Arionie! – dołączył się do niego chrapliwie Egrit.

Keramir zostawił ich i przykląkł przed skuloną pod skalną ścianą księżniczką. Na jej widok w oczach maga pojawiły się łzy. Coś ścisnęło go w gardle. Coś, czego nie czuł od lat.

– Pani... Wasza wysokość... – rzekł łagodnie, wyciągając rękę do zaciskającej powieki, zwiniętej w kłębek dziewczynki w podartej, zakurzonej sukni. Na jej szyi

widać było sine ślady.

Czarodziej przysunął się bliżej. Jeszcze trochę. Wreszcie otulił ją ramionami i podniósł z ziemi. Lumina kurczowo zarzuciła mu ręce na szyję i wybuchła niepohamowanym płaczem.

– Jestem tutaj! – rozległ się z dołu zdławiony, zniekształcony echem głos Ariona. – Co z Lumina?!

– Wytrzymaj! Zaraz rzucimy ci linę!

Dragici zbliżyli się do krawędzi skały, lecz opadająca do fiordu ściana była zbyt stroma, by mogli cokolwiek dostrzec.

– Ze mną wszystko dobrze! Znalazłem jaskinię! Lepiej tu zejździe! Musicie to zobaczyć! Jest tutaj napis!

Spojrzelili po sobie zdumieni.

– Dobrze! Zaraz do ciebie zejdziemy! – odkrzyknął Gwinto.

Już po kilku chwilach opuszczał się na linie centymetr po centymetrze. Adrenalina nadal pulsowała mu w żyłach, szum wiatru i fal u stóp wzniesienia przetaczał się wokoło.

– Jeszcze niżej! – zawołał, zadzierając głowę, a kompani popuścili więcej liny.

Zjechał ku dużej, półkolistej jaskini częściowo przysłoniętej pnączami. Grota pojawiła się przed nim jak brama w skale. Wyleciało z niej z furkotem kilka małych nietoperzy. Gerk zasłonił twarz ręką. Przemknęły przy jego uchu. Ostrożnie wylądował w zagłębieniu przypominającym długi tunel. Jednym ruchem odwiązał opasającą go linę.

Naprzeciw niego w wilgotnym półmroku stał Arion.

Przez jedną, krótką chwilę zmierzyli się wzrokiem. Niebieskoocy, szczupli, mocno opaleni. Młodzieńcza twarz była posiniaczona, ręce podrapane, paznokcie pozdzierane do krwi. Nagły podmuch wiatru strącił z głowy kapitana nieopatrznie zabrany kapelusz, który poszybował na tle fal. Gwinto podszedł w ciemność nienaturalnie

chwiejnym krokiem, czepiając się skał, jakby chodził po okręcie w czasie sztormu. Nic nie mówił. Nie był w stanie się odezwać. Po prostu wyciągnął ramiona i nie pytając o nic, krzepko przycisnął chłopaka do piersi. Tak mocno, że nieomal go przydusił.

Wuj i siostrzeniec padli sobie w objęcia. W kącikach dwóch par zaciśniętych powiek wezbrały gorące łzy.

– Wiedziałem, że się zjawisz! – zaszlochał Arion, wtulając twarz w pierś kapitana. Echo powtarzało jego słowa. – Wybacz mi, wuju!

– Wybaczyc? – Gwinto z trudem dobył głos przez ściśnięte gardło i wykrzywione w dół usta. – Nie ma czego. To ja w ciebie zwątpiłem. Tak bardzo żałuję, Arionie. Gdybyś wiedział, jak żałuję wszystkiego, co się stało. Przysięgam na wszystko, że chciałbym cofnąć czas. Nigdy nie powinienem był w ciebie wątpić!

– Ani ja w ciebie! Ani ja w ciebie, wuju! To... co się stało... to nie była twoja wina!

Gerk przyciskał szorstką dłoń do jego karku, przesunął nią po jego plecach.

– Ani twoja! Ani twoja, mój chłopcze!

Krople skapywały ze stropu jaskini, w dole niebieskie fale biły o skalne brzegi, a oni trwali w długim, bolesnym uścisku, który leczył dwie rozdarte dusze.

*

Egrit jako ostatni z grupy zjechał na linie do jaskini. Kotwica i Keramir zostali na górze z księżniczką. Dobrych kilkanaście metrów pod ich stopami wszyscy wpatrywali się w napis wyryty u wylotu skalnego tunelu i prowadzili chaotyczną rozmowę. Gdy stary szyper odczytał runy, krew mocno zatętniła mu w żyłach.

ALTHIRRA.

– Arionie, gdzie jest moja mapa? – zapytał łagodnie otoczonego kompanami młodzieńca.

Oczy chłopaka zaokrągliły się lekko, uśmiech znikł z jego twarzy. Mapa? Mapa! Przez chwilę całkiem o niej zapomniał! Mapa, która była tak cenna dla starego Egrita!

– Inkwizytor zabrał mi ją, zanim spadłem! – odpowiedział zgnębionym głosem.

– Inkwizytor? – powtórzyli jego towarzysze, wspominając to coś, co wzięli za demona.

– Tak. Był magiem w służbie króla Skyerlora. Dzięki czarom ukrywał się na statku. To on... spalił dom moich rodziców. To jego musieli zobaczyć Kotwica, Salek i inni. Nigdy nie było na okręcie żadnej zjawy. Tylko on...

Ściszone głosem Arion znów streścił ostatnie wydarzenia, gdyż wśród powitań, targania go po włosach, przyjacielskich szturchańców i przerywanego opowiadania nie wszyscy chyba je należycie pojęli. Chłopak był pewien, że to nie ostatni raz, kiedy będzie musiał powtarzać tę opowieść wciąż od nowa. Musiał cofnąć się na moment do nocy pożaru. Nie miał wątpliwości, kim był porywacz jego i księżniczki. Jedyne, czego chyba nigdy się nie dowiedzą, to w jaki mag znalazł się na statku. Dragici woleli tego nie roztrząsać. Niejeden z nich pomyślał o śmierci Piskorza. W tym momencie wszyscy szczerze nienawidzili prawdziwej magii i świetlnych kryształów

– Tak więc... – zakończył chłopak ponurym tonem – ...mapa chyba przepadła.

– Ja mam nadal moją połowę – rzekł Gwinto. – Według legendy skarb ukryto pod ziemią, prawda? Arion odkrył przypadkiem tę jaskinię i tutaj jest wyryte imię Althirry. Być może mapa nie jest już nam potrzebna.

– Racja!

– Musimy sprawdzić tunel!

– Tam, gdzie przy morzu wiele skarp, ukryto niegdyś wielki skarb! – zacytował zagadkową rymowanąkę Egrit i zacisnął pięść. – Nie ma na co czekać!

Z pomocą krzesiwa zapalili zabrane z góry pochodnie. Płomienie zatańczyły jeden po drugim na owiniętych szmatami głowniach. Ruszyli w głąb tunelu.

Ociekające wilgocią, długie kły stalaktytów zapalały się i gasły nad ich głowami niby lodowe sople. Pojedyncze nietoperze z piskiem odrywały się od ścian i mknęły przed siebie z szaleńczym trzepotem.

Gdy światło wyjścia za ich plecami znikło za zakrętem, czas jakby nagle przestał płynąć. Ciemność i chłodna cisza, w której echo powtarzało ludzkie oddechy i kroki, napawały dziwnym niepokojem. Na co dzień otaczała ich bezkresna przestrzeń oceanu i nienapotykalający żadnych przeszkód wiatr. Poczuli się osaczeni murami spotniałych skał, gdzie można iść ciągle tylko w jednym kierunku.

– Czuję się, jakbym nurkował w beczce, która nie ma dna!

– Nie przypominaj mi o beczkach, dobra? Ani o niczym, co ma związek z piciem!

Od ostatniego razu nadal pęka mi głowa!

– Coraz mniej mi się to podoba. Nogi wchodzą mi w tyłek! Mam wrażenie, że zaraz przejdziemy na drugą stronę wyspy.

– Możecie się przymknąć? Przez to echo szumi mi w uszach.

– Szumi ci morze, jak wewnątrz pustej muszli.

– Czy ty właśnie przyrównałeś mnie do mięczaka?

– Słuchajcie, raczej nie ma tu smoków, prawda?

– Nie depcz mi po nogach!

– Co?!

Nagle wszyscy stanęli jak wryci. Mocniejszy powiew załopotał pochodniami. Przekomarzania urwały się. Oddechy zamarły. Kroki ucichły.

Ktoś stał w mroku przed nimi. Jakaś postać o chłodnych, szklistych oczach. Jej szaty rozmywały się w ciemności. Na wspomnienie uduszonego łańcuchem maga żołądki mężczyzn stanęły dęba.

– Stać – wychrypiął z trudem Gwinto Gerk.

Kogo tyczy się ten nakaz? Tego kogoś w głębi tunelu czy ich wszystkich? Gra mroku i światła pochodni, wszechobecne echo oraz lodowate tchnienie przeciągu hipnotyzowały zmysły, paraliżowały zdrowy rozsądek. Odwaga topniała. Umysłami wstrząsała myśl o widmie, które jednak istniało naprawdę. Podążyło za nimi nawet na ląd, żeby nadal ścigać kapitana.

Egrit uniósł wysoko pochodnię i zakławszy straszliwie, ruszył w stronę ducha. Arion, nie wiedząc czemu, podążył za nim. Czuł się moralnie odpowiedzialny wobec starego żeglarza, który powierzył mu bezcenną mapę w dobrej wierze i ją utracił. Chłopak odsunął strach. Widmo nie mogło istnieć. To niemożliwe! Ich jest wielu, a tamten człowiek tylko jeden.

Pod stopami rozległ się plusk płytkiej wody, a dookoła jej kaskadowy szmer, jakby mnóstwo strumyczków sączyło się po skale. Ariona owionął lekki podmuch. Ściany jaskini po obu stronach zniknęły w ciemności, wokół otworzyła się nieodgadła przestrzeń. Światło pochodni Egrita padało coraz dalej, gnąc się i migocząc. Wpatrzone w nich z mroku oczu nieznanym postaci zdawały się rosnąć i rozpalać pod jego wpływem. Lustrowały ich bez jednego mrugnięcia, jak ślepia wielkiego kota.

Egrit niespodziewanie cisnął pochodnię. Arion natychmiast rozpoznał ramię wprawnego harpunnika. Ogień przygasł, po czym buchnął w górę, odsłaniając na ułamek chwili skryte dotąd rysy przeciwnika.

Ten jeden moment wystarczył. Cudownie wysklepione policzki postaci miały barwę słonecznego złota i soczyście niebieskiego lazurytu. Pełne usta oraz drobny nos były zachwycająca ludzkie. Para błękitnych kryształów w miejscu oczu zdawała się przechowywać iskrę życia. Czoło otaczał wieniec szlachetnych kamieni, przypominających pyszny pawi ogon: zielone szmaragdy, czarne perły i płomieniste rubiny skrzyły się niby tęcza na jej skroniach.

Egrit w milczeniu przycisnął ręce do piersi i schylił głowę, szepcząc coś niezrozumiale. Arion nie mógł się ruszyć. Nogi wrosły mu w ziemię. Pozostali zbliżyli się z fascynacją, nie do końca wierząc w to, co zobaczyli. Ich pochodnie napełniły blaskiem rozległą podziemną komorę. Cieniutkie jak sznury pereł wodospady spadały ze ścian, niewidoczny świetlik wpuszczał z zewnątrz odrobinę słońca, które padało dokładnie na oczy Althirry. Jej maska zawieszona była na szczycie wilgotnego menhiru pełnego ostrokształtnych run. Resztki zbutwiałego drewna i metalowej obręczy u jego

podstawy mogły być szczątkami legendarnej tarczy.

– Nie do wiary! To naprawdę maska Althirry!

*

Gorączkowej radości nie było końca. Dragici ponieśli na ramionach najpierw Egrita, później Ariona, a na końcu Gwinta Gerka. Aż do zmęczenia podrzucali ich do góry. Odtńczyli wokół menhiru szalony taniec, płosząc chyba wszystkie nietoperze, jakie tylko zamieszkiwały jaskinię. Wreszcie Egrit zdjął ze skały bezcenny skarb, lekko dygocąc z ekscytacji i wzruszenia. Z pełną namaszczenia miną złożył go w ręce kapitana. Chyba nikt nie widział jeszcze starego szypra równie mocno poruszonego. Nieszczęścia, sztormy i przeciwności nie robiły na nim nigdy takiego wrażenia, jakie uczynił moment wewnętrzznego triumfu.

Raźnym krokiem maszerowali do wyjścia, ponawiając radosne przyśpiewki, przeplatane pełnymi ekscytacji rozmowami i okrzykami szczęścia.

– W chwili gdy kapitan sprowadził Ariona, miałem przeczucie, że ten chłopak przyniesie nam szczęście!

– Nigdy nie wątpiłem w Egrita! Ani w żadną z jego opowieści! Czyż każda chwila, którą przeżywamy, nie jest w istocie legendą?

– Arionie, ty szczęściarzu, znalazłeś tę jaskinię!

– Egrit wiedział, że kiedyś znajdziemy ten skarb, obojętnie, co by się nie działo!

– Wiecie? To dużo lepsze od walki ze smokami i rabowania kryształów! Może czas już pomyśleć o sobie? Teraz wszyscy będziemy bogaci!

Od dawna ich serca nie były aż tak lekkie i beztroskie. Gdy światło wyjścia błysnęło wreszcie za kolejnym zakrętem i usłyszeli odległy szum morza, Arion miał wrażenie, że to cudowne słońce rozbłysło zza chmur po długiej burzy. Mimo zmęczenia, siniaków i skaleczeń czuł, że jest w stanie przenosić góry. Na myśl, że lada chwila zobaczy księżniczkę, poczuł ogarniającą go ogromną radość.

Jeden po drugim dragici wspinali się z powrotem na skalną półkę, pokrzykując wesoło do Kotwicy i Keramira, którzy od góry zabezpieczali liny. Arion, Gwinto i Egrit zostali w grocie jako ostatni.

– Ruszaj pierwszy, stary druhu! – rzekł Gwinto, klepnąwszy przyjacielsko starca. – Ja poczekam jeszcze z moim siostrzeńcem. – Położył dłoń na ramieniu Ariona.

– Jak wolisz, przyjacielu – odparł Egrit. Ruszył do wyjścia, gdzie na wietrze kołysała się czekająca na nich lina. Przystanął, odwrócił się w półobrocie. – Choć powinienem raczej powiedzieć: żegnaj!

Świsnęło. Gerk zachwiał się, krzyknąwszy cicho. Zrobił trzy kroki w tył, oparł się plecami o skalną ścianę i przyłożył dłoń do piersi. Prędko wykwitła na niej szkarłatna plama. Wyciągała macki coraz dalej, niby rosnąca, purpurowa ośmiornica. Gwinto osunął się, łapiąc głośno powietrze. Bładość pokryła jego skórę.

Arionowi zdało się, że śni.

– Wuju!

Świszczało mu w uszach, oczy zaszyły mgłą. Gdy dotknął ciała Gwinta, natychmiast poczuł na dłoniach lepkie ciepło krwi. Kościana rękojeść stercząca z torsu mężczyzny była nią umazana. Spod opadających powiek Gerka błysnęły krótko białka jego oczu.

– Dlaczego? – spytał ze zgrozą chłopak. Dygocąc, odwrócił się prędko do Egrita.

Starzec czaił się na tle wyjścia na ugiętych nisko nogach, z szeroko rozłożonymi rękoma, z których lewa trzymała nóż. Wpadający z tyłu wiatr rozwiewał siwe włosy i brodę, tarmosił czarny fular na żylastej szyi. Pobrużdżona twarz przypominała spękaną, brunatną skałę, na której tle odcinało się zbiegające oko.

– Kapitan może być tylko jeden! – wychrypiał. – Zbyt długo tkwiłem w cieniu tego człowieka! Ja, który kiedyś miałem wszystko! Teraz nareszcie mogę to odzyskać!

– Jesteś zdrajcą!

– Czyżby?! – Krzaczaste brwi zmarszczyły się raptownie. – Jesteśmy na lądzie, a tutaj obowiązują inne prawa. Nie mam już mojej połowy mapy. Przysięga, którą

złożyłem Gwintowi, jest nieważna. Wszystko dzięki tobie, nie rozumiesz? Byłem pewien, że on po ciebie wróci. Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałem tu przyplłynąć. Przyznasz chyba, że maska Althirry należy się mnie.

Rozgorączkowany umysł Ariona pracował na najwyższych obrotach. To przecież Egrit był z nim w ładowni, kiedy znalazł guzik Warrasa! Czy to on podrzucił również jego nóż? Czy Egrit wiedział, że na statku ukrywał się inkwizytor? Tak! W końcu kiedyś sam był magiem! Dał Arionowi swoją połowę mapy, bo liczył, że siostrzeniec namówi Gerka do pożegłowania na Antalarię!

– Zacząłem wątpić, czy dasz mu tę mapę. Trzeba było przyspieszyć bieg spraw! – warknął starzec, jakby kończąc jego myśli.

Chłopak nie wierzył własnym uszom. Ramiona pokryły mu się gęsią skórką.

– Byłeś w zмовie z inkwizytorem! – wykrztusił zdruzgotany.

– Mylisz się! Każdy z nas czekał tylko na właściwy moment, żeby zrealizować swoje cele!

– Wykorzystałeś moje zaufanie!

– Na morzu nie ma miejsca na sentymenty, chłopcze. Przykro mi. Twój wuj o tym zapomniał.

– Byłeś przecież przyjacielem. Pomóż mi go uratować! Zastanów się!

– Naprawdę mi przykro, lecz jestem za stary, żeby się teraz wahać! Nie po to dotarłem tak daleko! Zwycięzcy uderzają z zaskoczenia!

Arion nie czuł strachu, jedynie ból i gniew. Chwycił za miecz uczepony pasa Gwinta i jednym ruchem wyciągnął go z pochwy.

Na widok błyszczącej klingi Egrit uśmiechnął się zimno.

– Jesteś chłopcem, ale przynajmniej zginiesz jak mężczyzna. Niestety inni dowiedzą się tylko, że zabiłem cię, próbując bronić kapitana przed jego zdradzieckim, żądnym zemsty siostrzeńcem.

Szyper zrobił krok do przodu, nie wyciągnął jednak miecza. Arion zrozumiał, że

starzec zechce raczej rzucić w niego nożem i jednym, morderczym ruchem zakończy pojedynek. Stał na ugiętych nisko nogach między nim a wykrwawiającym się Gwintem, czekając na chwilę, w której uderzy śmierć.

Nagle Egrit potknął się i poleciał do przodu na kamienne podłoże. Zdołał podeprzeć się ręką i niemal natychmiast, z niewiarygodną jak na swój wiek zręcznością, odskoczył w bok.

Za nim jak spod ziemi wyrosła Aliya. Oderwała się od rozhuśtanej liny, wpadła do pieczary niczym atakująca kotka. Prostując się, stary żeglarz cisnął w nią nożem, lecz źle wymierzył. Dziewczyna zdołała się uchylić, ostrze ledwie drasnęło jej policzek. Zadrapanie zabarwiło się od krwi. Dwoje dragitów jednocześnie dobyło mieczy. U wylotu jaskini, nad przepaścią, runęli na siebie jak lawina.

Ich ścigające się klingi przypominały dwie zapętlone błyskawice. Szczęk i zgrzytanie stali poniosły się echem w głąb tunelu, zwielokrotnione i obce, jakby w ciemności walczyła ze sobą cała armia bezcielesnych duchów. Z opadającej części sklepienia runęło kilka ściętych stalaktytów, skoszonych w ferworze walki przy wymachu miecza.

Arion zrozumiał, że nie ma szans interweniować w tym starciu. Wśród metalicznego grzechotania i błyskania brzeszczotów przykląkł przy swoim wuju, podczas gdy para przeciwników tuż obok walczyła na śmierć i życie.

Dla niego jednak wszystko wokół zniknęło. Wydarł z koszuli długi pas materiału i zwinąwszy go ciasno, zaczął mocno uciskać w miejscu, gdzie ostrze tkwiło głęboko w piersi Gerka. Opatrunek zaczął przesiąkać, Arion zrzucił koszulę, złożył ją prędko i docisnął do torsu wuja.

– Nie umieraj!

Twarz Gwinta była popielata, powieki przykrywały znieruchomiłe oczy. Arion nachylał się kurczowo nad jego rozchylonymi ustami, nasłuchując oddechu, który zmienił się w chrapliwy, płytki szmer. Życie uchodziło z mężczyzny z każdą sekundą.

– Nie umieraj! – Zdał sobie sprawę, że nic już nie może zrobić. Jedną ręką wciąż

przytrzymał prowizoryczny opatrunek, drugą ścisnął omdlałą, szorstką dłoń kapitana. – Tyle rzeczy miałem ci powiedzieć! – wykrztusił chłopak przez ściśnięte gardło, podczas gdy dookoła wibrował wściekły chrzęst aratrańskiej stali, a także przekleństwa i urwane okrzyki. – O moim ojcu! Byłeś jego przyjacielem! Nie nienawidził cię! Spójrz, dał mi nawet twój kryształ! – Arion z desperacją wyciągnął z mieszka na piersi jeden z kamieni. Drugi zostawił na statku.

W tym samym momencie za plecami usłyszał głuchoe plaśnięcie. Ciężki odgłos ludzkiego ciała uderzającego o skały. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że oprócz Aliyi w jaskini zjawił się również Warras.

Warras?!

Arion zobaczył, jak mężczyzna zatapia miecz w brzuchu Egrita. Starzec z gardłowym jękiem runął na dno jaskini. Jego twarz znalazła się tuż obok. Z kącika ust na siwą brodę chlusnęła krew. Biała zaślepka gdzieś zniknęła i w chłopcu utkwiała para błyszczących oczu: jedno było stalowoszare jak wzburzone morze, drugie srebrzyste jak najczystszy kryształ. Źrenice powędrowały w kierunku świetlnego kamienia, po czym zgasły jak zdmuchnięte świece.

– Sprowadź tu Keramira! – zawołał Arion do Warrasa.

Aliya uklękła przy nieprzytomnym Gwincie. Jej dłoń niepewnie dotknęła policzka mężczyzny.

– To na nic! Mag utracił swój łańcuch! – wyszeptała ze świstem. Jej zachodzące łzami, ciemnobrązowe oczy padły na świetlny kryształ w dłoni Ariona, który rozpałał się łagodnym blaskiem. – Ty możesz go uleczyć! – wyszeptała z przejęciem, raptownie łapiąc chłopaka za przegub.

Spojrzał na nią zdumiony.

– Nie potrafię...

– Na statku pomagałeś medykowi.

– Tak, ale to przecież co innego.

– Masz kryształ! W nim jest moc! Zaklinacz tak uzdrowił Warrasa! – Nie dawała za wygraną, wyrzucając z siebie słowa.

– Ale ja nie mam takiego daru!

Palce dziewczyny zacisnęły się aż do granicy bólu.

– To go w sobie znajdź! – rzuciła ostro, podczas gdy łzy płynęły po jej policzkach, znacząc ślad w warstewce kurzu i krwi ze skaleczenia. – Proszę, Arionie. Wiem, że twój ojciec był uzdrowicielem, że posiadał w sobie iskrę magii. Musiałeś widzieć, jak uzdrawiał chorych. Po prostu spróbuj! Zaraz będzie za późno!

Podczas gdy mówiła, ściskając przegub dłoni, w której chłopak trzymał świetlny kamień, ten zaczął błyszczeć coraz jaśniej i jaśniej. Pulsował niczym błękitna meduza.

– Nie puszczaj mnie! – wyszeptał Arion, marszcząc brwi.

Jego palce zaczęło przenikać niesamowite ciepło połączone z lekkim mrowieniem. Przed oczyma przemknęła mu chwila, gdy pierwszy raz miał w ręku prawdziwy kryształ, w wieczór pożaru, kiedy otworzył szkatułę ojca. Czuł to samo ciepło, ten sam zagadkowy żar. Spróbował delikatnie ruszyć ostrze tkwiące w piersi Gwinta. Zorientował się, że kiedy przykładał kamień do rany, krew przestawała płynąć. Zmrużył powieki, koncentrując się na źródle światła, i powoli wyciągnął sztylet. Aliya również nie odrywała wzroku od klejnotu. Ciemność jaskini pogłębiła się, zarysy skał zniknęły. Został tylko dogorywający kapitan i skrzący się jak niebieski fajerwerk kryształ, wystrzeliwujący w przestrzeń chłodne iskry, które zlatywały na pierś rannego i oświetlały jego bladą twarz. Żyłki światła wiły się między przejrzystymi ściankami na kształt tajemniczych liter, układających się we wciąż zmieniające się napisy, które być może nie miały żadnego sensu.

Proszę... Proszę, uratuj go... – Arion zwrócił się w myślach do ducha ojca. *Jeśli prawdziwa magia istnieje, to przecież właśnie po to!*

Ciepło jakby przeszyło go mocniej.

Nagle wszystko zniknęło. Zapadła głucha ciemność.

Kryształ zgasł.

Po chwili chłodnym echem poniosło się między skałami łkanie Aliyi. Dragitka przysunęła się i ciężko oparła czoło o ramię Ariona. Jej mokra od łez twarz skryła się za kaskadą czarnych włosów i chłopiec poczuł, jakby został w mroku sam. Był jak sparalizowany. Przygnieciony niewidzialnym ciężarem, który rozgniółł mu serce. Wstrzymywał oddech. Nie chciał pogodzić się z tym, co się stało. Przygryzł usta, dusząc w sobie rozdzierającą gardło falę goryczy. Wybuchła wreszcie w pełen żalości, przeciągły krzyk.

Czy mógł temu zapobiec? Może gdyby baczniej przysłuchiwał się historiom o widmie na statku, coś wzbudziłoby jego czujność? Może gdyby mniej ufnie traktował Egrita, sprawy wyglądałyby inaczej? Ale starzec od pierwszych chwil zaskarbił sobie jego przyjaźń. Arion chciał wierzyć, że częściowo była prawdziwa. Skoro nawet Gerk nie przewidział zdrady, to jakże on mógłby to zrobić? Dwaj mężczyźni, którzy niegdyś zawarli pakt i podzielili między sobą starą mapę, leżeli teraz martwi na dnie jaskini. Zginęli gwałtowną śmiercią ludzi morza, mimo że stało się to poza okrętem. Jakby po latach dopadła ich klątwa z Wyspy Przeklętych. Chłopaka palił dotkliwy ból po każdym z nich, chociaż w całkiem odmienny sposób. Jego świat nigdy już nie będzie taki sam.

Od strony wejścia dobiegały głosy dragitów. Mężczyźni spuścili z góry więcej lin. Warras wyjaśnił wszystkim, co się stało. Teraz stanęli jak wryci. Nad ciałami Gwinta i Egrita zaświeciły się żółte pochodnie.

Ściszonymi głosami zdecydowano, że obu ich pochowają na plaży i tam też rozpalą stos pogrzebowy. Trzeba wydostać stąd ciała. Kotwica ujął pod ramiona Gwinta, żeby przenieść go bliżej wyjścia. Wówczas rozległo się ciche westchnienie.

Pokrwawiona, zmięta koszula Ariona zsunęła się z piersi mężczyzny. Pod nią, w miejscu rany, tliło się ruchliwe światło. Wszyscy wstrzymali oddech. Powieki Gwinta Gerka zadrgały i wolno się uniosły. Światło odbijało się w tęczęwkach. Usta kapitana

się poruszyły, a dradzi obskoczyli go ze wszystkich stron.

– Słyszeliście to?

– Bogowie!

– Co on powiedział?

– Wody! Dajcie mu wody!

30.

Nadmorski piasek pod stopami był jasny i aksamitny jak biały puch. Nadal lekko rozgrzany ciepłem letniego dnia, powoli stygnął, w miarę jak słońce chyliło się ku zachodowi. Lumina przechadzała się po nim z rozkoszą, ubrana w prostą suknię z czystego płótna. Lekka bryza we włosach, zapach kwiatów lata, złociste światło i żywiczny dym z ogniska na plaży pieściły jej zmysły.

Zbierała tu i tam płaskie kamyki. Wyszukiwała takie o ściętej powierzchni. Znalazłszy ich już sporo, podbiegła do Ariona, który również zgromadził mały stosik.

– Chcesz spróbować pierwsza? – spytał chłopak.

– Nie. – Pokręciła głową. – Po tobie. Pokaż mi jeszcze raz.

Arion podrzucił w dłoni płaski kamyk. Wychylił się, wziął lekki zamach i posłał go na łagodne fale. Razem obserwowali, jak odbija się od tafli.

– Jedenaście razy!

– Nieźle, prawda? – Chłopak uśmiechnął się. – Teraz ty.

Pierwszy kamyk Luminy natychmiast zatonął. Kolejny też.

– Spróbuj rzucać bardziej płasko.

Podwójne odbicie zostawiło kręgi na wodzie. Lumina uśmiechnęła się. Puszczali kaczki na zmianę i komentowali swoje rzuty.

– Moje nigdy nie podskakują tak długo jak twoje. Jak to robisz?

– Nauczę cię. Weź kamyk.

Arion stanął za nią i objął jej dłoń. Otoczyło ją niesamowite ciepło. Cichutko przełknęła ślinę.

– Pokieruję twoją ręką. Trzeba rzucać płasko. Jakbyś chciała, żeby ślizgał się po powierzchni. Liczy się ruch nadgarstka.

Razem zrobili zamach. Ich ruch był idealnie skoordynowany. Pocisk pomknął jak strzała i odbijał się długą serią susów. Spoglądali na jego rozmywający się ślad na wodzie, ku której zaczynało chylić się zarumienione słońce. Dopiero po chwili chłopak puścił jej rękę.

– Arionie! – Od strony szafasu na plaży dobiegł głos Kotwicy. Dragici rozpalali na piasku ognisko i szykowali się na wieczorny posiłek. – Czy możecie sprawdzić pułapki na kraby?

– Jasne! Już idziemy! – odkrzyknął chłopak.

Kotwica uśmiechnął się i pokiwał mu ręką. Krzątał się przez chwilę tu i tam, wreszcie wszedł po drabince do obszernego, drewnianego szafasu o dachu krytym grubymi liśćmi, gdzie na posłaniu wyścielanym wydmową trawą spoczywał przykryty pledem Gwinto Gerk.

– Wygląda na to, że Arion zabujał się w księżniczce! – wypalił Kotwica z właściwym sobie wyczuciem chwili, przykładając rozżarzony patyczek do fajki i podając ją do rąk kapitana. Medyk stanowczo sprzeciwiał się paleniu, toteż kucharz przynosił ją rzadko, szczególnie wówczas, gdy widział, że bezczynność zaczyna źle wpływać na energicznego zwykle Gwinta.

Gerk zaciągnął się wolno aromatycznym dymem. Spod rozchełstanej koszuli wystawał opatrunek.

– Naprawdę?

– Jak mamę kocham. – Kotwica zrobił zmartwioną minę. – Chyba powinieneś z nim pogadać.

– Dlaczego? Czy coś jest nie tak?

– No... nie... – zawahał się kucharz. – Kapitanie, to takie miłe dziewczątka. Uczę ją gotować, grywa nam i śpiewa. Nigdy bym nie przypuszczał, że to córka króla. Ale... no...

– Co?

– To przecież księżniczka!

– Czy przejmowałaś się tym, kiedy napadaliśmy jej statek?

– No, jasne, że nie. Ale dzieciak...

– Arion nie jest już dzieciakiem, za jakiego wszyscy go mają – wtrącił Gwinto spokojnie, z błyskiem w oczach. – I nie chciałbym, żeby w życiu kierował się jakimś narzuconym sposobem myślenia, zamiast postępować w zgodzie ze sobą. Jest taki młody. Powinien robić to, czego chce naprawdę.

– To znaczy, że to pochwalasz? – Kotwica lekko zmrużył oczy.

– Sam powiedziałeś, że ta mała jest urocza. Ja też tak uważam. Źle ją oceniliśmy. Zresztą, ona wcale nie jest córką obecnego króla, tylko poprzedniego, a według Keramira Skyerlor chciał się jej pozbyć. Na dworze muszą sądzić, że zginęła. – Gwinto przerwał na chwilę. Zbyt długie mówienie nadal sprawiało mu wysiłek.

Kotwica usłużnie podsunął mu garnuszek wody. Mężczyzna otarł usta wierzchem dłoni.

– Nie po to wierzymy w wolność i sprawiedliwość, żeby teraz mówić mojemu siostrzeńcowi, że powinien przestrzegać podziału na kasty czy też innych dogmatów królestwa – rzekł. – Zgadzasz się ze mną?

– Całkowicie, kapitanie! Ale co w takim razie zamierzasz zrobić z tą małą?

Gwinto zaciągnął się niespiesznie.

– Kiedy tylko wydobrzeję, pozeglujemy na Wolne Wyspy. Będzie miała tam dobrą opiekę. Jak podrośnie, sama zdecyduje o swoim losie. Będę musiał z nią o tym pomówić. Chociaż może lepiej poproszę o to Ariona. Tak dobrze się dogadują. – Gerk

zamyślił się. – Kto wie, być może w przyszłości to właśnie ona będzie kluczem do obalenia obecnej tyranii?

Kotwica z namysłem pokiwał głową. Obaj milczeli.

– A Arion? Co z nim będzie? – spytał kucharz cichszym głosem.

– Decyzja należy wyłącznie do niego. – Myśli Gwinta poszybowały w stronę siostrzeńca.

Arion i Lumina szli plażą zalaną jasnopomarańczowym blaskiem. Szemrzące fale muskały ich bosc stopy. Wspólna wędrówka sprawiała im radość. Milczeli, ciesząc się wzajemnie swoją obecnością. Żadne z nich nie przeżywało od dawna równie szczęśliwych i beztroskich chwil jak te letnie dni na Antalarii.

Z uwagi na stan zdrowia kapitana załoga zdecydowała zatrzymać się na parę tygodni na wyspie. W pobliżu plaży wzniesiono przestronny szałas, gdzie Gwinto mógł dochodzić do siebie pod czujnym okiem medyka oraz Aliyi. Budynek służył również za nocne schronienie, ale większość ludzi ze względu na upały sypiała na zewnątrz w hamakach. Rozwieszali je pod rozgwieżdżonym niebem, między gałęziami balsamicznych drzew. Ze statku sprowadzono znaczną część zapasów, ale nie okazały się potrzebne. Codziennie łowili tłuste, smaczne ryby, od których roiło się w tych wodach. Czasem wyprawiali się na większe sztuki, żeby nie wypaść z wprawy. Tiko i Parte pokazywali Arionowi, jak obchodzić się z harpunem, a Aliya uczyła Luminę pływać. Chwyтали kraby, zbierali jaja zielonogłowych żółwi, małże i tropikalne owoce, cudownie soczyste i słodkie w smaku. Popołudniami kąpali się w ciepłych, turkusowych wodach zatoki albo wędrowali po okolicy. Wieczory przeciągały się do późnej nocy wokół trzaskającego na tle białych piasków ogniska. Upływały szybko wśród muzyki, żartów, śmiechów i niesamowitych historii, z których jedne bawiły do łez, a inne ścinały krew w żyłach.

– Jestem taka szczęśliwa – szepnęła Lumina, wypowiadając na głos swoje myśli. – Jeszcze nigdzie nie było mi tak dobrze jak tutaj.

Arion popatrzył na nią z uśmiechem w oczach. Miał ochotę powiedzieć to samo, ale coś go powstrzymało. Przeszli jeszcze kawałek wzdłuż granicy fal, w kierunku skał, przy których zastawiali pułapki na kraby. Przystanęli na moment przed samotnym, pionowym głazem wyrastającym z piasków. Menhir zawierał tylko dwie proste runy, będące skrótem od imienia Egrit.

Chłopak podszedł bliżej i położył u jego stóp płaski kamyk, który dotąd niósł w dłoni, obracając go między palcami. Wygładzony falami kawałek skały spoczął obok kilku świeżych kwiatów, które codziennie zrywała Lumina.

Spojrzeni na siebie w ciszy i ruszyli dalej, ku skałom obmywanym przez morze. Wyciągali z wody pułapki zrobione z patyków i splecionych grubych łodyg wydmowych roślin. Były pełne krabów, które wydawały cichy klekot.

– Mogłabyś zostać piratką! – zaśmiał się Arion, obserwując, z jaką wprawą dziewczynka radzi sobie z krabami.

– Chwilami chciałabym.

– Więc zrób to.

– Nie mogę.

– Dlaczego? – zdziwił się – Spójrz tylko na Aliyę! Radzi sobie równie dobrze jak mężczyźni! Uratowała mi życie. Gdybyś tylko mogła to zobaczyć, jak dzielnie wtedy walczyła. Nie na darmo wszyscy ją podziwiają.

– Zwłaszcza twój wuj, prawda? – szepnęła Lumina. Spuściła wzrok, lekko się rumieniąc.

– Tak – przyznał Arion wesoło. – Zrozumiał, że ją kocha. Podobno po naszym zniknięciu mocno się pokłócili, ale teraz wszystko sobie wybaczyli. Wuj powiedział, że nie był wtedy sobą, że w gniewie wygadywał różne brednie. Tak czy inaczej, postanowili dać sobie szansę.

– Chyba się cieszysz?

– Tak. Oni do siebie pasują. Myślę, że nikt inny nie wytrzymałby z Gwintem –

zaśmiał się. Ostatnio świetnie dogadywał się z wujem. Od chwili kiedy sobie wybaczyli, z każdym dniem stają się sobie coraz bliżsi. – Aliya kochała go od dawna.

– Więc będziesz miał nie tylko wuja, ale też ciotkę, która jest dragitką. Jakby nową rodzinę – szepnęła dziewczynka z delikatnym uśmiechem.

Co zabiera jedna fala, inna zawsze oddaje – nieoczekiwanie przebiegło przez myśli chłopaka.

– Ty też mogłabyś z nami zostać – powiedział pod wpływem nagłego impulsu. – Postanowiłem, że zaciągnę się do załogi Gwinta. Wiem, że ty jesteś przeciwna zabijaniu smoków, ale podobno nie wszyscy członkowie bractwa pływają na statkach. Niektórzy uczą zwykłych ludzi magii. Keramir też myśli o tym, żeby do nich dołączyć. Dragici mają swoje osady na Wolnych Wyspach. Mogłabyś tam zamieszkać.

Zdumiona, spojrzała mu prosto w oczy. Jej alabastrowa skóra przybrała odcień jasnego złota. Fioletowe oczy przypominały niebo o zmierzchu.

– Wiesz, że nie mogę.

– Dlaczego? Bo jesteś księżniczką? Nie mów tylko, że to twoje przeznaczenie.

– A jeśli tak jest?

– Wyrocznia pokazała ci nasz statek, prawda? Mówiłaś, że nie możesz już wrócić do zamku. Zresztą, liczy się to, czego ty pragniesz. Możesz być, kimkolwiek zechcesz, Lumino. Musisz nauczyć się o siebie walczyć. Zrozum wreszcie, że wybór należy do ciebie!

– Zawsze uczono mnie, żeby myśleć o przyszłości. O moim przeznaczeniu. Muszę...

– Nic nie musisz – rzekł Arion poważnie. Lekko położył dłonie na jej ramionach, blisko jedwabistej szyi. – Wiesz, czego nauczyłem się od dragitów? Że należy cieszyć się każdą chwilą, każdym momentem. Czasem trzeba zapomnieć o przeszłości i o przyszłości. Zapomnij o nich, księżniczko! Liczy się tu i teraz. To jedyne, co masz.

Nachylił się i delikatnie pocałował ją w usta.

Zamrugnęła oczyma, ale nie odsunęła się. Przeszło ich na chwilę niesamowite ciepło. Gdy Arion cofnął twarz, kąciki jej warg uniosły się w uśmiechu, brzoskwiniowy rumieniec pokrył policzki. Jej oczy zaświeciły się jak dwie gwiazdy.

Porwała kilka ociekających wodą pułapek z krabami i wyminawszy chłopaka, jak spłoszona sarna ruszyła biegiem w kierunku obozowiska.

– Ścigajmy się! – zawołała.

Arion zabrał pozostałe pułapki i ruszył w ślad za nią. Keramir, który ćwiczył proste zaklęcia w cieniu drzew, obejrzał się za nimi.

Biegli przed siebie na tle zachodzącego słońca, smagani ciepłym wiatrem, jakby ścigali się z samym oceanem. Smugi białego piasku tryskały spod ich rozpędzonych stóp.

KONIEC

Zakłęcie na wiatr

Copyright © Paulina Kuzawińska

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Bernadeta Leśniowska-Gustyn

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2018 r.

druk ISBN 978-83-7995-161-1

epub ISBN 978-83-7995-162-8

mobi ISBN 978-83-7995-163-5

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Iga Wiśniewska

Korekta: Barbara Kaszubowska

Skład, typografia i digitalizacja: proAutor.pl

Ilustracja na okładce: Bernadeta Leśniowska-Gustyn

Projekt okładki: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

www.MadBooks.pl

www.eBook.MadBooks.pl